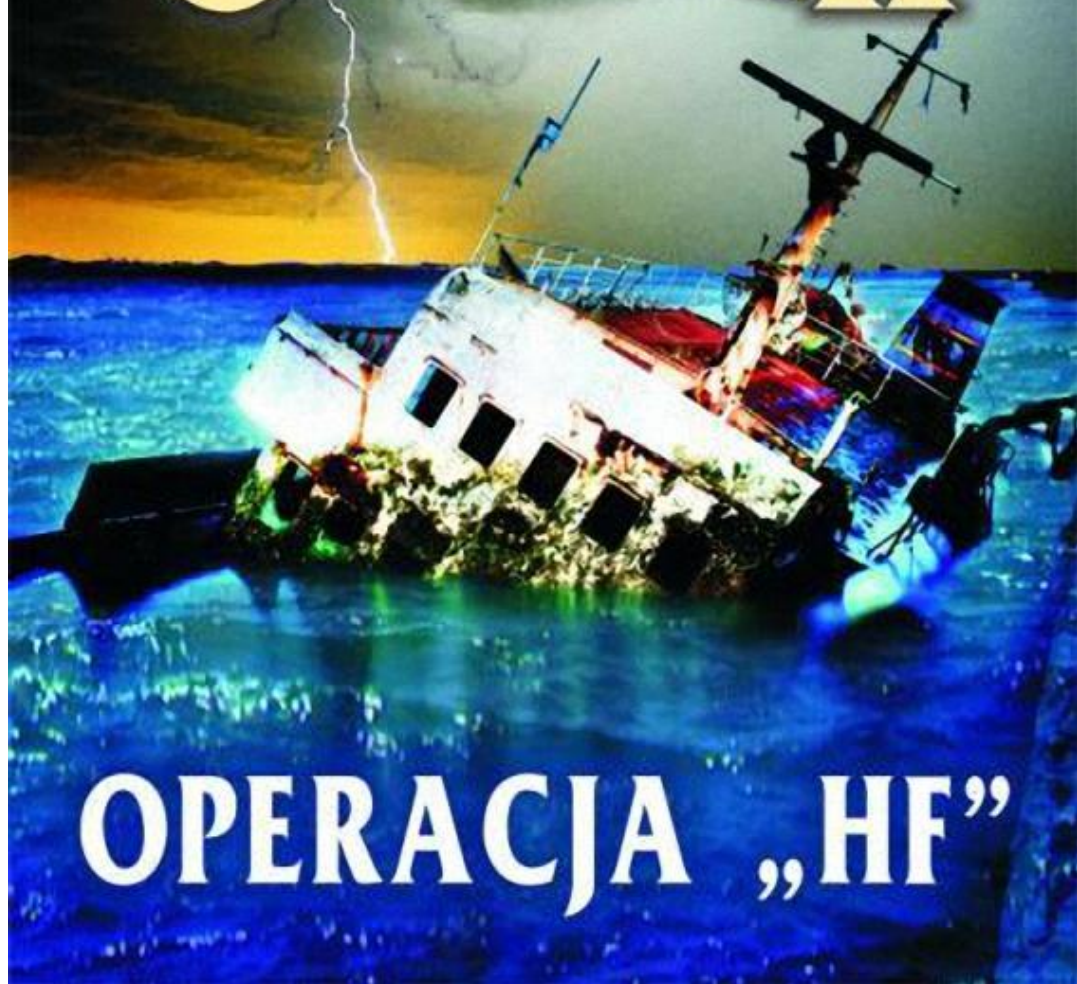


CLIVE CUSSLER


AMBER



OPERACJA „HF”

CLIVE CUSSLER

OPERACJA HF

(Deep Six)

Tłumaczenie Sławomir Kiedzierski

TMN

Wydanie polskie: 2003

Wydanie oryginalne: 1984

Preludium

„San Marino“

75 lipca 1966 roku

Ocean Spokojny

Dziewczyna osłoniła piwne oczy przed słońcem i patrzyła na wielkiego petrela szybującego nad tylnym bomem przeładunkowym statku. Parę minut podziwiała pełen wdzięku lot ptaka, a potem znudzona usiadła, odsłaniając czerwone pręgi, wyciśnięte listewkami staroświeckiego fotela wypoczynkowego na jej opalonych plecach.

Rozejrzała się, wypatrując członków załogi. Nie dostrzegła nikogo i pospiesznie poprawiła piersi w staniku bikini.

Czuła, jak w przesyconym wilgocią powietrzu jej ciało staje się spocone i gorące. Przesunęła dłonią po płaskim brzuchu i poczuła występujące przez skórę krople potu. Znowu położyła się w fotelu, rozluźniona i spokojna. Rytmiczne dudnienie maszyn starego statku i ciężki żar słońca skłaniały ją do snu.

Strach, który ją dręczył od chwili wejścia na pokład, zniknął. Już nie leżała bezsennie, wsłuchując się w łomotanie serca, nie wpatrywała się w twarze członków załogi z obawą, że dostrzeże jakieś podejrzliwe spojrzenie. Zniknęły także obawy, że kapitan ponurym głosem poinformuje ją, iż została aresztowana. Powoli przestawała myśleć o swoim przestępstwie i zaczynała zastanawiać się nad przyszłością. Przekonała się z ulgą, że poczucie winy słabnie.

Kątem oka dostrzegła białą kurtkę azjatyckiego stewarda, który pojawił się w zejściówce. Zbliżał się lękliwie, z oczyma wbitymi w deski pokładu, jakby krępował go widok jej prawie nagiego ciała.

- Przepraszam, panno Wallace - powiedział. - Kapitan Masters przesyła wyrazy szacunku i pyta, czy zechce pani zjeść dziś wieczorem obiad z nim i jego oficerami. Oczywiście jeżeli czuje się pani lepiej.

Estella Wallace pomyślała, że jej intensywna opalenizna na pewno ukryje gwałtowny rumieniec. Chciała uniknąć rozmów z oficerami statku i od chwili kiedy weszła na pokład w San symulowała złe samopoczucie i wszystkie posiłki jadła w swojej kabinie. Teraz uznała

jednak, że nie może bez końca unikać kontaktów z ludźmi. Nadeszła pora, by zacząć próbować żyć zgodnie ze swymi kłamstwami.

- Proszę powiedzieć kapitanowi Mastersowi, że czuję się o wiele lepiej. Z przyjemnością skorzystam z zaproszenia.

- Bardzo się z tego ucieszy - odparł steward. Jego szeroki uśmiech odłonił szczelinę między zębami. - Dopilnuję, żeby kucharz przygotował coś specjalnego.

Ukłonił się w sposób, który wydał się Estelli zbyt uniżony, nawet jak na Azjatę.

Przekonana o słuszności podjętej decyzji, patrzyła bezmyślnie na wysoką nadbudówkę śródkręcia „San Marino”. Niebieskie niebo było niesamowicie niebieskie nad czarnym dymem, którego kłęby wydobywały się z pojedynczego komina, kontrastując ostro z białą farbą łuszczącą się na ściankach.

- To dobry statek - oznajmił z dumą kapitan, prowadząc Estellę do mesy. Chcąc podnieść dziewczynę na duchu, opowiedział jego historię, podał dane techniczne, zupełnie jakby Estella była przerażoną turystką na pierwszej wycieczce łódką po przełomie rzeki.

„San Marino” był wybudowany w 1943 roku jako standardowy statek typu Liberty i przewoził materiały wojskowe przez Atlantyk do Anglii. Udało mu się wykonać szesnaście rejsów tam i z powrotem. Tylko jeden raz, kiedy odłączył się od konwoju, został trafiony torpedą, ale nie miał ochoty zatonać i o własnych siłach dotarł do Liverpoolu.

Po wojnie wędrował po oceanach świata pod panamską banderą jako jeden z trzydziestu statków należących do Manx Steamship Company w Nowym Jorku. Miał długość czterystu czterdziestu jeden stóp, zadarty dziób oraz półokrągłą rufę i przecinał fale Pacyfiku z prędkością jedenastu węzłów. Po kilku latach zarabiania na armatora najprawdopodobniej skończy w stoczni złomowej.

Jego stalowe poszycie plamiła rdza. Wyglądał obskurnie jak dziwka z Bovery, ale w oczach Estelli Wallace był czysty i piękny.

Przeszłość już zacierała się w jej pamięci. Z każdym obrotem wysłużonych maszyn przepaść oddzielająca monotonne życie Estelli od

wytęsknionych marzeń powiększała się coraz bardziej.

Pomysł przeistoczenia się Arty Casilighio w Estellę Wallace powstał w chwili, gdy podczas wieczornego szczytu w Los Angeles znalazła paszport na to nazwisko, wciśnięty pod siedzenie autobusu na Wilshire Boulevard. Właściwie nie zdając sobie sprawy, dlaczego to robi, wsunęła go do torebki i wzięła do domu.

Nie oddała dokumentu kierowcy autobusu ani nie wysłała go właścicielce. Przez wiele godzin oglądała strony ostemplowane zagranicznymi pieczęciami. Intrygowała ją twarz na fotografii. Mimo bardziej eleganckiego makijażu była zaskakująco podobna do jej własnej. Obie były mniej więcej w tym samym wieku - różnica wynosiła zaledwie osiem miesięcy. Kolor oczu zgadzał się całkowicie i gdyby nie mała różnica w uczesaniu i odcieniu włosów, mogłyby uchodzić za siostry.

Musi spróbować upodobnić się do Estelli Wallace, swojego alter ego, które mogło uciec do egzotycznych miejsc na świecie, niedostępnych dla cichej, myszowatej Arty Casilighio.

Pewnego wieczoru po zamknięciu banku, w którym pracowała, zorientowała się, że patrzy właśnie na stosy świeżo wydrukowanych banknotów dostarczonych po południu z Banku Rezerw Federalnych, mieszczącego się w śródmieściu Los Angeles. W ciągu czterech lat pracy tak przyzwyczała się do dużych sum pieniędzy, że uważała się za uodpornioną na ten widok - stan ducha, który wszyscy kasjerzy osiągnęli prędzej czy później. Ale tym razem w trudny do wytłumaczenia sposób stosy zielonych papierków zafascynowały ją. Podświadomie zaczęła sobie wyobrażać, że należą do niej.

Wróciła do domu na weekend i zamknęła się w mieszkaniu, aby umocnić się w swoim postanowieniu i zaplanować przestępstwo, które miała zamiar popełnić. Ćwiczyła każdy gest, każdy ruch. Przez całą noc z niedzieli na poniedziałek leżała skąpana w zimnym pocie. Nie mogła zasnąć, ale zdecydowana była przeprowadzić sprawę do końca.

W transporcie pieniędzy przywożonych co poniedziałek pancernym samochodem znajdowało się od sześciuset do ośmiuset tysięcy dolarów.

W banku liczono je powtórnie i przechowywano do momentu ponownego rozproszania do oddziałów rozproszonych po całym Los Angeles. Postanowiła, że zrealizuje plan w poniedziałek wieczorem, kiedy będzie oddawać szufladę z pieniędzmi do skarbcza.

Rankiem wzięła prysznic i zrobiła makijaż, a później nałożyła parę rajstop. Od połowy łydki do samej góry owinęła nogi dwustronną taśmą klejącą, pozostawiając zewnętrzną warstwę ochronną. Te dość dziwne elementy odzieży zostały zakryte długą spódnicą sięgającą aż do kostek.

Następnie wzięła dokładnie przycięte paczki papieru i wsunęła je do dużej, przypominającej sakwę torby. Na zewnętrznych stronach miały umieszczone nowiutkie banknoty pięciodolarowe i oklejone były prawdziwymi niebiesko-białymi banderolami Banku Rezerw Federalnych. Postronny obserwator uznałby je za autentyczne.

Stała przed dużym lustrem i powtarzała raz za razem: „Arta Casilighio już nie istnieje. Jesteś obecnie Estellą Wallace”. Autosugestia zaczęła działać. Poczula, jak jej mięśnie rozluźniają się, oddech staje się wolniejszy i bardziej płytki. Nabrała głęboko powietrza, wyprostowała się i poszła do pracy.

Tak bardzo chciała sprawiać zupełnie zwyczajne wrażenie, że niechcący przyszła do banku o dziesięć minut za wcześnie. Mogło to zdziwić tych, którzy dobrze ją znali, ale był poniedziałek rano i nikt tego nie zauważył. Kiedy usiadła za swym kontuarem kasowym, miała wrażenie, że każda minuta ciągnie się godzinę, a każda godzina wieczność. Czuła się dziwnie obca w tym tak dobrze jej znanym otoczeniu, lecz szybko tłumiała każdą myśl o porzuceniu zuchwałego planu.

Kiedy wreszcie nadeszła szósta i jeden z zastępców wiceprezesa zamknął i zabezpieczył masywne drzwi frontowe, szybko podliczyła zawartość swojej kasetki i dyskretnie wymknęła się do damskiej toalety. Tam, zamknięta w kabinie, szybko odkleiła zewnętrzną warstwę taśmy, wrzuciła ją do sedesu i spuściła wodę. Potem wyjęła spreparowane paczki, umocowała je do taśmy i kilkakrotnie tupnęła nogami, aby upewnić się, że żadna nie odklei się w czasie chodzenia.

Uznała, że wszystko jest gotowe, i wróciła na salę. Tam marudziła do chwili, kiedy pozostali kasjerzy umieścili swoje szuflady z pieniędzmi w skarbcu i wyszli. Potrzebowała jedynie dwóch minut samotności w tym wielkim stalowym pomieszczeniu. Kiedy została sama, szybko podwinęła spódnicę i precyzyjnymi ruchami wymieniła fałszywe pakiety na prawdziwe, po czym wyszła ze skarbcza i uśmiechnęła się na pożegnanie do zastępcy wiceprezesa, który skinął jej głową, otwierając boczne drzwi. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę się udało.

W parę sekund po wejściu do mieszkania zrzuciła spódnicę, odzepiła od nóg paczki pieniędzy i przeliczyła je. Okazało się, że jest to 51 000 dolarów.

Nie, to niewystarczająca suma.

Poczuła straszliwe rozczarowanie. Potrzebowała przynajmniej dwa razy tyle, żeby uciec z kraju i zapewnić sobie minimalny komfort, zanim dzięki korzystnym lokatom będzie mogła pomnożyć większą część łupu.

Łatwość, z jaką udało jej się przeprowadzić całą operację, wywoływała zawrót głowy. Zastanawiała się, czy ośmieli się wykonać jeszcze jeden wypad do skarbcza. Pieniądze Banku Rezerw Federalnych były już przeliczone i zostaną rozproszane do oddziałów banku dopiero w środę. Jutro będzie wtorek. Wciąż mogła wykonać jeszcze jeden ruch, zanim kradzież zostanie odkryta.

Czemu nie?

Myśl o dwukrotnym okradzeniu tego samego banku w ciągu dwu dni podniecała ją. Być może Arcie Casilighio brakowałoby ikry, ale Estelli Wallace wcale nie trzeba było popędzać.

Tego samego wieczoru kupiła wielką staroświecką walizkę w sklepie z używanymi przedmiotami i dorobiła do niej fałszywe dno. Zapakowała tam pieniądze oraz ubrania i pojechała taksówką do Międzynarodowego Portu Lotniczego w Los Angeles. Umieściła walizkę w skrytce bagażowej i kupiła bilet na odlatujący wieczorem samolot do San Francisco. Owinęła nie wykorzystany bilet na nocny lot

w gazetę i wrzuciła do kosza na śmieci. Kiedy nie miała już nic więcej do zrobienia, wróciła do domu i zasnęła kamiennym snem.

Druga kradzież odbyła się równie gładko jak i pierwsza. Trzy godziny po ostatecznym pożegnaniu się z Beverley-Wilshire Bank ponownie liczyła pieniądze w hotelu w San Francisco. Ogólna suma wyniosła 128 000 dolarów. Biorąc pod uwagę inflację, nie był to oszałamiający rezultat, ale na jej potrzeby wystarczało aż nadto.

Następny krok był stosunkowo prosty. Znalazła w gazetach rozkład rejsów i wybrała statek handlowy „San Marino”, który o szóstej trzydzięci następnego ranka miał wyruszyć do Auckland w Nowej Zelandii.

Godzinę przed odpłynięciem weszła po schodni na statek. Kapitan twierdził wprawdzie, że niezbyt często bierze pasażerów, ale wreszcie zgodził się wziąć ją na pokład - za uzgodnioną sumę, która, jak podejrzewała Estella, trafiła w całości do jego portfela, nie zaś do kasy kompanii żeglugowej.

Estella przeszła przez próg mesy oficerskiej i zatrzymała się na chwilę niepewnie. Powitały ją pełne uznania spojrzenia sześciu mężczyzn siedzących w kabinie.

Jej miedziane włosy opadały na ramiona i pięknie harmonizowały z opalenizną. Miała na sobie długą, wąską bawełnianą suknię, która przylegała do ciała w odpowiednich miejscach. Biała kościana bransoleta była jedynym dodatkiem. Oficerom, którzy wstali na jej powitanie, ta prosta elegancja wydawała się czymś niezwykłym i wspaniałym.

Kapitan Irvin Masters, wysoki mężczyzna o siwiejących skroniach, podszedł do niej i ujął pod ramię.

- Panno Wallace - oznajmił z ciepłym uśmiechem. - Jakże się cieszę, że już się pani dobrze czuje.

- Sądzę, że najgorsze minęło - stwierdziła.

- Muszę przyznać, że zaczynałem się martwić. Nie opuszczała pani

przez całe pięć dni kabiny... Nie mamy na pokładzie lekarza i gdyby trzeba było udzielić pani pomocy medycznej, mielibyśmy kłopoty.

- Dziękuję - powiedziała łagodnie.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Za co?

- Za pańską troskę. - Delikatnie uściśnęła jego ramię. - Od bardzo dawna nikt się o mnie tak nie troszczył.

Skinał głową i mrugnął.

- Po to właśnie są kapitanowie statku. - Potem odwrócił się w stronę pozostałych oficerów. - Panowie, chciałbym przedstawić wam pannę Estellę Wallace, która będzie zaszczycać nas swoją obecnością do chwili, gdy przycumujemy w Auckland.

Oficerowie zaczęli się przedstawiać. Rozbawiło ją to, że większość tych mężczyzn była ponumerowana. Pierwszy oficer, drugi... nawet czwarty. Wszyscy ostrożnie ściskali jej dłoń, jakby była wykonana z delikatnej porcelany - wszyscy poza mechanikiem, niskim barczystym mężczyzną o twardej słowiańskiej wymowie. Skłonił się przed nią sztywno i ucałował jej dłoń.

Pierwszy oficer skinął na stewarda, który stał za małym barkiem z mahoniu.

- Panno Wallace, na co ma pani ochotę?

- Czy można by prosić o daiquiri? Mam ochotę na coś słodkiego.

- Oczywiście - odparł pierwszy oficer. - „San Marino” nie jest może luksusowym liniowcem pasażerskim, ale mamy najlepszy bar koktajlowy na tej szerokości geograficznej.

- Bądź uczciwy - upomniął go wesoło kapitan. - Zapomniałeś dodać, że jesteśmy najprawdopodobniej jedynym statkiem na tej szerokości.

- To drobny szczegół. - Pierwszy oficer wzruszył ramionami. - Lee, jeden z twoich słynnych daiquiri dla młodej damy.

Estella patrzyła z zainteresowaniem, jak steward zręcznie wyciska limonę i wlewa wszystkie składniki. Każdy jego ruch był pełen gracji. Pienisty napój smakował wspaniale i musiała przezwyciężyć ochotę wypicia go duszkiem.

- Lee - powiedziała - jest pan cudowny.

- Rzeczywiście - stwierdził Masters. - Mieliśmy szczęście angażując go.

Estella wypła kolejny łyk swojego drinka.

- Zauważyłam, że wśród załogi jest sporo Azjatów.

- Zastępstwo - wyjaśnił Masters. - Dziesięciu członków załogi zwiato ze statku, kiedy zacumowaliśmy w San Francisco. Na szczęście Lee i jego dziewięciu koreańskich współziomków przyszli z morskiej giełdy zatrudnienia, zanim odpłynęliśmy.

- Według mnie wszystko to jest cholernie dziwne - mruknął drugi oficer.

Masters wzruszył ramionami.

- Członkowie załogi uciekali w portach ze statków od czasów, kiedy kromanieńczyk zbudował pierwszą tratwę. Nie ma w tym nic dziwnego.

Drugi oficer pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Może jeden albo dwóch, ale nie dziesięciu! „San Marino” jest dobrym statkiem, a nasz kapitan to porządny facet. Nie było powodu do takiego masowego exodusu.

- Różnie bywa na morzu - westchnął Masters. - Koreańczycy są czyści i pracowici. Nie zamieniłbym ich na połowę naszego ładunku.

- To niezła cena - mruknął mechanik.

- Czy byłoby niestosowne - zainteresowała się Estella - gdybym zapytała, jaki ładunek przewozimy?

- Ależ nie - ochoczo wyjaśnił bardzo młody czwarty oficer. - W San Francisco nasze ładownie zapełniono...

- Sztabami tytanu - wtrącił kapitan.

- O wartości ośmiu milionów dolarów - dodał pierwszy, spoglądając surowo na czwartego.

- Proszę jeszcze jednego drinka - powiedziała Estella, podając pustą szklanekę stewardowi. Odwróciła się w stronę Mastersa. - Słyszałam o tytanie, ale nie mam pojęcia, do czego jest używany.

- Oczyszczony w czasie specjalnych procesów chemicznych, staje się

mocniejszy i lżejszy od stali, dzięki czemu jest bardzo poszukiwany przez konstruktorów odrzutowych silników lotniczych. Jest również powszechnie wykorzystywany przy produkcji farb, plastików czy sztucznego jedwabiu. Podejrzewam, że jego ślady znajdzie pani nawet w swoich kosmetykach.

Kucharz, anemicznie wyglądający Azjata w śnieżnobiałym fartuchu wychylił się z bocznych drzwi i skinął głową Lee, który w odpowiedzi stuknął mieszadłem w szklanę.

- Obiad gotów - oznajmił, wyraźnie oddzielając słowa, i uśmiechnął się, odsłaniając szczelinę między przednimi zębami.

Posiłek był wspaniały i Estella obiecała sobie, że nigdy go nie zapomni. Towarzystwo sześciu elegancko umundurowanych i odgadujących jej życzenia mężczyzn było czymś, co całkowicie zaspokajało jej kobiecą próżność.

Po deserze kapitan Masters przeprosił zebranych i poszedł na mostek. Oficerowie po kolei udali się do swoich zajęć i Estella odbyła wycieczkę po pokładzie w towarzystwie pierwszego mechanika. Zabawiał ją opowieściami o morskich przesadach i dziwnych potworach głębin oraz ploteczkami o załodze, które niezwykle ją rozśmieszały.

Wreszcie dotarli do jej drzwi i tam z galanterią znowu ucałował jej dłoń. Gdy zaproponował jej wspólne zjedzenie śniadania następnego dnia, zgodziła się.

Weszła do maleńkiej kabiny, zamknęła drzwi i włączyła górne światła. Potem dokładnie zaciągnęła zasłony jedynego iluminatora, wydobyła spod koi walizkę i otworzyła ją.

Górna przegródka zawierała kosmetyki i zmiętą niedbale bieliznę. Wyjęła ją. Pod spodem znajdowały się złożone starannie bluzki i spódnice. Wyjęła je również i odłożyła na bok. Będzie musiała usunąć zagniecenia, wystawiając odzież na działanie pary w kabine prysznicowej. Wsunęła delikatnie pilnik do paznokci pod krawędź fałszywego dna i uniosła je do góry. Potem usiadła z westchnieniem ulgi. Pieniądze były na miejscu - paczki wciąż miały na sobie banderole

Banku Rezerw Federalnych. Prawie nic z nich nie wydała.

Wstała i zdjęła suknię przez głowę, a potem rzuciła się na koję zakładając ręce za głowę.

Zamknęła oczy i próbowała wyobrazić sobie zdziwienie na twarzach jej przełożonych, kiedy zorientowali się, że pieniądze i niezawodna mała Arta Casilighio zniknęły jednocześnie. Wyprowadziła ich wszystkich w pole!

Czuła dziwne, niemal seksualne podniecenie na myśl o tym, że FBI umieści ją na liście najbardziej poszukiwanych przestępców. Detektywi będą przesłuchiwać znajomych i sąsiadów, szukać jej we wszystkich dawnych miejscach zamieszkania, sprawdzą banki - czy nie dokonano w którymś z nich wpłaty składającej się z banknotów o kolejnej numeracji - ale nic im to nie da. Arta, czyli Estella, nie była tam, gdzie się spodziewali.

Otworzyła oczy i spojrzała na dobrze już znane ściany kabiny. Odniosła dziwne wrażenie, że całe pomieszczenie jakby się od niej odsuwało. Poszczególne przedmioty stawały się nieostre i nagle znowu wyraźne, jak w niestarannie zmontowanym filmie. Czuła, że powinna iść do toalety, ale ciało odmówiło posłuszeństwa. Każdy miesiąc sprawiał wrażenie zamrożonego. Nagle drzwi się otworzyły i do kabiny wszedł steward Lee w towarzystwie jeszcze jednego azjatyckiego członka załogi.

Tym razem już się nie uśmiechał.

To przecież niemożliwe, przekonywała samą siebie. Steward nie mógł bezczelnie wdzierać się do kabiny, kiedy ona leży nago na koi. To musi być jakiś zwariowany sen wywołany obfitym jedzeniem i alkoholem, koszmar zrodzony z niestrawności.

Czuła się zupełnie oddzielona od swego ciała. Miała wrażenie, że obserwuje całą tę scenę z kąta kabiny. Lee ostrożnie przeniósł ją przez drzwi, korytarz i wniósł na pokład.

Stało tam kilku koreańskich marynarzy. Ich okrągłe twarze skąpane były w jaskrawym świetle lamp przeladunkowych. Podnosili wielkie pakunki i przerzucali je przez reling. Nagle jeden z pakunków spojrzał

na Artę. Dostrzegła szarą jak popiół twarz czwartego oficera. Jego oczy były szeroko rozwarte z przerażenia i niedowierzania. A potem zniknął za burzą.

Lee pochylił się nad nią i robił coś przy jej nogach. Nic nie czuła, jedynie letargiczne odrętwienie. Odniosła wrażenie, że przywiązuje do jej kostek kawał zardzewiałego łańcucha.

Dlaczego to robi? - pomyślała z roztargnieniem. Obserwowała obojętnie, jak unoszą ją w powietrze. Potem puszczono ją i poleciała w ciemność.

Coś ze straszną siłą uderzyło w jej ciało, odbierając oddech. Zamknęła się wokół niej zimna, dławiąca otchłań. Nieubłagany ciężar ściągał ją w dół, ciśnienie zgniatało ciało, zaciskając wnętrzości w gigantycznym imadle.

Bębenki uszu pękły i w tej samej chwili przesywający ból z przerażającą jasnością uświadomił jej, że to nie sen. Usta otworzyły się do histerycznego krzyku.

Ale nie rozległ się żaden dźwięk. Narastające ciśnienie wody wkrótce zgmiotło jej klatkę piersiową i martwe ciało opadło w rozwarte objęcia morskiej głębi.

Część pierwsza

„Pilottown”

Rozdział 1

25 czerwca 1989 roku

Cook Inlet, Alaska

Czarne chmury kłębiły się groźnie nad morzem, ciągnąc od wyspy Kodiak, i zmieniały jego intensywną niebieskozieloną barwę w kolor ołowiu. Pomarańczowy blask słońca został zdmuchnięty jak płomień świecy. Ale w porównaniu z większością nadciągających od zatoki Alaski sztormów, w czasie których prędkość wiatru sięgała pięćdziesięciu lub stu mil na godzinę, ten był łagodnym zefirkiem. Zaczął padać deszcz, najpierw drobny i rzadki, potem jednak przekształcił się w prawdziwy potop, którego strugi smagały wodę, zmieniając ją w białą kapiel.

Na skrzydle mostku patrolowca Ochrony Wybrzeża „Catawba” komandor podporucznik Amos Dover wyżejając wzrok patrzył przez lornetkę, usiłując zobaczyć cokolwiek w strugach wody. Miał wrażenie, że ma przed oczyma migoczącą kurtynę. Widoczność nie przekraczała czterystu jardów. Czuł chłodne krople deszczu na twarzy i jeszcze chłodniejsze strużki spływające pod podniesiony kołnierz jego sztormówki i dalej, po karku. Wreszcie wypluł za reling przemokniętego papierosa i wszedł do suchego ciepła sterówki.

- Radar! - zawołał burkliwie.

- Kontakt sześćset pięćdziesiąt metrów¹ przed dziobem i zbliża się - odparł operator, nie odrywając spojrzenia od drobnych impulsów na ekranie.

Dover rozpiął kurtkę i wytarł kark chusteczką. Kłopoty były ostatnią rzeczą, jakiej by się spodziewał.

W lecie bardzo rzadko zgłaszano zaginięcie statków rybackich albo prywatnych jednostek turystycznych. To zima była porą roku, kiedy cieśnina stawiała się paskudna i nie wybaczała pomyłek. Mroźne powietrze arktyczne, zderzając się z cieplejszym, unoszącym się z nad Prądu Alaski, eksplodowało niewiarygodnymi wiatrami i gigantycznymi falami, które miażdżyły kadłuby i powodowały oblodzenie nadbudówek. A potem w pewnym momencie okazywało się, że punkt ciężkości statku jest za wysoko. Jednostka przewracała się i tonęła jak kamień.

Otrzymało wezwanie o pomoc od statku. Podał swoją nazwę - „Amie Marie”. Jedno krótkie SOS, po nim pozycja i słowa: „...chyba wszyscy umierają”.

Kolejne próby wywołania statku i uzyskania dalszych informacji nie odniosły skutku. Radio na pokładzie „Amie Marie” milczało.

Pogoda uniemożliwiała poszukiwania z powietrza. W odpowiedzi na wezwanie pomocy każdy statek w promieniu stu mil zmieniał kurs i szedł pełną parą w kierunku podanej pozycji. Dover doszedł do wniosku, że dzięki swojej dużej prędkości „Catawba” pierwsza dotrze do zagrożonego statku. Potężne dieslowskie silniki patrolowca Ochrony Wybrzeża pozwoliły mu wyprzedzić kabotażowiec żegluga przybrzeżnej i kuter do połowu halibutów. Obie jednostki kołysały się teraz w pozostawionych za rufą falach odkosu.

Dover był potężnym mężczyzną. Pełniąc służbę w ratownictwie morskim, spędził dwanaście lat na wodach Północy, stawiając czoło każdemu sadystycznemu kaprysowi pogody, jaki Arktyka mu zaserwowała. Poruszał się wolno i powłóczył nogami, ale jego

¹ Odczyty radaru i sonaru podawane są w metrach (przyp. tłum.).

precyzyjny jak komputer umysł wciąż wprawiał w podziw załogę. Teraz również w czasie krótszym niż potrzebował komputer pokładowy obliczył wpływ wiatru oraz prądu i uzyskał pozycję, na której według niego powinien znajdować się statek, wrak albo rozbitkowie - i trafił w dziesiątkę.

Pomruk silników pod jego stopami zmienił się w niemal gorączkowe wycie. „Catawba” sprawiała wrażenie spuszczonego ze smyczy charta, który złapał trop poszukiwanej zwierzyny. Cała załoga oczekiwała w napięciu. Wszyscy wylegli na pokład i skrzydła mostku, nie zważając na deszcz.

- Czteryście metrów! - zawołał operator radaru.

W tej samej chwili marynarz trzymający się flagsztoku zaczął machać gorączkowo ręką, wskazując na zasłonę deszczu.

Dover wychylił się z drzwi sterówki i krzyknął przez megafon:

- Czy jest na powierzchni?!

- Pływa jak gumowa kaczka w wannie! - odwrzasnął marynarz, składając dłonie przy ustach.

Dover skinął głową oficerowi wachtowemu.

- Zmniejszyć prędkość.

- Maszyny jedna trzecia naprzód! - Porucznik potwierdził rozkaz i przesunął kilka dźwigni na konsoli automatycznego sterowania maszynownią.

„Amie Marie” wynurzyła się wolno zza ściany deszczu. Spodziewali się, że będzie do połowy zanurzona, tonąca. Statek jednak unosił się dumnie na wodzie, kołysząc się na niewielkich falach. Nic w jego wyglądzie nie sugerowało tragedii. Ale cisza, jaka na nim panowała, robiła wrażenie nienaturalnej, niemal upiornej. Pokład był pusty i nikt nie odpowiedział Doverowi wołającemu przez megafon.

- Wygląda na poławiacza krabów - mruknął, nie zwracając się właściwie do nikogo konkretnego. - Stalowy kadłub, długość sto dziesięć stóp. Wodowany chyba w Nowym Orleanie.

Radiooperator wychylił się z kabiny łączności i dał ręką znak Doverowi.

- Wiadomość z Biura Rejestru Statków, sir. Właścicielem i szyprem „Amie Marie” jest Carl Keating. Port macierzysty Kodiak.

Dover ponownie okrzyknął dziwnie milczący kuter, tym razem zwracając się do Keatinga po nazwisku. Odpowiedzi nie było. „Catawba” zatoczyła krąg, zbliżając się na odległość stu jardów, potem wyłączono silniki i patrolowiec Ochrony Wybrzeża stanął w dryfie.

Wykonane ze stalowej siatki wężerze były starannie złożone na stalowym pokładzie, a z komina unosiła się cienka strużka dymu, wskazując, że silnik pracuje na jałowym biegu. W iluminatorach i oknach sterówki nie widać było żadnego ruchu.

Grupa kontrolna składała się z dwóch oficerów - podporucznika Pata Murphy’ego i porucznika Marty’ego Lawrence’a. Bez normalnych przy takich okazjach pogaduszek włożyli kombinezony ochronne, które zabezpieczyłyby ich przed lodowatą wodą, gdyby przypadkiem wpadli do morza. Wiele razy przeprowadzali normalne kontrole zagranicznych statków rybackich, które znalazły się w dwustumilowej strefie ochronnej rybołówstwa Alaski. Lecz w tym przypadku nie było nic normalnego. Nikt z załogi nie stał przy relingach, by ich powitać. Obaj oficerowie weszli do niewielkiego pontonu Zodiac z przyczepnym silnikiem i odbili od burty.

Do zmroku pozostało zaledwie kilka godzin. Deszcz przestał padać, ale za to wzrastał wiatr i fale wyraźnie rosły. Na „Catawbie” panowała niezwykła cisza. Nikt się nie odzywał. Jakby wszyscy bali się mówić, przynajmniej do momentu gdy czar rzucony przez nieznane siły zostanie zdjęty.

Obserwowali, jak Murphy i Lawrence przycumowali ponton do kutra, wspięli się na pokład i zniknęli w drzwiach głównej nadbudówki.

Minęło kilka bardzo długich minut. W pewnej chwili na pokładzie pojawił się któryś z członków grupy kontrolnej, ale zaraz z powrotem zniknął w zejściówce. W sterówce „Catawby” rozlegał się jedynie szum zakłóceń z włączonego na pełną moc głośnika radia pracującego na częstotliwości alarmowej.

Nagle, tak niespodziewanie, że nawet Dover drgnął zaskoczony,

wewnątrz sterówki odbił się głośnym echem głos Murphy'go:

- „Catawba”, tu „Amie Marie”.

- Słucham, „Amie Marie” - odparł do mikrofonu Dover.

- Wszyscy są martwi.

Słowa były tak zimne i suche, że początkowo nikt nie zrozumiał ich znaczenia.

- Powtórzcie.

- U żadnego nie wyczuwamy pulsu. To „coś” dopadło nawet kota.

Grupa kontrolna ustaliła, że „Amie Marie” jest statkiem umarłych. Ciało szypra Keatinga leżało na pokładzie, z głową opartą o ściankę działową tuż pod radiostacją. W kambuzie, mesie, kabinach załogi - wszędzie leżały zwłoki. Twarze zastygły w wyrazie bólu, kończyny były groteskowo powykręcane, zupełnie jakby w ostatnich chwilach życia szarpały nimi konwulsje. Skóra dziwnie poczerniała, widać było ślady obfitego krwotoku. Syjamski kot okrętowy leżał obok grubego wełnianego koca, który poszarpał w przedśmiertnych drgawkach.

Dover słuchał meldunku Murphy'ego i na jego twarzy malowało się coraz większe zdziwienie.

- Czy możesz określić przyczynę? - zapytał.

- Nawet nie próbuję - odparł Murphy. - Nie ma śladów walki. Ciała nie mają śladów obrażeń, ale mimo to krwi jest tyle, jakby szlachtowano tu świnię. Wydaje się, że to, co spowodowało ich śmierć, zaatakowało wszystkich jednocześnie.

- Czekaj...

Dover poszukał wzrokiem wśród otaczających go twarzy lekarza okrętowego, komandora podporucznika Isaaca Thayera.

Doc Thayer był najpopularniejszym człowiekiem na okręcie. Weteran Ochrony Wybrzeża, już dawno zrezygnował z wygodnych gabinetów i wysokich dochodów, jakie przynosiła mu praktyka na łodzi, na rzecz służby w ratownictwie okrętowym.

- Co o tym myślisz, Doc? - spytał Dover.

Thayer wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że powinienem złożyć wizytę domową.

Dover z niecierpliwością krążył po mostku, podczas gdy Doc Thayer wszedł do drugiego zodiaka i przepłynął kilkadziesiąt jardów dzielących obie jednostki. Dover polecił sternikowi, żeby ustawił „Catawbę” w pozycji umożliwiającej podanie holu na „Amie Marie”. Pochłonięty manewrami, nie zauważył stojącego za nim radiooperatora.

- Dostałem właśnie sygnał, sir. Od pilota dostarczającego zaopatrzenie zespołowi naukowemu na Augustine Island.

- Nie teraz - odparł ostro Dover.

- To pilne, kapitanie - nalegał radiooperator.

- Dobra, przeczytaj mi najważniejsze.

- „Cały zespół naukowy nie żyje”. Potem niezrozumiałe słowa i coś, co brzmi jak: „Ratujcie mnie”.

Dover popatrzył na niego nic nie wyrażającym wzrokiem.

- To wszystko?

- Tak jest, sir. Próbowałem go wywołać, ale nie odpowiedział.

Dover nie musiał spoglądać na mapę, żeby się zorientować, iż Augustine jest nie zamieszkaną wulkaniczną wysepką położoną w odległości zaledwie trzydziestu mil na północny wschód od nich. Nagle przysłała mu do głowy koszmarna myśl. Schwycił mikrofon i zawołał:

- Murphy! Jesteś tam?

Nic. Cisza.

- Murphy... Lawrence... Słyszycie mnie?

Znowu bez odpowiedzi.

Spojrzał przez okna mostku i zobaczył, że Doc Thayer przechodzi przez reling „Amie Marie”. W razie potrzeby Dover potrafił poruszać się bardzo szybko, mimo swojej potężnej postury. Schwycił megafon i wybiegł na skrzydło mostku.

- Doc! Wracaj! Zejdź z tego statku! - Jego wzmocniony głos zahuczał nad falami.

Było już jednak za późno. Thayer zdążył zniknąć w zejściówce.

Ludzie na mostku popatrzyli na swego kapitana, nic z tego nie rozumiejąc. Mięśnie jego twarzy napięły się i z desperacją pobiegł do sterówki. Schwycił mikrofon.

- Doc, tu Dover. Czy mnie słyszysz?

Minęły dwie minuty, dwie nie kończące się minuty, w czasie których Dover próbował wywołać swoich ludzi na „Amie Marie”. Ale nawet przeraźliwy ryk syreny „Catawby” pozostał bez odpowiedzi.

Wreszcie na mostku odezwał się dziwnie spokojny głos Thayera:

- Z przykrością informuję, że podporucznik Murphy i porucznik Lawrence nie żyją. Nie wiem, co spowodowało ich śmierć, ale cokolwiek to jest, zaatakuje również i mnie, zanim zdążę opuścić statek. Trzeba go poddać kwarantannie. Rozumiesz, Amos?

Do świadomości Dovera wciąż nie docierała myśl, że traci starego przyjaciela.

- Nie rozumiem, ale zrobię to.

- Dobrze. Będę opisywał symptomy, w miarę jak będą się pojawiały. Zaczynam czuć zawroty głowy. Puls wzrósł do stu pięćdziesięciu. Porażenie mogło nastąpić w wyniku absorpcji przez skórę? Puls sto siedemdziesiąt.

Thayer przerwał. Następne słowa przedzielane były pauzami.

- Zaczynają się... mdłości. Nie mogę... utrzymać się... na nogach... Uczucie... silnego pieczenia... w rejonie zatok. Wrażenie... pęknięcia... narządów wewnętrznych.

Na mostku „Catawby” wszyscy, jak jeden mąż, pochylili się w stronę głośnika. Nikt nie mógł pogodzić się z myślą, że człowiek, którego dobrze znali, umiera tak niedaleko od nich.

- Puls... ponad dwieście. Ból... straszliwy. Czarno... przed oczyma. - Rozległ się wyraźny jęk. - Powiedz... powiedz mojej żonie...

Głośnik umilkł.

Oszłomienie widoczne w oczach znieruchomiącej z przerażenia załogi stało się niemal namacalne.

Dover wbił odrętwiałe spojrzenie w pływający grobowiec o nazwie „Amie Marie”. Jego dłonie zaciśnięte były w geście bezradności i rozpacz.

- Co się dzieje? - mruknął głucho. - Co, na litość boską, zabija wszystkich na tym statku?

Rozdział 2

- Mówię, że należało powiesić tego skurwysyna!

- Oskar, jak ty się wyrażasz przy dziewczynkach?

- Słyszały już gorsze słowa. To szaleństwo. Ten śmieć zamordował czworo dzieciaków, a jakiś kretyń sędzia odrzuca akt oskarżenia, bo podsądny był do tego stopnia naćpany, że nie rozumiał, co wyczynia. Boże, czy można w to uwierzyć?

Pogroził telewizorowi, jakby to spiker przekazujący wiadomości winien był temu, że zabójca znowu grasuje na wolności. Carolyn Lucas naląła mężowi pierwszą w tym dniu filiżankę kawy i wygoniła obie córki na przystanek szkolnego autobusu.

Oskar Lucas gestykulował w sposób, który trochę przypominał język migowy głuchoniemych. Siedział przygarbiony przy stole, nie było więc widać, że ma prawie dwa metry wzrostu. Był łysy jak kolano, z wyjątkiem kilku siwiejących pasemek na skroniach, a nad jego ciemnobrązowymi oczyma sterczały gęste, krzaczaste brwi. W przeciwieństwie do większości rządowych pracowników Waszyngtonu, dla których granatowy garnitur w prążki był nieomal mundurem, najchętniej nosił drelichowe spodnie i sportową kurtkę.

Miał około czterdziestki i sprawiał wrażenie raczej dentysty czy księgowego, a nie funkcjonariusza kierującego Sekcją Ochrony Prezydenta w Secret Service. W czasie dwudziestoletniej pracy swym sympatycznym, zwyczajnym wyglądem często wyprowadzał

rozmówców w pole - poczynając od prezydentów, których ochraniał, a na potencjalnych zamachowcach, unieszkodliwionych przez niego, zanim mieli możliwość zacząć działać, kończąc. W pracy był poważny i rzeczowy, ale w domu zazwyczaj dokazywał i dowcipkował - chyba że popsuły mu humor wiadomości o ósmej rano.

Wypił ostatni łyk kawy i wstał od stołu. Prawą ręką odchylił połe kurtki - był leworęczny - i sprawdził umieszczoną wysoko na biodrze kaburę z rewolwerem Smith & Wesson kaliber 0,357 cala Magnum, model 19 z dwuipółcalową lufą. Otrzymał tę standardową broń służbową w chwili, gdy ukończył szkolenie i rozpoczął działalność jako świeżo upieczony agent. Pracował w terenowym biurze w Denver, gdzie zajmował się fałszerstwami. W czasie całej swej służby wyciągnął broń tylko dwa razy, ale za spust pociągnął dotąd tylko na strzelnicy.

Carolyn wyjmowała naczynia ze zmywarki, gdy Oskar stanął za nią, odchylił sphywającą na ramiona żony kaskadę blond włosów i pocałował ją w kark.

- Muszę już lecieć.

- Nie zapomnij, że dziś wieczorem jest składkowe przyjęcie u Hardingów.

- Powinienem wrócić na czas. Szef nie ma na dziś zaplanowanego wyjazdu z Białego Domu.

Spojrzała na męża i uśmiechnęła się.

- Przypilnuj tego.

- Zaraz po przyjściu powiadomię prezydenta, że moja żona niechętnym okiem patrzy na moje późne powroty do domu.

Roześmiała się i przytuliła na krótko do jego ramienia.

- No to do szóstej.

- Wygrałaś - westchnął z żartobliwym znużeniem i wyszedł kuchennymi drzwiami.

Wycofał tyłem na ulicę wypożyczony rządowy samochód - eleganckiego buicka - i ruszył w stronę śródmieścia. Zanim dojechał do końca kwartału, połączył się przez radio z centralnym punktem dowodzenia Secret Service.

- Crown, tu Lucas. Jestem w drodze do Białego Domu.

- Przyjemnej podróży - odparł metaliczny głos.

Czuł, że zaczyna się pocić, włączył więc klimatyzator. Miał wrażenie, że letni upał w stolicy nigdy się nie zmniejszy. Wilgotność sięgała dziewięćdziesięciu procent i flagi w dzielnicy ambasad na Massachusetts Avenue obwisły nieruchomo w ciężkim powietrzu.

Zwolnił i zatrzymał się przy punkcie kontrolnym na West Executive Avenue. Czekał przez moment, aż umundurowany strażnik skinie głową na znak, by jechał dalej. Chwilę później zaparkował samochód i zachodnim wejściem służbowym wszedł na parter Białego Domu.

Na punkcie dowodzenia W-16 zatrzymał się, żeby pogadać z ludźmi sprawującymi pieczę nad zestawem elektronicznych środków łączności. Potem przeszedł schodami do swego gabinetu na drugim piętrze Skrzydła Wschodniego.

Każdego ranka, zanim usiadł za biurkiem, przede wszystkim sprawdzał rozkład dnia prezydenta oraz wstępne raporty funkcjonariuszy odpowiedzialnych za planowanie zabezpieczeń.

Teraz również przestudiował najpierw grafik przewidywanych „ruchów” prezydenta i na jego twarzy odmalowała się konsternacja. Pojawił się nieoczekiwany element - i to dość istotny. Z irytacją cisnął broszurkę na biurko, obrócił się wraz z fotelem i wbił spojrzenie w ścianę.

Większość prezydentów była ludźmi z określonymi nawykami. Cały dzień mieli dokładnie rozplanowany i trzymali się ustalonego harmonogramu. Według Nixona można było regulować zegarek. Reagan i Carter również bardzo rzadko zmieniali ustalone plany. Ale człowiek, który obecnie zasiadał w Gabinetcie Ovalnym, był inny. Uważał procedury Secret Service za dokuczliwe niedogodności i cholernie trudno było przewidzieć, jak postąpi w takiej czy innej sytuacji.

Dla Lucasa i jego zastępców był to dwudziestoczworogodzinny mecz, w czasie którego usiłowali wyprzedzać szefa o jeden ruch, odgadując, gdzie i kiedy może nagle zechcieć pojechać oraz jakiego gościa zaprosi,

nie dając obstawie czasu na podjęcie właściwych kroków zabezpieczających. Dość często był to mecz, w którym Lucas przegrywał.

Po niecałej minucie znalazł się już na dole Skrzydła Zachodniego i rozmawiał z drugim najbardziej wpływowym urzędnikiem Białego Domu - szefem personelu, Danielem Fawcettem.

- Dzień dobry, Oskarze - powitał go Fawcett, uśmiechając się promiennie. - Właśnie myślałem, że za chwilę wpadniesz tu jak bomba.

- Zauważyłem, że mamy w harmonogramie nową wycieczkę - oznajmił Lucas oficjalnym tonem.

- Przykro mi z tego powodu. Ale czeka nas ważne głosowanie w sprawie pomocy dla krajów wschodniego bloku i prezydent chciałby oczarować senatora Larimera i przewodniczącego Izby Reprezentantów Morana, aby zapewnić sobie ich poparcie dla tego programu.

- I dlatego zabiera ich na przejażdżkę po rzece?

- A czemu nie? Od czasów Herberta Hoovera każdy prezydent używał swego jachtu do organizowania konferencji na wysokim szczeblu.

- Nie chodzi mi o powód - odparł stanowczo Lucas. - Protestuję przeciwko terminowi.

- Cóż złego w piątkowym wieczorze? - Fawcett spojrzał na niego niewinnym wzrokiem.

- Cholernie dobrze wiesz, co. Przecież to już za dwa dni.

- Co z tego?

- Żeby objąć skuteczną ochroną przejażdżkę Potomakiem połączoną z noclegiem w Mount Vernon, mój zespół planowania potrzebuje pięciu dni. W terenie musi zostać zainstalowany pełny system łączności. Jacht należy przeszukać, aby upewnić się, czy nie ma ładunków wybuchowych i urządzeń podsłuchowych. Należy sprawdzić brzegi rzeki. Poza tym Ochrona Wybrzeża chce być informowana z wyprzedzeniem, aby móc zapewnić motorówkę patrolową do eskorty jachtu. W ciągu dwóch dni nie sposób wykonać takiej roboty.

Fawcett był wojowniczym, energicznym człowiekiem o ostrym

nosie, kwadratowej czerwonej twarzy i przenikliwym spojrzeniu. Zawsze robił wrażenie sapersa lustrującego opuszczony budynek przeznaczony do wysadzenia w powietrze.

- Czy przypadkiem trochę nie przesadzasz, Oskarze? Zazwyczaj dokonywano zamachów na zatłoczonych ulicach albo w teatrach. Czy ktokolwiek słyszał o tym, by zaatakowano głowę państwa w czasie przejażdżki łodzią?

- To może się stać wszędzie i w każdym momencie - oznajmił Lucas zdecydowanym tonem. - Czy zapomniałeś o facecie zatrzymanym przez nas w czasie próby porwania samolotu, którym miał zamiar staranować Air Force One? Większość prób zamachu na prezydentów miała miejsce w chwili, gdy opuszczali chronioną przez nas strefę.

- Prezydent stanowczo nalega na utrzymanie tego terminu - stwierdził Fawcett. - Dopóki pracujesz dla niego, będziesz robił to, co ci każe, podobnie jak ja. Jeżeli będzie miał ochotę popłynąć osobiście kajakiem do Miami, musisz się z tym pogodzić.

Twarz Lucasa skamieniała. Ruszył do przodu i stanął nos w nos z szefem personelu Białego Domu.

- Przede wszystkim, zgodnie z uchwałą Kongresu, nie pracuję dla prezydenta, ale dla Departamentu Skarbu. Nie mów mi więc, że mam się zamknąć i robić, co mi każą. Moim obowiązkiem jest zapewnić mu maksymalne bezpieczeństwo przy minimalnym zakłóceniu jego życia prywatnego. Kiedy jedzie windą do swojego apartamentu na górze, moi ludzie i ja zostajemy na dole. Ale od chwili gdy stawia stopę na parterze, do momentu kiedy wróci na górę, jego tyłek należy do Secret Service.

Fawcett doskonale znał ludzi pracujących w otoczeniu prezydenta. Uświadomił sobie, że tym razem przesadził i miał wystarczająco dużo rozsądku, żeby ogłosić zawieszenie broni. Wiedział, że Lucas jest ofiarnym i bezwzględnie oddanym prezydentowi człowiekiem. Ale w żaden sposób nie mogliby zostać bliskimi przyjaciółmi. Może współpracownikami - pełnymi rezerwy i obserwującymi się uważnie. Ponieważ nie rywalizowali o władzę, nigdy nie będą wrogami.

- Nie przejmuj się, Oskarze. Rozumiem twoje obiekcje. Poinformuję o nich prezydenta. Wątpię jednak, czy zmieni swoje postanowienie.

- Zrobimy, co się da - westchnął Lucas. - Ale szef musi zrozumieć, że powinien jak najściślej współpracować ze swoją ochroną.

- Co ja mogę zrobić? Wszyscy politycy uważają, że są nieśmiertelni. Władza to dla nich coś więcej niż afrodyzjak - to jak narkotyk i kielich zarazem. Nic nie podnieca ani nie łechce ich próżności bardziej od wiwatującego tłumu i ludzi, którzy pchają się, żeby wymienić z nimi uścisk dłoni. Dlatego właśnie są tak łatwą ofiarą dla zabójcy, który we właściwym czasie znajdzie się we właściwym miejscu.

- Mnie to mówisz? - odparł Lucas. - Niańczyłem czterech prezydentów.

- I nie straciłeś żadnego.

- Dwa razy niewiele brakowało z Fordem, a raz z Reaganem.

- Nie możesz w stu procentach przewidzieć czyjegoś zachowania.

- Oczywiście. Ale po tylu latach w branży ochroniarskiej ma się już nosa. Dlatego właśnie czuję takie opory przed tą przejażdżką jachtem.

- Uważasz, że ktoś chce go zabić? - zeszywniał Fawcett.

- Zawsze jest ktoś, kto próbuje go zabić. Badamy dziennie dwudziestu potencjalnych świrów i prowadzimy aktywny nadzór dwóch tysięcy osób, które uważamy za niebezpieczne albo choćby tylko zdolne do popełnienia zabójstwa.

Fawcett położył dłoń na ramieniu Lucasa.

- Nie martw się, Oskarze. Prasa zostanie poinformowana o piątkowej wycieczce dopiero w ostatniej chwili. Tyle mogę ci obiecać.

- Doceniam to, Dan.

- Co się może zdarzyć na Potomacu?

- Może nic. A może coś nieoczekiwanego - odparł Lucas z dziwnym roztargnieniem w głosie. - I właśnie ta druga ewentualność jest powodem prześladujących mnie koszmarów.

Megan Blair, sekretarka prezydenta, zauważyła Dana Fawcetta stojącego w drzwiach jej małego gabinetu i skinęła mu głową z nadzoru maszyny do pisania.

- Cześć, Dan.

- Jak się ma dziś szef? - zapytał. Jak zwykle, starał się wy badać sytuację przed wejściem do Gabinetu Ovalnego.

- Zmęczony - odparła. - Przyjęcie na cześć przemysłu filmowego przeciągnęło się do pierwszej w nocy.

Megan była przystojną kobietą koło czterdziestki o błyszczących, przyjaznych oczach. Miała czarne, krótko obcięte włosy i jakieś dziesięć funtów niedowagi. Kochała swoją pracę i swego szefa bardziej niż cokolwiek w życiu. Zjawiała się w pracy wcześniej, wychodziła późno i pracowała w weekendy. Niezamężna, po dwóch przelotnych romansach, ceniła sobie niezależne, samotne życie. Fawcett zawsze ją podziwiał, widząc, jak jednocześnie prowadzi rozmowę i pisze na maszynie.

- Postaram się ograniczyć jego spotkania do minimum, żeby mógł mieć trochę spokoju.

- Spóźniłeś się. Już rozmawia z admirałem Sandeckerem.

- Z kim?

- Admirałem Jamesem Sandeckerem. Dyrektorem NUMA - Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

Na twarzy Fawcetta pojawił się wyraz niezadowolenia. Bardzo poważnie traktował rolę strażnika prezydenckiego czasu i nie lubił intruzów na swoim terytorium. Każde przełamanie pierścienia osłony było zagrożeniem jego pozycji. Do diabła, jakim cudem Sandeckerowi udało się prześlizgnąć za jego plecami? Megan zauważyła jego irytację.

- Prezydent sam posłał po admirała - wyjaśniła. - Mam wrażenie, że spodziewa się twojego udziału w tym spotkaniu.

Fawcett uspokoił się trochę. Skinął jej głową i przeszedł do Gabinetu Ovalnego. Prezydent studiował dokumenty rozrzucone na dużym stole. Naprzeciwko niego siedział niewysoki, szczupły mężczyzna o rudych włosach i takiej samej spiczastej bródce.

Prezydent podniósł głowę.

- Dan? Cieszę się, że cię widzę. Znasz admirała Sandeckera?

- Tak.

Sandecker wstał i podał mu rękę. Uścisk dłoni admirała był mocny i krótki. Skinął bez słowa Fawcettowi głową, przyjmując do wiadomości jego obecność. Nie była to nieuprzejmość ze strony admirała. Dał się poznać jako człowiek, który gra uczciwie, nie schylając przed nikim karku. W Waszyngtonie nienawidzono go i zazdrozczono mu, ale również powszechnie szanowano, nigdy bowiem nie był stronnicy i zawsze wykonywał to, czego od niego wymagano.

Prezydent wskazał Fawcettowi miejsce na sofie obok siebie.

- Siadaj, Dan. Poprosiłem admirała, żeby poinformował mnie o tym, co się stało na wodach koło Alaski.

- Nic na ten temat nie wiem.

- Wcale się nie dziwię - odparł prezydent. - Dostałem raport zaledwie godzinę temu. - Przerwał i czubkiem ołówka wskazał na dużej mapie morskiej oznaczoną na czerwono strefę. - Tu, sto osiemdziesiąt mil na południowy wschód od Anchorage w Zatoce Cooka, nieznana trucizna zabija wszystko, co żyje.

- Brzmi to tak, jakby mówił pan o plamie ropy...

- To coś o wiele gorszego - odparł Sandecker odchylając się na oparcie kanapy. - Mamy tam nieznaną substancję, która w ciągu niecałej minuty od momentu pierwszego kontaktu powoduje śmierć ludzi i wszystkiego, co egzystuje w morzu.

- Jak to możliwe?

- Przenika do organizmu za pośrednictwem dróg oddechowych albo przewodu pokarmowego - wyjaśnił Sandecker. - Zabija też na skutek absorpcji przez skórę.

- Musi być skoncentrowana na małej przestrzeni, skoro działa tak silnie.

- Jeżeli uważa pan tysiąc mil kwadratowych otwartej wody za małą przestrzeń.

Prezydent sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Nie mogę sobie wyobrazić czegoś, co posiada aż tak przerażającą siłę.

Fawcett spojrział na admirała.

- Co się tam stało?

- Patrolowiec Ochrony Wybrzeża znalazł dryfujący kuter rybacki z Kodiak z martwą załogą. Na jego pokład przetrzucono dwóch członków grupy kontrolnej i lekarza. Oni również zginęli. Pilot dostarczający zaopatrzenie zespołowi geofizyków, którzy pracowali na wyspie położonej w odległości trzydziestu mil, znalazł ich wszystkich martwych. On sam też zmarł, nadając wezwanie pomocy. Kilka godzin później japoński trawler rybacki zameldował, że widzi ławicę wielorybów szarych. Wszystkie pływały brzuchami do góry. A potem zniknął i trawler. Ławice krabów, kolonie fok - zniszczone całkowicie. To dopiero początek. Może być więcej ofiar, o których jeszcze nie wiemy.

- Jeżeli ta substancja będzie się rozprzestrzeniać w sposób nie kontrolowany, to jakiej najgorszej ewentualności możemy się spodziewać?

- Całkowitego zniszczenia wszystkiego, co żyje w zatoce Alaski. A jeżeli dostanie się do Prądu Kalifornijskiego i dojdzie na południe, zatruje każdego człowieka, zwierzę i ptaka, z którym się zetknie na Wybrzeżu Zachodnim - aż do samego Meksyku. Śmiertelne ofiary ludzkie można będzie liczyć w setkach tysięcy. Rybacy, pływacy, wszyscy, którzy znajdą się na zatrutym brzegu, każdy, kto zje zatrutą rybę... To jak reakcja łańcuchowa. Nie chcę nawet myśleć, co może się zdarzyć, jeżeli ta substancja wyparuje do atmosfery i spadnie razem z deszczem na stany położone w głębi lądu!

Fawcett pomyślał, że nie jest w stanie ogarnąć całej potworności kataklizmu.

- Chryste, co to takiego?

- Zbyt wcześnie na diagnozę - odparł Sandecker. - Agencja Ochrony Środowiska posiada skomputeryzowany system, zawierający szczegółowe dane dotyczące ponad tysiąca związków chemicznych. W

ciągu kilku sekund mogą określić skutki działania dowolnej substancji wypuszczonej do morza, jej nazwę handlową, wzór chemiczny, głównych producentów, sposób transportu i stopień zagrożenia dla środowiska. W przypadku zatrucia w rejonie Alaski żaden element nie zgadza się z danymi w ich komputerowym banku pamięci.

- Ale przecież muszą mieć chyba jakąś koncepcję?

- Nie, proszę pana. Nie mają. Jest tylko jedna mała możliwość...

Ale bez protokołu sekcji zwłok jest to tylko przypuszczenie.

- Chciałbym się jednak z nią zapoznać - stwierdził prezydent.

Sandecker nabrał głęboko powietrza w płuca.

- Trzema najbardziej trującymi substancjami, jakie znamy, są pluton, dioxin i pewien rodzaj broni chemicznej. Pierwsze dwa nie pasują. Głównym podejrzanym jest - przynajmniej według mnie - ta trzecia substancja.

Prezydent spojrzał na Sandeckera. Na jego twarzy pojawiły się zaskoczenie i nagłe olśnienie.

- Substancja „N”? - zapytał.

Sandecker powoli skinął głową.

- To dlatego służby Ochrony Środowiska nie mogły tego ugryźć - zastanawiał się głośno prezydent. - Jej wzór jest ściśle tajny.

Fawcett odwrócił się w stronę prezydenta.

- Obawiam się, że nie rozumiem...

- Substancja „N” to koszmarny preparat wynaleziony przez naukowców w Ośrodku Broni Chemicznych Rocky Mountain jakieś dwadzieścia lat temu - wyjaśnił prezydent. - Czytałem raport z doświadczeń. Zabija w ciągu kilku sekund od momentu zetknięcia ze skórą. Preparat wydawał się idealną bronią do zwalczania przeciwnika - nawet chronionego maskami przeciwgazowymi i kombinezonami przeciwchemicznymi. Ale jego właściwości były zbyt niestabilne i stanowił jednakowe zagrożenie dla obu stron. Tej, która by się nim posłużyła, i tej, która miałaby być obiektem ataku. Armia zrezygnowała więc z substancji „N” i zakopała ją na pustyni Newada.

- Nie widzę związku między Newadą a Alaską - stwierdził Fawcett.

- W czasie transportu koleją z arsenału w okolicach Denver zniknął wagon zawierający prawie tysiąc galonów substancji „N” - wyjaśnił mu Sandecker. - Nie odnaleziono go do tej pory.

- Jeżeli rzeczywiście jest to wyciek tego preparatu, to jak można będzie go zneutralizować po zlokalizowaniu?

Sandecker wzruszył ramionami.

- Niestety, obecny stan wiedzy na temat fizykochemicznych właściwości substancji „N” oraz technologii jej dezaktywacji jest prawie żaden. Gdy dostanie się do wody, niewiele da się zrobić, aby powstrzymać jej rozprzestrzenianie. Cała nadzieja, że uda się zablokować źródło, z którego się wydobywa, zanim zamieni oceany w ściek pozbawiony jakichkolwiek form życia.

- Czy są jakieś przypuszczenia, gdzie znajduje się to źródło? - spytał prezydent.

- Wszystko wskazuje na to, że jest to statek, który zatonął między wyspą Kodiak a Alaską - odparł Sandecker. - Naszym następnym krokiem powinno być sprawdzenie przebiegu prądów morskich i sporządzenie mapy poszukiwań.

Prezydent pochylił się nad stołem i przez parę chwil przyglądał się nakreślonemu na mapie czerwonemu kółku. Potem popatrzył na Sandeckera.

- Jako dyrektor NUMA, admirale, będzie pan miał paskudną robotę ze zneutralizowaniem tego świństwa. Może pan korzystać z wszelkich agend oraz instytucji rządowych, których siły i środki mogą być panu przydatne - Narodowej Rady Naukowej, sił zbrojnych, Ochrony Wybrzeża, Agencji Ochrony Środowiska, wszystkiego. - Zamyślił się na chwilę, a potem dodał: - A jaka jest właściwie dokładna siła oddziaływania substancji „N” w wodzie morskiej?

Sandecker robił wrażenie zmęczonego. Twarz miał ściągniętą.

- Jedna łyżeczka herbaciana rozpuszczona w czterech milionach galonów wody morskiej zabija każdy żyjący w tej wodzie organizm.

- Lepiej więc to znajdziemy - stwierdził prezydent. W jego głosie zabrzmiała nuta desperacji. - I to cholernie szybko!

Rozdział 3

W głębi mętnych wód niesionych przez James River, koło brzegów Newport News w stanie Wirginia, para nurków walczyła z prądem, przekopując się przez muł nagromadzony wokół butwiejącego kadłuba wraku.

W czarnej cieczy zatracalo się poczucie kierunku. Przy widoczności ograniczonej do kilku zaledwie cali obaj nurkowie trzymali z całych sił wciągającą gęsty muł dyszę pompy ssącej. Wypluwała go na barcę, która znajdowała się siedemdziesiąt stóp wyżej, na powierzchni. Pracowali, posługując się niemal językiem migowym, korzystając z mdłej poświaty podwodnych reflektorów ustawionych na krawędzi krateru wykopanego w ciągu kilku minionych dni. Dostrzegali wyraźnie jedynie zawieszzone w wodzie drobiny mułu, przesuwane się przed ich maskami jak krople deszczu unoszone wiatrem.

Z trudem mogli uwierzyć, że wyżej nad nimi jest inny świat - niebo, chmury i kołyszące się w letnim wietrze drzewa. W koszmarnym wirującym błocie i wiecznym mroku nie sposób było sobie wyobrazić, że w odległości pięciuset jardów po ulicach niewielkiego miasteczka jeżdżą samochody i spacerują ludzie.

Niektórzy twierdzą, że człowiek nie może pocić się pod wodą, ale to nieprawda. Nurkowie czuli, jak pod ich kombinezonami do nurkowania pot wydobywa się ze wszystkich porów skóry. Zaczynali już czuć zmęczenie, choć pracowali na dnie zaledwie od ośmiu minut.

Cał po calu wciskali się w otwór w prawej burcie wraku. Poszycie wokół przypominającej wejście do jaskini dziury było strzaskane i powyginane. Sprawiało to wrażenie, jakby w statek z całą siłą wyrznęła jakaś gigantyczna pięść. Wydobyli już z wraku rozmaite przedmioty - but, zawias skrzyni, mosiężny cyrkiel, narzędzia, a nawet kawałek materiału. Było to niesamowite uczucie - dotykać wykonanych ludzką ręką rzeczy, na których od stu dwudziestu siedmiu lat nie spoczęło ludzkie oko.

Jeden z mężczyzn przerwał pracę, by sprawdzić wskazania manometrów na butlach ze sprężonym powietrzem. Wyliczył, że mogą pracować jeszcze dziesięć minut, by z bezpiecznym zapasem powietrza wrócić na powierzchnię.

Zakręcili zawór węża ssącego i czekali, aż prąd odepchnie na bok chmurę podniesionego z dna mułu. Ukazał się nieco większy fragment wraku. Deski pokładu były zdruzgotane i wgniecione do wewnątrz. Zwoje lin przekształciły się w czarne, oblepione błotem węże. Wnętrze kadłuba sprawiało groźne wrażenie. Niemal czuli obecność niespokojnych duchów ludzi, którzy poszli na dno wraz ze statkiem.

Nagle usłyszeli dziwny pomruk. Nie przypominał dźwięku przyczepnego silnika niewielkiej łódki, raczej niższy w tonacji dźwięk silnika lotniczego. Nie potrafili określić, skąd dochodził. Nasłuchiwali przez kilka chwil, podczas gdy dźwięk narastał, wzmacniany gęstością wody. Dobiegał z powierzchni i w żaden sposób ich nie dotyczył, uruchomili więc pompę i zabrali się znowu do pracy.

Niecałą minutę później pompa uderzyła w coś twardego. Szybko zakręcili ponownie zawór i zaczęli odgarniać muł rękami.

Personel pomocniczy na zakotwiczonej nad wrakiem barce odniósł wrażenie, że czas się cofnął, gdy antyczna łódź latająca PBY Catalina nadleciała od zachodu, pochyliła się w głębokim wirażu, wyrównała wzdłuż rzeki i dotknęła jej powierzchni z niezgrabnym wdziękiem pijanej gęsi. Słońce rozbłysło na akwamarynowej farbie pokrywającej

aluminiowy kadłub. Kiedy ciężki samolot zbliżył się do barki, na jego kadłubie zobaczyli litery NUMA. Silniki umilkły. W bocznym włazie pojawił się drugi pilot i rzucił linę cumowniczą jednemu z mężczyzn na barce.

Potem z wnętrza samolotu wyszła kobieta i przeskoczyła lekko na pokancerowany drewniany pokład. Była w beżowej luźnej bluzie, przewiązanej nisko na biodrach wąską krawką, dopasowanych zielonych spodniach i mokasynach. Miała chyba czterdzieści pięć lat i około pięciu stóp i siedmiu cali wzrostu. Jej włosy połyskiwały jasnym złotem, a skóra opalona była na kolor miedzi. Piękna twarz o wyraźnych kościach policzkowych była twarzą kobiety niezależnej, która nie ulega żadnym wpływom.

Szła, omijając starannie płataninę lin i wyposażenia ratowniczego, aż wreszcie zatrzymała się pod obstrzałem męskich spojrzeń, w których zdziwienie szło o lepsze z nie skrywanym podziwem. Uniosła okulary przeciwsłoneczne i zaczęła lustrować piwnymi oczyma otaczające ją twarze.

- Który z panów jest Dirkiem Pittem? - zapytała bez zbędnych wstępów.

Krzepki, niższy od niej mężczyzna, dwa razy szerszy w barach niż w talii, zrobił krok do przodu i wskazał na rzekę.

- Znajdzie go pani na dole, pod wodą.

Odwróciła się i spojrzała tam, gdzie wskazywał wyciągnięty palec. Na falującej wodzie kołysała się duża pomarańczowa boja, której lina cumownicza znikła w brudnozielonej głębinie. Na powierzchni, w odległości jakichś trzydziestu stóp, pieniały się pęcherzyki powietrza.

- Kiedy wychodzi?

- Za jakieś pięć minut.

- Rozumiem - odparła. Namysłała się przez chwilę, a potem spytała:

- Czy Albert Giordino jest razem z nim?

- Właśnie pani z nim rozmawia.

Niechlujny ubiór Giordina składał się z obciętych nad kolanami dżinsów, porwanego podkoszulka oraz rozdeptanych kapci i doskonale

harmonizował z czarnymi, potarganymi wiatrem kędzierzawymi włosami i dwutygodniową brodą. Jego wygląd z całą pewnością nie wskazywał na to, że jest w NUMA zastępcą dyrektora do zadań specjalnych.

Kobieta sprawiała wrażenie bardziej rozbawionej niż zaskoczonej.

- Nazywam się Julie Mendoza i jestem z Agencji Ochrony Środowiska. Muszę z obydwojema panami omówić pewną ważną sprawę, ale sądzę, że lepiej będzie, jeżeli zaczekam, aż pan Pitt się wynurzy.

Giordino wzruszył ramionami.

- Bardzo proszę. - Potem jednak uśmiechnął się przyjaźnie i dodał: - Nie mamy tu specjalnych luksusów, ale dysponujemy zimnym piwem.

- Napiję się z przyjemnością, dziękuję.

Giordino wyciągnął ze skrzynki z lodem puszkę coors i podał jej.

- Jak to się stało, że dama z EPA lata samolotem NUMA?

- Propozycja wyszła od admirała Sandeckera. Najwyraźniej nie miała zamiaru dodać nic więcej, toteż Giordino nie nalegał.

- Co to za ekspedycja? - spytała.

- Pracujemy na „Cumberlandzie”.

- To okręt z okresu wojny domowej, prawda?

- Tak, i to o dużym znaczeniu historycznym. Fregata Unii, zatopiona w 1862 roku przez pancernik konfederatów „Merrimack” albo „Virginia”, jak nazywają go na Południu.

- O ile sobie dobrze przypominam, „Cumberland” zatonął przed walką „Merrimacka” z „Monitorem”...

- Widzę, że zna pani historię - odparł Giordino z uznaniem. - Czy NUMA ma zamiar go podnieść?

- Nie - pokręcił głową Giordino. To zbyt kosztowne. Szukamy jedynie taranu.

- Taranu...?

- To była zacięta walka - wyjaśnił Giordino. - Załoga „Cumberlanda” walczyła do chwili, aż woda podeszła pod same lufy dział, choć ich pociski odbijały się od pancerza „Merrimacka” jak tenisowe piłki od

ciężarówki. W końcu „Merrimack” staranował „Cumberland”, który poszedł na dno. Kiedy jednak „Merrimack” się cofał, jego taran w kształcie klina uwiązał w kadłubie fregaty i odłamał się. Właśnie jego szukamy.

- Jaka może być wartość takiego kawałka starego żelastwa?

- Może nie działa tak na wyobraźnię jak skarby z hiszpańskich galeonów, ale to bezcenny obiekt historyczny, kawał morskiej historii Stanów Zjednoczonych.

Mendoza miała zamiar zadać następne pytanie, lecz jej uwagę przykuły dwie okryte czarnymi gumowymi kapturami głowy wynurzające się koło barki. Płetwonurkowie podpłynęli, wspięli się po zardzewiałej drabince i zsunęli z ramion uprząż podtrzymującą ciężką aparaturę do oddychania. Ich ociekające wodą kombinezony błyszcząły w promieniach słonecznych.

Wyższy płetwonurek zsunął z głowy kaptur i przesunął dłonią po gęstej grzywie czarnych włosów. Był opalony na ciemny brąz, a jego oczy miały czysty zielony kolor. Sprawiał wrażenie człowieka, który uśmiecha się często i z łatwością, potrafi rzucić wyzwanie losowi i z taką samą obojętnością przyjmuje zwycięstwo i porażkę. Wyprostowany, miał sześć stóp i trzy cale wzrostu, a mięśnie jego szczupłego, mocnego ciała zdawały się rozsadzać kombinezon. Mendoza zorientowała się, że to właśnie Dirk Pitt. Pitt pomachał im ręką.

- Znaleźliśmy - oświadczył z szerokim uśmiechem.

Giordino klepnął go z radością w plecy.

- Wspaniała robota, stary!

Wszyscy zaczęli zasypywać nurków pytaniami. W końcu Giordino przypomniał sobie o Mendozie i przywołał ją gestem dłoni.

- To Julie Mendoza z EPA. Chce z nami pogadać.

Dirk Pitt wyciągnął rękę, obrzucając kobietę pełnym uznania spojrzeniem.

- Witam, Julie.

- Dzień dobry, panie Pitt.

- Jeżeli da mi pani chwilkę na zdjęcie kombinezonu i osuszenie się...

- Obawiam się, że nie mamy czasu - przerwała. - Porozmawiamy w czasie lotu. Admirał Sandecker uważał, że samolot będzie szybszy od śmigłowca.

- Nie rozumiem...

- Nie mam czasu na wyjaśnienia. Musimy startować natychmiast. Mogę jedynie powiedzieć, że został pan skierowany do innej sprawy.

- Skąd ten szaleńczy pośpiech? - zapytał.

- Nie tu i nie teraz - odparła, zerkając na zgromadzoną wokół nich załogę.

- Co o tym myślisz, Al? - zwrócił się do Giordina.

Giordino wspaniale udał zupełnie zdezorientowanego.

- Bo ja wiem? Ta dama robi wrażenie bardzo stanowczej. Ale ja już zadomowiłem się tutaj, na tej barce. Nie chciałbym się stąd wynosić.

Na policzkach Mendozy pojawił się rumieniec gniewu. Uświadomiła sobie, że obaj mężczyźni bawią się jej kosztem.

- Panowie, każda minuta się liczy.

- Czy mogłaby nam pani powiedzieć, dokąd lecimy?

- Baza Sił Powietrznych w Langley. Tam czeka wojskowy odrzutowiec, który zawiezie nas na Kodiak na Alasce.

Równie dobrze mogłaby im powiedzieć, że lecą na Księżyc. Pitt spojrzał jej w oczy. Dostrzegł w nich jedynie śmiertelną powagę.

- Sądzę, że lepiej będzie, jeżeli skontaktuję się z admirałem i uzyskam potwierdzenie.

- Może pan to zrobić w czasie lotu do Langley - odparła nie dopuszczającym dyskusji tonem. - Dopilnowałam też pańskich spraw osobistych. Pańskie ubrania i wszystko, czego może pan potrzebować w czasie dwutygodniowej operacji, zostało już spakowane i umieszczone w samolocie. - Przerwała i spojrzała mu prosto w oczy. - Kończmy już tę pogawędkę, panie Pitt. Tam umierają ludzie. Jeszcze pan o tym nie słyszał, ale proszę mi wierzyć na słowo. Niech pan się wreszcie skończy wygłupiać i wsiada do samolotu - i to już!

- Ależ pani umie skoczyć do gardła.

- Jeżeli jestem do tego zmuszona.

Zapadła lodowata cisza. Pitt nabrał powietrza w płuca i odetchnął głęboko. Odwrócił się do Giordina.

- Słyszałem, że Alaska jest wyjątkowo piękna o tej porze roku.

Giordino zrobił roztargnioną minę.

- Słyszałem, że na Skagway jest parę wspaniałych knajp, które warto sprawdzić.

Pitt skinął dłonią w stronę drugiego nurka, który ściągał z siebie kombinezon.

- Zostawiam wam „Cumberland”. Wyciągnijcie taran „Merrimacka” i dostarczcie do pracowni konserwatorskiej.

- Dopilnuję tego.

Pitt skinął głową, a potem wraz z Giordinem poszli do cataliny. Rozmawiali ze sobą, jakby Julie Mendoza przestała nagle istnieć.

- Mam nadzieję, że zapakowała mój sprzęt wędkarski - oznajmił głośno Giordino. - Tam powinno aż kipieć od łososi.

- Chciałbym przejechać się na karibu - odparł Pitt. - Słyszałem, że potrafia przegonić psi zaprzęg.

Mendoza szła za nimi. Przypomniała sobie słowa admirała Sandeckera: „Nie zazdrozczę pani roboty z tymi dwoma szatanami, a zwłaszcza z Pittem. Mógłby namówić białego żarłacza ludojada, żeby stał się jarozem. Niech pani uważa i dobrze zaciska kolana”.

Rozdział 4

Jamesa Sandeckera uważano w damskich kręgach waszyngtońskiego towarzystwa za pierwszorzędną partię. Był jednak zdeklarowanym kawalerem, a jego jedyną prawdziwą kochanką była praca. Sporadyczne związki z płcią odmienną rzadko trwały dłużej niż kilka tygodni. Sentymentalizm i romantyczność, uczucia tak wysoko cenione przez kobiety, były czymś, czego zupełnie nie rozumiał. W swoim poprzednim życiu musiał być pustelnikiem albo, jak niektórzy uważali - Ebenezerem Scrooge'em.

Niewysoki, muskularny, o rudych włosach i brodzie bez najmniejszego śladu siwizny, miał już prawie sześćdziesiąt lat, lecz dzięki stałym ćwiczeniom zachował smukłą sylwetkę. Jego wyniosłość i szorstkość robiły na kobietach wrażenie. Wiele z nich zarzucało przynętę, ale żadnej nie udało się go złapać na haczyk.

Bonnie Cowan, prawniczka pracująca w jednej z najbardziej prestiżowych firm adwokackich, mogła uważać się za szczęśliwą, bo zdołała umówić się z nim na obiad.

- Wyglądasz na zamyślonego, Jim - powiedziała.

Nie patrzył na nią. Jego spojrzenie błędziło po innych gościach urządzonej ze spokojną elegancją restauracji „Company Inkwell”.

- Zastanawiam się, ilu ludzi przysłoby tu na obiad, gdyby nie podawano *frutti di mare*.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i roześmiała się.

- Przyznam, że po całym dniu spędzonym wśród nudnych prawniczych umysłów przebywanie w towarzystwie kogoś takiego jak ty przypomina łyk ożywczego górskiego powietrza.

Admirał Sandecker popatrzył w płomień świecy, a potem w oczy swojej towarzyszki. Bonnie Cowan miała trzydzieści pięć lat i była bardzo przystojna. Od dawna wiedziała, że uroda stanowi dodatkowy atut przy robieniu kariery. Miała piękne jedwabiste włosy, które sięgały poniżej ramion, i drobne, lecz kształtne piersi oraz zgrabne nogi, doskonale widoczne spod krótkiej spódniczki. Była również inteligentna i zawsze doskonale radziła sobie w sądzie. Sandecker poczuł się zakłopotany swoim brakiem uwagi.

- Masz piękną sukienkę - rzekł, próbując jakoś naprawić swój nietakt.

- Sądzę, że czerwony materiał pasuje do moich blond włosów.

- Bardzo dobrze pasuje - odparł z roztargnieniem.

- Jesteś beznadziejny, Jimie Sandeckerze - stwierdziła kręcąc głową. - Powiedziałbyś tak nawet wtedy, gdybym siedziała tu nago.

- Hmmm?

- Mój drogi, mam brązową spódniczkę i kasztanowe włosy...

Potrząsnął głową, jakby próbował zrzucić z twarzy pajęczynę.

- Przepraszam, ale ostrzegałem cię, że będę dziś marnym kompanem.

- Sprawiasz wrażenie, że myślami jesteś o tysiące mil stąd.

Niemal z zawstydzeniem wyciągnął rękę nad stołem i ujął jej dłoń.

- Obiecuję, że przez pozostałą część wieczoru skupię swoją uwagę wyłącznie na tobie.

- Kobiety najłatwiej nabierają się na takich małych chłopczyków, którzy potrzebują matkowania. A ty jesteś najżałośniejszym ze wszystkich, jakich widziałam.

- Uważaj, co mówisz, kobieto. Admirałowie nie bardzo lubią, kiedy nazywa się ich żałosnymi chłopczykami.

- W porządku, Johnie Paulu Jonesie, co w takim razie powiesz o kęsie stawy dla umierającego z głodu majtka?

- Zrobię wszystko, by zapobiec buntowi na pokładzie - odparł i uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczoru.

Z lekkomyślną brawurą zamówił szampana i najdroższe delikatesy z frutti di mare, zupełnie jakby to była ostatnia szansa. Wypytywał Bonnie o sprawy, które prowadziła, i z powodzeniem usiłował ukryć brak zainteresowania plotkami o Sądzie Najwyższym i prawnych manewrach w Kongresie. Skończyli główne danie i właśnie zabierali się do gruszek duszonych w czerwonym winie, kiedy do holu wszedł mężczyzna zbudowany jak środkowy napastnik futbolowej drużyny Denver Bronco, rozejrzał się wokół i ujrawszy Sandeckera, skierował się w stronę ich stolika.

Uśmiechnął się do Bonnie.

- Przepraszam panią, że przeszkadzam.

Potem pochylił się i szeptem powiedział coś Sandeckerowi do ucha. Admirał skinął głową i spojrzał ze smutkiem na Bonnie.

- Wybacz mi, ale muszę iść.

- Sprawy wagi państwowej?

Skinął głową.

- No cóż - stwierdziła z rezygnacją. - W każdym razie miałam cię dla siebie aż do deseru.

Pochylił się i pocałował ją po bratersku w policzek.

- Spotkamy się znowu.

Potem zapłacił rachunek, poprosił kierownika sali, żeby sprowadził Bonnie taksówkę, i wyszedł z restauracji.

Samochód admirała zatrzymał się przy podziemnym przejściu prowadzącym do Centrum Sztuki Aktorskiej imienia Kennedy'ego. Drzwi otworzył mężczyzna o posępnej twarzy, ubrany w służbowy czarny garnitur.

- Proszę iść ze mną - powiedział.

- Secret Service?

- Tak jest, sir.

Sandecker nie zadawał więcej pytań i korytarzem wyłożonym chodnikiem poszedł za agentem w stronę windy. Kiedy wjechali na górę i drzwi otworzyły się, przeprowadzono go za lożami widowni amfiteatru operowego do małej salki konferencyjnej.

Daniel Fawcett, z nieruchomą, jakby wykutą w marmurze twarzą, skinął niedbale ręką na przywitanie.

- Przepraszam, że popsułem panu randkę, admirale.

- Przekazano mi, że sprawa jest pilna.

- Otrzymałem właśnie kolejny meldunek z Kodiak. Sytuacja pogorszyła się.

- Czy prezydent już wie?

- Jeszcze nie - odparł Fawcett. - Lepiej będzie poczekać do przerwy. Gdyby wyszedł nagle z łoży w czasie drugiego aktu „Rigoletta”, mogłoby to wzbudzić zbyt wiele podejrzeń.

Pracownik Centrum wszedł niosąc tacę z kawą. Sandecker nalał sobie filiżankę, a Fawcett nerwowo chodził z kąta w kąt. Admirał ze wszystkich sił starał się opanować przemożną chęć zapalenia cygara.

Prezydent zjawił się po ośmiu minutach oczekiwania. Miał na sobie czarny smoking. Z kieszeni na piersi wystawała starannie złożona chusteczka.

- Chciałbym móc powiedzieć, że cieszę się z naszego ponownego spotkania, admirale, ale za każdym razem, kiedy się widzimy, dzieje się coś niedobrego.

- Na to wygląda - odparł Sandecker.

Prezydent odwrócił się do Fawcetta.

- Jakie są te złe wieści, Dan?

- Kapitan promu samochodowego zignorował polecenia Ochrony Wybrzeża i poprowadził statek z Seward na Kodiak tym samym kursem co zawsze. Kilka godzin temu znaleziono prom na mieliźnie koło wyspy Marmot. Pasażerowie i załoga nie żyją.

- Chryste! - wykrztusił prezydent. - Ile ofiar?

- Trzysta dwanaście.

- Gdy środki przekazu poczują pismo nosem, wybuchnie piekło -

stwierdził Sandecker.

- Nie możemy nic zrobić - odparł bezradnie Fawcett. - Wiadomość o tym poszła już w serwisach prasowych.

Prezydent opadł na fotel. Na ekranie telewizora sprawiał wrażenie wysokiego, ale w rzeczywistości zaledwie o dwa cale górował nad Sandeckerem. Miał lekko siwiejące włosy przerzedzone nad czołem, a jego szczupła twarz była spięta i posępna. Społeczeństwo rzadko go takim widywało. Prezydent cieszył się ogromną popularnością, zdobytą w dużej mierze dzięki przyjaznemu sposobowi bycia i ciepłemu uśmiechowi, którym potrafił rozbroić nawet najbardziej wrogo nastawione audytorium. Prowadzone przez niego pomyślne rokowania, które miały na celu połączenie Stanów Zjednoczonych i Kanady w jeden naród, przyczyniły się do ukształtowania obrazu polityka odpornego na wszelkiego rodzaju ataki.

- Nie możemy zwlekać ani minuty - oświadczył. - Cała zatoka Alaska zostaje objęta kwarantanną, a wszyscy mieszkający w odległości dwudziestu mil od wybrzeża mają być ewakuowani.

- Muszę wyrazić sprzeciw - oznajmił spokojnie Sandecker.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego.

- Skażenie utrzymuje się na otwartych wodach. W okolicach lądu stałego nie wykryto najmniejszego śladu. Ewakuacja ludności oznacza ogromną i czasochłonną operację. Mieszkańcy Alaski to twardzi ludzie, szczególnie miejscowi rybacy. Wątpię, czy zechcą dobrowolnie opuścić swoje domy. Rozkaz rządu federalnego w najmniejszym stopniu nie wpłynie na ich decyzję.

- Banda uparciuchów.

- Tak, ale nie głupców. Wszystkie stowarzyszenia rybackie zgodziły się zatrzymać swoje jednostki w portach, a przedsiębiorstwa przetwórcze zakopują produkty pochodzące z połowów dokonanych w ciągu ostatnich dziesięciu dni.

- Będą potrzebowali pomocy finansowej.

- Tak sądzę.

- Co pan by zalecił?

- Ochrona Wybrzeża nie posiada odpowiedniej liczby jednostek pływających ani ludzi, żeby skutecznie patrolować całą zatokę. Należałoby ich wesprzeć Marynarką Wojenną.

- Widzę pewien problem - myślał na głos prezydent. - Posyłanie ludzi i okrętów do tego rejonu grozi zwiększeniem liczby ofiar.

- Niekoniecznie - odparł Sandecker. - Załoga patrolowca Ochrony Wybrzeża, która pierwsza odkryła skażenie, nie została nim dotknięta, ponieważ statek rybacki zdryfował ze strefy śmierci.

- A grupa kontrolna i lekarz? Przecież oni zginęli.

- Trująca substancja pokryła pokład i relingi, prawie wszystko, czego dotykali na zewnątrz. W przypadku promu całe śródokręcie było odsłonięte, aby pomieścić samochody. Załoga i pasażerowie nie mieli żadnego zabezpieczenia. Ale współczesne okręty wojenne konstruowane są tak, aby można je było hermetycznie zamknąć i zneutralizować skutki opadu radioaktywnego po ataku nuklearnym. Mogą patrolować zatrute obszary, ponosząc niewielkie, możliwe do zaakceptowania ryzyko.

Prezydent skinął głową.

- Dobrze. Wydam rozkaz, aby Departament Marynarki Wojennej udzielił pomocy, choć wcale nie jestem przekonany, że powinniśmy zrezygnować z ewakuacji. Alaskijczycy mogą sobie być uparci, ale my musimy myśleć o kobietach i dzieciach.

- Mam inną sugestię albo prośbę, jak pan woli, panie prezydencie. Odłożmy ewakuację o czterdzieści osiem godzin. Może w tym czasie mój zespół poszukiwawczy zlokalizuje źródło zatrucia.

Prezydent milczał przez chwilę. Przyglądał się Sandeckerowi z coraz większym zainteresowaniem.

- Kto się tym zajmuje?

- Koordynatorem miejscowych działań i przewodniczącym Regionalnego Zespołu Alarmowego jest doktor Julie Mendoza, starszy biochemik Agencji Ochrony Środowiska. Uważa się ją za najlepszą specjalistkę w zakresie oceny i lokalizowania niebezpiecznych skażeń środowiska wodnego - odparł Sandecker. - A podwodne poszukiwania

wraku, który jak sądzimy zawiera substancję „N”, przeprowadzi mój dyrektor do zadań specjalnych, Dirk Pitt.

Oczy prezydenta rozszerzyły się.

- Znam pana Pitta. Był niezwykle pomocny w czasie tej kanadyjskiej sprawy sprzed paru miesięcy.

Ocalił ci wtedy tyłek, pomyślał Sandecker. A po chwili dodał:

- Zapewniliśmy sobie również współpracę dwustu innych specjalistów od zanieczyszczeń środowiska. Każdy ekspert działający w przemyśle został podłączony do naszego zespołu, aby zapewnić dopływ informacji i danych technicznych niezbędnych do pomyślnego przeprowadzenia dezaktywacji.

Prezydent spojrzał na zegarek.

- Musimy kończyć - powiedział. - Beze mnie nie zaczną trzeciego aktu. Ma pan czterdzieści osiem godzin, admirale. A potem zarządzę ewakuację i ogłoszę całą strefę rejonem klęski żywiołowej.

Fawcett towarzyszył prezydentowi do łoży. Usiadł nieco z tyłu, lecz wystarczająco blisko, by móc rozmawiać po cichu.

- Czy chce pan odwołać przejażdżkę z Moranem i Larimerem?

Prezydent prawie niezauważalnie pokręcił głową.

- Nie. Mój pakiet propozycji pomocy ekonomicznej dla krajów bloku wschodniego ma absolutne pierwszeństwo.

- Stanowczo panu odradzam. Prowadzi pan beznadziejną walkę w przegranej sprawie.

- Mówił mi to pan w ciągu minionego tygodnia przynajmniej pięć razy. - Prezydent podniósł program na wysokość oczu, by ukryć ziewnięcie. - Jaki jest rozkład głosów?

- Konserwatywna opozycja zaczyna zdobywać coraz większe poparcie. Będziemy potrzebowali piętnastu głosów w Izbie i pięciu, może sześciu, żeby przepchnąć sprawę w Senacie.

- Mieliśmy już do czynienia z gorszym układem.

- Tak - mruknął ze smutkiem Fawcett. - Ale jeżeli tym razem

zostaniemy pokonani, nie mamy co liczyć na drugą kadencję.

Rozdział 5

Już świtało, kiedy na horyzoncie zaczął rysować się ciemny pasek. Widoczna z okien śmigłowca czarna plama przybierała stopniowo kształt symetrycznego stożka, który wkrótce stał się otoczonym morzem górskim szczytem. Wyglądał zza niego księżyc w trzeciej kwadrze. W miarę jak słońce wstawało nad horyzontem, światło księżyca zaczęło zmieniać kolor z białego na indygo, a potem na pomarańczowy. Można już było dostrzec zbocza pokryte śniegiem.

Pitt zerknął na Giordina. Al spał. Był to stan, w który wchodził zawsze bez najmniejszego trudu. Spał od chwili startu z Anchorage. Pięć minut po tym, jak przesiedli się do śmigłowca, ponownie się wyłączył.

Pitt odwrócił się w stronę Mendozy. Siedziała tuż za pilotem i wyraz jej twarzy przypominał minkę dziewczynki z zapartym tchem oczekującej na rozpoczęcie parady. Nie odrywała spojrzenia od szczytu. Światło poranka sprawiło, że jej rysy jakby złagodniały. Nie była już tak zasadnicza, a linia ust nieoczekiwanie stała się delikatna i pełna czułości.

- Wulkan Augustine - powiedziała, nie zdając sobie sprawy, że Pitt patrzy na nią, a nie na widok za oknem. - Nazwany tak przez kapitana Cooka w 1778. Na pierwszy rzut oka trudno w to uwierzyć, ale Augustine jest najbardziej aktywnym wulkanem na Alasce. W tym stuleciu wybuchał aż sześć razy.

Pitt niechętnie odwrócił głowę i spojrzał w dół. Wyspa sprawiała wrażenie całkowicie bezludnej. Długie, wijące się języki zastygłej lawy spływały po zboczach wulkanu, sięgając do samego morza. Niedaleko szczytu widniała niewielka chmurka.

- Bardzo malownicze - stwierdził ziewając. - Można by tu urządzać ośrodek narciarski.

- Nie radziłabym próbować. - Roześmiała się. - Ta chmura koło wierzchołka to para. Augustine wciąż coś kombinuje. Ostatni wybuch, w 1987, zakasował erupcję Mount Helen. Opad popiołu i drobin pumeksu zarejestrowano nawet w Atenach.

- A w jakim stadium jest obecnie? - spytał Pitt.

- Ostatnie dane wskazują na wzrost temperatury w okolicach szczytu, co może zapowiadać kolejną erupcję.

- Oczywiście nie można określić, kiedy nastąpi?

- Oczywiście. - Wzruszyła ramionami. - Działania wulkanów nie dadzą się przewidzieć. Czasami wybuch następuje bez najmniejszego ostrzeżenia. Czasami przez wiele miesięcy wulkan zbiera siły do finału, który nigdy nie następuje. Parsknie parę razy lawą, pomruczy trochę i znowu usypia. Geolodzy, o których panu wspominałam, ci, którzy zginęli na skutek porażenia substancją „N”, badali na wyspie objawy wzrastającej aktywności Augustine.

- Gdzie będziemy lądować?

- Jakies dziesięć mil od brzegu - odparła. - Na patrolowcu Ochrony Wybrzeża „Catawba”.

- „Catawba”... - powtórzył.

- Tak. Zna pan ten okręt?

- Parę lat temu sam sadzałem śmigłowiec na jego lądowisku.

- Gdzie to było?

- Na północnym Atlantyku, koło Islandii. - Zapatrzył się w przestrzeń. Westchnął i rozmasował sobie skronie. - Razem z moim przyjacielem poszukiwaliśmy statku uwięzionego w lodowcu.

- I znaleźliście go?

- Owszem. - Skinął głową. - Wypalony wrak. Wyprzedziliśmy

Rosjan o włos. Potem rozbiliśmy się przy brzegu Islandii. Przyjaciel zginął.

Widziała, jak ozywają w nim te wspomnienia. Na jego twarzy pojawił się wyraz pełnego zamyślenia smutku. Zmieniła temat.

- Po wylądowaniu będziemy musieli się pożegnać - na jakiś czas oczywiście.

Uwolnił się od przeszłości i spojrzał na nią.

- Opuszcza nas pani?

- Pan i Al pozostaniecie na „Catawbie”, aby zlokalizować źródło skażenia. Ja natomiast polecę na wyspę, gdzie grupa połowa przygotowała punkt gromadzenia danych.

- I moja praca będzie polegała między innymi na przesyłaniu próbek wody ze statku do pani laboratorium?

- Tak. Kiedy ustalimy poziom skażenia w próbkach, będziemy mogli ukierunkować dalsze poszukiwania.

- Przypomina to wędrówkę śladem usypanym z okruszków chleba.

- Można i tak powiedzieć.

- A kiedy już znajdziemy to miejsce, co dalej?

- Kiedy tylko pańska grupa ratownicza wydobędzie beczki zawierające substancję „N”, wojsko zneutralizuje ją, wpuszczając do głębokiego odwiertu na wyspie położonej tuż przy kręgu polarnym.

- Jaką głębokość ma odwiert?

- Cztery tysiące stóp.

- Wszystko to brzmi bardzo ładnie...

Jej wzrok znowu zaczął być skupiony i rzeczowy.

- Po prostu jest to najskuteczniejsza dostępna metoda.

- Jest pani optymistką.

Popatrzyła na niego pytająco.

- Co pan ma na myśli?

- Wydobyć tych pojemników może potrwać parę miesięcy.

- Nie dysponujemy nawet paroma tygodniami - odparła gwałtownie.

- Teraz już wkracza pani na moje terytorium - oznajmił niemal

mentorskim tonem Pitt. - Nurkowie nie mogą pracować w wodzie, która zabija. Jedynym w miarę sensownym rozwiązaniem jest użycie pojazdów podwodnych - a to cholernie powolna i żmudna operacja. Poza tym pojazdy podwodne wymagają doskonale wyszkolonych załóg i statków-baz o specjalnej konstrukcji.

- Już panu wyjaśniłam - stwierdziła ze zniecierpliwieniem - że pełnomocnictwa prezydenta pozwalają nam żądać dowolnego wyposażenia.

- To akurat najprostsza sprawa - odparł Pitt. - Ale nawet jeżeli na podstawie analiz próbek wody będzie nam pani podpowiadać kierunek eksploracji, i tak poszukiwanie wraku będzie przypominało próbę znalezienia monety na boisku futbolowym - po ciemku i przy świecy. A potem, kiedy będziemy mieli szczęście i znajdziemy statek, może się okazać, że kadłub rozpadł się i ładunek został rozrzucony, albo że beczki skorodowały do tego stopnia, że nie można ich poruszyć. Zawsze może zdarzyć się coś nieprzewidzianego. Żadne podmorskie prace wydobywcze nie są proste i łatwe.

Na policzkach Mendozy pojawił się rumieniec.

- Chciałabym zwrócić uwagę...

- Niech się pani nie trudzi - przerwał jej Pitt. - Nie dam się nabrać na żadne hurapatriotyczne gadanie. Już to wszystko słyszałem. I niech sobie pani oszczędzi sloganów w stylu: „na szali spoczywa życie bardzo wielu ludzi”. Jestem tego świadomy i nie trzeba mi o tym przypominać co pięć minut.

Spojrzała na niego poirytowana. Zdawała sobie sprawę, że w jakiś sposób poddaje ją próbie.

- Czy widział pan kogoś, kto wszedł w kontakt z substancją „N”?

- Nie.

- To niezbyt przyjemny widok. Następują rozległe pęknięcia błon śluzowych i ofiary dosłownie toną we własnej krwi, która tryska z każdego otworu ciała. A potem zwłoki czernieją.

- Pani opis jest bardzo plastyczny.

- Dla pana to tylko zabawa - odparła ostro. - Ale dla mnie nie.

Nie odezwał się, skinął tylko w dół dłonią, wskazując „Catawbę”, widoczną przez przednią szybę.

- Schodzimy do lądowania.

Bandera trzepocząca na linie pod rejką masztu wskazywała, że okręt ustawił się dziobem pod wiatr. Pilot skierował śmigłowiec nad rufę okrętu, zawisł na chwilę nad nią i powoli opadł na lądowisko. Łopaty wirnika nie skończyły się jeszcze obracać, gdy do maszyny zbliżyło się dwóch mężczyzn ubranych w coś, co przypominało kombinezony kosmonautów. Rozwinęli plastikową rurę o średnicy pięciu stóp, przypominającą gigantyczną pępowinę, umocowali ją wokół drzwiczek śmigłowca i zastukali trzy razy. Pitt odsunął zabezpieczenia i otworzył drzwiczki do środka. Mężczyźni podali mu kaptury z wmontowanymi okularami i rękawice.

- Lepiej to włożcie - poradził stłumiony głos.

Pitt obudził Giordina, trącając go w ramię, i podał mu kaptur oraz rękawice.

- Co to takiego, u diabła? - mruknął na wpół rozbudzony Al.

- Powitalne dary wydziału sanitarno-epidemiologicznego.

W plastikowym tunelu pojawili się dwaj następni członkowie załogi i wzięli ich bagaże. Giordino, wciąż jeszcze niezbyt przytomny, potykając się wyszedł ze śmigłowca. Pitt zawahał się i spojrzał Mendozie w oczy.

Jaką dostanę nagrodę, jeżeli odnajdę tę pani truciznę w ciągu czterdziestu ośmiu godzin?

- A co pan by chciał?

- Czy jest pani rzeczywiście tak twarda, jak pani udaje?

- Twardsza, panie Pitt, o wiele twardsza.

- No to sama pani zdecyduje.

Uśmiechnął się łobuzersko i zniknął.

Rozdział 6

Samochody, które miały tworzyć kolumnę prezydencką, stały w szeregu koło Portalu Południowego Białego Domu. Gdy tylko grupa Secret Service znalazła się na wyznaczonych pozycjach, Oskar Lucas rzekł do małego mikrofonu, którego przewód owinięty był wokół zegarka na jego przegubie i biegł dalej rękawem marynarki:

- Powiedz szefowi, że wszystko gotowe.

Trzy minuty później prezydent w towarzystwie Fawcetta zszedł energicznym krokiem po stopniach i wsiadł do limuzyny. Lucas przyłączył się do nich i samochody ruszyły w kierunku południowo-zachodniej bramy.

Prezydent siedział rozluźniony na tylnym siedzeniu, spoglądając przez okno na mijane budynki. Fawcett trzymał na kolanach otwartą dyplomatkę i robił notatki w leżącym na wierzchu pliku papierów. Po kilku minutach ciszy westchnął, zatrzasnął dyplomatkę i postawił ją na podłodze.

- To jest właśnie to. Argumenty obu stron, dane statystyczne, opracowania CIA i ostatnie raporty pańskiej rady ekonomicznej na temat długów bloku komunistycznego. Wszystko, czego może pan potrzebować, aby przekonać Larimera i Morana do swojej koncepcji.

- Amerykańska opinia publiczna nie ma zbyt dobrego mniemania o moim planie, prawda? - spytał spokojnie prezydent.

- Jeżeli mam być zupełnie szczery, to nie, sir - odparł Fawcett. -

Powszechnie panuje pogląd, że powinniśmy pozwolić czerwonym, aby sami rozwiązywali swoje problemy. Większość Amerykanów cieszy się, że Sowieci i ich satelici stoją w obliczu głodu i ruiny finansowej. Uważają to za przekonujący dowód, iż cały system marksistowski jest żalnym dowcipem.

- Ale nie będzie dowcipem, jeżeli przyparci do muru przywódcy Kremla ruszą na Europę.

- Opozycja w Kongresie uważa, że nie ma takiego ryzyka, ponieważ rzeczywiste niebezpieczeństwo głodu uniemożliwi Sowiecom utrzymanie ich maszyny wojennej. Są również i tacy, którzy są zdania, iż rozkład morale społeczeństwa rosyjskiego zainicjuje powstanie aktywnej opozycji, która wystąpi przeciwko rządzącej partii.

Prezydent pokręcił głową.

- Kreml podchodzi do sprawy rozbudowy potencjału militarnego z absolutnym fanatyzmem. Nigdy nie osłabią działań w tym kierunku - bez względu na problemy gospodarcze. A naród nigdy nie powstanie ani nie zacznie organizować masowych demonstracji. Partyjna obroza jest zbyt mocno zaciągnięta.

- Ale całe sedno w tym - oświadczył Fawcett - że Larimer i Moran są zdecydowanie przeciwni jakiegokolwiek pomocy dla Moskwy.

Prezydent skrzywił się z obrzydzeniem.

- Larimer to pijak, a Moran śmierdzi korupcją.

- Mimo to nic nie zmieni faktu, że musi pan zdobyć ich poparcie dla swojego planu.

- Nie mogę zignorować ich opinii - przytaknął prezydent. - Ale jestem pewien, że jeśli Stany Zjednoczone ocalą narody bloku wschodniego od całkowitego chaosu, wtedy odwrócą się one od Związku Radzieckiego i przyłączą do państw zachodnich.

- Wielu uważa, że jest to jedynie pobożne życzenie, panie prezydencie.

- Francuzi i Niemcy podzielają moje zdanie.

- Oczywiście, nic dziwnego. Grają do obu bramek. Mają zapewnione bezpieczeństwo dzięki naszym siłom w NATO, a jednocześnie rozwijają

gospodarcze kontakty ze Wschodem.

- Zapomina pan, że wielu zwykłych amerykańskich wyborców również popiera mój plan pomocy - stwierdził prezydent wysuwając wojowniczo podbródek. - Nawet oni dostrzegają w nim szansę zmniejszenia niebezpieczeństwa nuklearnej zagłady i zerwania raz na zawsze żelaznej kurtyny.

Fawcett wiedział, że gdy prezydenta ogarnia zapał krzyżowca i głębokie przekonanie o własnej słuszności, nic nie jest w stanie zmusić go do zmiany zdania. Dążenie do pokonania przeciwnika dobrocią było niewątpliwą cnotą, prawdziwie cywilizowaną taktyką, która może mogłaby wstrząsnąć sumieniami rozsądnie myślących ludzi, ale Fawcett był pesymistą. Zagłębił się w swoich myślach i milczał do momentu, gdy limuzyna skręciła z M Street na teren stoczni Marynarki Wojennej w Waszyngtonie i zatrzymała się przy jednym z długich basenów portowych.

Ciemnoskóry mężczyzna o kamiennej twarzy Indianina podszedł do wysiadającego z samochodu Lucasa.

- Dobry wieczór, George.

- Cześć, Oskarze. Jak ci leci w golfa?

- Marnie - odparł Lucas. - Nie grałem od prawie dwóch tygodni.

Mówiąc te słowa, Lucas spojrział w przenikliwe, ciemne oczy inspektora George'a Blackowla, kontrolera miejsc, w których miał przebywać prezydent. Blackowl był mniej więcej wzrostu Lucasa, miał pięć lat mniej i jakieś dziesięć funtów nadwagi. Stale żuł gumę i jego szczęki poruszały się bez przerwy. Był półkrwi Siuksem i ciągle żartowano sobie przy nim na temat roli, jaką jego przodkowie odegrali w rozgromieniu Custer'a pod Little Big Horn.

- Można bezpiecznie wejść na pokład? - spytał Lucas.

- Tak. Sprawdzono, czy na jachcie nie ma materiałów wybuchowych i urządzeń podsłuchowych. Jakies dziesięć minut temu pletwonurkowie skończyli kontrolę kadłuba, a motorówka eskortująca jest obsadzona i gotowa do wyruszenia.

Lucas skinął głową.

- Kiedy dotrzecie do Mount Vernon, kuter Ochrony Wybrzeża będzie w pogotowiu.

- W takim razie sądzę, że jesteśmy gotowi na przyjęcie szefa.

Lucas przez niemal całą minutę lustrował wzrokiem otoczenie basenu portowego. Nie spostrzegł nic podejrzanego, otworzył więc drzwi prezydenckiego samochodu. Potem agenci ochrony otoczyli prezydenta kordonem w kształcie rombu. Blackowl poprzedał mężczyznę, który szedł w szpicie formacji, bezpośrednio przed prezydentem. Lucas, ponieważ był mańkutem i musiał mieć swobodę ruchów, gdyby trzeba było sięgnąć po broń, znajdował się na lewej flance i nieco z tyłu. Fawcett, żeby nie przeszkadzać ochronie, trzymał się parę jardów dalej.

Przy schodni prowadzącej na jacht Lucas i Blackowl odsunęli się na bok, aby przepuścić pozostałych.

- Dobra, George, teraz należą do ciebie.

- Szczęściarz - odparł z zazdrosnym uśmiechem Blackowl. - Masz wolny weekend.

- Po raz pierwszy w tym miesiącu.

- Pojedziesz bezpośrednio do domu?

- Jeszcze nie. Najpierw muszę wskoczyć do firmy i zrobić porządek na biurku. Było parę potknięć w czasie ostatniej podróży szefa do Los Angeles. Muszę jeszcze raz przyjrzeć się planowaniu zabezpieczeń.

Odwrócili się jednocześnie, gdy na nabrzeże wjechała kolejna rządowa limuzyna. Wysiadł z niej senator Marcus Larimer i ruszył w stronę prezydenckiego jachtu. Tuż za nim szedł jego sekretarz z podróżną torbą w ręku.

Senator ubrany był w brązowy trzyczęściowy garnitur. Któryś z jego kolegów-parlamentarzystów wyraził kiedyś przypuszczenie, że pewnie urodził się już w takim stroju. Miał krótko ostrzyżone jasnobłond włosy. Potężnie zbudowany i o gburowatym wyglądzie, sprawiał wrażenie pomocnika murarskiego, który próbuje się wedrzeć na bankiet wydany ku czci jakiejś znakomitości.

Skinął głową Blackowlowi i rzucił Lucasowi zwyczajowe

pozdrowienie:

- Miło mi cię widzieć, Oskarze.

- Dobrze pan wygląda, senatorze - odwzajemnił się Lucas.

- Nie dolega mi nic, czego nie uleczyłaby butelka szkockiej whisky - odparł Larimer śmiejąc się donośnie. Potem wszedł energicznym krokiem po trapie i zniknął w głównym salonie jachtu.

- Baw się dobrze - ironicznym tonem powiedział Lucas do Blackowla. - Nie zazdrozczę ci tego rejsu.

Kilka minut później Lucas, wyjeżdżając z bramy stoczni na M Street, minął się z chevroletem, którym w przeciwnym kierunku jechał kongresman Alan Moran. Lucas nie lubił przewodniczącego Izby Reprezentantów. Moran był człowiekiem, który swój sukces życiowy zawdzięczał nie tyle inteligencji czy wiedzy, ile umiejętności poruszania się we wpływowych kołach Kongresu. Wyświadczał różne przysługi, a potem to wykorzystywał. Kiedy oskarżono go o udział w aferze z przydzielaniem koncesji na rządowe tereny roponośne, wykreślił się ze skandalu przy pomocy swych politycznych dłużników.

Jadąc samochodem Moran nigdy nie spoglądał na prawo ani lewo. Lucas pomyślał, że w głębi duszy pewnie zastanawia się, jak zaskarbić sobie łaski prezydenta.

Niecałą godzinę później, gdy załoga prezydenckiego jachtu szykowała się do odpłynięcia, na pokład wszedł wiceprezydent Margolin z zarzuconą na ramię torbą z garderobą. Zawahał się na moment, a potem dostrzegł prezydenta siedzącego samotnie w fotelu na pokładzie rufowym i patrzącego na słońce zachodzące nad miastem. Pojawił się steward i odebrał od Margolina torbę.

Prezydent podniósł wzrok i patrzył przez chwilę, jakby go nie poznawał.

- Vince...?

- Przepraszam, że się spóźniłem - rzekł Margolin. - Ale jeden z moich sekretarzy położył twoje zaproszenie nie tam, gdzie trzeba, i znalazłem je dopiero godzinę temu.

- Nie byłem pewien, czy ci się uda - mruknął niezbyt zrozumiale

prezydent.

- Doskonale to zsynchronizowałeś. Beth pojechała z wizytą do naszego syna do Stanford i nie wróci przed wtorkiem, a ja nie mam w planach niczego takiego, co nie dałoby się przesunąć na późniejszy termin.

Prezydent wstał, zmuszając się do przyjaznego uśmiechu.

- Na pokładzie jest również senator Larimer i kongresman Moran. Siedzą w jadalni. - Skinął głową w tamtym kierunku. - Może przywitasz się z nimi i weźmiesz sobie drinka.

- Bardzo mi się przyda szklaneczka.

Idąc do jadalni, Margolin zderzył się w drzwiach z Fewcettem i zamienił z nim kilka słów.

Prezydent i Margolin bardzo różnili się w stylu bycia i wyglądzie. Ale w jeszcze większym stopniu różnili się swymi koncepcjami politycznymi.

Prezydent zdobył sobie popularność głównie dzięki pełnym natchnienia przemówieniom. Był idealistą i wizjonerem, wciąż pochłoniętym tworzeniem programów, które miały przynieść światu korzyści za dziesięć lub pięćdziesiąt lat. Niestety najczęściej były to programy całkowicie rozmiągające się z realiami polityki wewnętrznej.

Natomiast Margolin nie udzielał się środkom masowej informacji i poświęcał całą swą energię sprawom wewnętrznym. Stanowisko, jakie zajął w prezydenckiej komisji do spraw pomocy krajom bloku wschodniego, było jednoznaczne: uważał, że lepiej wydać te pieniądze w kraju.

Był urodzonym politykiem. Osiągnął swą pozycję trudną drogą - od najniższych stanowisk w legislaturze stanowej. Potem został gubernatorem i działał w Senacie. Kiedy umocnił się wreszcie w swym biurze w Russel Building, zebrał wokół siebie sztab energicznych doradców, którzy posiadali dar obmyślenia strategicznych kompromisów i nie obawiali się nowatorskich koncepcji politycznych. Prezydent wysuwał propozycje ustaw, a Margolin pilotował je przez labirynt komisji różnego rodzaju. Ludzie z Białego Domu często

sprawiali przy nim wrażenie niezgrabnych amatorów. Była to sytuacja, która niezbyt odpowiadała prezydentowi i nierzadko stanowiła przyczynę poważnych konfliktów.

Margolin mógł być wybrańcem narodu, ale nie był wybrańcem partii rządzącej. Jego uczciwość i perfekcjonizm obróciły się przeciwko niemu. Zbyt często odmawiał współpracy, jeżeli widział lepszy sposób rozwiązania danej kwestii. Był niezależnie myślącym człowiekiem, który kierował się wyłącznie swoim sumieniem.

Prezydent spojrział na Margolina znikającego w głównym salonie, czując, jak wzbiera w nim irytacja.

- Co tu robi Vince? - spytał go podenerwowany Fawcett.

- Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem - warknął prezydent. - Powiedział, że został zaproszony.

Fawcett miał zaaferowaną minę.

- Chryste, któryś z urzędników musiał wszystko pokręcić.

- Już za późno. Nie mogę mu przecież powiedzieć, że nie jest tu mile widziany i ma się wynosić.

Fawcett wciąż robił wrażenie zdezorientowanego.

- Nie rozumiem...

- Ja też. Ale mamy go na karku.

- Może zawalić sprawę.

- Nie przypuszczam. Bez względu na naszą opinię o Vince'u, nigdy nie powiedział nic, co mogłoby mi zaszkodzić. Niezbyt wielu prezydentów mogłoby to powiedzieć o swoich wice.

Fawcett starał się zapanować nad sytuacją.

- Nie mamy wystarczającej liczby kabin do spania. Oddam moją i zejdem na brzeg.

- Będę ci wdzięczny, Dan.

- Mogę pozostać na jachcie do wieczora, a potem przenocuję w pobliskim motelu.

- Może byłoby najlepiej - powiedział wolno prezydent - gdybyś jednak został w Waszyngtonie. Skoro zjawił się tu Vince, nie chciałbym, żeby nasi goście pomyśleli, iż wywieramy na nich presję.

- Zostawię dokumenty z argumentami popierającymi pańskie stanowisko u pana w kabinie, panie prezydencie.

- Dziękuję. Zapoznam się z nimi przed obiadem. A przy okazji, czy są jakieś informacje o sytuacji na Alasce?

- Tylko ta, że poszukiwania substancji „N” trwają.

W spojrzeniu prezydenta pojawił się niepokój. Skinął głową i uściśnął Fawcettowi dłoń.

- Zobaczmy się jutro.

Parę minut później Fawcett stał na nabrzeżu wśród poirytowanych funkcjonariuszy Secret Service z ochrony wiceprezydenta. I kiedy patrzył, jak leciwy biały jacht wypływa na rzekę Anacostia, a potem skręca na południe, w stronę Potomacu, poczuł nagły niepokój.

Przecież nie było żadnych pisemnych zaproszeń!

To wszystko nie miało sensu.

Lucas wkładał właśnie płaszcz, szykując się do wyjścia z biura, kiedy zabrzączał telefon łączący go z punktem dowodzenia. Tu Lucas, słucham.

- Tu „Łódź Miłości” odparł George Blackowl, podając kodową nazwę obecnej podróży prezydenta.

Telefon był zupełnie nieoczekiwany i Lucas, jak ojciec, którego córka poszła na randkę, natychmiast zaczął spodziewać się czegoś najgorszego.

- Słucham - powtórzył pełen niepokoju.

- Mamy problem. Ale sytuacja nie jest alarmowa, powtarzam, nie jest alarmowa. Zdarzyło się jednak coś, czego nie było w planie podróży.

Lucas odetchnął z ulgą.

- Mów, o co chodzi.

- Na jachcie jest Szekspir - odparł Blackowl, podając kryptonim wiceprezydenta.

- Co takiego?! - zawołał Lucas.

- Pojawił się jak spod ziemi i wszedł na pokład na chwilę przed odpłynięciem. Dan Fawcett oddał mu swoją kabinę i opuścił jacht. Kiedy zapytałem prezydenta o tę dokonaną w ostatniej chwili zmianę pasażerów, powiedział, że bym machnął na to ręką. Ale coś mi tu śmierdzi.

- Gdzie jest Rhinemann?

- Razem ze mną na jachcie.

- Daj mi go.

Przez chwilę panowała cisza, a potem odezwał się Hank Rhinemann, szef zespołu ochrony wiceprezydenta:

- Oskar? Mamy nie zaplanowany przejazd.

- Wiem. Jak to się stało?

- Wybiegł ze swojego biura i powiedział, że ma pilne spotkanie z prezydentem na jachcie. Nie poinformował mnie, że przewiduje także nocleg.

- Ukrył to przed tobą?

- Szekspir zawsze trzyma gębę na kłódkę. Powinienem się tego domyślić, kiedy zobaczyłem torbę z ubraniami. Cholernie mi przykro, Oskarze.

Lucas poczuł, że ogarnia go rozpacz. O Boże, pomyślał, przywódcy światowego supermocarstwa, a w sprawach swego własnego bezpieczeństwa zachowują się jak dzieci.

- Stało się - odparł ostro. - Musimy sobie z tym poradzić najlepiej, jak potrafimy. Gdzie jest twoja grupa?

- Została na nabrzeżu - odparł Rhinemann.

- Przerzuć ich do Mount Vernon i niech wzmocnią zespół Blackowla. Chcę, żeby jacht był otoczony tak, by nawet mysz się nie prześliznęła.

- Zrobimy, jak każeś.

- Jeżeli będzie choć cień kłopotów, wezwijcie mnie. Zostaję na noc w punkcie dowodzenia.

- Podejrzewasz coś? - spytał Rhinemann.

- Nic konkretnego - powiedział Lucas. Jego głos brzmiał tak głucho, jakby dobiegał gdzieś z oddali. - Ale to, że prezydent i trzy osoby, które

zgodnie z konstytucją mogą go zastępować, jednocześnie znajdują się w tym samym miejscu, sprawia, że boję się jak wszyscy diabli.

Rozdział 7

- Zawróciliśmy pod prąd. - Głos Pitta patrzącego na obraz dna morskiego pojawiający się na ekranie kolorowego monitora skanującego sonaru był spokojny, niemal obojętny. - Zwiększyć prędkość o dwa węzły.

W swych spranych lewisach, irlandzkim golfie, brązowych tenisówkach i baseballowej czapce z napisem NUMA sprawiał wrażenie rozluźnionego i opanowanego. Podkreślała to również jego znudzona, obojętna mina.

Koło sterowe poruszyło się lekko pod rękami sternika i „Catawba” leniwie odrzuciła na bok trzystopową falę. Pływali tam i z powrotem niczym kosiarka do trawy. Przetwornik bocznego sonaru skanującego, ciągnięty za rufą jak puszka przywiązana do psiego ogona, badał głębiny wysyłając impuls, który po przekształceniu trafiał na ekran monitora jako szczegółowy obraz dna morskiego.

Rozpoczęli poszukiwania substancji „N” w południowym końcu Cieśniny Cooka i zorientowali się, że jego zawartość w próbkach rośnie, w miarę jak posuwają się na zachód, w stronę Kamishak Bay. Próbkę wody były pobierane co pół godziny, a następnie przewożono je śmigłowcem do polowego laboratorium chemicznego na Augustine Island. Amos Dover porównał ich działania do dziecięcej zabawy w „ciepło-zimno”.

Wraz z upływem dnia napięcie nerwowe na pokładzie „Catawby”

stawało się nie do zniesienia. Załoga nie mogła wyjść na zewnątrz, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Jedynie chemikom z EPA, ubranym w hermetyczne kombinezony, pozwalano na opuszczanie pomieszczeń.

- Nie ma nic? - spytał Dover, zerkając zza ramienia Pitta na ekran o wysokiej rozdzielczości.

- Nic, co byłoby dziełem rąk ludzkich - odparł Pitt. - Dno jest nierówne, poszarpane. To głównie zastygła lawa.

- Bardzo dobry, wyraźny obraz.

- Tak - skinął głową Pitt. - Szczegóły są dość ostre.

- Co to za ciemna smuga?

- Ławica ryb. Może stado fok.

Dover odwrócił się i spojrzał przez okna mostku na stożek wulkanu górujący nad oddaloną zaledwie o kilka mil Augustine Island.

- Lepiej by było, gdyby szybko zlokalizował pan źródło skażenia. Podchodzimy już do brzegu.

Z głośnika na mostku rozległ się głos Mendozy:

- Laboratorium do okrętu.

Dover podniósł mikrotelefon.

- Słuchamy, laboratorium.

- Sterujcie kursem zero-siedem-zero. Wygląda na to, że w tym kierunku występuje największe zagęszczenie śladów.

Dover spojrzał krytycznie na widniejącą niedaleko wyspę.

- Jeżeli utrzymamy ten kurs przez dwadzieścia minut, wpakujemy się na brzeg pod samym waszym nosem.

- Podejdźcie jak możecie najbliżej i pobierzcie próbki - odparła Mendoza. - Według moich wskazań jesteście prawie nad źródłem skażenia.

Dover bez wdawania się w dyskusję odłożył słuchawkę i zawołał głośno:

- Jaka głębokość?!

Oficer wachtowy stuknął we wskaźnik na konsoli.

- Sto czterdzieści stóp, i zmniejsza się.

- Jak duży jest zasięg widoczności tej aparatury? - zapytał Dover

Pitta.

Widzimy dno na odległość sześciuset metrów po obu stronach kadłuba.

- W takim razie badamy pas o szerokości około dwóch trzecich mili.

- Mniej więcej - przytaknął Pitt.

- Powinniśmy już wykryć statek - oświadczył z irytacją Dover. - Może go przegapiliśmy?

- Nie ma potrzeby się denerwować - odparł Pitt. Przerwał na chwilę, pochylił się nad klawiaturą komputera i dokładnie ustawił ostrość obrazu. - Nie ma na świecie nic bardziej nieuchwytnego niż wrak, który jeszcze nie dojrzał do odnalezienia. Wykrycie mordercy w powieści Agaty Christie jest dziecinną zabawą w porównaniu ze znalezieniem zatopionego statku ukrytego pod setkami mil kwadratowych wody. Czasami ma się szczęście. Ale najczęściej się go nie ma.

- Bardzo poetyczne - stwierdził sucho Dover.

Pitt wbił spojrzenie w sufit sterówki i zastanawiał się przez długą chwilę.

- Jaką macie widoczność przy pionowej obserwacji znad powierzchni wody?

- Pięćdziesiąt jardów od brzegu woda jest przezroczysta jak kryształ. W czasie przypływu widać na głębokość stu stóp albo i lepiej.

- Chciałbym pożyczyć pański śmigłowiec i zrobić zdjęcia lotnicze tego rejonu.

- Po co zadawać sobie tyle trudu? - odparł Dover. - *Semper paratus*. Zawsze gotowi. Ochrona Wybrzeża nie na próżno ma tę dewizę. - Wskazał na drzwi. - Mamy mapy, które dzięki fotografii satelitarnej pokazują trzy tysiące mil wybrzeża Alaski w kolorze i z niewiarygodnie precyzyjnymi szczegółami.

Pitt skinieniem głowy poprosił Giordina, by zmienił go przy skanerze, a potem wstał i poszedł za dowódcą „Catawby” do niewielkiej kabinki zastawionej szafkami z mapami morskimi. Dover sprawdził nalepki katalogowe, wysunął szufladę i zaczął grzebać w środku. Wreszcie wyciągnął złożony arkusz mapy z napisem:

Fotogrametria satelitarna, zdjęcie numer 2430a, południowe wybrzeże Augustine Island. Rozpostarł go na stole.

- Czy o to panu chodziło?

Pitt pochylił się i zaczął się przyglądać sfotografowanym z lotu ptaka wybrzeżom wulkanicznej wyspy.

- Doskonale. Czy ma pan szkło powiększające?

- Na półce pod stolikiem.

Pitt wziął grubą kwadratową lupę i spojrzał przez nią na drobne cienie widniejące na zdjęciu. Dover wyszedł i wrócił wkrótce z dwoma kubkami kawy.

- Pańskie szanse znalezienia czegokolwiek w tym geologicznym koszmarze, jaki panuje na dnie, są równe zeru. Statek może tam tkwić w nieskończoność.

- Nie patrzę na dno.

W oczach Dovera pojawiła się ciekawość, ale zanim zdążył zadać pytanie, nad drzwiami kabiny zatrzeszczał głośnik.

- Kapitanie, przed nami fale przyboju. - Głos oficera wachtowego był napięty. - Głębokościomierz wskazuje trzydzieści stóp wody pod kilem. I głębokość się zmniejsza.

- Maszyny stop! - rozkazał Dover. Po chwili zawołał: - Nie, cała wstecz, do momentu zatrzymania!

- Niech pan poleci im wciągnąć czujnik sonaru, zanim dotknie dna - dorzucił Pitt. - A potem proponuję rzucić kotwicę.

Dover popatrzył na Pitta z zastanowieniem, ale podporządkował się jego instrukcjom. Gdy obie śruby zaczęły pracować wstecz, pokład pod ich stopami zadygotał. Po paru chwilach wibracje ustały.

- Prędkość zero - poinformował z mostku oficer wachtowy. - Kotwica rzucona.

Dover potwierdził otrzymanie meldunku, usiadł na stołku, splótł dłonie na kubku z kawą i spojrzał na Pitta.

- No dobra, co pan tam widzi?

- Mam statek, którego szukamy - odparł Pitt. - To na pewno on, nie ma innej możliwości. Matka Natura bardzo rzadko tworzy formacje

skalne, które ciągną się przez kilkaset stóp, układając się w idealnie proste linie. W związku z tym kształt statku można dostrzec na nieregularnym tle. Ale miał pan rację mówiąc, że nie mamy szans odnalezienia go na dnie...

- Do rzeczy - rzucił niecierpliwie Dover.

- Obiekt jest na brzegu.

- Chce pan powiedzieć, że tkwi na mieliźnie?

- Chcę powiedzieć, że jest na brzegu.

- Chyba nie mówi pan tego poważnie?

Pitt zignorował pytanie Dovera, podał mu szkło powiększające.

- Niech pan sam zobaczy. - Wziął ołówek i otoczył kółkiem fragment urwiska powyżej linii przyptywu.

Dover pochylił się i przyłożył lupę do oka.

- Widzę tylko skały.

- Proszę przyjrzeć się bliżej fragmentowi, który wystaje z dolnej części zbocza.

Na twarzy Dovera pojawiło się niedowierzanie.

- O Jezzu, przecież to rufa statku!

- Może pan dostrzec także górną część steru.

- Tak, tak... widzę też kawałek nadbudówki rufowej. - Irytacja Dovera ustąpiła rosnącemu podnieceniu. - Niewiarygodne. Jest wbity dziobem w brzeg, zupełnie jakby został zasypany lawiną. Sądząc z kształtu rufy i steru, jest to chyba stary statek typu Liberty. - Podniósł głowę. W jego oczach malowało się coraz silniejsze zainteresowanie. - Czy to przypadkiem nie „Pilottown”?

- Nazwa brzmi znajomo.

- To jedna z najbardziej nieprzenikniętych tajemnic północnych mórz. „Pilottown” pływał wahadłowo między Tokio a portami zachodniego wybrzeża. Dziesięć lat temu załoga nadała sygnał, że statek tonie w czasie sztormu. Podjęto poszukiwania, ale nie znaleziono najmniejszego śladu po nim. Dwa lata temu na uwięziony w lodzie dziewięćdziesiąt mil od Nome „Pilottown” natknął się jakiś Eskimos. Wszedł na pokład, przekonał się, że statek jest opuszczony i nie ma

śladu ani załogi, ani ładunku. Miesiąc później, kiedy powrócił ze swoim szczeniem, żeby zabrać wszystko, co przedstawiało jakąś wartość, okazało się, że statek ponownie zniknął. Po niespełna dwóch latach nadszedł meldunek, że „Pilottown” dryfuje na południe od Cieśniny Beringa. Wysłano jednostki Ochrony Wybrzeża, ale znowu go nie zlokalizowano. Potem jeszcze raz przepadł na osiem miesięcy. Na jego pokład weszła wtedy załoga trawlera rybackiego, która stwierdziła, że jest w stosunkowo niezłym stanie. Później zniknął po raz ostatni.

- Zdaje mi się, że coś na ten temat czytałem... - Pitt przerwał na chwilę. - No tak. „Magiczny Statek”.

- Tak ochrzciły go środki masowego przekazu - przytaknął Dover. - Opisywali jego zniknięcia w stylu: „jest i nagle znów go nie ma”.

- Będą mieli używanie, kiedy się dowiedzą, że przez całe lata dryfował z ładunkiem substancji „N” na pokładzie.

- Trudno sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby kadłub uległ zgnieceniu w lodach albo został rozpruty na skalistym brzegu, natychmiast uwalniając cały ładunek trucizny - dodał Dover.

- Musimy się dostać do jego ładowni - powiedział Pitt. - Niech pan się skontaktuje z Mendozą, poda jej pozycję wraku i powie, żeby przerzuciła grupę chemików na wyspę. My podejmiemy od strony wody.

Dover skinął głową.

Dopilnuję spuszczenia szalupy.

- Niech pan wrzuci do niej palnik acetylenowy, na wypadek gdybyśmy musieli włamywać się do środka.

Dover pochylił się nad stołem z mapami i wbił posępne spojrzenie w zaznaczone na mapie kółko.

- Nigdy nawet przez chwilę nie sądziłem, że stanę na pokładzie „Magicznego Statku”.

- Jeżeli ma pan rację - rzekł Pitt wpatrując się w swój kubek z kawą - to „Pilottown” wkrótce da swój ostatni występ.

Rozdział 8

Morze było spokojne, ale kiedy motorówka z „Catawby” znalazła się w odległości ćwierci mili od skalistego, groźnego brzegu, pędzący z prędkością dwudziestu węzłów wiatr nagle wzburzył fale. Pył zmieszanej z trucizną wody uderzał z trzaskiem o szyby kabiny. Ale tam, gdzie leżał wyrzucony na brzeg wrak, woda osłonięta poszarpanymi iglicami skał sterczącymi w odległości kilkuset jardów od brzegu wyglądała na dość spokojną.

Oświetlony wieczornym słońcem wulkan Augustine sprawiał wrażenie cichego i niegroźnego. Była to jedna z najpiękniejszych gór na Pacyfiku, śmiało mogła rywalizować z klasycznymi kształtami Fudzijamy w Japonii.

Potężna motorówka mknęła przez chwilę na białej grzywie fali, a potem zaczęła ześlizgiwać się po jej zboczu w dół. Pitt zaparł się z całych sił nogami, zacisnął obie dłonie na relingu i dalej wpatrywał się w brzeg.

Wrak stał przekrzywiony pod kątem przekraczającym dwadzieścia stopni i całą jego rufową część pokrywała rdza. Ster wychylony był całkowicie na prawą burtę i z czarnego piasku sterczały dwie pokryte pąklami łopaty śruby. Litery tworzące nazwę statku i portu macierzystego były zbyt zatarte, by dały się odczytać.

Pitt, Giordino, Dover, dwaj specjaliści z EPA i jeden z młodszych oficerów z „Catawby” ubrani byli w białe hermetyczne kombinezony,

które miały ich chronić przed śmiertelnościami pyłem wodnym. Porozumiewali się za pośrednictwem miniaturowych aparatów nadawczo-odbiorczych, wmontowanych w ochronne hełmy. Do pasów przymocowane mieli skomplikowane urządzenia filtrujące, które zapewniały im czyste, nadające się do oddychania powietrze.

Morze wokół nich pokryte było martwymi rybami. Na falach kołysała się też bezwładnie para wielorybów. Między nimi unosiły się na wodzie tysiące martwych ptaków. Nie ocalało nic, co żyło w tej okolicy.

Dover zręcznie przeprowadził motorówkę przez groźną zewnętrzną barierę skalną - pozostałość dawnej linii brzegowej. Zwolnił, czekając na dłuższą chwilę przerwy między falami. Zwlekał, oceniając głębokość. Wreszcie, gdy kolejna fala rozbiła się na brzegu i wracając zderzyła się z następnym nadciągającym grzywaczem, skierował dziób na niewielki spłachetek piasku, jaki utworzył się wokół rufy wraku, i przesunął manetkę gazu do przodu. Motorówka, jak koń szykujący się do wzięcia kolejnej przeszkody w Grand National, wspięła się na grzbiet fali i wjechała na nim, otoczona kotłującą się pianą, na brzeg wyspy.

- Dobra robota - pogratulował Pitt.

- Cała rzecz polega na koordynacji - odparł Dover. Uśmiechnął się spoza hełmu. Oczywiście łatwiej lądować przy niskim stanie wody.

Odchylili głowy do tyłu i popatrzyli na piętrzący się nad nimi wrak. Teraz można już było odczytać wyblakłą nazwę na rufie - „Pilottown”.

- Niemal mi żal - powiedział z szacunkiem Dover - że w końcu wyjaśniamy tę tajemnicę.

- Im prędzej, tym lepiej - stwierdził Pitt ponuro, wspominając śmiertelność ładunek ukryty we wnętrzu statku.

W ciągu pięciu minut ekwipunek został wyładowany, motorówkę zacumowano do steru „Pilottown” i ludzie zaczęli mozolnie wspinać się po stromym zboczu z prawej strony rufy. Pitt szedł przodem, za nim Giordino i cała reszta, kolumnę zamykał Dover.

Stok nie był z litej skały, tworzyła go mieszanina popiołu i błota z domieszką grubego żwiru. Usiłowali namacać butami jakieś oparcie, ale

na każde trzy kroki zrobione do przodu ześlizgiwali się dwa do tyłu. Popiół wzbijał się do góry i osiadał na ich kombinezonach ciemnoszarą warstwą. Wkrótce z wszystkich porów skóry wspinających się ludzi sączył się pot, a w słuchawkach hełmów słychać było coraz cięższe chrapliwe oddechy.

Kiedy znaleźli się na wąskiej półce o szerokości niecałych czterech stóp i długości ledwo wystarczającej, by pomieścić sześciu ludzi, Pitt ogłosił postój. Zmęczony Giordino usiadł i poprawił szelki mocujące na jego plecach butlę z acetylenem. Gdy wreszcie był w stanie wykrztusić jakieś zdanie, odezwał się:

- W jaki sposób ta stara balia tutaj ugrzęzła?

- Najprawdopodobniej przed 1987 rokiem „Pilottown” zdrzyfował w płytką zatoczkę - odparł Pitt. - Zgodnie z tym, co mówiła Mendoza, był to akurat czas aktywności wulkanu. Gazy powstałe w czasie eksplozji musiały rozpuścić lód koło szczytu, w wyniku czego powstały miliony galonów wody. Lawina błota wraz z chmurą popiołu spłynęła po zboczu wulkanu aż do morza i pogrzebała statek.

- Ciekawe, że nie dostrzeżono wcześniej jego rufy.

- Nic dziwnego - powiedział Pitt. - Wystaje tak niewiele, że niemal niemożliwe było zauważyć ją z powietrza, a z odległości większej niż mila zlewa się z poszarpaną linią brzegową i staje się prawie niewidoczna. To, że obecnie jest odsłonięta, zawdzięczamy jedynie erozji wywołanej ostatnimi sztormami.

Dover stał, opierając się plecami o skarpe, aby utrzymać równowagę. Odwinął cieką nylonową linę z węzłami, którą miał okręconą wokół pasa, i odsłonił niewielką kotwiczkę umocowaną do jej końca.

Spojrzał w dół, na Pitta.

- Jeżeli przytrzyma mnie pan za nogi, chyba będę mógł ją zarzucić na reling statku.

Pitt schwycił go za lewą nogę, a Giordino pochylił się i przytrzymał prawą. Potężnie zbudowany komandor podporucznik Ochrony Wybrzeża odchylił się nad krawędzią półki, rozkołysał kotwiczkę i

cisnął do góry.

Przeleciała nad relingiem rufowym i zaczepiła się.

Dalsza część podejścia zajęła im tylko kilka minut. Podciągając się do góry, wkrótce wspięli się na pokład. Grube warstwy przemieszanej z kurzem rdzy łuszczyły się pod podeszwami ich butów. „Pilottown”, jak mogli się zorientować z jego niewielkiego widocznego fragmentu, był brudną, zapuszczoną ruiną.

- Czemu dotąd nie ma Mendozy? - zapytał Dover.

- Najbliższe wystarczająco płaskie miejsce, na którym może wylądować śmigłowiec, znajduje się tysiąc jardów stąd - odparł Pitt. - Będzie musiała tu dojść razem ze swoim zespołem.

Giordino podszedł do relingu obok przerdzewiałego flagsztoku i popatrzył w dół na wodę.

- Trucizna musi sączyć się z kadłuba podczas przypływu.

- Najprawdopodobniej została umieszczona w ładowni rufowej - stwierdził Dover.

- Luki ładowni są zasypane tonami popiołu i lawy - stwierdził z obrzydzeniem Giordino. - Będziemy chyba potrzebowali spychaczy, żeby się do nich dostać.

- Zna pan dobrze statki typu Liberty? - spytał Pitt Dovera.

- Raczej tak. W czasie całej mojej służby sprawdziłem ich wystarczająco dużo w poszukiwaniu przemytu. - Ukłął i zaczął rysować w pyłe kontury statku. - Wewnątrz nadbudówki rufowej powinniśmy znaleźć właz do studzienki ewakuacyjnej prowadzącej do tunelu wału śruby. Na samym dole jest niewielka nisza. Może uda się nam wyciąć z niej dojście do ładowni.

Kiedy skończył, wszyscy stali w milczeniu. Po zlokalizowaniu substancji „N” wszyscy powinni czuć się zadowoleni. Zamiast tego jednak ogarniał ich jakiś lęk. Była to obawa przed tym, co mogą znaleźć za stalowymi grodziami „Pilottown”.

- Może... może lepiej poczekajmy na zespół z laboratorium? - wyjąkał jeden z chemików.

- Dołączą do nas - odparł Pitt.

Giordino bez słowa wyjął z plecaka przymocowanego do grzbietu Pitta łom ze spłaszczonym końcem i zaatakował stalowe drzwi do nadbudówki rufowej. Ku jego zdumieniu zgrzytnęły i uchyliły się. Naparł z całej siły, a wtedy zardzewiałe zawiasy poddały się z protestującym piskiem i wejście stało się otworem. Wnętrze pomieszczenia okazało się całkowicie puste. Nie było w nim nawet śmieci, nie mówiąc już o wyposażeniu.

- Wygląda, jakby pracowała tu brygada sprzątaczek - zauważył Pitt.

- Dziwne... - mruknął Dover.

- Co ze studzienką ewakuacyjną?

- Tędy. Dover poprowadził go do następnego, również dokładnie oczyszczonego pomieszczenia. Stał przy okrągłym łuku umieszczonym w samym środku pokładu. Giordino podszedł, podważył pokrywę i cofnął się. Dover skierował światło latarki w głąb tunelu, jej promień przeszył gęsty mrok.

- Nie przejdziemy dalej - stwierdził z przygnębieniem. - Nisza jest zablokowana złomem.

- A co znajduje się w sąsiednim pomieszczeniu?

- Maszynka sterowa - powiedział Dover i zamilkł. Intensywnie się nad czymś zastanawiał. A potem dodał: - Bezpośrednio przed maszynką sterową jest stanowisko sterowania awaryjnego. Pozostałość po czasach wojny. Możliwe, ale tylko możliwe, że jest tam luk prowadzący do ładowni.

Wrócili do pierwszego pomieszczenia. Kiedy poruszali się po pokładzie tego statku-widma, przez cały czas nie dawało im spokoju pytanie, co stało się z załogą, która go opuściła. Znaleźli luk i zeszli po trapie w dół do pomieszczenia maszyny sterowej. Okrążyli lśniąca jeszcze smarem maszynę i dotarli do grodzi. Dover oświetlił stalowe płyty swą latarką. Nagle kołyszący się promień zamarł nieruchomo.

- Sukinsyny! - warknął. - Luk jest, ale kłapa została przyspawana.

- Jest pan pewien, że znaleźliśmy się we właściwym miejscu? - spytał Pitt.

- Całkowicie - odparł Dover. Stuknął obciążoną w rękawicę pięścią

o grodz. - Z tamtej strony jest ładownia numer pięć. I tu najprawdopodobniej znajduje się trucizna.

- A dlaczego nie w innych ładowniach? - spytał jeden z przedstawicieli EPA.

- Są za bardzo z przodu, aby zawartość mogła wyciekać do morza.

- No dobra. Bierzmy się do roboty rzucił - ze zniecierpliwieniem Pitt.

Szybko zmontowano palnik, a następnie podłączono go do butli z tlenem i acetylenem. Wydobywający się z dyszy palnika ogień syczał, gdy Giordino regulował skład mieszanki. Błękitny płomień wystrzelił do przodu i zaatakował stalowe płyty. Zmieniły barwę najpierw na czerwoną, potem jaskrawopomarańczową, a wreszcie białą. Powstała wąska szczelina. Potrzaskując i ociekając kroplami płynnego metalu, wydłużała się coraz bardziej.

Kiedy Giordino wycinał otwór, przez który można by było przezołgać się do ładowni, pojawiła się Mendoza wraz ze swoimi ludźmi. Przydzwigali ze sobą niemal pięćset funtów analitycznej aparatury chemicznej.

- Znalazł pan - stwierdziła.

- Jeszcze nie mamy pewności - zastrzegł się Pitt.

- Ale próbki wskazują, że woda wokół tego miejsca pełna jest substancji „N” - zaoponowała.

- Możemy się rozczarować - odparł Pitt. - Nigdy nie łowią ryb przed niewodem.

Rozmowa urwała się, gdy Giordino wstał i zgasił palnik. Podał go Doverowi i wziął do ręki łom.

- Cofnijcie się - polecił. - To świństwo jest rozgrzane do czerwoności i ciężkie jak diabli.

Wcisnął spłaszczony czubek łomu w nierówną, żarzącą się szczelinę i naparł z całej siły. Stalowa płyta wysunęła się opornie z grodzi i z łoskotem runęła na pokład, bryzgając naokoło płynnym metalem.

W ciemnym pomieszczeniu zapadła cisza. Pitt wziął latarkę i uważając, by nie dotknąć rozpalonych krawędzi, ostrożnie wsunął głowę do otworu. Omiótł światłem mroczne wnętrza ładowni,

zataczając latarką stuosiemdziesięciostopniowy łuk.

Wszystkim wydawało się, że minęła niemal wieczność, zanim wreszcie wyprostował się i popatrzył na tłoczące się wokół niego dziwnie ubrane postacie bez twarzy.

- No i co? - spytała z niepokojem Mendoza. Pitt odpowiedział tylko jednym słowem:

- Eureka!

Rozdział 9

W odległości czterech tysięcy mil, w Nowym Jorku, był już wieczór. Radziecki przedstawiciel w Światowej Radzie Zdrowia pracował przy swoim biurku po godzinach urzędowania. Jego gabinet w budynku Sekretariatu Organizacji Narodów Zjednoczonych był umeblowany tanio i po spartańsku. Zamiast fotografii rosyjskich przywódców - ściany ozdabiała jedynie amatorska akwarelka przedstawiająca wiejski dom.

Na aparacie telefonicznym z prywatnym numerem błysnęło światelko i rozległ się cichy sygnał. Rosjanin przez chwilę patrzył podejrzliwie na telefon, zanim zdecydował się podnieść słuchawkę.

- Ługowoj, słucham.

- Kto?

- Aleksiej Ługowoj.

- Czy jest tam Willie? - zapytał głos o ciężkim nowojorskim akcencie, który zawsze drażnił Ługowoja.

- Nie ma tu nikogo o takim imieniu - odparł ostro. - Musiał pan pomylić numer. - Odłożył gwałtownie słuchawkę.

Twarz Rosjanina była beznamiętna, ale teraz wyraźnie pobladła. Rozprostował palce i ponownie zacisnął je w pięści, nabrał głęboko powietrza w płuca i spojrział na telefon. Czekał.

Światelko błysnęło i znowu rozległ się sygnał.

- Ługowoj.

- Jesteś pan pewien, że nie ma tu Willie?

- Nie ma tu Willie! - odparł Rosjanin, przedrzeźniając akcent rozmówcy. Trzasnął słuchawką w widełki.

Siedział zupełnie nieruchomo przez prawie trzydzieści sekund, z mocno splecionymi dłońmi opartymi na blacie biurka, z pochyloną głową i nie widzącym spojrzeniem wbitym w przestrzeń. Wreszcie nerwowo potarł dłonią łysą głowę i poprawił na nosie okulary w rogowej oprawie. Wciąż pogrążony w myślach wstał, zgasił światła i wyszedł z biura.

Zjechał windą do głównego holu i przeszedł koło witrażu Marca Chagalla, przedstawiającego walkę człowieka o pokój.

Na postoju przed gmachem nie było taksówek, złapał więc jedną na Fifth Avenue. Podał kierowcy kierunek i siedział sztywno na tylnym siedzeniu, zdenerwowany i spięty. Nie martwił się tym, że mogą go śledzić. Był szanowanym psychologiem, jego prace na temat procesów myślowych i reakcji umysłu znano w wielu krajach. W czasie sześciomiesięcznej pracy w Nowym Jorku, w ONZ, niczym się nie skompromitował. Nie prowadził działalności szpiegowskiej i nie utrzymywał bezpośrednich związków z zakonspirowanymi ludźmi z KGB. Przyjaciel z ambasady w Waszyngtonie powiedział mu w zaufaniu, że FBI dało mu niską kategorię nadzoru i prowadziło jedynie wyrwykowe obserwacje.

Ługowoj nie przebywał w Stanach Zjednoczonych po to, aby wykraść tajemnice. Jego zadanie wykraczało daleko poza wszystko, co amerykańskie służby kontrwywiadowcze mogłyby sobie wyobrazić. Telefon oznaczał, że opracowany siedem lat temu plan został skierowany do realizacji.

Taksówka zatrzymała się na rogu West Street i Liberty Street, naprzeciwko Vista International Hotel. Ługowoj zapłacił kierowcy i przeszedł przez główny hol na podjazd z drugiej strony budynku. Zatrzymał się i spojrzał na przytłaczające wieże World Trade Center.

Często zastanawiał się, co właściwie robi w tym kraju budynków ze szkła, niezliczonych samochodów, wiecznie spieszących się ludzi,

restauracji i sklepów spożywczych na każdym rogu. To nie był jego świat.

Pokazał plakietkę identyfikacyjną strażnikowi stojącemu przed prywatną pospieszną windą w południowej wieży i pojechał na setne piętro. Drzwi otworzyły się i wyszedł do rozległego holu Bougainville Maritime Lines Inc., których biura zajmowały całe piętro. Jego buty grzęzły w grubym białym dywanie. Ściany pokryte były boazerią z polerowanego ręcznie różanego drewna, a cały pokój ozdabiały dzieła sztuki dalekowschodniej. W gablotach stojących w kątach znajdowały się przepiękne ceramiczne konie, z sufitu zwieszały się draperie.

Przystojna kobieta o ciemnych oczach Azjatki, delikatnej owalnej twarzy i gładkiej skórze koloru bursztynu uśmiechnęła się na przywitanie.

- W czym mogę panu pomóc, sir?

- Nazywam się Ługowoj.

- Ach tak, pan Ługowoj - odparła, poprawnie wymawiając jego nazwisko. - Pani Bougainville oczekuje pana.

Powiedziała coś cicho do interkomu i w wysokich, łukowato sklepionych drzwiach pojawiła się kobieta o kruczoczarnych włosach i eurazjatyckich rysach.

- Zechce pan pójść za mną, panie Ługowoj.

Ługowoj był pod głębokim wrażeniem. Podobnie jak wielu Rosjan, niewiele wiedział o metodach prowadzenia interesów na Zachodzie i był przekonany, że pracownicy biura zostali po godzinach z jego powodu. Szedł za swoją przewodniczką długim korytarzem obwieszonym obrazami przedstawiającymi statki handlowe pod flagą linii żeglugowych Bougainville, rozcinające dziobami turkusowe fale. Wreszcie prowadząca go kobieta zastukała lekko w jakieś drzwi, otworzyła je i odsunęła się na bok.

Ługowoj przeszedł przez próg i zastygł zdumiony. Pokój był ogromny - na mozaikowej podłodze pokrytej niebiesko-złotymi wzorami roślinnymi stał masywny, ciągnący się chyba w nieskończoność konferencyjny stół podtrzymywany przez dziesięć

rzeźbionych smoków. Ale największe wrażenie wywarły na nim umieszczone w niszach i dyskretnie podświetlone naturalnej wielkości terakotowe figury wojowników w pełnych zbrojach i stojących dęba koni.

Natychmiast rozpoznał strażników grobu chińskiego cesarza Ch'in Shih Huang Ti. Zastanawiał się, w jaki sposób dostały się w prywatne ręce mimo ścisłej kontroli rządu chińskiego.

- Proszę się zbliżyć i usiąść, panie Ługowoj.

Był tak porażony wspaniałością pokoju, że nie zauważył drobnej Azjatki siedzącej w inwalidzkim fotelu. Przed nią stało hebanowe krzesło z siedzeniem pokrytym złocistym jedwabiem i niewielki stolik z dzbankiem do herbaty i filiżankami.

- Pani Bougainville... - powiedział. - Wreszcie się spotykamy.

Królowa-matka armatorskiej dynastii Bougainville miała osiemdziesiąt dziewięć lat i ważyła mniej więcej tyle samo funtów. Jej lśniące siwe włosy zaczesane były do tyłu i upięte w kok. Twarz miała zaskakująco gładką, bez zmarszczek, ale ciało sprawiało wrażenie starczo kruchego. Uwagę Ługowoja zwróciły jej oczy. Ich głęboka czern i surowość spojrzenia odbierały mu pewność siebie.

- Szybko pan przyszedł - stwierdziła. Głos miała czysty i wyraźny, bez typowego dla podeszłego wieku drżenia.

- Przyszedłem natychmiast po otrzymaniu zaszyfrowanego hasła.

- Czy jest pan gotów do przeprowadzenia pańskiego projektu prania mózgu?

- „Pranie mózgu” to nieprzyjemne określenie. Wolę „oddziaływanie na umysł”.

- Terminologia jest bez znaczenia - odparła obojętnie.

- Zespół mam skompletowany od wielu miesięcy. Jeżeli zostaną zapewnione odpowiednie warunki, możemy zacząć w ciągu dwóch dni.

- Zaczniecie jutro rano.

- Tak prędko?

- Mój wnuk poinformował mnie, że zaistniały idealnie korzystne warunki. Przenosiny nastąpią dziś w nocy.

Ługowej odruchowo spojrzął na zegarek.

- Nie daje mi pani zbyt wiele czasu.

- Z okazji należy korzystać wtedy, gdy się pojawia - stwierdziła stanowczo. - Zawarłam umowę z pańskim rządem i mam zamiar ją zrealizować. Wszystko zależy od szybkości działania. Ma pan dziesięć dni na zrealizowanie swojej części planu...

- Dziesięć dni?! - zawołał zduszonym głosem.

- Dziesięć dni - powtórzyła. - To ostateczny termin. Jeżeli go pan nie dotrzyma, zrezygnuję z pana.

Ługowej poczuł, jak dreszcz przebiega mu po karku. Nie musiała nic więcej mówić. Było oczywiste, że jeśli coś pójdzie nie tak, on i jego ludzie w dyskretny sposób znikną - najprawdopodobniej w oceanie.

W olbrzymim gabinecie zapadła cisza. Wreszcie pani Bougainville pochyliła się w swoim inwalidzkim fotelu i zapytała:

- Czy napiłby się pan herbaty?

Ługowej nie cierpiał herbaty, ale skinął głową.

- Owszem, bardzo proszę.

- Najdoskonalsza mieszanka chińskich gatunków. W sprzedaży detalicznej funt kosztuje ponad 100 dolarów.

Wziął z jej rąk filiżankę i z grzeczności upił łyk, zanim odstawił ją z powrotem na stolik.

- Jak sądzę, poinformowano panią, że moje prace wciąż są jeszcze na etapie badań. Doświadczenia zakończyły się sukcesem jedynie w jedenastu przypadkach na piętnaście. Nie jestem w stanie zagwarantować idealnych rezultatów w tak krótkim czasie.

- Doradcy Białego Domu nie mogą blokować zbyt długo środków informacji.

Ługowej uniósł brwi.

- Myślałem, że moim obiektem będzie niezbyt ważny amerykański kongresman, którego chwilowe zniknięcie pozostanie nie zauważone.

- Został pan wprowadzony w błąd - wyjaśniła rzeczowym tonem. - Pański sekretarz generalny i prezydent uznali, że najlepiej będzie, jeżeli nie pozna pan tożsamości obiektu aż do chwili, kiedy będziemy gotowi.

- Gdybym miał czas na przestudiowanie jego cech osobniczych, mógłbym się lepiej przygotować.

- Chyba nie muszę wyjaśniać Rosjaninowi zasad bezpieczeństwa - odparła, przesywając go wzrokiem. - Jak pan sądzi, dlaczego nie nawiązywaliśmy z panem kontaktu aż do dzisiejszego wieczoru?

Nie bardzo wiedząc, co ma odpowiedzieć, Ługowej wypił duży łyk herbaty. Na jego chłopski gust napój zbyt przypominał rozwodnione perfumy.

Zdobył się wreszcie na odwagę i oświadczył, patrząc jej w oczy:

- Muszę wiedzieć, kim jest mój obiekt.

Jej odpowiedź zabrzmiała w olbrzymim pokoju jak wybuch bomby. Dudniła echem w głowie Ługowoja, oszałamiając go zupełnie. Poczuł się, jakby ciśnięto go w bezdenną studnię, z której nie było ucieczki.

Rozdział 10

Beczki zawierające substancję „N” po wielu latach szarpania przez sztormy zerwały łańcuchy mocujące je do drewnianych podstaw i leżały porzucane na pokładzie ładowni. Standardowe jednotonowe pojemniki do transportu morskiego, zgodnie z zarządzeniem Departamentu Transportu miały dokładnie osiemdziesiąt jeden cali długości i trzydzieści jeden cali średnicy. Posiadały wgłębione dna i pomalowane były na srebrno. Na bokach beczek znajdowały się starannie wypisane zieloną farbą wojskowe oznakowania kodowe GS.

- Doliczyłem się dwudziestu beczek - powiedział Pitt.

- To by się zgadzało z inwentarzem zaginionego ładunku - stwierdziła Mendoza. W jej głosie dała się słyszeć ulga.

Stali w głębi ładowni, zalanej teraz jaskrawym światłem reflektorów podłączonych do przenośnego generatora z „Catawby”. Pokład pokryty był wodą na głębokość niemal stopy i gdy przechodzili między śmiercionośnymi pojemnikami, chlupoczące dźwięki odbijały się echem od przerdzewiałych grodzi ładowni.

Chemik z EPA zrobił gwałtowny gest dłonią obciążoną w rękawicę.

- Tu jest ta przeciekająca beczka! - zawołał z podnieceniem. - Nakrętka zerwała gwint.

- Jest pani zadowolona, Mendoza? - spytał Pitt.

- Oczywiście! - zawołała uszczęśliwiona.

Pitt przysunął się do niej, szyby ich hełmów niemal się stykały.

- Czy już pomyślała pani o mojej nagrodzie?

- Nagrodzie...?

- Nasza umowa - przypomniał jej, starając się, by zabrzmiało to serio. - Znalazłem pani truciznę trzydzieści sześć godzin przed wyznaczonym terminem.

- Chyba nie ma pan zamiaru nalegać na realizację tej głupiej umowy?

- Byłbym idiotą, gdybym tego nie zrobił.

Cieszyła się, że Pitt nie widzi rumieńca na jej twarzy. Byli na wspólnej częstotliwości i wszyscy ludzie w pomieszczeniu mogli słyszeć ich rozmowę.

- Wybiera pan dziwne miejsca, żeby umówić się na randkę.

- Myślałem - ciągnął Pitt - o obiedzie w Anchorage, koktajlach mrożonych w lodzie z lodowców, wędzonym łososiem, poledwicy z łosia i pieczeni Alaski. A potem...

- Dostyc - przerwała mu, czując rosnące zakłopotanie.

- Lubi pani przyjęcia?

- Tylko jeżeli wymagają tego okoliczności - odpowiedziała wracając do równowagi. - A to z całą pewnością nie jest ta okoliczność.

Podniósł rękę do góry i opuścił ją w geście rezygnacji.

- Smutny dzień dla Pitta, radosny dla NUMA.

- Dlaczego dla NUMA?

- Skażenie nastąpiło na lądzie. Nie ma potrzeby przeprowadzania podmorskich prac wydobywczych. Moja grupa może pakować manatki i zbierać się do domu.

Jej hełm pochylił się lekko.

- Robi pan zgrabny unik, panie Pitt, podrzucając ten problem wojsku.

- Wiedzą o wycieku?

- Dowództwo okręgu Alaski zostało postawione w stan pogotowia natychmiast po tym, jak poinformował pan o odkryciu „Pilottown”. Oddział wojsk chemicznych do walki ze skażeniami jest już w drodze z

ładzu stałego, aby usunąć substancję „N”.

- Brawa dla sprawności działania.

- To nie ma już dla pana znaczenia, prawda?

- Oczywiście, że ma - zaprotestował Pitt. - Ale moja praca została zakończona i jeżeli nie znalazła pani innego wycieku i dalszych zwłok, wracam do domu.

- To brzmi cynicznie.

- Niech pani powie „tak”.

Pchnięcie, parada, wypad. Trafił ją w odsłonięty bok. Miała wrażenie, że została złapana w pułapkę i poczuła irytację, że sprawa to jej przyjemność. Zanim zdołała się zastanowić, odpowiedziała:

- Tak.

Ludzie w ładowni przerwali swoją pracę wśród trucizny, która wystarczyłaby do zabicia połowy ludzkości, i zaczęli bezgłośnie klaskać dłońmi w rękawicach. W słuchawkach rozległy się ich gwizdy i wiwaty. Nagle uświadomiła sobie, że jej akcje nieprawdopodobnie poszły w górę. Mężczyźni podziwiali kobietę, która potrafiła nadzorować paskudną robotę i nie była przy okazji jędzą.

Dover podszedł do Pitta, który przyświecając sobie latarką wpatrywał się z namysłem w niewielki otwarty luk. Światło ginęło w zalegającym wewnątrz mroku, połyskując matowo na pokrytej oliwą wodzie na dnie ładowni.

- Ma pan jakiś pomysł? - spytał Dover.

- Chciałbym przeprowadzić maleńkie badania - odparł Pitt.

- Tędy nie dojdzie pan daleko.

- A dokąd to prowadzi?

- Do tunelu wału śruby, ale on jest niemal kompletnie zatopiony.

Będzie pan potrzebował butli z powietrzem, żeby się tam przedostać.

Pitt przesunął promień latarki na przednią grodz i oświetlił niewielki luk nad trapem.

- A ten?

- Powinien prowadzić do ładowni numer cztery.

Pitt skinął głową i zaczął wspinać się po zardzewiałych klamrach trapu. Dover podążał tuż za nim. Otworzyli zasuwę zamykającą luk, odchyłili klapę i przeszli do następnej ładowni. Promienie latarek szybko pozwoliły się im zorientować, że i ona jest całkowicie pusta.

- Statek musiał płynąć pod balastem - myślał na głos Pitt.

- Na to wygląda - przytaknął Dover. - Gdzie teraz?

- Następnym trapez w górę, do przejścia prowadzącego do pentry między zbiornikami ze słodką wodą.

Powoli przesuwali się przez wnętrze „Pilottown”, czując się jak rabusie grobów błądzący o północy po cmentarzu. Niemal za każdym rogiem spodziewali się znaleźć szkielety załogi. Ale szkieletów nie było. Kabiny załogi powinny wyglądać jak dom towarowy w dniu okazyjnej wyprzedaży - z porozrzucanymi wszędzie ubraniami, osobistymi przedmiotami i całym bałaganem, jaki mogą zrobić ludzie opuszczający w pośpiechu statek. Tymczasem mroczne wnętrze „Pilottown” bardziej przypominało tunele i komory rozległej jaskini. Brakowało jedynie nietoperzy.

Spizarnie były puste. Na półkach w mesie nie było talerzy i kubków. Papieru w toaletach również. Gaśnice, klamki, meble, wszystko, co mogło zostać odśrubowane albo posiadało choćby najmniejszą wartość, zniknęło.

- Cholernie dziwne - mruknął Dover.

- Też tak myślę - odparł Pitt. - Wyczyszczono go dokładnie.

- Przez te lata, kiedy statek dryfował, musieli dostać się na niego szabrownicy.

- Szabrownicy zostawiają po sobie bałagan - zaoponował Pitt. - Ten, kto to zrobił, był fanatykiem schludności.

Była to niesamowita wędrówka. Cienie obu mężczyzn przesuwały się po ciemnych ścianach korytarzy i milczących maszynach. Pitt marzył, aby ponownie zobaczyć niebo.

- Nie do wiary - mruknął Dover, wciąż oszołomiony tym, co zobaczyli. - Zabrali nawet wszystkie zegary i wskaźniki.

- Gdybym był hazardzistą - rzekł Pitt z namysłem - założyłbym się, że natknęliśmy się na dowód oszustwa ubezpieczeniowego.

- Nie byłby to pierwszy zaginiony bez wieści statek, zgłoszony do wypłaty odszkodowania w londyńskim Lloydzie - stwierdził Dover.

- Powiedział mi pan, że według zeznań załogi opuściła ona „Pilottown” w czasie sztormu. Rzeczywiście, opuściła go, ale pozostawiła jedynie pustą, bezwartościową skorupę. Może mieli go zatopić?

- Łatwo to sprawdzić - powiedział Dover. - Są dwa sposoby zatopienia statku na morzu. Jeden, to otworzyć kingstony i pozwolić mu napełnić się wodą, a drugi - rozwalić dno za pomocą ładunków wybuchowych.

- A jak pan by zrobił?

- Zatopienie za pomocą kingstonów zajęłoby dwadzieścia cztery godziny albo i więcej. Wystarczająco dużo czasu, aby zainteresował się nim jakiś przepływający w pobliżu statek. Wybrałbym ładunki wybuchowe. Posłałyby go na dno w ciągu paru minut.

- Coś musiało przeszkodzić eksplozji.

- To tylko teoria.

- Następne pytanie - ciągnął Pitt. - Gdzie by je pan założył?

- Ładownie, maszynownia, prawie każde pomieszczenie stykające się z poszyciem burty, pod warunkiem że znajduje się poniżej linii wodnej.

- W rufowych ładowniach nie było ładunków - stwierdził Pitt. - Pozostaje więc maszynownia i ładownie dziobowe.

- Skoro doszliśmy już tak daleko, moglibyśmy doprowadzić robotę do końca - rzekł Dover.

- Będzie szybciej, jeżeli się rozdzielimy. Ja przeszkam maszynownię. Pan zna lepiej zakamarki statku niż ja...

- A więc idę do przednich ładowni - oznajmił Dover.

Ruszył korytarzem, pogwizdując pod nosem bojową pieśń. Jego niedźwiedzia, masywna sylwetka rysująca się na tle rozkołysanego światła latarki malała coraz bardziej i wreszcie zniknęła.

Pitt zaczął myszkować w labiryncie rur prowadzących od przestarzałej parowej maszyny tłokowej i kotłów. Ażurowe pomosty nad maszyną były przeżarte rdzą i stąpał po nich ostrożnie. Maszynownia zdawała się ożywać w jego wyobraźni - skrzypienia, zgrzyty, pomruki płynące z wentylatorów, szepty i szelesty.

Znalazł parę kingstonów. Ich pokrętła były zablokowane w pozycji ZAMKNIĘTE.

A więc hipoteza z kingstonami upada, pomyślał.

Po jego karku przebiegł dreszcz i poczuł ogarniający całe ciało chłód. Uświadomił sobie, że baterie zasilające system ogrzewania kombinezonu są prawie na wyczerpaniu. Na chwilę wyłączył światło. Głęboka czerń niemal go przytłoczyła. Włączył lampę ponownie i szybko przesunął promieniem latarki wokół siebie, jakby się spodziewał, że zaraz otoczą go duchy załogi. Ale nie było żadnych duchów. Nic poza wilgotnymi metalowymi ścianami i zużytą maszyną. Przysiągłby, że czuje drgania pomostu pod nogami, jakby piętrzące się nad nim maszyny ożyły nagle.

Potrząsnął głową, chcąc odgonić widma, i zaczął metodycznie przeszukiwać wewnętrzne poszycie kadłuba, czołgając się między pompami i pokrytymi azbestem rurami prowadzącymi w ciemność. Ześlizgnął się z trapu do głębokiej na trzy stopy wody z olejem i szybko podciągnął z powrotem do góry, wyrrywając się z wyimaginowanych szponów martwej, złej i paskudnej zęzy. Jego kombinezon był teraz czarny od pokrywającej go oliwy. Przez chwilę stał na trapie, nie mogąc złapać tchu, i z całych sił starał się opanować.

Wtedy właśnie zauważył coś na granicy zasięgu promienia latarki. Do belki przyspawanej do wewnętrznych płyt poszycia umocowany był zmatowiały aluminiowy zasobnik rozmiarów pięciogalonowej butli gazowej. Pitt wielokrotnie zakładał ładunki wybuchowe w czasie podmorskich prac wydobywczych i szybko rozpoznał detonator przyczepiony do dna pojemnika. Przewód elektryczny prowadził przez ażurowy pomost w stronę górnego pokładu.

Całe ciało miał pokryte potem, choć jednocześnie trząśnięty z zimna.

Pozostawił pojemnik tam, gdzie go znalazł, i znowu wspiął się do góry po trapie. Zaczął badać silnik i kotły.

Nigdzie nie było żadnych oznakowań, nazwy producenta, wytłoczonej daty ostatniej kontroli. Zawsząd usunięto metalowe plakietki identyfikacyjne. Wytłoczone litery lub cyfry zostały spiłowane.

Sprawdził wszystkie zakamarki wokół maszynierii. Nagle poczuł pod rękawicą niewielką wypukłość. Wreszcie uśmiechnęło się do niego szczęście. Była to pokryta częściowo smarem mała metalowa tabliczka pod jednym z kotłów. Starł brud i skierował na nią promień światła. Odczytał napis:

CIŚNIENIE 220 psi

TEMPERATURA 420° F

POWIERZCHNIA GRZEWCZA 5,017 stopy kw.

ZAKŁADY WYROBU KOTŁÓW OKRĘTOWYCH

„ALHAMBRA”, CHARLESTON, KAROLINA PŁD.

Nr ser. 38 874

Pitt zapamiętał numer, a potem wrócił tam, skąd wyruszył. Wyczerpany opadł na pokład i próbował odpocząć.

Dover wrócił po niecałej godzinie, niosąc pod pachą pojemnik z materiałem wybuchowym tak obojętnie, jakby to była wielka puszka brzoskwiń. Zaklął, gdy poślizgnął się na pokładzie, podszedł do Pitta i usiadł ciężko.

- Są cztery między tym miejscem a forpikiem - stwierdził.

- Znalazłem jeszcze jeden jakieś czterdzieści stóp w stronę rufy - odparł Pitt.

- Ciekawe, dlaczego nie wybuchły.

- Pewnie zapalnik zegarowy był zepsuty.

- Zapalnik zegarowy...?

- Załoga zeszła do łodzi, nie czekając, aż eksplozja wywali dno statku. Jeżeli pójdzie pan śladem przewodów od ładunków wybuchowych, dotrze pan do mechanizmu zegarowego ukrytego

gdzieś na górze. Kiedy uświadomili sobie, że coś jest nie tak, było już za późno, żeby wrócić na pokład.

- Albo bali się, że wybuchnie im prosto w nos.

- Otóż to - przytaknął Pitt.

- I w taki właśnie sposób stary „Pilottown” zaczął swój legendarny dryf. Opuszczony statek na pustym morzu.

- W jaki sposób można oficjalnie zidentyfikować statek?

Dover wbił spojrzenie w mrok wokół maszyn.

- No cóż, dowody można znaleźć prawie wszędzie. Kamizelki ratunkowe, szalupy... Bardzo często na dziobie i rufie wyspawany jest zarys wymalowanych liter nazwy. Poza tym są tabliczki identyfikacyjne stoczni - jedna na zewnątrz nadbudówki, druga w maszynowni. Aha, i jeszcze jedno - urzędowy numer statku wypalony na belce koło okrężnicy pokryw luków.

- Założę się o miesięczną pensję, że gdyby zdołał pan odkopać ten statek spod góry popiołu, przekonałby się pan, że numery na okrężnicy i tabliczka identyfikacyjna na nadbudówce zostały usunięte.

- Pozostaje ta w maszynowni.

- Też jej nie ma. Sprawdziłem. Nie ma w ogóle żadnych znaków producenta.

- Cholernie przebiegłe - stwierdził cicho Dover.

- Ma pan rację - odparł Pitt. - „Pilottown” to coś o wiele więcej niż zwykłe oszustwo ubezpieczeniowe.

- Nie jestem obecnie w nastroju do rozwiązywania zagadek - powiedział Dover, podnosząc się niezgrabnie.

Pitt uniósł wzrok i zobaczył, że Dover wciąż trzyma pojemnik z materiałem wybuchowym.

- Bierze pan to ze sobą?

- Dowód rzeczowy.

- Niech go pan nie upuści - rzekł Pitt z lekkim sarkazmem.

Wyszli na górę z maszynowni i pospieszyli w stronę pentry statku, chcąc jak najszybciej wydostać się z wilgotnego mroku i znaleźć ponownie w dziennym świetle. Pitt zatrzymał się nagle. Dover, który

szedł z tyłu z opuszczoną głową, wpadł na niego.

- Dlaczego pan stanął?

- Czuje pan?

Zanim Dover zdążył odpowiedzieć, pokład pod ich stopami zadrżał i grodzie zatrzeszczały groźnie. Usłyszeli przypominający daleką eksplozję odgłos i prawie natychmiast dotarł do nich również potężny cios fali uderzeniowej. „Pilottown” zadygotał i jego szwy zaczęły rozstępować się pod wpływem straszliwego naporu. Wstrząs rzucił gwałtownie obu mężczyzn na stalową ścianę. Pitt zdołał utrzymać się na nogach, jednak obciążony ładunkiem Dover runął jak długi na pokład, trzymając mocno w objęciach pojemnik i osłaniając go własnym ciałem. Jęknął z bólu, ale zaraz usiadł oszołomiony i spojrzał na Pitta.

- Co to było, na litość boską? - stęknął.

- Wulkan Augustine - odparł niemal obojętnie Pitt. - Musiał znowu wybuchnąć.

- Jezu, co jeszcze?

Pitt pomógł się podnieść potężnemu mężczyźnie. Poczul, jak mięśnie ramienia Dovera napinają się pod grubym materiałem kombinezonu.

- Jest pan ranny?

- Trochę poobijany, ale chyba niczego nie złamałem.

- Może pan biec?

- Jestem w porządku - skłamał Dover, zaciskając z bólu zęby. - A co z moim dowodem rzeczowym?

- Zapomnij pan o nim - rzucił szybko Pitt. - Wynośmy się stąd, do diabła.

Bez słowa ruszyli obok pentry i potem wąskim korytarzem między zbiornikami do słodkiej wody. Pitt objął Dovera w pasie i na wpół ciągnął, na wpół niósł go przez mrok.

Miał wrażenie, że korytarz nigdy się nie skończy. Jego oddech stał się krótki i urywany, serce tłukło się o żebra. Ledwo utrzymał się na nogach, gdy „Pilottown” ponownie zadrżał i zakołysał się. Dotarli do ładowni numer cztery i zeszli w dół po trapie. W pewnym momencie

Dover wyslizgnał mu się i upadł na pokład. Miał wrażenie, że bezcenne sekundy, jakie stracił, by przeciagnąć dowódcę „Catawby” do trapu po przeciwległej stronie, trwały całe lata.

Ledwo postawił nogę na najniższym szczeblu, rozległ się huk. Coś przeleciało obok niego i uderzyło w pokład. Skierował w tę stronę promień latarki. W tej samej chwili pokrywa luku rozpadła się i tony skał i ziemi runęły w dół.

- Wspinaj się pan, do diabła! - wrzasnął na Dovera. Dyszał gwałtownie i czuł, jak krew dudni mu w uszach. Z całych sił popchnął ważące dwieście dwadzieścia funtów ciało Dovera do góry.

Nagle rozległ się czyjś okrzyk. Światło wydobyło z mroku wychyloną z górnego luku postać. Czyjeś ręce schwyciły Dovera i przeciagnęły go do tylnej ładowni. Pitt był pewien, że to Giordino. Mały, krępy Włoch miał talent zjawiania się we właściwym miejscu o właściwym czasie.

Wreszcie Pitt znalazł się na górze i przeczołgał do ładowni z substancją „N”. Pokrywa luku wciąż była cała, ciężar gruntu zbocza nad nią nie był bowiem tak wielki. Kiedy dotarł do ostatnich szczebli trapu, Dover był już w nadbudówce rufowej. Giordino schwycił Pitta za ramię.

- Są ofiary - powiedział ponuro.

- Jakie?

- Czworo rannych, przede wszystkim ze złamaniami, i jedna ofiara śmiertelna.

Giordino zawahał się i Pitt domyślił się od razu.

- Mendoza...?

- Beczka zmiądzzyła jej nogi - wyjaśnił Giordino. Pitt po raz pierwszy słyszał tak wielki smutek w jego głosie. - Miała skomplikowane, otwarte złamanie. Kawałek kości przebił kombinezon...

- I substancja „N” zetknęła się z jej skórą - dokończył za niego Pitt, czując, jak ogarnia go poczucie bezradności i bólu.

Giordino skinął głową.

- Wynieśliśmy ją na zewnątrz.

Pitt znalazł Julie Mendozę na rufowym pokładzie „Pilottown”. W

błękitne niebo nad nimi wzbijała się wielka chmura wulkanicznego popiołu i odpływała majestatycznie na północ.

Leżała samotnie, opuszczona, na uboczu. Zdrowi członkowie ekipy troszczyli się o rannych. Tylko młody oficer z „Catawby” stał obok niej i jego ciało dygotało gwałtownie, kiedy wymiotował w pochłaniacz maski.

Ktoś zdjął hełm z głowy Julie. Jej włosy rozsypały się po zardzewiałym pokładzie i połyskiwały pomarańczowo w zachodzącym słońcu. Oczy miała otwarte i wpatrzone w nicość, szczęki zaciśnięte z bólu. Zaschnięta krew tworzyła podbarwione słońcem miedziane strużki, które spływały z jej ust, nosa i uszu. Sączyła się nawet z kącików oczu. Niewielka widoczna powierzchnia skóry twarzy zaczynała nabierać granatowoczarnej barwy.

Pitt czuł zimną wściekłość. Wzbierała w nim coraz bardziej, aż wreszcie ukląkł koło ciała Julie i kilkakrotnie uderzył pięścią w pokład.

- To się tak nie skończy - warknął z goryczą. - Nie pozwolę, żeby to się tak skończyło.

Rozdział 11

Oskar Lucas patrzył ponuro na blat biurka. Wszystko działało na niego przygnębiająco - kwaśny smak kawy w zimnym kubku, tandetne umeblowanie biura, długie godziny spędzone w pracy. Po raz pierwszy, od chwili kiedy został szefem ochrony prezydenckiej, złapał się na myśli, że marzy o emeryturze, wycieczkach narciarskich w Colorado, o własnoręcznym wybudowaniu chaty w górach.

Potrząsnął głową, żeby odpędzić te myśli, upił łyk dietetycznej lemoniady i chyba po raz dziesiąty zaczął studiować plany prezydenckiego jachtu.

Jacht „Eagle”, zbudowany w 1919 roku przez bogatego biznesmena z Filadelfii, w 1921 roku został zakupiony przez Departament Handlu do użytku prezydentów Stanów Zjednoczonych. Od tej pory po jego pokładzie stąpało ich trzynastu.

Herbert Hoover przebywając na jachcie oddawał się ćwiczeniom sportowym. Roosevelt przyrządzał martini i omawiał strategię wojskową z Winstonem Churchillem. Harry Truman grał w pokera i na pianinie. John Kennedy urządzał przyjęcia urodzinowe. Lyndon Johnson podejmował brytyjską rodzinę królewską, a Richard Nixon gościł Leonida Breżniewa.

„Eagle” miał staroświecki, prosty dziób, mahoniowe poszycie oraz wyporność stu ton, sto dziesięć stóp długości i dwadzieścia szerokości. Jego maksymalne zanurzenie wynosiło pięć stóp i mógł rozcinać wodę z

prędkością czternastu węzłów.

W oryginalnym projekcie jacht miał pięć głównych kabin, cztery łazienki i dużą przeszkloną nadbudówkę wykorzystywaną jako jadalnia i salon. W czasie rejsu obsadzony był przez załogę składającą się z trzynastu marynarzy z Ochrony Wybrzeża, których kubryk i mesa znajdowały się na dziobie. Lucas przejrzał akta załogi, sprawdził ponownie ich powiązania, historie rodzinne, cechy osobiste, wyniki wywiadów psychologicznych. Nie mógł znaleźć niczego podejrzanego.

Usiadł wygodnie i ziewnął. Była 21.20. „Eagle” od trzech godzin stał w Mount Vernon. Prezydent był nocnym markiem i Lucas wiedział, że będzie trzymał swoich gości w nadbudówce, omawiając sprawy państwowe i nie zastanawiając się specjalnie nad snem.

Obrócił się i spojrzął przez okno. Opadająca mgła była miłym widokiem. Ograniczona widzialność usuwała największe zagrożenie dla prezydenta - zamachu w wykonaniu strzelca wyborowego. Lucas usiłował przekonać sam siebie, że jego niepokój jest bezpodstawny. Każdy szczegół, który należało wziąć pod uwagę, został uwzględniony.

Jeżeli istniała jakaś groźba, nie był w stanie ustalić ani skąd pochodzi, ani na czym polega.

Mgła nie dotarła jeszcze do Mount Vernon. Letnia noc wciąż jeszcze była czysta i światła z położonych nie opodal ulic i domów tańczyły na wodzie. Rzeka na tym odcinku rozlewała się na ponad milę, jej brzegi pokryte były krzakami i drzewami. W odległości stu jardów od brzegu stał zakotwiczony dziobem w górę rzeki patrolowiec Ochrony Wybrzeża. Jego antena radarowa obracała się bez przerwy.

Prezydent siedział w fotelu klubowym na dziobowym pokładzie „Eagle’a”, z zapalem przedstawiając Marcusowi Larimerowi i Alanowi Moranowi swój program pomocy krajom Europy Wschodniej. Nagle wstał i podszedł do relingu. Pochylił głowę i zaczął nasłuchiwać. Na położonym niedaleko pastwisku ryczały krowy. Zaabsorbowało go to całkowicie. Problemy państwa zeszły na dalszy plan i nagle obudził się

w nim chłopak ze wsi. Po kilku sekundach odwrócił się i znowu usiadł.

- Przepraszam za tę przerwę powiedział uśmiechając się szeroko. - Miałem przez chwilę ochotę wziąć wiadro i udoić dla nas trochę mleka na śniadanie.

- Dziennikarze mieliby frajdę, mogąc opublikować zdjęcie, jak w środku nocy doi pan krowę - roześmiał się Larimer.

- Byłoby jeszcze lepiej - stwierdził ironicznie Moran - gdyby zdołał pan z zyskiem sprzedać to mleko Rosjanom.

- Żarty żartami, ale mleko i masło rzeczywiście prawie całkowicie zniknęły z moskiewskich państwowych sklepów spożywczych - odezwał się siedzący z boku Margolin.

- To prawda, panie prezydencie - rzekł z powagą Larimer. - Statystyczny Rosjanin spożywa dziennie jedynie dwieście kalorii więcej, niż wynosi dieta głodowa. Do diabła, nasze świnie jedzą lepiej niż oni.

- Otóż to - przytaknął z zapalem prezydent. - Nie możemy odwrócić się plecami od głodujących kobiet i dzieci tylko dlatego, że żyją pod komunistycznym panowaniem. Mój plan może stać się wyrazem humanitarnej szczodrobliwości narodu amerykańskiego. Pomyślmy też o korzyściach, jakie może przynieść krajom Trzeciego Świata. Pomyślmy o tym, jak taki czyn może zainspirować przyszłe pokolenia.

- Ośmielam się być innego zdania - odparł chłodno Moran. - Według mnie pańska propozycja jest głupotą, zabawą dla naiwniaków. Miliardy dolarów, jakie Sowieci wydają co roku, żeby wesprzeć swoich satelitów, niemal wykończyły ich zasoby finansowe. Założę się, że pieniądze, które oszczędzą dzięki pańskiemu planowi ratunkowemu, zasilą ich budżet wojskowy.

- Możliwe, ale jeśli ich kłopoty nie dadzą się opanować, staną się bardziej niebezpieczni dla nas - zaproponował prezydent. - Historia dowodzi, że narody dręczone problemami ekonomicznymi częściej wikłają się w międzynarodowe awantury.

- Jak na przykład próby zawładnięcia ropą z Zatoki Perskiej? - spytał Larimer.

- Przechwycenie Zatoki jest ciągłym zagrożeniem. Ale Rosjanie

doskonale zdają sobie sprawę, że kraje zachodnie użyją wszelkich dostępnych im środków, aby utrzymać dopływ nośników energii dla swojej gospodarki. Nie, Marcusie, Związek Radziecki ma na oku o wiele łatwiejszy cel. Taki, który zapewni mu całkowitą dominację nad basenem Morza Śródziemnego.

Larimer uniósł brwi.

- Turcja?

- Właśnie - odparł prezydent.

- Przecież Turcja jest członkiem NATO - zaprotestował Moran.

- Owszem, ale czy Francja przystąpi do wojny z powodu Turcji? Albo Anglia czy Niemcy Zachodnie? A my - czy wysłalibyśmy naszych chłopców, żeby tam umierali? Musielibyśmy wysłać ich więcej niż swego czasu w związku z Afganistanem. Prawdę mówiąc, Turcja ma mało zasobów naturalnych, o które warto by walczyć. Radzieckie wojska pancerne przebiłyby się przez cały kraj do Bosforu w ciągu kilku tygodni, a Zachód zaprotestowałby jedynie werbalnie.

- Mówi pan o hipotetycznych wydarzeniach, które nigdy być może nie będą miały miejsca - stwierdził Moran.

- Zgadzam się z panem całkowicie - przytaknął Larimer. - Według mnie, wobec rozprzężenia radzieckiej gospodarki, ich dalsze ekspansjonistyczne dążenia są bardzo mało prawdopodobne.

Prezydent podniósł dłoń w geście protestu.

- Ale to coś zupełnie innego, Marcusie. Wszelkie wewnętrzne niepokoje w Rosji z całą pewnością wyleją się poza jej granice, zwłaszcza na Europę Zachodnią.

- Nie jestem izolacjonistą, panie prezydencie. Moja działalność w Kongresie stanowi tego najlepszy dowód. Ale męczy mnie i irytuje ciągle podporządkowywanie polityki Stanów Zjednoczonych kaprysom Europejczyków. W czasie dwóch ostatnich wojen zostawiliśmy na ich ziemi wystarczająco wielu zabitych. Jeżeli Rosjanie mają ochotę zeżreć pozostałą część Europy, niech się nią udławiają.

Larimer rozparł się wygodnie, zadowolony z siebie. Wyrzucił z siebie wreszcie to, czego nie odważyłby się powiedzieć publicznie.

Prezydent wprawdzie się z nim nie zgadzał, ale musiał zastanawiać się, ilu Amerykanów podziela ten pogląd.

- Bądźmy realistami - powiedział spokojnie prezydent. - Obydwaj dobrze wiemy, że nie możemy opuścić naszych sojuszników.

- A co z naszymi wyborcami? - zaatakował ponownie Marcus. - Jak nazwie pan zabieranie pieniędzy z ich podatków, z i tak już nadmiernie obciążonego wydatkami budżetu, po to tylko, aby karmić i wspomagać naszych wrogów?

- Nazwę to humanitarnym postępkiem - odparł ze znużeniem prezydent. Uświadomił sobie, że toczy walkę z góry skazaną na przegraną.

- Przykro mi, panie prezydencie - oświadczył Larimer i wstał z fotela. - Nie mogę z czystym sumieniem poprzeć planu pomocy dla krajów wschodniego bloku. A teraz, jeżeli pan pozwoli, chciałbym udać się na spoczynek.

- Ja również - stwierdził Moran ziewając. - Oczy mi się same zamykają.

- Dobrze się panowie rozlokowali? - spytał prezydent.

- Tak, dziękuję - odparł Moran.

- Skoro do tej pory nie zapadłem na chorobę morską - dodał Larimer uśmiechając się krzywo - to sędzę, że powinienem wytrzymać do rana.

Pożegnali się i zniknęli na schodach prowadzących do ich kabin. Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem głosu, prezydent odwrócił się do Margolina:

- Co o tym sądzisz, Vince?

- Mówiąc zupełnie szczerze, myślę, że szkoda było pańskiego czasu.

- Uważasz, że to beznadziejne?

- Spójrzmy na to z drugiej strony - zaczął Margolin. - Pański plan wymaga, abyśmy zakupili nadwyżki ziarna oraz innych produktów rolnych i sprzedali je krajom komunistycznym za cenę niższą, niż nasi farmerzy mogliby otrzymać w eksporcie. A zła pogoda w ciągu dwu ostatnich lat i inflacyjna spirala kosztów oleju napędowego spowodowały, że farmy będą bankrutować... niemal jak w 1934 roku.

Jeżeli nalega pan na wydanie naszych funduszy przeznaczonych na pomoc, z całym szacunkiem proponowałbym, żeby wykorzystał je pan tutaj, nie w Rosji.

- Dobroczynność zaczynamy od własnego podwórka. O to ci chodzi?

- A czyż jest lepsze miejsce? Musi pan również wziąć pod uwagę, że gwałtownie traci pan poparcie - wyniki sondaży lecą na łeb.

Prezydent pokręcił głową.

- Nie mogę siedzieć z założonymi rękami, kiedy miliony mężczyzn, kobiet i dzieci umierają z głodu.

- Szlachetne, ale niezbyt praktyczne stanowisko.

Na twarzy prezydenta pojawił się smutek.

- Czy nie rozumiesz - rzekł, patrząc na ciemne wody rzeki - że jeśli uda nam się dowieść bankructwa marksizmu, żaden ruch na świecie nie będzie mógł posłużyć się jego hasłami w celu wywołania rewolucji?

- Być może. Jest jednak pewien problem - stwierdził Margolin. - Rosjanie nie chcą naszej pomocy. Wie pan, że spotkałem się z ich ministrem spraw zagranicznych, Gromyką. Oświadczył mi stanowczo, że jeżeli Kongres przyjmie pański program pomocy, wszelkie transporty żywności zostaną zatrzymane na granicy.

- Mimo to musimy próbować.

Margolin westchnął cicho. Dalszy spór był stratą czasu. Prezydenta nie sposób było przekonać.

- Jeżeli jesteś zmęczony - rzekł prezydent - nie krępuj się i idź spać. Nie musisz dotrzymywać mi towarzystwa.

- Prawdę mówiąc, nie mam ochoty na sen.

- Wobec tego co byś powiedział na kolejną brandy?

- Dobry pomysł.

Prezydent przycisnął guzik dzwonka i na pokładzie pojawiła się postać w białej kurtce stewarda.

- Słucham, panie prezydencie. Czego pan sobie życzył.

- Proszę przynieść panu wiceprezydentowi i mnie jeszcze jedną brandy.

- Tak jest, sir.

Steward odwrócił się, aby spełnić polecenie, ale prezydent uniósł dłoń.

- Chwileczkę...

- Słucham, sir?

- Nie jesteście Jackiem Klosnerem, moim stewardem.

- Nie, panie prezydencie. Jestem starszym marynarzem Lee Tongiem. Zastąpiłem Klosnera o dziesiątej. Będę pełnił służbę do rana.

Prezydent był jednym z tych nielicznych polityków, którzy wiele uwagi poświęcali innym. Równie uprzejmie rozmawiał z ośmioletnim chłopcem, co z osiemdziesięcioletnią kobietą. Lubił zaskarbiać sobie względy zwykłych obywateli, zwracając się do nich po imieniu, jakby znał ich od lat.

- Czy jest pan Chińczykiem, Lee?

- Nie, sir, Koreańczykiem. Moi rodzice wyemigrowali do Ameryki w 1952.

- Dlaczego wstąpił pan do Ochrony Wybrzeża?

- Chyba dlatego, że kocham morze.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, że musi pan obsługiwać takich starych urzędasów jak ja?

Marynarz Tong zawahał się przez chwilę. Czuł się wyraźnie zakłopotany.

- No cóż... Gdybym mógł wybierać, wolałbym służyć na lodołamaczu.

- Nie jestem pewien, czy miałbym ochotę choć na chwilę znaleźć się na lodołamaczu - roześmiał się prezydent. - Proszę przypomnieć mi rano, żebym porozmawiał z komendantem Ochrony Wybrzeża Collinsem w sprawie przeniesienia. Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

- Dziękuję, panie prezydencie - wymamrotał marynarz Tong. - Zaraz przyniosę brandy dla panów.

I zanim się odwrócił, uśmiechnął się szeroko, ukazując dużą szczelinę między górnymi zębami.

Rozdział 12

Gęsta mgła nadciągnęła nad „Eagle’a”, spowijając jego kadłub lepką powłoką. Czerwone ostrzegawcze światło na maszcie radiowym po przeciwnej stronie rzeki stawało się coraz bardziej rozmyte, aż wreszcie zniknęło. Gdzieś w górze krzyknęła mewa, ale dźwięk był stłumiony i nie sposób było określić, skąd właściwie dobiega. Tekowe deski pokładu pokryły się wilgocią i połyskiwały mdło w blasku zasnutych mgłą lamp wystających znad krawędzi starego, skrzypiącego pomostu przystani.

Niemal niewidocznego jachtu pilnowała mała armia agentów Secret Service ulokowanych w strategicznych punktach malowniczego zbocza, podnoszącego się łagodnie w stronę eleganckiego, utrzymanego w kolonialnym stylu domu Jerzego Waszyngtona. Kontakt utrzymywano za pomocą miniaturowych radiostacji. Agenci, aby mieć przez cały czas wolne obie ręce, nosili mikrośłuchawki na uszach, zasilanie umocowane do pasków i mikrofony na przegubie.

Co godzina zmieniali stanowiska, przechodząc do następnej ustalonej strefy bezpieczeństwa, podczas gdy dowódca zmian chodził po całym terenie sprawdzając szczelność sieci nadzoru.

Agent Blackowl siedział w furgonie zaparkowanym na podjeździe prowadzącym do starego dworu i obserwował monitory telewizyjne. Drugi funkcjonariusz pracował przy sprzęcie łączności, a trzeci wpatrywał się w światła ostrzegawcze, połączone ze skomplikowanym

systemem alarmowym zainstalowanym na jachcie.

- Można by przypuszczać, że Krajowa Służba Meteorologiczna jest w stanie dać dokładną prognozę dla miejsca oddalonego od ich stacji o dziesięć mil - mruknął Blackowl, upijając łyk ze swojego czwartego kubka kawy tej nocy. - Mówili „lekka mgła”. Jeżeli to jest lekka mgła, to nie wiem, jak według nich wygląda naprawdę gęsta.

Agent zajmujący się łącznością radiową odwrócił się i zsunął słuchawki.

- Motorówka patrolowa informuje, że widzą zaledwie koniec swojego dziobu. Proszą o pozwolenie na podejście do brzegu i zacumowanie.

- Potwierdźcie pozwolenie - powiedział Blackowl. - Wstał i rozmasował kark, a potem klepnął łącznościowca w ramię. - Przejmę radio. Idź, prześpij się.

- Jako główny funkcjonariusz powinien pan sam iść spać.

- Nie jestem zmęczony. Poza tym i tak nic nie widzę na swoich monitorach.

Agent popatrzył na wiszący na ścianie wielki zegar.

- Pierwsza pięćdziesiąt. Za dziesięć minut kolejna zmiana posterunków.

Blackowl skinął głową i usiadł w wolnym fotelu. Kiedy tylko założył słuchawki, odebrał sygnał z kutra Ochrony Wybrzeża zakotwiczonego nie opodal jachtu.

- Kontrola, tu Rzeczna Straż.

- Kontrola, słucham - odparł Blackowl, poznając głos dowódcy kutra.

- Mamy problemy z naszą aparaturą radarową.

- Jakież?

- Sygnał dużej mocy na częstotliwości naszego radaru zakłóca odbiór.

Na twarzy Blackowla pojawił się niepokój.

- Czy uważasz, że ktoś usiłuje was zagłuszać?

- Nie sądzę. To wygląda na jakies zakłócenia łączności. Sygnał

pojawia się i zanika, jakby coś nadawano. Podejrzewam, że jakiś wariat radioamator przypadkowo włączył na naszą częstotliwość.

- Macie jakiś kontakt?

- O tej porze ruch łodzi jest minimalny - odparł dowódca kutra. - Jedyne impulsy na ekranie, jakie mieliśmy w ciągu ostatnich dwóch godzin, pochodził od pchacza z przedsiębiorstwa oczyszczania miasta, który płynął na morze z barkami śmieci.

- O której wyszedł?

- Nie wyszedł. Impuls zlał się z odbiciem brzegu rzeki kilkaset jardów w górę rzeki. Pewnie szyper pchacza zacumował, żeby przeczekać mgłę.

- Dobra, Rzeczna Straż. Informujcie mnie o waszych problemach z radarem.

- O.K. Kontrola. Rzeczna Straż bez odbioru.

Blackowl usiadł wygodnie i zaczął analizować potencjalne zagrożenia. Ponieważ ruch na rzece został unieruchomiony, niebezpieczeństwo kolizji jakiegoś innego statku z „Eagle'em” było minimalne. Radar kutra patrolowego Ochrony Wybrzeża działał wprawdzie z przerwami, ale działał. A każda próba ataku od strony rzeki była wykluczona, bowiem brak widoczności sprawiał, że precyzyjne podpłynięcie do jachtu stawało się niemal niemożliwe. Mgła okazała się nieoczekiwanym sojusznikiem.

Zerknął na zegar. Do zmiany posterunków pozostawała zaledwie minuta. Szybko odczytał plan zabezpieczenia terenu, w którym wymienione były nazwiska funkcjonariuszy, strefy, jakie mieli patrolować oraz harmonogram zmian. Zauważył, że Lyle Brock miał objąć posterunek numer siedem, na samym jachcie, podczas gdy Karla Polaskiego wyznaczono na posterunek numer sześć, na nabrzeżu.

Przycisnął włącznik nadawania i odezwał się do niewielkiego mikrofonu umocowanego do słuchawek:

- Uwaga wszystkie stanowiska. Czas zero jeden zero zero. Przejść na następny posterunek. Powtarzam, przejść na następny posterunek zgodnie z grafiką. Potem zmienił częstotliwość i wywołał kryptonim

dowódcy zmiany: - Cutty Sark, tu Kontrola.

Ed McGrath, funkcjonariusz z piętnastoletnim stażem, odezwał się niemal natychmiast:

- Tu Cutty Sark.

- Każ posterunkom sześć i siedem, żeby bacznie obserwowały rzekę.

- Niewiele zobaczą w tym paskudztwie.

- Jak wygląda sytuacja na przystani?

- Wystarczy, jeżeli powiem, że powinniśmy dostać służbowe białe laski.

- Postarajcie się - powiedział Blackowl.

Na pulpicie mrugnęło światelko. Blackowl przerwał rozmowę z McGrathem i odpowiedział na wezwanie:

- Kontrola.

- Tu Rzeczna Straż. Ten ktoś, kto wpieprzył się nam na częstotliwość radaru, nadaje teraz bez przerwy.

- Nie macie obrazu?

- Kontury terenowe są w czterdziestu procentach zakłócone. Zamiast impulsów odbieramy dużą plamę w kształcie trójkąta.

- Dobrze, dam znać funkcjonariuszowi nadzorującemu operację. Może będzie w stanie namierzyć źródło zakłóceń i uniemożliwi dalsze nadawanie.

Blackowl, zanim połączył się z Oskarem Lucasem w Białym Domu, odwrócił się i zaintrygowany popatrzył na ekrany monitorów. Nie było na nich żadnego wyraźnego obrazu, jedynie wijące się rozmyte cienie.

Funkcjonariusz Karl Polaski poprawił w uchu mikrosluchawkę radiostacji Motorola HT-220 i otarł wilgoć z wąsów. Po czterdziestu minutach warty na nabrzeżu czuł się nasiąknięty wilgocią i okropnie nieszczęśliwy. Wytarł twarz i ze zdziwieniem skonstatował, że mgła sprawia wrażenie tłustej.

Spojrzał na lampy nad głową, otoczone mdłą, żółtawą aureolą. Rozszczepione światło zabarwiało ich krawędzie wszystkimi kolorami

tęczy. „Eagle” był całkowicie zasłonięty gęstą mgłą. Z miejsca w którym się znajdował - mniej więcej pośrodku trzydziestostopowej przystani - nie było widać ani jego pokładu, ani nawet świateł pozycyjnych.

Polaski zaczął iść po podniszczonych deskach pomostu. Co chwila zatrzymywał się i nasłuchiwał. Ale do jego uszu dobiegał jedynie łagodny plusk wody uderzającej o pale pomostu i delikatny pomruk generatorów jachtu. Znajdował się w odległości zaledwie kilku kroków od końca pomostu, kiedy „Eagle” wyłonił się wreszcie z szarych, przypominających macki kłębów mgły.

Zawołał cicho Lyle’a Brocka, pełniącego służbę na jachcie:

- Hej, Lyle! Słyszysz mnie?

W odpowiedzi dobiegł go niemal szept.

- Czego chcesz?

- Nie załatwiłbyś mi kubka kawy z pentry?

- Kolejna zmiana posterunków będzie za dwadzieścia minut.

Dostaniesz kawy, kiedy mnie tu zastąpisz.

- Nie mogę czekać dwudziestu minut zaprotestował Polaski. - Jestem przemoczony do nitki.

- Trudno. Musisz wytrzymać.

Polaski wiedział, że Brock pod żadnym pozorem nie może zejść z pokładu, ale dalej prowokował kolegę:

- Poczekaj tylko. Jeszcze przyjdzie koza do woza i poprosisz mnie o przysługę.

- Skoro mowa o przysługach... Słuchaj, zapomniałem, gdzie mam następnego posterunek.

Polaski spojrzał ze zdziwieniem na postać ukrytą w cieniu nadbudówki „Eagle’a”.

- Popatrz na swój grafik, palancie.

- Przemókł mi i nie mogę go odczytać.

- Posterunek osiem jest pięćdziesiąt jardów dalej, na brzegu rzeki.

- Dzięki.

- Jeżeli chcesz wiedzieć, gdzie jest posterunek dziewięć, będzie cię to kosztowało kubek kawy - oznajmił z uśmiechem Polaski.

- Mam cię w nosie. Pamiętam.

Potem, w czasie kolejnej zmiany posterunków, mijający się funkcjonariusze - dwie niewyraźne postacie we mgle - tylko skinęli sobie ręką.

Ed McGrath nie pamiętał tak gęstej mgły. Wciągnął nosem powietrze, próbując rozpoznać dziwną woń, którą czuło się wszędzie wokół, i wreszcie uznał to za zwykły zapach oleju. Gdzieś rozległo się szczekanie psa. Zatrzymał się nasłuchując. Nie było to ujadanie wyźła ścigającego zwierzynę ani skowyt przestraszonego kundla, ale ostre szczekanie psa zaniepokojonego obecnością kogoś obcego. Sądząc z natężenia głosu, pies był w odległości jakichś siedemdziesięciu pięciu, może stu jardów za granicą strefy bezpieczeństwa.

Potencjalny zabójca, gdyby błąkał się na oślep po nieznanym terenie w czasie takiej pogody jak ta, musiałby być idiotą, chorym na umyśle albo jednym i drugim jednocześnie, pomyślał. On sam zdążył już upaść, potknąwszy się o niewidoczną we mgle gałąź, i podrapał sobie policzek, trzykrotnie zgubił drogę i niewiele brakowało, by zastrzelił go wartownik, kiedy przypadkowo wlaźł na posterunek, zanim zdążył poinformować przez radio, że nadchodzi.

Szczekanie ustało nagle i McGrath uznał, że powodem zdenerwowania psa musiał być kot albo jakieś dzikie zwierzę. Dotarł do znajomej ławki koło rozwidlenia żwirowych alejek i ruszył w kierunku brzegu rzeki niedaleko jachtu. Odezwał się do umocowanego w klapie mikrofonu:

- Posterunek osiem, zbliżam się.

Odpowiedzi nie było.

McGrath zatrzymał się.

- Brock, tu McGrath, zbliżam się do ciebie.

Wciąż cisza.

- Brock, słyszysz mnie?

Posterunek ósmy wciąż tajemniczo milczał i McGrath zaczął czuć

niepokój. Szedł bardzo wolno, krok po kroku zbliżając się do punktu strażniczego. Zawołał cicho w mgłę, która dziwnie wzmocniła jego głos. W odpowiedzi usłyszał tylko ciszę. Wywołał stanowisko kontrolne:

- Kontrola, tu Cutty Sark.

- Słucham, Cutty Sark - rozległ się w odpowiedzi zmęczony głos Blackowla.

- Zaginął funkcjonariusz na posterunku numer osiem.

W głosie Blackowla natychmiast zabrzmiały ostre nuty:

- Nie ma żadnego śladu?

- Nie.

- Sprawdź jacht - polecił bez chwili wahania Blackowl. - Powiadomię dowództwo i spotkam się tam z tobą.

McGrath westchnął i pospieszył wzdłuż brzegu w stronę przystani.

- Posterunek sześć, zbliżam się do ciebie.

- Aiken, posterunek sześć. Zbliź się.

McGrath niemal po omacku dotarł do przystani i spostrzegł pod lampą skuloną postać funkcjonariusza Aikena.

- Widziałeś Brocka?

- Żartujesz? - odparł Aiken. Nie widziałem nikogo od momentu, kiedy nadciągnęła ta cholerna mgła.

McGrath ruszył truchtem wzdłuż przystani, powtarzając ostrzeżenie. Zanim dotarł do „Eagle’a”, wyszedł mu na spotkanie Polaski.

- Brak mi Brocka - powiedział McGrath z napięciem w głosie.

Polaski wzruszył ramionami.

- Ostatni raz widziałem go pół godziny temu, w czasie zmiany posterunków.

- Dobra, zostań na pomoście. Zajrzę pod pokład. I wypatruj Blackowla. Idzie tu.

Gdy Blackowl pojawił się wreszcie w wilgotnej ciemności, mgła rzedła i przez rozstępujące się chmury można było dostrzec migoczące

słabo gwiazdy. Kiedy tylko widoczność się poprawiła, zaczął biec po ścieżce w stronę przystani. Czuł ogarniające go przerażenie, miał przeczucie, że stało się coś strasznego. Funkcjonariusze nie opuszczają posterunków bez uprzedzenia i bez powodu.

Kiedy wreszcie wskoczył na pokład jachtu, mgła zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Rubinowe światła masztu radiowego po drugiej stronie rzeki migotały w znowu czystym powietrzu. Przetoczył się koło Polaskiego i zobaczył samotnego McGratha siedzącego w sterówce i nieruchomo wpatzonego w pustkę.

Blackowl zamarł.

Twarz McGratha była blada i przypominała gipsową maskę pośmiertną. W jego oczach malowało się tak wielkie przerażenie, że Blackowl natychmiast domyślił się najgorszego.

- Prezydent...? - zapytał.

McGrath popatrzył tępo. Jego usta poruszały się, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Na rany boskie, czy prezydentowi nic się nie stało?

- Zniknął - wymamrotał wreszcie McGrath.

- O czym ty mówisz?

- Prezydent, wiceprezydent, załoga - wszyscy zniknęli.

- Oszalałeś czy co?! - krzyknął Blackowl.

- To prawda... Prawda - powiedział martwym głosem McGrath. - Sam zobacz.

Blackowl zbiegł po najbliższych schodach w dół i pobiegł do kabiny prezydenta. Bez pukania otworzył szarpnięciem drzwi. Kabina była pusta. Łóżko starannie zasłane, w szafce brak ubrań, w łazience przyborów toaletowych. Odniósł wrażenie, że ściśnięto mu serce między dwoma blokami lodu.

Jak w złym, upiornym śnie biegł od kabiny do kabiny. Wszędzie witał go ten sam widok - nawet pomieszczenia załogi były puste.

Koszmar stał się prawdą.

Wszyscy na jachcie zniknęli bez śladu - jakby ich nigdy nie było.

Część druga

„Eagle”

Rozdział 13

29 lipca 1989 roku

Waszyngton, D.C.

Kiedy telefon przy łóżku zadzwonił, Ben Greenwald, dyrektor Secret Service, ocknął się natychmiast i chwycił słuchawkę, zanim sygnał rozległ się po raz drugi.

- Tu Greenwald.

- Witam - usłyszał znajomy głos Oskara Lucasa. - Przepraszam, że pana budzę, ale wiedziałem, że z niecierpliwością oczekuje pan na wynik meczu piłki nożnej.

Greenwald zamarł w bezruchu. W Secret Service każda rozmowa telefoniczna, zaczynająca się od słowa „witam”, oznaczała pilny, ściśle tajny i dotyczący poważnej lub krytycznej sytuacji meldunek. Następne zdania były bez znaczenia, stanowiły środek ostrożności na wypadek, gdyby linia nie była w pełni bezpieczna - możliwość, z którą należało się liczyć od chwili, gdy kierowany przez Kissingera Departament Stanu pozwolił Rosjanom wybudować swoją nową ambasadę na wzgórzu nad miastem, co znacznie zwiększyło niebezpieczeństwo podsłuchu telefonicznego.

- Dobra - odparł Greenwald, starając się utrzymać ton lekkiej konwersacji. - Kto wygrał?

- Przegrał pan swój zakład.

„Zakład” był kolejnym słowem-kluczem, oznaczającym, że następne zdanie będzie zakodowane.

- Jasper College, jeden - mówił dalej Lucas. - Drink-water, zero. Trzej gracze Jaspera zostali zdjęci z boiska na skutek kontuzji.

Straszliwa wiadomość poraziła Greenwalda. Jasper College było kodowym oznaczeniem uprowadzenia prezydenta. Informacja o zdjęciu z boiska graczy oznaczała, że trzej zastępcy prezydenta również zostali porwani. Była to wiadomość, której Greenwald nie spodziewał się usłyszeć nawet w najbardziej fantastycznych snach.

- Czy na pewno nie zaszła jakaś pomyłka? - zapytał wstrząśnięty.

- Na pewno nie - odparł Lucas. Jego głos był ostry jak krawędź rozbitego szkła.

- Kto jeszcze z biurowego totalizatora zna ten wynik? Tylko Blackowl, McGrath i ja.

- I tak ma zostać.

- Żeby się zabezpieczyć - ciągnął Lucas - zapoczątkowałem mobilizację graczy z drugiego składu. Zadbalem też o przyszłych debiutantów.

Greenwald natychmiast zrozumiał, o co Lucasowi chodzi. Żony i dzieci zaginionych zostały już objęte ochroną, zatroszczono się również o ludzi, którzy byli kolejnymi sukcesorami prezydenckiego urzędu.

Nabrał głęboko powietrza i starał się uporządkować myśli. Szybkość działania była sprawą podstawową. Ale jeżeli Sowietci zorganizowali porwanie prezydenta po to, aby zdobyć przewagę niezbędną do wykonania uprzedzającego uderzenia nuklearnego, było już za późno na wszystko. Z drugiej jednak strony, fakt skutecznego usunięcia czterech najważniejszych ludzi w rządzie Stanów Zjednoczonych sugerował raczej spisek, mający na celu przejęcie władzy.

Nie było już czasu na stosowanie procedury bezpieczeństwa.

- Amen - oświadczył Greenwald, dając Lucasowi znać, że przestaje kodować rozmowę.

- Rozumiem.

Nagle Greenwaldowi zaświtała straszliwa myśl.

- Co z „tragarzem”? - zapytał nerwowo.

- Zniknął wraz z pozostałymi.

O Boże, jęknął w duchu Greenwald. Katastrofa goniła katastrofę. „Tragarzem” nazywano ironicznie wyższego oficera, który ani w dzień, ani w nocy nie odstępował prezydenta i miał przy sobie teczkę zawierającą kody zwane sygnałami uruchamiającymi, mogące spowodować odpalenie dziesięciu tysięcy strategicznych głowic nuklearnych, skierowanych na wybrane cele w Związku Radzieckim. Jeżeli te supertajne kody wpadły w obce ręce, groziło to koszmarnymi, trudnymi do wyobrażenia konsekwencjami.

- Niech pan powiadomi Przewodniczącego Komitetu Szefów Sztabów - polecił. - A potem niech pan wyśle grupy ochrony po sekretarzy departamentów Stanu i Obrony, a także po doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego. Niech ich przewiozą do Pokoju Sytuacyjnego Białego Domu.

- Czy mam sprowadzić kogoś ze sztabu prezydenta?

- Niech pan sprowadzi Dana Fawcetta. Ale na razie ma to być zamknięty klub. Dopóki nie uda się nam opanować sytuacji, im mniej osób będzie wiedziało, że „tragarz” zniknął, tym lepiej.

- W takim razie może lepiej będzie przeprowadzić spotkanie gdzie indziej, nie w Pokoju Sytuacyjnym? Prasa przez cały czas obserwuje Biały Dom. Rzuca się jak szarańcza, gdy tylko zobaczą, że najważniejsze osoby w państwie zjeżdżają tam o tak wczesnej porze.

- Ma pan rację - odparł Greenwald. Myślał przez chwilę i wreszcie rzekł: - Wobec tego niech to będzie Obserwatorium.

- Rezydencja wiceprezydenta?

- Prawie nigdy nie widuje się tam samochodów prasy.

- Zgromadzę tam wszystkich najszybciej, jak się da.

- Dobrze. I jeszcze jedno...

- Słucham?

- Powiedz krótko, co się właściwie stało?

Wyczuł lekkie wahanie, ale wreszcie Lucas odpowiedział:

- Wszyscy zniknęli z prezydenckiego jachtu.

- Jasne - stwierdził posępnie Greenwald, choć nic nie było dla niego jasne.

Nie tracił więcej czasu na rozmowę. Odłożył słuchawkę i ubrał się pośpiesznie. Jadąc do Obserwatorium poczuł, jak żołądek ściskają mu skurcze. Była to spóźniona reakcja na katastrofalne wieści. W oczach robiło mu się ciemno i miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Oszołomiony, jechał pustymi o tej porze ulicami stolicy. Jedynie z rzadka widać było ciężarówki dostawcze. Większość świetlnych sygnalizatorów błyskała tylko ostrzegawczymi żółtymi sygnałami.

Zbyt późno spostrzegł, że miejska zmiatarka zrobiła gwałtowny skręt. Przednią szybę jego samochodu przesłonił nagle potężny biały pojazd. Słyszając rozpaczliwy pisk opon, siedzący w szoferce kierowca rzucił się w bok. Jego szeroko otwarte oczy błyszczały w świetle reflektorów Greenwalda.

Rozległ się zgrzyt dartej metalu i trzask rozbryzgującego się szkła. Maskę samochodu wygięła się, wyleciała w górę, a kierownica wbiła się w pierś Greenwalda, miażdżąc mu klatkę piersiową.

Greenwald siedział, przygwożdżony do fotela, podczas gdy woda ze strzaskanej chłodnicy wyciekała z sykiem, spowijając parą silnik samochodu. Siedział z otwartymi oczyma i wydawało się, że z roztargnieniem patrzy na abstrakcyjne wzory pęknięć na przedniej szybie.

Oskar Lucas stał przed kominkiem umieszczonym w kącie saloniku rezydencji wiceprezydenta i relacjonował sprawę porwania prezydenta. Co kilka sekund zerkał nerwowo na zegarek, zastanawiając się, co zatrzymuje Greenwalda. Pięciu siedzących w pokoju mężczyzn słuchało go w ogromnym napięciu.

Sekretarz Obrony, Jesse Simmons, zagryzł mocno ustnik nie zapalanej fajki z pianki morskiej. Miał na sobie letnią sportową kurtkę i spodnie, podobnie jak Dan Fawcett i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, Alan Mercier. Generał Clayton Metcalf był w mundurze, a

Douglas Oates, Sekretarz Stanu, w nienagannym ciemnym garniturze i krawacie.

Lucas skończył relację i czekał na pytania. Zamiast nich jednak zapadła długa cisza. Jego słuchacze po prostu siedzieli nieruchomo, kompletnie oszołomieni.

Oates pierwszy przerwał milczenie.

- Dobry Boże! - westchnął. - Jak to się mogło zdarzyć? W jaki sposób wszyscy na jachcie mogli się tak zwyczajnie rozplątać w powietrzu?

- Nie wiemy - odparł bezradnie Lucas. - Nie mogłem przecież wysłać na miejsce wydarzenia ekipy dochodzeniowej. Ben Greenwald zablokował przepływ informacji o tej sprawie. Poza obecnymi w tym pokoju jedynie trzech pracownicy Secret Service - z Greenwaldem włącznie - znają te fakty.

- Musi być jakieś logiczne wytłumaczenie - powiedział Mercier. Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. - Tych dwudziestu ludzi nie zostało porwanych przez jakieś siły nadprzyrodzone czy przybyszów z kosmosu. Jeżeli, podkreślam, jeżeli prezydent i inni rzeczywiście zniknęli z „Eagle’a”, musiał to być doskonale zorganizowany spisek.

- Zapewniam pana, sir, że tak było - oznajmił Lucas, patrząc doradcy prezydenta prosto w oczy. - Mój zastępca stwierdził, że jacht jest całkowicie pusty.

- Mówił pan, że była gęsta mgła - ciągnął Mercier.

- Tak to przedstawił Blackowl.

- Czy mogli w jakiś sposób przeniknąć przez wasz kordon bezpieczeństwa i odjechać?

Lucas pokręcił głową.

- Nawet jeżeli dzięki mgłę udało im się wyminąć moje posterunki ochronne, to ich ruchy zostałyby wykryte przez systemy alarmowe, które rozmieściliśmy wokół posiadłości.

- Pozostaje więc rzeka - zauważył Jesse Simmons. Sekretarz Departamentu Obrony był małomównym człowiekiem, wypowiadającym się najczęściej w telegraficznym skrócie. Ogorzała cera świadczyła, że całe weekendy poświęca nartom wodnym. -

Załóżmy, że na „Eagle’a” wtargnięto od strony rzeki. Załóżmy, że zostali siłą przeniesieni na inną jednostkę.

Oates spojrział na Simmonsa z powątpiewaniem.

- Z pana sugestii wynika, że to sprawka Czarnobrodego...

- Funkcjonariusze ochrony patrolowali przystań i brzegi rzeki - wyjaśnił Lucas. - Nie sposób było bezszelestnie obezwładnić i uprowadzić tylu ludzi.

- Może zostali uśpieni - wysunął przypuszczenie Dan Fawcett. To możliwe - przyznał Lucas.

- Spójrzmy na to od innej strony - zaproponował Oates. - Sądzę, że zamiast się zastanawiać, w jaki sposób przeprowadzono porwanie, powinniśmy skoncentrować się na ustaleniu jego powodów oraz sił, które za tym stoją. A potem będziemy mogli zaplanować nasze działania.

- Zgadzam się z panem - przytaknął Simmons. Odwrócił się do Metcalfa. - Generale, czy istnieją jakieś przesłanki, że zrobili to Rosjanie, aby uzyskać czasową przewagę dla przeprowadzenia pierwszego uderzenia?

- Gdyby tak było - odparł Metcalf - ich strategiczne siły rakietowe załatwiłyby nas już godzinę temu.

- W dalszym ciągu mogą to zrobić.

Metcalf pokręcił przecząco głową.

- Nic nie wskazuje na wprowadzenie przez nich stanu pogotowia. Nasze źródła informacyjne na Kremlu nie zawiadamiają o żadnych oznakach wzmożonej aktywności osiemdziesięciu podziemnych moskiewskich ośrodków dowodzenia, a zwiad satelitarny nie odnotował koncentracji wojsk wzdłuż granicy wschodniego bloku. Poza tym, prezydent Antonow odbywa właśnie oficjalną wizytę w Paryżu.

- A więc raczej nie grozi nam trzecia wojna światowa - stwierdził z ulgą Mercier.

- To jeszcze nie wszystko - powiedział Fawcett. - Oficer z kodowymi sygnałami nakazującymi wykonanie uderzenia nuklearnego również zniknął.

- O to możemy się już nie martwić - odparł Metcalf i po raz pierwszy uśmiechnął się. - Kiedy tylko Lucas poinformował mnie o zaistniałej sytuacji, poleciłem zmianę oznaczeń kodowych.

- Czy uniemożliwia to wykorzystanie starych kodów do złamania nowych?

- W jakim celu?

- Szantaż lub szaleńcza próba zadania Rosjanom pierwszego ciosu.

- Nie ma takiej możliwości - oznajmił Metcalf stanowczo. - Jest tam zbyt wiele zabezpieczeń. Do licha, przecież nawet prezydent nie mógłby w przystępie szaleństwa uruchomić samodzielnie całego naszego systemu nuklearnego. Rozkaz rozpoczęcia działań wojennych musi zostać przekazany za pośrednictwem Sekretarza Obrony Simmonsa i Komitetu Szefów Sztabów. Jeżeli któryś z nas byłby przekonany, że rozkaz jest nieuzasadniony, może go odwołać.

- W porządku - powiedział Simmons. - W takim razie odłóżmy chwilowo na bok hipotezę radzieckiego spisku czy rozpoczęcia przez nich działań wojennych. Co nam pozostaje?

- Cholernie mało - mruknął Mercier.

Metcalf spojrział na Oatesa.

- W obecnej sytuacji, panie sekretarzu, zgodnie z konstytucją to pan obejmuje stanowisko.

- Oczywiście - przytaknął Simmons. - Dopóki nie odnajdziemy żywego prezydenta, Margolina, Larimera lub Morana, jest pan pełniącym obowiązki prezydenta.

Przez kilka sekund w gabinecie panowała cisza. Wyrazista twarz Oatesa pobleadła i wydało się, że nagle postarzał się o pięć lat. Po chwili jednak opanował się i w jego oczach pojawił się chłodny błysk.

- Przede wszystkim - oznajmił spokojnie - musimy działać tak, jakby nic się nie stało.

Mercier odchylił się do tyłu i nie widzącym wzrokiem popatrzył na wysoki sufit. - Z całą pewnością nie możemy zwołać konferencji prasowej i oświadczyć, że zapodziliśmy gdzieś cztery najważniejsze osoby w państwie. Nie wyobrażam sobie reperkusji, jakie wywołałby

przeciek na ten temat. Ale nie zdołamy ukryć tej sprawy przed prasą dłużej niż kilka godzin.

- Musimy również rozważyć możliwość, że ludzie odpowiedzialni za porwanie wystąpią z ultimatum albo zażądadają okupu za pośrednictwem środków masowego przekazu - dodał Simmons.

Metcalf spojrział na niego z powątpiewaniem.

- Przypuszczam, że jeżeli dojdzie do kontaktu, porywacze będą chcieli rozmawiać z sekretarzem Oatesem i prawdopodobnie zażądadają czegoś więcej niż pieniędzy.

- Nie mogę niczego zarzucić pańskiemu rozumowaniu, generale - stwierdził Oates. - Ale przede wszystkim musimy wciąż ukrywać fakt uprowadzenia i grać na zwłokę, dopóki nie znajdziemy prezydenta.

Metcalf wyglądał jak ateista, którego na lotnisku dopadł wyznawca Hare Kriszny.

- Lincoln powiedział: „Nie można oszukiwać wszystkich bez przerwy”. Niełatwo będzie ukryć dłużej niż jeden dzień nieobecność prezydenta i wiceprezydenta. I nie zdołamy po prostu przekreślić Larimera i Morana, zbyt liczą się w Waszyngtonie. A poza tym pozostaje sprawa załogi „Eagle’a”. Co pan powie rodzinom?

- Jack Sutton! - zawołał Fawcett, jakby nagle go olśniło.

- Kto...? - spytał Simmons.

- Aktor, sobowtór prezydenta, naśladowujący go w reklamówkach i telewizyjnych programach rozrywkowych.

Oates wyprostował się.

- Chyba rozumiem, do czego pan zmierza. Podobieństwo jest uderzające, ale nigdy się nam to nie uda, przynajmniej nie w przypadku bezpośredniego spotkania. Sutton niezbyt dobrze naśladuje głos prezydenta i każdy z jego bliskiego otoczenia natychmiast rozpozna fałsz.

- Owszem, ale z odległości trzydziestu stóp nawet własna żona go nie odróżni.

- Czemu ma to służyć? - spytał Metcalf Fawcetta.

- Rzecznik prasowy Thompson może wystosować komunikat, że

prezydent spędza robocze wakacje na swojej farmie w Nowym Meksyku, analizując reakcje Kongresu na jego program pomocy dla krajów Europy Wschodniej. Korpus prasowy Białego Domu będzie trzymany na uboczu. To normalna sytuacja, kiedy prezydent nie ma ochoty odpowiadać na pytania. Zobaczą tylko z daleka, jak wsiada - to znaczy jak wsiada aktor Sutton - do śmigłowca, którym uda się do bazy lotniczej Andrews, skąd odleci Air Force One. Oczywiście mogą polecieć za nim późniejszym samolotem, ale nie dostaną pozwolenia wstępu na samą farmę.

- A może fałszywy wiceprezydent poleci razem z Suttonem? - zaproponował Mercier.

- Nie mogą podróżować razem - przypomniał Lucas.

- Wobec tego wyślijmy go samolotem, który startuje w nocy - powiedział Mercier. - Prasa niezbyt interesuje się Margolinem. Nikt nie zauważy zamiany.

- Mogę zadbać o szczegóły wiążące się z Białym Domem - zaproponował Fawcett.

- Dwaj załatwieni - oznajmił Simmons. - A co z Larimerem i Moranem?

- Mamy nieparzysty rok - powiedział Mercier, coraz bardziej przekonując się do planu Fawcetta. - Kongres ma w sierpniu całomiesięczną przerwę - a więc już za dwa dni. Może wymyślimy wspólną wyprawę wędkarską albo wycieczkę do jakiejś zapadłej dziury?

Simmons pokręcił głową.

- Wyprawa wędkarska odpada.

- Dlaczego?

Simmons uśmiechnął się krzywo.

- Wszyscy w Kapitolu wiedzą, że Moran i Larimer żyją ze sobą jak pies z kotem.

- Mniejsza o to. Klub wędkarski jako miejsce konferencji dotyczącej polityki międzynarodowej wydaje się logicznym miejscem - stwierdził Oates. - Napiszę notatkę w imieniu Departamentu Stanu.

- A co powiemy urzędnikom ich biura?

- Jest sobota. Mamy dwa dni na załatwienie z nimi tej sprawy.

Simmons zaczął zapisywać w notesie.

- Załatwiliśmy czterech. Pozostaje jeszcze załoga „Eagle’a”.

- Mam wrażenie, że wymyśliłem dobrą legendę - zaproponował Metcalf. - Załatwię to z Komendantem Ochrony Wybrzeża. Rodziny członków załogi zostaną poinformowane, że jacht otrzymał rozkaz wypłynięcia w nie zaplanowany rejs na ściśle tajną wojskową konferencję. Bez podawania żadnych szczegółów.

Oates rozejrzał się po pokoju, spoglądając kolejno na swych współtowarzyszy.

- Jeżeli nie ma dalszych pytań...

- Kogo jeszcze poinformujemy o tej maskaradzie? - spytał Fawcett.

- To niezbyt odpowiednie słowo, Dan - odparł Oates. - Nazwijmy to „dezinformacją”.

- Przede wszystkim musimy zawiadomić Emmetta z FBI - stwierdził Metcalf. - Zajmie się dochodzeniem na terenie kraju. A CIA musi dostać polecenie zbadania tezy o międzynarodowym spisku.

- Dotknął pan paskudnej sprawy, generale - stwierdził Simmons.

- Nie rozumiem, sir.

- Założmy, że prezydent i cała reszta zostali już wywiezieni z kraju...

W pokoju zaległa ponura cisza. Była to ewentualność, o której żaden z nich nie miał odwagi myśleć. Gdyby prezydent znalazł się poza zasięgiem ich środków działania, efektywność poszukiwań zmniejszyłaby się o osiemdziesiąt procent.

- Mogą również nie żyć - powiedział po chwili opanowanym głosem Oates. - Musimy jednak działać tak, jakby żyli i byli przetrzymywani gdzieś w Stanach Zjednoczonych.

- Lucas i ja poinstruujemy Emmetta oraz Brogana - zgłosił się na ochotnika Fawcett.

Rozległo się stukanie do drzwi. Pojawił się funkcjonariusz Secret Service, podszedł do Lucasa i powiedział mu coś na ucho. Lucas uniósł brwi i lekko zbladł. Funkcjonariusz wyszedł z pokoju, zamykając za

sobą drzwi.

Oates spojrział pytającym wzrokiem na Lucasa.

- Jakież nowe złe wiadomości, Oskarze?

- Ben Greenwald - odparł apatycznie Lucas. - Zginął trzydzieści minut temu. Zderzył się z pojazdem służb oczyszczania miasta.

Oates nie tracił czasu na wyrazy współczucia.

- Na podstawie moich czasowych pełnomocnictw mianuję pana nowym dyrektorem Secret Service.

Lucas wyraźnie drgnął.

- Nie, proszę. Nie sądzę, żebym...

- Nie ma sensu szukać kogoś innego - przerwał mu Oates. - Bez względu na to, czy podoba się to panu, czy nie, Oskarze, jest pan jedynym, kogo można mianować na to stanowisko.

- Jakoś nie wydaje mi się właściwe, żebym miał zostać awansowany za to, że zgubiłem ludzi, których przysięgałem strzec - stwierdził z przygnębieniem Lucas.

- To moja wina - oznajmił Fawcett. - Nalegałem, żeby ten rejs się odbył, mimo że pańscy ludzie nie mogli w tak krótkim terminie osiągnąć stanu pełnej gotowości.

- Nie ma czasu na samokrytykę - rzucił ostro Oates. - Każdy z nas ma coś do roboty. Proponuję, żebyśmy zabrali się do pracy.

- Kiedy powinniśmy się znowu spotkać?

Oates spojrział na zegarek.

- Za cztery godziny - odparł. - W Pokoju Sytuacyjnym Białego Domu.

- Jeżeli wszyscy pojawimy się tam jednocześnie, możemy zawalić całą sprawę - stwierdził Fawcett.

- Istnieje podziemny tunel służbowy, który prowadzi z piwnic budynku Departamentu Skarbu po przeciwległej stronie ulicy - wyjaśnił Lucas. - Niektórzy z panów mogą wejść nim niepostrzeżenie.

- Dobry pomysł - zgodził się Metcalf. - Możemy przyjechać do budynku Departamentu Skarbu nie oznakowanymi samochodami rządowymi, przejść pod ulicą i wjechać windą do Pokoju Sytuacyjnego.

- A więc wszystko uzgodniliśmy - oznajmił Oates wstając z fotela. -
Jeżeli którykolwiek z panów marzył o występach na scenie, to teraz
będzie miał okazję. Ale chyba nie muszę wyjaśniać, że jeśli położymy tę
sztukę, szlag może trafić nie tylko nasz teatrzyk...

Rozdział 14

Po ostrym klimacie Alaski gorące, wilgotne powietrze Karoliny Południowej przypominało saunę. Pitt zatelefonował, a potem wynajął samochód w porcie lotniczym Charleston. Pojechał na południe autostradą 52 w stronę miasta i zjechał z niej w kierunku rozłożonej szeroko bazy Marynarki Wojennej. Skręcił w Spruill Avenue i po przejechaniu mniej więcej mili dotarł do wielkiego budynku z czerwonej cegły. Umieszczona na jego dachu stara, podrdzewiała wywieszka głosiła, iż jest to ZJEDNOCZENIE METALURGICZNO-KOTLARSKIE „ALHAMBRA”.

Zaparkował samochód i przeszedł pod wysokim żelaznym łukiem, z którego zwisała tablica z datą 1861. Pomieszczenia recepcyjne oszołomiły go. Wyposażenie było ultranowoczesne, wszędzie połyskiwał chrom. Miał wrażenie, że znalazł się wewnątrz jakiejś fotografii z „Architectural Digest”.

Milutkie młodziutkie stworzonko uniosło wzrok, uśmiechnęło się wstrzemięźliwie i zapytało:

- W czym mogę panu pomóc, sir?

Pitt spojrział w ciemnozielone oczy i odpowiedział:

- Telefonowałem z lotniska i umówiłem się na rozmowę z panem Hunleyem. Nazywam się Pitt.

Przypomniała sobie natychmiast, ale jej uśmiech nie zmienił się ani trochę.

- Tak, pan Hunley oczekuje pana. Proszę tędy.

Zaprowadziła go do gabinetu utrzymanego w brązowej tonacji. Pitta ogarnęło nagle uczucie, że topi się w owsiance. Korpulentny uśmiechnięty mężczyzna niewielkiego wzrostu wstał zza gigantycznego biurka w kształcie nerki i wyciągnął rękę.

- Witam, panie Pitt. Jestem Charles Hunley.

- Dzień dobry, panie Hunley - odparł Pitt ściskając mu dłoń. - Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć.

- Nie ma za co. Pański telefon pobudził moją ciekawość. Od prawie czterdziestu lat nikt nie pytał o naszą produkcję kotłów okrętowych.

- Wyszliście państwo z rynku?

- Już dawno. Zaprzestaliśmy tej produkcji latem pięćdziesiątego pierwszego. Można powiedzieć, że był to koniec epoki. Mój prapradziadek walcował płyty pancerne dla Marynarki Wojennej Konfederacji. Po drugiej wojnie światowej ojciec uznał, że nadeszła pora zmian. Zaczął produkować metalowe meble. Jak się okazało, była to mądra decyzja.

- Może przypadkiem zachowaliście waszą starą dokumentację produkcyjną? - spytał Pitt.

- W przeciwieństwie do was, Jankesów - oznajmił Hunley z chytrym uśmiechem - my, chłopcy z Południa, pilnujemy wszystkiego, łącznie z naszymi kobietami.

Pitt roześmiał się i nie pytał, jakim cudem jego kalifornijskie pochodzenie uczyniło z niego Jankesa.

- Po pańskim telefonie - ciągnął Hunley - zacząłem poszukiwania w naszym archiwum. Nie podał mi pan daty, ale ponieważ dostarczyliśmy do statków typu Liberty jedynie czterdzieści wodno-rurkowych kotłów o podanych przez pana parametrach, w ciągu piętnastu minut znalazłem fakturę z wymienionymi numerami seryjnymi. Niestety nie mogę panu powiedzieć niczego poza tym, co już pan wie.

- Czy kotły były dostarczane zakładom, które produkowały silniki, czy bezpośrednio do stoczni?

Hunley wziął do ręki leżącą na biurku kartkę pośliskłego papieru i

czytał ją przez chwilę.

- Mam tu informację, że przekazaliśmy te kotły do stoczni w Savannah czternastego czerwca 1943 roku. Wziął do ręki następną kartkę. - Mam tu również raport jednego z naszych pracowników, który przeprowadził kontrolę kotłów po ich zamontowaniu na statku i podłączeniu do silników. W moich dokumentach podana jest tylko nazwa jednostki.

- Tak, znam ją - odparł Pitt. - To był „Pilottown”.

Hunley ponownie przeczytał raport inspektora i na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

- Chyba mówimy o dwóch różnych statkach.

Pitt spojrzał na niego.

- Czy mogła zajść jakaś pomyłka?

Tylko w przypadku, jeżeli źle pan przepisał numer seryjny.

- Robiłem to starannie - stwierdził stanowczo Pitt.

- W takim razie nie wiem, co mam panu odpowiedzieć - odparł Hunley, podając mu dokument nad blatem biurka. - Ale według raportu inspektora kocioł numer 38 874 został zamontowany na statku, który nosił nazwę „San Marino”.

Rozdział 15

Członkini Kongresu Loren Smith czekała na platformie widokowej, kiedy samolot, którym Pitt leciał z Charlestonu, wylądował w Porcie Lotniczym imienia Jerzego Waszyngtona. Zaczęła machać ręką, aby zwrócić jego uwagę, i Pitt uśmiechnął się w odpowiedzi. Jej gest był zupełnie zbyteczny. Dostrzegają ją od razu, nawet z daleka.

Była wysoką kobietą, miała nieco ponad pięć stóp i osiem cali wzrostu. Kasztanowe włosy otaczały jej twarz, podkreślając lekko wystające kości policzkowe i ciemnofioletowe oczy. Miała na sobie różową bawełnianą tunikę z wykładanym kołnierzem i długimi podwiniętymi rękawami. Szarfa w chińskie wzory, którą była przepasana w talii, stanowiła eleganckie wykończenie ubrania.

Robiła wrażenie subtelnej, wyrafinowanej osoby, ale pod tą maską można było wyczuć pewną trzpiotowatość. Loren już drugą kadencję była przedstawicielką stanu Kolorado. Uwielbiała swoją pracę, to była kwintesencja jej życia. Zazwyczaj kobieca i łagodna, gdy walczyła w Kongresie o jakąś sprawę, zmieniała się w dziką tygrysy. Koledzy podziwiali zarówno jej inteligencję, jak i urodę. Ceniła sobie prywatność i jeżeli tylko jej obecność nie była absolutnie konieczna, unikała przyjęć oraz bankietów. Jedyną pozasłużbową pasją Loren był wieczny romans z Pittem.

Podeszła do Pitta i pocałowała go delikatnie w usta.

- Witaj w domu, wędrowcze.

Objął ją i ruszyli oboje w stronę punktu odbioru bagażu.

- Dziękuję, że przyjechałaś po mnie.

- Pożyczyłam sobie jeden z twoich samochodów. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- To zależy - odpowiedział. - Który?

- Mój ulubiony. Niebieski talbot-lago.

- Kabriolet z karoserią Saoutchika? Masz kosztowne gusta. To samochód za 200 000 dolarów.

- Och, kochanie, mam nadzieję, że nie porysowałam go na parkingu. Pitt zrobił poważną minę.

- Jeżeli to zrobiłaś, niepodległy stan Kolorado będzie miał wakat w Kongresie.

Złapała go za ramię i roześmiała się.

- Bardziej dbasz o swoje samochody niż o swoje kobiety.

- Samochody nigdy nie zrzędzą i nie narzekają.

- Wiem również o paru innych rzeczach, których nie robią - powiedziała z filuternym uśmiechem.

Przeszli przez zatłoczony budynek dworca lotniczego i zatrzymali się w punkcie odbioru bagażu. Wreszcie taśma transportera ruszyła z pomrukiem i Pitt odebrał swoje obie walizki. Wyszli na zewnątrz, w szary, parny poranek i zobaczyli niebieskiego talbota-lago z 1948 roku, stojącego spokojnie pod bacznyim wzrokiem funkcjonariusza służby bezpieczeństwa lotniska. Pitt usiadł wygodnie na miejscu pasażera, Loren zaś wsunęła się za kierownicę. Smukły samochód miał kierownicę z prawej strony i kiedy Pitt siedział na lewym miejscu, patrząc na jadące z przeciwka samochody, zawsze miał wrażenie, że nie zmieści się na swojej połowie szosy.

- Czy zadzwoniłaś do Perlmuttera? - zapytał.

- Mniej więcej godzinę przed twoim lądowaniem - odparła. - Był zupełnie miły jak na kogoś, kogo wyrwało się z głębokiego snu. Powiedział, że poszuka w swojej bibliotece informacji na temat statków, o które pytałaś.

- Jeżeli ktoś coś wie o statkach, to tylko St. Julien Perlmutter.

- Przez telefon sprawia dość niezwykle wrażenie.
- To za mało powiedziane. Poczekaj, aż go zobaczysz.

Przez parę chwil bez słowa spoglądał na mijaną okolicę. Gdy Loren jechała na północ wzdłuż George Washington Memorial Parkway, a potem skręciła na Francis Scott Key Bridge, do Georgetown, on przyglądał się Potomacowi.

Nie lubił Georgetown. Nazywał je „Niby-miasto”. Ponure domy z cegły wyglądały, jakby wykonano je z jednej piernikowej formy. Loren skierowała talbota na N Street. Zaparkowane samochody tłoczyły się przy krawężnikach, w rynsztokach leżały śmiecie, żywopłoty wzdłuż chodników były nierówno przystrzyżone, a jednak Georgetown stanowiło cztery kwartały najdroższych chyba nieruchomości w całym kraju. Maleńkie domy, myślał Pitt, wypełnione gigantycznymi *ego*.

Loren wcisnęła się w puste miejsce przy krawężniku i wyłączyła zapłon. Zamknęli samochód i poszli między dwoma spowitymi dzikim winem domami do stojącej z tyłu wozowni. Zanim Pitt podniósł wykonaną w kształcie kotwicy kołatkę z brązu, drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich wielki, ważący niemal czterysta funtów mężczyzna. Jego jasnyniebieskie oczy błyszcząły, a purpurowa twarz była niemal całkowicie zasłonięta gęstą grzywą włosów i krzaczastą brodą. Gdyby jeszcze miał mały kartoflowaty nos, wyglądałby zupełnie jak zaniedbany Święty Mikołaj.

- Dirk! - zahuczał basowo. - Gdzieś ty przepadał?

St. Julien Perlmutter ubrany był w purpurową jedwabną piżamę i czerwono-złoty szlafrok. Objął Pitta swymi potężnymi łapskami i bez najmniejszego wysiłku przeniósł w niedźwiedzim uścisku przez próg. Loren patrzyła na to szeroko rozwartymi ze zdziwienia oczyma. Nigdy dotąd nie zetknęła się osobiście z Perlmutterem i nie była przygotowana na ten widok.

- Jeżeli mnie pocałujesz, Julien - oznajmił stanowczo Pitt - kopnę cię w klejnoty.

Perlmutter roześmiał się basowo i wypuścił Pitta z objęć.

- Wchodźcie, wchodźcie. Właśnie przygotowałem śniadanie. Musisz

umierać z głodu po podróży.

Pitt przedstawił Loren. Perlmutter z europejską gracją ucałował jej dłoń, a potem zaprowadził ich do olbrzymiego pokoju spełniającego jednocześnie funkcje salonu, gabinetu i sypialni. Ściany od sufitu do podłogi zastawione były regałami uginającymi się pod tysiącami książek. Książki leżały na stołach i na krzesłach. Ich sterty znajdowały się nawet na olbrzymim wodnym łóżku kołyszącym się w alkowie.

Perlmutter posiadał, zdaniem ekspertów, najwspanialszy zbiór książek dotyczących historycznych statków, jaki kiedykolwiek został zgromadzony. Przynajmniej dwadzieścia morskich muzeów robiło podchody, aby zapisać swoją kolekcję ich bibliotekom.

Poprosił Loren i Pitta, aby usiedli przy stole o rozmiarach pokrywy łuku, zastawionym eleganckimi srebrami i porcelaną ze znakiem francuskiej transatlantyckiej linii pasażerskiej.

- Jakie to piękne - zauważyła z podziwem Loren.

- To ze słynnego francuskiego liniowca pasażerskiego „Normandie” - wyjaśnił Perlmutter. - Znalazłem to wszystko w magazynie, gdzie je umieszczono, zanim statek spalił się i przewrócił w nowojorskim porcie.

Poczęstował ich niemieckim śniadaniem. Najpierw był sznaps, cienkie plastry westfalskiej szynki garniowanej piklami oraz pumpernikiel, a potem ziemniaczane knedle ze śliwkami.

- Smakuje wspaniale - oznajmiła Loren. - Dobrze jest dla odmiany zjeść czasem coś poza jajkami na bekonie.

- Jestem wielbicielem niemieckiej kuchni - roześmiał się Perlmutter, klepiąc się po olbrzymim brzuchu. - O wiele treściwsza od tego wykwintnego francuskiego żarcia.

- Czy znalazłeś jakieś informacje dotyczące „San Marino” i „Pilottown”? - spytał Pitt, podejmując interesujący go temat.

- Tak, znalazłem. - Perlmutter wy dostał się z za stołu i wkrótce powrócił z wielkim zakurzonym rejestrem statków typu Liberty. Nałożył okulary do czytania i otworzył księgę na zaznaczonej stronie.

- O, tutaj. „San Marino”, zwodowany przez Georgia Shipbuilding Corporation w lipcu 1943 roku. Kadłub numer 2356, sklasyfikowany

jako drobnicowiec. Pływał w konwojach atlantyckich aż do końca wojny. Uszkodzony przez torpedę wystrzeloną z U-573. Dotarł do Liverpoolu o własnych siłach i został wyremontowany. Sprzedany po wojnie Bristol Steamship Company z Bristolu w Anglii. W 1956 roku sprzedany Manx Steamship Company z Nowego Jorku. Rejestracja panamska. Zaginał z całą załogą na północnym Pacyfiku w 1966 roku.

- A więc to był jego koniec.

- Może tak, może nie - stwierdził Perlmutter. - Mam tu dopisek. Znalazłem wiadomość w innym źródle. Mniej więcej trzy lata po uznaniu statku za zaginiony pan Rodney Dewhurst, agent ubezpieczeniowy Lloyda w Singapurze, zauważył zacumowany w porcie statek, który wydał mu się znajomy. Jego borny przeładunkowe były niezwykle zaprojektowane, widział takie na jednym jedynym liberciaku. Udało mu się dostać na pokład i po dokładniejszym obejrzeniu statku zaczął coś podejrzewać. Niestety był to dzień świąteczny. Stracił kilka godzin, zanim udało mu się znaleźć przedstawicieli władz portowych, a potem przekonać ich, że należy zatrzymać statek w porcie w celu przeprowadzenia śledztwa. Zanim dotarli do basenu portowego, statek już dawno odpłynął. Kiedy zbadano dokumentację, okazało się, że to „Belle Chasse”, rejestracja koreańska, własność Sosan Trading Company w Inchon, w Korei. Portem docelowym statku było Seattle. Dewhurst zaalarmował Policję Portową w Seattle, ale „Belle Chasse” nigdy tam nie przybyła.

- Co wzbudziło podejrzenia Dewhursta? - spytał Pitt.

- Kontrolował „San Marino”, zanim podpisał jego umowę ubezpieczeniową, i był całkowicie pewien, że „San Marino” i „Belle Chasse” to jeden i ten sam statek.

- Z całą pewnością „Belle Chasse” pojawił się w innym porcie? - spytała Loren.

Perlmutter pokręcił głową.

- Zniknął ze wszystkich dokumentów na całe dwa lata - do chwili, kiedy doniesiono, że został złomowany w Pusan, w Korei. - Przerwał i popatrzył na siedzących za stołem. - Czy to ci w czymś pomoże?

Pitt wypił łyk sznapsa.

- Jeszcze nie wiem. - Krótko opowiedział o odnalezieniu „Pilottown”, nie wspominając jednak o ładunku substancji „N”. Poinformował natomiast o odkryciu numeru seryjnego kotła okrętowego i poszukiwaniach w Charlestonie.

- A więc stary „Pilottown” został wreszcie odnaleziony - westchnął z zadumą Perlmutter. - Nie będzie już błędzić po morzach.

- Ale to odkrycie otworzyło puszkę Pandory - powiedział Pitt. - Dlaczego kocioł, w który był wyposażony „San Marino”, miałby być zainstalowany na „Pilottown”? To nie pasuje. Obydwa statki były najprawdopodobniej budowane na sąsiednich pochylniach i zostały zwodowane mniej więcej w tym samym czasie. Miejscowy inspektor musiał się pomylić. Po prostu odnotował kocioł w niewłaściwym kadłubie.

- Z przykrością psuję ci twój ponury nastrój - rzekł Perlmutter - ale możesz się mylić.

- Czy nie ma związku pomiędzy tymi dwoma statkami?

Perlmutter zerknął na Pitta znad okularów.

- Owszem, ale nie taki, o jakim myślisz. - Ponownie otworzył księgę i zaczął czytać na głos: - Statek typu Liberty „Burt Pulver”, następnie „Rosthena” i „Pilottown”, zwodowany przez Astoria Iron and Steel Company w Portland, stan Oregon, w listopadzie 1942 roku...

- Wybudowano go na Wybrzeżu Zachodnim? - przerwał mu zaskoczony Pitt.

- Tak. Około dwu i pół tysiąca mil w linii prostej od Savannah - odpowiedział Perlmutter. - I dziewięć miesięcy przed „San Marino”. - Odwrócił się do Loren. - Czy ma pani ochotę na kawę?

Loren wstała.

- Rozmawiajcie dalej. Ja ją zrobię.

Perlmutter spojrział na Pitta i mrugnął szelmowsko.

- Jest zabójcza.

Pitt skinął głową i powiedział:

- Przecież to nielogiczne, żeby producent kotłów z Charlestonu

wyposażał statek na drugim krańcu kraju, w Oregonie, skoro stocznia w Savannah znajduje się w odległości zaledwie dziewięćdziesięciu mil.

- Zupełnie nielogiczne - zgodził się Perlmutter.

- Co jeszcze masz o „Pilottown”?

Perlmutter znów zaczął czytać:

- Kadłub numer 793, również sklasyfikowany jako drobnicowiec. Sprzedany po wojnie Kassandra Phosphate Company Limited w Atenach. Rejestracja grecka. Wszedł na mieliznę z ładunkiem fosfatów koło wybrzeży Jamajki w czerwcu 1954. Ściągnięto go na wodę cztery miesiące później. Sprzedany w 1962 roku Sosan Trading Company...

- Z Inchon w Korei - skończył za niego Pitt. - Mamy pierwsze powiązanie.

Loren wróciła niosąc na tacy małe filiżanki i podała kawę.

- To doprawdy zaszczyt - powiedział Perlmutter z galanterią. - Nigdy dotąd nie byłem obsługiwany przez członka Kongresu.

- Mam nadzieję, że kawa nie jest zbyt mocna - zauważyła Loren, upijając łyk ze swojej filiżanki i krzywiąc się.

- Nieco fusów na dnie czyni ospały umysł bystrzejszym - pocieszył ją filozoficznie Perlmutter.

- Wracając do „Pilottown” - ciągnął Pitt - co się z nim stało po 1962 roku?

- Nie ma żadnych zapisów na jego temat aż do 1979, kiedy to odnotowano, że zatonął w sztormie na północnym Pacyfiku z całą załogą. Potem, kiedy parokrotnie pojawił się koło wybrzeży Alaski, stał się znany jako statek-widmo.

- A więc zaginął w tym samym rejonie co „San Marino” - rzekł z namysłem Pitt. - Kolejne możliwe powiązanie.

- Mam wrażenie, że ścigacie iluzje - oznajmiła Loren. - Nie pojmuję, do czego to wszystko ma was zaprowadzić.

- Ja również nie bardzo wiem - skinął głową Perlmutter. - Tu nie ma żadnego konkretnego związku.

- Uważam, że jest - stwierdził stanowczo Pitt. - To, co zaczęło się jako zwykłe oszustwo ubezpieczeniowe, przekształca się w operację

maskującą zakrojoną na o wiele większą skalę.

- Czemu się tym interesujesz? - spytał Perlmutter i spojrzął Pittowi prosto w oczy.

Dirk patrzył przed siebie nie widzącym wzrokiem.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Pewnie to poufne śledztwo na rządowe zlecenie?

- Działam na własną rękę, ale sprawa wiąże się z projektem o klauzuli najwyższej tajności.

Perlmutter poddał się dobrodusznie.

- Dobra, stary przyjacielu, nie zadaję dalszych wścibskich pytań. - Nałożył sobie kolejny knedel. - Jeżeli podejrzewasz, że statkiem pogrzebanym w pyłe wulkanicznym jest „San Marino”, a nie „Pilottown”, to do czego nas to prowadzi?

- Do Inchon w Korei. Sosan Trading Company może posiadać klucz do tej sprawy.

- Nie trać czasu. Najprawdopodobniej jest to tylko szyld, nazwa na świadectwie rejestracji. I podobnie jak w przypadku większości spółek armatorskich, wszystkie ślady prowadzące do właściciela kończą się na numerze skrytki pocztowej. Gdybym był na twoim miejscu, uznałbym to za beznadziejny przypadek.

- Zupełnie nie masz zadatków na trenera drużyny futbolowej - roześmiał się Pitt. Twoja mowa w szatni podczas przerwy zniechęciłaby wszystkich zawodników, nawet gdyby prowadzili dwudziestoma punktami.

- Można prosić o jeszcze jednego sznapsa? - mruknął Perlmutter, podstawiając Pittowi swój kieliszek. - Powiem ci, co zrobię. Moi dwaj przyjaciele, z którymi koresponduję podczas poszukiwań badawczych, to Koreańczycy. Poproszę, żeby sprawdzili dla ciebie Sosan Trading.

- I stocznię w Pusan. Może są tam jakieś dokumenty dotyczące złomowania „Belle Chasse”?

- Dobra, dorzucę i to.

- Jestem ci wdzięczny za pomoc.

- Nie mogę dać żadnych gwarancji.

- Wcale ich nie oczekuję.
- Jaki będzie twój następny ruch?
- Roześlę komunikaty do prasy.

Loren spojrzała na niego zdziwiona.

- Co roześlesz...?

- Komunikaty do prasy - odparł bez troski Pitt. - Komunikaty, w których poinformuję o odkryciu zarówno „San Marino”, jak i „Pilottown” i przedstawię projekt przeprowadzenia oględzin obu wraków przez NUMA.

- Kiedy wymyśliłeś to wariactwo? - spytała Loren.

- Jakies dziesięć sekund temu.

Perlmutter popatrzył na Pitta wzrokiem psychiatry, który ma właśnie orzec beznadziejny przypadek choroby umysłowej.

- Nie widzę celu tego wszystkiego.

- Nikt na świecie nie jest wolny od grzechu ciekawości - stwierdził Pitt z podstępny błyskiem zielonych oczu. Ktoś z macierzystej spółki, której własnością są te statki, zechce sprawdzić tę historię i może będzie musiał zrezygnować z anonimowości zapewnianej przez korporację. A wtedy złapię ich za tyłek.

Rozdział 16

Kiedy Oates wszedł do Pokoju Sytuacyjnego Białego Domu, wszyscy mężczyźni siedzący wokół stołu konferencyjnego powstali. Był to wyraz szacunku dla człowieka, na którego barkach spoczywała obecnie przyszłość narodu. Niektórzy obecni w pokoju nie mieli zaufania do jego chłodnej powściągliwości i wysokiego mniemania o sobie. Teraz jednak odrzucili osobiste uprzedzenia i skupili się u jego boku.

Oates usiadł w fotelu u szczytu stołu. Gestem poprosił wszystkich, aby zajęli swoje miejsca, i zwrócił się do Sama Emmetta, burkliwego szefa FBI, i Martina Brogana, wytwornego, o profesorskim wyglądzie dyrektora CIA.

- Czy otrzymaliście, panowie, pełne informacje?

Emmett skinął głową w stronę Fawcetta, siedzącego przy przeciwległym krańcu stołu.

- Dan przedstawił nam sytuację.

- Czy któryś z was zdobył jakieś dane w tej sprawie?

Brogan pokręcił wolno głową.

- Nie mogę tak od ręki przypomnieć sobie niczego, co wskazywałoby na organizowanie operacji na taką skalę. Nie oznacza to jednak, że nie mogliśmy czegoś błędnie zinterpretować.

- Jestem właściwie w tej samej sytuacji co Martin - dodał Emmett. - Nie mamy żadnych poszlak.

Następne pytanie Oatesa skierowane było znowu do Brogana:

- Czy dysponujemy jakimiś danymi, które pozwalałyby nam podejrzewać Rosjan?

- Radziecki przywódca uważa, że nasz prezydent nie stanowi dla nich tak wielkiego zagrożenia jak Reagan. Narażałby się na bardzo poważną konfrontację, gdyby amerykańskie społeczeństwo dowiedziało się, że jego rząd był zamieszany w tę sprawę. Poza tym nie widzę, co Rosjanie mogliby na tym zyskać.

- A co ty o tym wszystkim sądzisz, Sam? - zwrócił się Oates do Emmetta. - Czy mogą to być działania inspirowane przez terrorystów?

- Zbyt skomplikowane. Ta operacja wymagała olbrzymiej pracy i ogromnych sum pieniędzy. Zaplanowana została z niezwykłą precyzją. To zdecydowanie przekracza możliwości jakiegokolwiek organizacji terrorystycznej.

- Czy macie jakieś koncepcje? - zwrócił się Oates do pozostałych.

- Przychodzi mi na myśl przynajmniej czterech arabskich przywódców, którzy mogliby mieć powody do szantażowania Stanów Zjednoczonych - oznajmił generał Metcalf. - Chociażby Kadafi...

- Z całą pewnością mają odpowiednie środki finansowe stwierdził Sekretarz Obrony Simmons.

- Ale raczej brak im takiego wyrafinowania - dodał Brogan.

Alan Mercier, doradca do spraw bezpieczeństwa, uniósł rękę prosząc o głos.

- Moim zdaniem ten spisek ma swoje korzenie tu, w kraju, a nie za granicą.

- Z czego pan to wnosi? - spytał Oates.

- Nasze naziemne i kosmiczne systemy nasłuchowe rejestrują wszystkie rozmowy telefoniczne i radiowe na całym świecie i nie jest dla nikogo tajemnicą, że nasze nowe komputery dziesiątej generacji są w stanie złamać wszystkie szyfry opracowane zarówno przez Rosjan, jak i naszych sojuszników. Należy przyjąć, że operacja na taką skalę wymagałaby przepływu informacji w międzynarodowej sieci łączności... - Mercier przerwał, chcąc w ten sposób podkreślić znaczenie

swoich ostatnich słów. - Nasi analitycy nie odnaleźli w obcych przekazach niczego, co mogłoby mieć jakikolwiek związek z tym, co się wydarzyło.

Simmons przez chwilę ssał fajkę.

- Sądzę, że Alan ma rację - powiedział.

- Dobrze - oznajmił Oates. - Uznajemy zagraniczny szantaż za mało prawdopodobny. A co będzie, jeżeli założymy, że sprawcy są domowego chowu?

Tym razem odezwał się milcząco do tej pory Dan Fawcett:

- Jest to wprawdzie dość naciągane, ale nie możemy wykluczyć możliwości spisku, który miałby na celu obalenie rządu.

Oates usiadł głębiej w fotelu i rozprostował ramiona.

- Może nie jest to tak naciągane, jak sądzimy. Prezydent rozpoczął zacieklą kampanię wymierzoną przeciwko instytucjom finansowym i wielonarodowym korporacjom. Jego programy podatkowe bardzo obcięły ich dochody. Teraz przekazują pieniądze do sejfów komitetu wyborczego opozycji w takim tempie, że ich banki ledwo nadążają wystawiać czeki.

- Ostrzegalem go przed trzymaniem się koncepcji, iż należy pomóc biednym, nakładając podatki na bogatych - rzekł Fawcett. - Ale nie chciał mnie słuchać. Odsunął od siebie zarówno naszych biznesmenów, jak i pracujące klasy średnie. Dlaczego politycy nie mogą zrozumieć, że przeważająca większość amerykańskich rodzin, w których pracuje również żona, mieści się w widełkach pięćdziesięcioprocentowego podatku?

- Prezydent ma wielu wrogów - przytaknął Mercier. - Wydaje mi się jednak nieprawdopodobne, by jakaś potężna korporacja zdołała wykraść prezydenta i przywódców Kongresu tak, żeby instytucje ochrony prawa i porządku nie miały żadnych przecieków.

- Zgadzam się z tym - stwierdził Emmett. - Musiałoby być w to wplątanych zbyt wiele osób. Ktoś mógłby się przestraszyć i zdradzić cały plan.

- Sądzę, że powinniśmy chwilowo zaprzestać teoretyzowania -

oznajmił Oates. - Wracajmy do konkretów. Przede wszystkim należy wszcząć dochodzenie, zachowując jednocześnie pozory, że wszystko jest w porządku. Proszę wykorzystać jakąkolwiek legendę, którą uznacie panowie za przekonującą. Jeżeli to tylko możliwe, nie wtajemniczajcie w sprawę nawet waszych najbliższych współpracowników.

- Gdzie w czasie trwania śledztwa będzie stanowisko dowodzenia? - spytał Emmett.

- Tu. Będziemy się spotykać co osiem godzin, aby ocenić zgromadzone informacje i skoordynować nasze działania.

Simmons pochylił się do przodu.

- Mam pewien problem. Dzisiaj po południu powinienem polecieć do Kairu na konferencję z egipskim ministrem obrony...

- Z całą pewnością musi pan lecieć - odparł Oates. - Proszę postępować zupełnie normalnie. Generał Metcalf zastąpi pana w Pentagonie.

Emmett poprawił się w fotelu.

- Jutro rano mam wystąpić przed studentami prawa w Princeton - powiedział.

Oates myślał przez chwilę.

- Proszę powiedzieć, że ma pan grypę i nie może przyjechać. - Odwrócił się do Lucasa. - Oskarże, niech pan wybaczy to, co powiem, ale mam wrażenie, jest pan obecnie osobą najmniej niezastąpioną. Proszę pojechać tam zamiast Sama. Z całą pewnością nikt nie będzie podejrzewać, że porwano prezydenta, jeżeli nowy dyrektor Secret Service znajdzie czas na wygłoszenie mowy.

Lucas skinął głową.

- Pojadę.

- Doskonale. - Oates popatrzył na siedzących wokół stołu. - Proszę rozplanować swoje działania tak, aby znaleźć się tu z powrotem o drugiej. Może do tej pory już się czegoś dowiemy.

- Wysłałem na jacht doborową grupę techniczną - poinformował Emmett. - Jeżeli będziemy mieli szczęście, może znajdą jakieś istotne

poszlaki.

- Módlmy się o to. - Oates przygarbił się i wbił spojrzenie w blat stołu. - O Boże - mruknął. - Czy jest jakiś sposób, żeby z tego wybrnąć?

Rozdział 17

Blackowl stał na nabrzeżu i patrzył na grupę agentów FBI krążących się po „Eagle’u”. Musiał przyznać, że byli sprawni. Każdy z nich był specjalistą w jakiejś gałęzi techniki kryminologicznej. Sprawdzali jacht od zęzy po czubek anteny.

W stronę zaparkowanych na nabrzeżu ciężarówek wędrowały meble, dywany i inne przedmioty stanowiące wyposażenie „Eagle’a” wszystko, co nie było umocowane do pokładu. Znalazło się tego sporo. Każdy przedmiot był starannie owijany plastykiem i spisywany.

Przybyli nowi agenci, rozszerzając obszar poszukiwań tak, że obejmował teraz teren w promieniu mili od rezydencji pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Badali każdy cal kwadratowy gruntu, wszystkie drzewa i zarośla. W wodzie wokół jachtu płetwonurkowie sprawdzali muliste dno.

Funkcjonariusz kierujący akcją zauważył Blackowla przyglądającego się ich działaniom z rampy załadowniczej i podszedł do niego.

- Czy ma pan zezwolenie na przebywanie w tej strefie? - zapytał. Blackowl bez słowa pokazał mu swoją legitymację służbową.
- Co sprowadza Secret Service w weekend do Mount Vernon?
- Zadanie treningowe - odparł konwersacyjnym tonem Blackowl.
- A FBI?
- To samo. Dyrektor pewnie pomyślał sobie, że obrastamy w tłuszcz,

i zarządził nam nadzwyczajne ćwiczenia.

- Szukacie czegoś szczególnego? - spytał Blackowl obojętnym tonem.

- Mamy pokazać, co potrafimy powiedzieć o ludziach przebywających ostatnio na pokładzie jachtu - identyfikacja na podstawie odcisków palców, miejsca ich odnalezienia, i tak dalej. Sam pan wie.

Zanim Blackowl zdołał odpowiedzieć, na żwirowej ścieżce prowadzącej do przystani pojawił się Ed McGrath. Jego czoło lśniło od potu, twarz miał czerwoną. Blackowl domyślił się, że Ed biegł całą drogę.

- Przepraszam, George wysapał między spazmatycznymi haustami powietrza. - Masz chwilę czasu?

- Oczywiście. - Blackowl skinął dłonią funkcjonariuszowi FBI. - Miło było pogawędzić z panem.

- Mnie również.

Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem głosu, Blackowl zapytał cicho:

- Co się stało, Ed?

- Chłopaki z FBI znaleźli coś, co powinieneś zobaczyć.

- Gdzie?

- Jakies sto pięćdziesiąt jardów w górę rzeki, ukryte między drzewami. Pokażę ci.

McGrath poprowadził go ścieżką nad brzegiem rzeki. Kiedy zakreśliła w stronę zewnętrznych budynków rezydencji, ruszyli prosto środkiem wypielegnowanego trawnika. Potem ponad ogrodzeniem przedostali się na drugą stronę i znaleźli się wśród dziko rosnących zarośli. Przedzierając się przez gęstwinę, nagle natknęli się na dwóch techników dochodzeniowych z FBI, którzy stali pochyleni i oglądali dwa duże zbiorniki podłączone do czegoś, co przypominało prądnice elektryczne.

- Co to jest, u diabła? - zapytał Blackowl bez powitania.

Jeden z mężczyzn uniósł głowę.

- To generatory dymu.

Blackowl spojrzał na nich ze zdziwieniem. A potem jego źrenice

rozszerzyły się nagle.

- Generatory dymu! - wykrztusił. - Aparatura do wytwarzania sztucznej mgły!

- Właśnie. Marynarka Wojenna umieszczała je na niszczycielach podczas drugiej wojny światowej. Służyły do stawiania zasłony dymnej.

- Chryste! - westchnął Blackowl. - A więc tak to zrobili!

Rozdział 18

Urządowy Waszyngton w czasie weekendów zmienia się w miastowidmo. Machina rządowa zatrzymuje się ze zgrzytem o piątej po południu w piątek i zapada w sen aż do poniedziałku rano, kiedy to z oporami budzi się do życia, jak zimny silnik samochodu. Po odejściu brygad sprzątaczy olbrzymie budynki stają się martwe jak mauzolea. Wyłączane są nawet systemy telefoniczne.

Tylko turystów jest zawsze pełno. Włączają się po Mall i pętają po Kapitolu, wspinają po niezliczonych schodach i gapią z otwartymi ustami na wnętrza kopuły.

Koło południa niektórzy zaglądali właśnie przez żelazne ogrodzenie wokół Białego Domu, kiedy pojawił się prezydent, szybko przeszedł przez trawnik i beztriosko pomachał im ręką wsiadając do śmigłowca. W ślad za nim szła niewielka grupka doradców i agentów służby bezpieczeństwa. Przedstawiciele korpusu prasowego było niewielu. Większość siedziała w domu i oglądała w telewizji rozgrywki baseballowe albo grała na polach golfowych.

Fawcett i Lucas stali w Portalu Południowym i patrzyli do momentu, aż niezgrabna maszyna wzbiła się nad E Street i lecąc w stronę bazy lotniczej Andrews, powoli zmieniła się w niewielką kropkę.

- To była szybka robota - oznajmił cicho Fawcett. - Udało ci się przeprowadzić zamianę w czasie krótszym niż pięć godzin.

- Moi pracownicy z biura w Los Angeles wytropili Suttona i wrzucili

go do kabiny myśliwca marynarki F-20 czterdzieści minut po zaalarmowaniu.

- Co z Margolinem?

- Jeden z moich agentów jest w miarę podobny. Znajdzie się na pokładzie rządowego odrzutowca lecącego do Nowego Meksyku, gdy tylko zapadnie zmierzch.

- Czy można mieć pewność, że twoi ludzie nie popełnią jakiejś niedyskrecji w tej sprawie?

Lucas spojrzał ostro na Fawcetta.

- Trzymanie języka za zębami jest podstawą ich szkolenia. Jeżeli powstanie jakiś przeciek, to ze sztabu prezydenta.

Fawcett uśmiechnął się blade. Zdawał sobie sprawę, że porusza się po niepewnym gruncie. Niezdyscyplinowanie sztabu Białego Domu było dla prasy złotą żyłą.

- Nie mogą wypaplać tego, o czym nie wiedzą - stwierdził.

- Na farmie będą dobrze pilnowani - odparł Lucas. - Kiedy tylko przyjadą na miejsce, dopilnuję, żeby nikt nie mógł opuścić posiadłości i żeby cała łączność była pod kontrolą.

- Jeżeli jakiś korespondent zorientuje się, co się dzieje, Watergate w porównaniu z tym będzie wyglądało jak niewinne igraszki.

- Jak żony przyjęły wiadomość?

- Współpracują w pełni - wyjaśnił Fawcett. - Pierwsza Dama i pani Margolin postanowiły pozostać w swoich sypialniach pod pretekstem, że złapały jakąś infekcję.

- I co teraz? - zapytał Lucas. - Co możemy jeszcze zrobić?

- Będziemy czekać - odparł Fawcett drewnianym głosem. - Musimy to wytrzymać, dopóki nie znajdziemy prezydenta.

- Mam wrażenie, że przeciążasz obwody - stwierdził Don Miller, zastępca Emmetta, dyrektora FBI.

Emmett nie zwrócił uwagi na jego słowa. W ciągu kilku minut po powrocie do mieszczącej się na rogu Pennsylvania Avenue i Tenth

Street siedziby Biura ogłosił ogólny alarm, a potem stan pogotowia dla wszystkich delegatur w pięćdziesięciu stanach i wszystkich agentów działających w misjach za granicą. Potem wydał rozkaz wydobywania dokumentacji każdego przestępcy lub terrorysty, który specjalizował się w porwaniach.

Oficjalnym powodem alarmu, jaki został podany sześciu tysiącom agentów Biura, była zdobyta jakoby przez Seact Service informacja o planowanym porwaniu Sekretarza Stanu Oatesa oraz innych, nie znanych z nazwiska oficjalnych osobistości.

- To może być poważny spisek - oświadczył Emmett wymijająco. - Nie możemy liczyć na to, że Secret Service się myli.

- Mylili się już - stwierdził Miller.

- Ale nie teraz.

Miller popatrzył na Emmetta z zaskoczeniem.

- Podajeś cholernie mało wyjściowych informacji, na których można by się oprzeć. Skąd taka wielka tajemnica?

Emmett nie odpowiedział, więc po chwili milczenia Miller położył na biurku trzy teczki i zmienił temat:

- Tutaj są ostatnie dane o porwaniach dokonanych przez OWP, uprowadzeniach zakładników przez meksykańską Brygadę imienia Zapaty i jedna sprawa, co do której jestem zupełnie głupi.

Emmett spojrzał na niego zimno.

- Mógłbyś wyrażać się jaśniej?

- Wątpię, czy istnieje tu jakiś związek, ale ponieważ zachowywali się dziwnie...

- O kim mówisz? - zapytał z naciskiem Emmett. Wziął teczkę i otworzył ją.

- Radziecki przedstawiciel w Organizacji Narodów Zjednoczonych, o nazwisku Aleksiej Ługowoj...

- Wybitny psycholog - zauważył Emmett czytając akta.

- Tak. Zniknął wraz z kilkoma swoimi współpracownikami ze Światowej Rady Zdrowia.

Emmett uniósł wzrok znad papierów.

- Zgubiliśmy ich?

Miller skinął głową.

- Nasi agenci nadzorujący ONZ zameldowali, że Rosjanie opuścili budynek w piątek wieczorem...

- Mamy dopiero sobotę rano - przerwał mu Emmett. - To, o czym mówisz, zdarzyło się zaledwie przed kilkoma godzinami. Dlaczego coś podejrzewasz?

- Starali się ze wszystkich sił, żeby zgubić naszych ludzi. Specjalny agent kierujący nowojorskim biurem dowiedział się, że żaden z Rosjan nie wrócił do swojego mieszkania czy hotelu. Zniknęli wszyscy razem, jednocześnie.

Mamy coś o Ługowoju?

- Wszystko wskazuje na to, że jest w porządku. Sprawia wrażenie, iż stara się trzymać z daleka od agentów KGB działających przy radzieckiej misji.

- A jego personel?

- Nie zaobserwowano, by ktokolwiek z nich zajmował się działalnością szpiegowską.

Emmett patrzył przez chwilę w zamyśleniu. W normalnej sytuacji zlekceważyłby ten meldunek albo najwyżej zleciłby rutynową kontrolę. Teraz jednak dręczyły go wątpliwości. To, że prezydent i Ługowoj zniknęli tej samej nocy, mogło być dziełem przypadku, ale mogło też być inaczej.

- Chciałbym poznać twoją opinię na ten temat, Don - powiedział wreszcie.

- Trudno tu coś wyrokować - odparł Miller. - Mogą pojawić się w ONZ w poniedziałek rano, jakby nic się nie stało. Ale mógłbym się założyć, że to nienaganne zachowanie Ługowoja i jego ludzi jest tylko zasłoną dymną.

- W jakim celu?

- Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami Miller.

Emmett zamknął teczkę.

- Niech nowojorskie biuro zajmuje się tym dalej. Gdy tylko się

pojawia, chcę o tym natychmiast wiedzieć.

- Im dłużej o tym myślę - stwierdził Miller - tym bardziej mnie to intryguje.

- Co takiego?

- Jakież to tajemnice wagi państwowej chciałyby nam wykraść banda radzieckich psychologów?

Rozdział 19

Dobrze prosperujący magnaci okrętowi podróżują w wielkim stylu. Z luksusowych jachtów przesiadają się do prywatnych odrzutowców, ze wspaniałych willi przenoszą do wytwornych apartamentów hotelowych i tak wędrują po świecie w nie kończącej się pogoni za władzą i bogactwem.

Min Koryo Bougainville z głębokim lekceważeniem odnosiła się do takiego stylu życia. Całe dni spędzała w swoim biurze, a noce w niewielkim, lecz eleganckim mieszkaniu piętro wyżej. Wobec większości spraw zachowywała obojętność i jej jedyną słabością było zamiłowanie do chińskich antyków.

Kiedy miała dwanaście lat, ojciec sprzedał ją Francuzowi, właścicielowi niewielkiej, lecz dobrze prosperującej linii okrętowej składającej się z trzech parowych trampów, pływających do przybrzeżnych portów między Pusan i Hongkongiem. Urodziła Renemu Bougainville trzech synów. Potem wybuchła wojna i Japończycy zajęli Chiny i Koreę, Rene zginął w czasie nalotu, a trzech synowie, wcieleni przymusowo do Cesarskiej Armii Japońskiej, zaginęli bez wieści gdzieś na południowym Pacyfiku. Z całej rodziny przy życiu pozostała tylko Min Koryo i jej jedyny wnuk - Lee Tong.

Po kapitulacji Japonii Min Koryo wydobyla i wyremontowała jeden ze statków męża zatopiony podczas działań wojennych w porcie Pusan. Powoli odbudowała flotę Bougainville'a, kupując stare drobnicowce z

demobilu za cenę złomu. Linia przynosiła niewielkie zyski, ale Min Koryo wytrwała do chwili, aż Lee Tong zrobił magisterium w Wharton School of Business na Uniwersytecie Pensylwania i włączył się do zarządzania firmą. Wtedy, niemal jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, Linie Żeglugowe Bougainville zaczęły nagle dysponować jedną z największych flotylli na świecie. Kiedy własnością Min Koryo było już 138 statków drobnicowych i tankowców, Lee Tong przeniósł główne biura do Nowego Jorku. Zgodnie z trzydziestoletnim rytuałem co wieczór siadywał koło łóżka babci, aby omówić aktualne problemy ich rozległego imperium finansowego.

Lee Tong miał mylący wygląd dobrodusznego chińskiego wieśniaka. Na jego krągłej brązowej twarzy wiecznie widniał uśmiech. Gdyby Departament Sprawiedliwości i federalne organy ścigania postanowiły zamknąć dochodzenia w sprawie nie rozwiązanych przestępstw na morzu, powinny zainteresować się bliżej działalnością, którą prowadził. Nie mieli jednak nawet jego teczek. Krył się w cieniu swojej babki, nie figurował ani w spisie dyrektorów, ani nawet pracowników Linii Żeglugowych Bougainville. Ale to właśnie on, anonimowy członek rodziny, doprowadził firmę do rozkwitu.

Był zbyt mądry, aby składać swój los w ręce najemników, wolał sam przeprowadzać wszelkie nielegalne operacje. Jego ręce często spływały krwią - nie gardził morderstwem, jeżeli miało przynieść zysk.

Siedział teraz w pełnej szacunku odległości od wezgłowia Min Koryo, trzymając między nierównymi zębami długą srebrną cygarniczkę. Nie pochwałała jego nałogu, ale on traktował palenie jako drobny przejaw niezależności.

- Do jutra FBI będzie wiedziało, w jaki sposób zniknął prezydent - powiedziała Min Koryo.

- Wątpię - odparł z głębokim przekonaniem Lee Tong. - Są dobrzy, ale nie do tego stopnia. Na pewno zajmie im to jakieś trzy dni. A następnego tydzień - odnalezienie statku.

- Czy to wystarczająco dużo czasu, aby nie zostało żadnych luźnych nitok, które mogłyby doprowadzić do nas?

- Wystarczająco, *aunumi* - odparł Lee Tong, używając koreańskiego zwrotu oznaczającego matkę. - Bądź spokojna, wszystkie nici prowadzą do grobu.

Min Koryo skinęła głową. Sens jego słów był zupełnie jasny. Siedmiu ludzi, którzy pomagali Lee Tongowi w porwaniu, zostało przez niego osobiście zamordowanych.

- Wciąż nie ma wiadomości z Waszyngtonu? - spytała.

- Ani słowa. Biały Dom działa, jakby nic się nie stało. Posługują się sobowtórem prezydenta.

Spojrzała na niego.

- Skąd się o tym dowiedziałeś?

- Dziennik o szóstej. Kamery telewizji pokazały prezydenta wsiadającego na pokład Air Force One. Odlatywał na swoją farmę w Nowym Meksyku.

- A inni?

- Chyba również mają dublerów.

Min Koryo upiła łyk herbaty z filiżanki.

- To irytujące, że musimy być uzależnieni od Oatesa i gabinetu prezydenta do chwili, kiedy Ługowoj będzie gotów.

- Właśnie oni zapewniają nam kamuflaż - rzekł Lee Tong. - Nie odważą się złożyć jakiegokolwiek oświadczenia, dopóki nie będą wiedzieli, co się stało z prezydentem.

Min Koryo popatrzyła na liście herbaciane na dnie filiżanki.

- Mimo wszystko wciąż sądzę, że ugryźliśmy zbyt wielki kęs.

Lee Tong odpowiedział:

- Kongresmani to po prostu ryby, które wpadły w tę samą sieć.

- Ale nie Margolin. To był twój plan, żeby zwabić go na jacht.

- Oczywiście. Aleksiej Ługowoj stwierdził, że jego doświadczenia były uwieńczone sukcesem jedenaście na piętnaście razy. Jeżeli nie uda mu się z prezydentem, będzie miał dodatkowego królika doświadczalnego, aby doprowadzić do oczekiwanego rezultatu.

- Chciałeś powiedzieć trzy dodatkowe króliki.

- Jeżeli włączysz w to jeszcze Larimera i Morana, to tak.

- A jeżeli Ługowojowi uda się w każdym przypadku? - zapytała Min Koryo.

- Im więcej, tym lepiej - odparł Lee Tong. - Nasz wpływ sięgnie dalej, niż początkowo zamierzaliśmy. Ale czasami zastanawiam się, *aunumi*, czy zyski finansowe warte są ryzyka uwięzienia i utraty naszej firmy.

- Nie zapominaj, wnuku, że Amerykanie w czasie wojny zabili mojego męża, twój ojca i jego dwóch braci.

- Pragnienie zemsty nie jest dobrym doradcą.

- Musimy więc tym bardziej uważać, aby Rosjanie nas nie oszukali. Prezydent Antonow zrobi wszystko, by uniknąć zapłacenia naszej należności.

- Jeżeli byłby aż tak głupi, żeby zdradzić nas w tym najważniejszym momencie, to cały projekt będzie dla niego stracony.

- Oni tak nie rozumują - stwierdziła poważnym tonem Min Koryo. - Sposób działania komunistów opiera się na braku zaufania. Uczciwość jest dla nich czymś nie do pojęcia. I to, mój wnuku, jest ich piętą Achillesa.

- Co więc o tym sądzisz?

- Będziemy dalej grali rolę uczciwych, ale naiwnych współników. - Umilkła i zastanawiała się chwilę.

- A kiedy projekt Ługowoja zostanie ukończony? - przerwał jej milczenie Lee Tong.

Podniosła wzrok i na jej twarzy pojawił się sprytny uśmiezek. Popatrzyła na niego chytrze.

- Wtedy wyciągniemy im dywan spod nóg.

Rozdział 20

Kiedy ludzie Bougainville'ów w połowie drogi zabrali Rosjan z promu na Staten Island, skonfiskowano im wszystkie dokumenty i zegarki, zawiązano oczy, a na uszy założono słuchawki, z których płynęła spokojna muzyka. Parę minut później wystartowali z ciemnych wód portu na pokładzie odrzutowego wodnopławca.

Mieli wrażenie, że lot był bardzo długi. Potem nastąpiło lądowanie tak łagodne, że musiało się odbyć na powierzchni jeziora. Po dwudziestominutowej jeździe zdezorientowanych Rosjan przeprowadzono metalowym chodnikiem do windy. Kiedy z niej wysiedli, poprowadzono ich korytarzem do sypialni, zdjęto opaski i słuchawki.

Aparatura, którą oddano im do dyspozycji, wywarła na Ługowaju głębokie wrażenie. Wyposażenie elektroniczne i laboratoryjne było o wiele lepsze od tego, jakie kiedykolwiek widział w Związku Radzieckim. Wszystkie zamówione przez niego elementy wyposażenia zostały zainstalowane na właściwym miejscu i były już podłączone. Pomyślano również o wygodzie Rosjan. Każdy z nich miał swoją własną sypialnię z łazienką, a na końcu korytarza znajdowała się elegancko urządzona jadalnia, obsługiwana przez doskonałego koreańskiego kucharza i dwóch kelnerów.

Umebłowanie, kuchenne zamrażarki i piecyki, wyposażenie biurowe i punkt kontroli danych miały zharmonizowaną kolorystykę, a

ściany i dywany utrzymane były w tonacji zimnego błękitu i zieleni.

Ale to samowystarczalne miejsce zamieszkania było jednocześnie luksusowym więzieniem. Ludziom Ługowoja nie pozwolono wychodzić na zewnątrz. Drzwi windy były stale zamknięte i nie posiadały żadnych przycisków sterujących. Ługowoj sprawdził wszystkie pomieszczenia i nie znalazł ani jednego okna czy jakiegokolwiek wyjścia. Z zewnątrz nie dobiegały żadne odgłosy.

Dalsze badania przerwało przybycie jego podopiecznych. Byli półprzytomni na skutek działania środków uspokajających i zupełnie nie reagowali na otoczenie. Wszyscy czterej zostali umieszczeni w oddzielnych pojemnikach zwanych kokonami. Ich wyściełane wnętrza pozbawione były jakichkolwiek szwów, wszystkie rogi były zaokrąglone. Skąpe odbite światło zabarwiało kokony jednolitą szarością. Specjalnie skonstruowane ściany ekranowały wszystkie dźwięki oraz prąd elektryczny, który mógłby wpłynąć na pracę mózgu.

Ługowoj ze swoimi dwoma pomocnikami siedział przy konsoli i obserwował szereg kolorowych monitorów pokazujących ludzi leżących w kokonach. Trzech z nich znajdowało się w stanie przypominającym trans, a jeden na pograniczu świadomości - podatny na sugestie i całkowicie zdezorientowany. Był pod działaniem specyfików, które pozbawiły go kontroli nad mięśniami i skutecznie sparaliżowały całe ciało. Jego głowę przykrywała plastikowa mycka.

Ługowoj wciąż nie był w stanie ogarnąć myśłą potęgi, która znalazła się w jego dyspozycji. Zadrzał wewnętrznie, zdając sobie sprawę, że rozpoczyna jedno z największych doświadczeń stulecia. To, czego dokona w ciągu kilku najbliższych dni, będzie w stanie odmienić świat równie radykalnie jak wynalezienie energii atomowej.

- Doktor Ługowoj?

Skupienie Ługowoja prysło, kiedy dobiegł go czyjś obcy głos. Odwrócił się, zaskoczony. Zobaczył krępego mężczyznę o grubo ciosanej, słowiańskiej twarzy i rozczochranych czarnych włosach. Sprawiał wrażenie, jakby wyszedł ze ściany.

- Kim pan jest? - wykrztusił.

Obcy mężczyzna odezwał się cicho, jakby nie chciał, żeby go podsłuchano:

- Suworow. Paweł Suworow, zagraniczna służba bezpieczeństwa.
Ługowoj zbladł.

- Mój Boże, jesteście z KGB? Jak się tu dostaliście?

- Łut szczęścia - mruknął Suworow. - Od chwili przyjazdu do Nowego Jorku byliście pod obserwacją mojej sekcji. Po waszej podejrzaney wizycie w biurach Linii Żeglugowej Bougainville sam objąłem nadzór. Byłem na promie, kiedy skontaktowali się z wami ludzie, którzy wszystkich tu przywieźli. W ciemności bez kłopotu zmieszałem się z waszym personelem i razem z nim dotarłem aż tutaj. Od chwili przybycia siedziałem w swoim pokoju.

- Czy macie pojęcie, w co się wpakowaliście? - zapytał zaczerwieniony ze złości Ługowoj.

- Jeszcze nie - odparł nie zmieszany Suworow. - Ale moim obowiązkiem jest się tego dowiedzieć.

- Ta operacja została zatwierdzona na najwyższym szczeblu. Nie podlega KGB.

- Sam to osądzę...

- Jeżeli będziecie mi przeszkadzać w pracy - syknął Ługowoj - zostanie z was kupka nawozu na syberyjskim mrozie.

Suworow powoli zaczynał się orientować, że chyba przekroczył swoje kompetencje.

- Może będę mógł jakoś wam pomóc - powiedział pojednawczym tonem.

- Jak?

- Może przydadzą się wam moje specjalne umiejętności.

- Niepotrzebne mi usługi zabójcy.

- Myślałem raczej o ucieczce.

- Nie mam powodów uciekać.

Suworow stawał się coraz bardziej zakłopotany.

- Musicie zrozumieć moją sytuację.

Ługowoj opanował się już całkowicie.

- Mam poważniejsze sprawy na głowie.

- Na przykład jakie? - Suworow zatoczył łuk dłonią. - Co tu się właściwie dzieje?

Ługowoj z namysłem patrzył na niego przez długą chwilę, aż wreszcie próżność zwyciężyła.

- Realizacja projektu oddziaływania na umysł.

Suworow uniósł brwi.

- Oddziaływania na umysł...?

- Kontroli czynności mózgu, jeżeli wolicie.

Suworow spojrział na monitor i ruchem głowy wskazał obraz.

- Po to jest ten mały hełm?

- Na głowie obiektu?

- Właśnie.

- To zintegrowany moduł mikroelektroniczny, zawierający sto dziesięć czujników rejestrujących wewnętrzne funkcje organizmu - poczynając od zwykłego mierzenia pulsu, a na wydzielaniu wewnętrznym kończąc. Przechwytuje również dane przepływające przez mózg obiektu i przekazuje do znajdującego się w tym pokoju komputera. Tu zaś mowa mózgu, że tak powiem, jest przekładana na zrozumiały język.

- Nie widzę końcówek elektrod.

- To już przeszłość - odparł Ługowoj. - Wszystko, co chcemy zarejestrować, jest przekazywane bezprzewodowo. Nie jesteśmy już ograniczeni żadnymi przewodami i końcówkami.

- Możecie zrozumieć, o czym on myśli? - spytał z niedowierzaniem Suworow.

Ługowoj skinął głową.

- Mózg przemawia swoim własnym językiem i to, o czym mówi, ujawnia nam tajemnice psychiki właściciela. Wrażenia są podświadome i tak błyskawiczne, że jedynie komputer zaprojektowany na wykonywanie operacji w czasie pikosekund jest w stanie je zapamiętać i rozszyfrować.

- Nie miałem pojęcia, że wiedza o mózgu rozwinęła się aż do tego

stopnia.

- Gdy już zbadamy i sporządzimy wykresy rytmów jego mózgu - ciągnął dalej Ługowoj - będziemy w stanie prognozować jego działania, a także ruchy ciała. Możemy przewidzieć, kiedy powie albo zrobi coś niewłaściwego. A co najważniejsze, możemy temu w porę zapobiec i powstrzymać go. Komputer może przemodelować jego myśli w czasie krótszym niż mgnienie oka.

Suworow był przejęty.

- Wierzący w Boga kapitaliści mogliby pana oskarżyć o wtargnięcie w ludzką duszę.

- Podobnie jak wy, towarzyszu Suworow, jestem lojalnym członkiem partii komunistycznej. Nie wierzę w istnienie duszy. Jednak w tym przypadku nie będziemy wprowadzać żadnych drastycznych przekształceń. Nie będzie zakłóceń w jego podstawowych procesach myślowych. Nie zaistnieją zmiany w sposobie bycia czy mówienia.

To odmiana kontrolowanego prania mózgu.

- Nie porównywałbym tego z prymitywnym praniem mózgu - odparł z urazą Ługowoj. - Wyrafinowanie naszej techniki sięga o wiele dalej, niż Chińczycy kiedykolwiek byli w stanie sobie wyobrazić. Oni w dalszym ciągu uważają, że należy zniszczyć ego obiektu po to, by go reedukować. Ich doświadczenia z narkotykami i w dziedzinie hipnozy nie przyniosły jakichś szczególnych sukcesów. Hipnoza jest zbyt nieprecyzyjna, zbyt ulotna, by mogła przynieść trwałe efekty. Narkotyki zaś okazały się niebezpieczne, wywoływały bowiem nieoczekiwane zmiany osobowości i zachowania. Kiedy ukończę pracę z tym obiektem, powróci on z powrotem do rzeczywistości i swego osobistego stylu życia, jakby nic się nie stało. Mam zamiar jedynie przemodelować jego polityczną orientację.

- Kto jest tym obiektem?

- Nie wiecie? Jeszcze go nie poznaliście?

Suworow popatrzył na ekran monitora. Stopniowo jego oczy rozszerzały się, bezwiednie zrobił dwa kroki w stronę konsoli. Twarz miał spiętą, usta poruszały się mimowolnie.

- Prezydent? - wyszeptał z niedowierzaniem. - To rzeczywiście jest prezydent Stanów Zjednoczonych?

- We własnej osobie.

- Jak...? Skąd...?

- Prezent naszych gospodarzy - wyjaśnił enigmatycznie Ługowoj.

- Nie będzie żadnych ubocznych efektów? - spytał oszołomiony Suworow.

- Żadnych.

- Czy będzie cokolwiek pamiętał?

- Kiedy obudzi się za dziesięć dni, przypomni sobie jedynie, że zasnął w swoim własnym łóżku.

- Rzeczywiście możecie to osiągnąć? Naprawdę?

- Tak - odparł Ługowoj z błyskiem w oczach. - A nawet więcej.

Rozdział 21

Szaleńczy łopot skrzydeł zakłócił ciszę wczesnego poranka, gdy dwa bażanty wzbiły się w niebo. Radziecki prezydent Georgij Antonow poderwał dubeltówkę do ramienia i pociągnął oba spusty jeden po drugim. Dwa wystrzały rozległy się echem w zasnutym wilgotną mgłą lesie. Jeden z ptaków gwałtownie zamarł w locie i spadł na ziemię.

Władimir Polewoj, przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, odczekał chwilę, aby upewnić się, że Antonow chybił strzelając do drugiego bażanta, a potem strącił go jednym strzałem.

Antonow spojrzał twardo na szefa KGB.

- Znowu popisujesz się przed swoim przełożonym, Władimirze?

- Wasz strzał był wyjątkowo trudny, towarzyszu prezydencie. Mój był zupełnie łatwy.

- Powinieneś pracować w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a nie w tajnej policji - odparł ze śmiechem Antonow. - Twoja dyplomacja nie ustępuje w niczym dyplomacji Gromyki. - Przerwał i rozejrzał się po lesie. - Gdzie nasz francuski gospodarz?

- Prezydent L'Estrange jest siedemdziesiąt metrów na lewo. - Słowa Polewoja przerwała salwa strzałów, które rozległy się gdzieś za zaroślami.

- To dobrze - mruknął Antonow. - Mamy parę minut na rozmowę.

Podał dubeltówkę Polewojowi, który wyrzucił puste łuski, włożył nowe naboje i zabezpieczył broń, po czym podsunął się bliżej i

powiedział cicho:

- Radziłbym nie mówić zbyt swobodnie. Francuski wywiad umieścił wszędzie aparaturę podsłuchową.

- Sekrety w naszych czasach nie mają zbyt długiego życia - westchnął Antonow.

Polewoj uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Tak. Nasi funkcjonariusze zarejestrowali ubiegłej nocy spotkanie L'Estrange'a i jego ministra finansów.

- Czy jest coś, co powinienem wiedzieć?

- Chyba nie. Przez większą część spotkania zastanawiali się, jak was przekonać do zaakceptowania przedstawionego przez prezydenta Stanów Zjednoczonych planu pomocy finansowej.

- Jeżeli są aż tak głupi, żeby uwierzyć, że nie wykorzystam naiwnej hojności prezydenta, są również wystarczająco głupi, żeby uważać, iż przyleciałem tu, aby przedyskutować tę sprawę.

- Zapewniam, że Francuzi nie mają najmniejszego pojęcia, jaki jest prawdziwy cel naszej wizyty.

- Czy była jakaś wiadomość z Nowego Jorku?

Tylko ta, że Huckleberry Finn przeszedł nasze oczekiwania. - W ustach Polewoja „Huckleberry” zabrzmiał jak Gulkelberry.

- A więc ta suka zdołała dokonać tego, co uważaliśmy za niemożliwe.

- Zdziwiający, jak jej się to udało.

Antonow spojrzał na niego zaskoczony.

- Nie wiemy tego?

- Nie. Nie chciała nam zaufać. Wnuk Min Koryo chroni jej działania jak mury Kremla. Jak do tej pory nie udało się nam przebić przez ich służby bezpieczeństwa.

- Chińska dziwka - warknął Antonow. - Czy myśli, że ma do czynienia z jakimiś głupimi uczniakami?

- Mam wrażenie, że jest z pochodzenia Koreanką - powiedział Polewoj.

- Co za różnica. - Antonow zatrzymał się i przysiadł na leżącej

kłodzie. - Gdzie przeprowadzają ten eksperyment?

Polewoj pokręcił głową.

- Tego również nie wiemy.

- Nie masz łączności z towarzyszem Ługowojem?

- W piątek późnym wieczorem razem ze swoimi współpracownikami odpłynął promem z Manhattan Island na Staten Island. Kiedy prom dopłynął na miejsce, żaden z nich nie zszedł na brzeg. Całkowicie straciliśmy z nimi kontakt.

- Chcę wiedzieć, gdzie oni są - oznajmił stanowczym tonem Antonow. - Chcę dokładnie znać miejsce eksperymentu.

- Zajmują się tym nasi najlepsi agenci.

- Nie możemy dopuścić, żeby ta Koryo trzymała nas w nieświadomości, szczególnie gdy na szali jest złoto z naszych rezerw bankowych o wartości miliarda amerykańskich dolarów.

Polewoj spojrzał przebiegle na sekretarza generalnego partii komunistycznej.

- Czy macie zamiar jej zapłacić?

- A czy lody na Wołdze topnieją w styczniu? - zapytał Antonow, uśmiechając się szeroko.

- Niełatwo będzie wyprowadzić ją w pole.

Dobiegł ich odgłos kroków kogoś przedzierającego się przez zarośla. Antonow spojrzał na moment w stronę gajowego zbliżającego się z zestrzelonymi bażantami, a potem znowu popatrzył na Polewoja.

- Po prostu znajdź Ługowoja - powiedział cicho - a cała reszta potoczy się swoim torem.

W zaparkowanej w odległości sześciu kilometrów ciężarówce dwaj mężczyźni siedzieli przed skomplikowanym odbiornikiem radiowym, działającym w paśmie wysokiej częstotliwości. Obok nich dwa studyjne magnetofony rejestrowały rozmowę Anionowa i Polewoja.

Mężczyźni byli specjalistami z referatu obserwacji elektronicznej SDECE, wywiadu francuskiego. Obydwaj razem byli w stanie

tłumaczyć z sześciu języków, w tym również z rosyjskiego. Zdjęli słuchawki niemal w tej samej chwili i popatrzyli na siebie ze zdziwieniem. - O czym oni, u diabła, gadali? - zapytał jeden.

Drugi mężczyzna wzruszył ramionami.

- Kto wie? Pewnie jakieś sowieckie mącenie wody.

- Ciekaw jestem, czy analitycy doszukają się w tym czegoś ważnego?

- Ważne czy nie, i tak się o tym nie dowiemy.

Pierwszy mężczyzna przerwał, przyłożył na chwilę słuchawkę do ucha, a potem odłożył ją znowu.

- Teraz rozmawiają z prezydentem L'Estrange'em. Nic więcej już nie zdobędziemy.

- Dobra. W takim razie zwijajmy manatki i zawieźmy nagrania do Paryża. Mam o szóstej randkę.

Rozdział 22

Kiedy Sandecker przejechał przez tylną bramę Krajowego Portu Lotniczego w Waszyngtonie, słońce już od dwóch godzin wisiało nad wschodnim krańcem miasta. Zatrzymał samochód koło pozornie opuszczonego hangaru, stojącego w zarośniętej chwastami części lotniska, daleko poza strefą obsługi technicznej linii lotniczych. Podeszedł do bocznych drzwi, których poczerniałe drewno dawno już utraciło resztki pokrywającej je niegdyś farby, i przycisnął nieduży guzik koło wielkiej, zardzewiałej kłódki. Po paru sekundach drzwi otworzyły się bezszelestnie.

Olbrzymie wnętrze pomalowane było lśniąco białą farbą, która odbijała promienie słońca wpadające przez wielkie świetliki znajdujące się w wygiętym łukowato dachu. Przypominało z wyglądu jakieś muzeum komunikacji. Na gładkiej betonowej podłodze stały cztery długie, równiutkie rzędy starych, klasycznych samochodów. Większość z nich wyglądała równie elegancko jak w dniu, kiedy projektanci karoserii dotknęli ich po raz ostatni. Kilka znajdowało się w różnych stadiach rekonstrukcji. Sandecker zatrzymał się na chwilę koło majestatycznego rolls-royce'a silver ghost z 1921 roku, o karoserii wykonanej przez Parka Warda, i masywnej czerwonej isotta-fraschini z 1925 roku, o przypominającym torpedę nadwoziu projektu Sali.

Pośrodku stał stary trzysilnikowy samolot Forda, znany fanatykom lotnictwa pod nazwą „Błaszanej Gęsi”, oraz kolejowy pullman z

początku dwudziestego wieku. Na jego stalowym boku widniały złote litery napisu: MANHATTAN LIMITED.

Sandecker wszedł żelaznymi spiralnymi schodami do przeszklonego mieszkania, mieszczącego się na górnym poziomie jednego końca hangaru. Salonik zastawiony był morskimi znaleziskami, a jedną ze ścian zajmowały regały wypełnione szklanymi gablotami z precyzyjnie wykonanymi modelami statków.

Zobaczył Pitta stojącego przed kuchenką i wypatrującego się w dziwnie wyglądającą zawartość patelni. Pitt miał na sobie szorty koloru khaki, obszarpane tenisówki i podkoszulek z napisem WYDOBYĆ LUSITANIĘ na piersi.

- Zjawił się pan akurat na posiłek, admirale.

- A co tam masz? - spytał Sandecker, podejrzliwie przyglądając się patelni.

- Nic szczególnego. Pikantny omlet meksykański.

- Wystarczy mi filiżanka kawy i pół grejpfruta.

Kiedy usiedli przy kuchennym stole, Pitt nalał kawę i podał grejpfruta. Sandecker zmarszczył brwi i pomachał gazetą w powietrzu.

- Jesteś na drugiej stronie.

- Mam nadzieję, że w pozostałych gazetach również.

- Czego chcesz tym dowieść? - spytał Sandecker. - Zwołujesz konferencję prasową i oświadczasz, że znalazłeś „San Marino”, choć to nieprawda, oraz „Pilottown”, co miało być ściśle tajne. Czy straciłeś rozum?

Pitt przestał jeść.

- Nic nie wspomniałem o substancji „N”.

- Na szczęście wojsko pochowało ją wczoraj po cichu.

- Nie ma więc problemu. Teraz, kiedy „Pilottown” jest pusty, stał się po prostu kolejnym rdzewiejącym wrakiem.

- Prezydent wcale tak nie uważa. Gdyby nie był w Nowym Meksyku, obrabiałby nas właśnie na dywaniku w Białym Domu.

Słowa Sandeckera przerwał odgłos brzęczyka. Pitt wstał zza stołu i przycisnął przełącznik na niewielkiej tablicy rozdzielczej.

- Ktoś stoi przed drzwiami? - zainteresował się Sandecker.

Pitt skinął głową.

- To grejfrut z Florydy - burknął admirał, wypluwając pestkę.

- I co z tego?

- Wolę z Teksasu.

- Zapamiętam na przyszłość - odparł z uśmiechem Pitt.

- Wracając do twojej historii - powiedział Sandecker, wyciskając ostatnie krople soku na łyżkę - chciałbym poznać twój tok myślenia.

Pitt wyjaśnił mu.

- Dlaczego nie zajmuje się tym Departament Sprawiedliwości? - zapytał Sandecker. - Przecież biorą za to pieniądze.

Pitt spojrzał na niego i uniósł groźnie widelec.

- Dlatego, że funkcjonariusze Departamentu nigdy nie dostaną zlecenia na przeprowadzenie dochodzenia. Rząd nie ma zamiaru przyznać, że ponad trzysta zgonów spowodowała skradziona substancja paraliżująca, która podobno w ogóle nie istnieje. Sprawy o odszkodowanie ciągnęłyby się przez wiele lat. Chcą, żeby wszystko utonęło w niepamięci. Erupcja wulkanu Augustine przyszła w samą porę. Dzisiaj wieczorem rzecznik prasowy prezydenta przekaze lipne wytłumaczenie, które stwierdzi, że przyczyną zgonów były chmury oparów siarki.

Sandecker przez chwilę patrzył na niego surowo. A potem spytał:

- Kto ci o tym powiedział?

- Ja - odparł kobiecy głos za jego plecami.

Na twarzy Loren malował się rozbrajający uśmiech. Wróciła właśnie z joggingu i miała na sobie krótkie czerwone szorty z satyny oraz dopasowaną kolorystycznie bluzkę i opaskę na głowę. Była nieco zadyszana, na jej czole lśniły krople potu. Otarła twarz niewielkim ręcznikiem, który wyciągnęła zza paska szortów.

Pitt przedstawił ich sobie.

- Admirał James Sandecker. Członkini Kongresu Loren Smith.

- Siedzieliśmy naprzeciw siebie w czasie zebrań Komisji Morskiej - stwierdziła Loren wyciągając rękę.

Sandecker wcale nie musiał być jasnowidzem, żeby zorientować się, jakiego rodzaju stosunki łączą Pitta i Loren.

- Teraz już rozumiem, dlaczego tak przychylnie potraktowała pani mój projekt budżetu NUMA.

Jeżeli nawet poczuła się zażenowana tą aluzją, nie dała tego po sobie poznać.

- Dirk potrafi być bardzo przekonujący - powiedziała.

- Chcesz trochę kawy? - spytał Pitt.

- Nie, dziękuję. Wolę napić się czegoś innego. - Podeszła do lodówki i nalała sobie szklankę mleka.

- Zna pani temat wystąpienia rzecznika prasowego Thompsona? - Sandecker wrócił do przerwanej tematu rozmowy.

Loren skinęła głową.

- Mój referent prasowy i jego żona są zaprzyjaźnieni z Sonnym Thompsonem. Ubiegłego wieczoru jedli razem obiad. Thompson wspomniał, że Biały Dom chce zatuszować tragedię na Alasce, ale to wszystko. Nie podał żadnych szczegółów.

Sandecker odwrócił się w stronę Pitta.

- Jeżeli będziesz dalej prowadził swoją akcję, nastąpisz na odciski wielu osobom.

- Nie mam zamiaru się poddać - odparł poważnym tonem Pitt.

Sandecker spojrzał na Loren.

- A pani, pani Smith?

- Loren.

- Loren - powtórzył. - Czy mógłbym się dowiedzieć, co pani chce przez to osiągnąć?

Zawahała się przez ułamek sekundy, a potem powiedziała:

- Powiedzmy, że jest to zwykłe zainteresowanie członka Kongresu sprawą, która może okazać się rządowym skandalem.

- Nie powiedziałaś jej o prawdziwych powodach swojej wędkarskiej wyprawy na Alaskę?

- Nie.

- Uważam, że powinienieś.

- Czy mam na to oficjalne zezwolenie?

Admirał skinął głową.

- Przyjazna osoba w Kongresie może się nam bardzo przydać.

- A jakie jest pańskie prywatne stanowisko, admiralu? - zapytał Pitt.

Sandecker patrzył na siedzącego po drugiej stronie stołu Pitta i zastanawiał się, kto oprócz niego mógłby do tego stopnia przekroczyć granice zwykłych obowiązków, nie oczekując żadnych osobistych korzyści.

- Będę cię popierał do chwili, kiedy prezydent każe cię rozstrzelać - oznajmił w końcu. - Wtedy będziesz zdany na samego siebie.

Pitt powstrzymał westchnienie ulgi. Wszystko będzie w porządku. A nawet lepiej.

Min Koryo spojrzała na leżącą na biurku gazetę.

- Co o tym sądzisz? - zapytała wnuka.

Lee Tong pochylił się nad jej ramieniem i przeczytał na głos pierwsze zdania artykułu:

- „Dirk Pitt, dyrektor do zadań specjalnych NUMA, oświadczył wczoraj, że odnaleziono dwa statki, które od dwudziestu lat uznane były za zaginione. Zwodowane w czasie drugiej wojny światowej jednostki typu Liberty - »San Marino« oraz »Pilottown« - odkryto na dnie w pobliżu Alaski, na północnym Pacyfiku”.

- Blef! - warknęła Min Koryo. - Ktoś w Waszyngtonie, zapewne w Departamencie Sprawiedliwości, nie ma nic lepszego do roboty i wypuszcza próbny balon. Szukają na ślepo, nic więcej.

- Uważam, że tylko częściowo masz rację, *aunumi* - odparł z namysłem Lee Tong. - Podejrzewam, że kiedy NUMA poszukiwała tego, co powodowało zgony na wodach Alaski, natrafili na statek zawierający środek paraliżujący.

- A ta informacja prasowa ma na celu ustalenie prawdziwych właścicieli statku... - skinęła głową Min Koryo.

- Rząd stawia na to, że będziemy próbowali się czegoś dowiedzieć i

w ten sposób się zdekonspirujemy - przytaknął skinieniem głowy Lee Tong.

- Szkoda, że statek nie został zatopiony, tak jak planowaliśmy.

Lee Tong obszedł biurko i usiadł w stojącym przed nim fotelu.

- Mieliśmy pecha - odparł po chwili. - Kiedy ładunki wybuchowe nie eksplodowały, zerwał się sztorm i nie zdołałem ponownie wejść na statek.

- Nie można mieć do ciebie pretensji o kaprysy przyrody - stwierdziła beznamiętnie Min Koryo. - Prawdziwymi winowajcami są Rosjanie. Gdyby nie zerwali umowy na zakup substancji „N”, nie musielibyśmy zatapiać statku.

- Bali się, że będzie zbyt niestabilna, aby można ją było przewieźć przez całą Syberię do arsenałów broni chemicznej na Uralu.

- Zastanawiające, w jaki sposób NUMA zdołała powiązać oba statki?

- Nie wiem, aunumi. Dopilnowaliśmy, aby usunąć wszystkie elementy, dzięki którym można było je zidentyfikować.

- Mniejsza o to - stwierdziła Min Koryo. - Jest więc oczywiste, że artykuł w prasie ma stanowić przynętę. Musimy w dalszym ciągu milczeć i nie robić nic, co mogłoby nas zdekonspirować.

- A jak postąpić z człowiekiem, który złożył oświadczenie? - zapytał Lee Tong. - Z tym Dirkiem Pittem?

Na zimnej twarzy Min Koryo pojawił się głęboki namysł.

- Trzeba zbadać motyw jego działania i prowadzić obserwację. Jeżeli okaże się dla nas niebezpieczny, zadbaj o jego pogrzeb.

Szarość zmierzchu sprawiała, że ostre kontury Los Angeles stały się bardziej miękkie, a potem pojawiły się światła. Uliczny hałas nasilił się i zaczął przesączać przez staroświeckie, podnoszone okna. Prowadnice były spaczone i pokryte licznymi warstwami farby. Nie otwierano ich od trzydziestu lat. Umieszczony na zewnątrz klimatyzator brzęczał głośno.

W starym obrotowym fotelu siedział mężczyzna i patrzył nie

widzącym wzrokiem przez pokryte warstwą brudu okno. Jego oczy widziały już wszystko, co miało do zaoferowania to miasto. Były to oczy o twardym spojrzeniu, wciąż jasnym i ostrym, mimo upływu lat. Mężczyzna miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami, pod jego lewą pachą widniała sfatygowana kabura, z której sterczała kolba pistoletu kalibru 45. Był grubokościsty i krępy. Jego mięśnie z biegiem lat nieco zwiotczały, ale wciąż jeszcze mógł unieść z chodnika faceta ważącego dwieście funtów i wprasować go w ceglana ścianę.

Obrócił się i pochylił nad biurkiem pokrytym niezliczonymi śladami papierosów gaszonych na jego blacie. Podniósł złożoną gazetę i chyba po raz dziesiąty przeczytał artykuł o odnalezionych statkach. Wyciągnął szufladę, odszukał w niej tekturową teczkę z wystrzępionymi rogami i przez dłuższą chwilę patrzył na jej okładkę. Już od dawna znał na pamięć każde słowo znajdujących się wewnątrz dokumentów. Wrzucił teczkę i gazetę do wytartej skórzanej walizeczki.

Wstał, podszedł do umywalki znajdującej się w rogu pokoju i opłukał twarz zimną wodą. Potem włożył marynarkę, wygnieciony kapelusz, zgasił światło i wyszedł z biura.

Gdy stał w korytarzu czekając na windę, czuł otaczające go zapachy starego budynku. Pleśń i próchno z każdym dniem zdawały się cuchnąć coraz silniej. Trzydzieści jeden lat w tym samym miejscu to długo, pomyślał, zbyt długo.

Zadumę przerwało szczęknięcie otwieranych drzwi. Wyglądający na jakieś siedemdziesiąt lat windziarz wyszczerzył do niego w uśmiechu swoje żółtawe zęby.

- Już idziemy spać? - zapytał.

- Nie, lecę nocnym rejssem do Waszyngtonu.

- Nowa sprawa?

- Stara.

Więcej pytań nie było i przez dalszą drogę jechali obaj w milczeniu. Kiedy wyszedł do holu, skinął windziarzowi głową.

- Do zobaczenia za parę dni, Joe.

Potem przeszedł przez główne drzwi wejściowe i rozpląnął się w

nocy.

Rozdział 23

Dla większości ludzi był po prostu Hiramem Yeagerem. Paru wybrańców znało go jako Pinokia, potrafił bowiem wetknąć nos do olbrzymiej liczby sieci komputerowych i zbadać ich oprogramowanie.

Terenem jego działania był mieszczący się na dziewiątym piętrze zespół łączności i informatyki NUMA.

Sandecker zatrudnił go, aby zbierał i gromadził wszelkie dane dotyczące oceanów - fakty i teorie, naukowe i historyczne. Yeager zabrał się do tej pracy z zajadłą determinacją i w ciągu pięciu lat zgromadził olbrzymią komputerową bibliotekę wiedzy o morzu.

Pracował w rozmaitych godzinach. Czasami zjawiał się o świcie i siedział aż do następnego świtu. Bardzo rzadko przychodził na zebrania wydziału, ale Sandecker zostawiał go w spokoju, bo nie było nikogo doskonalszego od niego. Nikt nie potrafił lepiej łamać tajnych kodów dostępu do sieci komputerowych na całym świecie.

Chodził zawsze ubrany w dżinsową kurtkę i spodnie, a długie włosy wiązał w kucyk. Rozczochrana broda i bystre, świdrujące oczka nadawały mu wygląd starego poszukiwacza złota, który za każdym następnym wzgórzem widzi Eldorado.

Siedział właśnie wciśnięty w najdalszy kąt elektronicznego labiryntu NUMA przy terminalu komputera. Pitt stał koło niego i z zaciekawieniem patrzył na zielone litery pojawiające się na displeju.

- To wszystko, co udało się wydobyć z systemu przechowywania

danych Biura Administracji Morskiej.

- Rzeczywiście nie ma tu nic nowego - przytaknął Pitt.

- Co teraz?

- Czy możesz podłączyć się do dokumentów dowództwa Ochrony Wybrzeża?

Yeager wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

- A czy ciocia Jemima umie smażyć naleśniki?

Przez chwilę przeglądał gruby notatnik, znalazł potrzebny mu zapis i wybrał numer na podłączonym do modemu przyciskowym aparacie telefonicznym. System komputerowy Ochrony Wybrzeża odpowiedział, przyjął kod dostępu podany przez Yeagera i na ekranie pojawiły się zielone litery: PROSZĘ PODAĆ PYTANIE.

Yeager spojrzał na Pitta.

- Poproś o wyciąg tytułów własności „Pilottown”.

Yeager skinął głową i wystukał pytanie na terminalu. Na ekranie pojawiła się odpowiedź i Pitt przestudiował ją uważnie, odnotowując wszystkie transakcje od chwili wodowania i wszystkich właścicieli jednostki w czasie, gdy pływała pod banderą Stanów Zjednoczonych, a także pożyczki, jakimi była obciążona. Poszukiwania nic nie przyniosły. „Pilottown” został usunięty z dokumentacji, kiedy sprzedano go zagranicznej firmie - Kassandra Phosphate Company z Aten w Grecji.

- Coś obiecującego? - zapytał Yeager.

- Kolejne pudło.

- A co powiesz na Lloyda w Londynie? Będą go mieli w swoich rejestrach.

- Dobra, strzelaj.

Yeager wyszedł z systemu Ochrony Wybrzeża, znowu sprawdził coś w notesie i podłączył terminal do komputerowego banku pamięci wielkiego morskiego towarzystwa ubezpieczeniowego. Dane zaczęły pojawiać się z prędkością czterystu znaków na sekundę. Tym razem historia „Pilottown” była bardziej szczegółowa. Ale mimo to nie zdobyli zbyt wielu przydatnych informacji. Nagle uwagę Pitta zwrócił zapis na samym dole ekranu.

- Chyba coś mamy.

- Nie widzę niczego takiego - odparł Yeager.

- Wers po Sosan Trading Company.

- Tu, gdzie są wymienieni jako użytkownicy? I co z tego? Mielśmy to już wcześniej.

- Ale tam byli wymienieni jako właściciele, a nie użytkownicy. A to różnica.

- I czego to dowodzi?

Pitt wyprostował się zamyślony.

- Armatorzy rejestrują swoje jednostki w tak zwanych krajach „taniej bandery”, aby oszczędzić na podatkach, kosztach licencji i uniknąć restrykcyjnych przepisów regulaminowych. W ten sposób stają się też nieuchwytni w przypadku jakiegokolwiek dochodzenia. A więc zakładają lipną firmę i jako adres siedziby spółki podają numer skrytki pocztowej, tutaj akurat w Inchon w Korei. Jeżeli teraz podpiszą kontrakt z użytkownikiem, aby załatwić dla statku ładunek i załogę, nastąpi przepływ pieniędzy od jednej firmy do drugiej. Muszą skorzystać z usług banków. A banki przechowują dane.

- No dobrze, powiedzmy, że jestem centralą takiej firmy. Dlaczego moja podejrzana linia okrętowa miałaby być zarządzana przez jakiegoś równie podejrzanego współnika, skoro i tak pozostaną ślady w systemie bankowym? Nie widzę tu żadnej korzyści.

- Oszustwo ubezpieczeniowe - wyjaśnił Pitt. - Użytkownik wykonuje brudną robotę, a właściciel zbiera forszę. Weźmy na przykład sprawę greckiego zbiornikowca sprzed paru lat. Nazywał się „Trikeri”. Wy płynął z Surabai w Indonezji ze zbiornikami wypełnionymi po brzegi ropą naftową. Kiedy dotarł do Capetown w Afryce Południowej, podłączył się do przybrzeżnego rurociągu i wyładował wszystko, poza paroma tysiącami galonów. Tydzień później zatonął w tajemniczych okolicznościach u zachodnich wybrzeży Afryki. Wystąpiono z wnioskiem o odszkodowanie za statek i pełen ładunek ropy. Prowadzący dochodzenie byli całkowicie przekonani, że zatonięcie statku było zaaranżowane, ale nie mogli tego udowodnić. Użytkownik

„Trikeri” zebrał wszystkie gromy na swoją głowę i cichutko zwinął interes. Zarejestrowani armatorzy zainkasowali odszkodowanie, a potem przepchnęli je aż na samą górę organizacji.

- Czy to się często zdarzało?

- Częściej, niż ktokolwiek zdaje sobie z tego sprawę - odparł Pitt.

- Chciałbyś, żebym pogrzebał w rachunku bankowym Sosan Trading Company?

Pitt wiedział, że nie należy pytać Yeagera, czy jest w stanie to zrobić. Odpowiedział więc po prostu:

- Tak.

Yeager podszedł do szafki kartotekowej i wrócił z wielką księgą buchalteryjną.

- Bankowe kody zabezpieczające - poinformował, nie wdając się w zbędne szczegóły. Zabrał się do pracy i podłączył do banku Sosan Trading. - Mam! - zawołał wreszcie. - Marny inchoński oddział wielkiego banku z dyrekcją w Seulu.

- Czy wyciągi bankowe są jeszcze w aktach?

Yeager bez słowa zaczął stukać w klawisze terminalu, a potem rozparł się na krześle z rękoma założonymi na piersi i patrzył na pojawiające się słowa. Wreszcie na ekranie ukazał się numer konta i pytanie, z jakich miesięcy wyciągi są potrzebne. Spojrzał na Pitta.

- Od marca do września 1976 roku - oznajmił Pitt.

Bankowy system komputerowy w Korei spełnił jego życzenie.

- Bardzo dziwne - stwierdził Yeager, spoglądając na dane. - Jedynie dwanaście transakcji w ciągu siedmiu lat. Pewnie Sosan Trading regulowało ich wydatki i pensje gotówką.

- Skąd pochodziły wkłady? - zapytał Pitt.

- Chyba z banku w Bernie, w Szwajcarii.

- Zbliżyliśmy się o krok.

- Tak, ale sytuacja się komplikuje - stwierdził Yeager. - Szwajcarskie kody zabezpieczające są o wiele bardziej złożone. I jeżeli ci armatorzy są tacy cwani, jak na to wyglądają, najprawdopodobniej żonglują rachunkami bankowymi z wprawą cyrkowców.

- Przyniosę ci kawę, a ty zacznij kopać.

Yeager przez chwilę patrzył z namysłem na Pitta.

- Nigdy się nie poddajesz, prawda?

- Nigdy.

Yeagera zaskoczył lodowaty chłód, który zabrzmiał nagle w głosie Pitta. Wzruszył ramionami.

- Dobra, kolego, ale to nie będzie proste. Może mi zająć całą noc i mimo to niczego nie wskóram. Będę wysyłał rozmaite kombinacje cyfr do chwili, kiedy trafię na właściwy kod.

- Masz coś lepszego do roboty?

- Nie, ale kiedy już będziesz załatwiał kawę, zasłużysz na moją wdzięczność, jeżeli przyniesiesz mi również kilka drożdżówek...

Bank w Bernie okazał się ślepą uliczką. Tu się urywały wszystkie ślady prowadzące do nadrzędnego szczebla zarządzania. Sprawdzili na wrywki sześć innych szwajcarskich banków, licząc na to, że będą mieli szczęście, lecz nie znaleźli niczego ważnego. Szukanie po omacku w rejestrach wszystkich banków Europy stanowiło koszmarną perspektywę. Było ich ponad sześć tysięcy.

- Sprawa wygląda ponuro - stwierdził Yeager po pięciu godzinach wpatrywania się w ekran.

- Zgadzam się - przytaknął Pitt.

- Mam dalej stukać?

- Jeżeli można cię o to prosić.

Yeager uniósł ręce nad głową i przeciągnął się.

- To sprawia mi frajdę, ale ty wyglądasz na wykończonego. Może byś się stąd urwał i trochę przespał? Jeżeli na coś trafię, dam ci znać.

Pitt zostawił Yeagera w dyrekcji NUMA i przejechał za rzekę na lotnisko. Zatrzymał talbota-lago przed drzwiami hangaru, wyjął miniaturowy nadajnik z kieszeni marynarki i wybrał kod. Systemy alarmowe wyłączyły się i potężne drzwi podjechały do góry na wysokość siedmiu stóp. Wprowadził samochód do środka i powtórzył

operację w odwrotnej kolejności. Potem ze znużeniem wszedł po schodach, otworzył drzwi do saloniku i włączył światło.

W ulubionym fotelu Pitta siedział mężczyzna. Ręce złożył na walizeczce, którą trzymał na kolanach. Jego twarz była obojętna i tylko na ustach błąkał mu się lekki uśmieszek. Miał na sobie staroświecki kapelusz z miękkim rondem, a uszyta na miarę marynarka, skrojona tak, aby ukrywała śmiercionośną wypukłość, była teraz lekko rozchylona, odsłaniając kolbę pistoletu kalibru 45.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu jak zapasnicy oceniający przeciwnika.

W końcu Pitt przerwał milczenie.

- Chyba powinienem teraz zapytać: „Kim pan jest, u diabła?”

Ledwo widoczny uśmieszek przekształcił się w szeroki uśmiech.

- Jestem prywatnym detektywem, panie Pitt. Nazywam się Casio, Sal Casio.

Rozdział 24

- Nie było kłopotów z wejściem?

- Ma pan dobry system zabezpieczający. Może nie genialny, ale wystarczający, żeby odstraszyć większość włamywaczy i młodocianych wandalów.

- Chce pan przez to powiedzieć, że oblałem sprawdzian?

- Niezupełnie. Dałbym panu trójkę z plusem.

Pitt podszedł do staroświeckiej lodówki, którą wbudował w barek, i powoli otworzył drzwiczki. - Czego się pan napije, panie Casio?

- Trochę jacka danielsa z lodem, jeśli można.

- Trafił pan. Przypadkowo mam tu butelkę.

- Zajrzałem - powiedział Casio. - Aha, i przy okazji pozwoliłem sobie wyjąć magazynek z pańskiego pistoletu.

- Pistoletu? - spytał niewinnym tonem Pitt.

- Mauzer kaliber 32, numer fabryczny 922 374, umocowany sprytnie za półgalonową butelką dzinu.

Pitt obrzucił Casia długim spojrzeniem.

- Ile czasu to panu zajęło?

- Przeszukanie?

Pitt w milczeniu skinął głową i otworzył drzwiczki zamrażalnika, żeby wyjąć kostki lodu.

- Około czterdziestu pięciu minut.

- I znalazł pan te dwa pozostałe pistolety, które ukryłem?

- Prawdę mówiąc, trzy.

- Jest pan bardzo dokładny.

- Wszystko, co zostało ukryte w mieszkaniu, może być odnalezione.

To po prostu sprawa techniki. - W tonie Casia nie było nawet cienia przechwałki. Powiedział to tak, jakby stwierdzał oczywisty fakt.

Pitt nalał drinka i przyniósł go do saloniku na tacy. Cassio ujął szklanę prawą ręką. Wtedy Pitt upuścił tacę, pokazując mały pistolet kalibru 25 wymierzony prosto w czoło Casia.

Detektyw jedynie uśmiechnął się lekko.

- Bardzo dobrze - powiedział z aprobatą. - A więc razem było ich pięć.

- Ten znajdował się wewnątrz pustego kartonu po mleku - wyjaśnił Pitt.

- Dobra robota, panie Pitt. Sprytnie pan to załatwił - odczekał pan, aż wezmę do ręki szklanę. Podnoszę ocenę na czwórkę z minusem.

Pitt zabezpieczył broń i opuścił lufę.

- Gdyby przyszedł pan mnie zabić, panie Casio, mógł mnie pan rozwalić w chwili, gdy przeszedłem przez drzwi. O co panu chodzi?

Casio wskazał ruchem głowy walizeczkę, którą trzymał na kolanach.

- Mogę?

- Bardzo proszę.

Detektyw odstawił drinka, otworzył walizeczkę i wyjął ściągniętą gumkami pękatą tekturową teczkę.

- To sprawa, nad którą pracowałem od 1966 roku.

- To długo. Musi pan być upartym człowiekiem.

- Nie mogłem jej zostawić - przyznał Casio. - To było równie trudne jak odejście od łamigłówek, zanim się ją skończy, albo odłożenie dobrej książki. Prędzej czy później każdy detektyw dostaje sprawę, która go prześladowa, sprawę, której nie jest w stanie rozwikłać. Ten przypadek wiąże się zresztą również z moim osobistym życiem, panie Pitt. Zaczęło się to dwadzieścia trzy lata temu, kiedy dziewczyna, kasjerka bankowa o nazwisku Arta Casilighio, ukradła 128 000 dolarów z banku w Los

Angeles.

- Jaki to ma związek ze mną?

- Ostatni raz widziano ją, kiedy wchodziła na pokład statku, który nazywał się „San Marino”.

- No dobrze, widzę, że czytał pan w prasie o odkryciu wraku.

- Tak.

- I uważa pan, że dziewczyna zaginęła razem z „San Marino”.

- Jestem tego pewien.

- W takim razie pańska sprawa jest zakończona. Złodziejka nie żyje, a pieniądze przepadły na zawsze.

- To nie takie proste - oznajmił Casio, wpatrując się w szklankę. - Nie ma wątpliwości, że Arta Casilighio nie żyje, ale pieniądze nie przepadły na zawsze. Arta zabrała z Banku Rezerw Federalnych świeżo wydrukowane banknoty. Wszystkie numery i serie zostały odnotowane.

- Casio przerwał i ponad krawędzią szklanki spojrzął w oczy Pittowi. - Dwa lata temu zaginione pieniądze wreszcie wypłynęły.

W spojrzeniu Pitta zapaliło się zainteresowanie. Usiadł w fotelu naprzeciwko Casia.

- To wszystko? - zapytał ostrożnie.

Casio pokręcił głową.

- Pojawiają się małymi porcjami tu i tam. Pięć tysięcy we Frankfurcie, tysiąc w Kairze, za każdym razem w jakimś zagranicznym banku. W Stanach Zjednoczonych nic, poza jednym studolarowym banknotem.

- A więc Arta nie zginęła na „San Marino”.

- Ona naprawdę zniknęła razem ze statkiem. FBI ustaliło, że posłużyła się skradzionym paszportem na nazwisko Estella Wallace. Dzięki temu byli w stanie podążać jej śladem aż do San Francisco. I tam stracili trop. Prowadziłem poszukiwania dalej i wreszcie natrafiłem na włóczęgę, który czasami, kiedy potrzebował forsy na gorzałę, prowadził taksówkę. Przypomniał sobie, że zawiózł ją pod sam trap „San Marino”.

- Dowierza pan pamięci pijaczka?

Casio uśmiechnął się z wyższością.

- Arta zapłaciła mu za przejazd świeżutką studolarówką. Nie mógł wydać jej reszty, więc mu powiedziała, żeby ją sobie zatrzymał. Proszę mi wierzyć, przypomniał sobie to wydarzenie bez trudu.

- Ale ukradzione pieniądze Banku Rezerw Federalnych są w jurysdykcji FBI, więc dlaczego pan się tym zajmuje? Po co tak uparcie tropi pan przestępcę, którego trop już dawno wystygł?

- Zanim ze względów zawodowych skróciłem swoje nazwisko, brzmiało ono Casilighio. Arta była moją córką.

Zapadła niezręczna cisza. Zza wychodzących na rzekę okien dobiegł łoskot startującego odrzutowca. Pitt wstał, poszedł do kuchni, nalał z zimnego ekspresu filiżankę kawy i wstawił ją do kuchenki mikrofalowej.

- Ma pan ochotę na jeszcze jednego drinka, panie Casio?

Casio pokręcił głową.

- A więc, reasumując, uważa pan, że w zniknięciu pana córki jest coś dziwnego?

- Statek, którym płynęła, nigdy nie dotarł do portu, ale pieniądze, które ukradła, pojawiają się w sposób sugerujący, że swego czasu przeszły lekką przepierkę. Czy pan, panie Pitt, nie uznałby tego za dziwne?

- Przedstawił to pan w interesujący sposób. Rozległ się brzęczyk kuchenki i Pitt wyjął parującą filiżankę kawy. - Nie bardzo wiem jednak, czego pan ode mnie oczekuje.

- Mam parę pytań.

Pitt usiadł. Sprawa zaczynała go coraz bardziej interesować.

- Niech pan nie spodziewa się zbyt szczegółowych odpowiedzi.

- Rozumiem.

- Proszę zaczynać.

- Gdzie pan znalazł „San Marino”? W której części Pacyfiku?

- Niedaleko południowych wybrzeży Alaski - odparł niezbyt precyzyjnie Pitt.

- Trochę nie po drodze jak na statek płynący z San Francisco do Nowej Zelandii, nie sądzi pan?

- Rzeczywiście, zszedł nieco z kursu - przyznał Pitt.

- Dwa tysiące mil...?

- Nawet z hakiem. - Pitt upił łyk kawy i skrzywił się. Była tak mocna, że można było rozpuścić w niej łyżeczkę. Podniósł wzrok. - Jeżeli mamy kontynuować rozmowę, będzie to pana nieco kosztowało.

Casio popatrzył na niego z wyrzutem.

- Jakoś nie sprawiał pan wrażenia faceta, który będzie wyciągał rękę po łapówkę.

- Chciałbym poznać nazwy europejskich banków, w których pojawiły się skradzione pieniądze.

- Ma pan jakiś szczególny powód? - zapytał Casio ze zdziwieniem.

- Żaden, o którym mógłbym panu powiedzieć.

- Nie jest pan zbyt chętny do współpracy.

Pitt otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale przeszkodził mu głośny sygnał stojącego na stole telefonu.

- Halo.

- Dirk, tu Yeager. Wciąż jeszcze nie śpisz?

- Dziękuję, że zatelefonowałaś. Jak się ma Sally? Opuściła już oddział intensywnej terapii?

- Nie możesz mówić, co?

- Niezbyt.

- Ale możesz słuchać.

- Oczywiście.

- Mam złe nowiny. Nie jestem w stanie nic zrobić. Z większym powodzeniem mógłbym rzucić w powietrze talię kart i próbować złapać pokera.

- Może uda mi się poprawić twoje szansę. Poczekaj chwilę. Odwrócił się do Casia. - Co z tą listą banków?

Casio wolno wstał, nalał sobie nową porcję jacka danielsa i odwrócił się plecami do Pitta.

- Wymiana, panie Pitt. Lista banków w zamian za to, co pan wie o „San Marino”.

- Większa część moich informacji jest ściśle tajna.

- Mam to w nosie. Albo umowa stoi, albo pakuję manatki i spływam.

- Skąd pan wie, że pana nie okłamie?

- Moja lista też może być lipna.

- W takim razie po prostu musimy sobie zaufać - oznajmił Pitt z lekkim uśmiechem.

- Nie mamy wyboru - mruknął Casio.

Wyjął z kartonowej teczki kartkę papieru i podał ją Pittowi, który odczytał Yeagerowi przez telefon jej treść.

- I co teraz? - spytał Casio.

- Teraz opowiem panu, co się stało z „San Marino”. A przy śniadaniu może będę mógł również powiedzieć, kto zabił pańską córkę.

Rozdział 25

Piętnaście minut po wschodzie słońca fotoelektryczne czujniki wszystkich lamp ulicznych w Waszyngtonie wyłączyły obwody. W odstępie kilku sekund żółte i czerwone światła lamp sodowych przygasły jedno po drugim i rozpoczęły swój okres wypoczynku, który trwać miał przez cały dzień, do chwili kiedy piętnaście minut po zachodzie słońca światłoczułe elementy sterujące znowu przebudzą je do życia.

Sam Emmett czuł wibrację powodowaną przez poranny ruch uliczny, kiedy szybkim krokiem szedł służbowym tunelem. Nie miał eskorty ani marines, ani funkcjonariuszy Secret Service. Jediną osobą, którą spotkał od chwili pozostawienia swego samochodu na parkingu pod gmachem Departamentu Skarbu, był strażnik pilnujący drzwi w piwnicy. Przy wejściu do korytarza prowadzącego w stronę Pokoju Sytuacyjnego powitał Emmetta Alan Mercier.

- Jesteś ostatni - powiadomił go.

Emmett spojrział na zegarek i zobaczył, że jest pięć minut przed wyznaczonym terminem.

- Są już wszyscy? - zdziwił się.

- Poza Simmonsem, który jest w Egipcie, i Lucasem, wygłaszającym właśnie swoją mowę w Princeton, wszyscy są obecni.

Gdy weszli, Oates wskazał mu krzesło obok siebie. Dan Fawcett, generał Metcalf, szef CIA Martin Brogan i Mercier skupili się wokół

stołu konferencyjnego.

- Przepraszam, że przyspieszyłem termin naszego umówionego spotkania o cztery godziny - zaczął Oates - ale Sam mnie poinformował, że ustalili, w jaki sposób dokonano porwania. - Bez wdawania się w dalsze wyjaśnienia skinął głową dyrektorowi FBI.

Emmett podał teczki wszystkim siedzącym przy stole, a sam wstał, podszedł do tablicy i wziął do ręki kawałek kredy. Trzymając się dokładnie skali, narysował rzekę, tereny Mount Vernon i prezydencki jacht przycumowany w przystani. Potem wprowadził szczegóły i opisał poszczególne strefy. Kiedy uznał, że każdy element planu znajduje się we właściwym miejscu, odwrócił się i spojrzał na słuchaczy.

- Przypatrzmy się wydarzeniom w chronologicznym porządku - powiedział. - Streszczę je pokrótce, podczas gdy panowie przestudiujecie szczegóły podane w raporcie. Część danych, jakie panom przedstawię, oparta jest na faktach i dowodach rzeczowych. Inne są domysłami. Musimy wypełnić puste miejsca najlepiej, jak potrafimy. Zaczynamy.

18.25: „Eagle” przybywa do Mount Vernon, gdzie Secret Service zorganizowała zabezpieczenie. Rozpoczęto nadzór.

20.15: Prezydent wraz z gośćmi siada do obiadu. W tym samym czasie oficerowie i załoga zaczynają w miesie swój posiłek. Służbę pełnił wtedy tylko szef kuchni, jego pomocnik i jeden steward obsługujący, jadalnię. Jest to istotne, przypuszczamy bowiem, że właśnie podczas obiadu prezydent, jego goście i załoga zostali oszołomieni jakimś narkotykiem.

- Oszołomieni czy otruci? - spytał Oates podnosząc głowę.

- Nie, nic tak drastycznego - odparł Emmett. - Najprawdopodobniej kucharz lub jego pomocnik wprowadził do ich jedzenia łagodny narkotyk, który spowodował stopniowo narastającą senność.

- To brzmi sensownie - stwierdził Brogan. - Gdyby ludzie zaczęli nagle padać jak muchy, mieliby tylko kłopot.

Emmett milczał przez chwilę, aby zebrać myśli.

- Agent Secret Service, który pełnił służbę na pokładzie godzinę

przed północą, zameldował, że prezydent i wiceprezydent Margolin zeszli pod pokład ostatni. Czas: 23.10.

- Trochę za wcześnie jak na prezydenta - stwierdził Dan Fawcett. - Wiem, że rzadko kładzie się do łóżka przed drugą.

00.25: Od północnego wschodu nadciąga lekka mgła. O 01.35 mgła gęstnieje. Spowodowały to dwa pochodzące z demobilu generatory zasłony dymnej ukryte między drzewami w odległości stu sześćdziesięciu jardów w górę rzeki od „Eagle’a”.

- Czy były w stanie pokryć dymem cały teren? - zapytał Oates.

- W odpowiednich warunkach atmosferycznych, przy bezwietrznej pogodzie - a taka wtedy była - aparatura pozostawiona przez porywaczy mogła pokryć dwa akry.

Fawcett sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

- Mój Boże, do przeprowadzenia tej operacji trzeba było armii.

Emmett pokręcił głową.

- Według naszych obliczeń wymagało to minimum siedmiu, a już na pewno nie więcej niż dziesięciu ludzi.

- Secret Service przed przybyciem prezydenta dokładnie sprawdziła lasy otaczające Mount Vernon - stwierdził Fawcett. - Jakim cudem nie spostrzegli aparatów zadymiających?

- Nie było ich tam do 17.00 po południu w dniu porwania - odparł Emmett.

- W jaki sposób operatorzy tego sprzętu mogli widzieć po ciemku, co robią? - nalegał Fawcett. - Dlaczego nie usłyszano ani ich ruchów, ani pracy generatorów zasłony dymnej?

- Jeżeli chodzi o odpowiedź na pierwsze pytanie, było to możliwe dzięki noktowizorowi. A wszelkie hałasy zagłuszył nagrany ryk bydlę.

Brogan pokręcił w zamyśleniu głową.

- Kto mógłby wpaść na taki pomysł?

- Ktoś wpadł - odparł Emmett. - Za generatorami pozostawili magnetofon ze wzmacniaczem.

- Słyszeliśmy, że ludzie z Secret Service poczuli w tej mgle lekki zapach nafty.

Emmett skinął głową.

- Generator zasłony dymnej ogrzewa pod wysokim ciśnieniem pewien rodzaj paliwa opartego na związkach nafty i rozpyła go z dysz w formie bardzo drobnej zawiesiny tworzącej mgłę.

- Przejdźmy do następnego wydarzenia - zaproponował Oates.

01.15: Mała motorówka patrolowa cumuje w przystani. Trzy minuty później kuter Ochrony Wybrzeża informuje przebywającego na stanowisku dowodzenia Secret Service funkcjonariusza George'a Blackowla, że bardzo silny sygnał wysokiej częstotliwości zakłóca działanie radaru. Powiadomili również, że zanim ich aparatura odmówiła posłuszeństwa, jedynym obiektem widocznym na ekranie był holownik zakładu oczyszczania miasta z barkami śmieci, który zacumował przy brzegu, by przeczekać mgłę.

- W jakiej odległości? - podniósł wzrok Metcalf.

- Dwieście jardów w górę rzeki.

- W takim razie holownik znajdował się poza strefą sztucznej mgły.

- Jest to kluczowy punkt - przytaknął Emmett. - Wrócimy do niego później.

02.00: Funkcjonariusze przechodzą na swoje nowe posterunki. Lyle Brock zajmuje stanowisko na pokładzie „Eagle'a” zaraz po tym, jak Karl Polaski zmienił go przy wejściu na nabrzeże. Najistotniejsze jest to, że w owym czasie „Eagle” był niewidoczny. Polaski podszedł później do trapu prowadzącego na jacht i rozmawiał z kimś, kto jak sądził był Brockiem, który w tym czasie był nieprzytomny albo już nie żył. Nie zauważył niczego podejrzanego, chyba jedynie to, że Brock zapomniał, gdzie jest jego następny posterunek.

- Polaski nie był w stanie zorientować się, że mówi z kimś obcym? - zapytał Oates.

- Rozmawiali z odległości przynajmniej dziesięciu stóp i po cichu, żeby nie przeszkadzać nikomu na jachcie. Kiedy o 03.00 nadeszła pora zmiany posterunków, Brock po prostu rozplynął się we mgle. Polaski twierdzi, że widział jedynie niewyraźną sylwetkę. Dopiero o 03.48 funkcjonariusz Edward McGrath spostrzegł, że Brocka nie ma na

wyznaczonym posterunku. Natychmiast poinformował o tym Blackowla, który spotkał się z nim na pokładzie „Eagle’a” cztery minuty później. Przeszukano jacht i przekonano się, że jest pusty. Jedynym wyjątkiem był Polaski, który wszedł na pokład, żeby zastąpić Brocka.

- Jaka była pozycja holownika i barek po ogłoszeniu alarmu? - zapytał Metcalf.

- Barki odnaleziono przycumowane do brzegu rzeki - odpowiedział Emmett. - Holownik zniknął.

- Tyle, jeżeli chodzi o fakty - stwierdził Oates. - Podstawowe pytanie na dziś brzmi: w jaki sposób pod nosem całej armii agentów Secret Service porwano z jachtu prawie dwudziestu ludzi i przetransportowano ich przez najnowocześniejszy system alarmowy?

- Nie zrobiono tego, panie sekretarzu.

Oates podniósł brwi.

- Jak to?

Emmett spostrzegł zadowoloną z siebie minę generała Metcalfa.

- Myślę, że generał już się zorientował.

- Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby ktoś mi to wyjaśnił - oznajmił Fawcett.

Emmett, zanim się odezwał, nabrał głęboko powietrza.

- Opuszczony jacht, który odnaleźli Blackowl i McGrath, nie jest tym samym jachtem, na którym prezydent i jego goście popłynęli do Mount Vernon.

- Sukinsyny! - jęknął Mercier.

- Trudno mi w to uwierzyć - oznajmił sceptycznie Oates.

Emmett wziął kredę i znowu zaczął rysować.

- Mniej więcej piętnaście minut po tym, jak generatory zaczęły stawiać zasłonę dymną, porywacze weszli na częstotliwość radaru Ochrony Wybrzeża, sprawiając, że stał się niezdatny do użytku. W górze rzeki holownik zakładu oczyszczania miasta - który wcale nie był rzeczonym holownikiem, lecz idealną kopią „Eagle’a” - odcumował od barek i powoli zaczął płynąć w dół rzeki. Oczywiście jego radar pracował na innej częstotliwości niż aparatura Ochrony Wybrzeża.

Emmett nakreślił kurs rzekomego holownika.

- Kiedy znalazł się w odległości pięćdziesięciu jardów od przystani w Mount Vernon i rufy „Eagle’a”, wyłączył silniki i zdryfował z prądem, który miał wtedy prędkość około jednego węzła. Wtedy porywacze...

- Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób niezauważenie dostali się na pokład - przerwał mu Mercier.

Emmett rozłożył ręce.

- Nie wiemy. Wydaje nam się najbardziej prawdopodobne, że wcześniej tego dnia wymordowali prawdziwy personel kuchenny i zajęli jego miejsce, posługując się sfalszowanymi legitymacjami i rozkazami Ochrony Wybrzeża.

- Proszę podać dalsze ustalenia - nalegał Oates.

Kiedy porywacze znaleźli się na jachcie - powtórzył Emmett - zwolnili cumy, pozwalając „Eagle’owi” zdryfować po cichu od przystani i zrobić miejsce sobowtórowi. Polaski na swoim posterunku koło brzegu rzeki niczego nie usłyszał, wszelkie obce dźwięki zagłuszał bowiem warkot prądnic w maszynowni. Gdy wreszcie podstawiony jacht został zacumowany przy nabrzeżu, jego załoga, najprawdopodobniej nie więcej niż dwóch ludzi, popłynęła małą łódką na „Eagle’a” i razem z pozostałymi uciekła, płynąc w dół rzeki. Pozostał tylko jeden, który miał udawać Brocka - ten, z którym rozmawiał Polaski. W czasie następnej zmiany posterunków wymknął się i przyłączył do ludzi obsługujących aparaturę zadymiającą. Odjechali razem i skręcili na autostradę prowadzącą do Alexandrii. Ustaliliśmy to na podstawie śladów stóp i opon.

Wszyscy poza Emmettem przypatrywali się uważnie tablicy, jakby próbowali zobaczyć całą tę scenę. Niewiarygodna synchronizacja, łatwość, z jaką zneutralizowano służbę bezpieczeństwa, sprawność przeprowadzenia całej operacji oszołomiły wszystkich.

- Nic na to nie poradzę, ale muszę przyznać, że ich podziwiam - rzekł generał Metcalf. - Musieli długo planować tę akcję.

- Według naszych ocen, trzy lata - odparł Emmett.

- Skąd mogli wziąć identyczny jacht? - mruknął pod nosem Fawcett, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

- Moja grupa dochodzeniowa już się tym zajęła. Prześledzili starą dokumentację i ustalili, że stocznia wraz z „Eagle'em” wybudowała jednocześnie bliźniaczą jednostkę o nazwie „Samantha”. Ostatnim zarejestrowanym właścicielem „Samanthy” był makler giełdowy z Baltimore. Trzy lata temu sprzedał jacht facetowi o nazwisku Dunn. Była to poufna transakcja gotówkowa, żeby uniknąć podatku od wzbogacenia. Od tej pory nie widział ani Dunna, ani jachtu. „Samantha” nigdy nie została zarejestrowana, nowy właściciel nie wystąpił nawet o licencję. I on, i łódź jakby zapadli się pod ziemię.

- Czy był pod każdym względem identyczny z „Eagle'em”? - spytał Brogan.

- Oszustwo doprowadzone do perfekcji. Każdy fragment umeblowania, ozdoby, farba i oporządzenie były idealnymi kopiami.

Fawcett nerwowo zastukał ołówkiem w blat stołu.

- W jaki sposób na to wpadliście?

- Kiedy pan wchodzi albo wychodzi z pokoju, za każdym razem zostawia pan ślady swojej obecności. Włosy, łupież, pot, odciski palców - wszystko to można wykryć. Moja ekipa techniczna nie była w stanie znaleźć najmniejszego śladu obecności prezydenta czy innych osób na pokładzie.

Oates wyprostował się w fotelu.

- Wykonaliście wspaniałą robotę, Sam. Jesteśmy wam bardzo wdzięczni.

Emmett skinął głową i usiadł.

- Zamiana jachtu wprowadza do sprawy nowy czynnik - ciągnął dalej Oates. - Zabrzmiał to koszmarnie, ale musimy brać pod uwagę ewentualność, że wszyscy zostali zamordowani.

- Należy koniecznie odnaleźć jacht - stwierdził posępnym tonem Mercier.

Emmett spojrzał na niego.

- Zarządziłem już poszukiwania jednostkami pływającymi i z

powietrza.

- Nie znajdziecie go w ten sposób - przerwał mu Metcalf. - Mamy do czynienia z cholernie sprytnymi ludźmi. Na pewno nie zostawili jachtu w takim miejscu, gdzie łatwo go znaleźć.

Fawcett uniósł ołówek do góry.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że jacht został zniszczony?

- Być może - odparł Metcalf. W jego oczach pojawił się lęk. - A jeżeli tak, musimy być przygotowani na to, że znajdziemy ciała.

Oates oparł łokcie na stole i potarł twarz dłońmi. Bardzo pragnął znaleźć się teraz gdzieś indziej, jak najdalej stąd.

- Będziemy musieli rozszerzyć grono wtajemniczonych - oznajmił wreszcie. - Najbardziej kompetentnym człowiekiem, który przychodzi mi do głowy, jeżeli chodzi o podwodne poszukiwania, jest Jim Sandecker z NUMA.

- Zgadzam się - przytaknął Fawcett. - Jego zespół do zadań specjalnych właśnie przeprowadził bardzo delikatną robotę koło wybrzeży Alaski. Odnaleźli tam statek odpowiedzialny za rozległe skażenie środowiska.

- Wprowadzisz ich w tę sprawę, Sam? - spytał Oates Emmetta.

- Pójdę do Sandeckera bezpośrednio stąd.

- No cóż, sądzę, że to już wszystko - rzekł Oates. W jego głosie zaczęło pobrzmiwać zmęczenie. - Mamy już jakiś trop, bez względu na to czy dobry, czy zły. Bóg jeden wie, z czym będziemy mieli do czynienia, kiedy znajdziemy „Eagle’a”. - Spojrzał na tablicę i zawahał się przez chwilę. Potem dodał: - Nie zazdrozczę temu, kto pierwszy wejdzie do środka.

Rozdział 26

Każdego ranka, również w soboty i niedziele, admirał Sandecker biegł sześć mil od swojego mieszkania w Watergate do budynku dyrekcji NUMA. Wyszedł właśnie spod prysznica w łazience sąsiadującej z jego gabinetem kiedy z głośnika nad umywalką rozległ się głos sekretarki:

- Admirale, jest tu pan Emmett i chciałby się z panem zobaczyć.

Sandecker energicznie wycierał w tym momencie włosy ręcznikiem i nie był pewien, czy dobrze usłyszał nazwisko.

- Sam Emmett z FBI?

- Tak jest, sir. Chce się z panem natychmiast zobaczyć. Mówi, że sprawa jest wyjątkowo pilna.

Na twarzy admirała pojawiło się niedowierzanie. Dyrektor FBI nie odwiedzał niczyjego biura przed ósmą rano. Biurokratyczna gra w Waszyngtonie miała swoje reguły i każdy, od prezydenta poczynając, stosował się do nich. Nie zapowiedziana wizyta Emmetta mogła oznaczać jedynie stan najwyższej konieczności.

- Proszę natychmiast go wpuścić.

Ledwo zdążył narzucić szlafrok frotte na jeszcze mokre ciało, kiedy Emmett wszedł do pokoju.

- Mamy cholerny problem - rzucił od progu. Nie zwracał sobie głowy podaniem ręki na przywitanie. Położył na biurku Sandeckera teczkę, otworzył ją i podał admirałowi tekturowy skoroszyt. - Proszę to

przejrzeć, a potem porozmawiamy.

Admirał nie był człowiekiem, któremu można było wydawać polecenia i rozkazy, ale spostrzegł napięcie malujące się w oczach Emmetta i bez żadnych komentarzy zrobił, o co go proszono.

Czytał zawartość skoroszytu niemal przez dziesięć minut. Emmett siedział po drugiej stronie biurka i czekał na wyraz zaskoczenia czy złości na twarzy admirała, ale Sandecker w dalszym ciągu był niewzruszony. W końcu zamknął skoroszyt i powiedział po prostu:

- W jaki sposób mógłbym pomóc?

- Niech pan znajdzie „Eagle’a”.

- Uważa pan, że go zatopili?

- Poszukiwania lotnicze i jednostkami nawodnymi nic nie dały.

- Dobrze, wyznaczę do tej sprawy moich najlepszych ludzi. -

Sandecker wyciągnął rękę w stronę interkomu. Emmett uniósł dłoń powstrzymującym gestem.

- Nie muszę chyba tłumaczyć, jaki powstanie chaos, jeżeli nastąpi jakiś przeciek.

- Nigdy dotąd niczego nie ukrywałem przed moimi pracownikami.

- Tym razem musi ich pan utrzymać w nieświadomości.

Sandecker kiwnął głową i odezwał się do interkomu:

- Sylwio, proszę połączyć mnie z Pittem.

- Pittem...? - oficjalnym tonem powtórzył Emmett.

- Dyrektor do zadań specjalnych. Będzie kierował poszukiwaniami.

- Udzieli mu pan jedynie koniecznych informacji? - Zabrzmiało to raczej jak rozkaz niż pytanie.

W oczach Sandeckera zamigotało żółte światełko ostrzegawcze.

- Tyle, ile uznam za stosowne.

Emmett chciał właśnie coś powiedzieć, ale przerwał mu głos z interkomu:

- Admirale?

- Tak, Sylwio?

- Telefon pana Pitta jest zajęty.

- Proszę próbować, aż się odezwie - burknął Sandecker. - Albo niech

pani lepiej zadzwoni do centrali i każe włączyć się na jego linię. Proszę powiedzieć telefonistce, że to sprawa wagi państwowej.

- Czy będzie pan w stanie podjąć poszukiwania na pełną skalę przed wieczorem? - spytał Emmett.

Usta Sandeckera wykrzywiły się w drapieżnym uśmiechu.

- O ile znam Pitta, zacznie razem ze swoją grupą badać dno Potomacu jeszcze przed lunchem.

Pitt rozmawiał właśnie po raz drugi z Hiramem Yeagerem, kiedy włączyła się telefonistka. Szybko skończył rozmowę i wykręcił prywatny numer admirała. Słuchał przez kilka chwil nie przerywając Sandeckerowi, a potem odłożył słuchawkę na widełki.

- No i co? - zapytał Casio.

- Pieniądze były wymieniane, a nie wpłacane na rachunek - odparł Pitt, spoglądając posepnie w podłogę. - To wszystko. Koniec. Nie ma żadnych prowadzących dalej tropów.

Po twarzy Casia przemknęło rozczarowanie. Westchnął głośno i spojrzał na zegarek. Sprawiał w tej chwili wrażenie człowieka całkowicie pozbawionego złudzeń.

- Jestem panu wdzięczny i za to - powiedział cicho. Zatrzasnął teczkę i wstał. - Lepiej już sobie pójdę. Jeżeli nie będę się ociągał, zdołam złapać następny lot do Los Angeles.

- Przykro mi, że nie mogłem panu pomóc.

Casio mocno uściśnął Pittowi rękę.

- Nikomu nie udaje się od razu trafić w dziesiątkę. Ale osoby odpowiedzialne za śmierć mojej córki i pańskiej przyjaciółki muszą wreszcie popełnić błąd. Gdzieś, kiedyś przeoczą jakiś szczegół. Cieszę się, że mam pana po swojej stronie, panie Pitt. Do tej pory byłem zupełnie sam.

Pitt był szczerze wzruszony.

- Będę kontynuował poszukiwania.

- Nie śmiałybym prosić o nic więcej. - Casio skinął głową i zszedł po

schodach. Pitt obserwował, jak mężczyzna ciężkim krokiem idzie przez hangar - dumny, zahartowany przeciwnościami stary człowiek, borykający się z zadaniem przerastającym jego siły.

Rozdział 27

Prezydent siedział w błyszczącym chromem, wyściełanym czarną skórą fotelu, przymocowany do niego nylonowymi pasami. Obojętnym, tępyim spojrzeniem wpatrywał się w przestrzeń. Do torsu i czoła umocowane miał bezprzewodowe czujniki, przekazujące do komputera dane o ośmiu różnych czynnościach życiowych organizmu.

Sala operacyjna była niewielka, miała niespełna sto stóp kwadratowych. Wypełniała ją elektroniczna aparatura monitorująca. Ługowoj i cztery osoby z jego zespołu spokojnie i sprawnie przygotowywali się do operacji. Paweł Suworow stał w jedynym pustym kącie, czując się ogromnie niezręcznie w zielonym sterylnym fartuchu. Obserwował, jak jedna z asystentek Ługowoja dwukrotnie wbija igłę w kark prezydenta, najpierw po jednej stronie, a potem po drugiej.

- Dziwne miejsce na znieczulenie - zauważył.

- Do dzisiejszego zabiegu zastosujemy miejscowe - odparł Ługowoj, patrząc na powiększony radiologiczny obraz na ekranie wideo. - Niewielka doza amytału do arterii szyjnych wprowadza prawą i lewą półkulę mózgu w stan uśpienia. Obecny zabieg ma na celu usunięcie jakiegokolwiek świadomego zapisu pamięciowego tej operacji.

- Czy nie powinno się ogolić mu głowy? - spytał Suworow, wskazując włosy sterczące spod hełmu.

- Musimy pominąć normalne procedury - cierpliwie wyjaśnił

Ługowoj. - Ze zrozumiałych powodów nie możemy zmienić jego wyglądu.

- Kto poprowadzi operację?

- A jak sądzicie?

- Pytam was, towarzyszu.

- Ja.

Suworow wyglądał na zaskoczonego.

- Przystudiowałem wasze akta i akta wszystkich waszych współpracowników. Waszą specjalnością jest psychologia, większość personelu to elektrycy, a jeden jest biochemikiem. Nikt nie posiada kwalifikacji chirurgicznych.

- Bo wcale ich nie potrzebujemy. - Ługowoj przestał zwracać uwagę na Suworowa i znowu popatrzył na ekran monitora. Potem skinął głową. - Możemy już zaczynać. Ustawcie laser na stanowisku.

Technik przycisnął twarz do gumowej wykładziny okularu mikroskopu sprzężonego z argonowym laserem. Aparatura podłączona była do komputera i u dołu ekranu pojawiły się pomarańczowe cyfry koordynat. Kiedy ukazały się tylko zera, naprowadzanie zostało zakończone.

Mężczyzna przy laserze skinął głową.

- Gotowe.

- Zaczynać - polecił Ługowoj.

Smuzka dymu, tak słabiutka, że tylko siedzący przy mikroskopie operator lasera mógł ją dostrzec, była znakiem, że niewiarygodnie cienki niebieskozielony promień dotknął czaszki prezydenta.

Była to osobliwa scena. Wszyscy stali odwróceny tyłem do pacjenta i obserwowali monitory. Obraz powiększono do chwili, kiedy promień stał się dostrzegalny jako pajęczna nitka. Z precyzją stokrotnie przekraczającą ludzkie umiejętności komputer wyciął laserem w kości miniaturową dziurkę o średnicy jednej trzydziestej milimetra, docierając jedynie do opony okrywającej mózg. Zafascynowany Suworow przysunął się bliżej.

- Co będzie teraz? - zapytał ochryplym głosem.

Ługowej zaprosił go gestem do elektronicznego mikroskopu. -
Zobaczcie sami.

Suworow spojrział w podwójny okular.

- Widzę tylko czarną plamkę.

- Nastawcie dobrze ostrość.

Suworow zrobił to i plamka przekształciła się w mikroczip - układ scalony.

- Zminiaturyzowany wszczep, który może dekodować i odbierać sygnały mózgu. Mamy zamiar umieścić go w korze mózgowej, tam gdzie powstają procesy myślowe.

- Jakie to ma zasilanie?

- Sam mózg wytwarza około dziesięciu watów energii elektrycznej - wyjaśnił Ługowej. - Fale mózgowe prezydenta mogą zostać przekazane do aparatury kontrolującej, która znajduje się w odległości tysięcy mil, odszyfrowane i zastąpione dowolnym sygnałem. Przypomina to zmianę kanałów w telewizorze za pomocą zdalnego sterowania.

Suworow odszedł od mikroskopu i popatrzył na Ługowoja.

- Możliwości nauki są o wiele bardziej oszałamiające, niż myślałem - mruknął. - Będziemy mogli poznać wszelkie tajemnice rządu Stanów Zjednoczonych.

- Będziemy również mogli do końca życia prezydenta programować wszelkie jego poczynania - dodał Ługowej. - A za pośrednictwem komputera sterować jego osobowością tak, że ani on, ani nikt w jego otoczeniu nic nie zauważy.

Technik stanął za nim.

- Możemy już umieszczać wszczep.

Ługowej skinął głową.

- Zaczynajcie.

Na miejscu lasera znalazła się aparatura przypominająca robota. Niewiarygodnie zminiaturyzowany wszczep został wyjęty spod mikroskopu i precyzyjnie przymocowany do końca cieniutkiego przewodu sterczącego z mechanicznego ramienia. Potem umieszczono go naprzeciwko otworu w czaszce prezydenta.

- Rozpoczynam wprowadzanie... Już - rozległ się monotony głos mężczyzny przy konsoli.

Podobnie jak przedtem, sprawdził szereg cyfr na ekranie monitora. Cały proces został z góry zaprogramowany. Żaden człowiek nawet nie ruszył ręką. Sterowany komputerem robot delikatnie wsunął przewód przez ochronną błonę w miękkie zwoje mózgu. Po sześciu minutach na ekranie rozbłysło: CEL.

Ługowoj nie spuszczał wzroku z kolorowego monitora aparatury rentgenowskiej.

- Zwolnić i cofnąć sondę.

- Zwolnione i cofnięta - jak echo odparł głos.

Kiedy przewód został wyjęty, na jego miejsce wprowadzono miniaturowy, przypominający rurkę przyrząd zawierający mikrokorek z pobranymi z głowy jakiegoś Rosjanina trzema włosami i ich korzeniami. Przypominały do złudzenia włosy prezydenta. Następnie mikrokorek został wprowadzony do maleńkiego otworu wyciętego laserem. Kiedy robot się cofnął, Ługowoj podszedł i sprawdził wynik, używając wielkiego szkła powiększającego.

- Niewielkie złuszczenie skóry powinno zniknąć w ciągu kilku dni - stwierdził. Wyprostował się zadowolony i spojrzał na sterowane komputerem monitory.

- Wszczep rozpoczął pracę - oznajmiła asystentka.

Ługowoj zatarł z zadowoleniem dłoń.

- Dobrze, możemy rozpocząć drugie sondowanie.

- Ma pan zamiar umieścić drugi wszczep? - spytał Suworow.

- Nie, wstrzyknąć niewielką porcję RNA do podwzgórza.

- Czy moglibyście mi to jakoś przystępnie wyjaśnić?

Ługowoj sięgnął nad ramieniem mężczyzny siedzącego przy konsoli komputera i przekręcił gałkę. Obraz mózgu prezydenta zaczął się powiększać, aż wreszcie zajął cały ekran monitora aparatury rentgenowskiej.

- Tutaj - powiedział, stukając w ekran. - To przypominające kształtem konika morskiego zgrubienie na wewnętrznej środkowej

ściance komory bocznej mózgu odbiera i przechowuje nowe wspomnienia. Wstrzykując RNA - kwas rybonukleinowy, przenoszący informację genetyczną innego osobnika, którego odpowiednio zaprogramowano, możemy uzyskać to, co określamy jako „oddziaływanie na umysł”.

Suworow gorączkowo porządkował w myślach wszystko, co widział i słyszał, ale zupełnie nie nadażał za Ługowojem. Nic z tego nie rozumiał. Popatrzył niepewnie na prezydenta.

- Możecie wstrzyknąć pamięć jednego człowieka do mózgu drugiego?

- Dokładnie tak - odparł Ługowoj. - Jak myślicie, co dzieje się w szpitalach dla umysłowo chorych, do których KGB wysyła wrogów ludu? Nie wszystkich daje się tak reedukować, by stali się dobrymi realizatorami idei partii. Toteż wielu z nich wykorzystuje się do przeprowadzania ważnych eksperymentów psychologicznych. Na przykład RNA, jaki mamy wprowadzić prezydentowi, pochodzi od artysty plastyka, który uparcie rysował szydercze karykatury naszych przywódców, przedstawiające ich w kłopotliwych i nieprzyzwoitych sytuacjach... Nie mogę przypomnieć sobie jego nazwiska.

- Bielka?

- Tak, Oskar Bielka. Nieudacznik społeczny. Kiedy pańscy koledzy ze służby bezpieczeństwa publicznego aresztowali go w jego atelier, został w tajemnicy przewieziony do ustronnego sanatorium w okolicach Kijowa. Tam na dwa lata umieszczono go w kokonie, podobnym do tych tutaj. Dzięki nowym technikom akumulowania pamięci, odkrytym przez biochemików, jego pamięć została skasowana i zastąpiona politycznymi koncepcjami, które chcielibyśmy wykorzystać w przypadku prezydenta.

- Ale czy nie można osiągnąć tego samego, wszczepiając tylko aparaturę kontrolującą?

- Wszczep jest wyjątkowo złożony i podatny na uszkodzenia. Przekazanie pamięci służy jako system wspomagający. Nasze doświadczenia dowiodły również, że proces kontroli działa skuteczniej,

jeżeli osobnik sam tworzy myśli, a wszczep jedynie dekretuje pozytywną lub negatywną reakcję.

- Niezwykle ciekawe - stwierdził Suworow. - I to będzie efekt końcowy?

- Niezupełnie. Dodatkowym marginesem bezpieczeństwa będzie wprowadzenie prezydenta przez jednego z moich współpracowników, wysoko wykwalifikowanego hipnotyzera, w stan transu, który wyeliminuje wszelkie podświadome wrażenia, jakie mogą powstać w czasie jego przebywania pod naszą opieką. W zamian zostanie zaprogramowany bardzo szczegółową legendą dotyczącą ostatnich dziesięciu dni.

- Widzę, że nie zapomnieliście o niczym.

Ługowoj pokręcił głową.

- Ludzki mózg jest magicznym kosmosem, którego nigdy do końca nie zrozumiemy. Możemy sądzić, że wreszcie okiełznaliśmy te trzy i pół funta szaroróżowej galarety, ale jego kapryśna natura jest równie nieprzewidywalna jak pogoda.

- Chcecie przez to powiedzieć, że prezydent może nie reagować tak, jak sobie byście życzyli?

- Możliwe - odparł poważnie Ługowoj. - Możliwe również, że jego umysł całkowicie wymknie się spod naszej kontroli. Konsekwencje tego mogą być przerażające...

Rozdział 28

Sandecker zatrzymał samochód na parkingu małej przystani jachtowej, czterdzieści mil poniżej Waszyngtonu. Wsiadł i stanął patrząc na Potomac. Nad mętными zielonymi wodami płynącymi na wschód, w stronę Chesapeake Bay, rozpościerało się błękitne niebo. Zszedł po uginających się schodach na pływającą przystań. Do jednego z jej końców przycumowany był stary kuter do połowu małży. Jego podrdzewiałe chwytaکی zwiisały z bomu jak szczęki jakiegoś dziwacznego zwierzęcia.

Kadłub był zużyty latami ciężkiej służby i większa część pokrywającej go farby odpadła. Silnik pykał obłoczkami spalin, które wydobywały się z komina i rozplywały na lekkim wietrzyku. Ledwo widoczna nazwa na rufie brzmiała „Hoki Jamoki”.

Admirał zerknął na zegarek. Była 11.40. Skinął z aprobatą głową. Zaledwie trzy godziny temu telefonował do Pitta, a poszukiwania „Eagle’a” już były w toku. Zeskoczył na pokład, przywitał się z dwoma technikami podłączającymi przetworniki sonaru do przewodu głowicy zapisującej i wszedł do sterówki. Zastał tam Pitta, który przez szkło powiększające oglądał wielką fotografię satelitarną.

- Czy to wszystko, na co cię stać? - spytał Sandecker.

Pitt podniósł głowę i uśmiechnął się wesoło.

- Chodzi panu o łódź?

- Owszem.

- Może nie odpowiada standardom Marynarki Wojennej, ale doskonale spełnia swoje zadania.

- Nie mogłeś wykorzystać żadnej z twoich jednostek poszukiwawczych?

- Mogłem, ale wziąłem tę starą balię z dwóch powodów. Po pierwsze, to cholernie dobra robocza jednostka. Po drugie zaś, jeżeli ktoś rzeczywiście zwinął rządowy jacht z grupą VIP-ów na pokładzie, a potem go zatopił, będzie się spodziewał poszukiwań podwodnych na szeroka skalę i prowadzi obserwację. Zanim się zorientuje, my załatwimy swoje i znikniemy.

Sandecker poinformował go przedtem tylko, że z nabrzeża w Mount Vernon ukradziono motorówkę Marynarki Wojennej i najprawdopodobniej zatopiono. Nic poza tym.

- Kto ci powiedział o tym, że na pokładzie była grupa VIP-ów?

- Śmigłowce armii i Marynarki Wojennej latają jak szarańcza, a przez rzekę można przejść suchą nogą po jednostkach Ochrony Wybrzeża. W tych poszukiwaniach jest coś więcej, niż mi pan powiedział, admirale. O wiele więcej.

Sandecker nie odpowiedział. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego milczenie tylko wzmaga podejrzenia Pitta. Robiąc unik powiedział:

- Znalazłeś coś, co spowodowało, że zaczęłeś poszukiwania tak daleko poniżej Mount Vernon?

- Wystarczająco dużo, żeby oszczędzić cztery dni i dwadzieścia pięć mil - odparł Pitt. - Doszedłem do wniosku, że łódź mogła zostać zauważona przez jeden z naszych satelitów, ale przez który? Wojskowe satelity szpiegowskie nie przelatują nad Waszyngtonem, a fotografie meteorologiczne nie są w stanie rejestrować takich szczegółów.

- Skąd to wytrzasnąłeś? - spytał Sandecker, wskazując fotografię.

- Od przyjaciela z Departamentu Spraw Wewnętrznych. Jeden z ich satelitów prowadzących zwiad geologiczny przelatywał na wysokości pięciuset dziewięćdziesięciu mil i zrobił zdjęcie Chesapeake Bay i sąsiednich rzek w podczerwieni. Było to o czwartej czterdzieści tego ranka, kiedy zniknęła łódź marynarki. Jeżeli pan spojrzy przez lupę na

powiększenie tego fragmentu Potomacu, zobaczy pan, że jedyna łódź na rzece poniżej Mount Vernon znajduje się o milę w dół od tej przystani.

Sandecker spojrział na małą białą kropkę na fotografii. Ostrość była niewiarygodna. Mógł dostrzec każdy szczegół na pokładzie, a także postacie dwóch ludzi. Spojrział Pittowi w oczy.

- Nie sposób udowodnić, że to jednostka, której szukamy - oznajmił beznamiętnie.

- Nie urwałem się z choinki, admirale. To prezydencki jacht „Eagle”.

- Nie będę opowiadał ci bajek - odparł Sandecker - ale nie mogę wyjaśnić nic ponad to, co już powiedziałem.

Pitt wzruszył ramionami i nie odezwał się.

- Jak sądzisz, gdzie jest teraz ta łódź? - zapytał po chwili admirał.

Zielone oczy Pitta pociemniały. Popatrzył na Sandeckera z ukosa i wziął cyrkiel nawigacyjny.

- Zapoznałem się z danymi technicznymi „Eagle’a”. Jego maksymalna prędkość wynosi czternaście węzłów. Zdjęcie satelitarne zostało sporządzone o czwartej czterdzieści. Do świtu było półtorej godziny. Załoga, która porwała jacht, nie mogła ryzykować, że ich ktoś zobaczy, musieli więc go zatopić jeszcze pod osłoną ciemności. Biorąc to wszystko pod uwagę, należy uznać, że „Eagle” mógł przepłynąć przed wschodem słońca jedynie dwadzieścia jeden mil.

- W dalszym ciągu to cholernie dużo wody.

- Myślę, że możemy zmniejszyć obszar poszukiwań.

- Trzymając się toru wodnego?

- Tak jest, sir, głębokiej wody. Gdybym kierował tą zabawą, zatopiłbym jacht na możliwie największej głębokości, żeby zapobiec przypadkowemu odkryciu.

- Jaka jest przeciętna głębokość toru wodnego?

- Trzydzieści do czterdziestu stóp.

- To nie wystarczy.

- Owszem, ale według map nawigacyjnych jest tam kilka dziur o głębokości przekraczającej sto stóp.

Sandecker popatrzył przez okna sterówki na Ala Giordina,

maszerującego po przystani z butlami powietrza na potężnych ramionach. Odwrócił się w stronę Pitta i spoglądał na niego w zamyśleniu.

- Jeżeli zlokalizujecie wrak i będziesz nurkował - powiedział powoli - masz nie wchodzić do środka. Twoje zadanie to odnaleźć i zidentyfikować jednostkę, nic więcej.

- Co tam jest takiego, czego nie powinienem zobaczyć?

- Nie pytaj.

Pitt uśmiechnął się sucho.

- Niech mi pan sprawi przyjemność. Jestem kapryśny.

- Myślałby kto - mruknął Sandecker. - A co spodziewasz się tam znaleźć?

- Może raczej: kogo?

- Czy ma to jakieś znaczenie? - odparł ostrożnie Sandecker. - Prawdopodobnie jest pusty.

- Robi mi pan wodę z mózgu, admirale. Ale niech będzie. A kiedy już znajdziemy jacht, to co?

- Wtedy sprawę przejmie FBI.

- Więc mamy po prostu zrobić swoje i usunąć się na bok? Takie są rozkazy.

- Pieprzę ich.

- Ich...?

- Siły, które bawią się w swoje małe tajemnice.

- Wierz mi, ta sprawa nie jest mała.

Twarz Pitta stężała.

- Ocenimy to, kiedy odnajdziemy jacht, prawda?

- Wierz mi na słowo - stwierdził Sandecker. - Nie będziesz miał ochoty oglądać tego, co może być we wraku.

Niemal dokładnie w chwili kiedy powiedział te słowa, uświadomił sobie, że pomachał czerwoną płachtą przed nosem byka. Gdy tylko Pitt zniknie pod powierzchnią rzeki, cieniutka smycz subordynacji zostanie zerwana.

Rozdział 29

Sześć godzin później i dwanaście mil w dół rzeki cel numer siedemnaście wpłynął wolno na ekran sonaru o wysokiej rozdzielczości. Znajdował się na głębokości stu dziewięciu stóp między cyplami Persimmon i Mathias, dokładnie naprzeciwko Popes Creek i dwie mile przed mostem na Potomacu.

- Wymiary? - spytał Pitt operatora sonaru.

- Trzydzieści sześć metrów długości i siedem szerokości. A jakiej wielkości jest nasz obiekt? - spytał Giordino.

- „Eagle” ma długość całkowitą sto dziesięć i szerokość dwudziestu stóp - odparł Pitt.

- To by się zgadzało - odparł Giordino, przeliczając w myśli metry na stopy.

- Myślę, że go mamy - stwierdził Pitt, badając konfigurację dna kreśloną przez boczny sonar. - Zróbmy jeszcze jedno przejście - tym razem mniej więcej dwadzieścia metrów w prawo - i postawmy boję.

Sandecker, który stał na zewnątrz, obserwując na pokładzie rufowym kabel czujnika sonaru, pochylił się w stronę sterówki.

- Masz coś?

Pitt skinął głową.

- Bezpośredni kontakt.

- Masz zamiar go sprawdzić?

- Kiedy postawimy boję, Al i ja zejdziemy na dół, żeby na niego

spojrzeć.

Sandecker spojrział na zniszczony pokład i nic nie powiedział. Potem odwrócił się i poszedł w stronę rufy, gdzie pomógł Giordinowi podnieść na nadburcie „Hoki Jamoki” pięćdziesięciofuntowy ołowiany obciążnik, umocowany do jaskrawopomarańczowej boi.

Pitt przejął ster i położył łódź na przeciwny kurs. Gdy na echosondzie zaczął pojawiać się cel, zawołał:

- Już!

Kuter zwolnił i boja poleciała za burtę. Jeden z techników przeszedł na dziób i rzucił kotwicę. „Hoki Jamoki” zwolnił i zatrzymał się z rufą obróconą w dół rzeki.

- Szkoda, że nie wzięłeś podwodnej kamery telewizyjnej - zauważył admirał, pomagając Pittowi nałożyć sprzęt do nurkowania.

- Na nic by się nie przydała - odparł Pitt. - Widzialność na dole wynosi zaledwie kilka cali.

- Prąd ma prędkość jakichś dwóch węzłów - ocenił Sandecker.

- Kiedy zaczniemy wypływać na powierzchnię, zniesie nas w stronę rufy. Lepiej wyluzujcie ze sto stóp liny umocowanej do boi, żeby pomóc nam wrócić na pokład.

Giordino zacisnął mocniej pas z ciężarkami i uśmiechnął się beztrosko.

- Jeżeli jesteś gotów, to ja też.

Sandecker schwycił Pitta mocno za ramię.

- Pamiętaj, co ci powiedziałem o wchodzeniu do wnętrza wraku.

- Spróbuję nie przyglądać się zbyt dokładnie - odparł sucho Pitt.

Zanim admirał zdążył odpowiedzieć, Pitt opuścił maskę na oczy i rzucił się do tyłu w rzekę.

Woda zamknęła się nad nim, słońce stało się rozmazaną, zielonkawopomarańczową plamą. Prąd zaczął napierać na jego ciało, musiał więc płynąć po przekątnej aż do chwili, gdy znalazł boję. Wyciągnął rękę, schwycił linę i spojrział w dół. W odległości niecałych trzech stóp biały nylon zniknął w mętym mroku.

Pilnując całej liny, Pitt znurkował w głębinę Potomacu. Przed

jego maską przepływały strzępki roślinności i drobne cząsteczki osadów. Włączył lampę do nurkowania, ale skąpy promień rozszerzał pole widzenia zaledwie o kilka cali. Poruszając szczękami, wyrównał ciśnienie w uszach.

W miarę jak schodził coraz głębiej, gęstość wody wzrastała. A potem, zupełnie jakby nagle przeszedł przez jakieś drzwi, temperatura obniżyła się gwałtownie o dziesięć stopni. Widzialność wzrosła do dziesięciu stóp. Pojawiło się dno i Pitt dostrzegł po prawej stronie mgliste zarysy jachtu. Odwrócił się i wskazał go Giordinowi, który potwierdził skinieniem głowy, że również zobaczył.

Nadbudówka „Eagle’a” jakby materializowała się z mgły, jej kształty stawały się coraz wyraźniejsze. Jacht leżał jak martwe zwierzę, samotny w nawiedzonej ciszy i mroku głębin.

Pitt popłynął wzdłuż jednej burty, podczas gdy Giordino podążył wzdłuż drugiej. Jacht spoczywał na dnie bez najmniejszego przechyłu. Wyglądał zupełnie tak samo jak wtedy, gdy pływał po powierzchni.

Spotkali się przy rufie i Pitt napisał na tabliczce do porozumiewania się: „Jakieś uszkodzenia?”

„Żadnych” - odpisał Giordino.

Potem popłynęli wolno nad pokładami, obok ciemnych okien głównej kabiny, aż do mostku. Nic nie wskazywało, że zdarzyła się tu jakaś tragedia. Świecili latarkami przez okna mostku w głąb ciemnego wnętrza, ale widzieli jedynie niesamowitą pustkę. Pitt spostrzegł, że strzałki telegrafu maszynowego wskazywały: MASZYNY STOP.

Zawahał się przez chwilę i napisał nowy komunikat: „Wchodzę do środka”.

Oczy Giordina błysnęły za maską, kiedy odpisał: „Idę z tobą”.

Sprawdzili wskazania manometrów. Mieli wystarczająco dużo mieszanki na następne dwanaście minut nurkowania. Pitt próbował otworzyć drzwi sterówki. Czuł, jak serce zamiera mu w piersi. Nawet z Giordinem u boku uczucie lęku było przytłaczające. Zamek obrócił się i Pitt popchnął drzwi. Nabrał głęboko powietrza i wpłynął do środka.

Brązowe drewno połyskiwało mdło w świetle latarki. Pitta zdziwił

porządek panujący w pomieszczeniu. Wszystko na miejscu. Pusto, żadnych śmieci. Przypomniał mu się „Pilottown”.

Nie znaleźli nic ciekawego i popłynęli w dół schodni do salonu. W płynnej ciemności wielkie pomieszczenie zdawało się nie mieć końca. Wszędzie panował ten sam dziwny porządek. Giordino skierował światło w górę. Belkowanie nad głową i mahoniowa boazeria były nieskazitelnie czyste. I wtedy Pitt zorientował się, co było powodem jego niepokoju. Sufit powinny pokrywać pływające śmieci. Wszystko, co mogło wypłynąć na powierzchnię i zostać zniesione na brzeg, starannie usunięto.

Przy akompaniamencie bulgotu bąbelków powietrza wydobywających się z ich aparatów oddechowych przepłynęli wzdłuż korytarza, obok kabin pasażerskich. Wszędzie panował ten sam porządek, nawet z łóżek i materaców zdjęto pościel. Światła ich lamp przemykały się między meblami umocowanymi do pokrytego dywanem pokładu. Pitt sprawdził łazienki, a Giordino obejrzał szafy. Kiedy dotarli do pomieszczeń załogi, mieli powietrza już tylko na siedem minut. Porozumiewając się krótkimi gestami, rozdzielili się. Giordino popłynął sprawdzić kambuz i magazyny, Pitt zaś skierował się w stronę maszynowni.

Okazało się, że pokrywa luku nad maszynownią jest zamknięta na zasuwę i zamek. Nie tracąc ani chwili, Pitt szybko wyciągnął nóż z umocowanej do łydki pochwy i zaczął luzować bolce zawiasów. Kiedy zwolnił z mocowań pokrywę, przepłynęła obok niego, unosząc się ku górze.

Podobnie jak opuchnięte zwłoki, które wyskoczyły z otwartego luku jak diabeł z pudełka.

Rozdział 30

Pitt odskoczył aż pod grodź i jak sparaliżowany patrzył na wrywającą się z maszynowni koszmarną paradę śmieci i ciał. Podpływały pod sufit i zawisły tam w groteskowych pozach jak balony na uwięzi. Chociaż zaczęły się już wytwarzać gazy gnilne, ciała jeszcze nie uległy rozkładowi. Pod kołyszącymi się w rytm ruchów wody pasmami włosów widać było wytrzeszczone martwe oczy.

Pitt z wysiłkiem opanował ogarniające go wstręt i lęk, oswajając się z myślą o obrzydliwej pracy, którą będzie musiał wykonać. Czując podchodzące do gardła mdłości i paraliżujący strach, przemknął przez otwarty luk do maszynowni.

To, co zobaczył, przypominało potworny taniec śmierci. Pościel, ubrania z na wpół otwartych walizek, poduszki, wszystko, co mogło pływać, przemieszało się z unoszącymi się w górze ciałami. Scena była koszmarem, jakiego nie wymyśliliby nawet hollywoodzcy producenci horrorów.

Większość zwłok ubrana była w białe mundury Ochrony Wybrzeża, które jeszcze bardziej upodabniały je do widm. Kilka ciał miało na sobie zwykłe robocze kombinezony. Na żadnym nie było widać ran ani obrażeń.

Przebywał tam najwyżej dwie minuty, kuląc się, gdy martwa dłoń ocierała się o jego ramię albo biała, woskowa twarz przepływała w odległości kilku cali od jego maski. Mógłby przysiąc, że wszyscy umarli

patrzyli na niego, jakby błagając o coś, czego nie był w stanie im dać. Jedno ciało ubrane było odmiennie od innych - w zrobiony na drutach sweter ukryty pod eleganckim płaszczem przeciwdeszczowym. Pitt szybko przeszukał kieszenie trupa.

To, co zobaczył, wryło mu się w pamięć na całe życie. Szybko odepchnął się stopą od drabinki i wydostał z maszynowni. Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, spojrzał na manometr. Strzałka informowała, że pozostało sto funtów mieszanki. Wystarczająco, by wypłynąć na powierzchnię, pod warunkiem że nie będzie zwlekał. Zastał Giordina przeglądającego olbrzymią spiżarnię i wskazał kciukiem w górę. Giordino skinął głową i poprowadził korytarzami na górny pokład.

Kiedy jacht zniknął w mroku, Pitt poczuł ogarniającą go ulgę. Nie miał czasu szukać liny z boją, popłynęli więc w górę za bąbelkami powietrza wydobywającymi się z zaworów aparatów tlenowych. Woda powoli zmieniała barwę z czarnobrazowej na szarozieloną. Kiedy wreszcie wypłynęli na powierzchnię, okazało się, że są pięćdziesiąt jardów w dół rzeki od „Hoki Jamoki”.

Sandecker i załoga kutra natychmiast ich spostrzegli i szybko zaczęli ściągać linę. Sandecker złożył ręce przy ustach i zawołał:

- Trzymajcie się, podciągniemy was!

Pitt pomachał mu ręką, szczęśliwy, że może położyć się na wodzie i odpocząć. Czuł się zbyt wyczerpany, by zająć się czymkolwiek poza obserwowaniem przesuwających się do tyłu drzew na brzegu rzeki. Kilka minut później wyciągnięto go wraz z Giordinem na pokład starego kutra.

- Czy to „Eagle”? - spytał Sandecker, nie mogąc opanować ciekawości.

Pitt nie odpowiedział, dopóki nie zdjął butli z powietrzem.

- Tak - odparł wreszcie. - To „Eagle”.

Sandecker nie był w stanie zadać dręczącego go pytania. Zrobił więc unik:

- Czy znalazłeś coś, o czym powinniśmy porozmawiać?

- Na zewnątrz jest nie uszkodzony. Stoi na dnie na równej stępce,

zagłębiany jakieś dwie stopy w mule.

- Ani śladu ludzi?

- W każdym razie z zewnątrz.

Najwidoczniej Pitt nie miał zamiaru udzielić żadnych informacji, jeżeli nie zostanie mu zadane bezpośrednio pytanie.

- Czy mogłeś zajrzeć do środka? - pytał dalej Sandecker.

- Zbyt ciemno, aby można było cokolwiek zobaczyć.

- Dobra, do cholery. Mówmy szczerze.

- Teraz, kiedy zapytał mnie pan tak uprzejmie - powiedział Pitt chłodno - muszę stwierdzić, że na jachcie jest więcej zwłok niż na niejednym cmentarzu. Umieszczono je w maszynowni. Naliczyłem dwadzieścia jeden ciał.

- Chryste! - jęknął zaskoczony Sandecker. - Czy kogoś rozpoznałeś?

- Trzynastu to członkowie załogi. Pozostali wyglądali na cywilów.

- Ośmiu cywilów? - Sandecker sprawiał wrażenie oszołomionego.

- Przynajmniej tak można sądzić na podstawie ubrań. Nie byli w stanie nadającym się do przesłuchań.

- Ośmiu cywilów - powtórzył Sandecker. - I żaden z nich nikogo ci nie przypominał?

- Nie sądzę, by nawet rodzone matki ich poznały - odparł Pitt. - A dlaczego? Czy powinien tam być ktoś znajomy?

Sandecker pokręcił głową.

- Nie mogę tego powiedzieć.

Pitt nigdy dotąd nie widział admirała tak rozstrojonego. Odezwał się:

- Można by powiedzieć, że ktoś załatwił połowę chińskiej ambasady.

- Chińskiej ambasady...? - Spojrzenie admirała zrobiło się nagle ostre jak brzytwa. - Co ty mówisz?

- Siedmiu lub ośmiu cywilów z Azji Wschodniej.

- Czy jesteś tego pewien? - spytał Sandecker, wyraźnie odzyskując równowagę psychiczną. - Przy tak ograniczonej widzialności...

- Widzialność była w granicach dziesięciu stóp. A poza tym jestem doskonale świadom różnic w wyglądzie Europejczyka i Azjaty.

- Dzięki Bogu - powiedział Sandecker wzdychając głęboko.

- Byłbym niezmiernie panu zobowiązany, gdyby zechciał mnie pan łaskawie poinformować, czego, u diabła, spodziewał się pan tam na dole?

Spojrzenie Sandeckera złagodniało.

- Jestem ci winien wyjaśnienia - stwierdził. - Ale nie mogę ich udzielić. Wokół nas dzieje się coś, o czym nie powinniśmy zbyt dużo wiedzieć.

- Mam swoje własne sprawy - odparł Pitt głosem, w którym zabrzmiały nagle lodowate nuty. - Tą nie jestem zainteresowany.

- Tak, Julie Mendoza. Rozumiem.

Pitt wyciągnął coś spod mankietu kombinezonu do nurkowania.

- Proszę, byłbym zapomniiał. Znalazłem to przy jednym z ciał.

- Co to takiego?

Pitt podał mu mokry skórzany portfel. Wewnątrz, w wodoodpornej oprawce, znajdowała się legitymacja z fotografią. Po przeciwległej stronie widniała odznaka w kształcie tarczy.

- Legitymacja funkcjonariusza Secret Service - oznajmił. - Nazywał się Brock. Lyle Brock.

Sandecker bez słowa wziął portfel i spojrzał na zegarek.

- Muszę porozumieć się z Samem Emmettem z FBI. Teraz to jego zmartwienie.

- Nie uda się panu tak łatwo od tego odczepić, admirale. Wiemy obaj, że podniesienie „Eagle’a” zleca NUMA.

- Oczywiście, masz rację - powiedział zmęczonym głosem Sandecker. - Ale ciebie uwalniam od zajmowania się tą sprawą. Rób to, co miałeś robić. Polecę Giordinowi podniesienie wraku. - Odwrócił się i wszedł do sterówki, żeby porozmawiać z brzegiem przez radiotelefon.

Pitt stał długo, patrząc na ciemne, groźne wody rzeki. Przed oczami wciąż miał to, co ujrzał na dole. W głowie dźwięczał mu wers starego morskiego poematu: „Widmowy statek z załogą widm, co błąka się bez celu”.

A potem, jakby zaciągając kurtynę, zaczął znowu myśleć o

„Pilottown”.

Na wschodnim brzegu rzeki ukryty w zaroślach leszczyny mężczyzna w kombinezonie maskującym przyłożył oko do celownika kamery wideo. Słoneczny żar i wysoka wilgotność powodowały, że pot spływał mu ciurkiem po twarzy. Nie zwracał na to uwagi i regulował obiektyw do chwili, kiedy górna połowa ciała Pitta wypełniła miniaturowy ekran. Potem panoramował wzdłuż całego kutra, zatrzymując się przez kilka sekund na twarzach każdego członka załogi.

Kiedy pół godziny później nurkowie wyszli z wody, „Hoki Jamoki” został otoczony niewielką flotyllą jednostek Ochrony Wybrzeża. Bom przeładunkowy jednego z okrętów przeniósł nad burtą wielką boję w czerwone pasy z migającym światłem na szczycie i opuścił ją nad wrakiem „Eagle’a”.

Kiedy baterie kamery wyczerpały się, ukryty operator starannie spakował swój sprzęt i zniknął w zapadającym zmierzchu.

Rozdział 31

Pitt studiował kartę dań, gdy kierownik sali restauracji „Posilano” przy Fairmont Avenue prowadził Loren w stronę jego stolika. Poruszała się z gracją gimnastyczki, kłaniając się i wymieniając po kilka słów z ludźmi z Kapitolu, którzy właśnie jedli tu lunch.

Pitt podniósł wzrok i ich oczy spotkały się. Odpowiedziała uśmiechem na jego zachwycone spojrzenie. Wstał i odsunął jej krzesło.

- Cholera, ale paskudnie dziś wyglądasz - powiedział.

- Wciąż mnie zadziwiasz. - Roześmiała się.

- Dlaczego?

- Raz jesteś dżentelmenem, a po chwili draniem.

- Słyszałem, że kobiety lubią różnorodność.

Jej oczy, jasne i łagodne, były rozbawione.

- Jesteś jedynym mężczyzną, jakiego znam, który nie całuje mnie w tyłek.

- To dlatego, że nie potrzebuję żadnych politycznych przysług.

Skrzywiła się i otworzyła menu.

- Nie mam czasu na głupstwa. Muszę wrócić do biura i odpowiedzieć na tonę listów moich wyborców. Co mamy dobrego?

- Myślę, że na twoim miejscu spróbowałbym *zuppa di pesce*.

- Moja waga powiedziała mi dziś rano, że powinnam uważać z jedzeniem. Chyba ograniczę się do sałatki.

Zbliżył się kelner.

- Napijiesz się czegoś? - spytał Pitt.

- Zamów. Zdaję się na ciebie.

- Dwa koktajle Sazerac na lodzie i niech pan poprosi barmana, żeby dał żytniówkę zamiast burbona.

- Tak jest, sir - odparł kelner.

Loren rozłożyła serwetkę na kolanach.

- Nie mogłam się do ciebie dodzwonić przez dwa dni. Gdzie byłeś?

- Admirał wysłał mnie, żebym przeprowadził pilną podwodną robotę.

- Czy była ładna? - spytała, zaczynając starą jak świat grę.

- Koroner może był takiego zdania. Ale mnie trupy topielców nigdy specjalnie nie podniecały.

- Przepraszam - powiedziała cicho. Kiedy podano drinki, przez chwilę kołysali kostki lodu w szklankach, a potem napili się czerwonego płynu.

- Jeden z moich współpracowników znalazł coś, co może ci pomóc - powiedziała wreszcie.

- Co to takiego?

Wyjęła z teczki kilka spiętych kartek maszynopisu i podała Pittowi. Zaczęła mówić cichym głosem:

- Obawiam się, że niewiele tu konkretów, ale dostaliśmy ciekawy raport na temat floty-widmo CIA.

- Nie wiedziałem, że taką mają - odparł Pitt, przeglądając dokument.

- Od 1963 zgromadzili niewielką flotyllę jednostek, o której wiezaledwie kilka osób w rządzie. A ci ludzie nigdy nie potwierdzą, że taka flotylla istnieje. Poza działaniami obserwacyjnymi jej podstawowym zadaniem jest przeprowadzanie tajnych operacji związanych z przewozem ludzi i zaopatrzenia, czyli dokonywanie przerzutów do wrogich krajów. Początkowo jej zadaniem było nękanie Castra po przejściu przez niego władzy na Kubie. Kilka lat później, kiedy stało się jasne, że Fidel jest zbyt silny, aby można go było obalić, ta działalność uległa ograniczeniu, zwłaszcza że Kubańscy grozili podjęciem odwetowych kroków przeciwko amerykańskim jednostkom rybackim.

Od tej pory sfera działań marynarki CIA objęła wody Ameryki Środkowej. Flota-widmo brała też udział w walkach w Wietnamie, Afryce i na Bliskim Wschodzie. Nadążasz?

- Chwilowo tak, ale nie mam pojęcia, do czego zmierzasz.

- Trochę cierpliwości - odparła. - Transportowy statek zaopatrzenia „Hobson” był zakonspirowaną jednostką rezerwy Marynarki Wojennej w Filadelfii. Został zdemobilizowany i sprzedany firmie armatorskiej działającej w porozumieniu z CIA. Przebudowano go tak, by zewnątrz przypominał zwykły statek handlowy, ale w jego wnętrzu kryło się zamaskowane uzbrojenie, w tym również nowy system raketowy, ultranowoczesna aparatura łączności i nasłuchowa oraz otwierana brama dziobowa do wodowania szybkich kutrów patrolowych i desantowych. Wkroczył do akcji w czasie nieszczęsnego ataku Iranu na Kuwejt i Arabię Saudyjską w 1985 roku. Pływając pod handlową banderą Panamy, potajemnie zatopił w Zatoce Perskiej dwa radzieckie statki szpiegowskie. Rosjanie nigdy nie byli w stanie udowodnić, kto to zrobił, bo żaden z naszych okrętów wojennych nie znajdował się w pobliżu. Do tej pory uważają, że rakiety, które zniszczyły statki, nadleciały z saudyjsko-arabskiego brzegu.

- W jaki sposób dowiedziałas się o tym wszystkim?

- Mam swoje źródła - powiedziała.

- Czy „Hobson” ma coś wspólnego z „Pilottown”?

- Pośrednio - przytaknęła Loren.

- No to mów.

- Trzy lata temu „Hobson” zniknął wraz z całą załogą na Oceanie Spokojnym w pobliżu wybrzeży Meksyku.

- I co?

- Trzy miesiące temu CIA odnalazła go.

- Brzmi to znajomo.

Loren skinęła głową.

- Powtórka „San Marino” i „Belle Chasse”.

- Gdzie odnaleziono „Hobsona”?

Zanim Loren zdążyła odpowiedzieć, kelner ustawił talerze na stole.

Zuppa di pesce wyglądała wspaniale.

Kiedy tylko kelner odszedł na bezpieczną odległość, Pitt zażądał:

- Mów dalej.

- Nie wiem, w jaki sposób CIA wysłedziła statek, ale odnaleźli go w suchym doku w Sydney w Australii, gdzie dokonywano na nim poważnych prac modernizacyjnych.

- Dowiedzieli się, kto go rejestrował?

- Pływał pod filipińską flagą, zarejestrowany w firmie Samar Exporters. Lipna firma, którą zaledwie kilka tygodni wcześniej założono w Manili. Jego nowa nazwa brzmiała „Buras”.

- „Buras” - powtórzył Pitt. - To musi być czyjeś nazwisko. Jak ci smakuje sałatka?

- Sos jest bardzo smaczny. A twoja?

- Wspaniała - odparł. - Kradzież statku należącego do CIA to przejaw absolutnej głupoty piratów.

- Przypadek bandziora napadającego na pijaczka, który okazuje się tajniakiem.

- A co się potem zdarzyło w Sydney?

- Nic. CIA przy współpracy z australijską delegaturą brytyjskiej Secret Service próbowała dopaść właścicieli „Burasa”, ale nie mogli ich odnaleźć.

- Żadnych poszlak, żadnych świadków?

- Jego nieliczna koreańska załoga została zamustrowana w Singapurze. Wiedzieli niewiele i mogli jedynie opisać kapitana, który zniknął.

Pitt wypił łyk wody i przeczytał następną stronicę raportu.

- Niezbyt wielkie szanse identyfikacji. Koreańczyk, średniego wzrostu, waga sto sześćdziesiąt pięć funtów, czarne włosy, szpara między przednimi zębami. To ogranicza zakres poszukiwań do jakichś pięciu czy dziesięciu milionów ludzi - dodał sarkastycznie. - No cóż, w każdym razie nie czuję się już tak paskudnie. Skoro nawet CIA nie może znaleźć faceta, który żegluje po świecie porwanym statkiem, to co mówić o mnie?

- Czy St. Julien Perlmutter dzwonił do ciebie?

Pitt pokręcił głową.

- Nie miałem od niego żadnych wiadomości. Pewnie stracił entuzjazm i przestał się interesować tą sprawą.

- Ja też muszę opuścić nasz zespół - oznajmiła łagodnie Loren. - Ale tylko na trochę.

Pitt popatrzył na nią surowo, potem rozluźnił się i roześmiał.

- Jak taka miła dziewczyna mogła zostać politykiem?

Zmarszczyła nos.

- Szowinista.

- A poważnie mówiąc, gdzie będziesz?

- Krótka wycieczka na rosyjskim statku wycieczkowym pływającym po Karaibach połączona ze zbieraniem informacji.

- Oczywiście - oznajmił Pitt. - Zapomniałem, że przewodniczysz Komitetowi do spraw Transportu i Handlu Morskiego.

Loren skinęła głową i wytarła usta serwetką.

- Ostatni wycieczkowiec pod amerykańską banderą został wycofany ze służby w 1984 roku. Dla wielu osób był to dzień narodowej hańby. Prezydent jest gorącym zwolennikiem koncepcji silnego przedstawicielstwa Stanów Zjednoczonych zarówno w handlu oceanicznym, jak i w obronie na morzu. Zwrócił się do Kongresu o wyasygnowanie z budżetu dziewięćdziesięciu milionów dolarów na wyremontowanie S.S. „United States”, który od dwudziestu lat stoi w Norfolk, i ponowne wprowadzenie go do służby. Ma rywalizować z zagranicznymi liniami wycieczkowymi.

- A ty chcesz badać rosyjskie metody dogadzania pasażerom wódką i kawiozem?

- Owszem, to także - powiedziała z oficjalną miną.

- Kiedy odpływasz?

- Pojutrze. Lecę do Miami i tam wchodzę na pokład „Leonida Andrejewa”. Wrócę za pięć dni. Co będziesz wtedy robił?

- Admirał polecił mi kontynuowanie sprawy „Pilottown”.

- Czy któreś z tych informacji ci się przydadzą?

- Każdy drobiazg mi pomaga - odparł, próbując skoncentrować się na myśli, która zaczynała formować się gdzieś w podświadomości. Potem popatrzył na nią. - Może słyszałaś coś ciekawego w Kongresie?

- Chodzi ci o plotki? Kto z kim, i tak dalej?

- Coś poważniejszego. Plotki o zaginięciu osób z wysokiego rządowego szczebla. Albo jakiegoś zagranicznego dyplomaty.

Loren pokręciła głową.

- Nie, o niczym tak poważnym nie słyszałam. Podczas przerwy w pracach Kongresu Kapitol jest dość nudnym miejscem. Dlaczego pytasz? Wiesz o jakimś szykującym się skandalu, o którym ja nie wiem?

- Tylko pytam - odparł wymijająco Pitt.

Dłonie Loren przesunęły się po stole i ujęły jego rękę.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale proszę cię, bądź ostrożny. Fu Manchu może zorientować się, że wpadłeś na jego trop, i zorganizuje zasadzkę.

Pitt roześmiał się.

- Nie czytałem Saxa Romera od czasów, kiedy byłem dzieckiem. Fu Manchu, żółte niebezpieczeństwo. Dlaczego pomyślałaś właśnie o tym?

Wzruszyła lekko ramionami.

- Właściwie nie wiem. Chyba skojarzenie starego filmu z Peterem Sellersem, Sosan Trading Company i koreańskiej załogi „Burasą”.

W oczach Pitta pojawiło się roztargnienie, które zniknęło nagle, kiedy wypływająca z podświadomości myśl wreszcie się skonkretyzowała. Przywołał kelnera i zapłacił rachunek kartą kredytową.

- Muszę wykonać parę telefonów - wyjaśnił krótko. Pocałował Loren leciutko w usta i wyszedł z restauracji.

Rozdział 32

Pojechał do budynku NUMA i zamknął się w swoim gabinecie. Przez parę chwil zastanawiał się, co ma zrobić najpierw, a potem z prywatnego telefonu zadzwonił do Los Angeles. Po piątym sygnale słuchawkę podniosła dziewczyna, która nie wymawiała „r”.

- Biuho Detektywów Casio i Spółka.

- Chciałbym mówić z panem Casio.

- Kogo mam zapowiedzieć?

- Nazywam się Pitt.

- Ma obecnie klienta. Czy mógłby pan zadzwonić później?

- Nie! - warknął groźnie Pitt. - Dzwonię z Waszyngtonu w pilnej sprawie.

Na recepcjonistce wywarło to wrażenie i odpowiedziała:

- Chwileczkę.

Casio odezwał się niemal natychmiast:

- Cieszę się, że pana słyszę, panie Pitt.

- Przepraszam, że panu przeszkadzam - rzekł Pitt - ale potrzeba mi kilku informacji.

- Proszę pytać.

- Co pan wie o załodze „San Marino”?

- Niewiele. Zrobiłem wywiad na temat oficerów, ale nie dowiedziałem się niczego szczególnego. Wszyscy od lat pracowali w marynarce handlowej. Kapitan, jak sobie przypominam, miał bardzo

ładny przebieg służby.

- Żadnych powiązań ze zorganizowaną przestępczością?

- Komputery Narodowego Rejestru Przestępców niczego takiego nie wykazały.

- A co wie pan o pozostałych członkach załogi?

- Niewiele. Tylko paru należało do związku zawodowego marynarzy.

- Jakiej byli narodowości?

- Narodowości...? - powtórzył Casio, pomyślał przez chwilę i odpowiedział: - Mieszanina. Paru Greków, paru Amerykanów, paru Koreańczyków.

- Koreańczyków? - zapytał Pitt. Nagle zrobił się bardzo uważny. - W załodze byli Koreańczycy?

- Tak, owszem. Tuż przed odplynięciem na „San Marino” zamustrowała dziesięcioosobowa grupa Koreańczyków.

- Czy można się dowiedzieć, na jakich statkach i u jakich armatorów służyli przed „San Marino”?

- Sięga pan daleko w przeszłość, ale powinno to być w aktach.

- Czy może pan zająć się również historią załogi „Pilottown”?

- Nie widzę przeszkód.

- Będę panu wdzięczny.

- Czego pan właściwie szuka? - spytał Casio.

- To powinno być dla pana oczywiste.

- Chodzi o związek załogi z naszym nieznanym głównym armatorem, prawda?

- Ciepło...

- Trzeba by dotrzeć do czasów przed zniknięciem statku... - rzekł Casio z namysłem.

- Najłatwiejszy sposób zawładnięcia statkiem polega na opanowaniu go przez załogę.

- Myślałem, że bunty na pokładzie skończyły się razem z „Bountym”.

- Współczesny termin to porwanie.

- Zupełnie dobry trop - przyznał Casio. - Zobaczą, co będę mógł zrobić.

- Dziękuję, panie Casio.

- Znamy się już wystarczająco długo, proszę mi mówić Sal.

- Dobra, Sal. A ty mów mi Dirk.

- W porządku - odparł Casio. - Do widzenia.

Pitt odłożył słuchawkę, rozparł się w fotelu i położył nogi na biurku. Czuł się dobrze, ogarnęło go optymistyczne przeczucie, że jego niejasne podejrzenia się sprawdzają. Teraz miał zamiar przeprowadzić następną próbę, tak zwariowaną, że podejmując ją czuł się niemal głupio. Znalazł numer w książce telefonicznej uniwersytetów krajowych i wybrał go.

- Wydział Antropologii Uniwersytetu Pensylwania.

- Czy mogę rozmawiać z doktor Grace Perth?

- Sekundę.

- Dziękuję.

Pitt czekał niemal dwie minuty, zanim odezwał się łagodny kobiecy głos.

- Halo?

- Doktor Perth?

- Przy telefonie.

- Nazywam się Dirk Pitt i jestem pracownikiem Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Czy ma pani chwilę czasu, aby odpowiedzieć na kilka moich pytań?

- Co pan chciałby wiedzieć, panie Pitt? - zapytała doktor Perth.

Pitt próbował ją sobie wyobrazić. Początkowo uznał, że jest sztywną, siwowłosą damą w tweedowym kostiumie, ale zaraz zrezygnował z tego obrazu.

- Czy jeżeli mamy mężczyznę w wieku między trzydzieści a czterdzieści lat, przeciętnego wzrostu i wagi, który pochodzi z Pekinu w Chinach, i drugiego mężczyznę o podobnych parametrach pochodzącego z Seulu w Korei Południowej, to czy będą między nimi jakieś widoczne różnice?

- Czy pan stroi sobie ze mnie żarty, panie Pitt?

Pitt roześmiał się.

- Nie, pani doktor, pytam zupełnie poważnie - zapewnił ją.

- Hmm, Chińczyk i Koreańczyk... - mruknęła z namysłem. - Ogólnie rzecz biorąc, u ludzi koreańskiego pochodzenia wyraźniej występują cechy mongoloidalne. Z kolei chińskie rysy są zazwyczaj bardziej azjatyckie w swym charakterze. Ale nie chciałabym stawiać życia o zakład, który z nich jest który, istnieje bowiem bardzo duże przemieszanie cech. O wiele łatwiej można by to określić na podstawie ubrania, zachowania czy sposobu, w jaki się strzygą - innymi słowy na podstawie charakterystyki kulturowej.

- Myślałem, że są między nimi jakieś łatwiejsze do rozpoznania różnice. Takie jak na przykład między Chińczykami i Japończykami.

- No cóż, tu rozbieżności genetyczne są o wiele bardziej oczywiste. Jeżeli pański Azjata ma dość obfitą brodę, istnieje duże prawdopodobieństwo, że to Japończyk. Ale w przypadku Chin i Korei ma pan do czynienia z dwoma grupami rasowymi, które przez wieki się ze sobą mieszały.

- Z tego co pani mówi, sprawa wygląda dość beznadziejnie.

- To bardzo trudne, ale wcale nie beznadziejne - odparła doktor Perth. - Badania laboratoryjne mogą zwiększyć współczynnik prawdopodobieństwa.

- Chodzi mi wyłącznie o wygląd zewnętrzny.

- Czy pańskie obiekty żyją?

- Nie, to ludzie, którzy utonęli.

- Szkoda. U żywych osobników mamy do czynienia z pewnymi elementami wyrazu twarzy o kulturowym rodowodzie, które osoba posiadająca wiele doświadczenia może ustalić. Tylko na tej podstawie można wyciągnąć jakieś konkretne wnioski.

- Niestety.

- Gdyby pan mógł określić mi ich twarze...

Pitt wzdragał się na samą myśl o tym, ale zamknął oczy i zaczął opisywać widziane na „Eagle’u” widmowe maski. Początkowo przywoływane obrazy były jakby zamglone, ale wkrótce stały się

wyraźne i nagle zorientował się, że analizuje każdy szczegół z oschłym obiektywizmem chirurga dyktującego do magnetofonu przebieg operacji przeszczepu serca. W pewnym momencie przerwał gwałtownie.

- Słucham, panie Pitt, proszę kontynuować - powiedziała doktor Perth.

- Właśnie przypomniałem sobie pewien szczegół, który przedtem mi umknął - odparł Pitt. - Dwóch denatów miało rzeczywiście gęsty zarost. Jeden wąsy, a drugi małą, skąpą brodę.

- Ciekawe.

- A więc nie byli ani Koreańczykami, ani Chińczykami?

- Niekoniecznie.

- Kim więc mogli być? Japończykami? Sama pani mówiła, że zarost...

- Wyciąga pan pochopne wnioski, panie Pitt - oznajmiła takim tonem, jakby upominała studenta. - Cechy, które pan opisał, bardzo wyraźnie wskazują na klasyczny typ mongoloidalny.

- Ale zarost twarzy?

- Musi pan wziąć pod uwagę historię. Japończycy najeżdżali i plądrowali Koreę od szesnastego wieku. A przez trzydzieści pięć lat - od 1910 do 1945 roku - Korea była kolonią Japonii. Wszystko to spowodowało bardzo silne przemieszanie osobniczych odmian genetycznych.

Po chwili wahania Pitt odezwał się, Starannie dobierając słowa:

- Gdyby musiała pani podjąć ryzyko i określić rasę osób, które pani opisałem, to jaka byłaby pani opinia?

Grace Perth odparła zdecydowanie:

- Określając to procentowo, powiedziałabym, że pochodzenie pańskiej grupy testowej było w dziesięciu procentach japońskie, trzydziestu - chińskie i w sześćdziesięciu - koreańskie.

- Rozumiem, że przedstawiła mi pani genetyczny obraz przeciętnego Koreańczyka.

- Może pan to rozumieć, jak pan sobie życzy, panie Pitt. Posunęłam

się w swoich spekulacjach najdalej, jak mogłam.

- Dziękuję pani, doktor Perth - powiedział Pitt, czując ogarniające go nagłe zmęczenie. - Bardzo pani dziękuję.

Rozdział 33

- A więc to jest Dirk Pitt - powiedziała Min Koryo. Siedziała w fotelu inwalidzkim, patrząc nad tacą ze śniadaniem na wielki ekran telewizyjny wmontowany w ścianę gabinetu.

Lee Tong siedział obok niej i razem oglądali taśmę, na której „Hoki Jamoki” stał zakotwiczony nad prezydenckim jachtem.

- Zastanawia mnie - powiedział cicho - w jaki sposób udało im się tak szybko zlokalizować wrak. Zupełnie jakby wiedzieli, gdzie szukać.

Min Koryo oparła podbródek na szczupłych dłoniach i pochyliła siwą głowę. Nie spuszczała oczu z ekranu, cienkie żyłki na jej skroniach pulsowały. Na twarzy powoli zaczęła malować się złość. Wyglądała jak egipska mumia, której skóra zachowała jednak biały odcień i gładkość.

- Pitt i NUMA - syknęła z rozdrażnieniem. - Do czego te paskudne sukinsyny zmierzają? Najpierw cały ten szum wokół „San Marino” i „Pilottown”, a teraz to.

- To może być zwykły zbieg okoliczności - zasugerował Lee Tong. - Nie ma bezpośredniego związku między statkami i jachtem.

- Musiał być jakiś informator. - Jej głos świsnął jak bat. - Sprzedano nas.

- Nie sądzę, *aunumi* - rzekł Lee Tong, rozbawiony jej nagłym wybuchem. - Tylko ty i ja znamy fakty. Wszyscy inni są martwi.

- Nic nie jest do końca zabezpieczone przed niepowodzeniem. Tylko głupcy uważają, że są doskonali.

Lee Tong nie był w odpowiednim nastroju do wysłuchiwania wschodnich sentencji swojej babki.

- Nie przejmuj się tym zbyt - powiedział kwaśno. - Rządowa grupa dochodzeniowa i tak musiała natknąć się na jacht. Nie mogliśmy przenieść prezydenta przy świetle dziennym, nie narażając się, że nas wykryją i zatrzymają. A ponieważ po wschodzie słońca nikt już jachtu nie widział, z łatwością mogli się domyślić, że jest gdzieś na rzece albo pod jej powierzchnią - między Waszyngtonem i Chesapeake Bay.

- Wniosek, do którego pan Pitt doszedł bez kłopotów.

- To niczego nie zmienia - odparł Lee Tong. - Czas wciąż działa na naszą korzyść. Kiedy tylko Ługowoj będzie zadowolony z uzyskanych rezultatów, pozostanie nam jedynie przewiezienie złota. Potem towarzysz Antonow może dostać prezydenta. Ale zatrzymamy Margolina, Larimera i Morana, na wszelki wypadek i jako późniejszą kartę przetargową. Uwierz mi, *aunumi*, najtrudniejsze mamy już za sobą. Forteca Bougainville'ów jest w pełni bezpieczna.

- Być może, ale ogary za bardzo się zbliżają.

- Rywalizujemy ze świetnie wyszkolonymi i inteligentnymi ludźmi, którzy dysponują najdoskonalszą techniką na świecie. Mogą dotrzeć do nas nawet bardzo blisko, ale nigdy nie zorientują się w pełni w naszej działalności.

Nieco uspokojona Min Koryo westchnęła i upiła łyk herbaty ze swej filiżanki.

- Czy w ciągu ostatnich godzin rozmawiałeś z Ługowojem?

- Tak. Twierdzi, że nie ma żadnych kłopotów i jest w stanie ukończyć prace w ciągu następnych pięciu dni.

- Pięć dni - powiedziała w zamyśleniu. - Najwyższa pora, aby porozumieć się z Antonowem w sprawie zapłaty. Czy nasz statek już dopłynął?

- „Venice” zacumowała w Odessie dwa dni temu.

- Kto jest kapitanem?

- Kapitan James Mangyai, zaufany pracownik naszej spółki - odparł Lee Tong.

Min Koryo skinęła z aprobatą głową.

- I dobry marynarz. Zatrudnił się u mnie prawie dwadzieścia lat temu.

- Ma rozkaz oddać cumy i wypłynąć natychmiast po załadowaniu ostatniej skrzynki ze złotem.

- Dobrze. A teraz zastanówmy się, jaką opóźniającą taktykę spróbuje zastosować Antonow. Na początku z pewnością zechce wstrzymać płatność do chwili, kiedy uzyska pewność, że eksperyment Ługowoja zostanie uwieńczony sukcesem. Nie zgodzimy się na to. W tym samym czasie wypuści całą armię agentów KGB, którzy będą przeczesywać Stany Zjednoczone w poszukiwaniu prezydenta i naszego laboratorium.

- Ani Rosjanie, ani Amerykanie nigdy się nie zorientują, gdzie schowaliśmy Ługowoja i jego ludzi - oznajmił stanowczo Lee Tong.

- Znalezli jacht - przypomniała mu Min Koryo.

Zanim Lee Tong zdążył odpowiedzieć, ekran wideo zamigotał. Taśma się skończyła. Włączył przewijanie wsteczne.

- Puścić to jeszcze raz? - zapytał.

- Tak, chcę się dokładniej przyjrzeć ekipie wydobywczej.

Kiedy magnetowid wyłączył się automatycznie, Lee Tong przycisnął guzik odtwarzania i ekran ponownie ożył.

Min Koryo patrzyła przez minutę na film, a potem zapytała:

- Jakie są ostatnie meldunki z miejsca znalezienia wraku?

- Wydobyto ciała i ekipa NUMA przygotowuje jacht do podniesienia.

- Kim jest ten rudobrody mężczyzna, który rozmawia z Pittem?

Lee Tong powiększał obraz do chwili, gdy obaj mężczyźni wypełnili cały ekran.

- To admirał James Sandecker, dyrektor NUMA.

- Nie wykryto twojego człowieka, który filmował Pitta?

- To jeden z naszych najlepszych fachowców. Były agent FBI. Powiedziano mu, że Pitt jest podejrzany o sprzedawanie sprzętu NUMA osobom trzecim.

- Co wiemy na temat Pitta?

- Mam dostać z Waszyngtonu komplet materiałów na jego temat. Powinny tu dotrzeć w ciągu najbliższej godziny.

Wargi Min Koryo zacisnęły się mocno, gdy zbliżyła się do ekranu telewizyjnego.

- Skąd on aż tyle wie? NUMA zajmuje się oceanografią. Nie zatrudniają tajnych agentów. Dlaczego więc nas prześladuje?

- Dobrze by było wyjaśnić tę sprawę.

- Daj większe zbliżenie - poleciła.

Lee Tong znowu powiększył obraz, przechodząc kadrem nad ramieniem Sandeckera do chwili, aż uchwycił samego Pitta zwróconego twarzą prosto do kamery. Potem włączył stopklatkę.

Min Koryo umieściła okulary o kwadratowych szklach na wąskim nosie i zaczęła uważnie się przyglądać patrzącej na nią osmaganej wiatrem, przystojnej twarzy. Jej oczy rozbłysły na chwilę:

- Żegnam, panie Pitt.

Potem wyciągnęła rękę, wyłączyła magnetowid i ekran pociemniał.

Dym z papierosa Suworowa wisiał ciężko w powietrzu jadalni, w której siedział wraz z Ługowojem nad butelką Croft Vintage Port z 1966 roku. Agent KGB spojrzał na czerwony płyn w kieliszku i skrzywił się.

- Te Mongoły wciąż nam dają piwo albo wino. Wiele bym dał za butelkę dobrej wódki.

Ługowoj wybrał cygaro z pudełka trzymanego przez koreańskiego kelnera.

- Nie macie żadnej kultury, Suworow. To wspaniałe portwajny.

- Nie zaraziłem się jeszcze amerykańską dekadencją - odparł arogancko agent.

- Nazywajcie to jak chcecie, ale rzadko słyszy się o Amerykanach uciekających do Rosji, aby zakosztować naszego zdyscyplinowanego stylu życia - zareplikował sarkastycznie Ługowoj.

- Zaczynacie mówić i pić jak oni. A za chwilę będziecie chcieli, żeby u nas mordowali i gwałcili na ulicach tak jak u nich. Ja przynajmniej

wiem, wobec kogo jestem lojalny.

Ługowoj z namysłem obserwował cygaro.

- Ja też. To, co tutaj osiągnę, będzie miało wielki wpływ na politykę naszego kraju w stosunku do Stanów Zjednoczonych. O wiele większy niż wasze drobne kradzieże tajemnic przemysłowych.

Wino wprowadziło Suworowa w tak dobry nastrój, że nawet nie zareagował zbyt ostro na tę uwagę psychologa.

- Złożę raport naszym przełożonym o waszym postępowaniu - powiedział tylko.

- Przecież powtarzam wam bez przerwy, że nasz projekt zyskał aprobatę samego prezydenta Anionowa.

- Nie wierzę.

Ługowoj zapalił cygaro i wydmuchnął obłoczek dymu w kierunku sufitu.

- Wasza opinia mnie nie obchodzi.

- Musimy znaleźć sposób, żeby skontaktować się z zewnętrznym światem - podniósł głos Suworow.

- Zwariowaliście?! - zawołał Ługowoj. - Zabraniam wam się wtrącać. Czy nie potraficie posługiwać się oczyma i mózgiem? Rozejrzyjcie się. Wszystko przygotowywano od lat. Każdy szczegół tej operacji został starannie zaplanowany. Bez organizacji pani Bougainville byłoby to niewykonalne.

- Jesteśmy jej więźniami - zaprotestował Suworow.

- Co za różnica, jeżeli nasz rząd na tym korzysta?

- Powinniśmy panować nad sytuacją - nalegał agent. - Musimy wydostać stąd prezydenta i przekazać go naszym ludziom, żeby można go było przesłuchać. Tajemnice, które można z niego wydobyć, są niewyobrażalne.

Ługowoj pokręcił z irytacją głową. Próba przemówienia do rozsądku temu człowiekowi z góry skazana była na porażkę. Wiedział, że kiedy będzie już po wszystkim, Suworow sporządzi raport, w którym obsmaruje go jako niepewny element i człowieka stanowiącego potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Mimo to roześmiał

się w duchu. Jeżeli eksperyment się uda, prezydent Antonow może uhonorować go tytułem Bohatera Związku Radzieckiego.

Wstał, przeciągnął się i ziewnął.

- Chyba prześpię się kilka godzin. Od samego rana zaczynamy programowanie reakcji prezydenta.

- Która godzina? - zapytał pośpiesznie Suworow. - W tym grobowcu utraciłem poczucie czasu. Nie wiem nawet, czy to dzień czy noc.

- Pięć minut do północy.

Agent ziewnął i wyciągnął się na sofie.

- No to idźcie do łóżka. A ja się jeszcze napiję. Dobry Rosjanin nigdy nie wychodzi z pokoju, dopóki nie opróżni butelki.

- Dobranoc - powiedział Ługowoj. Odwrócił się i wyszedł na korytarz.

Suworow pomachał mu niedbale ręką, udając, że szykuje się do drzemki. Przez trzy minuty obserwował dużą wskazówkę zegarka. Potem wstał, przeszedł przez pokój i bezszelestnie poszedł korytarzem w ślad za Ługowojem, w stronę niedostępnej windy. Korytarz zakręcał o dziewięćdziesiąt stopni. Suworow zatrzymał się, przywarł do muru i wyjrzał ukradkiem za narożnik.

Ługowoj stał, paląc cygaro. Mniej więcej po dziesięciu sekundach drzwi windy otworzyły się i psycholog wszedł do środka. Była dokładnie 24.00. Suworow już wcześniej zauważył, że Ługowoj co dwanaście godzin wychodzi z laboratorium i wraca po dwudziestu lub trzydziestu minutach.

Agent poszedł dalej i zatrzymał się przy sali monitorowania. Dwaj pracownicy zespołu uważnie przyglądali się wykresom pracy mózgu i funkcji życiowych prezydenta. Jeden z nich spojrzał na Suworowa i z lekkim uśmiechem skinął mu głową.

- Wszystko idzie gładko? - zapytał Suworow, próbując nawiązać rozmowę.

- Jak występ primabaleriny - odparł technik.

Suworow wszedł i spojrzał na monitory telewizyjne.

- Co z pozostałymi? - zapytał, wskazując ruchem głowy na

Margolina, Larimera i Morana zamkniętych w swoich kokonach.

- Uśpieni i odżywiani kroplówką z wodnym roztworem protein i węglowodanów.

- Dopóki nie będą potrzebni do programowania? - dodał Suworow.

- Nie wiem. Musi pan o to zapytać doktora Ługowoja.

Suworow patrzył na jeden z ekranów, na którym asystent w białym fartuchu otworzył przykrywą kokonu senatora Larimera i wbił mu igłę strzykawki w ramię.

- Co on robi? - zapytał Suworow wskazując palcem.

Technik spojrzał w tę stronę.

- Musimy co osiem godzin podawać środek usypiający, bo w przeciwnym razie obiekt się obudzi.

- Rozumiem - rzekł cicho Suworow. Nagłe rozjaśniło mu się w głowie i wszystkie szczegóły jego planu ucieczki zaczęły do siebie pasować. Postanowił to uczcić. Wrócił do jadalni i otworzył następną butelkę portwajnu. Potem wyjął z kieszeni mały notatnik i zaczął w nim gorączkowo gryzmolić.

Rozdział 34

Oskar Lucas zaparkował przed Wojskową Akademią Medyczną Waltera Reeda w miejscu przeznaczonym dla VIP-ów i szybkim krokiem wszedł bocznymi drzwiami. Przebiegł labiryntem korytarzy i zatrzymał się przed podwójnymi drzwiami pilnowanymi przez sierżanta piechoty morskiej. Wartownik uważnie sprawdził jego legitymację i skierował go do skrzydła szpitala, w którym przeprowadzano tajne sekcje zwłok. Lucas szybko odnalazł drzwi z napisem: LABORATORIUM. WSTĘP TYLKO DLA UPOWAŻNIONYCH i wszedł do środka.

- Mam nadzieję, że nie musieliście długo na mnie czekać powiedział.

- Nie, Oskarze - odparł Alan Mercier. - Przyszedłem zaledwie przed minutą.

Lucas skinął głową i rozejrzał się po zamkniętym szklanymi ścianami pomieszczeniu. Poza nim znajdowało się tu pięciu ludzi: generał Metcalf, Sam Emmett, Martin Brogan, Mercier i niski mężczyzna w okularach bez oprawek, o szerokiej klatce piersiowej. Przedstawiono go jako pułkownika Thomasa Thornburga, który posiadał również dźwięczny tytuł dyrektora Wydziału Porównawczej Medycyny Sądowej i Anatomopatologii.

- A teraz, kiedy wszyscy już są - oznajmił pułkownik Thornburg wysokim, niemal chłopcym głosem - zademonstruję panom rezultaty naszej pracy.

Podszedł do panoramicznego okna i spojrzął na wielką, okrągłą maszynę stojącą po drugiej stronie szyby. Przypominała turbinę połączoną wałem z generatorem. Połowa turbiny zagłębiona była w betonowej podłodze. W środku aparatury znajdował się cylindryczny otwór, przed którym na przezroczystej tacy leżały zwłoki.

- To sonda analiz przestrzennych, w skrócie zwana SAP. Ogólnie rzecz biorąc, bada ciało przekształconym promieniowaniem rentgenowskim i jednocześnie rejestruje na filmie każdy milimetr tkanki i kości.

- Rodzaj skanera tomograficznego wspomaganego komputerem? - zaryzykował porównanie Brogan.

- Owszem, spełnia te same podstawowe funkcje - odparł Thornburg.
- Ale to tak, jakbyśmy przyrównywali samolot śmigłowy do naddźwiękowego odrzutowca. Skaner TWK potrzebuje kilku sekund na wykonanie pojedynczego przekroju ciała, SAP natomiast dostarczy dwadzieścia pięć tysięcy przekrojów w jeszcze krótszym czasie. Wyniki są automatycznie wprowadzane do komputera, który analizuje przyczynę śmierci. Oczywiście bardzo uprościłem ten proces, ale tak to z grubsza wygląda.

- Zakładam, że pańskie banki danych zawierają informacje o zaburzeniach pokarmowych i metabolicznych związanych ze znanymi truciznami i chorobami zakaźnymi - zauważył Emmett. - Takie same, jakie rejestrują nasze komputery w Biurze.

Thornburg skinął głową.

- Z tą tylko różnicą, że nasze banki danych są o wiele bogatsze, czasami bowiem mamy do czynienia z żywymi tkankami.

- W laboratorium patologicznym? - zdziwił się Lucas.

- Badamy również żyjących. Dość często przywożą tu ludzi z różnych agencji wywiadowczych - naszych oraz sojusznicznych - którym podano związki trujące lub sztucznie zarażono jakimiś chorobami. Dzięki SAP możemy dokonać natychmiastowej analizy oraz podać odpowiednie antidotum. Paru udało się nam uratować, ale w większości przypadków pomoc przyszła zbyt późno.

- Może pan przeprowadzić pełną analizę i określić przyczynę w ciągu kilku sekund? - z niedowierzaniem spytał generał Metcalf.

- Właściwie w ciągu mikrosekund - powiedział Thornburg. - Zamiast patroszyć zwłoki i przeprowadzać całe serie skomplikowanych testów, możemy wykonać badania w mgnieniu oka dzięki tej aparaturze, która, muszę dodać, kosztowała podatników mniej więcej trzydzieści milionów dolarów.

- Co znaleźliście w ciałach wydobytych z rzeki?

W odpowiedzi Thornburg uśmiechnął się i poklepał po ramieniu technika, siedzącego przy konsoli pełnej światełek i przycisków.

- Pokażę panom.

Wszystkie oczy odruchowo zwróciły się w stronę nagiego ciała leżącego na tacy. Powoli zaczęło przesuwac się w stronę turbiny i zniknęło w wewnętrznym cylindrze. Wtedy aparatura zaczęła się obracać z prędkością sześćdziesięciu obrotów na minutę. Otaczające ciało generatory rentgenowskie włączały się kolejno jeden po drugim, a cała bateria kamer odbierała z fluoryzującego ekranu obrazy, wzmacniała je i wprowadzała wyniki do pamięci komputera. Zanim ktokolwiek z obecnych w centrum kontrolnym zdążył się odwrócić, przyczyna śmierci denata pojawiła się w samym środku ekranu monitora, wypisana zielonymi literami. Większość tekstu zawierała terminologię anatomiczną, stanowiła opis organów wewnętrznych oraz wyszczególnienie związków toksycznych i ich wzorów chemicznych. Na samym dole znajdowały się słowa: *Conium maculatum*.

- Czym, u diabła, jest to *Conium maculatum*? - zdziwił się Lucas.

- Bylina z rodziny baldaszkowatych - odparł Thornburg. - Szalej jadowity, powszechnie znany jako cykuta.

- Raczej staroświecki sposób wykonywania egzekucji - zauważył Metcalf.

- Owszem, cykuta to trucizna bardzo popularna w starożytności. Napój, który podano Sokratesowi. Współcześnie raczej rzadko stosowania, ale wciąż łatwa do uzyskania i wystarczająco śmiertelna. Odpowiednio duża dawka może spowodować paraliż

ośrodków organów oddechowych.

- W jaki sposób ją podano? - zainteresował się Emmett.

- Zgodnie z danymi SAP trucizna została spożyta przez tego człowieka w lodach miętowych.

- Śmierć na deser - mruknął filozoficznie Mercier.

- Spośród zidentyfikowanych członków załogi - ciągnął dalej Thornburg - ośmiu spożyło cykutę w lodach, czterech w kawie, a jeden w dietetycznym napoju orzeźwiającym.

- SAP mogła to ustalić, mimo że ciała znajdowały się przez pięć dni w wodzie? - spytał niedowierzająco Lucas.

- Rozkład zaczyna się natychmiast po śmierci - wyjaśnił Thornburg.

- Najpierw we wnętrznościach i innych organach zawierających bakterie. Przy swobodnym dostępie powietrza proces rozkładu przebiega bardzo szybko. Kiedy jednak ciało znajduje się pod wodą, zawartość tlenu jest niska i rozkład postępuje wolno. Czynnikiem, dzięki któremu zwłoki zachowały się tak dobrze, było również to, że znajdowały się w zamkniętym pomieszczeniu. Zazwyczaj topielec wypływa po kilku dniach na powierzchnię na skutek powstawania gazów gnilnych, a wtedy ciało zostaje wystawione na działanie powietrza i proces rozkładu ulega przyspieszeniu. Natomiast dostarczone przez pana ciała były całkowicie zanurzone niemal do momentu, kiedy rozpoczęliśmy badania.

- Kucharz miał pełne ręce roboty - stwierdził Metcalf.

Lucas pokręcił głową.

- Nie kucharz, ale steward z jadalni. To jedyne ciało załogi, którego nie odnaleziono.

- Był podstawiony - rzekł Brogan. - Prawdziwy steward najprawdopodobniej został zamordowany już wcześniej, a jego ciało ukryto.

- A jak przedstawia się sprawa pozostałych fałszywych członków załogi? - spytał Emmett. - Czy oni również zostali otruci?

- Tak, ale w inny sposób. Zostali postrzeleni.

- Postrzeleni, otruci, o co tu chodzi?

- Zostali zabici za pomocą niewielkich, łamiących się strzałek, zatrutych niezwykle śmiertelnie jadłem otrzymywanym z kolców grzbietowych jednej z tropikalnych ryb.

- Trudno nazwać tych facetów amatorami - stwierdził Emmett.

Thornburg skinął potakująco głową.

- Metoda była niezwykle profesjonalna, szczególnie jeżeli chodzi o sposób rażenia celu. Przypominam sobie, że podobną strzałkę usunąłem kiedyś z ciała radzieckiego agenta sprowadzonego tu przez ludzi pana Brogana.

- Z czego ją wystrzelono? - zapytał Lucas.

- Z elektrycznego pistoletu - odparł Brogan, obrzucając Thornburga zimnym spojrzeniem. - Absolutnie cicha broń, używana niekiedy przez naszych agentów.

- Trochę słabo pilnujesz swego arsenału, co, Martinie? - zakpił dobrodusznie Mercier.

- Ten egzemplarz najprawdopodobniej został skradziony u producenta - bronił się Brogan.

- Czy udało się zidentyfikować choć jednego z Azjatów? - spytał Lucas.

- Nie. W aktach FBI nie ma żadnych danych - przyznał Emmett.

- Ani w CIA czy w Interpolu - dodał Brogan. - Agencje wywiadowcze zaprzyjaźnionych krajów azjatyckich również nie mają na ich temat żadnych danych.

Mercier popatrzył na ciało wysuwające się z analizatora.

- Wszystko wskazuje na to, panowie, że za każdym razem, gdy otwieramy jakieś drzwi, wchodzimy do pustego pokoju.

Rozdział 35

- Co za potworność! - warknął Douglas Oates po wysłuchaniu raportu generała Metcalfa. Jego twarz była blada jak kreda, a głos dygotał z wściekłości. - Dwadzieścia jeden morderstw. I po co? Czy prezydent żyje, czy nie? Jeżeli ta akcja ma na celu wymuszenie, to dlaczego nie dostaliśmy jeszcze żądania okupu?

Metcalf, Dan Fawcett i Sekretarz Obrony Jesse Simmons siedzieli w milczeniu przed biurkiem Oatesa.

- Nie uda nam się tego zbyt długo utrzymać w tajemnicy - ciągnął Oates. - W każdej chwili środki masowego przekazu mogą zacząć coś podejrzewać i dziennikarze rozpoczną swoje własne śledztwo. Już zaczynają szemrać, bo nie mają możliwości przeprowadzania wywiadów z prezydentem. Thompson nie jest już w stanie wymyślać dalszych wykrętów.

- A może jednak prezydent mógłby wystąpić przed prasą? - zasugerował Fawcett.

Oates zrobił pełną powątpiewania minę.

- Ten aktor... Jak się on nazywa...? Sutton? To by mu się nie udało.

- Na pewno nie na podium i w oświetleniu całej baterii reflektorów. Ale gdyby siedział w cieniu w odległości stu stóp... No cóż, to mogłoby się udać.

- Masz jakiś pomysł? - spytał Oates.

- Zorganizujmy sesję fotograficzną... dla wzmocnienia image'u

prezydenta. To się zawsze robiło.

- Był już Carter grający w piłkę i Reagan rąbiący drewno - powiedział z namysłem Oates. - Czemu nie? Domowa scena na farmie prezydenta...

- Łącznie z piejącymi kogutami i beczącymi owcami - dodał Fawcett.

- A co z wiceprezydentem Margolinem? Jego sobowtór nikogo nie oszuka nawet w cieniu i z odległości stu stóp.

- Kilka uwag na jego temat wygłoszonych przez Suttona i przyjacielski gest sobowtóra Margolina z większej odległości powinny wystarczyć - odpowiedział Fawcett, zapalając się coraz bardziej do swego pomysłu.

Simmons wbił wzrok w Fawcetta.

- Jak prędko będziesz mógł wszystko przygotować?

- Zaraz z rana. A właściwie o świcie. Reporterzy to nocne marki.

Przed świtem nie są w najlepszej formie.

Oates spojrzał na Metcalfa i Simmonsa.

- A co wy o tym myślicie?

- Musimy rzucić reporterom jakąś kość, zanim się znudzą i zaczną węszyć - odparł Simmons. - Głosuję „za”.

Metcalf skinął głową.

- To jedyna opóźniająca taktyka, jaką możemy prowadzić.

Fawcett wstał i spojrzał na zegarek.

- Jeżeli natychmiast wylecę z bazy lotniczej Andrews, za cztery godziny powinienem dotrzeć na farmę. Będę miał trochę czasu, żeby dograć szczegóły z Thompsonem i zapowiedzieć wszystko prasie.

Jego ręka zamarła na klawiszach, kiedy w ciszy gabinetu zabrzmiał ostro głos Oatesa:

- Nie spieprz tego, Dan. Na litość boską, tylko nie spieprz tego.

Rozdział 36

Władimir Polewoj spotkał Antonowa, gdy radziecki przywódca w otoczeniu obstawy przechadzał się pod murami Kremla. Cała grupa mijala właśnie miejsce spoczynku Bohaterów Związku Radzieckiego. Było bardzo ciepło i Antonow niósł płaszcz przerzucony przez rękę.

- Korzystacie z pięknego letniego dnia? - zapytał uprzejmie Polewoj, podchodząc bliżej.

Antonow odwrócił się. Jak na rosyjskiego męża stanu był młody, miał zaledwie sześćdziesiąt dwa lata, i poruszał się energicznym krokiem.

- Zbyt piękny, żeby marnować go za biurkiem - odparł, witając się z szefem KGB krótkim skinieniem głowy.

Przez chwilę szli w milczeniu i Polewoj czekał na gest albo słowo, świadczące o tym, że Antonow chce rozmawiać o konkretnych sprawach. Prezydent zatrzymał się przy niewielkim obelisku na grobie Stalina.

- Znaliście go? - zapytał.

Polewoj pokręcił głową.

- Byłem zbyt nisko w hierarchii partyjnej, żeby zwrócił na mnie uwagę.

Twarz Antonowa spoważniała i mruknął:

- Mieliście szczęście. - Ruszył dalej, wycierając chusteczką krople potu zbierające się na karku.

Polewoj zorientował się, że sekretarz generalny nie ma ochoty na pogawędkę, i przeszedł do rzeczy:

- Być może nastąpił przełom w projekcie Huckleberry Finn.

- Przydałby się - zauważył niechętnie Antonow.

- W Nowym Jorku zaginął jeden z naszych agentów, którego zadaniem było zapewnić bezpieczeństwo pracownikom naszej misji przy ONZ.

- W jaki sposób wiąże się to z projektem?

- Zniknął podczas prowadzenia inwigilacji doktora Ługowoja.

- Czy mógł uciec?

- Nie sądzę.

Antonow zatrzymał się w pół kroku i spojrzał ostro na Polewoja.

- Jeżeli przeszedł do Amerykanów, będzie potworna awantura.

- Osobiście ręczę za Pawła Suworowa - oznajmił stanowczo Polewoj.

- Znam to nazwisko...

- Jest synem Wiktora Suworowa, specjalisty do spraw rolnictwa.

Wyglądało na to, że Antonow udobruchał się nieco.

- Wiktor jest ofiarnym członkiem partii - powiedział.

- Podobnie jak jego syn - stwierdził Polewoj. - Może tylko trochę nadgorliwym.

- Jak sądzicie, co się z nim stało?

- Podejrzewam, że w jakiś sposób udało mu się wkręcić do zespołu psychologów Ługowoja i razem z nimi został zabrany przez ludzi pani Bougainville.

- W takim razie mamy tam pracownika bezpieczeństwa.

- To tylko hipoteza. Nie mamy żadnych dowodów.

- Czy on coś wie?

- Nie był poinformowany o niczym - odparł Polewoj.

- To błąd, że kazaliście śledzić Ługowoja.

Polewoj nabrał głęboko powietrza.

- FBI trzyma naszych delegatów do ONZ pod bardzo ścisłym nadzorem. Gdybyśmy pozwolili doktorowi Ługowojowi i jego zespołowi psychologów włóczyć się swobodnie po Nowym Jorku,

Amerykanie zaczęliby coś podejrzewać.

- A więc i oni, i my... Podwójna obserwacja.

- W ciągu siedmiu minionych miesięcy trzech nasi ludzie poprosili o azyl polityczny. Musimy być niezwykle czujni.

Antonow uniósł rękę.

- No cóż, przyznaję wam rację.

- Jeżeli Suworow rzeczywiście jest z Ługowojem, niewątpliwie będzie próbował nawiązać kontakt i poda lokalizację laboratorium.

- Tak, ale jeżeli Suworow, nie zdając sobie z niczego sprawy, wykona głupi ruch, trudno przewidzieć, jak zareaguje ta stara suka Bougainville.

- Może narobić szumu.

- Albo, co gorsza, sprzeda prezydenta i innych temu, kto da więcej.

- Nie sądzę - odparł Polewoj z namysłem. - Bez doktora Ługowoja realizacja projektu będzie niemożliwa.

Antonow uśmiechnął się sucho.

- Wybaczcie mi, towarzyszu Polewoj, moją ostrożność, ale wolę być pesymistą. Dzięki temu rzadko mnie coś zaskakuje.

- Eksperyment Ługowoja powinien zostać zakończony za trzy dni. Chyba więc musimy się zastanowić, jak uniknąć płatności.

- Co proponujecie?

- Oczywiście nie zapłacić.

- W jaki sposób?

- Istnieje kilka sposobów. Możemy wymienić sztabki złota po sprawdzeniu ich przez jej przedstawiciela: zamiast złota podłożyć pozłoczone ołów albo sztabki niskiej próby.

- Ta stara suka obwącha każdą z nich.

- Mimo to musimy spróbować.

- W jaki sposób mamy przekazać złoto?

- Jeden ze statków pani Bougainville stoi w porcie w Odessie i czeka na załadunek.

- W takim razie zrobimy to, czego się najmniej spodziewa.

- To znaczy...? - spojrzał pytająco Polewoj.

- Dotrzymamy naszych zobowiązań - odparł wolno Antonow.
- Chcecie zapłacić? - zapytał z niedowierzaniem Polewoj.
- Co do uncji.

Polewoj był oszołomiony.

- Przepraszam, towarzyszu prezydencie, ale myślałem...
- Zmieniłem zdanie - odparł ostro Antonow. - Mam lepszy pomysł.

Polewoj przez kilka chwil czekał w milczeniu, ale Antonow najwyraźniej nie miał ochoty mu się zwierzyć. Zwolnił więc kroku i wreszcie zatrzymał się.

Antonow wraz ze swą świtą szedł dalej.

Suworow przycisnął włącznik nocnej lampki i spojrzał na zegarek. Była 4.04. Nieźle, pomyślał. Zaprogramował swój umysł tak, aby obudzić się o czwartej rano, i pomylił się jedynie o cztery minuty.

Nie mogąc stłumić ziewnięcia, szybko nałożył koszulę i spodnie, ale machnął ręką na skarpetki i buty. Wszedł do łazienki i umył twarz zimną wodą, a potem przeszedł przez niewielką sypialnię i uchylił drzwi.

Jaskrawo oświetlony korytarz był pusty. Wszyscy spali, poza dwoma psychologami, obserwującymi ludzi w kokonach. Idąc na bosaka po dywanie, zaczął odmierzać kroki i zapisywał wyniki w notesie. Wyszło mu, że długość korytarza wynosi sto sześćdziesiąt osiem stóp, a szerokość trzydzieści trzy. Sufit był na wysokości dziesięciu stóp.

Podszedł do składu medykamentów i cicho otworzył drzwi. Nigdy nie były zamknięte, bo Ługowej nie podejrzewał, żeby ktokolwiek chciał coś stąd ukraść. Wszedł do środka, zamknął drzwi i włączył światło. Szybko znalazł niewielkie buteleczki zawierające środki usypiające. Ustawił je obok siebie na skraju zlewu i za pomocą strzykawki wyciągał ich zawartość i wylewał. Potem napełnił buteleczki wodą i ponownie postawił na półce.

Nie zauważony przez nikogo wrócił do sypialni i położył się do łóżka. Teraz musiał tylko czekać na właściwy moment.

Rozdział 37

To był niewyraźny sen. Taki, którego nie można sobie przypomnieć po obudzeniu. Poszukiwał kogoś we wnętrzu opuszczonego statku. Zawiesiny i mrok ograniczały widzialność. Przypominało to nurkowanie na „Eagle’a” - zielone rzeczne algi i rudawy muł.

Jego cel dryfował przed nim - rozmyty, zawsze poza zasięgiem. Próbował przebić wzrokiem ciemność, ale bez skutku. Widmowa postać naigrawała się z niego, przywołując go gestami.

Nagle w uszach zabrzmiał mu wysoki dźwięk. Wynurzył się ze snu i namacał słuchawkę telefonu.

- Dirk? - dobiegł go radosny głos.

- Tak.

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość.

- Taa?

- Śpisz? Tu St. Julien.

- Perlmutter...?

- Obudź się. Znalazłem coś.

Pitt włączył nocną lampkę i usiadł na łóżku.

- Dobra. Słucham.

- Otrzymałem pisemny raport od moich przyjaciół w Korei. Przejrzeli dokumenty koreańskich stoczni. Wiesz, co odkryli? „Belle Chasse” nigdy nie był złomowany.

Pitt odrzucił kołdrę i opuścił stopy na podłogę.

- Mów.

- Przepraszam, że zajęło mi to tyle czasu, ale mamy do czynienia z najbardziej niewiarygodną morską zagadką, z jaką kiedykolwiek się zetknąłem. Nie uwierzysz, ale przez czterdzieści lat ktoś bawił się statkami w komórki do wynajęcia.

- Może uwierzę...

- Po pierwsze, pozwól, że zadam ci pytanie - powiedział Perlmutter.

- Jaka nazwa była na rufie statku, który znalazłeś na Alasce?

- „Pilottown”.

- Czy namalowane litery otoczone były wypawianym obrysem?

Pitt zastanawiał się przez chwilę.

- Nie, była to tylko wyblakła farba. Obrys musiał zostać spiłowany.

Perlmutter westchnął z ulgą w słuchawkę.

- Miałem nadzieję, że to właśnie powiesz.

- Dlaczego?

- Twoje podejrzenia się potwierdziły. „San Marino”, „Belle Chasse” i „Pilottown” są rzeczywiście jednym i tym samym statkiem.

- Cholera! - zawołał Pitt, czując nagłe podniecenie. - W jaki sposób to powiązałeś?

- Ustalając, co rzeczywiście stało się z prawdziwym „Pilottown” - oznajmił Perlmutter. - Moi informatorzy nie znaleźli żadnych danych o złomowaniu „Belle Chasse” w stoczniach w Pusan. Posłużyłem się więc intuicją i poprosiłem, żeby sprawdzili inne stocznie na wybrzeżu. Odnaleźli pewien ślad w Inchon. Pracownicy stoczni to ciekawi faceci. Nigdy nie zapominają statków, szczególnie tych, które złomują. Grają twardzieli, ale gdzieś w głębi duszy czują smutek, widząc zmęczony, wysłużony statek wprowadzany po raz ostatni do ich basenu. Pewien stary brygadzysta okazał się prawdziwą kopalnią wiadomości.

- I co powiedział? - spytał niecierpliwie Pitt.

- Wspominał, jak kierował brygadą, która przerabiała „San Marino” z drobnicowca na rudowiec, nazwany później „Belle Chasse”.

- A dokumenty stoczniowe?

- Najwyraźniej sfałszowane przez właścicieli stoczni. Przy okazji

wyszło na jaw, że to nasi starzy przyjaciele, czyli Sosan Trading Company. Brygadzysta przypomniał sobie również złomowanie oryginalnego „Pilottown”. Wygląda na to, że ludzie z Sosan Trading, albo raczej tajemniczej firmy, która za nią stoi, porwali „San Marino” wraz z ładunkiem i wymordowali załogę. Potem przebudowali ładownię, przystosowując je do przewozu rudy, sporządzili dokumenty rejestracyjne na zupełnie inną nazwę i posłali statek na morze.

- A skąd się wziął „Pilottown”? - zapytał Pitt.

- Był legalnym nabytkiem Sosan Trading. Może cię zainteresuje, że Centralne Archiwum Przestępczości na Morzu ma go w swoim rejestrze jako jednostkę podejrzaną o dokonanie dziesięciu naruszeń przepisów celnych. Myślę, że szmugłowano na nim wszystko - pluton do Libii, broń dla rebeliantów w Argentynie, amerykańską tajną technologię do Rosji - co tylko sobie życzysz. Pływał z bardzo sprytną bandą na pokładzie. Tych naruszeń przepisów nigdy im nie udowodniono. W pięciu przypadkach wiedziano, że wyszedł z portu z tajnym ładunkiem, ale nie złapano ich przy rozładunku. Kiedy kadłub i silnik wreszcie się zużyły, w bardzo dogodnym momencie został pocięty na żyłki i wszystkie dokumenty zniszczono.

- Ale dlaczego zgłoszono jego zatonięcie, skoro w rzeczywistości zatopili „San Marino”, czyli „Belle Chasse”?

- Bo mogły powstać wątpliwości co do rodowodu „Belle Chasse”. „Pilottown” miał dobrą dokumentację, więc w 1979 roku zgłosili jego zatonięcie wraz z nie istniejącym ładunkiem i wystąpili o odszkodowanie do towarzystwa ubezpieczeniowego.

- Czy ten stary brygadzysta mówił o innych przeróbkach statków dla Sosan Trading?

- Wspominał o dwóch - zbiornikowcu i kontenerowcu - odparł Perlmutter. - Ale to były tylko modernizacje, nie przeróbki. Nowe nazwy tych statków to „Boothville” i „Venice”.

- A jak nazywały się poprzednio?

- Brygadzysta twierdził, że wszystkie elementy identyfikujące zostały usunięte.

- Wygląda na to, że ktoś organizuje flotę z porwanych statków.

- Tani sposób prowadzenia brudnych interesów.

- Czy masz coś nowego o głównej spółce? - spytał Pitt.

- Wciąż stoję przed zamkniętymi drzwiami - odparł Perlmutter. -

Ale brygadzysta powiedział, że jakaś szycha miała zwyczaj kontrolować jednostki, kiedy już były gotowe do wypłynięcia.

Pitt wstał.

- Co jeszcze?

- To wszystko.

- Musi być coś... nazwisko, jakiś szczegół.

- Poczekaj chwilę, zerknę znowu do raportu.

Pitt słyszał szelest papieru i mrużącego do siebie Perlmuttera.

- Dobra, jest. „VIP zawsze przyjeżdżał wielką czarną limuzyną”. Nie wspomniano, jakiej marki. „Był wysoki jak na Koreańczyka...”

- Koreańczyk?

- Tak mam tu napisane - odparł Perlmutter. - I że mówił po koreańsku z amerykańskim akcentem.

Mglista postać ze snu Pitta zrobiła krok w jego stronę.

- St. Julien, odwaliłeś dobrą robotę.

- Przykro mi, że nie mogłem wyciągnąć wszystkiego.

- Zdobyłeś dla nas pierwszą lewę.

- Przygwoźdź tego sukinsyna, Pitt.

- Mam ten zamiar.

- Jeżeli będziesz mnie potrzebował, jestem do dyspozycji.

- Dziękuję, St. Julien.

Pitt podszedł do szafy, zarzucił na siebie krótkie kimono i zawiązał pasek. Potem poczłapał do kuchni, wypił szklanekę soku guawy z ciemnym rumem i wybrał numer telefonu.

Po kilku dzwonekach odezwał się spokojny głos:

- Taa?

- Hiram, zapuszczaj swój komputer. Mam dla ciebie nowy problem.

Rozdział 38

Suworow czuł, jak napięcie skręca mu wnętrzności. Przez większą część wieczoru siedział w sali monitorowania, gawędził z dwoma psychologami obsługującymi aparaturę telemetryczną, opowiadał im dowcipy i przynosił kawę z kuchenki. Nie zauważyli, że rzadko kiedy spuszczał wzrok z elektronicznego zegara na ścianie.

Ługowoj wszedł do pokoju o 23.20 i przeprowadził rutynową kontrolę życiowych funkcji organizmu prezydenta. O 23.38 odwrócił się do Suworowa i zapytał:

- Wypijecie ze mną szklaneczkę portwajnu, kapitanie?
- Nie dzisiaj - odparł Suworow ze skwaszoną miną. - Boli mnie brzuch. - Chyba wypiję później tylko szklanekę mleka.
- Jak sobie życzyce - powiedział Ługowoj. - Do zobaczenia na śniadaniu.

Dziesięć minut po wyjściu Ługowoja Suworow spostrzegł niewielki ruch na jednym z monitorów. Początkowo był prawie niezauważalny, ale wkrótce zwrócił na niego uwagę również jeden z psychologów.

- Co, u diabła?! - zawołał.
- Coś się stało? - spytał jego kolega.
- Senator Larimer... On się budzi.
- Niemożliwe.
- Nic nie widzę - oznajmił Suworow, podchodząc bliżej.
- Jego rytm alfa wykazuje częstotliwość dziewięć do dziesięciu

impulsów na sekundę, a to przecież niemożliwe, powinien znajdować się w stanie uśpienia.

- Rytm alfa wiceprezydenta Margolina również wskazuje na pobudzenie.

- Lepiej wezwijmy doktora Ługowoja...

Ledwo wypowiedział te słowa, Suworow z całej siły uderzył go kantem dłoni w kark. Zaraz potem zadał z półobrotu cios w gardło drugiemu psychologowi, miażdżąc mu krtań.

Zanim jego ofiary upadły na podłogę, spojrzął beznamiętnie na zegar. Migoczące czerwone cyfry wskazywały 23.49. Pozostawało jedenaście minut do chwili, kiedy Ługowoj powinien odjechać windą z laboratorium. Suworow wielokrotnie ćwiczył wszystkie czynności i przeznaczył na nieprzewidziane opóźnienia zaledwie dwie minuty.

Przeszedł nad martwymi ciałami i wybiegł ze stanowiska monitorowania do pomieszczenia, w którym znajdowały się dźwiękoszczelne pojemniki z obiektami eksperymentu. Zdjął zabezpieczenia z trzeciego kokonu, odchylił pokrywę i zajrzał do środka.

Senator Marcus Larimer patrzył na niego.

- Gdzie ja... Kim pan jest, u diabła? - wymamrotał.

- Przyjacielem - odparł Suworow. Uniósł Larimera, pomagając mu wyjść z kokonu, i na wpół niosąc, na wpół ciągnąc, ulokował go na krześle.

- Co się tu dzieje?

- Proszę być cicho i zaufać mi.

Suworow wyjął z kieszeni strzykawkę i zrobił Larimerowi zastrzyk środka pobudzającego. Powtórzył to wszystko z wiceprezydentem Margolinem, który rozglądał się wokoło oszołomionym wzrokiem. Obaj Amerykanie byli nadzy, więc rzucił im koce.

- Owińcie się nimi - polecił.

Kongresman Alan Moran jeszcze się nie obudził. Suworow wyjął go z kokonu i położył na podłodze. Potem odwrócił się i podszedł do pojemnika, w którym znajdował się prezydent. Amerykański

przywódca wciąż był nieprzytomny. System zamków był tu odmienny niż w pozostałych kokonach i Suworowowi nie udało się otworzyć pokrywy, stracił tylko cenny czas. Ogarnął go strach.

Jego zegarek wskazywał 23.57. Był już spóźniony, dwuminutowa rezerwa czasu rozplynęła się. Strach zaczął ustępować miejsca panice. Sięgnął w dół i z kabury umocowanej na prawej łydce wyciągnął colta woodsman, pistolet kalibru 22. Nakręcił na lufę tłumik długości czterech cali. Na krótką chwilę stracił panowanie nad sobą. Wyzwolone emocje zaćmiły jego zdolność rozumowania. Wymierzył pistolet w czoło prezydenta widniejące po drugiej stronie plastikowej pokrywy.

Margolin mimo zamroczenia spowodowanego narkotykami zrozumiał, co Suworow ma zamiar zrobić. Zataczając się przeszedł przez pomieszczenie z kokonami i niezgrabnie skoczył na rosyjskiego agenta, usiłując schwycić rękę z pistoletem. Suworow zrobił unik i popchnął go na ścianę. Ale Margolin utrzymał się na nogach. Widział wszystko jak przez mgłę, fale nudności podchodziły mu do gardła, mimo wszystko jednak rzucił się do przodu, ponownie próbując ocalić prezydentowi życie.

Suworow uderzył go w skroń lufą rewolweru i wiceprezydent runął bezwładnie na podłogę. Po twarzy spływała mu krew. Suworow stał przez chwilę jak wmurowany. Jego precyzyjnie obmyślany plan rozsypywał się w gruzy. Czas minął.

Musiał ratować, co się da. Przestał myśleć o prezydencie, kopniakiem odrzucił z drogi Margolina i wypchnął Larimera za drzwi. Przerzucił sobie przez ramię wciąż nieprzytomnego Morana i zaczął popychać zdezorientowanego senatora w stronę windy. Skręcali właśnie za róg, kiedy ukryte drzwi rozsunęły się i stanął w nich Ługowoj.

- Ani kroku dalej, doktorze.

Ługowoj odwrócił się gwałtownie i popatrzył z osłupieniem na Suworowa i wymierzony w siebie pistolet.

- Ty głupcze! - wybełkotał Ługowoj, kiedy wreszcie uświadomił sobie, co się stało. - Ty cholerny głupcze!

- Zamknij się! - warknął Suworow. - I zejdz mi z drogi.

- Sam nie wiesz, co robisz.

- Spełniam jedynie mój patriotyczny obowiązek.

- Niszczysz lata pracy i planowania - odparł z wściekłością Ługowoj.

- Prezydent Antonow każe cię rozstrzelać.

- Mam już dosyć waszych kłamstw, doktorze. Ten szaleńczy projekt naraził nasz rząd na niezwykle niebezpieczeństwo. To ty zostaniesz rozstrzelany. To ty jesteś zdrajcą.

- Mylisz się - odparł bliski omdlenia Ługowoj. - Czy naprawdę tego nie widzisz?

- Zorientowałem się, że pracujesz dla Koreańczyków. Najprawdopodobniej dla południowych Koreańczyków, którym się sprzedałeś.

- Na litość boską, posłuchaj...

- Dla dobrego komunisty jedynym bogiem jest partia - odparł Suworow. Brutalnie odsunął psychologa na bok i wepchnął nie stawiającego oporu Larimera do windy. - Nie ma już zresztą czasu na sprzeczkę.

Ługowoj poczuł, jak ogarnia go fala rozpacz.

- Proszę, nie rób tego! - zawołał błagalnie.

Suworow nie odpowiedział. Odwrócił się i popatrzył na niego wrogo. Drzwi windy zamknęły się i Ługowoj zniknął.

Rozdział 39

Kiedy winda jechała do góry, Suworow ujął pistolet za lufę i kolbą rozbił lampę nad głową. Moran jęknął i zaczął odzyskiwać przytomność. Przecierał oczy i potrząsał głową, jakby chciał rozpędzić mgłę. Larimerowi zrobiło się niedobrze i zwymiotował w kącie. Oddychał ciężko, chrapliwie.

Winda zatrzymała się łagodnie i drzwi otworzyły się, wpuszczając podmuch ciepłego powietrza. Jedyne światło padało z trzech słabych, żółtych żarówek zawieszonych na drucie. Powietrze było bardzo wilgotne, ciężkie, cuchnęło olejem napędowym i rozkładającą się roślinnością.

W odległości dziesięciu stóp stało dwóch pogrążonych w rozmowie mężczyzn, którzy czekali na Ługowoja, aby złożył swój raport o postępach prac. Odwrócili się i spojrzeli z zaskoczeniem na zaciemnioną kabinę windy. Jeden z nich trzymał teczkę-dyplomatkę. Suworow, zanim strzelił każdemu z nich dwukrotnie w pierś, zauważył tylko, że mieli skośne oczy.

Wolnym ramieniem objął Morana w pasie i poprowadził go po czymś, co przypominało zardzewiałą, żelazną podłogę. Popędzał Larimera przed sobą, zupełnie jakby miał do czynienia z psem, który uciekł z domu. Senator zataczał się jak pijany. Był zbyt chory, by mówić, i zbyt oszołomiony, by stawiać opór. Suworow wsunął pistolet za pasek spodni, wziął Larimera za rękę i zaczął go prowadzić. Czuł pod dłonią

jego wilgotne, pokryte gęsią skórą przedramię. Miał nadzieję, że serce starego parlamentarzysty nie wysiądzie właśnie w tej chwili.

Potknął się o gruby łańcuch i zaklął. Zatrzymał się i spojrzał wzdłuż obudowanej, prowadzącej w ciemność pochylni. Miał wrażenie, że znalazł się w łaźni, jego ubranie było już wilgotne od potu, włosy lepiły mu się do czoła i skroni. Potknął się znowu i omal nie upadł, odzyskując równowagę na chwilę przed tym, zanim rozciągnął się jak długi na ukośnym żebrowaniu rampy.

Bezwładny ciężar Morana stawał się coraz trudniejszy do utrzymania i Suworow uświadomił sobie, że traci siły. Wątpił, czy zdoła holować kongresmana jeszcze pięćdziesiąt jardów.

Zataczając się, wyszli wreszcie z tunelu. Suworow spojrzał w górę i z ulgą spostrzegł czyste niebo usiane gwiazdami. Grunt pod nogami sprawiał wrażenie drogi pokrytej tłuczniem, nigdzie nie było widać żadnych świateł. W mroku, po lewej, zauważył niewyraźny zarys samochodu. Wepchnął Larimera do przydrożnego rowu, obok upuścił jak worek piasku Morana i ostrożnie zatoczył koło, zbliżając się do samochodu od tyłu.

Zamarł w bezruchu i nasłuchiwał. Silnik pracował, z radia płynęła muzyka. Okna były szczelnie zamknięte, więc Suworow słusznie przypuszczał, że klimatyzacja jest włączona.

Schylił się i bezszelestnie jak kot podszedł bliżej, dbając o to, by jego postać nie pojawiła się w lusterku umocowanym na drzwiach. Wewnątrz było zbyt ciemno, aby dostrzec coś poza niewyraźną sylwetką za kierownicą. Jeżeli w środku znajdował się ktoś jeszcze, Suworow mógł liczyć tylko na zaskoczenie.

Samochód był przedłużoną limuzyną i Suworowowi wydawał się długi jak dom. Litera na klapie bagażnika wskazywała, że to cadillac. Nigdy nie prowadził takiego wozu, lecz miał nadzieję, że jakoś odnajdzie właściwe przełączniki i dźwignie.

Kiedy jego palce odnalazły klamkę drzwi, zrobił głęboki wdech i gwałtownie otworzył drzwi. Wewnętrzne światło zabłysło na chwilę i mężczyzna siedzący na przednim siedzeniu odwrócił głowę, otwierając

usta do krzyku. Suworow strzelił do niego dwukrotnie - pociski o srebrnym płaszczu i wgłębieniu wierzchołkowym wbiły się pod pachę, rozrywając klatkę piersiową.

Zanim jeszcze z ran zaczęła tryskać krew, Suworow szarpnięciem wyciągnął kierowcę z samochodu i odtoczył go na bok. Potem brutalnie wepchnął Larimera i Morana na tylne siedzenie. Obaj mężczyźni zgubili okrywające ich koce, ale znajdowali się w zbyt głębokim szoku, aby zwracać na to uwagę. Nie byli już wpływowymi osobistościami z Kapitelu, zachowywali się bezradnie jak dzieci zagubione w lesie.

Suworow przełożył dźwignię biegów i wcisnął pedał gazu tak gwałtownie, że tylne koła zabuksowały, rozpryskując żwir. Dopiero po przejechaniu pięćdziesięciu jardów odzyskały przyczepność. Kiedy szukająca po omacku ręka Suworowa natrafiła na włącznik reflektorów i przycisnęła go, zobaczył, że wielki samochód pędzi dokładnie środkiem wyboistej, bocznej drogi. Opadł z ulgą na fotel.

Gdy ciężka, miękko resorowana limuzyna pokonała trzy mile nierównej, przypominającej tarzę nawierzchni, zaczął wreszcie zwracać uwagę na otoczenie. Z gałęzi rosnących wzdłuż drogi cyprysów zwisały wielkie kotary mchu. Wskazywało to, że znajdują się gdzieś na południu Stanów Zjednoczonych. Dostrzegł przed sobą skrzyżowanie i zatrzymał się, wznosząc tumany kurzu. Na rogu widniał opuszczony budynek, bardziej przypominający w tej chwili rozpadającą się szopę. Oświetlony reflektorami obdrapany napis głosił: GLOVER CULPEPPER. PALIWO I ARTYKUŁY SPOŻYWCZE. Najwyraźniej Glover spakował manatki i wyprowadził się stąd wiele lat temu.

Na skrzyżowaniu nie było żadnego drogowskiego, Suworow rzucił więc w myślach monetę i skręcił w lewo. Cyprysy ustąpiły sosnowym laskom i wkrótce zaczął mijać pojedyncze farmy. O tej porze dnia ruch na drodze był bardzo mały. Napotkał tylko jeden samochód i półciężarówkę, jadące w przeciwnym kierunku. Dojechał do szerszej drogi i zobaczył na pochylonym słupku wygięty znak, informujący, że jest to autostrada stanowa 700. Nic to mu nie mówiło, więc ponownie skręcił w lewo i ruszył dalej.

Przez całą drogę Larimer i Moran siedzieli w milczeniu.

Suworow rozluźnił się i zdjął nogę z pedału gazu. We wstecznym lusterku nie widać było żadnych reflektorów i jak długo utrzymywał dozwoloną prędkość, szansa zatrzymania ich przez miejscowego szeryfa była niewielka. Zastanawiał się, w jakim stanie się znajdują. Georgia, Alabama, Luizjana? Mógł to być jeden z tuzina. Rozglądał się wokół, szukając jakiejś wskazówki. Tymczasem okolica stawała się gęściej zaludniona, w świetle coraz częstszych przydrożnych lamp pojawiały się ciemne budynki.

Po upływie pół godziny dojechał do mostu nad, jak głosiła tabliczka, rzeką Stono. Nigdy o niej nie słyszał. Z mostu dostrzegł migoczące w oddali światła dużego miasta. Z prawej strony światła urywały się gwałtownie i cały horyzont był zatopiony w głębokiej czerni. Morski port, uznał. A potem reflektory samochodu oświetliły wielki czarno-biały kierunkowskaz, na którym widniały słowa: CHARLESTON 5 MIL.

- Charleston! - powiedział głośno Suworow, czując gwałtowny przypływ radości. Zaczął szybko przywoływać w pamięci szczegóły geografii Stanów Zjednoczonych. - Jestem w Charlestonie, w Karolinie Południowej.

Dwie mile dalej znalazł czynny przez całą noc drugstore z automatem telefonicznym. Obserwując bacznie Larimera i Morana, połączył się z centralą międzymiastową i zamówił rozmowę na koszt swego rozmówcy.

Rozdział 40

Kiedy Pitt zatrzymał talbota koło wyjścia dla pasażerów waszyngtońskiego Międzynarodowego Portu Lotniczego imienia Dullesa, po niebie płynęła samotna chmura rozsiewająca skąpe krople deszczu. Poranne słońce prażyło stolicę i deszcz parował niemal w chwili dotknięcia ziemi. Pitt wyjął z samochodu walizkę i podał ją czekającemu tragarzowi.

Loren, zaciskając skromnie kolana, wysunęła nogi z ciasnego sportowego samochodu i wysiadła.

Tragarz przyczepił kwit bagażowy do biletu lotniczego i Pitt przekazał go Loren.

- Zaparkuję samochód i zajmę się tobą do chwili, kiedy ogłoszą twój lot.

- Nie musisz - odpowiedziała stając blisko niego. - Mam do przejrzania trochę listów od wyborców. Jedź z powrotem do biura.

Skinął głową w stronę trzymanej przez nią teczki.

- Twoja podpora. Zginęłabyś bez niej.

- Ty za to nigdy nie używasz teczki.

- To nie w moim stylu.

- Obawiasz się, że ktoś mógłby cię wziąć za biznesmena?

- Tu, w Waszyngtonie? Chyba raczej za urzędnika.

- Przecież nim jesteś. Rząd płaci ci pensję, podobnie jak mnie.

Pitt roześmiał się.

- Wszyscy jesteśmy dotknięci tą samą klątwą.

Postawiła walizkę na chodniku i oparła dłonie o jego pierś.

- Będzie mi ciebie brakowało.

Objął ją w talii i uściśnął delikatnie.

- Wystrzegaj się ognistych rosyjskich oficerów, kabin z podsłuchem i kaca po wódce.

- Dobrze - odparła z uśmiechem. - Będziesz tu, kiedy wrócę?

- Numer twojego lotu i czas przybycia mam wyryte w pamięci.

Przechyliła głowę i pocałowała go. Wydawało się, że Pitt chce coś jeszcze powiedzieć, ale w końcu puścił ją i zrobił krok do tyłu. Wolno weszła do budynku dworca lotniczego przez automatycznie rozsuwane drzwi. W poczekalni odwróciła się, by pomachać Pittowi, ale niebieski talbot właśnie odjeżdżał.

Na prezydenckiej farmie, położonej trzydzieści mil na południe od Raton w stanie Nowy Meksyk, członkowie korpusu prasowego Białego Domu stali rozstawieni wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego, z kamerami wycelowanymi w sąsiednie pole lucerny. Była siódma rano i dziennikarze pili czarną kawę, narzekając na wczesną porę, gorąco panujące na wysoko położonych równinach, rzadką jajecnicę i przypalony bekon serwowane na parkingu dla ciężarówek koło autostrady oraz inne niedogodności - prawdziwe czy wyimaginowane.

Rzecznik prasowy prezydenta, Jacob „Sonny” Thompson, przeszedł żwawym krokiem przez zakurzony obóz prasowy, podnosząc na duchu zaspanych dziennikarzy jak wodzirej na balu i zapewniając ich, że zdobędą nie wyreżyserowane, prywatne zdjęcia prezydenta pracującego na roli.

Urok rzecznika prasowego podkreślały lśniące, białe zęby z artystycznie wykonanymi koronkami, gładkie czarne włosy lekko przyprószone na skroniach siwizną i ciemne oczy z naciągniętą w kącikach skórą, świadectwem chirurgii plastycznej. Żadnego drugiego podbródka, ani śladu brzuszka. Poruszał się i gestykułował z animuszem niezbyt entuzjastycznie przyjmowanym przez dziennikarzy, których zajęcia fizyczne ograniczały się do stukania na

maszynie, przyciskania klawiszy komputera i podnoszenia do ust papierosów.

Jego ubranie pasowało do całości. Miał na sobie letni garnitur szyty na miarę, niebieską koszulę, dopasowany krawat i czarne mokasyny od Gucciego. Szykowny, pełen wigoru facet, bez żadnej lipy. Nigdy nie okazywał gniewu, nigdy jednak nie pozwalał dziennikarzom na wbijanie sobie szpilek. Bob Finkel z baltimorskiego „Sun” twierdził z ironią, że Thompson musiał ukończyć z odznaczeniem Szkołę Propagandy Josepha Goebbelsa.

Zatrzymał się przy kempingowym trajlerze ekipy telewizyjnej CNN. Curtis Mayo, akredytowany przy Białym Domu korespondent sieci, siedział skulony w krześle reżysera i wyglądał jak półtora nieszczęścia.

- Masz już przygotowaną ekipę, Curt? - spytał pogodnie Thompson.

Mayo odchylił się w krześle, przesunął baseballową czapkę na tył głowy i spojrzał do góry przez pomarańczowe szkła okularów.

- Nie widzę tu nic, co warto by było utrwalić dla potomności.

Jego sarkazm spłynął po Thompsonie jak woda po gęsi.

- Za pięć minut prezydent wyjdzie z tego domu, podejdzie do stodoły i uruchomi traktor.

- Brawo - mruknął Mayo. - A co zrobi na deser?

- Przejedzie tam i z powrotem po polu z kosiarką i zetnie tę trawę.

- To lucerna, mieszczechu.

- Cokolwiek to jest - zgodził się dobrodusznie Thompson i wzruszył ramionami. - W każdym razie pomyślałem, że może byłoby nieźle nakręcić go w wiejskiej okolicy, którą najbardziej lubi.

Mayo popatrzył Thompsonowi w oczy.

- Co jest grane, Sonny?

- Słucham?

- Po co ta zabawa w ciuciubabkę? Prezydent nie pokazywał się przez ponad tydzień.

Thompson odpowiedział mu nieodgadnionym spojrzeniem swych orzechowych oczu.

- Był wyjątkowo zajęty. Odrabiał swoje prace domowe z dala od

waszyngtońskich kłopotów.

Mayo to nie zadowolilo.

- Nigdy dotąd, jak sięgam pamięcią, nie obywat się tak długo bez kontaktu z kamerą.

- Nic w tym dziwnego - odparł Thompson. - Po prostu nie miał do powiedzenia niczego o ogólnopanstwowym znaczeniu.

- Może chorował albo coś w tym rodzaju?

- Ależ skąd. Jest zdrowy jak jego medalowe byki. Sam się przekonasz.

Thompson zostawił korespondenta CNN i poszedł wzdłuż ogrodzenia, zagadując innych dziennikarzy, poklepując ich po plecach i ściskając dłonie. Mayo przez chwilę obserwował go z zaciekawieniem, a potem niechętnie wstał z krzesła i zwołał ekipę.

Norm Mitchell, przypominający niezgrabnego stracha na wróble, umocował wideokamerę na trójnogu i wycelował ją w stronę kuchennego ganku prezydenckiego domu, podczas gdy muskularny dźwiękowiec, Rocky Montrose, podłączał aparaturę nagraniową ustawioną na niewielkim składanym stole. Mayo stał z mikrofonem w rękę, opierając jedną stopę na zwoju drutu kolczastego.

- Skąd chcesz prowadzić komentarz? - spytał Mitchell.

- Będę mówił z offu, poza wizją - odparł Mayo. - Jak daleko masz dom i stodołę?

Mitchell popatrzył przez kieszonkowy dalmierz.

- Od tego miejsca do domu jest jakieś sto dziesięć jardów. I chyba dziewięćdziesiąt do stodoły.

- Jakie możesz zrobić zbliżenie?

Mitchell pochylił się nad wizjerem kamery i wydłużył ogniskową, ustawiając ostrość na tylne drzwi domu.

- Mogę go ująć z paroma stopami luzu po bokach.

- Chcę maksymalne zbliżenie.

- Żeby podwoić zasięg, musiałbym założyć konwertor 2-X.

- To załóż.

Mitchell spojrzał na niego pytająco.

- Nie mogę obiecać, że szczegóły wyjdą wyraźnie. Przy tej odległości będzie marna rozdzielczość i brak głębi ostrości.

- Nie ma sprawy - odparł Mayo. - I tak nie będziemy nadawali na żywo.

Montrose spojrział na niego znad aparatury nagrywającej.

- W takim razie nie jestem panu potrzebny.

- Mimo wszystko włącz zapis dźwięku i nagrywaj mój komentarz.

Batalion korespondentów prasowych nagle ożył, gdy ktoś krzyknął: „Idzie!”

Drzwi kuchenne otworzyły się i prezydent wyszedł na ganek. Miał na sobie bawełnianą koszulę wpuszczoną w wypłowiałe levisy i kowbojskie buty. Jego śladem przez próg przeszedł wiceprezydent Margolin w wielkim stetsonie nasuniętym nisko na czoło. Zatrzymali się na chwilę, pogrążeni w rozmowie. Prezydent gestykulował z ożywieniem, podczas gdy Margolin zdawał się słuchać uważnie.

- Daj maksymalne zbliżenie wiceprezydenta - polecił Mayo.

- Zrobione - odparł Mitchell.

Słońce wzbijało się ku zenitowi i nad czerwonawą ziemią zaczynały drgać fale gorącego powietrza. Farma prezydenta rozciągała się we wszystkich kierunkach. W większości były to pola trawy i lucerny, znajdowało się tam również parę niewielkich pastwisk dla małych stad rozplodowego bydła. Jaskrawozielone uprawy kontrastowały z otaczającymi je pustynnymi połaciami ziemi. Wody dostarczały wielkie, koliste systemy nawadniające. Płaszczyznę równiny ożywiał jedynie szpaler amerykańskich topoli rosnących wzdłuż kanału irygacyjnego.

W jaki sposób człowiek, który większość życia spędził na takim pustkowiu, mógł zdobyć wpływ na losy miliardów ludzi? - zastanawiał się Mayo. Im dłużej miał do czynienia z politykami, tym bardziej nimi pogardzał. Splunął na kolonię czerwonych mrówek, odchrząknął i zaczął mówić do mikrofonu.

Margolin odwrócił się i wszedł do wnętrza domu, a prezydent, nie spoglądając nawet w kierunku dziennikarzy, podszedł do stodoły. Wkrótce rozległ się warkot wysokoprężnego silnika i prezydent pojawił

się znowu, siedząc w zielonym traktorze John Deere model 2640 z kosiarką do trawy. Zamiast kabiny był tylko daszek. Prezydent do paska umocowane miał małe radio tranzystorowe, na uszach zaś słuchawki. Korespondenci zaczęli wykrzykiwać pytania, ale najwyraźniej ich głosy do niego nie docierały, zagłuszone przez warkot silnika i muzykę lokalnej stacji radiowej.

Prezydent owinał dolną część twarzy czerwoną chustą, jak bandyta z westernu, aby uchronić się przed wdychaniem kurzu i spalin. Potem opuścił noże kosiarki i zaczął jeździć tam i z powrotem, zostawiając za sobą długie pokosy lucerny. Stopniowo oddalał się coraz bardziej od tłoczących się przy ogrodzeniu ludzi.

Po mniej więcej dwudziestu minutach korespondenci zaczęli powoli pakować swój sprzęt i wracać do klimatyzowanych przyczep i trajlerów.

- To wszystko - oświadczył Mitchell. - Koniec taśmy. Chyba że chcesz, bym założył nową.

- Daj sobie spokój. - Mayo owinał przewód wokół mikrofonu i oddał go Montrose'owi. - Zejdźmy z tego żaru i zobaczymy, co się nagrało.

Powlekli się do chłodnego wnętrza trajleru. Mitchell wyjął z kamery kasetę z taśmą szerokości trzy czwarte cala, włożył ją do odtwarzacza i przewinał. Kiedy był już gotów, Mayo wziął krzesło i usadowił się w odległości niecałych dwóch stóp od monitora.

- Czego szukamy? - zapytał Montrose.

Mayo nie odwracał spojrzenia od obrazów pojawiających się na monitorze.

- Czy powiedziałbyś, że to wiceprezydent? - zapytał.

- Oczywiście - odparł Mitchell. - A kto inny mógłby to być?

- Przyjmujesz to, co widzisz, za pewnik. Popatrz uważnie.

Mitchell pochylił się.

- Kowbojski kapelusz zakrywa mu oczy, ale usta i broda się zgadzają. Budowa ciała również. Wydaje mi się, że to on.

- Nic w jego zachowaniu cię nie dziwi?

- Facet stoi z rękami w kieszeni - powiedział ogłupiały Mitchell. - I co właściwie powinienem tu dostrzec?

- Nie dostrzegasz w nim nic dziwnego? - nalegał Mayo.

- Nic - stwierdził Mitchell.

- Dobra, dajmy mu spokój - powiedział Mayo, gdy Margolin odwrócił się i wszedł do domu. - A teraz popatrz na prezydenta.

- Jeżeli to nie on - mruknął kwaśno Montrose - to w takim razie jego brat bliźniak.

Mayo pomiął milczeniem tę uwagę i siedział spokojnie, gdy tymczasem kamera podążała za prezydentem przez podwórze, rejestrując jego powolny, charakterystyczny sposób poruszania się, tak dobrze znany milionom widzów. Prezydent zniknął w ciemnym wnętrzu stodoły, a w dwie minuty później pojawił się na traktorze.

Mayo wyprostował się gwałtownie.

- Zatrzymaj! - krzyknął.

Zaskoczony Mitchell przycisnął klawisz odtwarzacza i obraz na ekranie zamarł.

- Ręce! - zawołał z podnieceniem Mayo. - Ręce na kierownicy!

- Jak na razie ma po pięć palców - wymamrotał Mitchell. - No i co?

- Wiadomo, że prezydent nosi tylko obrączkę ślubną. A teraz popatrz uważnie. Na środkowym palcu lewej ręki nie ma pierścionka, ale na wskazującym jest jakaś błyskotka. A na małym palcu prawej...

- Płaski, niebieski kamień, pewnie ametyst, oprawiony w srebro - przerwał mu Montrose.

- Czy prezydent nie nosi zazwyczaj timexa z indiańską srebrną bransoletką wysadzaną turkusami? - zauważył Mitchell, którego wszystko to zaczęło coraz bardziej wciągać.

- Sądzę, że masz rację - przytaknął Mayo.

- Szczegóły są zamazane, ale powiedziałbym, że teraz ma na przegubie rolexa.

Mayo uderzył się pięścią w kolano.

- Właśnie. A wiadomo, że prezydent nigdy nie kupuje ani nie nosi niczego, co jest zagranicznej produkcji.

- Poczekajcie - powiedział wolno Montrose. - Przecież to szaleństwo. Rozmawiamy o prezydencie Stanów Zjednoczonych, jakby nie był

prawdziwy.

- Och, oczywiście jest z krwi i kości - odparł Mayo. - Ale to ciało siedzące na traktorze należy do kogoś innego.

- Jeżeli masz rację, to trzymasz w ręku odbezpieczony granat - oznajmił Montrose.

Entuzjazm Mitchella jakby przygasł.

- Być może szukamy wiatru w polu. Wydaje mi się, że dowody są bardzo nikłe. Nie możesz wyjść w eter, Curt, i twierdzić, że jakiś błazen udaje prezydenta, chyba że masz na to niezbite dowody.

- Nikt nie wie tego lepiej ode mnie - mruknął Mayo. - Ale nie mam zamiaru wypuścić tej historii z rąk.

- Zaczynasz dyskretne śledztwo?

- Jeżeli nie będę miał odwagi doprowadzić tego do końca, oddam swoją legitymację prasową. - Spojrzał na zegarek. - Jeśli natychmiast wyjadę, do południa powinienem znaleźć się w Waszyngtonie.

Montrose kucnął przed ekranem telewizora. Miał minę zawiedzionego dzieciaka.

- Zastanawiam się - powiedział pełnym urazy tonem - ile razy nasi prezydenci posługiwali się dublerami, żeby zrobić balona ze społeczeństwa.

Rozdział 41

Władimir Polewoj podniósł wzrok znad biurka, kiedy jego zastępca i człowiek numer dwa w największej organizacji wywiadowczej na świecie, Siergiej Iranow, wszedł zaafierowany do gabinetu.

- Siergiej, wyglądasz, jakby ci wetknęli w tyłek rozżarzony pogrzebacz.

- Uciekł - oznajmił pełnym napięcia głosem Iranów. - O kim mówisz?

- O Pawle Suworowie. Udało mu się uciec z tajnego laboratorium Bougainville'ów.

Na twarzy Polewoja pojawił się nagły gniew.

- Cholera, nie teraz!

- Zadzwoił do naszego nowojorskiego centrum tajnych operacji z automatu telefonicznego w Charlestonie, w Karolinie Południowej, i poprosił o instrukcje.

Polewoj wstał i zaczął wściekle chodzić tam i z powrotem po dywanie.

- Dlaczego nie zadzwonił do FBI i ich także nie poprosił o instrukcje? A byłoby jeszcze lepiej, gdyby dał ogłoszenie do „USA Today”.

- Całe szczęście, że jego przełożony natychmiast wysłał do nas szyfrówkę i zameldował o całym wydarzeniu.

- Przynajmniej ktoś tam myśli.

- Jeszcze coś - oznajmił Iranów. - Suworow wziął ze sobą senatora

Larimera i kongresmana Morana.

Polewoj zatrzymał się i odwrócił gwałtownie. - Idiota! Wszystko spieprzył!

- Trudno go za to winić.

- Skąd taki wniosek? - spytał cynicznie Polewoj.

- Suworow to jeden z naszych pięciu najlepszych agentów w Stanach Zjednoczonych. Nie jest głupi. Nie został poinformowany o projekcie Ługowoja i można zakładać, że cała sprawa była dla niego całkowicie niezrozumiała. Niewątpliwie działał zgodnie ze swoim rozeznaniami.

- Innymi słowy zrobił to, do czego był szkolony.

- Właśnie.

Polewoj wzruszył obojętnie ramionami.

- Gdyby poprzestał na podaniu nam lokalizacji laboratorium, nasi ludzie mogliby przejąć operację Huckleberry Finn spod kontroli Bougainville'ów.

- Ale w obecnej sytuacji pani Bougainville może wpaść w złość i unieważnić zgodę na cały eksperyment.

- I zrezygnuje z miliarda dolarów w złocie? Bardzo w to wątpię. Wciąż ma w swoich chciwych łapach prezydenta i wiceprezydenta. Moran i Larimer nie są dla niej zbyt wielką stratą.

- Ani dla nas - stwierdził Iranów. - Bougainville'owie stanowili nasz kamuflaż na wypadek, gdyby amerykańskie agencje wywiadowcze udaremniły przeprowadzenie operacji. Teraz, kiedy dwaj porwani kongresmani znaleźli się w naszych rękach, może to zostać uznane przez Amerykanów za wrogi akt albo przynajmniej wywołać bardzo poważny kryzys. Nie wiem, czy nie byłoby najlepiej po prostu zlikwidować Morana i Larimera.

Polewoj pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Ich wiedza o wewnętrznych mechanizmach aparatu wojskowego Stanów Zjednoczonych może nam przynieść ogromne korzyści.

- To ryzykowna gra.

- Nic nam nie grozi, jeżeli usuniemy ich szybko i ostrożnie, zanim się zaczną się zaciskać.

- W takim razie naszym najważniejszym zadaniem jest zapobiec znalezieniu ich przez FBI.

- Czy Suworow znalazł bezpieczną kryjówkę?

- Jeszcze nie - odparł Iranow. - Nowy Jork polecił mu tylko meldować się co godzina do chwili, gdy zorientują się w sytuacji i otrzymają rozkazy z Moskwy.

- Kto kieruje naszymi tajnymi operacjami w Nowym Jorku?

- Wasyl Kobylin.

- Poinformuj go o kłopotach Suworowa - polecił Polewoj. - Unikając oczywiście podawania jakichkolwiek szczegółów związanych z projektem. Ma rozkaz ukryć Suworowa i jego jeńców w bezpiecznym miejscu do chwili, gdy zdołamy zaplanować ich ucieczkę z terytorium Stanów Zjednoczonych.

- To niezbyt proste. - Iranów przysunął sobie krzesło i usiadł. - Amerykanie zaglądną w każdą dziurę szukając zaginionych głów państwa. Wszystkie lotniska są pod ścisłą obserwacją, a nasze okręty podwodne nie będą w stanie podejść do ich brzegów na odległość mniejszą niż pięćset mil morskich bez obawy, że wykryje je amerykański podwodny system wczesnego ostrzegania.

- Pozostaje zawsze Kuba.

Iranow spojrział z powątpiewaniem.

- Ten akwen jest zbyt mocno strzeżony przez Marynarkę Wojenną Stanów Zjednoczonych i Ochronę Wybrzeża zwalczające handel narkotykami. Odradzałbym ucieczkę w tym kierunku.

Polewoj spojrział przez wychodzące na plac Dzierżyńskiego okna gabinetu. Poranne słońce toczyło swoją z góry przegraną walkę z szarzą budynków miasta.

- Czy możemy przerzucić ich bezpiecznie do Miami?

- Na Florydzie?

- Tak.

Iranów zapatrzył się w przestrzeń.

- Istnieje niebezpieczeństwo blokady na drogach, ale sądzę, że można dać sobie z tym radę.

- Dobrze - odparł Polewoj, wyraźnie rozluźniony. - Dopilnuj tego.

Niecałe trzy godziny po ucieczce Suworowa Lee Tong Bougainville wyszedł z windy w laboratorium i stanął przed Ługowojem. Było kilka minut przed trzecią rano.

- Moi ludzie nie żyją - oznajmił Lee Tong bez cienia emocji. - Jest pan za to odpowiedzialny.

- Nie wiem, w jaki sposób mogło mu się udać - odparł cichym, lecz dobitnym głosem Ługowoj.

- Jak to się stało, że pan się nie zorientował?

- Zapewniał mnie pan, że z tego ośrodka nie sposób uciec. Nie przypuszczałem, że podejmie taką próbę.

- Kto to był?

- Paweł Suworow, agent KGB, którego pańscy ludzie zabrali przez pomyłkę z promu na Staten Island.

- Ale pan o nim wiedział.

- Ujawnił się dopiero po przybyciu na miejsce.

- A mimo to nic pan nie powiedział.

- To prawda - przyznał Ługowoj. - Bałem się. Kiedy eksperyment zostanie zakończony, będę musiał wrócić do Rosji. Proszę mi wierzyć, nie opłaca się antagonizować ludzi z naszej służby bezpieczeństwa.

Zakodowany strach przed człowiekiem za twoimi plecami. Bougainville dostrzegał go w oczach każdego Rosjanina, z którym się zetknął. Bali się obcokrajowców, każdego człowieka w mundurze, a nawet swoich sąsiadów. Żyli z tym tak długo, że strach stał się równie powszednim uczuciem jak złość czy radość. Ale nie żałował Ługowoja. Nie, raczej nim pogardzał - z własnej woli przecież żył w tak represyjnym systemie.

- Czy Suworow uszkodził jakieś wyposażenie?

- Nie - odparł Ługowoj.

- A co z pozostałymi Amerykanami?

- Wiceprezydent ma lekki wstrząs mózgu, ale znowu znajduje się pod działaniem środków nasennych. Prezydent jest w porządku.

- Nie ma żadnych opóźnień?

- Wszystko przebiega zgodnie z harmonogramem.

- I spodziewa się pan zakończyć eksperyment za trzy dni?

Ługowej skinął głową.

- Skracam termin.

Ługowej nie zareagował, zupełnie jakby nie dosłyszał. Potem jednak znaczenie słów Lee Tonga dotarło do niego.

- O Boże, nie! - jęknął. - Potrzebna mi każda minuta. I tak razem z moimi współpracownikami ledwie zmieściliśmy w dziesięciodniowym terminie to, co powinno zająć trzydzieści. Musimy mieć więcej czasu, aby umysł prezydenta mógł się ustabilizować.

- To już zmartwienie prezydenta Antenowa. My wypełniliśmy naszą część umowy. Dopuścił pan, by przeniknął tu agent KGB, narażając tym samym cały projekt.

- Przysięgam, że nie miałem nic wspólnego z ucieczką Suworowa.

- To pańska wersja - odparł zimno Bougainville. - Ja natomiast skłonny jestem sądzić, że jego obecność tutaj była zaplanowana, najprawdopodobniej na polecenie prezydenta Antonowa. Z całą pewnością Suworow poinformował już swoich przełożonych i wszyscy radzieccy agenci w Stanach nadciągają w tym kierunku. Musimy przenieść laboratorium.

To był ostateczny, druzgoczący cios. Ługowej wyglądał, jakby zaczynał się dusić.

- To niemożliwe! - zawołał. - Nie możemy przenosić prezydenta i całego wyposażenia w inne miejsce, bo wtedy w żaden sposób nie dotrzymany tego szaleńczego terminu.

Bougainville spojrział na Ługowoja przez zmrużone powieki. Kiedy odezwał się znowu, jego głos był lodowato spokojny:

- Niech się pan tym nie martwi, doktorze.

Rozdział 42

Kiedy Pitt wszedł do swojego biura w gmachu NUMA, zastał w nim śpiącego na kozetce Hiram'a Yeagera. Niechlujnie ubrany, z długimi zmierzwionymi włosami i brodą wyglądał jak bezdomny pijaczek. Pitt wyciągnął rękę i delikatnie potarł go za ramię. Powieka komputerowego specjalisty uniosła się wolno, a po chwili Yeager mruknął i usiadł.

- Miałeś ciężką noc? - zainteresował się Pitt.

Yeager podrapał się w głowę obydwiema rękami i zapytał:

- Masz trochę Niebiańskiej Mieszanki Czerwonej Herbaty Zingera?

- Tylko odgrzewaną wczorajszą kawę.

Yeager cmoknął z dezaprobatą.

- Kofeina cię zabije.

- Kofeina, zanieczyszczenie środowiska, wódeczność, kobiety - co za różnica?

- Aha, przy okazji. Znalazłem to.

- Co?

- Tę twoją tajemniczą spółkę armatorską.

- Jezu! - zawołał Pitt, czując nagły przypływ energii. - Gdzie?

- Na naszym własnym podwórku - odparł Yeager, uśmiechając się od ucha do ucha. - W Nowym Jorku.

- W jaki sposób na to wpadłeś?

- Twoja informacja o koreańskich powiązaniach miała zasadnicze

znaczenie, ale nie była odpowiedzią na nasze pytania. Spróbowałem ugryźć sprawę od innej strony i zacząłem sprawdzać wszystkie armatorskie i eksportowe firmy, które mieściły się w Korei albo były tam zarejestrowane. Było ich ponad pięćdziesiąt, lecz żadna z nich nie miała powiązań z bankami, które poprzednio kontrolowaliśmy. Kiedy nie miałem już czego sprawdzać, puściłem wodze komputerowi. I wiesz co? Okazał się lepszym detektywem niż ja. Cały haczyk był w nazwie. Firma nie jest koreańska, ale francuska. - Francuska?

- Mieści się w World Trade Center na dolnym Manhattanie, a jej flota pływa pod flagą republiki Somalii. Mówi ci to coś?

- Wal dalej.

- Pierwszorzędna firma, żadnych przerdzewiałych balii. Świetna ocena „Fortune”, „Forbes”, a także Duna i Bradstreeta. Są tak czysti, że przy ich dorocznym raporcie rozbrzmiewa muzyka anielskich harf. Ale jeżeli pogrzebiesz wystarczająco głęboko, znajdziesz tam więcej figurantów i lipnych spółek niż pedałów w San Francisco. Oszustwa w dokumentacji statków, lewe wnioski ubezpieczeniowe, statki-widma z nie istniejącymi ładunkami, podmiana wartościowych ładunków na bezwartościowe. I zawsze poza jurysdykcją nabijanych w butelkę prywatnych przedsiębiorstw i rządów.

- Jak się nazywa?

- Linie Żeglugowe Bougainville - odparł Yeager. - Słyszałeś o nich?

- Min Koryo Bougainville... „Stalowy Lotos” - powiedział Pitt, wyraźnie pod wrażeniem. - Kto o niej nie słyszał? Jest taką samą znakomitością jak wielcy brytyjcy i greccy armatorzy.

- To jest właśnie owo koreańskie powiązanie.

- Dane są w pełni wiarygodne? Nie ma możliwości pomyłki?

- Żelazobeton - odparł Yeager. - Wierz mi. Wszystko sprawdziłem trzy razy. Kiedy się okazało, że ośrodkiem całej sprawy jest Bougainville, łatwo było prześledzić resztę, cofając się po tropach. Wszystko zaczęło pasować - rachunki bankowe, listy kredytowe. Nie uwierzyłbyś, ile banków przymyka oczy na takie kanty. A ta stara dziwka przypomina mi jedno z tych hinduskich bóstw o dwudziestu

ramionach, które siedzi ze świątobliwym wyrazem twarzy, podczas gdy dłonie wykonują obsceniczne gesty.

- Udało ci się! - zawołał entuzjastycznie Pitt. - Udało ci się powiązać Sosan Trading, „San Marino” i „Pilottown” z armatorskim imperium Bougainville’ów. Jak daleko cofnąłeś się w czasie?

- Mogę ci wyrecytować biografię starszej pani niemal od momentu, kiedy była oseskiem. Twarda sztuka. Zaczęła tuż po drugiej wojnie światowej - właściwie od zera, dysponując jedynie silną wolą. Powoli dodawała do swojej floty stare trampy obsadzone przez Koreańczyków, którzy pracowali dla niej za miskę ryżu i parę groszy dziennie. Ponieważ nie ponosiła prawie żadnych bieżących wydatków, mogła obniżyć koszty przewozu i rozkręcić interes. Kiedy dwadzieścia pięć lat temu zaczął dla niej pracować jej wnuk, sprawy zaczęły naprawdę nabierać tempa. To śliski facet. Trzyma się w cieniu. Właściwie poza świadectwem szkolnym nie ma na jego temat żadnych danych. Min Koryo Bougainville stworzyła podwaliny morskiej przestępczości, która objęła swym zasięgiem trzydzieści państw. Kiedy jej wnuk - nazywa się Lee Tong - wszedł do interesu, doszlifował piracką stronę działalności i stworzył z tego niemal dzieło sztuki. Mam to wszystko wydrukowane. Pierwszy egzemplarz leży na twoim biurku.

Pitt odwrócił się i dopiero teraz zobaczył na blacie biurka pięciocalowej wysokości plik kart komputerowego wydruku. Usiadł i szybko przejrzał zaznaczone stronicę. Zakres działalności Bougainville’ów był niewiarygodnie szeroki. Jediną kryminalną działalnością, której zdawali się unikać, była chyba tylko prostytutcja.

Po kilku minutach podniósł wzrok.

- Wspaniała robota, Hiram - oznajmił. - Dziękuję.

Yeager skinął głową w stronę wydruków.

- Na twoim miejscu nie spuszczałbym z tego oka.

- Czy jest jakaś szansa, żeby nas nakryli?

- Oczywiście. Nasze nielegalne podłączenia zostały zarejestrowane w pamięci komputera i wydrukowane w raporcie dziennym. Jeżeli sprytny kontroler sprawdzi listę, zacznie się zastanawiać, dlaczego

amerykańska agencja oceanograficzna węszy w danych największego depozytariusza. Jego następnym krokiem będzie wprowadzenie do komputera programu śledzącego.

- Bank niemal na pewno powiadomi starą Min Koryo - powiedział z namysłem Pitt. Potem spojrział w górę. - Czy kiedy ustalą, że NUMA się do nich podłączyła, będą mogli wejść do naszej sieci i sprawdzić, co wyciągnęliśmy z ich banku danych?

- Nasza sieć jest równie dostępna jak każda inna. Ale niewiele się dowiedzą, jeżeli usunę magnetyczne dyski pamięci.

- Jak myślisz, kiedy nas dopadną?

- Byłbym zdziwiony, gdyby już nie siedzieli nam na ogonie.

- Czy możesz utrzymać się krok przed nimi?

Yeager popatrzył badawczo na Pitta.

- Jaki podstępny plan masz zamiar wprowadzić w życie?

- Wróc do swojej klawiatury i upieprz ich na całego. Wejdz do sieci i zmień dane, zakłóć wszystkie operacje Bougainville'ów, skasuj właściwe dane bankowe i wprowadź do ich programu absurdalne instrukcje. Niech dla odmiany sami poczują, że się im ktoś dobiera do tyłka.

- Ale utracimy przez to dowody...

- No to co? - odrzekł Pitt. - Zostały zdobyte w sposób nielegalny. I tak nie można by ich było wykorzystać.

- Możemy się wpakować w duże kłopoty.

- Jeszcze gorzej. Możemy zostać zabici - stwierdził Pitt z lekkim uśmiechem.

Na twarzy Yeagera pojawił się nagły lęk. Uświadomił sobie, że zabawa przestała być zabawą.

Pitt dostrzegł to i zrozumiał.

- Możesz wyjść z gry i wziąć urlop - powiedział. - Nie będę miał do ciebie pretensji.

Yeager wahał się przez chwilę. Potem jednak pokręcił głową.

- Nie, jestem z tobą. Tych ludzi trzeba usunąć.

- Przyładuj im porządnie. Zakłóć pracę we wszystkich sferach

działalności ich firmy - inwestycje, filialne przedsiębiorstwa, handel nieruchomościami - wszystko, czego się dotkną.

- Nadstawiam tyłka, ale zrobię to. Trzymaj tylko admirała z daleka ode mnie jeszcze przez kilka nocy.

- Uważaj na wszelkie informacje dotyczące statku o nazwie „Eagle”.

- Prezydencki jacht?

- Po prostu jednostka o nazwie „Eagle”.

- Coś jeszcze?

Pitt skinął głową.

- Wydam polecenie, aby wzmocniono zabezpieczenia twojego centrum opracowywania danych.

- Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, że zostanę tu i będę korzystał z twojej kozetki? Nagle z dziwną niechęcią zacząłem myśleć o tym, że miałbym spać samotnie w moim mieszkaniu.

- Mój gabinet jest do twojej dyspozycji.

Yeager wstał i przeciągnął się. Potem znowu wskazał w stronę kart z wydrukiem.

- Co masz zamiar z tym zrobić?

Pitt popatrzył na ten pierwszy wyłom dokonany w kryminalnych strukturach imperium Bougainville'ów. Skala całego przedsięwzięcia zdecydowanie przekraczała wszystko, co sobie początkowo wyobrażał.

- Nie mam zielonego pojęcia - powiedział.

Rozdział 43

Kiedy senator Larimer obudził się na tylnym siedzeniu limuzyny, niebo na wschodzie zaczynało zabarwiać się pomarańczowo. Pacnięciem dłoni zabił moskita, którego bzyczenie obudziło go ze snu. Moran poruszył się w swoim kącie, jego przymrużone oczy patrzyły nieprzytomnie. Wciąż nie zdawał sobie sprawy z tego, co się wokół niego dzieje. Nagle drzwi otworzyły się i na kolana Larimera upadło zawiniątko z ubraniami.

- Załóżcie to - polecił ostro Suworow.

- Nie powiedział pan, kim jest - powiedział z trudem Larimer.

- Mam na imię Paul.

- A nazwisko?

- Paul wystarczy.

- Jesteś z FBI? CIA?

- To nie ma znaczenia - rzekł Suworow. - Ubierajcie się.

- Kiedy przyjedziemy do Waszyngtonu?

- Za parę godzin - skłamał Suworow.

- Skąd pan wytrzasnął te ubrania? Skąd pan wie, że będą pasować?

Suworow zaczął tracić cierpliwość. Miał ochotę przyłożyć senatorowi w zęby lufą pistoletu.

- Ukradłem je ze sznura na bieliznę - wyjaśnił. - Żebracy nie powinni być wybredni. Przynajmniej są świeżo wyprane.

- Nie mogę nosić czyjejs koszuli i spodni - zaprotestował z

oburzeniem Larimer.

- Jeżeli chcesz wracać do Waszyngtonu na golasa, to nie moje zmartwienie.

Zatrzasnął drzwi, przeszedł do przodu i usiadł za kierownicą. Wyjechał z dzielnicy o nazwie Plantation Estates i włączył się do ruchu na autostradzie numer 7. Kiedy mostem nad rzeką Ashley przejechali na autostradę numer 26 i skierowali się na północ, ruch na szosie zaczął się wzmacniać.

Poczuł ulgę, że Larimer wreszcie umilkł. Moran powoli wydobywał się ze stanu półświadomości i bełkotał coś bez związku. Światła reflektorów odbiły się w zielonej tablicy z białymi literami: PORT LOTNICZY - NASTĘPNY ZJAZD W PRAWO. Skręcił z rampy i podjechał do bramy Miejskiego Portu Lotniczego w Charlestonie. Rozjaśniające się niebo oświetlało stojące w szeregu po drugiej stronie pasa startowego odrzutowce Gwardii Narodowej.

Podążając w kierunku podanym mu przez telefon, objechał budynek portu lotniczego szukając wąskiego zjazdu w bok. Znalazł go i jechał boczną drogą do momentu, aż natknął się na maszt z obwisłym nieruchomo w parnym powietrzu rękawem.

Zatrzymał samochód, wysiadł i spojrzął na zegarek. Niecałe dwie minuty później zza szpaleru drzew zaczął dobiegać równy rytm wirnika śmigłowca. Pojawiły się migające światła nawigacyjne i opływowy, niebiesko-biały kształt zawisł na chwilę nad powierzchnią ziemi. Śmigłowiec usiadł obok limuzyny i drzwiczki od strony pilota otworzyły się na zewnątrz. Mężczyzna w białym kombinezonie podszedł do samochodu.

- To pan jest Suworow? - zapytał.

- Tak, to ja.

- Dobra, przenieśmy ładunek, zanim zwrócimy cię uwagę. Wspólnie zaprowadzili Larimera i Morana do kabiny pasażerskiej śmigłowca i mocno przypięli ich pasami. Suworow zauważył na burcie śmigłowca napis: POGOTOWIE LOTNICZE MIASTA SUMTER.

- Czy polecimy tym do stolicy? - zapytał Larimer.

- Zawiozę pana, gdzie tylko pan sobie zażyczy - odparł uprzejmie pilot.

Suworow usiadł w wolnym fotelu drugiego pilota i zapiął pasy.

- Nie powiedziano mi, jaki jest nasz punkt docelowy - powiedział.

- Końcowy przystanek: Rosja - wyjaśnił pilot z uśmiechem, w którym jednak nie było nawet cienia wesołości. - Ale najpierw musimy znaleźć miejsce, z którego się wydostaliście.

- Miejsce, z którego się wydostaliśmy...?

- Mam rozkaz latać z wami po całej okolicy, dopóki nie zidentyfikuje pan miejsca, w którym pan i tych dwóch gadułów spędziliście minione osiem dni. Kiedy wykona pan zadanie, mam dostarczyć was na miejsce odjazdu.

- Dobrze - odparł Suworow. - Zrobię, co będę mógł.

Pilot nie przedstawił się i Suworow wiedział, że lepiej nie pytać go o nazwisko. Niewątpliwie był jednym z pięciu tysięcy opłacanych przez Związek Radziecki i rozmieszczonych na terytorium całych Stanów Zjednoczonych „pracowników”, czekających na polecenie podjęcia działań. Polecenie, które może nigdy nie nadejść.

Śmigłowiec wzbił się na wysokość pięćdziesięciu stóp i zakreślił w kierunku zatoki Charleston.

- W którą stronę teraz? - spytał pilot.

- Nie jestem pewien... Było ciemno i nie wiedziałem, gdzie jestem.

- Może mi pan podać jakiś charakterystyczny punkt orientacyjny?

- Około pięciu mil przed Charlestonem przejechałem przez rzekę.

- Z jakiego kierunku pan jechał?

- Z zachodu. Widziałem, że przede mną zaczyna świtać.

- To musiała być rzeka Stono.

- Tak, to była Stono.

- A więc jechał pan autostradą stanową 700.

- Znalazłem się na niej jakieś pół godziny przed dojechaniem do mostu.

Słońce pojawiło się nad horyzontem i jego promienie przebijały się przez niebieskawą mgłę wiszącą nad Charlestonem. Śmigłowiec wzbił

się na wysokość dziewięciuset stóp i leciał na południowy wschód do chwili, kiedy za oknami kabiny pojawiła się wstęga autostrady. Pilot wskazał w dół i Suworow skinął głową. Oddalając się od miasta lecieli nad przybrzeżną równiną Karoliny Południowej. Tu i ówdzie widniały pola uprawne, otoczone ze wszystkich stron lasami sosnowymi. Przelecieli nad farmerem stojącym na polu tytoniowym i machającym w ich stronę kapeluszem.

- Widzi pan coś znajomego? - spytał pilot.

Suworow pokręcił bezradnie głową.

- Droga, z której wjechałem na autostradę, może być wszędzie.

- W którą stronę skierowany był przód samochodu, kiedy dojechał pan do autostrady?

- Skręciłem w lewo, a więc musiałem jechać na południe.

- Będę lecieć spiralą. Proszę powiedzieć, kiedy zobaczy pan coś znajomego.

Minęła godzina, potem dwie. W dole widać było teraz labirynt strumieni i małych rzeczek wijących się przez bagna i moczary. Z powietrza jedna droga była podobna do drugiej. Wąskie wstążki czerwono-brunatnej ziemi lub podziurawionego asfaltu, przecinające gęsto zadrzewioną okolicę, przypominały linie na dłoni. W miarę upływu czasu Suworow stawał się coraz bardziej zdezorientowany, a pilot zaczął tracić cierpliwość.

- Będziemy musieli przerwać poszukiwania - powiedział - albo nie wystarczy mi paliwa na dotarcie do Savannah.

- Savannah znajduje się w stanie Georgia - powiedział Suworow, jakby recytował wyuczoną lekcję.

Pilot uśmiechnął się.

- Tak, zgadza się.

- Czy to miejsce, z którego pojedziemy do Związku Radzieckiego?

- Nie, tylko miejsce tankowania. - Pilot zamilkł gwałtownie.

Suworow zorientował się, że uzyskanie od niego jakichkolwiek dalszych informacji jest niemożliwe, i znowu zwrócił uwagę na widniejącą pod nimi ziemię.

Nagle z podnieceniem wskazał ręką nad tablicą kontrolną.

- Tam! - zawołał przekrzykując ryk silnika. - Małe skrzyżowanie po prawej.

- Poznaje je pan?

- Chyba tak. Proszę zejść niżej. Chciałbym odczytać napis na tym rozwalającym się budynku na rogu.

Pilot spełnił prośbę i ustawił śmigłowiec w zwisie na wysokości trzydziestu stóp nad przecinającymi się drogami.

- Czy o to panu chodziło? - zapytał. - Glover Culpepper - paliwo i artykuły spożywcze?

- Jesteśmy blisko - oznajmił Suworow. - Niech pan leci wzdłuż drogi prowadzącej w stronę rzeki na północy.

- W stronę Kanału Wewnętrznego?

- Kanału?

- To płytki kanał, który pozwala przepłynąć wodami śródlądowymi niemal od stanów leżących nad północnym Atlantykiem do Florydy i Zatoki Meksykańskiej. Wykorzystywany przede wszystkim przez małe jednostki wycieczkowe i holowniki.

Śmigłowiec przepływał nad koronami drzew, podrywając liście i szarpiąc gałęzie podmuchem wirnika. Nagle droga skończyła się na brzegu szerokiego, błotnisteo strumienia. Suworow popatrzył przez przednią szybę kabiny.

- Laboratorium musi być gdzieś tutaj.

- Niczego nie widzę - odparł pilot, pochylając maszynę i przyglądając się ziemi.

- Niech pan ląduje! - polecił nerwowo Suworow. - Tam, sto jardów od drogi, na polanie.

Pilot skinął głową i ostrożnie opuścił płozy podwozia śmigłowca na miękką, pokrytą trawą ziemię, podrywając z niej kłęb martwych, butwiejących liści. Ustawił silnik na bieg jałowy i otworzył drzwiczki. Suworow wyskoczył i potykając się pobiegł przez zarośla w stronę drogi. Po kilku minutach gorączkowych poszukiwań stanął na brzegu rzeczki i rozejrzał się bezradnie.

Pilot podszedł do niego i zapytał:

- Jakieś kłopoty?

- Nie ma go tutaj - odparł zdziwiony Suworow. - Dom z windą prowadzącą do laboratorium. Zniknął.

- Budynek nie mogą zniknąć w ciągu sześciu godzin - odparł pilot. - Musiał pan pomylić drogi.

- Nie, nie, to na pewno jest właściwa droga.

- Widzę tylko drzewa i mokradła... - Pilot zawahał się i pokazał ręką.

- I tę starą, rozpadającą się łódź mieszkalną po drugiej stronie.

- Łódź! - zawołał Suworow, jakby pod wpływem nagłego olśnienia. - To musiała być łódź.

Pilot spojrział na błotniste wody rzeczki.

- Dno jest na głębokości trzech czy czterech stóp. Nie sposób wprowadzić tu z kanału jednostkę o rozmiarach domu czy magazynu, i to jeszcze z windą.

Suworow podniósł ręce w geście pełnym zdziwienia.

- Musimy szukać dalej.

- Przykro mi - odparł stanowczo pilot. - Nie mamy już czasu i paliwa na dalsze poszukiwania. Jeżeli mamy zdążyć na nasze spotkanie, musimy startować.

Odwrócił się nie czekając na odpowiedź i zaczął iść z powrotem w stronę śmigłowca. Suworow powlókł się w ślad za nim.

Gdy śmigłowiec wzbił się nad drzewa i zakręcił w stronę Savannah, workowe płótno wiszące w oknie łodzi mieszkalnej uchyliło się, odsłaniając starego Chińczyka spoglądającego przez kosztowną lornetkę Celestron 11x80.

Upewniwszy się, że właściwie odczytał numer rejestracyjny wypisany na kadłubie śmigłowca, odłożył lornetkę, wybrał cyfry na przenośnym telefonie z szyfratorem i zaczął szybko mówić po chińsku.

Rozdział 44

- Masz wolną chwilkę, Dan? - zapytał Curtis Mayo, gdy Dan Fawcett wysiadł z samochodu na uliczce obok Białego Domu.

- Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, musisz biec obok mnie - odparł Fawcett nie patrząc w stronę Mayo. - Jestem spóźniony na spotkanie.

- Kolejna trudna sytuacja w Pokoju Sytuacyjnym?

Fawcett nabrał powietrza, zamknął drzwi samochodu i wziął dyplomatkę.

- Chciałbyś złożyć jakieś oświadczenie? - zapytał Mayo.

Fawcett ruszył w stronę bramki wartowni.

- „Wypuściłem w powietrze strzałę...”

- „...i upadła na ziemię nie wiadomo gdzie” - zakończył Mayo, dotrzymując mu kroku. - Longfellow. Chcesz zobaczyć moją strzałę?

- Nie za bardzo.

- Znajdzie się w wiadomościach o szóstej.

Fawcett zwolnił kroku.

- O co ci właściwie chodzi?

Mayo wyjął z kieszeni dużą kasetę wideo i podał ją Fawcettowi.

- Może wolałbyś zobaczyć ją przed emisją.

- Dlaczego to robisz?

- Powiedzmy, że ze względu na etykę zawodową.

- O, to coś nowego.

Mayo uśmiechnął się.

- Obejrzyj taśmę.
- Oszczędź mi kłopotu. Co na niej jest?
- Wiejska scena z udziałem prezydenta bawiącego się w farmera.

Tylko że to nie jest prezydent.

Fawcett zatrzymał się i zmierzył Mayo wzrokiem.

- Gówna prawda.

- Mogę cię zacytować?

- Nie próbuj być za sprytny - warknął Fawcett. - Nie mam ochoty na żaden manipulowany wywiad.

- Dobra, wobec tego pytam wprost - oznajmił Mayo. - Kto udaje prezydenta i wiceprezydenta w Nowym Meksyku?

- Nikt.

- Mam dowód świadczący o czymś zupełnie przeciwnym. Wystarczająco poważny, żeby go wykorzystać. Wyemituję to i wszyscy pismacy od Waszyngtonu po Seattle rzucą się na Biały Dom jak zgraja czerwonych mrówek.

- Zrób to, a nie powstrzymasz się od śmiechu, kiedy prezydent stanie obok ciebie tak blisko jak ja i zaprzeczy wszystkiemu.

- Nie zrobi tego, jeżeli zorientuję się, w jakim szwindlu pomaga, grając w ciuciubabkę.

- Cały ten pomysł jest poroniony.

- Bądź ze mną szczery, Dan. To jakaś grubsza sprawa.

- Wierz mi, Curt, nie dzieje się nic, na co założono by blokadę informacji. Prezydent wróci za parę dni i sam będziesz mógł go zapytać.

- A skąd taka częstotliwość tajnych spotkań gabinetu o różnych porach?

- Bez komentarza.

- To prawda, co?

- Kto ci podrzucił tę perełkę?

- Ktoś, kto widział wiele nie oznakowanych samochodów wjeżdżających w samym środku nocy do podziemi Departamentu Skarbu.

- Pewnie to ludzie ze Skarbu pracują do późna.

- W tamtym budynku nie świecą się żadne okna. Podejrzewam, że przekradacie się do Białego Domu przez tunel służbowy i zbieracie w Pokoju Sytuacyjnym.

- Myśl sobie co chcesz, ale kompletnie się mylisz. I to wszystko, co ci mogę powiedzieć na ten temat.

- Nie odpuszczę - odparł wyzywająco Mayo.

- Proszę cię uprzejmie - stwierdził obojętnie Fawcett: - To twoja broszka.

Mayo zwolnił kroku i patrzył w ślad za doradcą prezydenta, który przeszedł przez bramkę wartowni. Fawcett doskonale gra, pomyślał, ale to wszystko lipa. Wszelkie wątpliwości, jakie Mayo mógł do tej pory żywić na temat niepokojących działań za murami siedziby najwyższej władzy wykonawczej w państwie, zniknęły.

Bardziej niż kiedykolwiek postanowił wykryć, co się dzieje.

Fawcett włożył kasetę do magnetowidu i usiadł przed ekranem telewizora. Obejrzał taśmę trzykrotnie, przyglądając się każdemu szczegółowi aż do chwili, kiedy zorientował się, co odkrył Mayo.

Zmęczonym ruchem podniósł słuchawkę telefonu i poprosił o zaszyfrowane połączenie z Departamentem Stanu. Po kilku sekundach odezwał się głos Douga Oatesa:

- Słucham, Dan. Co się stało?

- Zaistniały nowe okoliczności.

- Jakież wiadomości o prezydencie?

- Nie, sir. Ale przed chwilą rozmawiałem z Curtisem Mayo z CNN News. Ma nas.

Zapadła pełna napięcia cisza.

- Co możemy zrobić?

- Nic - odparł pośpiesznie Fawcett. - Absolutnie nic.

Sam Emmett wyszedł z budynku FBI w śródmieściu Waszyngtonu i pojechał do siedziby CIA w Langley. Przeleciał letni deszczyk, zraszając

zalesione tereny ośrodka wywiadu i pozostawiając powietrze przesycone orzeźwiającym zapachem wilgotnej zieleni.

Kiedy Emmett wszedł przez drzwi poczekalni, Martin Brogan stał przed swoim gabinetem. Były profesor college'u wyciągnął na powitanie rękę.

- Dziękuję, że przy swoich licznych zajęciach zdołał pan znaleźć trochę czasu i przyjechać tutaj.

Emmett uśmiechnął się, ściskając mu dłoń. Brogan był jednym z niewielu ludzi z otoczenia prezydenta, których szczerze podziwiał.

- Nie ma za co. Nie lubię siedzieć za biurkiem. Korzystam z każdej wymówki, by ruszyć tyłek i pokręcić się trochę.

Weszli do gabinetu Brogana i usiedli.

- Kawę czy drinka? - spytał gospodarz.

- Dziękuję, nic. - Emmett otworzył dyplomatkę i położył na biurku dyrektora CIA zszyty i oprawiony raport. - To ustalenia Biura, które dotyczą zniknięcia prezydenta. Ostatnie są sprzed godziny.

Brogan podał mu taki sam raport.

- A to od CIA. Z przykrością stwierdzam, że mamy cholernie mało uzupełnień od naszego ostatniego spotkania.

- Bardzo dużo również dzieli nas od jakiegoś przełomu.

Brogan zamilkł na chwilę i zapalił cygaro Toscanini. Dziwnie nie pasowało do jego garnituru z kamizelką od Brooks Brothers. Obydwaj mężczyźni zagłębili się w lekturze. Po prawie dziesięciu minutach ciszy wyraz głębokiej koncentracji na twarzy Brogana ustąpił miejsca pełnemu zdziwieniu zainteresowaniu. Postukał palcem w kartkę raportu Emmetta.

- Ten rozdział dotyczący zaginionego radzieckiego psychologa...

- Miałem wrażenie, że to pana zainteresuje.

- Zniknął razem z całą grupą oenzetowską tej samej nocy, kiedy porwano „Eagle'a”?

- Tak, i do tej pory żaden z nich się nie pojawił. To może być jedynie intrygujący zbieg okoliczności, ale mam wrażenie, że nie można go zignorować.

- Pierwszą myślą, jaka mi przyszła do głowy, było, że ten... - Brogan znowu zajrzał do raportu - ...Ługowej, doktor Aleksiej Ługowej, mógł otrzymać od KGB polecenie wykorzystania swojej wiedzy do uzyskania od porwanych ludzi tajemnic państwowych.

- Jest to teoria, której nie możemy zlekceważyć.

- To nazwisko... - powiedział z namysłem Brogan. - Ono coś mi mówi.

- Już je pan słyszał?

Brogan nagle uniósł brwi i jego oczy rozszerzyły się lekko. Sięgnął do interkomu.

- Proszę mi przysłać ostatnie meldunki od Francuzów z SDECE.

- Sądzi pan, że coś w nich będzie?

- Zarejestrowana rozmowa prezydenta Antenowa i szefa KGB Władimira Polewoja. Mam wrażenie, że wspomniano w niej Ługowoja.

- Od francuskiego wywiadu? - zdziwił się Emmett.

- Antonow był tam z wizytą państwową. Nasi koledzy z Paryża dyskretnie z nami współpracują i przekazują nam wszystkie informacje, które nie narażają na szwank ich narodowych interesów.

Po niecałej minucie prywatny sekretarz Brogana zastukał do drzwi i podał przekład zarejestrowanej rozmowy. Dyrektor CIA szybko zapoznał się z treścią maszynopisu.

- To bardzo ciekawe - stwierdził. - Jeżeli zacznie pan czytać między wierszami, może pan wyobrazić sobie najrozmaitsze rzeczy. Z wypowiedzi Polewoja wynika, że z promu na Staten Island w Nowym Jorku zniknął psycholog pracujący w ONZ.

- KGB utraciło kilka owieczek ze swego stada? - spytał Emmett. - To coś nowego. Chyba zaczynają niechlujnie pracować.

Brogan podał kartki z przekładem.

- Proszę zobaczyć.

Emmett przeczytał maszynopis najpierw raz, a potem drugi. Kiedy podniósł głowę, w jego oczach pojawił się triumfalny błysk.

- A więc jednak Rosjanie maczali palce w tym porwaniu.

Brogan skinął potakująco głową.

- Wszystko na to wskazuje, ale nie dokonali tego sami, skoro nie znają obecnego miejsca pobytu Ługowoja. Pewnie jeszcze ktoś z nimi pracuje. Ktoś tu, w Stanach, kto może dyktować warunki tej operacji.

- Pan? - zapytał Emmett z drapieżnym uśmiechem.

Brogan roześmiał się.

- Nie. A może pan?

Emmett pokręcił głową.

- Jeżeli KGB, CIA i FBI nic nie wiedzą, to kto w takim razie rozdaje karty?

- Osoba, o której mówią „suka” i „chińska dziwka”.

- Ci komuniści nie wyrażają się jak dżentelmeni.

- Nazwą kodową całej operacji musi być „Huckleberry Finn”.

Emmett wyprostował nogi, krzyżując je w kostkach, i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Huckleberry Finn - powtórzył, wymawiając starannie każdą sylabę. - Nasi przyjaciele z Moskwy mają dość osobliwe poczucie humoru. Ale niechący dali nam do ręki koniec niteczki, na której można ich będzie powiesić.

Nikt nie zwrócił uwagi na dwóch mężczyzn siedzących w półciężarówce zaparkowanej w strefie przeładunkowej koło budynku NUMA. Tania plastikowa tabliczka umocowana do drzwi pasażerskich głosiła: USŁUGI HYDRAULICZNE GUSA MOORE'A. W skrzyni ciężarówki, za kabiną kierowcy, leżały nieporządknie porozrzucane kawałki miedzianych rur i najrozmaitsze narzędzia. Kombinezony obu mężczyzn poplamione były ziemią oraz smarem i żaden z nich nie goił się przynajmniej od trzech, czterech dni. Obaj ani na chwilę nie spuszczały oczu z wejścia do siedziby NUMA.

Kierowca zeszywniał nagle.

- Chyba nadchodzi.

Drugi mężczyzna podniósł lornetkę owiniętą w brązową papierową torbę z wyrwanym dnem i popatrzył na człowieka, który wyszedł z obrotowych szklanych drzwi. Potem położył lornetkę na kolanach i spojrzał na twarz utrwaloną na dużej fotografii, jednaście na

czternaście cali.

- Zgadza się.

Kierowca sprawdził szereg cyfr na niewielkim czarnym nadajniku.

- Sto czterdzieści sekund od... teraz - zaakcentował słowo „teraz”, przestawiając jednocześnie przełącznik aparatu na pozycję „włączone”.

- Dobra - stwierdził jego towarzysz. - Zmywajmy się stąd, do diabła.

Pitt dotarł do stóp szerokich kamiennych schodów w chwili, gdy półciężarówka hydrauliczowa przejeżdżała przed budynkiem. Stał przez chwilę, by przepuścić następnego samochód, a potem ruszył na ukos przez parking. Był w odległości siedemdziesięciu jardów od swojego talbota-lago, kiedy usłyszał sygnał samochodu i odwrócił się.

Al Giordino zatrzymał się przy nim swoim napędzanym na cztery koła fordem bronco. Jego kędzierzawe czarne włosy były rozczochrane, na podbródku widniał gęsty zarost. Wyglądał, jakby nie spał od tygodnia.

- Urywasz się wcześniej? - zapytał.

- Zamierzałem, dopóki mnie nie nakryłeś - odparł Pitt z uśmiechem.

- Szczęściarzu, siedzisz tu i nie masz nic do roboty.

- Skończyłeś już podnoszenie „Eagle’a”? - zapytał Pitt.

Giordino skinął ze zmęczeniem głową.

- Jakies trzy godziny temu podholowałem go w górę rzeki i wstawiłem do suchego doku. Czuć od niego śmiercią z odległości trzech mil.

- Przynajmniej nie musiałeś wydobywać zwłok.

- Nie, tę koszmarną robotę odwalili nurkowie z marynarki.

- Weź wolny tydzień. Zastużyłeś sobie na to.

Giordino uśmiechnął się szeroko.

- Dzięki, szefie. Bardzo go potrzebuję. - Nagle spoważniał. - Jest coś nowego w sprawie „Pilottown”?

- Dochodzimy do...

Pitt nie skończył zdania. Powietrze rozdarł grzmot wybuchu.

Spomiędzy ciasno zaparkowanych samochodów wystrzeliła kula ognia i na wszystkie strony rozleciały się poszarpane kawałki metalu. W powietrze wyleciało wysokim łukiem kompletne koło samochodu, połyskując w słońcu chromowanymi szprychami, i z głośnym łomotem wylądowało na samym środku maski fordą Giordina. Odbiło się, mijając o kilka cali głowę Pitta, a potem potoczyło ścieżką parku, by w końcu zatrzymać się w krzewie róż. Łoskot eksplozji przez kilka sekund odbijał się echem o mury miasta, a potem ucichł w oddali.

- Boże! - jęknął z przerażeniem Giordino. - Co to było?

Pitt zaczął biec, wymijając zaparkowane blisko siebie samochody. Po chwili zwolnił i zatrzymał się przed skrzyżowaną kupą metalu, z której wydobywała się gęsta chmura czarnego dymu. Asfalt naokoło był pokierszowany i topniał od gorąca, przekształcając się w gęstą maź. Zmasakrowany wrak prawie w niczym nie przypominał samochodu.

Giordino zatrzymał się tuż za Pittem.

- Jezu, czyj to był samochód?

- Mój - odparł Pitt, patrząc z goryczą na resztki niegdyś pięknego talbota-lago.

Część trzecia

„Leonid Andriejew”

Rozdział 45

7 sierpnia 1989 roku

Miami, Floryda

Wchodzącą na pokład „Leonida Andriejewa” Loren przywitał kapitan Jakow Pokowski. Był czarującym mężczyzną o gęstych, srebrnosiwych włosach i czarnych okrągłych oczach przypominających ziarenka kawioru. Choć zachowywał się uprzejmie i dyplomatycznie, Loren odniosła wrażenie, że kapitana wcale nie cieszy fakt, iż członkini Kongresu Stanów Zjednoczonych będzie kręciła się po statku i zadawała pytania. Kiedy wysłuchiwała już obowiązkowych uprzejmości, pierwszy oficer zaprowadził ją do luksusowej kabiny wypełnionej kwiatami w ilości wystarczającej na państwowy pogrzeb. Rosjanie, pomyślała, doskonale wiedzą, jak przygotować się do wizyty VIP-ów.

Wieczorem, kiedy ostatni pasażerowie znaleźli się już na statku i rozeszli do swoich kabin, załoga rzuciła cumy, a potem wycieczkowiec wypłynął na Atlantyckim kanałem prowadzącym z zatoki Biscayne. Światła hoteli w Miami Beach lśniły w tropikalnej nocy, a w miarę jak napędzany dwoma śrubami „Leonid Andriejew” odpływał coraz dalej od brzegu, powoli przekształcały się w cienką, jasną kreskę.

Loren rozebrała się i wzięła prysznic, a potem wytarła ręcznikiem i stanęła w wymyślnej pozie modelki przed wielkim, sięgającym aż do podłogi lustrem. Jak na trzydzieści siedem lat, jej ciało robiło zupełnie

dobrze wrażenie. Jogging i ćwiczenia baletowe cztery razy w tygodniu pozwalały zapanować nad siłami odśrodkowymi. Schwyciła dwoma palcami skórę na brzuchu i ze smutkiem przekonała się, że między kciukiem i palcem wskazującym znalazł się pokaźny fałd ciała. Obfite posiłki na wycieczkowcu na pewno nie pomogą w walce z nadwagą. Postanowiła, że zrezygnuje z alkoholi i deserów.

Założyła marynarkę z fioletoworóżowego adamaszkowego jedwabiu oraz spódnicę z tafty i czarnej koronki. Rozwiązała kok i rozpuściła włosy na ramiona. Zadowolona z uzyskanego efektu postanowiła, że przed obiadem przy stole kapitańskim przespaceruje się trochę po pokładzie.

Było tak ciepło, że zrezygnowała ze swetra. Na rufowej części pokładu spacerowego znalazła wolny fotel plażowy. Usiadła podciągając kolana pod brodę i objęła rękami łydki. Przez pół godziny patrzyła na tańczące po ciemnych falach srebrne refleksy księżycowego światła i błędziła myślami bez celu. Nagle wszystkie zewnętrzne światła od dziobu do rufy zgasły.

Loren nie zauważyła śmigłowca, dopóki nie zawisł nad pokładem rufowym statku. Nadleciał bez włączonych świateł nawigacyjnych, niemal nad samymi wierzchołkami fal. Z mroku wyskoczyło kilku członków załogi, którzy szybko rozłożyli dach nad basenem kąpielowym. Oficer dał znak latarką i śmigłowiec opadł lekko na to zaimprovizowane lądowisko.

Loren wstała i przechyliła się lekko przez reling. Znajdowała się jedną kondygnację wyżej, w odległości czterdziestu stóp od przykrytego basenu. Jego powierzchnia była słabo oświetlona księżycem w drugiej kwadrze i mogła dostrzec prawie wszystko, co się tam działo. Rozejrzała się wokoło, szukając wzrokiem innych pasażerów, ale dostrzegła jedynie pięć czy sześć osób, oddalonych od niej o jakieś pięćdziesiąt stóp. Z maszyny wysiadło trzech ludzi. Loren odniosła wrażenie, że z dwoma z nich obchodzono się dość brutalnie. Oficer wetknął sobie latarkę pod pachę i oburącz popchnął gwałtownie jednego z mężczyzn w kierunku otwartych drzwi zejściówki. Promień

światła na chwilę wydobył z mroku bladą jak papier twarz i wytrzeszczone ze strachu oczy. Loren wyraźnie dostrzegła rysy popchniętego mężczyzny. Z całej siły schwyciła poręcz relingu, czując, jak serce zamiera jej w piersi.

Śmigłowiec poderwał się gwałtownie w mrok i zakręcił ostro w kierunku brzegu. Szybko usunięto przykrycie basenu i załoga rozplynęła się w ciemności. Po paru sekundach na pokładzie znowu zapłonęły światła. Wszystko rozegrało się tak szybko, że Loren przez chwilę nie była pewna, czy rzeczywiście widziała to lądowanie i start.

Ale nie miała wątpliwości, kim był ten przerażony mężczyzna. Przewodniczącym Izby Reprezentantów, kongresmanem Alanem Moranem.

Na mostku Pokowski spojrzał na ekran radaru. Z kącika ust zwisał mu papieros. Wyprostował się i obciągnął białą mundurową kurtkę.

- Przynajmniej poczekali, aż znajdziemy się poza dwunastomilową strefą - burknął.

- Nic nie wskazuje na to, że ich śledzono? - zapytał oficer wachtowy.

- Żadnych kontaktów lotniczych ani żadnego zbliżającego się statku

- odparł Pokowski. - Umiejętnie przeprowadzona operacja.

- Podobnie jak inne - stwierdził oficer z chytrym uśmieszkiem.

Pokowski nie odpowiedział mu uśmiechem.

- Nie bawi mnie odbieranie niespodziewanych przesyłek w jasnym świetle księżycy.

- Musiała być niezwykle ważna.

- Przecież każda z nich jest taka - zauważył zjadliwie Pokowski.

Oficer wachtowy uznał, że lepiej będzie siedzieć cicho. Wystarczająco długo służył z Pokowskim, żeby wiedzieć, kiedy kapitan jest w złym humorze.

Pokowski ponownie spojrzał na radar i przeniósł wzrok na ciemne morze przed dziobem.

- Dopilnujcie, żeby naszych gości przeprowadzono do mojej kabiny - rozkazał, po czym odwrócił się i zszedł z mostku.

Pięć minut później do kabiny zastukał drugi oficer. Otworzył drzwi

i wpuścił mężczyznę w wygniecionym garniturze.

- Jestem kapitan Pokowski - przedstawił się dowódca „Leonida Andriejewa” wstając ze skórzanego fotela.

- Paweł Suworow.

- KGB czy GRU?

- KGB.

Pokowski wskazał gościowi sofę.

- Czy zechcecie mnie poinformować, czemu mam zawdzięczać waszą niespodziewaną wizytę?

Suworow usiadł i popatrzył na Pokowskiego. To, co zobaczył, wcale nie podniosło go na duchu. Kapitan był twardym marynarzem, na którym pełnomocnictwa funkcjonariusza służby bezpieczeństwa nie robiły szczególnego wrażenia. Suworow uznał, że lepiej będzie zachowywać się uprzejmie.

- Ależ oczywiście. Polecono mi wywieźć z kraju dwóch ludzi.

- Gdzie są obecnie?

- Pozwoliłem sobie polecić waszemu pierwszemu oficerowi, żeby zamknął ich w areszcie okrętowym.

- To uciekinierzy z ZSRR?

- Nie, Amerykanie.

Pokowski uniósł brwi.

- Chcecie powiedzieć, że porwaliście amerykańskich obywateli?

- Tak - odparł z kamiennym spokojem Suworow. - To dwie najważniejsze osobistości w rządzie USA.

- Nie jestem pewien, czy dobrze usłyszałem.

- Ich nazwiska nie mają znaczenia. Jeden jest kongresmanem, drugi senatorem.

Oczy Pokowskiego zapłonęły wojowniczo.

- Czy zdajecie sobie sprawę, na jakie ryzyko narażacie mój statek?

- Jesteśmy na międzynarodowych wodach - odparł uspokajająco Suworow. - Co nam mogą zrobić?

- Wojny zaczynano z mniejszego powodu - rzucił ostro Pokowski. - Jeżeli Amerykanie wpadną na nasz trop, to nie będą zwracali uwagi, czy

jesteśmy na międzynarodowych wodach. Natychmiast wyślą Marynarkę Wojenną i Ochronę Wybrzeża, zatrzymają nas i wejdą na pokład.

Suworow wstał i spojrzał Pokowskiemu prosto w oczy.

- Waszemu bezcennemu statkowi nic nie zagraża, kapitanie.

- Co chcecie przez to powiedzieć?

- Ocean to wielki śmietnik - stwierdził beznamiętnie Suworow. -
Jeżeli znajdzie taka konieczność, nasi przyjaciele z aresztu po prostu znikną w głębinie.

Rozdział 46

Zgodnie z przewidywaniami, rozmowy przy stole kapitańskim były nieciekawe. Współtowarzysze Loren zanudzali ją długimi opisami poprzednich podróży. Pokowski słyszał takie opowieści tysiące razy. Uśmiechał się uprzejmie i słuchał z udawanym zainteresowaniem. Kiedy go pytano o przebieg jego kariery, opowiadał, jak wstąpił do radzieckiej marynarki w wieku siedemnastu lat, a potem awansował do oficerskiego stopnia. Dowodził okrętem do przewozu wojska i po dwudziestu latach służby powierzono mu stanowisko kapitana w państwowej pasażerskiej linii żeglugowej.

Objął, że „Leonid Andriejew” był zwodowany w Finlandii, ma 14 000 ton wyporności, może wziąć na pokład 478 pasażerów i po dwóch członków załogi na każdego z nich. Posiada kryte i odkryte baseny kąpielowe, pięć koktajlbarów, dwa nocne kluby, dziesięć sklepów handlujących rosyjskimi towarami i alkoholem, kino, teatr i dobrze zaopatrzoną bibliotekę. Podczas letnich miesięcy pływa z Miami na dziesięciodniowe rejsy do kilku wysp w Indiach Zachodnich.

W czasie chwilowej przerwy w konwersacji Loren mimochodem wspomniała o lądowaniu śmigłowca. Kapitan Pokowski zapalił papierosa drewnianą zapałką i pomachał nią w powietrzu, aby zdmuchnąć płomień.

- Ach, ci Amerykanie i ich bogactwo - odparł bez troski. - Dwaj zamożni Teksaszczyki spóźnili się do Miami i wynajęli śmigłowiec, żeby

dostarczył ich na „Andriejewa”. Bardzo niewielu moich ziomków byłoby stać na taki luksus.

- Moich również - zapewniła go Loren, przekonana, że kapitan jest nie tylko czarującym rozmówcą, ale i perfidnym kłamcą. Zmieniła temat i zajęła się sałatką.

Przed deserem pożegnała się i poszła do swojej kabiny. Zrzuciła buty, zdjęła i powiesiła spódnicę oraz marynarkę, a potem położyła się na olbrzymim łóżku. Przypomniała sobie przerażoną twarz Alana Morana i zaczęła siebie przekonywać, że był to jedynie ktoś podobny do kongresmana.

Potem przypomniała sobie pytania, które Pitt zadawał jej w restauracji. Interesował się, czy nie słyszała plotek o jakimś zaginionym przedstawicielu najwyższych władz. Teraz instynkt podpowiadał jej, że jednak się nie pomyliła.

Położyła na łóżku informator statku oraz plan pokładów i rozprostowała zagięcia. Poszukiwania Morana w tym pływającym mieście składającym się z rozlokowanych na jedenastu pokładach o długości niemal pięciuset stóp 230 kabin, a także pomieszczeń dla ponad trzystuosobowej załogi, ładowni i maszynowni, były z góry skazane na przegraną. Musiała również liczyć się z tym, że reprezentuje na radzieckim terytorium rząd Stanów Zjednoczonych. Może powinna poprosić kapitana, aby pozwolił jej przeszukać wszystkie zakamarki statku? Nie, to na nic, prędzej namówiłaby go, żeby pił burbona z Kentucky zamiast wódki.

Uznała, że logicznym krokiem byłoby ustalenie miejsca pobytu kongresmana. Jeżeli Morgan siedzi przed telewizorem w Waszyngtonie, może zapomnieć o tym szalonym pomysle i iść spać. Włożyła suknię i poszła do centrali łączności. Na szczęście nie było tłoku i nie musiała czekać w kolejce.

Ładna Rosjanka w dopasowanym mundurku zapytała ją, gdzie chciałaby zadzwonić.

- Do Waszyngtonu - odpowiedziała. - Rozmowa z przywołaniem pani Sally Lindemann. Zapiszę numer.

- Jeżeli zechce pani poczekać przy stanowisku numer pięć, załatwię połączenie satelitarne - odparła niemal bezbłędną angielszczyzną dziewczyna z działu łączności.

Loren siedziała cierpliwie, modląc się, by jej sekretarka była w domu. Była. Odezwał się zaspany głos i potwierdził, że istotnie telefon odebrała Sally Lindemann.

- To pani, szefowo? - spytała, gdy rozmowę przełączono do Loren. - Założę się, że tańczy pani szaleńczo pod gwiazdami Karaibów z jakimś przystojnym facetem. Mam rację?

- Nic z tych rzeczy.

- Mogłam się domyślić, że to służbowa rozmowa.

- Słuchaj, Sally... Chciałabym, żebyś się z kimś skontaktowała.

- Chwilkę. - Zapadła cisza. Kiedy Sally odezwała się znowu, jej głos był pełen energii. - Mam już ołówek i notes. Z kim mam się porozumieć i co powiedzieć?

- Z kongresmanem, który storpedował mój projekt gospodarki wodnej dla Rocky Mountains.

- Chodzi pani o tego pomarszczonego, starego Mo...

- Właśnie - przerwała jej Loren. - Chcę, żebyś z nim porozmawiała. Najlepiej zrób to osobiście i bezpośrednio. Zacznij od jego domu. Jeżeli go tam nie ma, zapytaj żonę, gdzie można go zastać. Jeżeli zacznie stawać okoniem, powiedz, że to pilna sprawa związana z Kongresem. Mów zresztą co chcesz, ale dotrzyj do niego.

- A kiedy już go złapię, to co?

- Nic - odparła Loren. - Powiedz, że to pomyłka.

Przez parę sekund panowała cisza. Potem Sally spytała ostrożnie:

- Czy pani piła, szefowo?

Loren roześmiała się, wyobrażając sobie, jakie myśli muszą przebiegać przez głowę Sally.

- Jestem zupełnie trzeźwa.

- Czy to może poczekać do rana?

- Muszę znać jego miejsce pobytu jak najszybciej.

- Jest już po północy... - zaprotestowała Sally.

- Co z tego? - powiedziała ostro Loren. - Zadzwoń do mnie natychmiast, gdy tylko się z nim zobaczysz lub usłyszysz jego głos.

Odłożyła słuchawkę i poszła w kierunku kabiny. Księżyc wisiał prosto nad jej głową i przez chwilę zatrzymała się na pokładzie. Bardzo pragnęła, aby Pitt stał teraz tu obok.

Kończyła właśnie swój poranny makijaż, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam?

- Steward.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Steward kabinowy uniósł dłoń na powitanie. Mimowolnie zerknął w dekolt luźno zawiązanego szlafroka.

- Pilna rozmowa z ładu do członkini Kongresu Smith - oznajmił z wyraźną słowiańską wymową. - Proszę udać się do punktu łączności.

Podziękowała mu i szybko się ubrała. Do kabinki skierowała ją inna dziewczyna. Sally słyhać było tak wyraźnie, jakby siedziała tuż obok.

- Dzień dobry, szefowo - powiedziała ze zmęczeniem w głosie.

- Udało ci się?

- Żona Morana powiedziała, że pojechał na ryby z senatorem Marcusem Larimerem - palnęła Sally, zanim Loren zdołała ją powstrzymać. - Twierdziła, że pojechali do miejscowości Goose Lake, prywatnego ośrodka położonego parę mil od rezerwatu Quantico. Wskoczyłam więc do samochodu i pojechałam. Udało mi się zbując strażnika przy bramie i sprawdziłam każdy domek, łódź mieszkalną oraz przystań. Nie znalazłam ani kongresmana, ani senatora. Wróciłam więc do stolicy i obudziłam trzech współpracowników Morana. Podtrzymali historię z rybami. Żeby sprawdzić to dodatkowo, spróbowałam porozmawiać z paroma osobami z biura Larimera. Ten sam kit. Okazało się, że od ponad tygodnia nikt nie widział żadnego z nich. Przepraszam, że nie załatwiłam sprawy, ale wygląda mi to na jakiś kamuflaż.

Loren poczuła zimny dreszcz. Drugim mężczyzną, którego wyprowadzano ze śmigłowca, mógł być Marcus Larimer.

- Czy mam kontynuować polowanie? - spytała Sally.

- Tak, proszę - odparła Loren.

- Zrobię, co będą mogła - obiecała Sally. - Och, prawie zapomniałam. Słyszała pani ostatnie wiadomości?

- Nie. A co się stało? - spytała zaniepokojona Loren.

- To dotyczy pani przyjaciela, Dirka Pitta. Nieznani osobnicy wysadzili jego samochód. Na szczęście nie było go wtedy w środku, choć niewiele brakowało. Szedł już do auta, ale zatrzymał się, żeby porozmawiać ze znajomym. Według policji, gdyby pospieszył się o parę minut, zdrapywaliby go łyżeczką.

Loren zamarła. Wydarzenia zaczęły przybierać zbyt szybki obrót i nie mogła się w nich zorientować. Szalone wyobrażenia przemykały przed jej oczyma barwnymi plamami przypominającymi kołdrę robioną na wsi ze ścinków. Ale wszystko zdawało się rozłazić w szwach. Uchwyciła się jedynej dostępnej i pozornie mocnej nici.

- Sal, posłuchaj mnie uważnie. Zadzwoń do Dirka i powiedz mu, że potrzebuję... - Nagle w słuchawce rozległo się ostre buczenie. - Słyszysz mnie, Sal?

Jedyną odpowiedzią był szum zakłóceń. Odwróciła się, by u dziewczyny z sali łączności reklamować przerwanie rozmowy, ale jej nie zobaczyła. Zamiast telefonistki obok kabiny stali dwaj stewardzi, przypominający raczej przebranych w mundury stewardów zapaśników wagi ciężkiej, oraz pierwszy oficer. Otworzył drzwi do jej kabinki i lekko pochylił głowę w ukłonie.

- Zechce pani pójść ze mną, pani Smith. Kapitan chciałby z panią pomówić.

Rozdział 47

Pilot posadził śmigłowiec na małym lotnisku na Isle of Palmas niedaleko Charlestonu. Wsiadł, przesunął jedną z łopat wirnika do tyłu i umocował ją do belki ogonowej.

Po wielu godzinach spędzonych w powietrzu bolały go ramiona i plecy, wykonywał więc ćwiczenia rozluźniające, idąc do mieszczącego się koło lądowiska niewielkiego budynku, w którym znajdowało się jego biuro. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

W małej poczekalni siedział jakiś mężczyzna i spokojnie czytał gazetę. Wyglądał na Chińczyka albo Japończyka. Nagle gazeta opadła, odsłaniając strzelbę śrutową z pistoletową kolbą i dwoma lufami obciętymi w odległości zaledwie czterech cali przed komorą naboju.

- Czego pan chce? - zapytał oszołomiony pilot.

- Informacji.

- Źle pan trafił - odparł pilot, mimowolnie unosząc ręce do góry. - Jesteśmy śmigłowcową firmą przewozową, a nie biblioteką.

- Bardzo dowcipne - stwierdził Azjata. - Przewozi pan również pasażerów?

- Kto panu o tym powiedział?

- Paweł Suworow. Jeden z pańskich rosyjskich przyjaciół.

- Nigdy nie słyszałem o takim facecie.

- Dziwne. Prawie przez cały wczorajszy dzień siedział koło pana w fotelu drugiego pilota.

- Czego pan chce? - powtórzył pilot, czując zimny pot spływający mu po plecach.

Azjata uśmiechnął się krzywo.

- Ma pan dziesięć sekund na podanie mi dokładnego celu przelotu Suworowa i dwóch pozostałych mężczyzn. Jeżeli pod koniec tego czasu będzie się pan dalej opierał, rozwałę panu jedno kolano. Dziesięć sekund później pożegna się pan ze swym życiem seksualnym. - Zaakcentował swoją groźbę przesuwając bezpiecznik strzelby. - Zaczynam odliczać...

Trzy minuty później Azjata wyszedł z budynku i zamknął za sobą drzwi. Podszedł do zaparkowanego nie opodal auta, usiadł za kierownicą i pojechał w stronę piaszczystej drogi prowadzącej do Charlestonu.

Ledwo samochód zniknął z pola widzenia, z dachu biura pilota wystrzelił pomarańczowy język płomienia i wzbił się w pokryte białymi chmurami niebo.

Pitt większość dnia spędził unikając prasy, reporterów i funkcjonariuszy policji. Ukrył się w cichym pubie „Diabli Widelec” na Rhode Island Avenue. Siedział w wygodnym, skórzanym fotelu w zacisznym kącie i patrzył zamyślonym wzrokiem na nie dojeżdżoną kanapkę „Monte Christo” i trzeciego manhattana - koktajl, który rzadko zamawiał.

Przy jego stoliku zatrzymała się energiczna kelnerka z blond włosami, ubrana w minispódniczkę i siatkowe pończochy.

- Jest pan najsmętniej wyglądającą osobą w całym lokalu - oznajmiła z macierzyńskim uśmiechem. - Stracił pan dziewczynę czy żonę?

- Jeszcze gorzej - odparł ze smutkiem Pitt. - Mój samochód.

Spojrzała na niego wzrokiem wyraźnie zarezerwowanym dla Marsjan i szajbusów, wzruszyła ramionami i odeszła obsługiwać inne stoliki.

Pitt siedział beczynnie, mieszając manhattana wiśnią na wykałaczce, i patrzył pośepnie w pustkę. W jakimś momencie stracił kontrolę nad wydarzeniami i teraz one zaczęły panować nad nim. Fakt,

że wiedział, kto próbuje go zabić, był raczej niewielkim źródłem satysfakcji. Tylko Bougainville'owie mieli motyw. Zbyt się do nich zbliżył. Nie trzeba było być geniuszem, żeby rozwikłać tę zagadkę.

Był na siebie wściekły, że bawił się w komputerowe podchody z ich finansami. Czuł się jak poszukiwacz skarbów, który w samym centrum Antarktydy znalazł sejf pełen pieniędzy, a teraz nie ma najmniejszej możliwości ich wydania. Jego przewaga polegała jedynie na tym, że wiedział więcej, niż Bougainville'owie przypuszczali.

Dręczyło go jednak, że nie potrafił powiązać Bougainville'ów ze sprawą „Eagle'a”. Nie dostrzegał żadnego motywu zatopienia jachtu i wszystkich morderstw. Jedyną, i to bardzo wątplą poszlaką były ciała Koreańczyków.

Ale obecnie sprawa należała do FBI i cieszył się, że już się jej pozbył. Teraz przede wszystkim musiał zgromadzić własne wojsko. Wstał i podszedł do baru.

- Czy mogę skorzystać z telefonu, Cabot?

Barman Sean Cabot, Irlandczyk z twarzą gнома, popatrzył na niego żałośnie.

- Rozmowa miejscowa czy międzymiastowa? - zapytał.

- Międzymiastowa, ale nie płacz nad kosztami: Skorzystam z karty kredytowej.

Cabot obojętnie skinął głową i postawił telefon na końcu baru, z dala od innych klientów.

- Przykro mi z powodu twojego samochodu, Dirk. Widziałem go kiedyś. Był piękny.

- Dzięki. Weź sobie drinka i zapisz go na mój rachunek.

Cabot nalał piwa imbirowego i uniósł w górę szklanke.

- Za zdrowie Dobrego Samarytanina.

Gdy Pitt wybierał numer, wcale nie czuł się jak Dobry Samarytanin. Podał telefonistce numer karty kredytowej i czekał, aż w słuchawce rozlegnie się głos.

- Biuro Detektywistyczne Casio i Spółka.

- Mówi Dirk Pitt. Czy jest Sal?

- Chwileczkę.

To już było coś. Został przez recepcjonistkę uznany za członka klubu.

- Dirk? - usłyszał głos Casia. - Od świtu dzwonię do twojego biura. Chyba coś mam.

- Tak?

- Poszukiwania w związku zawodowym przyniosły rezultaty. Sześciu koreańskich marynarzy, którzy zaciągnęli się na „San Marino”, posiadało książeczki żeglarskie. Przede wszystkim zagranicznych linii żeglugowych. Ale całą szóstkę łączyło jedno: swego czasu każdy z nich pływał w Liniach Żeglugowych Bougainville. Jak ci się to podoba?

- Zgadza się - odparł Pitt. Potem opowiedział detektywowi, jakie informacje zdobył w czasie komputerowych poszukiwań.

- Cholera! - zawołał z niedowierzaniem Casio. - Wszystko pasuje.

- Czy po porwaniu „San Marino” ci Koreańczycy pojawili się znowu w dokumentacji związku zawodowego?

- Nie. Przepadli bez śladu.

- Najprawdopodobniej zostali zamordowani.

W słuchawce zapadała cisza i Pitt nie miał wątpliwości, jakie myśli przepływają przez głowę detektywa.

- Mam wobec ciebie dług - powiedział wreszcie Casio. - Pomogłeś mi znaleźć zabójcę Arty. Ale to moja rozgrywka. Poprowadzę ją po swojemu.

- Nie wstawiaj mi gadki pod tytułem „zemsta należy do mnie” przerwał mu gwałtownie Pitt. - A poza tym wciąż nie wiesz, kto jest za to bezpośrednio odpowiedzialny.

- Min Koryo Bougainville - Casio wymówił jej nazwisko nieomal z warknięciem. - Któż by inny?

- Starsza pani mogła wydać rozkaz - przytaknął Pitt - ale na pewno sama nie brudziła sobie rąk. Nie jest żadną tajemnicą, że od dziesięciu lat nie rusza się z wózka inwalidzkiego. Od prezydentury Nixona nikt nie robił z nią wywiadu ani nie publikowano jej fotografii. Z tego co wiemy, jest leciwą, przykutą do łóżka rośliną. Do diabła, może już

nawet nie żyć. W żaden sposób nie mogła samodzielnie rozrzucić zwłok po morzach i oceanach.

- Myślisz o plutonie egzekucyjnym Linii Żeglugowych Bougainville?

- Czy mógłbyś znaleźć bardziej skuteczny sposób eliminowania konkurencji?

- Teraz chcesz mi wmówić, że jest członkinią mafii - mruknął Casio.

- Mafia zabija tylko informatorów i swoich. Min Koryo dzięki kradzieży jednostek innych linii żeglugowych i całkowitemu usuwaniu załóg stworzyła swoje imperium prawie za darmo. Ale żeby tego dokonać, musiała mieć kogoś, kto by te przestępstwa zorganizował i wykonał. Niech nienawiść nie zaćmi ci poczucia realizmu, Sal. Nie posiadasz środków, aby samemu walczyć z Bougainville'ami.

- A ty je posiadasz?

- Armia zaczyna się od dwóch osób.

Znowu zapadła cisza i Pitt myślał przez chwilę, że połączenie zostało przerwane.

- Jesteś tam, Sal?

- Jestem - odezwał się wreszcie Casio zamyślonym tonem. - Co chcesz, żebym zrobił?

- Leć do Nowego Jorku i złóż wizytę w Limach Żeglugowych Bougainville.

- Chodzi ci o to, abym przeszukał im biuro?

- Myślałem, że to się nazywa „włamanie”.

- Gliniarze i sędziowie używają innego języka.

- Wykorzystaj swoje talenty, aby zorientować się, czy jest tam coś ciekawego. Coś, czego nie wykaże komputer.

- Jak już tam będę, założę im również podsłuch.

- To ty jesteś fachowcem - odparł Pitt. - A nasza przewaga polega na tym, że będziesz nacierał z nieoczekiwanego kierunku. Mnie już wzięli na celownik.

- Na celownik? - spytał Casio. - W jaki sposób?

- Próbowali mnie zabić.

- Chryste - mruknął Casio. - Jak?

- Bomba w samochodzie.

- Sukinsyny! - warknął detektyw. - Wylatuję do Nowego Jorku dzisiaj po południu.

Pitt odsunął telefon i wrócił na swoje miejsce. Rozmowa z Casiem poprawiła mu samopoczucie i wreszcie skończył jeść kanapkę. Kiedy Giordino podszedł do jego stolika, Pitt wpatrywał się już w czwartego manhattana.

- Czy to prywatne przyjęcie? - spytał Al.

- Nie - odparł Pitt. - Manifestacja mojej niechęci do świata i uzalanie się nad sobą samym.

- Mimo wszystko chyba się przyłączę - powiedział Giordino, wsuwając się na sąsiednie miejsce. - Admirał pytał o ciebie.

- Powiedz mu, że zapłacę za szkody na parkingu.

- Bądź poważny. Starszy pan jest rozwścieczony jak nadepnięty grzechotnik. Przez cały ranek robił piekło w Departamencie Sprawiedliwości. Żądał, aby przeprowadzili śledztwo na pełną skalę i ustalili sprawców. Według niego ten atak na ciebie był atakiem na NUMA.

- Czy FBI kręci się koło mojego mieszkania i biura?

Giordino skinął głową.

- Przynajmniej sześciu.

- A reporterzy?

- Straciłem już rachubę. A czego się spodziewałeś? Wybuch, który sproszkował twój samochód, wyrzucił twoje nazwisko na nagłówki gazet. Pierwsza eksplozja bomby w mieście od czterech lat! Czy ci się to podoba, czy nie, stary przyjacielu, trafiłeś w oko cyklonu.

Pitt czuł lekkie podniecenie na samą myśl o tym, że napędził Bougainville'om takiego stracha. W jakiś sposób dowiedzieli się, że dobiera się im do skóry i spróbowali go usunąć. Skąd jednak taka przesadna reakcja?

Niewątpliwie zwróciło ich uwagę lipne oświadczenie o odnalezieniu „San Marino” i „Pilottown”, ale nie powinno spowodować aż takiej paniki. Min Koryo nie wyglądała na osobę wpadającą łatwo w popłoch.

W jaki sposób Bougainville'owie uświadomili sobie, że Pitt depcze im po piętach?

Nie mogli go tak szybko skojarzyć z włamaniem komputerowym... Nagle doznał olśnienia. Przecież tę wskazówkę stale miał przed oczyma, ale ciągle odsuwał ją na bok. Ignorował ten trop, nie pasował bowiem do dotychczasowego wzoru. Ale teraz konkluzja nasuwała się sama.

Bougainville'owie połączyli go z „Eagle'em”. Pitt był tak głęboko pogrążony w myślach, że nie dosłyszał Giordina informującego go o telefonie.

- Myślamy musiałeś być tysiąc mil stąd - oznajmił Al wskazując barmana, który stał ze słuchawką w dłoni.

Pitt podszedł do baru i odezwał się:

- Halo.

Dobiegł go podniecony głos Sally Lindemann:

- Och, dzięki Bogu, wreszcie jesteś. Tropię cię cały dzień.

- Co się stało? - zapytał. - Czy u Loren wszystko w porządku?

- Chyba tak, choć może nie - odparła Sally. - Po prostu nie wiem.

- Nie spiesz się i mów po kolei - poprosił łagodnie Pitt.

- Loren zadzwoniła do mnie w środku nocy z „Leonida Andriejewa” i poleciła mi odnaleźć przewodniczącego Izby Reprezentantów, Alana Morana. Nie powiedziała, dlaczego. Zapytałam ją, co mam mu powiedzieć, kiedy się z nim skontaktuję, i kazała mi wyjaśnić, że to pomyłka. Czy ma to dla ciebie jakiś sens?

- Znalazłaś Morana?

- Niezupełnie. Podobno razem z senatorem Marcusem Larimerem łowią ryby w miejscowości zwanej Goose Lake. Pojechałam tam, ale nikt nic o nich nie wiedział.

- Co jeszcze powiedziała Loren?

- Ostatnie słowa, jakie do mnie dotarły, były: „Zadzwoń do Dirka i powiedz mu, że potrzebuję...” A potem rozmowa została przerwana. Kilkakrotnie próbowałam się z nią połączyć, ale bez skutku.

- Czy powiedziałaś telefonistce, że sprawa jest niezwykle pilna?

- Oczywiście. Twierdzą, że wiadomość przekazano jej do kabiny, ale nie odpowiedziała. To zupełnie niepodobne do Loren. Jakaś cholernie zwariowana sprawa, prawda?

Pitt milczał, starając się uporządkować myśli.

- Tak - odezwał się wreszcie. - Wystarczająco zwariowana, żeby miała sens. Czy masz plan rejsu „Leonida Andriejewa”?

- Chwileczkę. - Sally na niecałą minutę odeszła od telefonu. - Dobra, co chcesz wiedzieć?

- Kiedy przy pływa do następnego portu?

- Zaraz zobaczę. Wpłynie do San Salvador na Bahamach jutro o dziesiątej rano i wypłynie o ósmej wieczorem tego samego dnia do Kingston na Jamajce.

- Dziękuję, Sally.

- O co tu chodzi? - spytała Sally. - Może byś mi powiedział?

- Próbuj połączyć się z Loren. Kontaktuj się ze statkiem co dwie godziny.

- Zadzwoń do mnie, jeżeli czegoś się dowiesz - powiedziała podejrzliwym tonem Sally.

- Zadzwonię - obiecał Pitt.

Wrócił do stolika i usiadł.

- Kto to był? - spytał Giordino.

- Moje biuro podróży - odparł Pitt niefrasobliwym tonem. - Zamówiłem dla nas bilety na rejs po Karaibach.

Rozdział 48

Curtis Mayo siedział przy biurku w dekoracji przedstawiającej pokój redakcyjny i spoglądał na monitor umieszczony nieco na prawo, pod kamerą numer dwa. Miał swoje dziesięć minut w wieczornych wiadomościach i czekał na wejście po reklamówce środka dezynfekującego sanitariaty. Trzydziestosekundowy filmik przedstawiał nowojorską modelkę, która najprawdopodobniej nigdy w życiu nie czyściła sedesu, jak z czarującym uśmiechem przytula reklamowany produkt do policzka.

W polu widzenia Mayo pojawił się inspicjent, odliczył ostatnie trzy sekundy i machnął ręką. Na kamerze zapaliło się czerwone światełko. Mayo spojrzał w jej obiektyw i zaczął drugą część wiadomości:

„Na prezydenckiej farmie w Nowym Meksyku krążyły pogłoski, że głowa państwa i wiceprezydent korzystają z usług sobowtórów”.

Podczas gdy Mayo wygłaszał tekst, technik w reżyserce puścił taśmę z prezydentem prowadzącym traktor.

„Kiedy przyjrzymy się bliżej tym scenom, przedstawiającym prezydenta koszącego lucernę na swojej farmie, możemy zauważyć, że nie jest to jednak on. Niektóre znane nawyki wydają się przerysowane, na palcach widać inne pierścienie, na przegubie ma inny niż zazwyczaj zegarek. Pojawił się również nie odnotowany dotychczas odruch drapania się w brodę...

Reporterzy w Hollywood, którzy chcieli poprosić o komentarz

Johna Suttona, aktora niezwykle podobnego do prezydenta i często go naśladowującego w telewizyjnych spektaklach i reklamówkach, nie byli w stanie go odnaleźć. Nasuwa się pytanie, dlaczego nasi przywódcy posługują się sobowtórami? Czy jest to postępowanie podyktowane względami bezpieczeństwa, czy też kamuflaż osłaniający jakieś mroczne tajemnice? Czyżby nawał pracy był aż tak wielki, że wymaga jednoczesnej obecności w dwóch miejscach? Możemy się jedynie domyślać”.

Mayo przerwał, pozostawiając całą sprawę nie wyjaśnioną. Inżynier w reżyserce ponownie przełączył obraz na kamerę w studio i reporter przeszedł do następnego tematu:

„Rzecznik policji oświadczył dziś w Miami, że nastąpił przełom w sprawie serii morderstw związanych z handlem narkotykami...”

Kiedy po programie poinformowano Mayo, że do biur sieci telewizyjnej dzwoniły setki osób pytając o dodatkowe informacje na temat dublera prezydenta, reporter uśmiechnął się posepnie. Taka sama, jeżeli nie większa lawina telefonów musiała runąć na centralę telefoniczną Białego Domu. Ze złośliwą radością zastanawiał się, jak rzecznik prasowy prezydenta da sobie z tym radę.

W Nowym Meksyku Sonny Thompson siedział wpatrzony tępo w ekran telewizora jeszcze długo po zakończeniu programu Mayo. Czuł się tak, jakby zamiast ciała miał galaretę. Oczywiście wyobraźni widział, jak jego starannie konstruowany świat rozsypuje się gwałtownie. Kiedy udowodnią, że był uczestnikiem spisku, który miał na celu oszukać amerykańskie społeczeństwo, żadne czasopismo ani sieć telewizyjna nie zatrudnią go po niechlubnym odejściu z Białego Domu.

John Sutton stał za nim z drinkiem w ręku.

- Sępy już krążą - powiedział.

- Wielkimi stadami - mruknął Thompson.

- I co teraz będzie?

- Decyzja należy do innych.

- Nie mam zamiaru iść do paki jak Liddy, Colson i ci inni faceci - oznajmił kwaśno Sutton.

- Nikt nie pójdzie do paki - odparł zmęczonym głosem Thompson. - To nie Watergate. Departament Sprawiedliwości współpracuje z nami.

- Nie mam zamiaru nadstawiać głowy w zastępstwie bandy polityków. - W oczach Suttona pojawił się chciwy błysk. - Można na tym zarobić tysiące, nawet parę milionów...

Thompson spojrzał na niego.

- W jaki sposób?

- Wywiady, artykuły, a poza tym honoraria autorskie za książki. Możliwości zrobienia szmalu są nieskończone.

- I wyobraża pan sobie, że będzie pan mógł spokojnie wyjść stąd i wszystko opowiedzieć?

- Czemu nie? - odparł Sutton. - A kto mnie zatrzyma?

Thompson uśmiechnął się.

- Nie wyjaśniono panu, jaki był powód pańskiego zatrudnienia. Nie ma pan pojęcia, jak ogromne znaczenie dla interesów naszego państwa ma pańska mała rólka.

- A co mnie to obchodzi? - powiedział obojętnym tonem Sutton.

- Może pan w to nie uwierzy, panie Sutton, ale w naszym rządzie jest wystarczająco dużo przyzwoitych ludzi, którzy szczerze troszczą się o dobro kraju. Nigdy nie dopuszczą, aby dla pieniędzy naraził pan na niebezpieczeństwo nasze państwo.

- W jaki sposób ci cierpiący na manię wielkości faceci, którzy prowadzą ten cyrk w Waszyngtonie, mogą mi zaszkodzić? Dadzą mi po łapach? W wieku sześćdziesięciu dwóch lat powołają do armii? Napuszczą na mnie Urząd Podatkowy? To akurat mam w nosie. I tak wzywają mnie co roku.

- Nic tak trywialnego - odparł Thompson. - Po prostu się pana usunie.

- Co to ma znaczyć „usunie”? - zapytał Sutton.

- Może powinienem raczej powiedzieć, że pan po prostu zniknie - odparł Thompson, z satysfakcją widząc, jak do Suttona zaczyna docierać

sens usłyszanych słów. - Rozumie się samo przez się, że pańskiego ciała nikt nigdy nie odnajdzie.

Rozdział 49

Fawcett wcale nie cieszył się z nadchodzącego dnia. Kiedy się golił, zerkał od czasu do czasu na piętrzący się obok umywalki stos gazet. Wystąpienie Mayo znalazło się na pierwszych stronach wszystkich krajowych czasopism. Nagle cała prasa zaczęła pytać, dlaczego prezydent od dziesięciu dni jest nieosiągalny. Połowa autorów artykułów wstępnych domagała się, aby wystąpił i złożył oświadczenie. Druga połowa zadawała pytanie: „Gdzie jest prawdziwy prezydent?”

Wytarł ręcznikiem resztki piany i natarł twarz łagodnym płynem po goleniu. Uznał, że najlepiej będzie kontynuować waszyngtońską zabawę w tajemnicę i siedzieć cicho. Będzie trzymał się własnych terenów, wycofa zrećcznie do tyłu i łaskawie pozwoli Sekretarzowi Stanu Oatesowi stawić czoło naporowi środków masowego przekazu.

Czas skurczył się z dni do kilku zaledwie godzin, a wkrótce pozostaną już tylko minuty. Fawcett nie był w stanie przewidzieć komplikacji, jakie powstaną, kiedy zostanie ogłoszony komunikat o porwaniu. Miał jednak pewność, że wielka i nieśmiertelna machina biurokratyczna będzie jakoś działać. Kaprys wyborców wynosił i obalał elity władzy, ale instytucje pozostawały.

Postanowił zrobić wszystko, co było w jego coraz bardziej ograniczonej mocy, aby objęcie władzy przez następnego prezydenta nastąpiło możliwie bezboleśnie. Jeżeli będzie miał szczęście, może nawet zdoła zachować swoje stanowisko.

Nałożył ciemny garnitur, wyszedł z domu i pojechał do biura, nienawidząc każdej przejechanej mili. Kiedy wszedł do Skrzydła Zachodniego, Oskar Lucas i Alan Mercier już czekali na niego.

Lucas powiedział tylko:

- Ponuro to wygląda.

- Ktoś musi złożyć oświadczenie - powiedział Mercier, którego twarz wyglądała, jakby dopiero co wyszedł z trumny.

- Czy krótką słomkę wyciągnął ktoś, kogo znam? - zapytał Fawcett.

- Doug Oates uważa, że pan jest najlepszym kandydatem do przeprowadzenia konferencji prasowej i zakomunikowania o porwaniu prezydenta.

- A co na to pozostali członkowie gabinetu? - spytał z niedowierzaniem Fawcett.

- Zgadzą się.

- Niech to diabli! - rzucił ochryłym głosem Fawcett. - Cały ten pomysł jest kretyński. Oates próbuje tylko ocalić swój tyłek. Nie mam pełnomocnictw do rzucenia takiej bomby. W oczach przeciętnego wyborcy jestem nikim. Nawet jeden na tysiąc nie będzie potrafił wymienić mojego nazwiska ani podać, jakie stanowisko zajmuję w administracji. Doskonale wiecie, co się stanie. Społeczeństwo natychmiast zorientuje się, że przywódcy chowają się za zamkniętymi drzwiami, troszcząc się jedynie o ocalenie swoich stołków, a kiedy wszystko się już skończy, Stany Zjednoczone utracą jakąkolwiek wiarygodność. Nie, przykro mi. Oates jest najbardziej logicznym kandydatem do ogłoszenia tego oświadczenia.

- Posłuchaj - oznajmił cierpliwie Mercier. - Jeżeli Oates będzie zmuszony wziąć na siebie ciężar odpowiedzialności i udawać, że nie zna odpowiedzi na wiele kłopotliwych pytań, mogą wyniknąć podejrzenia, iż miał coś wspólnego z porwaniem. Ponieważ jest następny w kolejności do objęcia urzędu prezydenta, najwięcej na tym zyskał. Każdy pismak w kraju będzie wrzeszczał o spisku. Pamiętasz reakcję ludzi, kiedy po postrzeleniu Reagana Aleksander Haig, poprzedni Sekretarz Stanu, powiedział, że panuje nad sytuacją?

Ukształtował się jego obraz jako człowieka dążącego do władzy, mniejsza o to, czy słusznie. Poparcie dla niego zmniejszyło się i wreszcie zmuszony był zrezygnować.

- Porównujesz keczup z musztardą - odparł Fawcett. - Mówię tylko, że ludzie wściekną się, kiedy wystąpię i oznajmię, że prezydent, wiceprezydent i dwaj najważniejsi przywódcy Kongresu zniknęli w tajemniczych okolicznościach i najprawdopodobniej nie żyją. Do diabła, nikt mi nie uwierzy.

- Nie możemy ignorować podstawowej sprawy - stwierdził stanowczym tonem Mercier. - Douglas Oates musi wejść do Białego Domu czysty jak śnieg. Nie zdoła przyzwoicie złożyć wszystkiego do kupy, jeżeli będzie go otaczała atmosfera podejrzliwości i złośliwych pomówień.

- Oates nie jest politykiem. Nigdy nie deklarował najmniejszego zainteresowania prezydenturą.

- Nie ma wyboru - powiedział Mercier. - Musi do następnych wyborów zastąpić prezydenta.

- Czy mogę liczyć, że gabinet udzieli mi poparcia w czasie konferencji prasowej?

- Nie, nie zgodzą się na to.

- Widzę więc, że zrobiono ze mnie kozła ofiarnego - oświadczył z goryczą Fawcett. - Czy to wspólna decyzja?

- Chyba przesadzasz - zaprotestował łagodnie Mercier. - Nikt nie ma zamiaru wytarzać cię w smole i pierzu. Masz zapewnioną pracę. Doug Oates chce, żebyś w dalszym ciągu pełnił stanowisko szefa personelu Białego Domu.

- I za sześć miesięcy poprosi mnie, żebym zrezygnował.

- Nie możemy udzielić ci żadnych gwarancji na przyszłość.

- Dobrze - oświadczył Fawcett trzęsącym się z wściekłości głosem. Przepisnął się obok Merciera i Lucasa. - Możecie wrócić i powiedzieć Oatesowi, że ludzka ofiara zostanie złożona.

Idąc korytarzem nie odwrócił się ani razu. Skierował się prosto do gabinetu i tam chodził z kąta w kąt, kipiąc z wściekłości. Nawet nie

zauważył, kiedy sekretarka prezydenta, Megan Blair, weszła do pokoju.

- Rany boskie, nigdy dotąd nie widziałam cię tak podnieconego - powiedziała.

Fawcett odwrócił się i udało mu się uśmiechnąć.

- Użalam się tylko przed pustymi ścianami.

- Ja też to robię, zwłaszcza gdy siostrzenica w czasie wizyt doprowadza mnie do szału swoimi płytami disco. Puszczą tę koszmarną muzykę na cały regulator.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - zapytał ze zniecierpliwieniem w głosie.

- Jeżeli mówimy już o skargach - powiedziała z rozdrażnieniem - to dlaczego nie zostałam poinformowana, że prezydent wrócił z farmy?

- Musiało mi wylecieć z pamięci... - Przerwał i wytrzeszczył oczy. - Co powiedziałaś?

- Prezydent wrócił i nikt z twoich ludzi mnie o tym nie uprzedził.

Na twarzy Fawcetta pojawiło się niedowierzenie.

- Jest w Nowym Meksyku.

- Z całą pewnością nie - oznajmiła stanowczo Megan Blair. - Właśnie siedzi przy swoim biurku. Ochrzanił mnie za spóźnienie.

Fawcett popatrzył jej w oczy i zorientował się, że powiedziała prawdę.

Spoglądała na niego z lekko pochyloną na bok głową.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

Fawcett nie odpowiedział. Wskoczył z gabinetu i pobiegł korytarzem. Spotkał tam Lucasa i Merciera, którzy wciąż jeszcze rozmawiali półgłosem. Gdy Fawcett przebiegł obok nich, spojrzeli na niego zdziwieni.

- Chodźcie ze mną! - zawołał machając rękami.

Przez chwilę stali jak wmurowani, mrugając z zaskoczeniem. Potem Lucas rzucił się biegiem za Fawcetem, a Mercier podążył za nimi chwilę później.

Fawcett wpadł jak bomba do Gabinetu Owalnego i zatrzymał się, błąd jak płótno.

Prezydent Stanów Zjednoczonych podniósł głowę i uśmiechnął się.
- Dzień dobry, Dan. Możemy omówić mój plan dnia?

W odległości niecałej mili, w zabezpieczonym pokoju na najwyższym piętrze radzieckiej ambasady, przed wielkim monitorem siedział Aleksiej Ługowoj i odczytywał fale mózgowie prezydenta. Na ekranie displeju pojawiał się tekst po angielsku, a ustawiona obok drukarka wypluwała kopie przekładu na rosyjski. Wypił łyk gęstej czarnej kawy. Potem wstał, nie spuszczać oczu z zielonych liter, i z pełnym wyższości uśmiechem uniósł gęste, krzaczaste brwi.

Mózg prezydenta przekazywał z odległości nie tylko każdą jego myśl, ale nawet wypowiedzi innych, znajdujących się w pobliżu osób były odbierane i zapisywane w pamięci.

Drugi etap Operacji Huckleberry Finn był sukcesem.

Ługowoj postanowił poczekać jeszcze kilka dni, zanim przejdzie do ostatniego i najbardziej krytycznego etapu - wydawania poleceń. Jeżeli wszystko się uda, wiedział z całą pewnością, że jego projekt zostanie przejęty przez ludzi z Kremla. I od tej pory polityką Stanów Zjednoczonych kierować będzie sekretarz partii Antonow, a nie prezydent Stanów Zjednoczonych.

Rozdział 50

Kiedy statek wypłynął z Dardaneli i skierował w stronę labiryntu Cyklad, rozpalone słońce opuściło się na zachodzie za horyzont i zniknęło w Morzu Egejskim. Powierzchnię wody marszczyły niewielkie dwustopowe fale, a od południa, z odległego afrykańskiego brzegu napływały podmuchy gorącego wiatru. Wkrótce zniknęła pomarańczowa poświata zachodu, woda utraciła swój błękit i niebo stopiło się z morzem, tworząc nieprzeniknioną czarną ścianę. Księżyc jeszcze się nie pojawił, widać było jedynie gwiazdy i zataczający łuki promień światła latarni morskiej na Lesbos. Kapitan James Mangyai, dowódca drobnicowca „Venice”, stał na mostku i wpatrywał się w morze przed dziobem. Od czasu do czasu rzucał spojrzenie na ekran radaru i znowu spoglądał przez okno sterówki. Czuł wyraźną ulgę, że w pobliżu nie ma innych statków.

Od chwili wypłynięcia z położonego w odległości sześciuset mil morskich portu w Odessie nad Morzem Czarnym był niezwykle spięty. Teraz zaczynał już lżej oddychać. Na greckich wodach terytorialnych Rosjanie nie odważą się wykręcić mu żadnego numeru.

„Venice” szedł pod balastem. Jego jedynym ładunkiem było złoto dla pani Bougainville przekazane przez radziecki rząd i statek siedział płytko w wodzie. Portem przeznaczenia była Genua, w której złoto miało zostać w tajemnicy wyładowane, przewiezione do Lucerny w Szwajcarii i tam zdeponowane.

Kapitan Mangyai usłyszał za sobą stukot kroków na tekowym pokładzie i w ciemnym oknie zobaczył pierwszego oficera, Kim Chao.

- Co pan o tym sądzi, panie Chao? - zapytał nie odwracając się.

Chao odczytał wydruk prognozy meteorologicznej przesyłanej co godzina przez automatyczny system przekazywania danych.

- Spokojna żegluga przez najbliższe dwanaście godzin - odparł. - Dalsze prognozy również nieźle wyglądają. Mamy szczęście. O tej porze roku południowe wiatry są zazwyczaj o wiele silniejsze.

- Musimy mieć spokojne morze, jeżeli mamy przybyć do Genui w terminie wyznaczonym przez panią Bougainville.

- Po co ten pośpiech? - spytał Chao. - Przecież nie ma znaczenia, jeżeli przypląniemy dwanaście godzin później.

- Dla naszych pracodawców ma - odparł Mangyai sucho. - Pani Bougainville nie życzy sobie, aby ładunek szedł tranzytem dłużej, niż jest to konieczne.

- Pierwszy mechanik twierdzi, że jeżeli przez cały rejs będzie musiał utrzymywać taką szybkość, to zarówno silniki.

- Zawsze wszystko czarno widzi.

- Nie zszedł pan z mostku od samej Odessy, kapitanie. Może bym pana zastąpił?

Mangyai z wdzięcznością skinął głową.

- Chętnie trochę odpocznę. Ale najpierw powinienem zobaczyć się z naszym pasażerem.

Przekazał Chao wachtę na mostku i zszedł trzy pokłady niżej. Zatrzymał się na śródokręciu przy ciężkich stalowych drzwiach w końcu korytarza. Przycisnął guzik przy urządzeniu przekaźnikowym mocowanym do grodzi.

- Panie Hong, tu kapitan Mangyai.

W odpowiedzi rozległo się ciche skrzypnięcie i drzwi uchyliły się.

Przez szparę ostrożnie wyjrzał niewielki mężczyzna o okrągłej twarzy i w okularach z grubymi szklami.

- Ach tak, to pan, kapitanie. Proszę wejść.

- Czy mógłbym coś panu przynieść, panie Hong?

- Nie, jest mi zupełnie wygodnie. Dziękuję.

Koncepcja wygody Honga zdecydowanie różniła się od poglądów Mangyai. O tym, że mieszka tu człowiek, świadczyła jedynie walizka ustawiona pod składanym płóciennym łóżkiem, koc, niewielka kuchenka elektryczna z dzbankiem herbaty i umocowane do grodzi biureczko z blatem zastawionym analitycznym sprzętem chemicznym. Reszta pomieszczenia zastawiona była drewnianymi skrzyniami i sztabkami złota. Były one ułożone w stosy o wysokości trzydziestu i szerokości dziesięciu sztab. Kilka sztab leżało również na pokładzie koło otwartych skrzyń, na których nie heblowanych bokach widniały napisy:

OSTROŻNIE SZKŁO
POJEMNIKI Z RTEŃCIĄ
PRZEDSIĘBIORSTWO PRZEMYSŁU CHEMICZNEGO
SUZAKA
KIOTO, JAPONIA

- Jak panu idzie? - spytał Mangyai.

- Zanim dopłyniemy do portu, powinienem wszystko przebadać i umieścić w skrzyniach.

- Ile Rosjanie podsunęli pozłoconych sztabek?

- Ani jednej - pokręcił głową Hong. - Ilość się zgadza i wszystkie sztabki, które do tej pory sprawdziłem, są z czystego złota.

- Dziwne, że okazali się aż do tego stopnia sumienni. Transport przyszedł w dokładnie ustalonym terminie. Ich dokerzy załadowali go bez żadnych incydentów. A wszystkie formalności związane z wypłynięciem załatwiliśmy bez tradycyjnych biurokratycznych kłopotów. Nigdy dotąd w czasie moich kontaktów z radzieckimi władzami portowymi nie miałem do czynienia z taką sprawnością działania.

- Może pani Bougainville ma poważne wpływy na Kremlu.

- Może... - przytaknął Mangyai sceptycznie. Popatrzył z zainteresowaniem na stosy lśniącego metalu. - Ciekaw jestem, co kryje

się za tą transakcją.

- Nawet nie mam zamiaru pytać - stwierdził Hong, starannie owijając sztabkę w pakuły i umieszczając ją w skrzyni.

Zanim Mangyai zdążył odpowiedzieć, w głośniku rozległ się głos:

- Kapitanie, czy pan tam jest?

Mangyai podszedł do ciężkich drzwi i uchylił je lekko. Na korytarzu stał oficer radiotelegrafista.

- Słucham, o co chodzi?

- Pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć, kapitanie. Ktoś zakłóca naszą łączność.

- Wie pan to na pewno?

- Tak jest, sir - odparł młody oficer. - Udało mi się zrobić namiar na źródło zakłóceń. Znajduje się w odległości niecałych trzech mil na prawo przed naszym dziobem.

Mangyai przeprosił Honga i pospieszył na mostek. Pierwszy oficer Chao siedział spokojnie w wysokim obrotowym fotelu, przyglądając się instrumentom na skomputeryzowanej konsoli sterowania statkiem.

- Czy ma pan kontakt z jakimś statkiem, panie Chao? - spytał Mangyai.

Jeżeli Chao był zaskoczony nagłym powrotem kapitana, nie dał tego po sobie poznać.

- Nie, ani wizualnego, ani radarowego, sir.

- Jaka jest głębokość?

Chao sprawdził odczyt echosondy.

- Pięćdziesiąt metrów, czyli około stu sześćdziesięciu stóp.

Pełen najgorszych przeczuć Mangyai pochylił się nad stołem z mapami i sprawdził kurs. „Venice” przepływał właśnie nad Tzonston Bank, jednym z wielu miejsc na Morzu Egejskim, w których głębokość zmniejszała się gwałtownie i miejscami wynosiła zaledwie sto stóp. Wystarczało, by zapewnić bezpieczeństwo żegludze, ale zarazem było dość płytko, aby operacja wydobycia zatopionego statku stała się dziecinnie prosta.

- Sterować w stronę głębokiej wody! - zawołał.

Chao wytrzeszczył oczy, patrząc z zaskoczeniem na kapitana.

- Słucham?

Mangyai otworzył usta, aby powtórzyć rozkaz, ale słowa zamarzyły mu w gardle. Dokładnie w tej samej chwili dwie torpedy akustyczne trafiły w maszynownię drobnicowca i eksplodowały, siejąc zniszczenie. Morze runęło do wnętrza statku przez wyrwane w dnie dziury. „Venice” zadygotał w agonii.

Statek umierał zaledwie osiem minut. Zanurzył się rufą i na zawsze zniknął pod obojętnymi falami.

Zaledwie „Venice” zatonął, w pobliżu wynurzył się okręt podwodny i oświetlił reflektorami unoszące się na powierzchni szczątki. Do żałośnie nielicznej grupki rozbitków, czepiających się rozpaczliwie wszystkiego, co pływa, strzelano z karabinów maszynowych aż do chwili, gdy ich poszarpane pociskami ciała zniknęły pod wodą. Następnie z okrętu podwodnego wysłano łodzie, które zaczęły krążyć po morzu, kierując się w miejsca wskazane promieniami reflektorów. Po kilkugodzinnych poszukiwaniach i zebraniu z powierzchni wszelkich szczątków łodzie wróciły na okręt.

Następnie wygaszono światła i okręt podwodny zanurzył się w mrok.

Rozdział 51

Prezydent siedział przy owalnym mahoniowym stole w Pokoju Konferencyjnym Białego Domu w otoczeniu jedenastu mężczyzn. Z błyskiem rozbawienia w oczach spoglądał na posępne twarze zgromadzonych.

- Wiem, że ciekawi jesteście, panowie, gdzie znajdowałem się w czasie minionych dziesięciu dni, a także co się dzieje z Vince'em Margolinem, Alem Moranem i Marcusem Larimerem. Pozwólcie, że was uspokoję. Nasze chwilowe zniknięcie było przeze mnie zaplanowane.

- Przez pana samego? - wyraził zdziwienie Oates.

- Niezupełnie. Brał w tym udział również prezydent Związku Radzieckiego Antonow.

Przez kilka chwil oszołomieni doradcy prezydenta patrzyli na niego z niedowierzaniem.

- Przeprowadził pan spotkanie z Antonowem nie informując o tym nikogo z tu obecnych? - zapytał skonsternowany Oates.

- Tak - przyznał prezydent. - Była to rozmowa w cztery oczy - wolna od ingerencji z zewnątrz, bez uprzedzeń i bez międzynarodowych dziennikarzy domyślających się podtekstów w każdym słowie. Po prostu czworo naszych i czworo ich najważniejszych ludzi. - Przerwał i powiódł wzrokiem po siedzących przed nim mężczyznach. - To wprawdzie niekonwencjonalna metoda prowadzenia negocjacji, ale

wierzę, że wyborcy ją zaakceptują, kiedy poznają wyniki rozmów.

- Czy mógłby nam pan, panie prezydencie, opowiedzieć, jak i gdzie prowadzone były te rozmowy? - spytał Dan Fawcett.

- Po wymianie jachtów przesiadliśmy się do cywilnego śmigłowca i przelecieliśmy na niewielkie lotnisko koło Baltimore. Tam wsiedliśmy do prywatnego samolotu pasażerskiego, który należy do mojego starego przyjaciela, przelecieliśmy nad Atlantykiem i wylądowaliśmy na opuszczonym lądowisku na wschód od Ataru w Mauretanii. Antonow i jego ludzie czekali już na nas.

- Myślałem... a właściwie otrzymaliśmy informację - powiedział z wahaniem Jesse Simmons - że Antonow w ubiegłym tygodniu był w Paryżu.

- Georgij zatrzymał się w Paryżu na krótką konferencję z prezydentem L'Estrange'em w drodze do Ataru. - Odwrócił się i spojrzał na Fawcetta. - Między nami mówiąc, Dan, była to wspaniała maskarada.

- A my byliśmy o włos od wpadki.

- Oświadczę, że wszelkie pogłoski na temat mojego dublera są zbyt absurdalne, aby je komentować. Wyjaśnię wszystko prasie, ale dopiero jak będę gotów.

Sam Emmett oparł łokcie na blacie stołu i pochylił się w stronę prezydenta.

- Czy poinformowano pana, sir, że „Eagle” został zatopiony razem z całą załogą?

Prezydent przez kilka chwil spoglądał z zaskoczeniem. Potem popatrzył twardo i pokręcił głową.

- Nie, nie wiedziałem o tym. Będę ci wdzięczny, Sam, jeżeli możliwie jak najszybciej otrzymam od ciebie dokładny raport.

Emmett skinął głową.

- Po zakończeniu spotkania znajdzie go pan na biurku.

Oates za wszelką cenę starał się opanować. Nie mógł pogodzić się z faktem, że spotkanie na najwyższym szczeblu i o trudnych do przewidzenia konsekwencjach dla polityki zagranicznej odbyło się bez

wiedzy Departamentu Stanu. Nikt nie pamiętał podobnego precedensu.

- Myślę, że wszyscy są zainteresowani, o czym pan i Georgij Antonow rozmawialiście - powiedział sztywno.

- Najważniejszym punktem spotkania było rozbrowienie - odparł prezydent. - Antonow i ja opracowaliśmy porozumienie w sprawie powstrzymania produkcji wszystkich pocisków rakietowych i rozpoczęcia procesu ich niszczenia. Przygotowaliśmy skomplikowaną procedurę, która sprowadza się po prostu do tego, że będziemy niszczyć nuklearne pociski rakietowe w proporcji jeden do jednego. Całą operację nadzorować będą na miejscu grupy obserwatorów.

- Francja i Anglia nigdy się na to nie zgodzą - oznajmił Oates. - Ich arsenały nuklearne są niezależne od naszych.

- Zaczniemy od pocisków dalekiego zasięgu i będziemy kontynuowali aż do skutku - powiedział niewzruszonym tonem prezydent. - Europa podąży później naszym śladem.

Generał Clayton Metcalf pokręcił głową.

- Jeżeli mam być całkiem szczery, muszę stwierdzić, że ta propozycja brzmi niezwykle naiwnie.

- To tylko początek - stwierdził z zapalem prezydent. - Wierzę, że oferta Antonowa jest szczerą i mam zamiar okazać dobrą wolę, realizując program rozbrowieniowy.

- Nie będę wyrażał opinii, zanim nie zapoznam się z procedurą - oznajmił Simmons.

- Zupełnie słusznie.

- O czym jeszcze panowie rozmawialiście? - zapytał Fawcett.

- O umowie handlowej - odparł prezydent. - Antonow obiecał, że jeżeli pozwolimy Rosjanom przewozić zakupione przez nich produkty rolne ich własnymi statkami handlowymi, zapłacą naszym farmerom według najwyższych światowych cen rynkowych. I co najważniejsze, zobowiązują się nie dokonywać zakupów w innych krajach, chyba że nie wywiążemy się z zakontraktowanych dostaw. Innymi słowy, amerykańscy farmerzy są obecnie wyłącznymi dostawcami na rynek radziecki.

- Antonow zgodził się na to? - spytał z niedowierzaniem Oates. - Nie mogę uwierzyć, że ten stary niedźwiedź był w stanie przyznać jakiegokolwiek krajowi prawa wyłączności.

- Mam jego zapewnienie na piśmie.

- Brzmi to wspaniale - stwierdził Martin Brogan. - Ale bardzo bym chciał, aby ktoś mi wytłumaczył, jakim cudem Rosję może być stać na tak okazałe zakupy produktów rolnych. Satelickie państwa bloku wschodniego nie są w stanie spłacić ogromnych pożyczek zaciągniętych na Zachodzie. Radziecka gospodarka jest w katastrofalnym stanie. Nawet swoim siłom zbrojnym i pracownikom państwowym płacą tylko bonami, za które można kupić jedynie żywność i odzież. Czym mają zamiar zastąpić pieniądze? Nasi farmerzy nie będą chcieli udzielać komunistom kredytu, bo sami muszą uregulować swoje długi.

- Jest na to sposób - rzekł prezydent.

- Pańska teoria wsparcia wschodniego bloku? - zapytał Fawcett, przewidując dalsze wyjaśnienia.

Prezydent skinął głową.

- Antonow właściwie zgodził się przyjąć mój plan pomocy gospodarczej...

- Proszę mi wybaczyć, panie prezydencie - powiedział Oates. Zaciśnął dłonie, chcąc powstrzymać ich drżenie. Ale muszę stwierdzić, że pański plan niczego nie rozwiązuje. W gruncie rzeczy proponuje pan udzielenie wielomiliardowej pomocy krajom komunistycznym po to, aby mogły wykorzystać te pieniądze i dokonać zakupów u naszych własnych farmerów. Uważam to za wariant zabawy dla naiwniaków „ukraść Peterowi, żeby zapłacić Paulowi”, w której nasi podatnicy będą płacili rachunki.

- Zgadza się z Dougiem - oznajmił Brogan. - Co nam to da?

Prezydent popatrzył na siedzących przy stole. Na jego twarzy malowało się zdecydowanie.

- Uznałem to za jedyny sposób udowodnienia świata raz na zawsze, że chociaż radziecki system rządów stworzył potworną maszynę wojenną, to jednak okazał się niewypałem i nie warto go ani zazdrościć,

ani naśladować. Jeżeli tego dokonamy, żaden kraj na świecie nie będzie nam mógł zarzucić, że prowadzimy agresję imperialistyczną, i żadne radzieckie kampanie propagandowe czy dezinformacyjne nie będą traktowane poważnie. Pomyślcie, Stany Zjednoczone po drugiej wojnie światowej pomogły swoim wrogom stanąć na nogi. A teraz możemy uczynić to samo w stosunku do kraju, który zaciekle szkalował nasze demokratyczne ideały. Święcie wierzę, że jest to największa szansa otworzenia ludzkości drogi ku bezpiecznej przyszłości.

- Jeżeli mam być szczerzy, panie prezydencie - powiedział stanowczym tonem generał Metcalf - to muszę stwierdzić, że pański wielki plan niczego nie zmieni. Gdy tylko radziecka gospodarka stanie na nogi, przywódcy Kremla powrócą do dawnego wojowniczego stylu bycia. Nie zrezygnują z siedemdziesięcioletniej polityki ekspansji militarnej tylko po to, aby okazać wdzięczność dla amerykańskiej wspinałomyślności.

- Generał ma rację - przytaknął Brogan. - Nasze ostatnie fotografie zwiadu satelitarnego wykazują, że nawet w obecnej chwili Rosjanie instalują wzdłuż północno-wschodnich wybrzeży Syberii swoje najnowsze wielogłowicowe pociski raketowe SS-30. I celem każdej głowicy jest jakieś miasto w Stanach.

- Zostaną zdemontowane - powiedział prezydent stanowczym tonem. - Skoro wiemy o ich istnieniu, Antonow nie będzie mógł wykręcić się od ich zniszczenia.

Oates był wściekły i wcale tego nie ukrywał.

- Cała rozmowa jest tylko stratą czasu - prawie warknął. - Żaden z pańskich planów pomocy nie może zostać wprowadzony w życie bez zgody Kongresu. A bardzo wątpię w uzyskanie tej zgody.

- Sekretarz Stanu ma zupełną rację - stwierdził Fawcett. - Rozdział finansów jest ciągle w gestii Kongresu. A jeśli weźmiemy pod uwagę nastroje wywołane rozmieszczaniem radzieckich oddziałów wzdłuż granic Iranu i Turcji, należy się spodziewać, że pańskie programy zostaną zablokowane i utkną w komisji.

Siedzący wokół stołu mężczyźni poczuli niepokój. Wszyscy

uświadomili sobie, że administracja prezydenta nigdy już nie będzie przykładem niewzruszonej spójności. Dojdą do głosu ukrywane poprzednio różnice zdań, osobiste sympatie i antypatie. Szacunek dla prezydenta i jego urzędu stopniał. Widzieli w nim teraz człowieka takiego samego jak oni, w dodatku posiadającego więcej wad, niż mieliby ochotę przyznać. Świadomość ta zawisła nad pokojem jak chmura. Obserwowali uważnie prezydenta, chcąc się zorientować, czy również zdaje sobie z tego sprawę.

Siedział przed nimi i na jego twarzy zaczął się pojawiać dziwny, złośliwy grymas. Zaciśnął wargi, jakby rozkoszował się smakiem przyszedłego triumfu.

- Nie potrzebuję Kongresu - oznajmił tajemniczo. - Nie będą mieli żadnego wpływu na moją politykę.

Pokonując niewielką odległość dzielącą Pokój Konferencyjny od Portalu Południowego, Douglas Oates postanowił, że zrezygnuje ze stanowiska Sekretarza Stanu. Odsunięcie od pertraktacji z Antonowem było obrazą, której nie miał zamiaru przełknąć. Czuł poza tym wiszącą w powietrzu katastrofę i nie miał ochoty w niej uczestniczyć.

Stał na stopniach, czekając na służbowy samochód, kiedy podeszli do niego Brogan i Emmett.

- Można zamienić z tobą parę słów, Doug? - spytał Emmett.

- Nie mam ochoty na rozmowę - mruknął Oates.

- Sprawa jest wyjątkowo poważna - nalegał Brogan. - Wysłuchaj nas, proszę.

Na podjeździe nie było jeszcze widać samochodu i Oates ze znużeniem wzruszył ramionami.

- Słucham.

Brogan rozejrzał się wokoło i powiedział cicho:

- Sam i ja uważamy, że prezydent jest manipulowany.

Oates rzucił na niego sarkastyczne spojrzenie.

- Manipulowany, też coś. Odbiło mu zupełnie i zdecydowanie

odmawiam brania udziału w jego szaleństwie. W sprawie zatopienia „Eagle’a” kryje się więcej, niż jest skłonny powiedzieć. Nie wyjaśnił nam też, gdzie znajdują się Margolin, Larimer i Moran. Przykro mi, panowie. Będziecie pierwszymi, którym to oznajmię... Mam zamiar zaraz po powrocie do Departamentu Stanu uprzątnąć swoje biurko i zwołać konferencję prasową, na której poinformuję o złożeniu rezygnacji. A potem wsiadam do pierwszego samolotu odlatującego z Waszyngtonu.

- Podejrzewaliśmy, że masz taki zamiar - stwierdził Emmett. - Dlatego właśnie chcieliśmy cię złapać, zanim spalisz za sobą mosty.

- Co mi właściwie chcecie wmówić?

Emmett spojrzał na Brogana, jakby szukał u niego pomocy i wzruszył ramionami.

- Na dobrą sprawę trudno to wyjaśnić, ale Martin i ja sądzymy, że umysł prezydenta jest w jakiś sposób... hmmm... kontrolowany.

Oates nie był pewien, czy się nie przesłyszał. Zdawał sobie sprawę, że dyrektorzy CIA i FBI nie byli ludźmi, którzy lekkomyślnie rzucaliby tak poważne podejrzenia.

- Przez kogo?

- Uważamy, że przez Rosjan - odparł Brogan. - Ale nie mamy jeszcze żadnych dowodów.

- Wiemy, że brzmi to jak fantastyka naukowa - wyjaśnił Emmett - jednak wygląda na rzeczywistość.

- Czy uważacie, że prezydent był pod tym wpływem, kiedy poleciał do Mauretanii na rozmowy z Antonowem?

Brogan i Emmett popatrzyli na siebie znacząco. W końcu dyrektor CIA powiedział:

- Na całym świecie nie ma rejsu samolotu, o którym Agencja by nie wiedziała. Daję głowę, że nasze rejestry nie wykażą żadnego lotu do Mauretanii i z powrotem.

Oates wytrzeszczył oczy.

- Spotkanie z Antonowem...

Emmett pokręcił głową.

- Nigdy nie miało miejsca.

- W takim razie wszystko - rozbrojenie, umowy handlowe - jest kłamstwem - stwierdził Oates lekko drżącym głosem. - Po co zorganizował to zwariowane przedstawienie? - spytał oszołomiony.

- Nie ma znaczenia, dlaczego z tym wystąpił - oświadczył Emmett. - Te programy najprawdopodobniej nie są wcale jego pomysłem. Ważne jest tylko, że jego zachowaniem ktoś steruje. Ale kto i skąd?

- Czy można to ustalić?

- Tak - odparł Emmett. - Dlatego chcieliśmy z tobą porozmawiać, zanim zwiniesz manatki.

- Co mogę zrobić?

- Zostać - odparł Brogan. - Prezydent nie jest w stanie sprawować urzędu. Ponieważ Margolin, Moran i Larimer wciąż są zaginieni, jesteś następny w kolejności.

- Musimy powstrzymać prezydenta do czasu, aż będziemy mogli zakończyć dochodzenie - powiedział Emmett. - Dopóki jesteś z nami, mamy możliwość zachowania kontroli na wypadek, gdyby trzeba było usunąć go z urzędu.

Oates wyprostował się i nabrał głęboko powietrza.

- O Boże, to zaczyna sprawiać wrażenie spisku, który ma na celu zamordowanie prezydenta.

- Wcale nie wykluczone, że może do tego dojść - stwierdził ponuro Brogan.

Rozdział 52

Ługowoj podniósł głowę znad notesu i spojrział na siedzącego przy konsoli aparatury monitorującej dane telemetryczne neurologa.

- Jaki stan?

- Obiekt wszedł w fazę spoczynku. Rytmy mózgu świadczą o normalnym śnie. - Neurolog podniósł wzrok i uśmiechnął się. - Nie wie o tym, ale chrapie.

- Sądzę, że wie jego żona.

- Przypuszczam, że śpi w innej sypialni. Nie uprawiali seksu od chwili jego powrotu.

- Czynności organizmu?

- Wszystkie wskazania normalne.

Ługowoj ziewnął i sprawdził czas.

- Dwanaście po pierwszej w nocy.

- Powinniście się trochę przespać, doktorze. Biologiczny zegar prezydenta budzi go każdego ranka między szóstą a szóstą piętnaście.

- To niełatwe doświadczenie - burknął Ługowoj. - Prezydent potrzebuje o dwie godziny mniej snu niż ja. Nienawidzę wcześnie wstawać. - Przerwał i spojrział na ekran, na którym widniały krzywe odzwierciedlające stan umysłu prezydenta w czasie jego snu. - Chyba coś mu się śni.

- Interesujące, co się śni prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

- Będziemy mieli przybliżone wyobrażenie, gdy tylko ustanie

aktywność jego komórek mózgowych na poziomie skoordynowanych wzorów myślowych i rozpocznie funkcjonowanie na poziomie oderwanych abstrakcji.

- Czy potraficie interpretować sny, doktorze?

- Pozostawiam to freudystom - odparł Ługowoj. - Jestem jednym z niewielu, którzy uważają, że sny nie zawierają żadnych znaczeń. Są jedynie sytuacją, w której mózg, uwolniony od wymogów świadomego myślenia, robi sobie wakacje. Jak miejski pies, który został wywieziony na wieś i spuszczonej ze smyczy.

- Niewielu zgodziłoby się z waszą opinią.

- Sny nie są moją specjalnością i dlatego nie jestem w stanie prowadzić na ten temat naukowej dyskusji. Jednak chciałbym zwrócić waszą uwagę na jeden szczegół. Gdyby sny rzeczywiście zawierały jakieś znaczące informacje, powinna w nich mieć chyba swój udział większość zmysłów.

- Chodzi wam o zmysł smaku i zapachu?

Ługowoj skinął głową.

- Bardzo rzadko występują również dźwięki. Podobnie ból i dotyk. Sny najczęściej są doznaniem wzrokowymi. A więc według mojej opinii, popartej pewnymi badaniami naukowymi, sen o jednookiej kozie, która ziejże ogniem, ma jedno proste znaczenie. Jest snem o jednookiej kozie, która ziejże ogniem.

- Teoria snów stanowi kamień węgielny całej psychoanalizy. Dzięki waszej wspaniałej reputacji zawodowej możecie swoją teorią kozy zniszczyć sporo zakorzenionych dogmatów. Pomyślcie, ilu naszych towarzyszy-psychologów straci pracę, jeżeli uzna się, że sny nie zawierają żadnych znaczeń.

- Nie kontrolowane marzenia senne szybko ulegają zapomnieniu - ciągnął Ługowoj. - Ale polecenia i instrukcje, które przekazujemy komórkom mózgowym prezydenta w czasie jego snu, nie są odbierane jako sny.

- Kiedy powinienem zacząć programować wszczepiony przekaźnik?

- Wprowadźcie instrukcje tuż po obudzeniu, a potem powtórzcie je,

kiedy usiądzie przy biurku. - Ługowoj znowu ziewnął. - Idę do łóżka. Zadzwońcie do mojego pokoju, gdyby nastąpiła jakaś nagła zmiana.

Neurolog skinął głową.

- Życzę dobrego odpoczynku.

Ługowoj przed wyjściem zerknął na system monitorujący.

- Ciekaw jestem, jakie obrazy tworzy jego umysł.

Neurolog skinął niedbale ręką w stronę drukarki danych.

- Powinny być tutaj zarejestrowane.

- Mniejsza z tym - stwierdził Ługowoj. - Może poczekać do rana. -

Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Ciekawość neurologa została pobudzona. Sięgnął po leżącą na samej górze kartkę wydruku z interpretacją fal mózgowych prezydenta i przeczytał znajdujące się na niej słowa.

Zielone wzgórza w lecie - czytał półgłosem. - *Miasto między dwoma rzekami, a w nim wiele bizantyjskich świątyń zwieńczonych setkami kopuł. Jedna ze świątyń to Święta Zofia. Rzeczna barka z burakami cukrowymi. Katakumby Świętego Antoniego.* - Gdybym nie zdawał sobie sprawy, że to bzdura, pomyślałbym, że śni mu się Kijów - mruknął do siebie.

Znajdował się koło ścieżki na wzgórzu nad szeroką rzeką, patrzył na płynące po niej statki. W rękę trzymał pędzel. W dole, wśród drzew porastających zbocze, widział wielki kamienny cokół, na którym stała postać spowita w opończę i trzymająca jak laskę pielgrzymią wysoki krzyż. Z boku, nieco po prawej, stały sztalugi z ukończonym niemal obrazem. Widniejący przed nim pejzaż został idealnie skopiowany precyzyjnymi pociągnięciami pędzla. Na płótnie znalazły się nawet drobne prążkowania liści na drzewach. I dopiero gdy spojrzano się na obraz uważniej, widać było, że jest w nim jeden odmienny element - kamienny pomnik, zamiast brodatego oblicza świętego Włodzimierza, miał twarz prezydenta Związku Radzieckiego, Georgija Antonowa.

Nagle scena uległa zmianie. Teraz czterej ludzie wyciągali go siłą z niewielkiego domku o błękitnych ścianach. Twarze porywaczy były niewyraźne, jakby zamazane, ale czuł odór ich potu. Wlekli go w stronę samochodu. Nie odczuwał strachu, raczej ślepą wściekłość, i kopał na

wszystkie strony. Napastnicy zaczęli go bić, nie czuł jednak bólu, zupełnie jakby cierpiał ktoś inny.

W drzwiach domku widział postać młodej kobiety. Miała na sobie bluzkę z rękawami i spódnicę wieśniaczki, a jej blond włosy związane były w luźny kok. Uniosła ręce w błagalnym geście, wołała coś, lecz nie mógł dosłyszeć słów.

Potem rzucono go na podłogę furgonetki i zatrzaśnięto drzwi.

Rozdział 53

Intendent z nie skrywanym rozbawieniem patrzył na dwoje turystów wspinających się chwiejnym krokiem po trapie statku. Tworzyli niesamowitą parę. Kobieta miała na sobie luźną, długą do kostek letnią suknię i mogłaby z powodzeniem udawać pomalowany w kolorowe wzorki worek ukraińskich ziemniaków. Nie widział jej twarzy, częściowo zasłoniętej szerokim rondem słomkowego kapelusza, przytrzymywanego pod brodą szeroką, jedwabną chustą, ale miał nieodparte wrażenie, że na jej widok rozpadłby się kwarcowy kryształ jego zegarka.

Mężczyzna, chyba jej mąż, cuchnął tanim burbonem i był pijany. Wtoczył się na pokład, bez przerwy rycząc ze śmiechu. Ubrany był w jaskrawą koszulę w kwiaty i białe spodnie, co chwila zerkał na swoją paskudną żonę i szeptał jej do ucha jakieś bzdury. Zauważył intendenta i powitalnym gestem uniósł rękę.

- Ahoj, kapitanie! - zawołał z pijackim uśmiechem.

- Nie jestem kapitanem. Nazywam się Piotr Kołodno i jestem intendentem. W czym mogę państwu pomóc?

- Jestem Charlie Gruber, a to moja żona Zelda. Kupiliśmy bilety tu, w San Salvador.

Podał je intendentowi, który przez kilka chwil przyglądał się im uważnie. Wreszcie oznajmił oficjalnym tonem:

- Witamy na pokładzie „Leonida Andriejewa”. Przykro mi, że

nowych pasażerów nie spotykamy z pełnym ceremoniałem, ale przyłączyliście się państwo do nas dosyć późno.

- Płynęliśmy żaglowcem, kiedy ten głupi sternik wpakował nas na rafy - wybełkotał Gruber. - Moja kobitka i ja o mało co się nie utopiliśmy. Ale nie możemy wracać tak wcześnie do Sioux Falls. No więc kończymy wakacje na waszym statku. A poza tym moja żona uwielbia Greków.

- To radziecki statek - wyjaśnił cierpliwie intendent.

- Nie zgrywasz się pan?

- Ależ nie, proszę pana. Portem macierzystym „Leonida Andriejewa” jest Sewastopol.

- Nie mów pan! Gdzie to jest?

- Nad Morzem Czarnym - wyjaśnił intendent, starając się zachować pozory grzeczności.

- Z nazwy sądząc, jest niezbyt czyste.

Intendent nie był w stanie zrozumieć, jakim cudem Ameryka stała się supermocarstwem, mając takich obywateli. Sprawdził listę pasażerów i skinął głową.

- Przydzielono państwu kabinę numer trzydzieści cztery na pokładzie G jak Gorki. Polecę stewardowi, by zaprowadził państwa.

- Wielkie dzięki, stary - powiedział Gruber, ściskając mu rękę.

Gdy steward poprowadził Gruberów do ich kabiny, intendent spojrzał na swą dłoń. Charlie Gruber dał mu w napiwku dwudziestopięciocentową monetę.

Kiedy tylko steward postawił bagaże i zamknął za sobą drzwi, Giordino zrzucił perukę i starł szminkę z warg.

- Boże, Zelda Gruber! Nie wiem, jak mi się uda to wytrzymać.

- W dalszym ciągu jestem zdania, że powinienem przyczepić ci z przodu dwa grejpruty - roześmiał się Pitt.

- Wolę wyglądać płasko. Dzięki temu specjalnie się nie wyróżniam.

Giordino powiódł spojrzeniem po ich niewielkiej, pozbawionej

okien kabinie i machnął ręką.

- I tyle warte są ulgowe wycieczki. Bywałem już w większych budkach telefonicznych. Czujesz wibrację? Musimy być tuż koło maszynowni.

- Zażądałem tanich miejsc dlatego, że chciałem, aby ulokowano nas na dolnym pokładzie - wyjaśnił Pitt. - Tu jesteśmy mniej widoczni i znajdujemy się bliżej stref roboczych statku.

- Sądzisz, że mogą więzić Loren gdzieś tutaj?

- Jeżeli zobaczyła coś, czego nie powinna, Rosjanie nie będą jej trzymali w miejscu, w którym mogłaby się skontaktować z innymi pasażerami.

- Równie dobrze może to być fałszywy alarm.

- Wkrótce się przekonamy - odparł Pitt.

- W jaki sposób będziemy działać? - zapytał Giordino.

- Powłoczę się w okolicy kabin załogi. Ty zaś sprawdź w biurze intendenta, jaki jest numer kabiny Loren. A potem zobaczymy, czy tam jest.

Giordino uśmiechnął się bezczelnie. - Jak się mam ubrać?

- Idź tak, jak jesteś. Będziemy trzymali Zeldę w rezerwie.

Minutę po ósmej wieczorem „Leonid Andriejew” rzucił cumy. Przy akompaniamencie łagodnego dudnienia silników dziób zatoczył łuk, odsuwając się od nabrzeża. Piaszczyste brzegi San Salvador zostały za rufą. Statek wypłynął w pełne morze i pożegłował w płomienisty zachód słońca.

Światła lśniły i migotały na wodzie jak sztuczne ognie, słychać było melodie grane przez dwie różne orkiestry, od czasu do czasu czyjs śmiech. Pasażerowie przebrali się, zmienili plażowe ubrania na garnitury oraz wieczorowe suknie i gromadzili się w głównej sali jadalnej albo w którymś z kilku barów koktajlowych.

Al Giordino w nienagannym smokingu szedł korytarzem, przy którym mieściły się luksusowe apartamenty, z miną właściwego

człowieka na właściwym miejscu. Stał przy drzwiach jednej z kabin i obejrzał się. Za nim szedł steward z tacą.

Giordino przeszedł na przeciwległą stronę korytarza i zastukał do drzwi z napisem MASAŻ.

- Masażystka kończy pracę o szóstej, proszę pana - poinformował go steward.

Giordino uśmiechnął się.

- Myślałem, że uda mi się zamówić wizytę na jutro.

- Z przyjemnością się tym zajmę, proszę pana. Jaka pora najbardziej by panu odpowiadała?

- No cóż, może tak koło południa?

- Dopilnuję tego - obiecał steward, czując, jak coraz bardziej cięży mu trzymana taca. - Czy mogę prosić o nazwisko i numer kabiny?

- O'Callaghan, kabina dwadzieścia dwa, pokład T jak Tołstoj - odparł Giordino. - Dziękuję. Będę wdzięczny.

Odwrócił się i skierował w stronę windy pasażerskiej. Przycisnął guzik „dół”, usłyszał dzwonek i zerknął przez ramię na korytarz. Steward z tacą na dłoni zastukał delikatnie do drzwi apartamentu położonego nieco dalej za apartamentem Loren. Giordino nie widział osoby zajmującejabinę, usłyszał jedynie kobiecy głos zapraszający stewarda do środka.

Nie tracąc ani sekundy, podbiegł do apartamentu Loren, zręcznym kopniakiem w okolice zamka otworzył drzwi i wszedł do środka. Wnętrze kabiny było pogrążone w mroku, zapalił więc światło. Wszystko było w idealnym porządku, ale w luksusowym pomieszczeniu nie było nawet najmniejszego śladu czyjegoś pobytu.

W szafie nie było ubrań Loren. Nie znalazł żadnego bagażu, najdrobniejszego znaku, który świadczyłby, że kiedykolwiek się tu znajdowała. Wolno i dokładnie sprawdził każdy cal kwadratowy apartamentu - pomieszczenie po pomieszczeniu. Zajrzał pod meble i za zasłony. Przesunął dłońmi po dywanie i pod siedzeniami krzesel. Sprawdził nawet wannę i prysznic, szukając włosów.

Nic.

Chociaż niezupełnie. Obecność kobiety zawsze daje o sobie znać w pomieszczeniu, nawet kiedy właścicielka je opuści. Giordino wciągnął nosem powietrze i poczuł bardzo delikatny zapach perfum. Nie był w stanie odróżnić Chanel Nr 5 od wody kolońskiej, ale ten zapach miał w sobie delikatny aromat kwiatów. Próbował go zidentyfikować, jednak bezskutecznie.

Natarł mydłem drewnianą drzazgę, która odłupała się w chwili, gdy kopnął drzwi, i wcisnął ją na miejsce. Marny sposób naprawy, pomyślał, ale sklejenie powinno wytrzymać próbę, jeżeli apartament będzie sprawdzany przez załogę.

Zgasił światło, zatrzasnął drzwi i wyszedł.

Pitt schodził po drabince tunelu ewakuacyjnego i czuł, jak żołądek skręca mu się z głodu. Ostatni raz jadł jeszcze w Waszyngtonie i miał wrażenie, że burczenie w brzuchu odbija się echem w wąskiej stalowej rurze. Bardzo chciałby znaleźć się teraz przy stole w sali jadalnej i wybierać potrawy z karty. Nagle usłyszał głosy dobiegające z pomieszczenia na dole i wszystkie myśli o jedzeniu natychmiast poszły w ką. Skulił się na drabince i popatrzył pod nogi. Niecałe cztery stopy pod nim widać było przesuwające się ramię mężczyzny. Potem w polu widzenia znalazł się czubek głowy pokrytej nie mytymi, zwisającymi w strąkach blond włosami. Marynarz zwrócił się do kogoś po rosyjsku. Do Pitta dobiegła stłumiona odpowiedź, potem odgłos kroków i zgrzyt metalu. Po trzech minutach zniknęła również głowa i Pitt usłyszał szcęk zamykanych drzwi szatni. Potem znowu kroki i cisza.

Pitt przekreślił się na drabince, wsunął stopy i łydki pod klamry i zawisł głową w dół. Ostrożnie zerknął tuż pod krawędzią włazu.

Zobaczył odwrócony obraz szatni mechaników. Jak na razie było w niej pusto. Szybko zeskoczył na dół i zaczął zaglądać do szafek marynarzy. Wreszcie znalazł wyszmelcowany kombinezon mniej więcej swojego rozmiaru. Zabrał również o dwa numery za dużą czapkę i nasunął ją na oczy. Teraz mógł już wędrować po strefach roboczych

statku.

Pozostał tylko problem językowy. Znał około dwudziestu słów po rosyjsku i większość z nich dotyczyła zamawiania potraw w restauracji.

Minęło prawie pół godziny, zanim dotarł do pomieszczeń załogowych na dziobie statku. Od czasu do czasu mijął kucharza z którejś z kuchni okrętowych, stewarda popychającego wózek wypełniony alkoholami przeznaczonymi do jednego z barów koktajlowych czy pokojówkę wracającą ze służby. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, tylko jakiś oficer z dezaprobatą obrzucił spojrzeniem jego wyszmelcowany ubiór.

Szczęśliwym przypadkiem natrafił wreszcie na pralnię. Stojąca za kontuarem dziewczyna o okrągłej twarzy popatrzyła na niego i zadała po rosyjsku jakieś pytanie.

Wzruszył ramionami i odpowiedział:

- *Niet.*

Na długim stole leżały wyprane mundury załogi, starannie złożone w kostkę. Przyszło mu do głowy, że dziewczyna z pralni pyta go, która paczka należy do niego. Przyglądał się im przez parę chwil i wreszcie wskazał pakunek zawierający trzy zgrabnie złożone białe kombinezony przypominające ten, który miał na sobie. W czystym ubraniu roboczym mógłby przemierzać cały statek, udając marynarza z obsługi technicznej.

Dziewczyna położyła pakunek na kontuarze i znowu o coś zapytała.

Gorączkowo starał przypomnieć sobie cokolwiek ze swojego bardziej niż skromnego rosyjskiego. Wreszcie wymamrotał:

- *Jest li u was sosiski?*

Dziewczyna popatrzyła na niego dziwnie, ale podała mu pakunek i kazała podpisać. Postawił jakiś nieczytelny zygzak i przekonał się z ulgą, że w oczach dziewczyny maluje się bardziej zdziwienie niż podejrzliwość.

Dopiero gdy znalazł pustą kabinę i zmienił kombinezon, uświadomił sobie, że zapytał dziewczynę z pralni o parówki.

Zatrzymał się na chwilę przy tablicy ogłoszeń, zdjął z niej plan

pokładów „Leonida Andriejewa”, a potem przez następne pięć godzin wędrował spokojnie po najniższej położonych rejonach statku. Nie znalazł najmniejszego śladu obecności Loren, wrócił do kabiny i zobaczył, że domyślny Giordino zamówił dla niego jedzenie.

- Czy coś znalazłeś? - zapytał Al, nalewając rosyjskiego szampana do dwóch kieliszków.

- Ani śladu - odparł znużonym głosem Pitt. - Co to za święto?

- Pozwól mi wnieść choć odrobinę luksusu do tego lochu.

- Przeszukałeś jej apartament?

Giordino skinął głową i zapytał:

- Jakich perfum używała Loren?

Pitt przez chwilę patrzył bezmyślnie na unoszące się bąbelki.

- Chyba jakichś francuskich. Nie przypominam sobie. A dlaczego pytasz?

- Czy miały zapach kwiatów?

- Bez... Nie, raczej jaśmin. Tak, jaśmin.

- Jej apartament był dokładnie wyczyszczony. Rosjanie postarali się, żeby wszystko wyglądało, jakby nigdy jej tam nie było, ale wyczułem ten zapach.

Pitt wypił kieliszek szampana i bez słowa nalał następny.

- Musimy wziąć pod uwagę ewentualność, że ją zabili - stwierdził Giordino.

- Po co w takim razie mieliby chować jej ubrania i bagaże? Nie mogą przecież twierdzić, że wypadła za burtę razem ze wszystkim.

- Mogli je zmagazynować na dole i teraz czekają na odpowiedni moment, taki jak na przykład zła pogoda, żeby oznajmić tragiczną wiadomość. Przykro mi, Dirk - dodał Giordino, ale w jego głosie nie było ani cienia przeprosin. Musimy brać pod uwagę każdą ewentualność, dobrą czy złą.

- Loren żyje i jest gdzieś na tym statku - odparł z uporem Pitt. - Możliwe, że Moran i Larimer również.

- Bardzo wiele rzeczy przyjmujesz jako pewnik.

- Loren to sprytna dziewczyna. Nie prosiłaby Sally Lindemann, żeby

znalazła przewodniczącego Izby Reprezentantów, nie mając do tego jakichś poważnych podstaw. Sally twierdzi, że Moran i senator Larimer zniknęli w tajemniczy sposób. A teraz zniknęła również Loren. Co o tym sądzisz?

- Ładnie to przedstawiłeś, ale teraz wytłumacz mi, co się za tym kryje?

Pitt pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Przychodzi mi do głowy szalony pomysł, że to się jakoś wiąże z Liniami Żegludowymi Bougainville i zatonięciem „Eagle’a”.

Giordino zastanawiał się w milczeniu.

- Tak - stwierdził powoli - pomysł jest zwariowany, ale wiele rzeczywiście na to wskazuje. Skąd chcesz, żebym zaczął?

- Załóż na siebie kostium Zeldy i przejdź się koło wszystkich kabin na statku. Jeżeli Loren albo inni są uwięzieni w którejś z nich, przed drzwiami na pewno postawiono strażnika.

- I to będzie ślad - przytaknął Giordino. - A gdzie ty będziesz?

Pitt położył plan statku na koi.

- Część załogi jest zakwaterowana na rufie. Sprawdzę tam. - Złożył plan i wsunął go do kieszeni kombinezonu. - Lepiej ruszajmy. Nie mamy zbyt wiele czasu.

- Przynajmniej do pojutra, do momentu, kiedy „Leonid Andriejew” zawinie do Kingston.

- Nie licz na ten luksus - odparł Pitt. - Przypatrz się mapie nawigacyjnej Karaibów. Jutro po południu, mniej więcej o tej porze, będziemy mieli wybrzeże Kuby w zasięgu wzroku.

Giordino pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Wspaniała okazja, żeby przetransportować Loren i innych ze statku w jakieś miejsce, gdzie będą nieosiągalni.

- A co gorsza, może się okazać, że pozostaną tam tylko tak długo, ile trzeba, żeby całą trójkę wsadzić do samolotu do Moskwy.

Giordino myślał przez chwilę, a potem podszedł do walizki, wyjął perukę i naciągnął ją na kędzierzawe włosy. Potem spojrzął w lustro i

zrobił obrzydliwy grymas.

- No dobra, Zelda - oznajmił kwaśno. - Przelećmy się po pokładach i zobaczmy, kogo uda się nam poderwać.

Rozdział 54

Prezydent tego samego wieczoru wystąpił w telewizji. Poinformował o spotkaniu z prezydentem Związku Radzieckiego Antonowem i zawartym porozumieniu. W trwającym dwadzieścia trzy minuty przemówieniu przedstawił również swój program pomocy dla krajów komunistycznych. Oznajmił także o swoich zamiarach zniesienia barier i restrykcji ograniczających Rosjanom możliwości zakupu najnowszych amerykańskich technologii. Ani razu nie wspomniał o Kongresie. Mówił o umowach handlowych z krajami bloku wschodniego w taki sposób, jakby były już umieszczone w budżecie i wprowadzone w życie. Zakończył przemówienie obietnicą, że jego następnym celem będzie skierowanie wszystkich sił do walki o zmniejszenie przestępczości w kraju.

Oburzenie w kręgach rządowych zepchnęło w cień wszystkie pozostałe wiadomości. Curtis Mayo i inni komentatorzy wystąpili z ostrymi atakami pod adresem prezydenta, oskarżając go o przekraczanie uprawnień.

Przywódcy Kongresu, którzy na okres przerwy letniej pozostali w Waszyngtonie, rozpoczęli kampanię telefoniczną, prosząc kolegów przebywających na wakacjach albo prowadzących spotkania ze swoimi wyborcami, aby powrócili do stolicy na nadzwyczajną sesję. Członkowie Senatu i Izby Reprezentantów, działając bez wskazówek nieosiągalnych przywódców większości - Morana i Larimera - zgodnie

zwarli szeregi w walce z prezydentem.

Następnego ranka Dan Fawcett z cierpiętniczą miną wdarł się do Gabinetu Owального.

- Na Boga, panie prezydencie! Nie może pan tego zrobić!

Prezydent ze stoickim spokojem uniósł wzrok.

- Chodzi ci o moje wieczorne wystąpienie?

- Owszem, sir - oznajmił rozgorączkowany Fawcett. - Z tego, co pan powiedział, można było wywnioskować, że realizuje pan swoje programy pomocy bez zgody Kongresu.

- Czy tak to zabrzmiało?

- Tak.

- I bardzo dobrze - odparł prezydent, uderzając dłonią w blat biurka.

- Bo właśnie o to mi chodziło.

Fawcett był zaskoczony.

- Ale to wbrew Konstytucji. Pańskie uprawnienia wykonawcze nie sięgają tak daleko...

- Do cholery, nie próbuj mi tłumaczyć, w jaki sposób mam sprawować swój urząd! - wrzasnął ogarnięty nagłą wściekłością prezydent. - Mam już dosyć żebraniny i wiecznych kompromisów z tymi zarozumiałymi hipokrytami z Kapitolu. Jak Boga kocham, tylko traktując ich ostro mogę cokolwiek z nimi załatwić.

- Wybiera pan niebezpieczną drogę. Skonsolidują się i zamrożą każdą pańską inicjatywę.

- Nie, nie zrobią tego! - zawołał prezydent wstając. Obszedł biurko i stanął twarzą w twarz z Fawcettem. - Nie dam Kongresowi szansy zniweczenia moich planów.

Wstrząśnięty Fawcett patrzył na niego z przerażeniem.

- Nie zdoła ich pan powstrzymać. Już się zbierają. Przylatują ze wszystkich stanów na nadzwyczajną sesję, która ma zablokować pańskie decyzje.

- Jeżeli myślą, że im się to uda - stwierdził prezydent posępnym, niemal obcym głosem - czeka ich wielka niespodzianka.

Poranny ruch był jeszcze słaby, kiedy z różnych stron wjechały do miasta trzy kolumny wojskowe. Specjalny Oddział Antyterrorystyczny Wojsk Lądowych z Fort Belvoir posuwał się na północ, wzdłuż trasy szybkiego ruchu Anacostia, podczas gdy jego odpowiednik z Fort Meade zmierzał w kierunku południowym, po Baltimore i Washington Parkway. W tym samym czasie Jednostka Działań Kryzysowych, przydzielona do bazy Korpusu Piechoty Morskiej w Quantico, jechała po moście Rochambeau z zachodu.

Gdy długie kolumny pięcotonowych transporterów opancerzonych spotkały się w Federal Center, eskadra szturmowych samolotów transportowych pionowego startu wylądowała na trawiastym skwerze przed stawem, w którym odbijał się obraz Kapitolu, i wyrzuciła z siebie doborowych *marines* z Camp Lejeune w Karolinie Północnej. Ta licząca dwa tysiące grupa uderzeniowa została sformowana z pododdziałów Zespolonych Sił Szybkiego Reagowania, które znajdowały się w całodobowej gotowości.

Kiedy tylko dotarli do budynków federalnych, szybko oczyścili pomieszczenia Kapitolu, gabinety Izby Reprezentantów i Senatu. Potem zajęli stanowiska i zablokowali wszystkie wejścia.

Zdziwieni członkowie Kongresu i ich współpracownicy myśleli początkowo, że ewakuacja budynku nastąpiła w związku z zagrożeniem bombowym atakiem terrorystycznym. Innym wytłumaczeniem mogły być tylko nie zapowiedziane ćwiczenia wojskowe. Kiedy w końcu dowiedzieli się, że siedzibę władz legislacyjnych Stanów Zjednoczonych zamknięto na rozkaz prezydenta, zgromadzili się na terenach położonych na wschód od budynku Kapitolu, wstrząśnięci i oburzeni. Lyndon Johnson zagroził kiedyś, że rozpędzi Kongres, ale nikt nie mógł uwierzyć, że teraz istotnie do tego doszło.

Żołnierze w polowych mundurach maskujących, uzbrojeni w karabinki automatyczne M-20 oraz samopowtarzalne strzelby śrutowe, nie reagowali na ich żądania i tłumaczenia. Pewien ogólnie znany ze swych liberalnych poglądów senator próbował przebić się przez kordon

i został wywleczony na ulicę przez dwóch posępnych *marines*.

Wojsko nie otoczyło ani nie zamknęło budynków zajmowanych przez władze wykonawcze i niezależne agencje rządowe. W większości urzędów federalnych praca odbywała się normalnie. Ulice były otwarte, ruchem zaś kierowano tak sprawnie, że budziło to powszechny podziw obywateli.

Na terenach przyległych do Kapitolu natychmiast zjawiała się prasa i telewizja. W gorączkowych wywiadach przed kamerami brało udział tak wiele osób, że senatorzy i kongresmani musieli ustawiać się w kolejce, aby wyrazić swoje sprzeciwy wobec bezprecedensowych działań prezydenta.

Jednak reakcją większości Amerykanów, jak kraj długi i szeroki, było raczej rozbawienie, a nie oburzenie. Obywatele siedzieli przed swoimi telewizorami i oglądali całe wydarzenie, jakby to był cyrk. Wszyscy byli zdania, że prezydent postanowił nastraszyć Kongres i za dzień lub dwa odwoła wojsko.

Oates siedział w Departamencie Stanu razem z Emmettem, Broganem i Mercierem. Atmosfera w gabinecie była ciężka, panował nastrój niezdecydowania i dezorientacji.

- Jeżeli prezydent uważa, że jest ponad konstytucyjnym rządem, to jest durniem - oznajmił Oates.

Emmett spojrzał uważnie na Merciera.

- Nie rozumiem, dlaczego nie zorientowałeś się wcześniej, że coś się święci.

- Wykiwał mnie całkowicie - odparł Mercier z głupią miną. - Nic nie wskazywało, że ma takie plany.

- Jesse Simmons i generał Metcalf z całą pewnością z nim nie współdziałali - myślał na głos Oates.

Brogan skinął głową.

- Moje źródła w Pentagonie informują, że Jesse Simmons stanowczo odmówił współpracy.

- To dlaczego nas nie ostrzegł? - zapytał Emmett.

- Po tym, jak bez ogródek oznajmił prezydentowi, że posuwa się za

daleko, wojskowa służba bezpieczeństwa odwiozła go do mieszkania i został umieszczony w areszcie domowym.

- Jezu - mruknął z irytacją Oates. - Sytuacja pogarsza się z minuty na minutę.

- A co z generałem Metcalfem? - spytał Mercier.

- Jestem pewien, że zgłosił zastrzeżenia - odparł Brogan. - Ale Clayton Metcalf jest służbistą, który święcie wierzy, że jego podstawowym obowiązkiem jest spełniać rozkazy głównodowodzącego. Przyjaźni się z prezydentem od dawna i z całą pewnością uważa, że winien jest lojalność nie Kongresowi, ale człowiekowi, który mianował go na stanowisko szefa sztabu.

Palce Oatesa strzepnęły jakiś wyimaginowany pyłek z blatu biurka.

- Prezydent znika na dziesięć dni, a po powrocie zmienia się nie do poznania.

- Jak Huckleberry Finn u Twaina... - powiedział wolno Brogan.

- Czy doktor Ługowoj już się odnalazł? - zapytał po chwili Oates.

Emmett pokręcił głową.

- Wciąż ani śladu.

- Uzyskaliśmy od naszych ludzi w Rosji informacje o nim - wyjaśnił Brogan. - W ciągu ostatnich piętnastu lat specjalizował się w transplantacji osobowości. Radzieckie służby wywiadowcze zapewniły mu na te badania ogromne fundusze. Setki Żydów i różnego rodzaju dysydentów, które zniknęły bez śladu, stały się królikami doświadczalnymi w nadzorowanych przez KGB instytucjach psychiatrycznych. A doktor Ługowoj twierdzi, że dokonał przełomu w interpretacji i kontroli myśli.

- Czy my również prowadzimy prace nad podobnym projektem? - zapytał Oates.

Brogan skinął głową.

- Nasz nosi kodową nazwę „Głębia” i zajmuje się mniej więcej tym samym.

Oates przez chwilę siedział z głową wspartą na dłoniach, a potem odwrócił się do Emmetta.

- W dalszym ciągu nie masz żadnych informacji o Margolinie, Larimerze i Moranie?

Emmett sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Z przykrością muszę stwierdzić, że ich miejsce pobytu jest nieznane.

- Czy uważasz, że Ługowoj przeprowadził swój eksperyment transplantacji osobowości również i na nich?

- Nie sądzę - odparł Emmett. - Gdybym był na miejscu Rosjan, trzymałbym ich w odwodzie na wypadek, gdyby prezydent nie reagował na polecenia zgodnie z programem.

- Jego umysł może wyrwać się spod ich kontroli i zacząć reagować w zupełnie nie dający się przewidzieć sposób - dodał Brogan. - Zabawa z mózgiem nie jest nauką ścisłą. Nie sposób przewidzieć, jak prezydent postąpi następnym razem.

- Kongres nie ma zamiaru czekać, żeby się o tym przekonać - stwierdził Mercier. - Szukają miejsca, w którym mogliby się zebrać i formalnie postawić go w stan oskarżenia.

- On o tym wie, i nie jest taki głupi - odparł Oates. - Za każdym razem, kiedy członkowie Izby i Senatu zbiorą się na sesję, wyśle wojsko, żeby ich rozpedziło. Dopóki dysponuje siłami zbrojnymi, nic nie można mu zrobić.

- Skoro prezydent jest sterowany przez obce, nieprzyjazne mocarstwo, generał Metcalf i inni szefowie sztabów nie będą mogli udzielać mu poparcia - rzekł Mercier.

- Metcalf odmówi podjęcia jakichkolwiek działań, dopóki nie dostarczymy mu niezbitego dowodu, że umysł prezydenta znajduje się pod obcą kontrolą - dodał Emmett. - Ale podejrzewam, że czeka tylko na odpowiednią wymówkę, aby przejść na stronę Kongresu.

Brogan sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

- Miejmy nadzieję, że nie zrobi tego zbyt późno.

- A więc wszystko sprowadza się do tego, że my czterej musimy opracować sposób zneutralizowania poczynań prezydenta - oznajmił Oates.

- Czy jechałeś dziś koło Białego Domu? - spytał Mercier.

Oates pokręcił głową.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Całe otoczenie wygląda jak obóz wojskowy. Żołnierze są wszędzie, na każdym calu kwadratowym. Krążą pogłoski, że do prezydenta nikt nie ma dostępu. Wątpię, czy nawet pan, panie sekretarzu, byłby w stanie przejść przez drzwi frontowe.

Brogan zastanawiał się przez chwilę.

- Dan Fawcett wciąż jest w środku.

- Rozmawiałem z nim przez telefon - odparł Mercier. - Wyraził swój sprzeciw wobec działań prezydenta może trochę za ostro. Domyślam się, że w Gabinetcie Ovalnym jest obecnie *persona non grata*.

- Potrzebujemy kogoś, kto cieszy się zaufaniem prezydenta.

- Oskar Lucas - oznajmił Emmett.

- Dobry pomysł! - zawołał Oates podnosząc głowę. - Jako szef Secret Service musi mieć kontrolę nad tym miejscem.

- Ktoś będzie musiał dotrzeć do Oskara i Dana i porozmawiać z nimi w cztery oczy - stwierdził Emmett.

- Załatwię to - zaproponował Brogan.

- Masz jakiś plan? - spytał Oates.

- Jeszcze nic mi nie przyszło do głowy, ale moi ludzie coś wymyślą.

- Lepiej niech się dobrze postarają - odparł poważnym tonem Emmett - jeżeli mamy uniknąć najgorszych obaw naszych Ojców Założycieli.

- Jakich? - spytał Oates.

- Czegoś nie do pomyślenia - odparł Emmett. - Dyktatora w Białym Domu.

Rozdział 55

Loren pociła się. Pociła się jak nigdy dotąd w życiu. Jej suknia wieczorowa była wilgotna i przylegała do ciała jak druga skóra. Mała cela, bez żadnego okna, była gorąca jak sauna i nawet oddychało się tu z trudem. Sedes i prycza były jedynymi dostępnymi wygodami, a słaba żarówka w drucianej osłonie świeciła bez przerwy. Loren była przekonana, że wentylatory zostały wyłączone, aby zwiększyć jej cierpienia.

Od chwili gdy marynarze zamknęli ją w celi, nie dostała ani wody, ani jedzenia i czuła, jak głód skręca jej żołądek. Nikt do niej nie przyszedł i zaczynała się zastanawiać, czy kapitan Pokowski ma zamiar trzymać ją w izolatce aż do momentu, kiedy zostanie zlikwidowana.

W końcu postanowiła zrezygnować z prób zachowania przyzwoitości i zdjęła lepiącą się do ciała suknię. Żeby jakoś zabić czas, zaczęła wykonywać ćwiczenia stretchingowe. Nagle usłyszała w korytarzu stłumione kroki. Potem rozległy się przyciszone głosy prowadzące jakąś rozmowę, a wreszcie szcęk odsuwanych rygli i drzwi otworzyły się.

Loren schwyciła leżącą na pryczy suknię i trzymając ją przed sobą, wtuliła się w kąt celi.

Do środka wszedł mężczyzna ubrany w tani, niemodny od kilkudziesięciu lat garnitur.

- Pani Smith, proszę nam wybaczyć warunki, w jakich zmuszeni

byliśmy panią umieścić.

- Obawiam się, że to niemożliwe - odparła wyzywająco. - Kim pan jest?

- Nazywam się Paweł Suworow. Reprezentuję radzieckie władze.

W głosie Loren zabrzmiała głęboka pogarda:

- Czy komuniści zawsze w taki sposób traktują ważnych gości ze Stanów Zjednoczonych?

- Oczywiście w normalnych okolicznościach tak nie postępujemy, ale nie dała nam pani możliwości wyboru.

- Proszę mi to wyjaśnić - zażądała, spoglądając na niego ostro.

Popatrzył na nią niepewnie.

- Sądzę, że pani wie.

- Musi pan chyba odświeżyć moją pamięć...

Przez chwilę zapalał papierosa, a potem niedbałym gestem wrzucił zapalniczkę do sedesu.

- Poprzedniego wieczoru, w czasie przylotu śmigłowca, pierwszy oficer kapitana Pokowskiego zauważył, że stała pani niedaleko lądowiska.

- Podobnie jak kilku innych pasażerów - lodowatym tonem warknęła Loren.

- Owszem, ale oni znajdowali się zbyt daleko, aby rozpoznać kogoś znajomego.

- A pan uważa, że ja byłam wystarczająco blisko.

- Dlaczego nie będzie pani rozsądna, pani Smith? Z całą pewnością nie zaprzeczy pani, że poznała swoich kolegów.

- Nie wiem, o co panu chodzi.

- Kongresman Alan Moran i senator Larimer - odpowiedział, uważnie obserwując jej reakcję.

Oczy Loren rozszerzyły się gwałtownie. Mimo że w celi było straszliwe gorąco, zaczęła dygotać. Po raz pierwszy od chwili jej uwięzienia oburzenie ustąpiło rozpacz.

- Obaj są tutaj? Moran i Larimer?

Skinał głową.

- W sąsiedniej celi.

- To musi być jakiś wariacki dowcip - powiedziała oszołomiona.

- Żaden dowcip - odparł z uśmiechem Suworow. - Są gośćmi KGB, podobnie jak pani.

Loren z niedowierzaniem pokręciła głową. Próbowwała sobie wmówić, że takie rzeczy się nie zdarzają, najwyżej w koszarach.

- Posiadam immunitet dyplomatyczny - powiedziała. - Żądam, aby natychmiast mnie wypuszczono.

- Tu, na pokładzie „Leonida Andriejewa”, nie reprezentuje pani nikogo - stwierdził Suworow zimnym, obojętnym głosem.

- Kiedy mój rząd dowie się o tym...

- Nie dowie się - przerwał jej. - Gdy statek odpłynie z Jamajki rozpoczynając swój powrotny rejs do Miami, kapitan Pokowski oznajmi z głębokim żalem i smutkiem, że członkini Kongresu Loren Smith wypadła za burtę i najprawdopodobniej utonęła...

Loren poczuła, że ogarnia ją obezwładniające uczucie bezsiły.

- Co się stanie z Moranem i Larimerem?

- Zabieram ich do Rosji.

- Ale mnie ma pan zamiar zabić - powiedziała. Było to raczej stwierdzenie faktu, nie pytanie.

- Są ludźmi wysoko postawionymi w hierarchii władzy. Kiedy ich skłonimy, aby zechcieli się z nami podzielić swoją wiedzą, mogą się okazać nader użyteczni. Z przykrością muszę stwierdzić, że w pani przypadku nie warto podejmować ryzyka.

Loren niemal wyrwało się, że jako członek Komitetu Izby Reprezentantów do spraw Sił Zbrojnych wie równie dużo jak oni, ale w porę zauważyła pułapkę i nie odezwała się ani słowem. Suworow przymrużył oczy. Wyciągnął rękę, wyrwał suknię, którą Loren trzymała przed sobą, i niedbale cisnął ją w stronę drzwi.

- Bardzo ładnie - stwierdził. - Może gdybyśmy trochę porozmawiali, znalazłbym powód, żeby zabrać panią do Moskwy.

- To najbardziej żałosny podstęp na świecie - parsknęła pogardliwie.
- Nawet nie jest pan oryginalny.

Zrobił krok w jej stronę. Jego dłoń wystrzeliła do przodu i trzasnęła Loren w policzek. Zatoczyła się, wpadła na stalową grodz i osunęła na klęczki. Wpatrywała się w niego oczyma płonącymi strachem i pogardą.

Schwycił ją za włosy i odchylił jej głowę do tyłu. Z jego głosu zniknęła dotychczasowa, zdawkowa uprzejmość:

- Zawsze zastanawiałem się, jak by to było, gdybym przeleciał taką ważną kapitalistyczną dziwkę.

Zamiast odpowiedzi Loren wyciągnęła gwałtownie rękę i z całej siły ścisnęła jego krocze.

Rosjanin zawył z bólu, machnął na odlew pięścią i trafił ją tuż pod lewym okiem. Loren upadła na bok, w róg celi, a Suworow schwycił się za podbrzusze i jak wściekłe zwierzę biegał po maleńkim pomieszczeniu do chwili, kiedy ból ustąpił. Potem brutalnie schwycił ją i rzucił na pryczę.

Pochylił się nad nią i zerwał jej bieliznę.

- Ty wredna dziwko - warknął. - Teraz będziesz błagała o szybką śmierć.

Po policzkach Loren spływały wyciśnięte bólem łzy. Znajdowała się na granicy omdlenia. Niewyraźnie, jak za mgłą widziała, że Suworow powoli wyciąga ze szlufek pasek i owija go wokół pięści. Koniec ze sprzączką kołysał się swobodnie. Zobaczyła, że unosi ramię i oczekując na cios, usiłowała napiąć mięśnie.

Nagle spostrzegła, że Suworowowi jakby wyrosła trzecia ręka, która prześlizgnęła się nad jego prawym ramieniem i zacisnęła wokół szyi. Pasek upadł na pokład i ciało Rosjanina wygięło się w łuk.

Na twarzy Suworowa najpierw pojawiło się niedowierzenie, a potem, kiedy w pełni uświadomił sobie, co się dzieje - przerażenie. Obca ręka powoli i bezlitośnie miażdżyła mu krtań, uniemożliwiając oddychanie. Próbował walczyć z tym nieubłaganym naciskiem, rzucał się i wyrywał, ale ramię nie zwalniało uścisku. Strach i brak tlenu wykrzywiły mu twarz, nadając jej fioletowoniebieski odcień. Jego płuca walczyły o łyk powietrza, a ręce szaleńczo młóciły powietrze. Loren usiłowała przykryć twarz dłońmi, aby uniknąć straszliwego widoku, ale

nie była w stanie tego zrobić. Siedziała w odrętwieniu i z koszmarną fascynacją patrzyła, jak życie powoli opuszcza Suworowa, jak jego gwałtowna szamotanina ustaje i wreszcie oczy wychodzą mu z orbit, a całe ciało wiotczeje. Przez kilka sekund zwisał, podtrzymywany przez to upiorne ramię, które potem zniknęło z jego szyi, i Rosjanin upadł na pokład.

Na miejscu Suworowa pojawiła się inna postać. Loren zobaczyła znajomą twarz o zielonych oczach i ledwo widocznym, łobuzerskim uśmiechu.

- Między nami mówiąc - oznajmił Pitt - nigdy nie wierzyłem, że wędrówka do celu to połowa zabawy.

Rozdział 56

W południe „Leonid Andriejew” przepływał w odległości osiemnastu mil od Cabo Maisi, położonego najdalej na wschód cypla Kuby. Lazurowe niebo było usiane małymi, przypominającymi kłębki waty obłokami, pędzonymi łagodnym, zachodnim wiatrem. Większość opalających się wokół basenów kąpielowych pasażerów nawet nie zwróciła uwagi na zarośniętą palmami linię brzegową rysującą się na horyzoncie. Dla nich była to po prostu jedna z setek wysepek, jakie minęli od chwili opuszczenia Florydy.

Kapitan Pokowski stał na mostku, trzymając lornetkę przy oczach. Obserwował małą motorówkę, która zbliżała się od strony lądu. Łódź była stara, o prawie prostej linii dziobu i pomalowanym na czarno kadłubie. Pokład wykonany był z pokrytego werniksem mahoniu, a na rufie widniała wypisana złotymi literami nazwa „Pilar”. Sprawiała wrażenie nienagannie utrzymanego muzealnego eksponatu. Na drzewcu banderowym widniała odwrócona amerykańska flaga - wezwanie pomocy.

Pokowski podszedł do zautomatyzowanej konsoli sterowania statkiem i przesunął dźwignię na pozycję „mała naprzód”. Prawie natychmiast poczuł, jak maszyny okrętowe zmniejszają obroty. Odczekał kilka minut do chwili, gdy statek zdawał się ledwo pełznąć, pochylił się i ponownie przesunął dźwignię, tym razem na „maszyny stop”.

Miał właśnie wyjść na skrzydło mostku, kiedy po schodni prowadzącej z położonego niżej pokładu wbiegł pierwszy oficer.

- Kapitanie - powiedział, łapiąc oddech. - Byłem właśnie w areszcie okrętowym. Więźniowie zniknęli.

Pokowski wyprostował się.

- Zniknęli? Chcecie powiedzieć, że uciekli?

- Tak jest. W czasie rutynowej inspekcji znalazłem dwóch nieprzytomnych wartowników zamkniętych w jednej z cel. Funkcjonariusz KGB nie żyje.

- Paweł Suworow został zabity?

Pierwszy oficer skinął głową.

- Wszystko wskazuje na to, że został uduszony.

- Dlaczego natychmiast nie porozumieliście się ze mną przez telefon pokładowy?

- Uważałem, że najlepiej będzie powiedzieć to wam osobiście.

- No tak, macie rację - przyznał Pokowski. - Do diabła, to najmniej odpowiedni moment. Nasi ludzie z kubańskich sił bezpieczeństwa przyływają, żeby zabrać więźniów na brzeg.

- Powstrzymajcie ich. Jestem pewien, że jeżeli sprawnie przeprowadzimy poszukiwania, Amerykanie zostaną szybko odnalezieni.

Pokowski popatrzył przez otwarte drzwi sterówki na zbliżającą się motorówkę.

- Poczekają - powiedział bez wahania. - Nasi więźniowie są zbyt ważni.

- Jest jeszcze jedna sprawa, towarzyszu kapitanie - Amerykanom ktoś musiał dopomóc.

- Uważacie, że nie uciekli samodzielnie? - zapytał z zaskoczeniem Pokowski.

- To niemożliwe. Dwaj osłabieni, starzy ludzie i kobieta nie mogli obezwładnić dwóch ludzi ze służby bezpieczeństwa i zamordować zawodowca z KGB.

- Do diabła! - kapitan zaklął, z wściekłością uderzając pięścią w dłoń.

Czuł, jak ogarnia go niepokój i gniew. - To komplikuje sprawę.

- Czy na pokład mogli dostać się ludzie z CIA?

- Nie przypuszczam. Gdyby rząd Stanów Zjednoczonych podejrzewał, że członkowie jego najwyższych władz są przetrzymywani na pokładzie „Leonida Andriejewa”, ich okręty wojenne nadciągałyby w naszym kierunku jak wściekłe niedźwiedzie. A tu, zobaczcie sami - ani okrętów, ani samolotów, a przecież ich baza marynarki w Guantanamo jest w odległości zaledwie czterdziestu mil.

- W takim razie kto? - zapytał pierwszy oficer. - Przecież nie zrobił tego nikt z naszych ludzi.

- To mógł być tylko któryś z pasażerów - stwierdził Pokowski. Zamyślił się przez chwilę. Na mostku zapadła kompletna cisza. Wreszcie kapitan uniósł głowę i zaczął wydawać rozkazy: - Zbierzcie wszystkich wolnych od służby oficerów i zorganizujcie pięcioosobowe grupy poszukiwawcze. Podzielcie statek na sekcje - od zęzy po górny pokład. Zaalarmujcie funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa i zaangażujcie stewardów. Jeżeli pasażerowie będą was pytali o powód poszukiwań, wymyślcie jakiś wiarygodny pretekst, żeby wytłumaczyć wejście do kabiny. Zmiana bielizny pościelowej, naprawa armatury hydraulicznej, kontrola instalacji przeciwpożarowej - każda historyjka, która będzie pasować do sytuacji. Nie mówcie i nie róbcie niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia pasażerów albo wywołać jakies kłopotliwe pytania z ich strony. Starajcie się działać jak najszybciej i bez użycia przemocy, ale schwytajcie tę Smith i obu mężczyzn jak najszybciej.

- A co zrobimy z ciałem Suworowa?

Pokowski nie wahał się nawet przez chwilę.

- Przygotujcie dla towarzysza z KGB odpowiedni pogrzeb - odparł sarkastycznie. - Gdy tylko się ściemni, wyrzucie go za burtę razem ze śmieciami.

- Tak, jest towarzyszu kapitanie - powiedział z uśmiechem pierwszy oficer i odszedł szybkim krokiem.

Pokowski wziął z półki megafon i wyszedł na skrzydło mostku.

Mała turystyczna motorówka dryfowała w odległości jakichś pięćdziesięciu jardów.

- Czy potrzebujecie pomocy? - zapytał. Jego wzmocniony megafonem głos zahuczał nad powierzchnią morza.

Krępy mężczyzna o wygarbowanej na ciemny brąz skórze przyłożył dłoń do ust i zawołał:

- Mamy na pokładzie ludzi, którzy robią wrażenie bardzo chorych. Podejrzewam zatrucie salmonellą. Czy możemy wejść na pokład i skorzystać z waszej pomocy lekarskiej?!

- Oczywiście - odparł Pokowski. - Podejdźcie do burty. Opuszczę schodnię.

Pitt z zainteresowaniem obserwował całą tę komedię. Dwaj mężczyźni i kobieta z trudem wchodzili po metalowym trapie. Trzymali się za brzuchy i udawali, że co chwila łapią ich kurcze. Oceniał ich występ na trójkę z plusem.

Po czasie niezbędnym na udzielenie rzekomej pomocy lekarskiej Loren, Moran i Larimer zajęliby ich miejsca na motorówce. Pitt zdawał sobie sprawę, że kapitan nie podejmie dalszego rejsu, dopóki statek nie zostanie sprawdzony, a zbiegowie schwytani.

Odszedł od relingu i wmieszał się między pasażerów, którzy wkrótce powrócili na swoje leżaki, do stolików rozstawionych wokół basenów i w barach koktajlowych. Zjechał windą na swój pokład. Gdy drzwi się otworzyły i wyszedł na korytarz, niemal zderzył się z wchodzącym do windy stewardem. Mimochodem zauważył, że steward był Azjata. Przecisnął się obok niego i poszedł w kierunku swojej kabiny.

Steward z zaciekawieniem przyglądał się odchodzącemu Pittowi i na jego twarzy zaczęło malować się coraz większe zdziwienie. Kiedy tak stał jak wmurowany i gapił się, drzwi się zamknęły i winda odjechała bez niego.

Pitt skręcił za róg korytarza i dostrzegł oficera z kilkoma członkami

załogi, czekających przed drzwiami po przeciwległej stronie. Od jego kabiny dzieliły ich trzy pomieszczenia. Żaden z marynarzy nie wydawał się szczególnie towarzysko nastawiony. Pitt sięgnął do kieszeni po klucz, zerkając jednocześnie kątem oka w ich stronę. Po chwili i kabiny wyszła stewardesa, powiedziała do oficera kilka słów po rosyjsku i pokręciła głową. Przeszli do następnej kabiny i zastukali.

Pitt wszedł szybko i zamknął drzwi. Małe pomieszczenie przypominało scenę z filmu braci Marx. Loren leżała na górnej koi, a Lorimer z Moranem zajmowali wspólnie dolną. Cała trójka z zapałem atakowała tacę kanapek, którą Giordino zabrał ukradkiem z bufetu w jadalni.

Siedzący na krzeselku ustawionym do połowy w łazience Giordino skinął Pittowi niedbale ręką.

- Widziałeś coś ciekawego?

- Przybył kubański łącznik. Czekają na wymianę pasażerów.

- Długo sobie poczekają - rzucił Giordino.

- Mniej więcej cztery minuty. Tyle potrwa, zanim zakują nas w łańcuchy, wrzucą na łódź i wywiozą do Hawany.

- Na pewno nas znajdą - wykrztusił martwym głosem Larimer.

Pitt widział już wielu takich wypalonych ludzi - o woskowej skórze, patrzących tępo oczach i niespójnych, rozbieganych myślach. Mimo podeszłego wieku i życia w ciągłym napięciu Larimer w dalszym ciągu był potężnie zbudowanym mężczyzną, lecz serce i układ krążenia już nie wytrzymywały. Pitt nie musiał być lekarzem, aby dojść do wniosku, że senator pilnie potrzebuje pomocy medycznej.

- Rosyjska grupa poszukiwawcza jest po drugiej stronie korytarza - wyjaśnił Pitt.

- Nie możemy dopuścić, żeby znowu nas uwięzili - zawołał Moran. Zeskoczył z koi, rozglądając się dziko na wszystkie strony. - Musimy uciekać!

- Nie dojdzie pan do windy - warknął Pitt, potrząsając go za ramiona, jakby był rozkapryszonym dzieciakiem. Nie lubił go. Przewodniczący Izby Reprezentantów robił na nim wrażenie oślizgłego

krętacza.

- Tu nie ma się gdzie ukryć - powiedziała Loren lekko drżącym głosem.

Pitt nie odpowiedział. Przepchnął się koło Giordina i wszedł do łazienki. Odsunął zasłony prysznic i odkręcił gorącą wodę. Po niecałej minucie do zatłoczonej kabiny zaczęły wdzierać się kłęby pary.

- Dobra - rozkazał. - Wszyscy pod prysznic.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy gapili się na Pitta, który jak zjawia nie z tej ziemi stał w przejściu spowity obłokami mgły.

- Ruszajcie się! - zawołał ostro. - Będą tu lada chwila.

Giordino w oszołomieniu pokręcił głową.

- Jakim cudem chcesz wcisnąć troje ludzi do tej kabinki? Przecież tam z trudem mieści się jeden człowiek.

- Zakładaj perukę. Ty też tam wchodzisz.

- Wszyscy czworo? - z niedowierzaniem mruknęła Loren.

- Albo to, albo podróż gratis do Moskwy. W college'ach ciągle bawią się włączając do budek telefonicznych całymi grupami zajęciowymi.

Giordino nałożył perukę, a Pitt ponownie wszedł do łazienki i przykręcił gorącą wodę tak, że zrobiła się ledwo letnia. Dygocącego, klęczącego Morana umieścił między nogami stojącego Giordina. Larimer wcisnął swoje potężne ciało w róg przy tylnej ścianie kabinki, a Loren wspięła się Giordinowi na plecy. W końcu wszyscy tkwili pod prysznicem, zalewani strumieniami wody. Pitt, chcąc zwiększyć chmurę pary w kabinie, odkręcał właśnie kran z gorącą wodą w umywalce, kiedy usłyszał stukanie.

Podszedł szybko do drzwi i otworzył je natychmiast, aby nie okazywać podejrzanego wahania. Pierwszy oficer „Leonida Andriejewa” uklonił się lekko i uśmiechnął.

- Pan Gruber, prawda? Bardzo przepraszam, że pana niepokoiimy, ale przeprowadzamy rutynową inspekcję zraszaczy przeciwpożarowych. Nie ma pan nic przeciwko temu, że wejdziemy do środka?

- Ależ skąd - odparł Pitt. - Ze mną nie ma żadnego problemu, ale

moja żona jest pod prysznicem.

Oficer skinął głową na stewardesę, która precyzyjnie się koło Pitta i zaczęła udawać, że sprawdza umieszczone w suficie głowice zraszaczy. Potem wskazała drzwi łazienki. - Mogę wejść?

- Proszę bardzo - stwierdził wesoło Pitt. - Nie będzie miała nic przeciwko temu.

Stewardesa otworzyła drzwi i natychmiast otoczył ją obłok pary. Pitt podszedł i wsunął głowę do łazienki.

- Hej, kochanie, nasza pani steward chce sprawdzić zraszacz przeciwpożarowy. Nie masz nic przeciwko temu?

W wypływającej przez drzwi chmurze stewardesa zobaczyła wielką, pozlepianą w kosmyki szopę włosów i parę mocno podmalowanych oczu spoglądających na nią znad zasłony prysznicza.

- Nie ma sprawy - rozległ się głos Loren. - Aha, czy mógłbyś załatwić nam przy okazji parę dodatkowych ręczników?

Stewardesa powiedziała:

- Zaraz przyniosę ręczniki.

Pitt, żując niedbale kanapkę, podsunął tacę pierwszemu oficerowi, który grzecznie pokręcił głową.

- Cieszy mnie, że tak dbacie o bezpieczeństwo pasażerów - oświadczył Pitt.

- To tylko nasz obowiązek - stwierdził oficer, z zaciekawieniem spoglądając na opróżnioną do połowy tacę z kanapkami. - Widzę, że podoba się panu nasza okrętowa kuchnia.

- Moja żona i ja uwielbiamy przystawki - powiedział Pitt. - Wolimy je nawet od głównego dania.

Stewardesa wyszła z łazienki i powiedziała coś półgłosem do pierwszego oficera. Jedyne słowo, które dotarło do Pitta, brzmiało: „Niet”.

- Przepraszamy, że państwa niepokoiiliśmy - powiedział pierwszy oficer.

- Jesteśmy zawsze do dyspozycji - odparł Pitt.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za Rosjanami, pobiegł do łazienki.

- Niech wszyscy zostaną na swoich miejscach - rozkazał. - Nie ruszajcie się. - Potem położył się na koi i napchał sobie usta kawiozem na cieniutkich kromkach chleba. Dwie minuty później drzwi otworzyły się gwałtownie i do kabiny wpadła stewardesa. Jej oczy szperały po całej kabynie.

- Słucham panią? - wybełkotał Pitt z pełnymi ustami.

- Przyniosłam ręczniki - wyjaśniła.

- Niech je pani rzuci na umywalkę - poprosił obojętnym tonem Pitt.

Zrobiła dokładnie to, o co prosił, i wyszła z kabiny uśmiechając się do niego. Nie wyglądało na to, by cokolwiek podejrzewała.

Odczekał jeszcze dwie minuty, a potem uchylił drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Grupa poszukiwawcza wchodziła właśnie do kabiny przy końcu korytarza. Wrócił do łazienki i zakręcił wodę.

Ten, kto wymyślił zdanie: „Wyglądali jak zmokłe kury”, musiał mieć na myśli właśnie takich biedaków skulonych w miniaturowej kabince prysznic. Skóra na czubkach palców zaczynała się im już marszczyć, a ubrania mieli przemoczone do nitki. Giordino wyszedł pierwszy i cisnął ociekającą perukę do umywalki. Loren zeszła mu z pleców i natychmiast zaczęła wycierać włosy. Pitt pomógł Moranowi wstać, po czym niemal zaniósł Larimera na koję.

- To było bardzo rozsądne - powiedział, całując Loren w kark. - Ta twoja prośba o dodatkowe ręczniki.

- Przyszło mi do głowy, że to będzie niezłe posunięcie.

- Jesteśmy już bezpieczni? - zapytał Moran. - Może oni jeszcze wrócą?

- Nie będziemy bezpieczni, dopóki nie zejdziemy ze statku - wyjaśnił Pitt. - I możemy spodziewać się następnej wizyty. Kiedy zakończą pierwsze poszukiwania, rozpoczną następne i podwoją wysiłki.

- Czy masz jeszcze jakieś błyskotliwe pomysły ucieczki, panie Houdini? - zapytał Giordino.

- Tak - stwierdził Pitt z głębokim przekonaniem. - Jasne, że mam.

Rozdział 57

Drugi mechanik szedł kładką między dwoma potężnymi zbiornikami paliwa, które sterczały na wysokość dwóch pięter nad jego głową. Przeprowadzał zwykłą kontrolę, sprawdzając, czy w rurociągach doprowadzających olej napędowy do kotłów, które zasilały parą turbiny „Leonida Andriejewa”, nie ma jakichś przecieków.

Gwizdał pod nosem do wtóru dobiegającego zza przedniej grodzi pomruku turbogeneratorów. Co chwila przecierał szmatą miejsca, w których rury łączyły się z zaworami, i z zadowoleniem kiwał głową, stwierdzając, że szmata jest w dalszym ciągu czysta.

Nagle zatrzymał się, nasłuchując. Z prowadzącego na prawo wąskiego przejścia dobiegł go odgłos metalu uderzającego o metal. Zaintrygowany, poszedł cicho słabo oświetlonym tunelem. Na jego końcu, w miejscu gdzie korytarz zakręcał i prowadził dalej między zbiornikami paliwa a wewnętrznym poszyciem kadłuba, zatrzymał się i wpatrzył w półmrok.

Zobaczył człowieka w mundurze stewarda, który zdawał się mocować jakiś przedmiot. Mechanik zaczął się bezszelestnie skradać i wreszcie znalazł się w odległości zaledwie dziesięciu stóp od nieznanego.

- Co tu robisz? - zapytał.

Steward powoli odwrócił się i wyprostował. Był Azjata, miał pobrudzony biały mundur, a na pokładzie u jego stóp leżała otwarta

torba. Uśmiechnął się szeroko i nic nie odpowiedział.

Mechanik zrobił kilka kroków do przodu.

- Nie powinieneś tu przebywać. Do tej strefy obsługa pasażerska nie ma wstępu.

Steward znowu nic nie odpowiedział.

W tej samej chwili mechanik dostrzegł dziwny, nieforemny kształt umocowany do boku zbiornika. Dwa miedziane przewody łączyły go z leżącym obok torby mechanizmem zegarowym.

- Bomba! - wybełkotał z przerażeniem. - Zakładasz bombę!

Odwrócił się i krzyżąc zaczął biec korytarzykiem. Zrobił zaledwie pięć kroków, kiedy o stalowe ścianki odbił się echem odgłos przypominający dwa następujące szybko po sobie klaśnięcia i wystrzelone z pistoletu z tłumikiem pociski rozniosły mu tył głowy.

Wzniesiono obowiązkowe toasty, wychylono do dna i napełniono ponownie szklaneczki zamrożoną wódką. Pokowski pełnił honory domu przy stojącym w jego kabine barku i starał się unikać zimnego, przeszywającego spojrzenia mężczyzny siedzącego na sofie.

Gajdar Ombrikow, kierownik rezydentury KGB w Hawanie, nie był w najlepszym humorze.

- Wasz raport niezbyt spodobał się moim przełożonym - powiedział.

- Utrata agenta na dowodzonym przez was statku zostanie uznana za jaskrawy przejaw niedbałości.

- To statek wycieczkowy - odparł Pokowski. Jego twarz poczerwieniała z oburzenia. - Został zaprojektowany tak, aby zapewnić radzieckiemu skarbowi twardą, zachodnią walutę. Nie jesteśmy pływającym punktem dowodzenia Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego.

- W takim razie jak wytłumaczycie, że dziesięciu agentów z naszego dyrektoriatu zagranicznego zostało oddelegowanych na wasz statek, aby kontrolować rozmowy pasażerów?

- Staram się o tym nie myśleć.

- A powinniście - oznajmił Ombrikow tonem pogróżki.

- Mam dosyć zajęć związanych z dowodzeniem statkiem - odparł

szybko Pokowski. - Mój dzień pracy nie ma aż tylu godzin, żebym mógł się zajmować także zbieraniem informacji.

- Ale mimo to powinniście podjąć lepsze środki bezpieczeństwa. Jeżeli amerykańscy politycy uciekną i opowiedzą swoją historię, straszliwie skomplikuje to nasze stosunki międzynarodowe.

Pokowski odstawił swoją nietkniętą szklaneczkę wódki na barek.

- Na statku nie ma miejsca, w którym mogliby się przez dłuższy czas ukrywać. W przeciagu godziny znowu będą w naszych rękach.

- Mam nadzieję - powiedział kwaśno Ombrikow. - Niedługo amerykańska Marynarka Wojenna zacznie się zastanawiać, dlaczego radziecki statek pasażerski dryfuje tuż obok ich kubańskiej bazy, i wyśle patrol.

- Nie ośmielą się wejść na pokład „Leonida Andriejewa”.

- Nie, ale moja motorówka płynie pod banderą Stanów Zjednoczonych. Nie zawahają się przed przeprowadzeniem inspekcji.

- Ta stara motorówka jest bardzo ciekawa - rzekł Pokowski, próbując zmienić temat. - Gdzie ją pan zdobył?

- Pożyczył ją nam osobiście Fidel Castro - odparł Ombrikow. - Należała kiedyś do Ernesta Hemingwaya.

- Tak, czytałem jego cztery książki...

Słowa Pokowskiego przerwał wchodzący bez pukania pierwszy oficer.

- Przepraszam, że przychodzę bez uprzedzenia, towarzyszu kapitanie. Czy mógłbym zamienić z wami kilka słów na osobności?

Pokowski przeprosił gości i wyszedł z kabiny.

- Co się dzieje?

- Nie znaleźliśmy ich - odparł z zażenowaniem oficer.

Pokowski milczał przez chwilę, potem wbrew wydanym przez samego siebie poleceniom zapalił papierosa i spojrzał na oficera z dezaprobatą.

- W takim razie proponuję, abyście przeszukali statek ponownie, ale tym razem staranniej. I przypatrzcie się uważniej pasażerom na pokładzie. Uciekinierzy mogą się ukrywać w tłumie.

Pierwszy oficer skinął głową i oddalił się szybkim krokiem. Pokowski wrócił do kabiny.

- Jakies problemy? - zapytał Ombrikow.

Zanim Pokowski zdążył odpowiedzieć, poczuł, że przez kadłub statku przebiegło lekkie drżenie. Zaskoczyło go to. Czujny i spięty stał nieruchomo przez jakieś pół minuty, ale nic się nie zdarzyło.

Nagle „Leonidem Andriejewem” wstrząsnęła potężna eksplozja. Przewracając ludzi, przechyliła statek gwałtownie na prawą burzę. Całą jednostkę przebiegło konwulsyjne drżenie. Z lewej strony kadłuba wyrwał się olbrzymi kłęb ognia, z którego na odsłonięte pokłady runął deszcz rozpalonych stalowych odłamków i płonącego oleju. Huk eksplozji odbijał się echem nad wodą, a kiedy wreszcie ucichł, zapadła niesamowita cisza. Nad statkiem wyrosła potężna kolumna czarnego dymu, piętrząca się na kształt grzyba.

Nikt z siedmiuset pasażerów i członków załogi nie wiedział, że w śródkreściu, głęboko na dnie statku, eksplodowały zbiorniki paliwa. Wybuch wyrwał olbrzymią dziurę sięgającą powyżej i poniżej linii wodnej i zalał nadbudówki fontanną zielonobłękitnych płomieni palącej się ropy. Pożar ogarniał tekowe pokłady i znajdujące się na nich ofiary eksplozji z prędkością pożaru stepu.

Niemal w jednej chwili „Leonid Andriejew” z luksusowego statku pasażerskiego przekształcił się w tonący stos pogrzebowy.

Pitt poruszył się lekko i zaczął się zastanawiać, co to właściwie było. Przez całą minutę od chwili odzyskania przytomności leżał na pokładzie, na który rzuciła go siła wstrząsu, i usiłował zorientować się w sytuacji. Powoli stanął na czworakach, a potem, przytrzymując się klamki, podniósł się i wyprostował obolałe ciało. Był potłuczony, ale sprawny, nie miał nic złamanego ani zwichniętego, zajął się więc pozostałymi.

Giordino na wpół leżał w wejściu do kabinki prysznic. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, było to, że siedział w kabinie razem z innymi. Rozglądał się ze zdziwieniem, wyglądał jednak na całego i zdrowego. Moran i Loren wypadli z koi i leżeli oszołomieni na środku kabiny.

Zapewne przez tydzień lub dwa będą pokryci siniakami, lecz nie odnieśli większych obrażeń.

Larimer leżał skulony w drugim kącie kabiny. Pitt podszedł do niego i delikatnie uniósł głowę senatora. Nad lewą skronią nabrzmiewała paskudna opuchlizna, a z przeciętej wargi sączył się strumyczek krwi. Larimer był nieprzytomny, ale oddychał normalnie. Pitt zdjął poduszkę z dolnej koi i podłożył mu pod głowę. Pierwszy odezwał się Giordino:

- Co z nim?

- Po prostu ogłuszony - odparł Pitt.

- Co się stało? - wymamrotała Loren.

- Wybuch - wyjaśnił Pitt. - Gdzieś z przodu, prawdopodobnie w maszynowni.

- Kotły? - zastanawiał się na głos Giordino.

- Współczesne kotły są tak skonstruowane, żeby nie wylatywały w powietrze.

- Boże - jęknęła Loren. - Ciągłe dzwoni mi w uszach.

Na twarzy Giordina pojawił się dziwny wyraz. Wyjął z kieszeni monetę i potoczył ją po pokrytym wykładziną pokładzie. Nie straciła równowagi i nie zaczęła zataczać kręgów, by wreszcie upaść, ale przeturlała się przez całą kabinę i brzęknęła o przeciwległą ścianę.

- Statek się przechyla - oznajmił beznamiętnym głosem.

Pitt podszedł do drzwi i uchylił je lekko. Korytarz zaczęli wypełniać pasażerowie, którzy wychodzili ze swoich kabin i kręcili się w kółko, nie wiedząc, co dalej robić.

- Tyle, jeżeli chodzi o plan B - stwierdził.

Loren spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Plan B?

- Miałem zamiar ukraść tę motorówkę, która przypląnęła z Kuby. Nie przypuszczam, żeby w obecnej sytuacji udało się nam zdobyć na niej miejsca.

- O czym pan mówi? - zapytał Moran. Wstał niepewnie, przytrzymując się łańcucha mocującego koję. - To podstęp. Próbują nas

wypłoszyć.

- Byłby to dość kosztowny podstęp - zauważył zjadliwie Giordino. - Wybuch musiał poważnie uszkodzić statek. Najwyraźniej nabiera wody.

- Zatonimy? - spytał z niepokojem Moran.

Pitt zignorował go i znowu zerknął przez szparę w drzwiach. Większość pasażerów zachowywała się spokojnie, ale parę osób zaczęło krzyczeć i płakać. Zobaczył również, że korytarz zaczynają blokować ludzie, którzy bezmyślnie niosą całe naręcza osobistych rzeczy i pośpiesznie spakowane walizki. Nagle poczuł zapach palonej farby i po chwili dostrzegł pasemko dymu. Zatrzasnął drzwi, a potem zaczął zrywać koce z koi i rzucać je Giordinowi.

- Szybko namocz je razem z wszystkimi ręcznikami, jakie znajdziesz w łazience.

Giordino tylko spojrział na śmiertelnie poważną twarz Pitta i zabrał się do wypełniania polecenia. Loren uklękła i spróbowała unieść głowę i ramiona Larimera. Senator jęknął i otworzył oczy. Popatrzył na Loren, jakby starał się ją rozpoznać. Moran przywarł do ściany, mrużąc coś pod nosem.

Pitt niezbyt łagodnym ruchem odsunął Loren, zarzucił sobie rękę Larimera na szyję i pomógł mu wstać. Giordino wyszedł z łazienki i rozdał mokre ręczniki i koce.

- Dobra, Al, pomożesz mi prowadzić senatora. Loren, trzymaj się kongresmana Morana i idź tuż za mną. - Przerwał i powiódł po wszystkich wzrokiem. - W porządku, ruszamy.

Otworzył drzwi na oścież i ogarnęła ich ściana płynącego nie wiadomo skąd dymu.

Zanim jeszcze ucichł huk eksplozji, kapitan Pokowski otrząsnął się z oszołomienia i pobiegł na mostek. Młody oficer wachtowy rozpaczliwie tłukł pięścią w konsolę systemu sterowania statkiem.

- Zamknąć drzwi wodoszczelne i włączyć system przeciwpożarowy!

- krzyknął Pokowski.

- Nie mogę! - zawołał bezradnie oficer. - Wysiadło całe zasilanie.

- A co z pomocniczymi generatorami?

- Też nie działają. - Twarz oficera wachtowego zdradzała krańcowe oszołomienie. - Telefony pokładowe nie funkcjonują, komputer kontroli awarii nieczynny. Nic nie działa. Nie możemy nawet ogłosić alarmu.

Pokowski wybiegł na skrzydło mostku i rozejrzał się wokoło. Całe śródkręcie jego niedawno tak pięknego statku ogarnięte było ogniem i dymem. Przed kilkoma minutami grała tam muzyka i stali rozbawieni, zrelaksowani pasażerowie, teraz zaś był to widok jak z horroru. Otwarty basen kąpielowy i pokład spacerowy zmieniły się w krematorium. Dwieście opalających się tam osób zostało niemal natychmiast zwęglonych przez falę płonącego paliwa. Kilkoro uratowało się przed ogniem skacząc do basenu, lecz umarli po wynurzeniu się, gdyż żar spopielił im płuca. Wielu ludzi, których skóra i plażowe ubrania płonęły, wspięło się na relingi i skoczyło do morza.

Ten straszliwy obraz wstrząsnął Pokowskim i przyprawił go o mdłości. Przypominał jakiś fragment piekła. Kapitan zdawał sobie sprawę, że statek jest stracony. Nie było sposobu powstrzymania ognia, a w miarę jak morze wdzierało się do wnętrza „Leonida Andriejewa”, powiększał się też przechył. Wrócił na mostek.

- Przekażcie rozkaz opuszczania statku - polecił oficerowi wachtowemu. - Szalupy z lewej burty płoną. Umieście kobiety i dzieci we wszystkich ocalałych szalupach z prawej burty.

Gdy oficer wachtowy opuszczał mostek, pojawił się na nim zadyszany wspinaczką główny mechanik, Erik Kazinkin. Brwi i połowę włosów miał spalone. Podeszwy jego butów dymiły, ale zdawał się nie zwracać na to uwagi. Był zupełnie oszołomiony.

- Meldujcie, co się stało - spokojnym tonem polecił Pokowski. - Co spowodowało wybuch?

- Ekspłodował zbiornik paliwa - odparł Kazinkin. - Bóg raczy wiedzieć, dlaczego. Doszczętnie zniszczył pomieszczenia generatorów głównych i pomocniczych. Kotłownia numer dwa i trzy są zalane.

Zdołaliśmy ręcznie zamknąć drzwi wodoszczelne do maszynowni, ale statek nabiera wody w zastraszającym tempie. A ponieważ nie mamy energii, żeby uruchomić pompy... - Nie kończąc, wzruszył ramionami.

Wszelkie nadzieje na ocalenie „Leonida Andriejewa” rozwiały się. Pozostawało tylko jedno makabryczne pytanie - czy najpierw stanie się wypalonym, pływającym wrakiem, czy zatonie? Pokowski doszedł do ponurego wniosku, że niewiele osób przeżyje następną godzinę. Jedni się spalą, inni utoną, nie mogąc dostać się do żałośnie niewielkiej liczby łodzi ratunkowych, które udało się opuścić na wodę.

- Wyprowadźcie ludzi na górę - oznajmił. - Opuzczamy statek.

- Tak jest, kapitanie - powiedział główny mechanik. Wyciągnął rękę.
- Powodzenia.

Rozstali się i Pokowski poszedł do kabiny łączności, znajdującej się pod mostkiem. Kiedy kapitan niespodziewanie pojawił się w drzwiach, radiooficer podniósł głowę znad aparatury.

- Wyślij sygnał wezwania pomocy - rozkazał Pokowski.

- Zacząłem na własną odpowiedzialność nadawać Mayday natychmiast po wybuchu.

Pokowski położył dłoń na ramieniu oficera.

- W porządku. - A potem zapytał spokojnie: - Czy udało ci się nadać sygnał bez problemów?

- Tak. Kiedy zasilanie wysiadło, przełączyłem się na akumulatory awaryjne. Pierwszą odpowiedź uzyskałem z koreańskiego kontenerowca, który znajduje się w odległości dziesięciu mil na południowy wschód.

- Dzięki Bogu, że są w pobliżu. Czy ktoś jeszcze się odezwał?

- Amerykańska baza Marynarki Wojennej w Guantanamo wysłała okręty ratunkowe i śmigłowce. Poza tym koreańskim statkiem w promieniu pięćdziesięciu mil jest tylko norweski wycieczkowiec.

- To za daleko - odparł z namysłem Pokowski. - Musimy pokładać nadzieję jedynie w Koreańczykach i Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych.

Pitt, z głową owiniętą mokrym kocem, musiał po omacku szukać drogi w korytarzu i zadymionej klatce schodowej. Trzy albo cztery razy on i Giordino potykali się o ciała pasażerów, którzy zginęli zaczadzeni. Larimer próbował ze wszystkich sił dotrzymać im kroku, a Loren i Moran kuśtykali z tyłu za nimi, trzymając Pitta i Giordina za paski.

- Jak daleko jeszcze? - wykrztusiła Loren.

- Musimy pokonać cztery kondygnacje, zanim wydostaniemy się na pokład spacerowy - wysapał w odpowiedzi Pitt.

Na drugim podejściu natrafili na zбитy mur ludzi. Klatka schodowa była tak zatłoczona pasażerami uciekającymi przed dymem, że nie sposób było iść dalej. Załoga działała sprawnie i spokojnie, próbując skierować ludzką falę na pokład łodziowy, ale spokój ten nie zapobiegł nieuniknionej eksplozji paniki i marynarze zostali w końcu zmiecieni wrzeszczącą, ogarniętą przerażeniem masą kłębiących się ciał.

- Na lewo! - zawołał Giordino Pittowi do ucha. - Korytarz prowadzi w kierunku rufy, do drugiej klatki schodowej.

Pitt darzył głębokim zaufaniem swojego małego przyjaciela. Skręcił w boczny korytarz, pociągając za sobą Larimera. Senator wreszcie odzyskał zdolność poruszania się i zaczął iść samodzielnie. Z ulgą zorientowali się, że dym staje się mniej gęsty, podobnie jak tłum przerażonych ludzi. Kiedy wreszcie dotarli do schodów, okazało się, że są prawie puste.

Wyszli na górę, na pokład za galerią obserwacyjną. Po kilku chwilach, kiedy przestali kaszleć i świeże powietrze oczyściło ich płuca z dymu, popatrzyli z przerażeniem na skazany na zagładę statek.

„Leonid Andriejew” pochylił się trzydzieści stopni na lewą burtę. Tysiące galonów oleju napędowego wylało się do morza i stanęło w płomieniach. Woda wokół wyszarpanego eksplozją otworu była jedną masą ognia. Całe śródokręcie przypominało olbrzymią pochodnię. Potworny żar rozpałił stalowe płyty do czerwoności i powyginał je w groteskowe kształty. Białą farbę pokrywały czarne pęcherze, tekowe pokłady były prawie całkowicie spalone, a szkło w iluminatorach pękało z trzaskiem armatnich wystrzałów.

Płomienie, pędzone oceanicznym wiatrem w kierunku mostku, rozprzestrzeniały się z niewiarygodną prędkością. Błyskawicznie ogarnęły kabinę łączności i radiooficer spłonął przy aparaturze. Ogień i kłębiący się dym strzeliły w górę klatkami schodowymi i przewodami wentylacyjnymi. „Leonid Andriejew”, podobnie jak wszystkie nowoczesne statki pasażerskie, został zaprojektowany i skonstruowany z myślą o zapewnieniu maksymalnego bezpieczeństwa przeciwpożarowego, ale najdokładniejsze nawet plany czy programy nie były w stanie przewidzieć niszczycielskich rezultatów wybuchu zbiorników paliwa. Przypominało to efekt wystrzału z jakiegoś gigantycznego miotacza ognia.

Ogromna, piętrząca się na wysokość kilkuset stóp chmura oleistego dymu, spłaszczona przez wiejące w górze prądy powietrzne, rozciągała się nad statkiem jak całun. Podstawę chmury tworzył kłęb ognia wijący się i wzbijający w górę burzą pomarańczowych i żółtych płomieni. W dole, w głębi kadłuba, płomienie były białoniebieskie jak w palniku acetylenowym. Stały dopływ powietrza przedostającego się przez zdruzgotane płyty poszycia powodował efekt pieca martenowskiego i sprawił, że temperatura osiągnęła punkt topienia stali.

Choć wielu pasażerów zdołało wydostać się klatkami schodowymi na górę, ponad setka została na dolnych pokładach. Niektórzy zostali uwięzieni i spaleni w swoich kabinach, inni uduszeni dymem w czasie próby ucieczki. Tych, którym się udało, płomienie spychały w stronę rufy, coraz dalej od łodzi ratunkowych.

Wszelkie próby załogi, by zaprowadzić porządek, zniweczył chaos. Wreszcie pasażerów pozostawiono samych sobie i nikt z nich nie wiedział, co robić dalej. Wszystkie lewoburtowe szalupy płonęły, a z prawej strony udało się opuścić zaledwie trzy. Potem płomienie odcięły dostęp do pozostałych. Jedna szalupa zaczęła płonąć, zanim dotknęła powierzchni morza.

Ludzie zaczęli skakać do wody jak wędrujące lemingi. Od jej powierzchni dzieliło ich prawie pięćdziesiąt stóp i ci, którzy popełnili błąd i nadmuchali kamizelki ratunkowe jeszcze na pokładzie, zginęli z

przetrąconymi karkami. Kobiety stały sparaliżowane strachem, zbyt przerażone, by rzucić się do morza. Mężczyźni przeklinali z rozpaczą. Pływający w wodzie kierowali się w stronę nielicznych łodzi ratunkowych, ale ich załogi zapuściły silniki i odpłynęły dalej w obawie, że szalupy zostaną zatopione przez nadmiar ludzi.

Nagle w samym środku rozgrywającego się dramatu pojawił się koreański kontenerowiec. Kapitan zatrzymał statek w odległości stu jardów od „Leonida Andriejewa” i opuścił swoje szalupy najszybciej, jak to było możliwe. Kilka minut później pojawiły się ratunkowe śmigłowce Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych i zaczęły podnosić rozbitków z powierzchni morza.

Rozdział 58

Loren jak zahipnotyzowana patrzyła na ścianę zbliżającego się ognia.

- Czy nie powinniśmy już skakać, albo coś w tym rodzaju? - zapytała niepewnym tonem.

Pitt nie odpowiedział od razu. Popatrzył uważnie na nachylony pokład i ocenił, że przechył wynosi już około czterdziestu stopni.

- Nie ma potrzeby się spieszyć - odparł ze spokojem. - Płomienie nie dotrą do nas przez najbliższe dziesięć minut. Im bardziej statek pochyli się na lewą burtę, z tym mniejszej wysokości będziemy musieli skakać. A tymczasem sądzę, że powinniśmy wyrzucać za burtę krzesła plażowe, żeby ci biedacy w wodzie mogli się czegoś trzymać, zanim ich wyciągną.

Ku ogólnemu zaskoczeniu, pierwszy zareagował Larimer. Zaczął zgarniać składane krzesła w swoje potężne ramiona i przerzucać je przez reling. Wyglądał teraz na człowieka, który doskonale wie, co robi. Milczący Moran stał beczynnym, przyciśnięty do ścianki nadbudówki, sparaliżowany strachem.

- Niech pan uważa, żeby nie trafić kogoś w głowę - odezwał się Pitt do Larimera.

- Za nic w świecie - odparł ze zmęczonym uśmiechem senator. - To mogą być moi wyborcy. Utraciłbym ich głosy.

Kiedy wszystkie krzesła znajdujące się w zasięgu wzroku poleciały

już za burtę, Pitt stał przez dwie czy trzy sekundy oceniając sytuację. Żar płynący od ognia był jeszcze do zniesienia. Ogień nie zabije ludzi stłoczonych na rufowym pokładzie przynajmniej w ciągu najbliższych kilku minut. Znowu precyzyjnie się przemieścił przez tłum do samego relingu. Fale przetaczały się w odległości zaledwie dwudziestu stóp pod nimi.

- Pomóżmy tym ludziom skoczyć za burtę - krzyknął do Giordina. Potem odwrócił się i przyłożył do ust złożone ręce. - Nie ma już ani chwili do stracenia! - zawołał co sił w płucach, starając się przekrzyknąć gwar przerażonego tłumu i ryk płomieni. - Płyńcie z całych sił albo zginiecie!

Kilku mężczyzn zareagowało natychmiast. Schwycili za ręce swe protestujące żony, przeszli przez reling i zniknęli za burtą. Za ich przykładem poszły bez wahania trzy nastolatki.

- Płyńcie w stronę krzeseł i wykorzystajcie je jako tratwy ratunkowe - powtarzał bez przerwy Giordino.

Pitt połączył kilka rodzin w jedną grupę i kiedy Loren starała się dodawać odwagi dzieciom, polecił rodzicom, żeby skoczyli do wody i dotarli do pływających krzeseł. Potem przenosił po jednym dziecku przez reling, opuszczał je najniżej jak mógł, a potem czekał do chwili, kiedy ojciec i matka zaczęli holować je na bezpieczną odległość.

Wielka ściana płomieni zbliżała się coraz bardziej i oddychanie stawało się coraz trudniejsze. Żar był taki, jakby stali przed otwartym piecem hutniczym. Pitt przeliczył szybko pozostałych. Na rufowym pokładzie znajdowało się jeszcze około trzydziestu osób i wszystko wskazywało, że ich ewakuacja będzie zażartym wyścigiem z czasem.

Potężny, zwalisty mężczyzna wysunął się naprzód i powiedział, że nie ruszy się z miejsca.

- W wodzie jest pełno rekinów! - wrzasnął histerycznie. - Lepiej zostaniemy tu i czekajmy na śmigłowce.

- Nie będą mogły zawisnąć nad statkiem, bo turbulencja powietrza spowodowana ogniem jest zbyt silna - wyjaśnił mu cierpliwie Pitt. - Może się pan spalić na popiół albo zaryzykować i skoczyć. Co pan wybiera? Pospiesz się, człowieku, blokujesz drogę innym.

Giordino wykonał dwa kroki, napiął mięśnie i podniósł wielkiego zawalidrogę. Kiedy niósł mężczyznę do relingu i wyrzucał go bezceremonialnie za burtę, w jego wzroku nie było wrogości czy gniewu.

- Przyślij mi pocztówkę! - zawołał w ślad za nim.

Wyglądało na to, że akcja ta skłoniła kilku ociągających się pasażerów do podjęcia decyzji. Jeden po drugim opuszczali płonący statek, a Pitt pomagał skakać do wody starszym małżeństwom.

Kiedy wreszcie wszyscy opuścili pokład, Pitt obejrzał się i popatrzył na Loren.

- Twoja kolej - powiedział.

- Nie skoczę bez moich przyjaciół! - odparła stanowczym tonem.

Pitt zerknął w dół, żeby sprawdzić, czy w wodzie koło burty nie ma nikogo. Larimer był tak słaby, że ledwo mógł przełożyć nogę przez reling. Giordino pomógł mu, a Loren skoczyła trzymając się za rękę z Moranem. Pitt obserwował ich z niepokojem i odetchnął z ulgą dopiero gdy odплыnęli od statku. Podziwiał wytrzymałość Loren, która holując Morana za kołnierz, wykrzykiwała Larimerowi słowa otuchy.

- Lepiej jej pomóż - zwrócił się do Giordina.

Nie musiał go poganiać. Al skoczył, zanim Pitt jeszcze raz powtórzył mu polecenie.

Pitt po raz ostatni spojrzał na „Leonida Andriejewa”. Powietrze dygotało pod wpływem żaru płomieni strzelających z każdego otworu. Przechył przekroczył już pięćdziesiąt stopni i do zatonięcia statku pozostało zaledwie parę minut. Prawoburtowa śruba już wyłoniła się nad powierzchnię, a wokół linii wodnej wzbijały się białe chmury syczącej wściekle pary. Pitt szykował się właśnie do skoku, kiedy nagle zamarł ze zdziwienia. Kątem oka dostrzegł mężczyznę, który wyslizgnął się z iluminatora kabiny oddalonej o czterdzieści stóp. Bez wahania podniósł jeden z mokrych koców leżących na pokładzie, zarzucił go sobie na głowę i kilkoma skokami pokonał odległość dzielącą go od tego miejsca. Głos z wnętrza kabiny wzywał pomocy. Zajrzał do środka i zobaczył rozszerzone z przerażenia oczy kobiety.

- O Boże, proszę, niech nam pan pomoże.

- Ile tam was jest?

- Ja i dwoje dzieci.

- Proszę podać dzieciaki.

Twarz zniknęła i zaraz potem przez wąski otwór przepchnięty został sześćioletni chłopiec. Pitt ustawił go sobie między nogami, osłaniając malca i siebie wilgotnym kocem jak namiotem. Następnie przez iluminator wręczono mu trzyletnią dziewczynkę. Niewiarygodne, ale spała smacznie.

- Niech mi pani poda rękę - polecił Pitt, w głębi duszy zdając sobie sprawę, że sytuacja jest beznadziejna.

- Nie mogę się precyzyjnie - zawołała. - Otwór jest za mały!

- Czy ma pani wodę w łazience?

- Nie.

- Proszę się rozebrać do naga! - zawołał z desperacją Pitt. - Niech pani weźmie kosmetyki i wysmaruje całe ciało jakimś kremem.

Kobieta skinęła głową na znak, że zrozumiała, i zniknęła w głębi kabiny. Pitt, trzymając pod każdą pachą dziecko, odwrócił się i podbiegł do relingu. Z olbrzymią ulgą zobaczył Giordina unoszącego się na wodzie niedaleko burty i spoglądającego do góry.

- Al - zawołał. - Łap!

Jeżeli Giordino był zdziwiony widząc Pitta z dwójką dzieci, nie okazał tego po sobie. Wyciągnął ręce i przejął maluchy, jakby to były piłki futbolowe.

- Skacz! - krzyknął do Pitta. - Statek tonie.

Pitt nie tracił czasu na odpowiedź. Pobiegł z powrotem do iluminatora kabiny, choć wiedział, że próba ocalenia matki jest tylko aktem rozpacz. Miał wrażenie, że wszystko to robi zupełnie inny, całkowicie obcy człowiek.

Powietrze było tak gorące i suche, że pot parował, zanim jeszcze wydobył się przez skórę. Żar bijący z pokładu przenikał przez podeszwy butów. Pitt potknął się i niemal upadł, gdy ciężki dreszcz wstrząsnął skazanym na zagładę statkiem. „Leonid Andriejew” drgnął

gwałtownie i jeszcze silniej pochylił się na lewą burtę. To były jego ostatnie drgawki przed przewróceniem się i zatonięciem.

Pitt ukląkł, opierając się kolanami o nachyloną ściankę kabiny i wsunął ręce przez iluminator. Para dłoni z całych sił schwyciła go za nadgarstki. Pociągnął. Przez otwór przesunęły się ramiona i piersi kobiety. Kiedy pociągnął jeszcze raz, z trudem przecisnęły się i biodra.

Płomienie zbliżyły się i niemal lizały mu plecy. Pokład gwałtownie zapadał się pod stopami. Objął kobietę w pasie i skoczyli dokładnie w chwili, gdy „Leonid Andriejew” przewrócił się, zadzierając ku niebu śruby.

Gwałtowny prąd wciągnął ich pod powierzchnię i zakręcił w wirze jak lalkami. Pitt gwałtownie młócił wodę wolną ręką i nogami. Widział, jak połyskująca powierzchnia bardzo wolno zmienia swoją barwę z zielonej na niebieską.

Krew dudniła mu w uszach i miał wrażenie, że płuca wypełnia mu rój wściekłych os. Cieniutka czarna przesłona zaczęła przyćmiewać mu wzrok. Poczuł, że kobieta, którą podtrzymywał ramieniem, obwisła bezwładnie, jeszcze bardziej spowolniając drogę ku powierzchni. Wykorzystał już ostatnie atomy tlenu i w głowie zaczęły mu eksplodować fajerwerki. Jeden z rozbłysków przypominał pomarańczową kulę, która pęczniała i wreszcie wybuchła migotliwym światłem. Przebił się przez powierzchnię wody z twarzą zwróconą w stronę południowego słońca. Z wdzięcznością chwycił powietrze wielkimi haustami. Ciemności zaczęły się rozwiewać, zniknęło dudnienie w uszach i ból w płucach. Kilkakrotnie ucisnął szybko brzuch nieprzytomnej kobiety, wypychając jej z gardła słoną wodę. Szarpnęły nią skurcze, zaczęła wymiotować, a potem ogarnął ją atak kaszlu. Dopiero gdy ponownie zaczęła niemal normalnie oddychać i jęknęła, rozejrzał się wokół, szukając wzrokiem innych.

Giordino płynął w ich kierunku, popychając przed sobą krzesło, na którym siedziała dwójka dzieci. Nie zwracały uwagi na rozgrywającą się wokół nich tragedię, zaśmiewając się z robionych przez niego min.

- Zacząłem się już zastanawiać, czy masz zamiar się pojawić -

powiedział.

- Co ma wisieć, nie utonie - odparł Pitt. Podtrzymał matkę dzieci do chwili, kiedy oprzytomniała na tyle, że mogła samodzielnie schwycić się krzesła.

- Zaopiekuję się nimi - powiedział Giordino. - A ty lepiej pomóż Loren. Sądzę, że senator nie żyje.

Pitt, na wpeł przytomny ze zmęczenia, miał wrażenie, że ręce ma wypełnione ołowiem. Płynął jednak równymi, mocnymi pociągnięciami, aż wreszcie dotarł do pływających szczątków, które pomagały Loren i Larimerowi utrzymać się na powierzchni. Loren, z poszarzałą twarzą i oczyma pełnymi smutku, podtrzymywała głowę senatora nad wodą. Pitt spostrzegł z rezygnacją, że jej trud jest już zbędny. Larimer nigdy więcej nie zasiądzie w Senacie. Jego skóra nabrała fioletowego odcienia i pokryła się plamami. Walczył do końca, ale pół wieku życia na wysokich obrotach dało znać o sobie. Wysiłek przekroczył granice wytrzymałości serca, które ostatecznie zastrajkowało.

Pitt łagodnie odsunął ręce Loren od ciała senatora i odepchnął zwłoki. W pierwszym momencie chciała zaprotestować, zaraz jednak odwróciła się, nie mogąc znieść widoku ciała, które odpływało popychane lekko falującym morzem.

- Zasłużył na państwowy pogrzeb powiedziała głuchym szeptem.

- To nie ma znaczenia - odparł. - Dopóki będą wiedzieli, jaki to był człowiek.

Loren oparła głowę na ramieniu Pitta, i łzy na jej policzkach mieszały się ze słoną wodą. Pitt rozejrzał się wokoło.

- Gdzie jest Moran?

- Zabrał go śmigłowiec Marynarki Wojennej.

- Zostawił cię? - spytał z niedowierzaniem Pitt.

- Ktoś z załogi śmigłowca zawołał, że mogą zabrać tylko jedną osobę.

- I czcigodny przewodniczący Izby Reprezentantów zostawił kobietę pomagającą umierającemu mężczyźnie, żeby ratować się samemu?

Niechęć, jaką Pitt czuł do Morana, przerodziła się w zimną

wściekłość. Ogarnęło go obsesyjne pragnienie wyrżnięcia kongresmana pięścią w jego paskudny, szcurzy pyszczek.

Kapitan Pokowski siedział w kabinie motorówki, zatykając uszy rękami. Chciał stłumić straszliwe krzyki tonących i poparzonych. Nie mógł patrzeć na ten koszmar, obserwować, jak „Leonid Andrejew” idzie na dno.

Spojrzał szklistymi, nieruchomymi oczyma na Ombrikowa.

- Dlaczego mnie uratowaliście? Dlaczego nie pozwoliliście mi zginąć razem z moim statkiem?

Ombrikow wyraźnie widział, że Pokowski znajduje się w stanie głębokiego szoku, ale nie czuł żadnego współczucia. Śmierć była zjawiskiem, które agent KGB nauczył się przyjmować jako rzecz oczywistą. Jego obowiązek był ważniejszy od współczucia czy żalu.

- Nie mam czasu na jakieś tam morskie rytuały - oznajmił zimno. - Szlachetny kapitan stojący na mostku swojego tonącego statku i oddający honory banderze to kiczowata bzdura. Komitet Bezpieczeństwa Państwowego i ja potrzebujemy was, Pokowski, żebyście zidentyfikowali te amerykańskie grube ryby.

- Najprawdopodobniej nie żyją - mruknął niewyraźnie kapitan.

- W takim razie musimy zdobyć dowody - warknął bezlitośnie Ombrikow. - Moi zwierzchnicy będą się domagali identyfikacji ich ciał. Musimy też brać pod uwagę możliwość, że żyją i są tu teraz gdzieś w pobliżu.

Pokowski zakrył twarz dłońmi i zadrżał.

- Nie mogę...

Zanim skończył mówić, Ombrikow chwycił go za ramię, podniósł szarpnięciem i wyciągnął na pokład.

- Niech cię diabli! - wrzasnął. - Szukaj ich!

Pokowski zacisnął zęby i spojrzał na otaczający ich horror. Pływające szczątki statku, setki walczących o życie mężczyzn, kobiet i dzieci. Zbladł gwałtownie i zdusił narastający w gardle jęk.

- Nie! - krzyknął.

Przeskoczył przez burtę tak szybko, że ani Ombrikow, ani członkowie załogi nie zdołali go zatrzymać. Zanurzył się i płynął coraz głębiej, aż biel jego munduru przestała być widoczna.

Szalupy z kontenerowca wydobywały rozbitków najszybciej jak mogły, płynęły do statku, wyładowywały swój ludzki ładunek i natychmiast wracały do miejsca katastrofy, by ponownie podjąć działania ratunkowe. Morze pełne było najrozmaitszych pływających przedmiotów, zwłok i ludzi wciąż jeszcze walczących o życie. Na szczęście woda była ciepła i nikt nie odczuwał skutków wychłodzenia, nie pojawiły się też rekiny.

Jedna z łodzi podpłynęła do Giordina, który pomógł wejść do niej matce z dwójką dzieci. Potem sam wspiął się do wnętrza i powiedział sternikowi, aby płynął w kierunku Pitta i Loren. Poza nimi było już niewiele do uratowania.

Gdy szalupa znalazła się niedaleko, Pitt uniósł dłoń, pozdrawiając wychylonego przez burtę niskiego, krępego mężczyznę.

- Halo! - zawołał z uśmiechem. - Miło was widzieć.

- Zawsze do usług - odparł tamten. Był to steward, którego Pitt niedawno mijał koło windy. Również uśmiechał się szeroko, odsłaniając duże górne zęby rozdzielone sporą szczeliną.

Wychylił się, schwycił Loren za nadgarstki i bez wysiłku wciągnął ją do łodzi. Pitt wyciągnął rękę, ale steward nie zareagował.

- Przykro mi - powiedział. - Nie mamy już miejsca.

- Co? O czym pan mówi?! - zawołał Pitt. - Łódź jest w połowie pusta.

- Nie jest pan mile widziany na moim statku.

- Przecież on wcale do pana nie należy.

- Ależ tak, należy.

Pitt spoglądał na stewarda nie wierząc własnym oczom, a potem odwrócił się i popatrzył na kontenerowiec. Na dziobie jednostki widniał napis „Chalmette”, a na bokach kontenerów ustawionych na głównym pokładzie znajdowała się nazwa armatora - Bougainville. Poczul się, jakby ktoś kopnął go w żołądek.

- Nasze spotkanie to dla mnie niezwykle szczęśliwy przypadek, panie Pitt, ale obawiam się, że dla pana to pech.

Pitt popatrzył na stewarda zdziwiony.

- Pan mnie zna?

Uśmiech tamtego zmienił się w pełen nienawiści i pogardy grymas.

- Aż za dobrze. Pańskie wścibstwo dużo kosztowało Linie Żeglugowe Bougainville.

- Niech mi pan powie, kim pan jest? - zapytał Pitt, usiłując zyskać na czasie. Jednocześnie rozpaczliwie spoglądał w niebo, wypatrując ratunkowego śmigłowca Marynarki Wojennej.

- Chyba nie dam panu tej satysfakcji - powiedział steward tonem, w którym było równie dużo ciepła, co w otwartym zamrażalniku.

Loren, która nie słyszała przebiegu tej rozmowy, pociągnęła stewarda za rękę.

- Dlaczego nie pomożesz mu wejść do środka? Na co czekasz?

Odwrócił się i z całej siły trzasnął ją dłonią w policzek. Cios odrzucił Loren do tyłu, na dwóch rozbitków, którzy siedzieli w pełnym oszołomienia zaskoczeniu.

Giordino, stojący na rufie szalupy, ruszył do przodu. Marynarz z obsługi szalupy wyciągnął spod ławki automatyczną strzelbę śrutową i wyrznął go drewnianą kolbą w żołądek. Dolna szczęka Giordina opadła, stracił równowagę i upadł, przewieszony górną połową ciała przez burtę tak, że ręce zagłębiły się w wodzie.

Wargi stewarda zacisnęły się. Jego gładka żółta twarz nie zdradzała żadnych uczuć, tylko oczy płonęły mu złością.

- Dziękuję panu za tak owocną współpracę, panie Pitt. Dziękuję, że tak uprzejmie przybył pan do mnie.

- Pieprz się! - warknął wyzywająco Pitt.

Steward uniósł wiosło nad głową.

- *Bon voyage*, Dirku Pitt.

Wiosło opadło łukiem w dół i trafiło Pitta pod prawym obojczykiem, wpychając go pod wodę. Powietrze gwałtownie uciekło mu z płuc, poczuł ból przeszywający klatkę piersiową. Wynurzył się i uniósł lewą

rękę nad głową, aby osłonić się przed następnym, nieuniknionym ciosem. Ale spóźnił się. Wiosło w rękach stewarda zepchnęło ramię Pitta w dół i uderzyło go w czubek głowy.

Błękit nieba szerniał. Pitt stracił przytomność, powoli zanurzył się pod łódź ratunkową i zniknął z pola widzenia.

Rozdział 59

Żona prezydenta weszła do gabinetu na pierwszym piętrze, pocałowała męża na dobranoc i poszła spać. Prezydent siedział w swoim fotelu z wysokim oparciem i haftowanymi obiciami i przeglądał plik danych statystycznych ostatniej prognozy ekonomicznej. Na dużym bloku z żółtawymi kartkami sporządzał mnóstwo notatek. Niektóre odkładał, inne wyrywał i wyrzucał, zanim je ukończył. Po prawie trzech godzinach zdjął okulary i na kilka chwil zamknął znużone oczy.

Kiedy otworzył je znowu, nie był już w swoim gabinecie w Białym Domu, ale w pozbawionym okien niewielkim, pomalowanym na szaro pomieszczeniu o wysokim suficie.

Przetarł oczy i rozejrzał się ponownie, mrugając pod wpływem ostrego światła.

Wciąż znajdował się w szarym pokoju, ale tym razem siedział w twardym drewnianym fotelu. Kostki miał przywiązane do jego kwadratowych nóg, a ręce do podłokietników.

Poczuł, że ogarnia go straszliwy lęk. Zaczął wołać żonę i strażników ze służby bezpieczeństwa, ale głos, który słyszał, nie należał do niego. Brzmiał inaczej, był głębszy, bardziej ochrypły.

Po chwili wpuszczone w ścianę drzwi otworzyły się do środka i wszedł niski mężczyzna o szczupłej, inteligentnej twarzy. Jego oczy miały posepny wyraz, a w dłoni trzymał strzykawkę.

- Jak się pan dziś czuje, panie prezydencie? - zapytał uprzejmie.

Słowa brzmiały obco, ale ku swojemu zdziwieniu prezydent rozumiał je doskonale. A potem usłyszał, że krzyczy raz za razem:

- Jestem Oskar Bielka, a nie prezydent Stanów Zjednoczonych. Jestem Oskar... - Przerwał, gdy przybysz wbił mu igłę w ramię.

Po zrobieniu zastrzyku niski mężczyzna skinął głową w stronę drzwi i na jego znak wszedł drugi człowiek w szarym więziennym uniformie. Na spartańskim metalowym stoliku, przyśrubowanym do podłogi, ustawił magnetofon kasetowy, umocował go do czterech niewielkich uchwytów i wyszedł.

- Nie będzie już pan mógł zrzucić swojej nowej lekcji na podłogę, panie prezydencie - oznajmił mężczyzna. - Mam nadzieję, że uzna ją pan za interesującą. - Potem włączył magnetofon i wyszedł.

Prezydent próbował otrząsnąć się z koszmaru. Ale wszystko to wydawało się zbyt realne jak na wytwór wyobraźni. Czuł zapach własnego potu, czuł ból powodowany przez wrzynające się w ciało taśmy, którymi przymocowano go do fotela, słyszał swoje krzyki odbijające się echem od ścian. Głowa opadła mu na piersi i zaczął niepowstrzymanie łkać. A magnetofon monotonicznie powtarzał zapis. Kiedy wreszcie prezydentowi udało się opanować, z ogromnym trudem uniósł głowę i popatrzył wokół siebie.

Siedział w swoim gabinecie w Białym Domu.

Sekretarz Oates rozmawiał przez telefon z Danem Fawcettem, który zadzwonił na jego prywatny numer.

- Jaką masz tam sytuację? - zapytał nie tracąc czasu.

- Krytyczną - odparł Fawcett. - Wszędzie uzbrojone straże. Nie widziałem tyle wojska od czasów, kiedy służyłem w Piątym Pułku Piechoty Morskiej w Korei.

- A prezydent?

- Wydaje polecenia w tempie karabinu maszynowego. Nie słucha już żadnych sugestii swoich doradców, moich również. Coraz trudniej

się do niego dostać. Dwa tygodnie temu brał pod uwagę rozmaite odmienne punkty widzenia i krytyczne uwagi. Ale nie teraz. Albo się z nim zgadzasz, albo się wyнос. Tylko Megan Blair i ja mamy jeszcze dostęp do jego gabinetu, lecz moje dni są policzone. Ewakuuję się stąd, zanim wszystko wyleci w diabły.

- Nie rób tego - polecił Oates. - Lepiej będzie, jeżeli ty i Oskar Lucas pozostaniecie w najbliższym otoczeniu prezydenta. Jesteście jedyną linią łączności z Białym Domem, jaką jeszcze dysponujemy.

- To nic nie da.

- Dlaczego?

- Mówiłem ci. Nawet jeżeli będę tu tkwił, zostanę odcięty. Moje nazwisko gwałtownie wychodzi na pierwsze miejsce na liście osób nie cieszących się jego sympatią.

- W takim razie wkradnij się z powrotem w jego łaski - polecił Oates.

- Właż mu do tyłka i przytakuj we wszystkim. Graj potakiewicza i przekazuj informacje o każdym jego przedsięwzięciu.

Zapadła długa cisza.

- Dobra. Zrobię, co będzie w mojej mocy.

- Uprzedzę też Oskara Lucasa, żeby był w pogotowiu. Będziemy go potrzebować.

- Czy mogę wiedzieć, co się dzieje?

- Jeszcze nie - odparł krótko Oates.

Fawcett nie naciskał. Zmienił temat.

- Chciałbyś poznać ostatni genialny pomysł prezydenta?

- Taki zły?

- Koszmarny - stwierdził Fawcett. - Mówił o wycofaniu naszych wojsk z NATO.

Oates zacisnął dłoń na słuchawce z taką siłą, że pobielały mu kostki palców.

- Musimy go powstrzymać - oświadczył ponurym tonem.

Słowa Fawcetta dobiegły jakby z oddali:

- Przeszedłem z prezydentem kawał drogi, ale muszę przyznać, że przestał się interesować krajem.

- Bądźmy w kontakcie.

Oates odłożył słuchawkę, obrócił fotel przy biurku i zamyślił się, patrząc w okno. Popołudniowe niebo nabrało posępnego, szarego kolorytu, drobny deszcz zaczął padać na ulice Waszyngtonu. W ich wilgotnej nawierzchni odbijały się dziwacznie zniekształcone sylwetki gmachów państwowych.

W końcu będę musiał przejąć ster rządów, pomyślał z goryczą Oates. Doskonale zdawał sobie sprawę, co go czeka. W ciągu ubiegłych trzydziestu lat na każdym prezydencie wieszano psy z powodu wydarzeń, których nie był w stanie kontrolować. Eisenhower był ostatnim szefem państwa, który opuszczał Biały Dom otoczony takim samym szacunkiem, jakim cieszył się w momencie, kiedy obejmował swój urząd. Bez względu na to, jak uczciwy czy błyskotliwy będzie następny prezydent, niewątpliwie zostanie ukamienowany przez biurokrację i coraz bardziej wrogo nastawione środki przekazu. A Oates nie miał najmniejszej ochoty stać się celem dla rzucających kamieniami.

Z zamyślenia wyrwał go przytłumiony brzęczyk interkomu.

- Przyszedł pan Brogan z jeszcze jednym panem.

- Proszę ich wpuścić - polecił Oates.

Wstał i wyszedł zza biurka, żeby powitać dyrektora CIA. Uścisnęli sobie ręce i Brogan przedstawił stojącego obok mężczyznę. Był to doktor Raymond Edgely. Doktor był szczupłym mężczyzną z rozczochraną bródką i kosmatymi ciemnymi brwiami zaczesanymi do góry a la Mefistofeles. Staroświecka fryzura na jeża i muszka wskazywały, że doktor rzadko opuszcza miasteczko uniwersyteckie.

- Doktor Edgely jest dyrektorem „Głębi” - wyjaśnił Brogan - specjalnego programu badawczego Agencji nad technikami kontroli umysłu, prowadzonego na Uniwersytecie Greeleya w Kolorado.

Oates gestem zaprosił swoich gości do zajęcia miejsca na sofie i przysunął swój fotel do marmurowego stolika do kawy.

- Miałem przed chwilą telefon od Dana Fawcetta. Prezydent ma zamiar wycofać nasze wojska z NATO.

- Kolejne posunięcie potwierdzające nasze podejrzenia - stwierdził

Brogan. - Tylko Rosjanie mogliby na tym skorzystać.

Oates zwrócił się do Edgely'ego:

- Czy Martin przekazał panu nasze przypuszczenia związane z zachowaniem prezydenta?

- Tak, pan Brogan udzielił mi wszystkich informacji.

- I jak pan ocenia sytuację? Czy technikami kontroli umysłu można było zmusić prezydenta do mimowolnej zdrady?

- Jestem pewien, że jego działania świadczą o poważnych zmianach osobowości, ale dopóki nie poddamy go serii badań, nie jesteśmy w stanie z całkowitą pewnością ustalić, czy jest to wynik zmian w pracy jego mózgu, czy też mamy do czynienia z zewnętrzną kontrolą.

- Nigdy nie pozwoli na badania - odparł Brogan.

- A więc mamy problem - stwierdził Edgely.

- Czy mógłby nam pan powiedzieć, panie doktorze - zapytał Oates - w jaki sposób mogło dojść do transplantacji psychiki?

- Jeżeli rzeczywiście mamy do czynienia z takim przypadkiem - odparł Edgely - pierwszym krokiem byłoby odizolowanie obiektu przez określony czas w przypominającej macię komorze, aby w ten sposób odseparować go od wszelkich bodźców zmysłowych. Tymczasem badane są wzory pracy jego mózgu, poddaje się je analizie i przetwarza na język, który może zostać przekształcony w program komputerowy. Następnym krokiem byłoby przygotowanie wszczepu, w tym przypadku mikroczipu, zawierającego niezbędne dane, i wprowadzenie go metodami chirurgicznymi do mózgu obiektu.

- Słuchając pana można odnieść wrażenie, że jest to zabieg równie prosty jak usunięcie migdałków - stwierdził Oates.

Edgely roześmiał się.

- Oczywiście bardzo to skróciłem i uprościłem. W rzeczywistości działania te są niewiarygodnie precyzyjne i złożone.

- A kiedy ten mikroczip zostanie już wprowadzony do mózgu, to co wtedy?

- Powinienem wspomnieć, że częścią wszczepu jest miniaturowy aparat nadawczo-odbiorczy, który korzysta z elektrycznych impulsów

mózgu i jest zdolny przysyłać wzory jego pracy oraz zapis innych czynności organizmu do centralnego punktu odbioru i przetwarzania danych umieszczonego choćby w Hongkongu.

- Albo w Moskwie - dodał Brogan.

- A nie w ambasadzie radzieckiej tu, w Waszyngtonie, jak sugerowałeś to wcześniej? - spytał Oates, spoglądając na Brogana.

- Z całą pewnością technologia łączności umożliwia przekazywanie danych drogą satelitarną aż do Moskwy - potwierdził Edgely - ale gdybym był na miejscu doktora Ługowoj, umieściłbym punkt monitorowania możliwie najbliżej, aby móc bezpośrednio obserwować reakcje prezydenta. Dzięki temu miałbym również możliwość szybszego reagowania oraz modyfikowania poleceń wydawanych jego umysłowi, gdyby nastąpiły jakieś nieprzewidziane wydarzenia.

- Czy Ługowoj może utracić kontrolę nad prezydentem? - spytał Brogan.

- Jeżeli mózg prezydenta zerwie więzy z normalnym światem, może mieć skłonność do ignorowania poleceń Ługowoj albo realizowania ich w ekstremalny sposób.

- Czy nie dlatego właśnie prezydent z takim pośpiechem zaczął realizować tak wiele radykalnych programów?

- Nie jestem w stanie tego stwierdzić - odparł Edgely. - Wygląda na to, że na razie reaguje dokładnie na polecenia Ługowoj. Podejrzewam jednak, że cała sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana.

- Jak mamy to rozumieć?

- Informacje, dostarczone przez współpracowników pana Brogana w Rosji, stwierdzają, że Ługowoj przeprowadzał doświadczenia na więźniach politycznych. Polegały one na transfuzji RNA pobranego z podwzgórza jednych pacjentów - innym.

- Zastryk pamięci - mruknął z namysłem Oates. - A więc tak naprawdę mamy do czynienia z panem Frankensteinem.

- Transfer pamięci jest skomplikowaną sprawą - ciągnął Edgely. - Nigdy nie da się do końca przewidzieć rezultatów.

- Uważa pan, że Ługowoj przeprowadził ten eksperyment również

na prezydencie?

- Jeżeli jego działania były zgodne z moimi przewidywaniami, to zapewne miesiącami programował jakiegoś biednego sowieckiego więźnia pozytywnym nastawieniem do radzieckich koncepcji politycznych, a potem wykonał transfuzję jego RNA do mózgu prezydenta, aby w ten sposób wzmocnić działanie wszczepu.

- Czy pod właściwą opieką prezydent mógłby powrócić do normy?

- Chodzi panu o to, czy istnieje możliwość doprowadzenia jego umysłu do poprzedniego stanu?

- Coś w tym rodzaju.

Edgely pokręcił głową.

- Żadna znana mi kuracja nie może całkowicie odwrócić skutków zabiegu. Prezydenta zawsze będą dręczyć wspomnienia, które należą do kogoś innego.

- Czy nie można usunąć tego płynu z jego mózgu?

- Owszem, ale usuwając obce matryce myślowe, wykasowalibyśmy również pamięć samego prezydenta. - Edgely przerwał na chwilę. - Nie, z przykrością muszę stwierdzić, że wzorce zachowania prezydenta uległy nieodwracalnym zmianom.

- W takim razie powinien być zdjęty z urzędu... na stałe.

- Takie byłyby moje zalecenia - odparł bez wahania Edgely.

Oates usiadł z powrotem w fotelu i założył ręce za głowę.

- Dziękuję panu, doktorze. Umocnił nas pan w postanowieniu.

- Z tego co słyszałem, nikt nie jest w stanie przekroczyć wrót Białego Domu.

- Jeżeli Rosjanie zdołali go porwać - oznajmił Brogan - to nie widzę powodu, żebyśmy nie mogli zrobić tego samego. Ale przede wszystkim musimy zerwać jego łączność z doktorem Ługowojem.

- Czy mogę coś zaproponować? - zapytał Edgely.

- Bardzo proszę.

- Istnieje doskonała okazja obrócenia całej tej sytuacji na naszą korzyść.

- W jaki sposób?

- Może zamiast odcinać sygnały, lepiej byłoby wejść na ich częstotliwość?

- Po co?

- Dzięki temu mój personel i ja będziemy w stanie podłączyć aparaturę monitorującą do ich przekazów. Jeżeli, powiedzmy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, nasze komputery uzyskają wystarczającą ilość danych, zdołamy zastąpić mózg prezydenta.

- I będziemy mogli dostarczać Rosjanom fałszywe dane - dodał Brogan, podchwytyjąc pomysł Edgely'ego.

- Właśnie tak! - zawołał doktor. - A ponieważ mają wszelkie powody wierzyć w prawdziwość danych uzyskiwanych od prezydenta, będziecie mogli wodzić radziecki wywiad za nos.

- Podoba mi się ten pomysł - stwierdził Oates. - Problem polega jednak na tym, że nie wiem, czy mamy te czterdzieści osiem godzin. Trudno przewidzieć, co prezydent zarządzi w tym czasie.

- Warto zaryzykować - stwierdził stanowczo Brogan.

Rozległo się stukanie do drzwi i sekretarz Oatesa wsunął głowę do pokoju.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale jest pilny telefon do pana Brogana.

Dyrektor CIA wstał szybko, podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku Oatesa i wdusił migający przycisk.

- Brogan.

Przez prawie całą minutę słuchał nie odzywając się ani słowem. Potem rozłączył się i odwrócił do Oatesa.

- Przewodniczący Izby Reprezentantów Alan Moran żyje i znajduje się w naszej bazie Marynarki Wojennej w Guantanamo na Kubie.

- A Margolin?

- Brak wiadomości.

- Larimer?

- Senator Larimer nie żyje.

- O mój Boże! - jęknął Oates. - To oznacza, że Moran może zostać naszym następnym prezydentem. Trudno mi sobie wyobrazić

człowieka bardziej pozbawionego skrupułów i mniej nadającego się na to stanowisko.

Rozdział 60

Pitt był pewien, że nie żyje. Ale nie widział oślepiającego światła na końcu tunelu ani twarzy przyjaciół i znajomych, którzy zmarli przed nim. Miał wrażenie, że drzemie w domu, w swoim łóżku. Była tu również Loren z włosami rozrzuconymi na poduszce. Przytuliła się do niego całym ciałem, obejmowała go ramionami za szyję, trzymała mocno, nie pozwalając odejść. Wydawało mu się, że jej twarz świeci w mroku, a fiołkowe oczy wpatrzone są prosto w niego. Zastanawiał się, czy ona również nie żyje.

Nagle zwolniła swój uścisk i zaczęła rozpływać się, odsuwać.

Zmniejszała się coraz bardziej, aż wreszcie zniknęła całkowicie. Słabe światło przenikało przez zaciśnięte powieki Pitta i słyszał jakieś głosy dobiegające z oddali. Powoli, z wysiłkiem, zupełnie jakby podnosił parę stufuntowych ciężarów, otworzył oczy. Początkowo sądził, że patrzy na jakąś gładką, białą powierzchnię. Potem, kiedy jego umysł uwolnił się z zasłony niepamięci, uświadomił sobie, że istotnie patrzy na gładką białą powierzchnię.

To był sufit.

Ktoś nieznajomy powiedział:

- Odzyskuje przytomność.

- Trzeba czegoś więcej niż trzy pęknięte żebra, wstrząs mózgu i galon wody morskiej, żeby wykończyć tego typu. - Trudno było nie poznać tego głosu.

- Sprawdzają się moje najgorsze obawy - udało się wymamrotać Pittowi. - Trafiłem do piekła i spotkałem diabła.

- Posłuchajcie, jak mówi o swoim najlepszym i jedynym przyjacielu - powiedział Al Giordino do lekarza w marynarskim mundurze.

- Jest w dobrym stanie psychicznym - odparł lekarz. - Powinien szybko dojść do siebie.

- Przepraszam za banalne pytanie - odezwał się Pitt - ale gdzie ja jestem?

- Witamy w szpitalu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, w Guantanamo na Kubie - wyjaśnił lekarz. - Jeden z naszych śmigłowców ratowniczych wyłowił was obu.

Pitt przeniósł spojrzenie na Giordina.

- Jesteś cały i zdrowy?

- Ma na brzuchu siniaka wielkości pięści, ale przeżyje - powiedział z uśmiechem lekarz. - O ile wiem, uratował panu życie.

Pitt otrząsnął się z mgły, która wciąż zasnuwała jego umysł, i próbował przypomnieć sobie przebieg wydarzeń.

- Steward z „Leonida Andriejewa” usiłował zagrać moją głową w baseball.

- Wepchnął cię wiosłem pod łódź - wyjaśnił Giordino. - Ześlizgnąłem się za burtę, zanurkowałem i wyciągnąłem cię na powierzchnię. Steward pewnie zabrałby się i za mnie, gdyby nie nadleciał śmigłowiec marynarki. Dwóch sanitariuszy skoczyło do wody i pomogło wciągnąć nas do środka.

- A Loren?

Giordino odwrócił spojrzenie.

- Uważana jest za zaginioną.

- Zaginiona? Bzdura! - warknął Pitt. Oparł się na łokciu i skrzywił pod wpływem przeszywającego bólu w klatce piersiowej. - Obydwaj doskonale wiemy, że żyła i siedziała w łodzi ratunkowej.

Twarz Giordina zachmurzyła się.

- Na przekazanej przez kapitana statku liście uratowanych osób nie ma jej nazwiska...

- Statek Bougainville'ów! - wykrztusił Pitt. Nagle przypomniał sobie wszystko. - Ten azjatycki steward, który usiłował rozbić nam głowy, wskazywał w stronę...

- „Chalmette” - dodał Giordino.

- Tak, „Chalmette”. I powiedział, że należy do niego. Wymienił również moje nazwisko.

- Stewardzi powinni znać nazwiska pasażerów. Znał cię jako Charliego Grubera z kabiny trzydzieści cztery.

- Nie. Oskarżył mnie wprost, że wtykam nos w sprawy Bougainville'ów, a na koniec powiedział: *Bon voyage*, Dirku Pitt...

Giordino ze zdziwieniem wzruszył ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia, skąd mógł cię znać. Dlaczego człowiek Bougainville'ów miałby pracować na rosyjskim wycieczkowcu?

- Nawet nie zacząłem jeszcze zgadywać.

- A to kłamstwo o Loren?

Pitt tylko wzruszył ramionami.

- W takim razie jest uwięziona przez Bougainville'ów - powiedział Giordino. - Ale po co?

- Wciąż zadajesz pytania, na które nie potrafisz odpowiedzieć - odparł z irytacją Pitt. - Gdzie jest obecnie „Chalmette”?

- Płynie do Miami, żeby wysadzić wyratowanych rozbitków.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

- Około trzydziestu dwóch godzin - odparł doktor.

- Wciąż mamy trochę czasu - stwierdził Pitt. - „Chalmette” dotrze do wybrzeży Florydy dopiero za kilka godzin.

Usiadł i opuścił nogi na podłogę. Cały pokój zaczął kołysać się w tył i przód.

Lekarz podszedł do niego i podtrzymał go oburącz.

- Mam nadzieję, że nigdzie się pan nie spieszy.

- Muszę stać na nabrzeżu w chwili, gdy „Chalmette” wpłynie do Miami - odparł stanowczo Pitt.

Na twarzy lekarza pojawił się wyraz niewzruszonej stanowczości.

- Zostanie pan w tym łóżku przez najbliższe cztery dni. Nie może

pan wędrować sobie po świecie z pękniętymi żebrami, a poza tym nie wiemy, jak poważny był pański wstrząs mózgu.

- Przykro mi, doktorze - stwierdził Giordino - ale obaj zostaliście przegłosowani.

Pitt spojrzał na niego twardo.

- Można wiedzieć, przez kogo?

- Po pierwsze, admirała Sandeckera. Po drugie Sekretarza Stanu Oatesa - Giordino powiedział to tak obojętnie, jakby czytał notowania giełdowe dnia. - Przyszedł rozkaz, że kiedy tylko się ockniesz, masz lecieć do Waszyngtonu. Są cholerne kłopoty. Odnoszę wrażenie, że kiedy znaleźliśmy kongresmana Morana i senatora Larimera uwięzionych na sowieckim statku, wetknęliśmy paluchy do niewłaściwego słoika z dżemem.

- Mogą poczekać, dopóki nie sprawdzę, czy na „Chalmette” nie ma Loren - burknął Pitt.

- To moja robota. Leć do stolicy, a ja w tym czasie dotrę do Miami i zagram rolę inspektora celnego.

Uspokojony Pitt rozluźnił się.

- Co z Moranem?

- Nie mógł się doczekać chwili, żeby stąd spłynąć - odparł ze złością Giordino. - Ledwo zdążył postawić nogę na brzegu, natychmiast zażądał, aby marynarka rzuciła wszystko i odwiozła go do domu. Miałem z nim drobne zajście, kiedy spotkałem go w korytarzu szpitalnym po rutynowych badaniach lekarskich. Niewiele brakowało, a wbiłbym mu nos aż do tyłka. Ten sukinsyn nie okazywał nawet najmniejszego niepokoju o Loren, a gdy powiedziałem mu o śmierci Larimera, sprawiał wrażenie uszczęśliwionego.

- Ma wyjątkowy talent do porzucania tych, którzy mu pomogli - stwierdził z obrzydzeniem Pitt.

Sanitariusz przyprowadził wózek inwalidzki i razem z Giordinem pomógł Pittowi w nim usiąść. Dirk jęknął, czując przeszywający ból w piersi.

- Wychodzi pan wbrew moim wyraźnym zaleceniom - oznajmił

lekarz. - Chcę, żeby pan to zrozumiał. Nie daję żadnych gwarancji, że przy nadmiernym wysiłku nie nastąpią u pana komplikacje.

- Zwalniam pana z wszelkiej odpowiedzialności, doktorze - odparł Pitt z uśmiechem. - Nie powiem nikomu, że byłem pańskim pacjentem. Pańska medyczna reputacja pozostanie bez szwanku.

Giordino położył na kolanach Pitta stos służbowej odzieży marynarskiej i małą papierową torebkę.

- Masz tu trochę przyzwoitego ubrania i rzeczy wyjęte z twoich kieszeni. Żeby nie tracić czasu, możesz ubrać się w samolocie.

Pitt otworzył torbę i dotknął znajdującego się w środku plastikowego woreczka. Przekonawszy się, że jego zawartość jest bezpieczna i sucha, popatrzył na Giordina i uściśnął mu dłoń.

- Pomyślnych łowów, przyjacielu.

Giordino poklepał go po ramieniu.

- Nie martw się. Znajdę ją. Leć do Waszyngtonu i urządz tam piekło.

Kiedy Alan Moran obudził się w swoim domu i próbował odtworzyć przebieg minionych wydarzeń, popadł w głęboką frustrację. Pamiętał, że prawie dwa tygodnie wcześniej poszedł spać na prezydenckim jachcie. Jego następnym świadomym wrażeniem było to, że ktoś wpycha go do limuzyny gdzieś nad rzeką w Karolinie Południowej. Uwięzienie i ucieczka z płonącego rosyjskiego wycieczkowca stanowiły jedynie serię rozmytych obrazów. Ale gdy wrócił do Waszyngtonu i zobaczył, że zarówno Kongres, jak i Sąd Najwyższy zostały wyeksmitowane ze swoich budynków, udało mu się odzyskać pewność siebie.

W tarapatach rządu dostrzegł szansę zrealizowania swojej głęboko skrywanej ambicji - sięgnięcia po prezydenturę. Ponieważ nie mógł liczyć na poparcie, które zapewniłoby mu ten urząd w drodze głosowania, postanowił zdobyć go podstępem. Skoro Margolin zaginął, Larimer nie żył, prezydent zaś znalazł się o krok przed postawieniem go w stan oskarżenia, niewiele mogło Morana powstrzymać.

Wystąpił na środku Jackson Square, przy Pennsylvania Avenue naprzeciwko Białego Domu, i odpowiadał na pytania zadawane przez cały zastęp dziennikarzy. Była to jego godzina i cieszył się każdą sekundą zainteresowania, którego był obiektem.

- Czy może pan powiedzieć, gdzie pan był przez ostatnie dwa tygodnie? - zapytał Ray Marsh z nowojorskiego „Timesa”.

- Oczywiście - odparł uprzejmie Moran. - Przywódca większości senackiej Marcus Larimer i ja wybraliśmy się na Karaiby, żeby trochę powędkować. Mieliśmy ochotę złapać rekordowego marlina, ale przede wszystkim chcieliśmy omówić sprawy związane z przyszłością naszego wielkiego narodu.

- W pierwszych doniesieniach znalazła się informacja, że senator Larimer zmarł w czasie tragedii „Leonida Andriejewa”. Czy tak?

- Muszę przyznać z głębokim smutkiem, że to prawda - oznajmił Moran, poważniejąc nagle. - Łowiliśmy wraz z senatorem zaledwie pięć czy sześć mil od rosyjskiego wycieczkowca, gdy usłyszeliśmy i zobaczyliśmy eksplozję, która spowiła cały statek ogniem i dymem. Natychmiast poleciliśmy naszemu szyprowi, aby skierował się w stronę miejsca katastrofy. Kiedy przybyliśmy na miejsce, „Leonid Andriejew” płonął od dziobu do rufy. Przerażeni pasażerowie skakali do wody, na wielu z nich paliły się ubrania...

Moran przerwał, aby spotęgować efekt opowieści, i po chwili kontynuował swój opis:

- Wskoczyłem do wody wraz z senatorem, aby dopomóc ciężko rannym oraz tym, którzy nie byli w stanie pływać. Mieliśmy wrażenie, że to trwa całe godziny. Pomagaliśmy kobietom i dzieciom utrzymać się na wodzie i wejść na nasz kuter. Nagle straciłem z oczu senatora. Kiedy go zobaczyłem ponownie, unosił się na wodzie twarzą do dołu. Najwidoczniej padł ofiarą ataku serca spowodowanego przemęczeniem. Zginął jak prawdziwy bohater.

- Jak pan sądzi, ile osób pan ocalił? - zapytał Joe Stark, reporter z United Press.

- Straciłem rachubę - odparł Moran. - Nasz niewielki kuter był

poważnie przeciążony ofiarami tragedii, wobec czego postanowiłem pozostać w wodzie, aby pomóc wymknąć się śmierci choć jeszcze jednej nieszczęsnej ofierze. Na szczęście wydobył mnie z wody śmigłowiec Marynarki Wojennej.

- Czy wiedział pan, że na pokładzie „Leonida Andriejewa” podróżuje członkini Kongresu Loren Smith? - spytała Marion Tounier z Associated Press Radio Network.

- Nie - odparł Moran, ponownie przybierając poważny wyraz twarzy. - Dowiedziałem się z żalem, iż znajduje się na liście zaginionych.

Curtis Mayo dał znak kamerzyście i przysunął się do Morana.

- Panie Moran, co pan sądzi o bezprecedensowym zamknięciu Kongresu przez prezydenta?

- Jestem głęboko wstrząśnięty. Nie ulega wątpliwości, że prezydent stracił rozum. Jednym posunięciem przemienił nasz kraj z państwa demokratycznego w faszystowskie. Jestem zdecydowany doprowadzić do pozbawienia go urzędu - im wcześniej, tym lepiej.

- W jaki sposób zamierza pan tego dokonać? - naciskał Mayo. - Za każdym razem, gdy członkowie Izby Reprezentantów zbierają się, aby podjąć czynności związane z postawieniem prezydenta w stan oskarżenia, wysyła on wojsko, aby ich rozpędziło.

- Tym razem sprawa będzie miała inny przebieg - odparł z pewnością siebie Moran. - Jutro o dziesiątej rano członkowie Kongresu odbędą wspólne posiedzenie w Audytorium Lisnera Uniwersytetu imienia Jerzego Waszyngtona. Chcąc zapobiec próbom jego zakłócenia bezprawnym użyciem przez prezydenta sił wojskowych, postanowiliśmy przeciwstawić siłę sile. Rozmawiałem z moimi kolegami wybranymi do Izby Reprezentantów i Senatu przez sąsiednie stany Maryland i Wirginia. Wpłynęli oni na swoje władze stanowe, aby zapewniły nam możliwość realizacji naszego konstytucyjnego prawa do zgromadzeń, oddając nam do dyspozycji oddziały swoich jednostek Gwardii Narodowej.

- Czy te oddziały otrzymają rozkaz otwarcia ognia? - zapytał Mayo.

- Jeżeli zostaną zaatakowane - odparł zimno Moran - to oczywiście tak.

- I w taki oto sposób wybuchnie druga wojna domowa - oznajmił zmęczonym głosem Oates. Wyłączył telewizor i odwrócił się w stronę Emmetta, Merciera i Brogana.

- Moran jest równie pieprzony jak prezydent - stwierdził Emmett, kręcąc z odrazą głową.

- Żal mi amerykańskiego społeczeństwa, że dysponuje tak żalonym materiałem na przywódców - mruknął Mercier.

- Jak oceniasz grożącą nam w Audytorium Lisnera konfrontację? - spytał Emmetta Oates.

- Oddziały specjalne wojsk lądowych i piechoty morskiej, które patrolują Wzgórze Kapitolu, to doskonale wyszkoleni zawodowcy. Można zakładać, że będą działać zdecydowanie i nie zrobią nic głupiego. Prawdziwym zagrożeniem jest Gwardia Narodowa. Wystarczy jeden niedzielny wojownik, który wpadnie w panikę i wystrzeli, i będziemy świadkami kolejnej krwawej łaźni - jak w Kent, ale o wiele gorszej, bo tym razem na ogień Gwardii Narodowej również odpowiedzą ogniem. I zrobią to wyszkoleni snajperzy.

- A jeżeli paru kongresmanów zginie w wyniku tej wymiany strzałów, sytuacja wcale nie ulegnie poprawie - dodał Mercier.

- Należy koniecznie odizolować prezydenta. Musimy przyspieszyć bieg wydarzeń - oznajmił Oates.

Mercier wyglądał na niezdecydowanego.

- To oznacza rezygnację z przeprowadzanej przez doktora Edgely'ego analizy sygnałów przekazywanych przez mózg prezydenta.

- Zapobieżenie masakrze musi mieć pierwszeństwo - stwierdził Oates.

Brogan z namysłem popatrzył w sufit.

- Mam wrażenie, że uda nam się pogodzić jedno z drugim.

- Słyszę, Martinie, jak ci pracują trybiki w głowie - uśmiechnął się

Oates. - Jakiż to nowy, makiaweliczny pomysł CIA ma w rękawie?

- Sposób, aby dać Edgely'emu szansę - odparł Brogan z chytrym uśmiechem.

Rozdział 61

Kiedy Pitt schodził powoli po schodkach z pasażerskiego odrzutowca Marynarki Wojennej w bazie lotniczej Andrews, limuzyna już czekała. W środku siedział admirał Sandecker, niewidoczny za zaciemnionymi oknami. Otworzył drzwi i pomógł Pittowi wsiąść.

- Jak przebiegł lot?

- Na szczęście spokojnie.

- Masz jakiś bagaż?

- Mam go na sobie - odparł Pitt. Skrzywił się i zacisnął zęby, opadając na siedzenie obok admirała.

- Bardzo cię boli?

- Jestem trochę sztywny. Nie unieruchamiają już pękniętych żeber przylepcem jak dawniej. Po prostu pozwalają im zrastać się samodzielnie.

- Przykro mi, że nalegałem na twój tak szybki powrót, ale w Waszyngtonie zbiera się na burzę, a Doug Oates ma nadzieję, iż dysponujesz informacjami, które mogą wyjaśnić kilka problemów.

- Rozumiem - odparł Pitt. - Czy były jakieś wiadomości o Loren?

- Obawiam się, że nie.

- Ona żyje - stwierdził Pitt patrząc w okno.

- Nie wątpię w to - przytaknął Sandecker. - Brak jej nazwiska na listach ocalonych jest najprawdopodobniej jakimś przeoczeniem. Może poprosiła o zachowanie dyskrecji, żeby uniknąć prasy.

- Loren nie ma powodów, żeby się ukrywać.

- Na pewno się odnajdzie - rzekł Sandecker. - A teraz może mi powiesz, jak ci się udało wziąć udział w największej tragedii morskiej ostatniego pięćdziesięciolecia.

- Na „Leonidzie Andriejewie” Loren powiedziała mi, że kiedy podczas pierwszego wieczoru rejsu spacerowała po pokładzie, nagle wszystkie zewnętrzne światła na statku zostały wygaszone i w chwilę potem wylądował na nim śmigłowiec. Wyprowadzono z niego pasażerów, z których dwóch bardzo brutalnie traktowano. Loren wydało się, że mimo słabego oświetlenia rozpoznała w jednym z nich Alana Morana. Nie była pewna, czy się nie myli, zadzwoniła więc z okrętowego telefonu do swojej sekretarki, Sally Lindemann, i poprosiła ją, aby ustaliła miejsce pobytu Morana. Sally odkryła fałszywe tropy, ale samego kongresmana nie znalazła. Dowiedziała się przy okazji, że Moran i Marcus Larimer podobno przebywają razem. Przekazała te informacje Loren, która poleciła jej skontaktować się ze mną. Rozmowa została nagle przerwana. Rosjanie ją podsłuchiwali i domyślili się, że Loren przypadkowo była świadkiem ich bardzo delikatnej operacji.

- Dlatego ją uwięzili razem z kolegami, którzy odbywali właśnie swoją podróż w jedną stronę do Moskwy...

- Z tą tylko różnicą, że była dla nich większym zagrożeniem niż zyskiem, miała więc w odpowiedniej chwili zniknąć za burtą.

- A co było po tym, jak Lindemann skontaktowała się z tobą? - spytał Sandecker.

- Opracowaliśmy z Giordinem plan. Polecieliśmy na południe, złapaliśmy „Leonida Andriejewa” w San Salvador i weszliśmy na pokład.

- Na statku zginęło ponad dwieście osób. Masz szczęście, że żyjesz.

- Tak - odparł z namysłem Pitt. - Niewiele brakowało.

Zamilkł. Przypomniała mu się twarz stewarda patrzącego na niego z szyderczym uśmiechem pełnym satysfakcji.

- Jeżeli cię to interesuje - powiedział Sandecker przerywając ciszę - jedziemy bezpośrednio na spotkanie z sekretarzem Oatesem w

Departamencie Stanu.

- Najpierw chciałbym wpaść do „Washington Post” - powiedział stanowczo Pitt.

Sandecker spojrział na niego z dezaprobatą.

- Nie mamy czasu na kupowanie gazet.

- Jeżeli Oates chce usłyszeć, co dla niego mam, to, do cholery, będzie musiał poczekać.

Sandecker skrzywił się, ale uległ.

- Masz dziesięć minut. Zadzwoń do Oatesa i powiem, że samolot się spóźnił.

Pitt spotykał się już poprzednio z Sekretarzem Stanu, w czasie sprawy Traktatu Północnoamerykańskiego. Szpakowate włosy Oatesa były starannie przystrzyżone, a jego piwne oczy spokojnie lustrowały Pitta. Miał na sobie szyty na miarę szary garnitur za kilkaset dolarów i wyglansowane do połysku, zrobione na zamówienie czarne buty. zachowywał się rzeczowo i poruszał z gracją lekkoatlety.

- Miło mi pana widzieć, panie Pitt.

- Mnie również, panie sekretarzu.

Oates uściśnął Pittowi rękę, potem odwrócił się w stronę pozostałych obecnych w pokoju mężczyzn i przedstawił ich. Była to sama elita władzy. Brogan z CIA, Emmett z FBI, znany osobiście Pittowi szef Agencji Bezpieczeństwa Narodowego Alan Mercier i Dan Fawcett reprezentujący Biały Dom.

Sam Emmett odwrócił się w stronę Pitta i przyjrzał mu się z zainteresowaniem. Natychmiast dostrzegł jego pobrużdżoną zmęczeniem twarz.

- Pozwoliłem sobie wydobyć pańskie akta, panie Pitt, i muszę przyznać, że opis pańskich działań w służbie rządu czyta się jak powieść. - Przerwał, aby spojrzeć w dokumenty. - Zawdzięczamy panu ocalenie niezliczonych istnień ludzkich w czasie operacji Vixen. Miał pan poważny wpływ na podpisanie umowy kanadyjskiej. Kierował

projektem wydobywania „Titanica”, dzięki czemu odnaleziony został rzadki pierwiastek, niezbędny do realizacji Planu Sycylijskiego. Ma pan niezwykłą umiejętność niemal równoczesnego znajdowania się w różnych miejscach.

- Mam wrażenie, że nazywa się to „wszędobylskość” - wtrącił Oates.

- Przed podjęciem pracy w NUMA służył pan w lotnictwie... - ciągnął dalej Emmett. W stopniu majora. Doskonała opinia z Wietnamu. - Zawahał się i na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. - Widzę, że otrzymał pan pochwałę za zniszczenie jednego z naszych samolotów.

- Może mógłbym to wytłumaczyć - odezwał się Sandecker. - Byłem w maszynie, którą Dirk zestrzelił.

- Zdaję sobie sprawę, że mamy mało czasu, ale chciałbym usłyszeć tę historię - rzekł Oates.

Sandecker skinął głową.

- Leciłem z moim sztabem dwusilnikowym samolotem transportowym z Sajgonu do małego portowego miasta na północ od Da Nang. Nie wiedzieliśmy, że lotnisko, do którego mieliśmy dotrzeć, zostało zajęte przez regularne oddziały północno wietnamskie. Nasze radio nie działało i pilot nie odebrał ostrzeżenia. Dirk znajdował się niedaleko, wracał właśnie do bazy z lotu bojowego. Miejscowy dowódca polecił mu przechwycić nas i ostrzec wszelkimi dostępnymi środkami. - Sandecker spojrzał na Pitta i uśmiechnął się. - Muszę powiedzieć, że wypróbował wszystko poza światłami neonowymi. Pokazywał z kabiny jakieś rebusy, wystrzelił kilka serii z działek przed naszym nosem, ale do naszych ciasnych mózgowic nic nie docierało. Kiedy zaczęliśmy schodzić na pas od strony morza, z niewiarygodną precyzją rozwalił nam oba silniki, zmuszając pilota do wodowania w odległości zaledwie mili od brzegu. Potem ostrzeliwał z lotu koszącego odbijające od brzegu nieprzyjacielskie łodzie, osłaniając nas do chwili, aż zostaliśmy podniesieni z wody przez okręt patrolowy Marynarki Wojennej. Kiedy dowiedziałem się, że ocalał mnie od pewnej niewoli, a może nawet śmierci, zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Kilka lat później, gdy prezydent Ford poprosił mnie o zorganizowanie NUMA, namówiłem

Dirka, żeby się do mnie przyłączył.

Oates spojrział na Pitta z oszołomieniem.

- Prowadził pan ciekawe życie. Zazdroszczę panu.

Zanim Pitt zdążył odpowiedzieć, wtrącił się Alan Mercier:

- Jestem pewien, że pan jest ciekaw, po co go tu zaprosiliśmy.

- Doskonale znam powód - odparł Pitt.

Popatrzył na zgromadzonych w pokoju mężczyzn. Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby nie spali od miesiąca. W końcu zwrócił się bezpośrednio do Oatesa:

- Wiem, kto jest odpowiedzialny za kradzież i późniejsze zatrucie substancją „N” zatoki Alaski. - Mówił wolno i wyraźnie, akcentując każde zdanie. - Wiem, kto popełnił prawie trzydzieści morderstw w czasie porwania prezydenckiego jachtu i jego pasażerów. Wiem, kim byli ci pasażerowie i dlaczego zostali uprowadzeni. I wreszcie wiem, kto dokonał sabotażu na „Leonidzie Andriejewie”, zabijając dwieście osób - mężczyzn, kobiet i dzieci. Nie są to z mojej strony żadne domysły czy spekulacje. Fakty i dowody rzeczowe mówią same za siebie.

W pokoju zapadła cisza. Nikt nawet nie próbował się odezwać. Oświadczenie Pitta oszołomiło wszystkich zupełnie. Emmett miał zdezorientowaną minę, Fawcett zaciskał dłonie, żeby ukryć zdenerwowanie. Oates sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

Brogan pierwszy zaczął zadawać Pittowi pytania.

- Zakładam, panie Pitt, że ma pan na myśli Rosjan?

- Nie, proszę pana.

- Czy wyklucza pan możliwość pomyłki? - zapytał Mercier.

- Całkowicie.

- Skoro nie Rosjanie - zapytał Emmett ostrożnie - to kto?

- Właścicielka Linii Żeglugowych Bougainville, Min Koryo, i jej wnuk Lee Tong.

- Przypadkiem znam osobiście Lee Tonga Bougainville'a - stwierdził Emmett. - Jest szanowanym biznesmenem, który przeznaczają sporo pieniędzy na kampanie polityczne.

- Podobnie jak mafia i każdy szarlatan, który ma zamiar dość

rządowe pieniądze - odparł lodowatym tonem Pitt. Położył na stole fotografię. - Wypożyczyłem ją z archiwum „Washington Post”. Panie Emmett, czy poznaje pan człowieka, który na tym zdjęciu przechodzi przez drzwi?

Emmett wziął fotografię i przyjrzał się jej uważnie.

- Lee Tong Bougainville - odparł. - Niezbyt wyraźna podobizna, ale jest to jedno z niewielu jego zdjęć, jakie widziałem. Unika rozgłosu jak ognia. Popełnia pan wielki błąd, panie Pitt, oskarżając go o popełnienie jakiegokolwiek przestępstwa.

- Nie popełniam żadnego błędu - odparł stanowczo Pitt. - Ten człowiek próbował mnie zabić. Mam powód wierzyć, że jest sprawcą wybuchu, który spowodował pożar i zatonięcie „Leonida Andriejewa”, oraz porwania członkini Kongresu, Loren Smith.

- To, że członkini Kongresu Smith została porwana, jest pańskim czystym wymysłem.

- Czy kongresman Moran nie wyjaśnił, co się stało na statku? - zapytał Pitt.

- Odmówił odpowiedzi na nasze pytania - odparł Mercier. - Wiemy tylko to, co zakomunikował prasie.

Emmett zaczął się irytować. Uznał, że rewelacje Pitta stanowią sugestię, iż FBI spieszyło sprawę. Z płonącymi oczyma pochylił się nad stołem.

- Czy pan serio przypuszcza, że uwierzymy w te śmieszne bajeczki? - spytał nieprzyjemnym głosem.

- Niezbyt mnie obchodzi, w co pan uwierzy - odparł Pitt, spoglądając ostro na dyrektora FBI.

- Czy może pan wyjaśnić, w jaki sposób wpadł na ślad Bougainville'ów? - spytał Oates.

- Mój związek z tą sprawą spowodowany został śmiercią przyjaciółki, śmiercią, której przyczyną była substancja „N”. Przyznaję, że zacząłem poszukiwać winowajców, aby się zemścić. Gdy moje śledztwo stopniowo koncentrowało się na Liniach Żeglugowych Bougainville, nagle wypłynęły inne aspekty ich nielegalnej działalności.

- Czy ma pan dowody na poparcie swojego oskarżenia?

- Oczywiście - odparł Pitt. Komputerowe rejestry zorganizowanych przez nich porwań, dane dotyczące obrotu narkotykami oraz operacji przemysłowych znajdują się w sejfie NUMA.

Brogan uniósł dłoń.

- Chwileczkę. Stwierdził pan, że za porwaniem „Eagle’a” również kryją się Bougainville’owie.

- Tak jest.

- I że wie pan, kto został uprowadzony...

- Owszem.

- To niemożliwe - oświadczył stanowczo Brogan.

- Czy mam wymienić nazwiska, panowie? - spytał Pitt. - Zaczniemy od prezydenta. Następnie wiceprezydent Margolin, senator Larimer i przewodniczący Izby Reprezentantów Moran. Byłem przy Larimerze, kiedy umierał. Margolin żyje i jest gdzieś przetrzymywany przez Bougainville’ów. Moran znajduje się obecnie w Waszyngtonie i niewątpliwie stara się zostać następnym zbawcą kraju. Prezydent siedzi w Białym Domu, wydając zarządzenia o katastrofalnych dla kraju skutkach, ponieważ jego mózg sterowany jest przez sowieckiego psychologa, który nazywa się Aleksiej Ługowoj.

Jeżeli Oates i inni sprawiali do tej pory wrażenie oszołomionych, to teraz zastygli jak słupy soli. Brogan zaś wyglądał, jakby połknął całą zawartość butelki z sosem tabasco.

- Pan nie może tego wszystkiego wiedzieć! - wyjąkał.

- Najwidoczniej jednak mogę - odparł ze stoickim spokojem Pitt.

- Mój Boże, skąd? - zapytał Oates.

- Kilka godzin przez pożarem na „Leonidzie Andriejewie” zabiłem Pawła Suworowa, agenta KGB. Miał przy sobie notes, który sobie pożyczyłem. Na jego stronach opisał wszystkie swoje posunięcia od chwili, kiedy prezydent został uprowadzony z „Eagle’a”.

Pitt wyjął spod koszuli kapciuch do tytoniu, otworzył go i niedbałym ruchem cisnął notes na stół. Leżał tam przez kilka chwil, aż wreszcie Oates wyciągnął rękę i ostrożnie przyciągnął go do siebie,

jakby obawiał się, że notes może go ugryźć. Potem zaczął przewracać kartki.

- Dziwne - powiedział po chwili. - Wszystkie zapiski są po angielsku. Oczekiwałbym raczej zakodowanego rosyjskiego.

- To wcale nie takie dziwne - odparł Brogan. - Dobry agent zawsze będzie sporządzał notatki w języku kraju, w którym działa. Zaskakujące natomiast jest to, że Suworow w ogóle wziął ze sobą ten notes. Mogę jedynie założyć, że pilnował Ługowoja, a ponieważ sprawa kontroli umysłu była dla niego zbyt skomplikowana, aby mógł powierzyć ją pamięci, musiał sporządzać notatki ze swoich obserwacji.

- Panie Pitt - odezwał się Fawcett - czy posiada pan wystarczające dowody, aby Departament Sprawiedliwości mógł postawić Min Koryo Bougainville w stan oskarżenia?

- Postawić w stan oskarżenia, tak, skazać - nie - odparł Pitt. - Rząd nigdy nie wsadzi za kratki kobiety w wieku osiemdziesięciu sześciu lat, i w dodatku tak bogatej oraz wpływowej jak ona. A jeżeli Min Koryo uzna, że stoi na przegranej pozycji, wyniesie się z kraju i będzie kontynuowała swoją działalność gdzie indziej.

- Biorąc pod uwagę rodzaj popełnionych przez nią przestępstw - powiedział Fawcett - uzyskanie nakazu ekstradycji nie powinno być zbyt trudne.

- Min Koryo ma silne powiązania z Koreą Północną - rzekł Pitt. - Jeśli tam ucieknie, nigdy nie postawicie jej przed sądem.

Emmett zastanawiał się przez chwilę i oświadczył sucho:

- Sądzę, że możemy już zamknąć ten temat. - Potem odwrócił się do Sandeckera, jakby Pitt przestał go już interesować. - Admirale, czy może pan sprawić, aby pan Pitt był dla nas osiągalny? Chcielibyśmy też mieć zgromadzone przez niego dane komputerowe o Bougainville'ach.

- Może pan liczyć na pełną współpracę ze strony NUMA - odparł Sandecker. A potem dodał zjadliwym tonem: - Zawsze jestem gotów dopomóc FBI wykaraskać się z kłopotów.

- W takim razie sprawa załatwiona - powiedział pojednawczo Oates.
- Panie Pitt, czy orientuje się pan, gdzie mogą przetrzymywać

wiceprezydenta Margolina?

- Nie, proszę pana. Nie sędzę również, by wiedział o tym Suworow. Z jego notatek wynika, że po ucieczce z laboratorium Ługowoja obleciał śmigłowcem cały ten obszar, ale nie udało mu się zlokalizować miejsca ani budynku. Jedynym punktem, jaki wspomniał, jest rzeka na południu od Charlestonu, w Karolinie Południowej.

Oates popatrzył kolejno na Emmetta, Brogana i wreszcie na Merciera.

- No cóż, panowie, mamy punkt zaczepienia.

- Sędzę, że powinniśmy bardzo podziękować panu Pittowi - stwierdził Fawcett.

- Tak, rzeczywiście - przytaknął Mercier. - Był pan niezwykle pomocny.

W uszach Pitta zabrzmiało to tak, jakby członkowie Izby Handlowej wyrazili swą wdzięczność zamiataczowi ulic, który szedł za paradą.

- Czy to wszystko? - zapytał.

- Chwilowo tak - odparł Oates.

- A co z Loren Smith i Vince'em Margolinem?

- Postaramy się zapewnić im bezpieczeństwo - stwierdził chłodno Emmett.

Pitt wstał niezgrabnie. Sandecker podszedł i ujął go pod ramię, ale Pitt oparł dłonie na blacie stołu i pochylił się w stronę Emmetta. Pod wpływem jego wzroku mógłby uschnąć kaktus.

- Lepiej, żeby tak było - odparł twardym głosem. - Lepiej, do cholery, żeby tak było.

Rozdział 62

Kiedy „Chalmette” płynął w kierunku Florydy, w eterze wrzało. Do radiokabiny napływały gorączkowe zapytania, i okazało się, że Koreańczycy nie mogli sobie z nimi poradzić. Wreszcie poddali się i podawali jedynie nazwiska znajdujących się na pokładzie rozbitków. Wszystkie prośby środków masowego przekazu o więcej szczegółowych informacji na temat zatonięcia „Leonida Andriejewa” pozostały bez odpowiedzi.

Przed biurami rosyjskich linii żeglugowych zbierali się pełni niepokoju przyjaciele i krewni pasażerów. W różnych punktach kraju opuszczono flagi do połowy masztu. Tragedia stała się tematem rozmów w każdym domu. Czasopisma i telewizja na chwilę przestały zajmować się zamknięciem Kongresu przez prezydenta i poświęciły specjalne wydania katastrofie. Marynarka Wojenna zaczęła przerzucać ludzi, których w czasie operacji ratunkowej wyciągnięto z wody. Przewożono ich samolotami do baz lotniczych oraz szpitali położonych niedaleko miejsca zamieszkania ofiar. Przeprowadzono z nimi pierwsze wywiady: sprzeczne wersje przypisywały eksplozję praktycznie biorąc wszystkiemu - od pływającej miny z czasów drugiej wojny światowej po wybuch ładunku broni i amunicji przemycanej przez Rosjan do Ameryki Środkowej.

Radzieckie placówki dyplomatyczne w Stanach Zjednoczonych zareagowały oskarżeniem Marynarki Stanów Zjednoczonych o

nieumyślne odpalenie do „Leonida Andriejewa” pocisku raketowego. Oskarżenie to miało dobrą prasę w krajach wschodniego bloku, ale wszędzie indziej skwitowano je wzruszeniem ramion jako niezgrabny chwyt propagandowy.

Wzrastało podniecenie tragedią, największą od czasu zatonięcia „Andrei Dorii” w 1956 roku. Przedłużające się milczenie „Chalmette” doprowadzało do pasji reporterów i korespondentów. Gorączkowo poszukiwano motorówek do wynajęcia, samolotów i śmigłowców, aby wyruszyć w nich na spotkanie statku, gdy zbliży się już do brzegu. Pojawiały się najdziwsze domysły podsycane upartym milczeniem koreańskiego kapitana, napięcie rosło. Każdy polityk, który zdołał załatwić sobie wywiad, domagał się przeprowadzenia dokładnego śledztwa w tej sprawie.

„Chalmette” uparcie milczał do końca, aż do Miami. Gdy wpłynął do głównego kanału portowego, został otoczony przez wilcze stado brzęczących śmigłowców oraz pływających naokoło jachtów i kutrów rybackich, zapchanych dziennikarzami wyrzaskującymi przez megafony swoje pytania. Koreańscy marynarze w odpowiedzi machali jedynie rękami i wykrzykiwali coś w ojczystym języku.

Zbliżający się wolno do terminalu kontenerowego na Dodge Island statek powitany został przez ponad stutysięczny tłum, napierający na policyjny kordon blokujący wejście na nabrzeże. Setka kamerzystów telewizyjnych i filmowych zarejestrowała moment, jak z wielkiego kontenerowca rzucono cumy i opuszczono schodnie. Pokazano również zgromadzonych przy relingu, oszołomionych obrotem wydarzeń rozbitków.

Niektórzy cieszyli się, widząc znowu suchy ląd, inni pogrążeni byli w smutku po mężach lub żonach, synach i córkach, których nigdy więcej nie mieli ujrzeć. Wśród tłumu gapiów zapadła nagle wielka cisza. Komentator wieczornego dziennika telewizyjnego nazwał to później „ciszą, jaka towarzyszy opuszczeniu trumny do grobu”. Grupa agentów FBI w mundurach urzędników imigracyjnych oraz oficerów służby celnej nie zauważona weszła na pokład statku, by ustalić tożsamość

ocalałych pasażerów i członków załogi „Leonida Andriejewa”. Wypytywali również każdego o Loren Smith i poszukując jej, przeczesali każdy cal statku.

Al Giordino przesłuchiwał ludzi, których twarze przypominał sobie z łodzi ratunkowej. Nikt z nich nie mógł sobie przypomnieć, co stało się z Loren oraz azjatyckim stewardem po wejściu na pokład „Chalmette”. Jedna z kobiet miała wrażenie, że widziała, jak ją prowadził kapitan statku, nie była jednak tego pewna. U wielu, którzy o włos uniknęli śmierci, umysł litościwie usunął z pamięci wspomnienie katastrofy.

Kapitan i załoga twierdzili, że nic nie wiedzą. Nie rozpoznali też fotografii Loren. Tłumacze przesłuchiwali marynarzy po koreańsku, ale ich zeznania były jednakowe. Nigdy jej nie widzieli. Sześć godzin dokładnych poszukiwań nie doprowadziło do niczego. Wreszcie pozwolono wejść na pokład reporterom. Załoga została uznana za bohaterów morza. Linie Żeglugowe Bougainville, których dzielni pracownicy stawili czoło morzu płonącego paliwa i ocalili czterysta osób, święciły swój triumf.

Było już ciemno i padał deszcz, kiedy zmęczony Giordino przeszedł przez puste już nabrzeże i wkroczył do urzędu celnego w terminalu. Przez długą chwilę siedział przy biurku, patrząc w ociekający deszczem mrok. Potem odwrócił się i spojrział na telefon takim wzrokiem, jakby widział przed sobą śmiertelnego wroga. Dla kurażu pociągnął łyk brandy z wyciągniętej z kieszeni płaszcza ćwierćlitrowej piersiówki, zapalił cygaro, które ukradł admirałowi Sandeckerowi, i wreszcie wybrał numer. Potem słuchał sygnału, niemal mając nadzieję, że nikt się nie odezwie. Ale w końcu w słuchawce rozległ się głos.

Giordino oblizał wargi i powiedział:

- Wybacz mi, Dirk. Przybyliśmy za późno. Loren zniknęła.

Nadlatujący z południa śmigłowiec błysnął światłami do lądowania. Pilot ustawił maszynę w odpowiedniej pozycji, a potem opuścił ją na dach World Trade Center na dolnym Manhattanie. Otworzyły się

boczne drzwi i wysiadł z nich Lee Tong. Szybko przeszedł do strzeżonego prywatnego wejścia i zjechał windą do apartamentów babki.

Pochylił się i pocałował ją delikatnie w czoło.

- Jak minął ci dzień, *aunumi*?

- Bardzo niedobrze - powiedziała ze zmęczeniem w głosie. - Ktoś zakłóca nasze dane bankowe, transakcje amatorskie, każdą operację finansową przechodzącą przez komputer. To, co kiedyś było przykładem skutecznego zarządzania, teraz jest jednym wielkim bałaganem.

Oczy Lee Tonga zwęziły się.

- Kto to robi?

- Wszystkie ślady prowadzą do NUMA.

- Dirk Pitt.

- Jest pierwszym podejrzanym.

- Już nie - zapewnił Lee Tong. - Pitt nie żyje.

Podniosła głowę. W jej starych oczach pojawiło się niedowierzanie.

- Wiesz na pewno?

Skinął głową.

- Był na pokładzie „Leonida Andriejewa”. Pomyślny zbieg okoliczności. Patrzyłem, jak umiera.

- Twoja karaibska misja zakończyła się tylko połowicznym sukcesem. Moran żyje.

- Tak, ale nie mamy już na karku Pitta, a „Leonid Andriejew” wyrównuje rachunek za „Venice” i złoto.

Trzepnęła go w twarz.

- Ten oślizgły łajdak Antonow pozbawił nas miliarda dolarów w złocie, dobrego statku i załogi, a ty mówisz, że rachunek został wyrównany?

Lee Tong nigdy dotąd nie widział babki ogarniętej taką wściekłością.

- Też jestem tym oburzony, *aunumi*, ale chyba nie możemy wypowiedzieć wojny Związkowi Radzieckiemu.

Pochyliła się do przodu, zaciskając dłonie na podłokietnikach fotela

inwalidzkiego tak mocno, że przez jej delikatną skórę widać było kostki palców.

- Rosjanie nie wiedzą, co to znaczy mieć przeciwko sobie terrorystów! Chcę, żebyś rozpoczął ataki bombowe przeciwko ich flocie handlowej, szczególnie przeciwko zbiornikom.

Lee Tong objął ją delikatnie ramieniem, jakby była zranionym dzieckiem.

- Staro testamentowa zasada „oko za oko” może zaspokoić pragnienie zemsty, ale nie powiększa konta bankowego. Nie pozwól, aby zaślepił cię gniew.

- Nic mi z tego nie przyjdzie - rzuciła ostro. - Antonow ma prezydenta, a złoto leży w takim miejscu, z którego radziecka marynarka łatwo je wydobędzie. Straciliśmy lata przygotowań i miliony dolarów, i po co?

- Jeszcze możemy się z nimi potargować - stwierdził Lee Tong. - Wiceprezydent Margolin w dalszym ciągu jest w naszym laboratorium. I mamy nieoczekiwaną premię w postaci członkini Kongresu Loren Smith.

- Porwał ją? - spytała z zaskoczeniem.

- Również była na wycieczkowcu. Po zatonięciu statku kazałem przerzucić ją z „Chalmette” do laboratorium.

- Może okazać się użyteczna - mruknęła Min Koryo.

- Nie trać ducha, *aunumi* - powiedział Lee Tong. - Wciąż bierzemy udział w grze. Antonow i jego kumpel z KGB, Polewoj, nie doceniają amerykańskiego zwariowanego poszanowania dla życia jednostki i jej praw. To, że nakazali prezydentowi zamknąć Kongres, było poważnym błędem. W ciągu tygodnia zostanie postawiony w stan oskarżenia i wyrzucony z Waszyngtonu.

- Nie dojdzie do tego, dopóki ma poparcie Pentagonu.

Lee Tong włożył papierosa do długiej srebrnej cygarniczki.

- Szefowie Połączonych Sztabów siedzą okrakiem na płocie. Nie mogą w nieskończoność uniemożliwiać przeprowadzenia sesji Izby. A kiedy postawienie prezydenta w stan oskarżenia zostanie

przegłosowane, generałowie i admirałowie natychmiast udziela poparcia Kongresowi i nowemu przywódcy.

- Którym będzie Alan Moran - powiedziała Min Koryo takim tonem, jakby poczuła jakiś niemiły smak w ustach.

- Chyba że uwolnimy Vincenta Margolina.

- I sami sobie poderżniemy gardło. Lepiej będzie, jeżeli zniknie na zawsze albo jeśli znajdą jego ciało pływające w Potomacu.

- Posłuchaj, *aunumi* - odezwał się Lee Tong. Jego czarne oczy błyszczały. - Laboratorium jest w pełni sprawne. Dyspozycje Ługowoja w dalszym ciągu znajdują się na twardym dysku komputera. Możemy wykorzystać jego technikę kontroli umysłu wynajmując innych specjalistów, którzy zaprogramują umysł Margolina. Tym razem to nie Rosjanie będą kontrolować Biały Dom, lecz Linie Żeglugowe Bougainville.

- Ale jeżeli Morana zaprzysięgną jako prezydenta, zanim zdążymy przeprowadzić tę operację, Margolin stanie się dla nas bezużyteczny.

- Wtedy mamy jeszcze drugą możliwość - powiedział Lee Tong. - Zawieramy umowę z Moranem w sprawie wyeliminowania Margolina i w ten sposób torujemy sobie drogę do Białego Domu...

- Myślisz, że można go kupić?

- Alan Moran jest sprytnym krętaczem. Jego siła polityczna opiera się na tajnych machinacjach finansowych. Wierz mi, *aunumi*, zapłaci każdą cenę za swoją prezydenturę.

Min Koryo popatrzyła na wnuka z szacunkiem. Posiadał niemal mistyczną umiejętność operowania abstrakcjami. Uśmiechnęła się lekko. Nic bardziej nie poruszało jej kupieckiego serca niż zamiana klęski w sukces.

- Zawrzyj tę umowę - powiedziała.

- Jestem szczęśliwy, że się zgadzasz.

- Musisz przenieść wyposażenie laboratorium w bezpieczne miejsce - oznajmiła. Jej umysł zaczął znów intensywnie pracować. - Przynajmniej do czasu, kiedy zorientujemy się, w jakiej jesteśmy sytuacji. Amerykańskie służby śledcze wkrótce poukładają wszystkie

części łamigłówki i skoncentrują swoje poszukiwania na Wybrzeżu Wschodnim.

- Też tak uważam - zgodził się Lee Tong. - Dlatego poleciłem, aby jeden z naszych holowników przeprowadził laboratorium z wód Karoliny Południowej do naszej prywatnej przystani.

Min Koryo skinęła głową.

- Doskonały wybór.

- Praktyczny.

- A co zrobimy z Loren Smith? - spytała babka po chwili.

- Jeżeli ta kobieta porozumie się z prasą, Moran może zostać zmuszony do udzielenia odpowiedzi na kilka kłopotliwych pytań na temat swojej obecności na pokładzie „Leonida Andriejewa”. Sądzę, że będzie wolał zapłacić również i za jej milczenie.

- Tak. Ugrzązł w swoich kłamstwach po uszy.

- Możemy spróbować przeprowadzić operację kontroli umysłu także na niej i wysłać ją z powrotem do Waszyngtonu. Posłuszny sługa w Kongresie może stać się bardzo dobrym nabytkiem.

- A jeżeli Moran włączy Smith do umowy?

- Wtedy zatopimy laboratorium razem z Margolinem i Loren Smith na stujardowej głębokości.

Lee Tong i Min Koryo nie wiedzieli, że ich rozmowa została przekazana na dach sąsiedniego budynku mieszkalnego, skąd pomocnicza antena talerzowa wysyłała sygnały radiowe do uruchamianego głosem magnetofonu, stojącego w zakurzonej, pustym biurze kilka przecznic dalej, na Hudson Street.

Wzniesiony pod koniec ubiegłego wieku budynek przeznaczony był do rozbiórki, lecz chociaż większość pomieszczeń biurowych była już opuszczona, niektórzy lokatorzy zwlekali jeszcze z przeprowadzką.

Sal Casio miał całe dziewiąte piętro dla siebie. Został dzikim lokatorem tego właśnie biura, bo nikt go nigdy nie sprawdzał, a jego okno znajdowało się w prostej linii do pomocniczej anteny. Leżanka,

śpiwór i mała kuchenka elektryczna były wszystkim, czego potrzebował. Poza odbiornikiem sprzężonym z magnetofonem jedynym elementem umeblowania był tu stary, wytarty fotel klubowy, który przywłókł ze śmietnika na bocznej ulicy.

Otworzył zamek uniwersalnym kluczem i wszedł, niosąc w ręku papierową torbę, w której była kanapka z wołowiną i trzy butelki piwa Herman Joseph. W gabinecie było gorąco i duszno, otworzył więc okno i zapatrzył się na światła New Jersey po drugiej stronie rzeki.

Prowadził żmudne działania obserwacyjne w rutynowy sposób, ciesząc się samotnością, która pozwalała mu błądzić myślami w przeszłości. Przypominał sobie szczęśliwy okres małżeństwa, lata, kiedy rosła jego córka. Zaczynał się roztkliwiać. Długie oczekiwanie na zemstę wreszcie dobiegało końca. Pozostało tylko, pomyślał, dopisać epilog sprawy Bougainville'ów.

Nadgryzł kanapkę i spojrzał na magnetofon. Spostrzegł, że w czasie jego wyprawy do delikatesów taśma przesunęła się dalej. Postanowił, że przesłucha ją, kiedy nadejdzie bliski już poranek. Gdyby cofnął taśmę, a w tym samym czasie czyjś głos ponownie uruchomił aparaturę, całe poprzednie nagranie uległoby skasowaniu.

Nie mógł zdawać sobie sprawy z ogromnego znaczenia zarejestrowanej przed chwilą rozmowy. Podjęta przez niego decyzja wynikała ze zwykłego trybu rutynowego postępowania, lecz to opóźnienie miało okazać się bardzo kosztowne.

- Czy mogę z panem porozmawiać, panie generale?

Metcalf, który właśnie miał zamiar zakończyć dzień pracy, zatrząskiwiał już zamki swojej dyplomacji. Skrzywił się z irytacją, widząc stojącego w drzwiach Alana Merciera.

- Oczywiście, proszę wejść i usiąść.

Doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego podszedł do biurka, ale nie usiadł.

- Mam pewne wiadomości, które się panu nie spodobają.

Metcalf westchnął.

- Ostatnio złe wiadomości są na porządku dziennym. Co tym razem?

Mercier podał mu nie podpisaną teczkę, w której znajdowało się kilka kartek maszynopisu, i powiedział cicho:

- Bezpośrednie rozkazy prezydenta. Wszystkie siły zbrojne Stanów Zjednoczonych w Europie muszą zostać wycofane przed świętami Bożego Narodzenia. Ma pan dwadzieścia dni na sporządzenie planu ich całkowitej ewakuacji.

Metcalf osunął się w fotel, jak człowiek, którego uderzono młotem.

- To niemożliwe - wymamrotał. - Nie wierzę, że prezydent mógł wydać taki rozkaz!

- Byłem w równym stopniu zaszokowany - oznajmił Mercier. - Oates i ja próbowaliśmy przemówić mu do rozsądku, ale bez skutku. Zażądał, aby usunięto wszystko - pociski Pershing i Cruise, całe wyposażenie, bazy zaopatrzeniowe - i zwinięto wszystkie struktury organizacyjne.

Metcalf był całkowicie oszołomiony.

- A co z naszymi zachodnioeuropejskimi sojusznikami?

Mercier rozłożył bezradnie ręce.

- Powiedział coś, czego nigdy bym się po nim nie spodziewał: „Niech Europa rządzi Europą”.

- Ależ na Boga! - warknął z nagłą wściekłością Metcalf. - Podaje cały kontynent Rosjanom na złotej tacy.

- Właśnie.

- Niech mnie diabli wezmą, jeżeli się podporządkuję.

- Co pan w takim razie zrobi?

- Udam się bezpośrednio do Białego Domu i złożę rezygnację - oświadczył stanowczo Metcalf.

- Zanim zacznie pan zbyt pośpiesznie działać, radziłbym spotkać się z Samem Emmettem.

- Po co?

- Jest coś, o czym powinien pan wiedzieć - odparł cicho Mercier. - A Sam będzie mógł to panu lepiej wyjaśnić niż ja.

Rozdział 63

Kiedy Fawcett wszedł do sypialni, prezydent siedział przy stole w piżamie i szlafroku.

- No i co, rozmawiałeś z Moranem?

Fawcett miał ponurą minę.

- Odmówił wysłuchania jakiegokolwiek pańskiej propozycji.

- A więc to tak?

- Powiedział, że jest pan skończony jako prezydent i bez względu na to, co pan powie, nie będzie to miało żadnego znaczenia. A potem dorzucił kilka obraźliwych sformułowań...

- Chciałbym je usłyszeć - zażądał ostrym tonem prezydent.

Fawcett westchnął z zakłopotaniem.

- Powiedział, że zachowuje się pan jak szaleniec i powinno się pana umieścić w szpitalu psychiatrycznym. Porównał pana do Benedicta Arnolda i stwierdził, że dopilnuje, aby pańska prezydentura zniknęła z kart historii. Potem oznajmił, że oddałby pan najlepszą przysługę krajowi, gdyby popełnił samobójstwo i oszczędził podatnikom kosztów długotrwałego śledztwa i procesu.

Twarcz prezydenta przekształciła się w maskę wściekłości.

- Ten zasmarkany mały sukinsyn myśli, że postawi mnie przed sądem?

- Wygląda na to, że robi wszystko, żeby zająć pańskie miejsce.

- Nie uda mu się to - odparł prezydent przez zaciśnięte zęby. - A

poza tym ma zbyt pokręcone w głowie, żeby mógł podołać tej pracy.

- Kiedy to mówił, miał już niemal podniesioną prawą rękę do złożenia przysięgi - powiedział Fawcett. - Postawienie pana w stan oskarżenia jest dopiero pierwszym krokiem w jego planach...

- Alan Moran nigdy nie zamieszka w Białym Domu - oznajmił prezydent twardym, zdecydowanym tonem.

- Nie będzie sesji Kongresu, nie będzie postawienia w stan oskarżenia - stwierdził Fawcett. - Ale nie może im pan w nieskończoność uniemożliwiać pracy.

- Nie będą mogli się zebrać, dopóki na to nie pozwolę.

- A co z sesją wyznaczoną na jutro rano w Audytorium Listera?

- Wojsko błyskawicznie ich rozpędzi.

- A jeżeli Gwardia Narodowa Wirginii i Marylandu będzie ich osłaniać?

- Jak długo będą mogli stawiać opór doborowym żołnierzom i piechocie morskiej?

- Wystarczająco długo, by bardzo wielu ludzi zginęło - rzekł Fawcett.

- No to co? - odparł prezydent z zimnym szyderstwem. - Im dłużej uda mi się utrzymać Kongres w rozsypce, tym więcej zdołam zdziałać. Kilku poległych to niewielka cena.

Fawcett spojrzał na niego z niepokojem. Nie był to ten sam człowiek, który w czasie kampanii wyborczej przysięgał uroczyście, że żaden amerykański chłopak nie będzie musiał podczas trwania jego kadencji walczyć i umierać. Po chwili pokręcił głową.

- Mam nadzieję, że nie działa pan zbyt brutalnie.

- Tchórzysz, Dan?

Fawcett miał wrażenie, że zapędzono go do narożnika, ale zanim zdążył odpowiedzieć, do pokoju wszedł Lucas z filiżankami i imbrykiem na tacy.

- Czy któryś z panów ma ochotę na herbatę ziołową? - zapytał.

Prezydent skinął głową.

- Dziękuję, Oskarze. Miałeś bardzo dobry pomysł.

- A ty, Dan?

- Dziękuję, owszem.

Lucas nalał herbatę i podał filiżanki. Sam również się obsłużył. Fawcett wypił swoją niemal duszkiem.

- Mogłaby być bardziej gorąca - stwierdził z pretensją w głosie.

- Przepraszam - odparł Lucas. - Wystygła po drodze z kuchni.

- A mnie smakuje doskonale - stwierdził prezydent. - Nie lubię zbyt gorących płynów. - Przerwał i odstawił filiżankę na stół. - A więc, na czym skończyliśmy?

- Omawialiśmy pańskie nowe założenia polityki zagranicznej - oświadczył Fawcett, zgrabnie wymykając się z narożnika. - Europa Zachodnia jest wściekła na pańską decyzję wycofania amerykańskich sił zbrojnych z NATO. Po ambasadach krąży dowcip, że Antonow przygotowuje się do powitalnego bankietu w hotelu Savoy w Londynie.

- Niezbyt dobry dowcip - odparł zimno prezydent. - Prezydent Antonow zapewnił mnie osobiście, że pozostanie na swoim podwórku.

- O ile dobrze pamiętam, Hitler mówił to samo Nevillowi Chamberlainowi - zauważył Fawcett.

Prezydent popatrzył na niego tak, jakby miał zamiar ostro zareagować, ale nagle ziewnął i potrząsnął głową, odganiając ogarniającą go senność.

- Mniejsza o to, co ktoś sobie pomyśli - rzekł wolno. - Rozwiąłem zagrożenie nuklearne, i tylko to się liczy.

Fawcett również ziewnął.

- Jeżeli nie będzie mnie pan już dziś wieczór potrzebował, panie prezydencie, to chyba powędruję w stronę łóżka.

- Ja też - dodał Lucas. - Żona i dzieci zastanawiają się, czy jeszcze istnieję.

- Oczywiście. Przepraszam, że zatrzymałem was do tak późnej pory. - Prezydent podszedł do łóżka, zrzucił kaptcie i zdjął szlafrok. - Włącz telewizor, Oskarze, dobrze? Chciałbym przez parę minut posłuchać wiadomości o dwudziestej czwartej. - Potem zwrócił się do Fawcetta: - Zorganizuj na rano spotkanie z generałem Metcalfem. Chcę, żeby mnie

poinformował o ruchach wojsk.

- Dopilnuję tego - zapewnił Fawcett. - Dobranoc.

W jadącej na parter windzie Fawcett spojrzał na zegarek. - Dwie godziny powinny wystarczyć.

- Będzie spał jak zabity i obudzi się zmarnowany jak diabli - odparł Lucas.

- Jak ci się to udało? Nie widziałem, żebyś mu wrzucił coś do herbaty. Napełniłeś wszystkie trzy filiżanki z tego samego imbryka.

- Stara kuglarska sztuczka - roześmiał się Lucas. - Imbryk ma dwie osobne komory.

Drzwi windy otworzyły się i zobaczyli stojącego przed nimi Emmetta.

- Były jakieś problemy? - zapytał.

Fawcett pokręcił głową.

- Poszło jak po maśle. Zasnął jak dziecko.

Lucas popatrzył na niego.

- Ale teraz czeka nas trudniejsze zadanie... Oszukać Rosjan.

- Śpi dziś niezwykle mocno - stwierdził Ługowoj.

Psycholog z porannej zmiany, który obserwował aparaturę kontrolną, skinął potakująco głową.

- To dobry znak. Istnieją mniejsze szanse, że towarzysz Bielka znowu przedostanie się do jego snów.

Ługowoj popatrzył na ekran rejestrujący czynności organizmu prezydenta.

- Temperatura ciała podwyższona o jeden stopień. W jamie nosowej powstają złogi flegmy. Wygląda to na katar sienny albo na grypę. Lepiej obserwujcie go dokładnie, bo choroba może się przekształcić w coś, co zagrazi naszemu planowi...

Nagle zielone cyfry wypełniające tuzin ekranów na konsoli wyblakły, przemieniły się w zniekształcone linie i wreszcie zniknęły w czerni.

Psycholog-obszawator wyprostował się.

- Co, u diabła...

Zaraz potem dane na ekranach pojawiły się znowu - czyste i wyraźne. Ługowoj szybko sprawdził sygnalizacyjne lampki obwodów. Wszystkie wskazywały stan normalny.

- Co to było?

Ługowoj popatrzył z namysłem na ekrany.

- Prawdopodobnie chwilowe wyłączenie wszczepionego nadajnika.

- Nic nie wskazuje na awarię.

- Może zakłócenia elektryczne?

- Tak, to na pewno jakieś wyładowanie atmosferyczne. Zresztą co by to mogło być innego?

Ługowoj ze zmęczeniem przesunął dłonią po twarzy.

- To nic - powiedział ponuro. - Nic istotnego.

Generał Metcalf siedział w swojej kwaterze i poruszał szklanką z brandy. Zamknął leżący na kolanach raport, podniósł głowę i spojrział ze smutkiem na siedzącego po drugiej stronie pokoju Emmetta.

- To straszne - rzekł powoli. - On miał wszelkie szansę przejść do historii. W Białym Domu nie zasiadał dotąd lepszy człowiek.

- Wszystkie dane znajdują się tutaj - powiedział Emmett, wskazując raport. - To Rosjanie są odpowiedzialni, że stan jego umysłu czyni go niezdolnym do sprawowania urzędu.

- Muszę się z tym zgodzić, choć nie przychodzi mi to łatwo. Przyjaźniliśmy się przez prawie czterdzieści lat.

- Czy odwoła pan wojsko i pozwoli Kongresowi przeprowadzić sesję w Audytorium Listera? - zapytał Emmett.

Metcalf upił łyk brandy i ze znużeniem skinął głową.

- Zaraz z samego rana wydam rozkaz wycofania oddziałów. Niech pan powiadomi przewodniczących Izby i Senatu, że mogą zebrać się w gmachu Kapitolu.

- Chciałbym jeszcze prosić pana o przysługę...

- Słucham.

- Czy może pan o północy zdjąć wartę piechoty morskiej stojącą wokół Białego Domu?

- Nie widzę żadnych trudności - odparł Metcalf. - Czy jest jakiś szczególny powód?

- To podstęp, generale - powiedział Emmett. - Przekona się pan, że bardzo potrzebny.

Rozdział 64

Sandecker stał w gabinecie kartograficznym NUMA i przez silne szkło powiększające przyglądał się lotniczemu zdjęciu Johns Island w Karolinie Południowej. Wyprostował się i popatrzył na Giordina i Pitta stojących po przeciwnej stronie stołu.

- Czegoś tu nie rozumiem - powiedział po krótkiej chwili milczenia.

- Jeżeli Suworow dobrze określił punkty orientacyjne, to nie bardzo wiem, dlaczego nie był w stanie odnaleźć ze śmigłowca laboratorium Bougainville'ów.

Pitt zajął do notesu radzieckiego agenta.

- Jako główny punkt odniesienia potraktował tę starą, opuszczoną stację benzynową - powiedział, wskazując maleńki kształt na mapie.

- Czy Emmett albo Brogan wiedzą, że przed wyjazdem z Guantanamo zrobiłeś kopię? - spytał Giordino, skinieniem głowy wskazując notes.

Pitt uśmiechnął się.

- A jak myślisz?

- Jeżeli nie powiesz, ja również nie powiem.

- Skoro Suworow uciekł z laboratorium w nocy - powiedział Sandecker - to może mógł się pomylić?

- Dobry agent wywiadu jest również dobrym obserwatorem - stwierdził Pitt. - Bardzo dokładnie określił punkty orientacyjne. Wątpię, by pomylił kierunek.

- Emmett wysłał dwustu agentów, żeby przeczესali cały teren - powiedział Sandecker. - Według informacji sprzed piętnastu minut nic nie znaleźli.

- W takim razie gdzie to może być? - spytał Giordino. - Na zdjęciach lotniczych nie ma żadnego budynku o wymiarach podanych przez Suworowa. Kilka starych łodzi mieszkalnych, parę rozproszonych niewielkich domów, nic, co byłoby zbliżone rozmiarami do składu.

- Urządzenia podziemne? - myślał głośno Sandecker.

Giordino zastanawiał się przez chwilę.

- Suworow wspomniał, że kiedy uciekali, posłużyli się windą.

- Poza tym wspomniał, że schodzili po rampie na szutrową drogę.

- Rampa może sugerować jakąś jednostkę pływającą.

Sandecker popatrzył z powątpiewaniem.

- Nie sędzę. Jedyńym zbiornikiem wodnym w pobliżu miejsca wskazanego przez Suworowa jest rzeczuka o gęłokości nie większej niż dwie, trzy stopy. To zbyt płytko, żeby mógł tam wpłynąć statek tak duży, aby potrzebna w nim była winda.

- Jest jeszcze jedna ewentualność - stwierdził Pitt.

- Jaka?

- Barka.

Giordino popatrzył na drugą stronę stołu, w kierunku Sandeckera.

- Mam wrażenie, że Dirk wpadł na dobry pomysł.

Pitt podszedł do telefonu, wybrał numer i przełączył rozmowę na głośnik.

- Dział Danych - odezwał się zaspany głos.

- Yeager, nie śpisz?

- O Boże, to ty, Pitt. Dlaczego zawsze musisz dzwonić po północy?

- Słuchaj, potrzebuję informacji o szczególnym typie statku. Czy twoje komputery mogą go bliżej określić, jeżeli podam wymiary?

- Czy to jakaś gra?

- Możesz mi wierzyć, że nie - warknął Sandecker.

- Admirał! - mruknął rozbudzony nagle Yeager. - Zaraz się do tego zabiorę. Jakie wymiary?

Pitt dotarł do właściwej strony notesu i odczytał je do telefonu:

- Sto sześćdziesiąt osiem stóp długości na trzydzieści trzy szerokości. Przybliżona wysokość dziesięć stóp.

- Niezbyt bogate informacje - mruknął Yeager.

- Spróbuj - rzekł stanowczo Sandecker.

- Poczekajcie. Idę do klawiatury.

Giordino uśmiechnął się do admirała.

- Chce się pan założyć?

- O co?

- Butelka Chivas Regal przeciwko pudełku pańskich cygar, że Dirk ma rację.

- Nie ma mowy - odparł Sandecker. - Moje specjalnie zwijane cygara kosztują o wiele więcej niż butelka szkockiej.

Usłyszeli, jak Yeager odchrząknął.

- Jest. - Potem zapadła krótka pauza. - Przykro mi. Niewystarczające dane. Te wymiary mogą pasować do jednej ze stu rozmaitych jednostek.

Pitt myślał przez moment.

- A jeżeli założymy, że wysokość była jednakowa od dziobu do rufy?

- Mówisz o płaskiej nadbudówce?

- Tak.

- Poczekaj - odparł Yeager. - Dobra, zmniejszyłeś liczbę możliwości. Twój tajemniczy statek wygląda jak barka.

- Eureka! - zawołał Giordino.

- Jeszcze się nie ciesz - ostrzegł go Yeager. - Wymiary nie pasują do żadnego z istniejących typów.

- Cholera! - parsknął Sandecker. - Tak blisko, a jednak...

- Chwileczkę - przerwał mu Pitt. - Suworow podawał wewnętrzne wymiary. - Pochylił się nad głośnikiem. - Yeager, dodaj po dwie stopy do każdego wymiaru.

- Coraz cieplej - zachrobotął głos Yeagera. - Wprowadzam wymiary, sto dziewięćdziesiąt pięć na trzydzieści pięć na dwanaście.

- Szerokość i wysokość się zgadzają - odparł Pitt - ale w długości się

rąbnałeś.

- Dajeś mi wewnętrzną długość między dwoma pionowymi grodziami. Ja natomiast podaję ci pełną długość uwzględniającą pochylenie dziobu.

- Ma rację - stwierdził Sandecker. - Nie wzięliśmy tego pod uwagę.

Yeager ciągnął:

- Otrzymujemy barcę do przewozu ładunków masowych. Konstrukcja stalowa, dwieście osiemdziesiąt do trzystu ton ładowności, automatycznie zamykane ładownie do przewozu ziarna, tarcicy, i tak dalej. Wyprodukowana najprawdopodobniej przez Stocznię Rzeczną Nashville.

- Zanurzenie...? - pytał dalej Pitt.

- Pusta czy z ładunkiem?

- Pusta.

- Osiemnaście cali.

- Dzięki, stary. Znowu ci się udało!

- Co mi się udało?

- Możesz iść spać.

Pitt wyłączył głośnik i odwrócił się do Sandeckera.

- Mgła się rozwiewa.

Sandecker promieniał.

- Mądrzy, bardzo mądrzy ludzie ci Bougainville'owie.

Pitt skinął głową.

- Muszę się z tym zgodzić. Ostatnim miejscem, w którym ktoś szukałby laboratorium z cenną aparaturą, jest wnętrze starej, zardzewiałej barki rzecznej zacumowanej przy mokradłach.

- A poza tym ma tę przewagę, że jest ruchoma - stwierdził Sandecker. - Holownik może przeprowadzić ją wszędzie, gdzie głębokość przekracza półtorej stopy.

Pitt z namysłem wpatrywał się w fotografię lotniczą.

- Musimy określić, gdzie ją teraz schowali.

- Strumień, w którym była zacumowana, wpada do rzeki Stono - zauważył Sandecker.

- A rzeka Stono jest częścią Kanału Wewnętrznego - dodał Pitt. - Mogli się wślizgnąć do każdej z dziesięciu tysięcy rzek, strumieni, zatoczek i zalewów od Bostonu do Key West.

- Nie sposób zgadnąć, gdzie się skierowali - mruknął z rezygnacją Giordino.

- Nie będą tkwili na wodach Karoliny Południowej - odparł Pitt - to oczywiste. Problem sprowadza się więc do południa lub północy i odległości sześciuset, może ośmiuset mil.

- Wyłuskanie jej spośród innych barek na wschodnich szlakach wodnych będzie koszmarnym zajęciem stwierdził cicho Sandecker. - Jest ich tam więcej niż opadłych liści jesienią.

- Mimo wszystko to więcej, niż mieliśmy na początku - powiedział z nadzieją w głosie Pitt.

Sandecker podniósł głowę znad fotografii.

- Lepiej zadzwoń do Emmetta i powiedz mu o naszym odkryciu. Może ktoś z jego armii detektywów będzie miał szczęście i natrafi na właściwą barcę.

Słowa admirała nie zdradzały jednak jego prawdziwych myśli. Nie chciał powiedzieć, co mu leżało na sercu. Jeżeli Lee Tong Bougainville zacznie podejrzewać, że agenci federalni siedzą mu na karku, będzie miał tylko jedno wyjście. Zabije wiceprezydenta i Loren, a potem wyrzuci ich ciała, aby zatrzeć wszelkie ślady.

Rozdział 65

- To tylko zwykły przypadek infekcji grypowej - powiedział doktor Harold Gwynne, osobisty lekarz prezydenta. Był to pogodny, łysiejący człowieczek o przyjacielskich, niebieskich oczach. - Niech pan zostanie przez kilka dni w łóżku, dopóki gorączka nie spadnie. Dam panu antybiotyk i coś, co usunie uczucie mdłości.

- Nie mogę dłużej leżeć - zaprotestował słabo prezydent. - Mam zbyt wiele do zrobienia.

Ale w jego głosie nie było słycać przekonania. Dreszcze wywołane czterdziestostopniową temperaturą zwały go z nóg, przez cały czas zbierało mu się na wymioty. Bolało go gardło, miał zatknięty nos i czuł się paskudnie od stóp do czubka głowy.

- Niech się pan rozluźni i uspokoi - polecił Gwynne. - Przez kilka godzin świat zdoła się bez pana obyć.

Zrobił prezydentowi zastrzyk, po czym podał mu szklanę wody, żeby mógł popić pigułkę.

Dan Fawcett wszedł do sypialni.

- Już pan kończy, doktorze? - zapytał.

Gwynne skinął głową.

- Niech pan pilnuje, żeby nie wstawał. Około drugiej po południu przyjdę sprawdzić stan pacjenta. - Uśmiechnął się ciepło, zatrzasnął czarną lekarską torbę i wyszedł.

- Generał Metcalf już czeka - poinformował Fawcett.

Prezydent wsunął pod plecy trzecią poduszkę i usiadł z wysiłkiem. Zobaczył, że pokój wiruje, i zaczął masować skronie.

Wszedł Metcalf. Wyglądał imponująco w mundurze ozdobionym ośmioma rzędami kolorowych baretek. Poruszał się z energią, niewidoczną w czasie ostatniego spotkania. Prezydent popatrzył na niego. Twarz miał bladą, powieki opadały mu na łzawiące oczy. Zaczął gwałtownie kaszleć.

Metcalf podszedł do łóżka.

- Czy mogę coś dla pana zrobić? - zapytał ze współczuciem.

Prezydent pokręcił głową i ruchem ręki poprosił go, żeby się odsunął.

- Jakoś dam sobie radę - odpowiedział w końcu. - Jaka sytuacja, Clayton?

Prezydent nigdy nie zwracał się do Szefów Połączonych Sztabów wymieniając ich rangę. Wolał mówić po imieniu, żeby w ten sposób nieco zmniejszyć ich poczucie własnego znaczenia.

Metcalf usiadł w fotelu i powiedział z zakłopotaniem:

- W chwili obecnej na ulicach panuje spokój, ale miały miejsce dwa wypadki ostrzelania wojska. Jeden żołnierz zginął, dwóch szeregowców piechoty morskiej zostało rannych.

- Czy winowajcy zostali ujęci?

- Tak jest - odparł Metcalf.

- Z pewnością to tylko jakieś elementy przestępcze.

Metcalf popatrzył na czubki butów.

- Niezupełnie. Jednym z nich był syn kongresmana Jacoba Whitmana z Dakoty Południowej, drugim zaś syn Generalnego Dyrektora Poczty, Kennetha Pottera. Żaden nie ma jeszcze siedemnastu lat.

Na twarzy prezydenta przez chwilę odmalowało się przygnębienie, ale prawie natychmiast jego rysy stwardniały.

- Czy rozmieszczono wojsko wokół Audytorium Lisnera?

- Na terenach otaczających budynek zajęła pozycje kompania piechoty morskiej.

- To chyba niezbyt wystarczająca liczba ludzi - odparł prezydent. - Połączone oddziały Gwardii Narodowej Marylandu i Wirginii mają nad nimi pięciokrotną przewagę.

- Gwardia nie znajdzie się w pobliżu audytorium - stwierdził stanowczo Metcalf. - Mamy zamiar pozbawić ją możliwości skutecznego działania, zatrzymując kolumny, zanim wejdą do miasta.

- Rozsądna strategia - powiedział prezydent. Jego oczy rozbłyły na chwilę.

- Złapałem specjalne wydanie dziennika - odezwał się Fawcett, który kłęczał przez telewizorem. Podkreślił trochę głos i odsunął się na bok.

Przy autostradzie zablokowanej przez uzbrojonych żołnierzy stał Curtis Mayo. W tle widać było szereg wozów bojowych ustawionych w poprzek drogi. Wyloty ich luf były groźnie skierowane na kolumnę transporterów opancerzonych.

„Oddziały Gwardii Narodowej stanu Wirginia, które zgodnie z planami przewodniczącego Izby Reprezentantów Alana Morana miały ochraniać sesję Kongresu w auli Uniwersytetu imienia Jerzego Waszyngtona, zostały zawrócone sprzed stolicy przez pancerne jednostki sił specjalnych wojsk lądowych. O ile wiem, to samo spotkało gwardię stanu Maryland na północny wschód od stolicy. Jak dotąd, nie zaistniała groźba wybuchu walk. Obydwie gwardie stanowe zostały najwyraźniej zmuszone do odwrotu nie tylko przez przeważające siły, ale również przez lepsze uzbrojenie. Rozmieszczona wokół Audytorium Lisnera kompania piechoty morskiej, dowodzona przez pułkownika Warda Clarke'a, odznaczonego Vietnam Medal of Honor, zawraca członków Kongresu, zabraniając im wstępu na sesję. A więc raz jeszcze prezydent udaremnił wysiłki członków Izby i Senatu i kontynuuje swoje kontrowersyjne programy zagraniczne bez ich aprobaty. Mówił Curtis Mayo, wiadomości CNN, z autostrady, trzydzieści mil na południe od Waszyngtonu”.

- Czy dosyć już pan widział? - zapytał Fawcett, wyłączając odbiornik.

- Tak, tak - wychrypiał radośnie prezydent. - Dzięki temu ten

megaloman Moran popływa sobie jakiś czas bez steru.

Metcalf wstał.

- Jeżeli już mnie pan nie potrzebuje, panie prezydencie, to chciałbym teraz wrócić do Pentagonu. Mamy dość niejasną sytuację, jeżeli chodzi o naszych dowódców jednostek w Europie. Nie do końca podzielają pańskie poglądy na sprawę wycofania naszych oddziałów do Stanów.

- Na pewno zaakceptują ryzyko czasowej nierównowagi wojskowej, jeżeli zrozumieją, że dzięki temu odsuniemy widmo konfliktu nuklearnego. - Prezydent uściśnął Metcalfowi rękę. - Dobra robota, Clayton. Dziękuję.

Metcalf przeszedł pięćdziesiąt stóp korytarzem, który doprowadził go do wielkiego pustego pomieszczenia, przypominającego halę magazynową. Kopia sypialni prezydenckiej w Białym Domu znajdowała się wewnątrz starego ceglanego budynku służb artyleryjskich waszyngtońskiej stoczni Marynarki Wojennej, nie wykorzystywanego właściwie od czasów drugiej wojny światowej.

Każdy element kamuflażu był doskonale zaplanowany i wykonany. Operator dźwięku obsługiwał stereofoniczny magnetofon, który odtwarzał z taśmy przygłuszone dźwięki ruchu ulicznego. Światła za oknem sypialni dokładnie odpowiadały barwie nieba, chwilami przyciemniano je, symulując przepływające obłoki. Zamontowane przy lampach filtry ustawiono tak, aby pomarańczowożółte barwy zmieniały się wraz z upływem dnia i ruchem słońca. Nawet rury w przyległej łazience wydawały takie same dźwięki jak w oryginalnym pomieszczeniu, ale ich zawartość spływała do zbiornika, nie zaś do systemu kanalizacyjnego Waszyngtonu. Na olbrzymiej powierzchni betonowej podłogi hali stały gęsto rozstawione posterunki piechoty morskiej i agenci Secret Service, a na górze, na pomostach roboczych umieszczonych wśród wielkich drewnianych krokwi, stali ludzie obsługujący system oświetleniowy.

Metcalf przeszedł przez płataninę przewodów elektrycznych i

wszedł do wielkiej przyczepy ustawionej pod przeciwległą ścianą. Oates i Brogan czekali już na niego i zaprosili do gabinetu wyłożonego boazerią z drzewa orzechowego.

- Kawy? - zapytał Brogan, unosząc szklany dzbanek.

Metcalf z wdzięcznością skinął głową. Wziął parującą filiżankę i opadł na fotel.

- Mój Boże, przed chwilą mógłbym przysiąc, że jestem w Białym Domu.

- Ludzie Martina wykonali niesamowitą robotę - stwierdził Oates. - Przerzucili samolotem całą ekipę ze studia filmowego w Hollywood i zbudowali wszystko w ciągu dziewięciu godzin.

- Czy był jakiś problem z przeniesieniem prezydenta?

- Wszystko poszło gładko - odparł Brogan. - Przewieźliśmy go tym samym furgonem co meble. Może zabrzmi to dziwnie, ale najwięcej kłopotu sprawiła nam farba.

- Jak to?

- Musieliśmy pokryć ściany substancją, która nie pachniałaby świeżą farbą. Na szczęście chemicy w laboratorium CIA znaleźli przypominającą kredę całkowicie bezwonną substancję, którą można zabarwiać.

- Program informacyjny był pomysłowym pociągnięciem - stwierdził Metcalf.

- Trochę nas to kosztowało - wyjaśnił Oates. - Musieliśmy zawrzeć umowę z Curtisem Mayo i obiecać mu za współpracę przy nadaniu fałszywych wiadomości dziennika wyłączność na opublikowanie całej sprawy. Zgodził się również zatrzymać prowadzone przez siebie śledztwo do momentu, kiedy sytuacja stanie się mniej napięta.

- Jak długo jesteś w stanie oszukiwać prezydenta?

- Ile będzie trzeba - odparł Brogan.

- Po co?

- Aby zbadać jego wzorce myślenia.

Metcalf popatrzył na Brogana z powątpiewaniem.

- Nie przekonaliście mnie, panowie. To, że chcecie Rosjanom, którzy

ukradli umysł prezydenta, wykraść go z powrotem, zupełnie przekracza granice mojej wyobraźni.

Jego dwaj rozmówcy popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się.

- Może zechciałby pan to sam zobaczyć? - spytał Oates.

Metcalf odstawił filiżankę z kawą.

- Nie zamieniłbym tej możliwości nawet na piątą gwiazdkę.

- Tędy - powiedział Oates, otwierając drzwi i zapraszając Metcalfa do wejścia.

Cały środek i tył przyczepy wypełniony był wyposażeniem elektronicznym i sprzętem komputerowym. Centrum przetwarzania danych o całą generację wyprzedzało sprzęt, jakim Ługowoj dysponował w laboratorium Bougainville'ów.

Doktor Raymond Edgely zauważył ich obecność i podszedł. Oates przedstawił go generałowi Metcalfowi.

- A więc to pan jest tym tajemniczym geniuszem, który prowadzi „Głębię” - powiedział Metcalf. - Czuję się zaszczycony, że pana poznałem.

- Dziękuję, generale - odparł Edgely. - Sekretarz Oates powiedział mi, że ma pan jakieś podejrzenia na temat projektu.

Metcalf rozejrzał się wokół siebie. Przez chwilę patrzył na naukowców zapatrzonych w cyfry na monitorach.

- Przyznam, że wszystko to wygląda dość zagadkowo.

- Zasadniczo cała operacja jest dość prosta - rzekł Edgely. - Mój personel i ja przechwytyjemy oraz gromadzimy dane na temat rytmu pracy mózgu prezydenta. W ten sposób przygotowujemy się do przełączenia ich wszczepu mózgowego na aparaturę, którą pan widzi przed sobą.

Sceptycyzm Metcalfa rozplynął się zupełnie.

- W takim razie to rzeczywiście prawda. Rosjanie naprawdę opanowali jego umysł..

- Oczywiście. To na ich polecenie zamknął Kongres i Sąd Najwyższy. Dzięki temu mógł wprowadzić korzystne dla krajów komunistycznych projekty, nie obawiając się żadnych zatorów

legislacyjnych. Rozkaz wycofania naszych oddziałów z NATO jest tu doskonałym przykładem. I jest dokładnie tym, co radzieccy wojskowi chcieliby otrzymać pod choinkę.

- A wy możecie zająć ich miejsce w umyśle prezydenta?

Edgely skinął głową.

- Czy ma pan jakąś wiadomość, którą chce pan wysłać na Kreml? Może jakąś dezinformację?

Metcalf rozpromienił się.

- Mam wrażenie, że moi ludzie z wywiadu potrafią wymyślić jakąś ciekawą historyjkę fantastyczno-naukową, która może Rosjan wprowadzić w błąd.

- Kiedy macie zamiar uwolnić prezydenta spod kontroli Ługowoja? - spytał Brogan.

- Myślę, że dokonamy zamiany w ciągu następnych ośmiu godzin - odparł Edgely.

- W takim razie znikamy, żeby mógł pan spokojnie zająć się pracą - rzekł Oates.

Kiedy po opuszczeniu punktu gromadzenia danych wrócili do gabinetu, zastali w nim czekającego na nich Sama Emmetta. Po wyrazie jego twarzy Oates zorientował się, że są kłopoty.

- Jadę prosto z Kapitelu - powiedział Emmett. - Zachowują się jak nie nakarmione zwierzaki w zoo. W Kongresie toczy się debata na temat postawienia prezydenta w stan oskarżenia. Jego partia prezydencka demonstruje swoją lojalność, ale to tylko działanie na pokaz. Nie ma szerokiego poparcia. Dezerterują hurtem.

- A co z komitetem prowadzącym śledztwo? - spytał Oates.

- Opozycja przepchnęła w Izbie wniosek, żeby dla oszczędzenia czasu głosować nie czekając na wyniki śledztwa.

- Kiedy podejmą decyzję?

- Izba może uchwalić postawienie prezydenta w stan oskarżenia dzisiaj po południu.

- Jakie są szanse?

- Pięć do jednego, że przeprowadzą wniosek.

- A Senat?

- Nie wiadomo. Ale wygląda na to, że za uchwałą będzie głosowało zdecydowanie więcej niż wymagane dwie trzecie.

- Nie tracą czasu.

- W świetle ostatnich posunięć prezydenta postawienie go w stan oskarżenia traktowane jest jako sprawa wagi państwowej.

- Czy ktoś popiera Vince'a Margolina?

- Oczywiście, ale nikt nie zamierza się deklarować, jeżeli Margolin się nie pojawi. W ciągu sześćdziesięciu sekund od chwili usunięcia prezydenta z urzędu ktoś musi złożyć przysięgę jako jego następcą.

Krażą pogłoski, że Vince będzie ukrywał się do ostatniej chwili, żeby nie łączono go z szaleńczą polityką jego poprzednika.

- A co z Moranem?

- Tu właśnie zaczyna się swąd wokół całej sprawy. Twierdzi, iż ma dowód, że Margolin popełnił samobójstwo, a ja staram się utrzymać to w tajemnicy.

- Czy ktoś mu wierzy?

- To nieważne. Środki przekazu rzucają się na oświadczenia Morana jak sępy na padlinę. On sam domaga się ochrony Secret Service, a jego współpracownicy sporządzili już plan przejęcia urzędu i podali, kto znajdzie się w najbliższym kręgu doradców. Czy mam mówić dalej?

- Nie musisz. Wszystko jasne - odparł z rezygnacją w głosie Oates. - Alan Moran będzie następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych.

- Nie możemy do tego dopuścić - stwierdził lodowatym tonem Emmett.

Wszyscy popatrzyli na niego.

- Jeżeli nie odnajdziemy do jutra Vince'a Margolina - rzekł Brogan - to w jaki sposób możemy temu zapobiec?

- W każdy możliwy - oświadczył Emmett. Wyjął z dyplomacji tekturową teczkę. - Chciałbym, żebyście panowie się z tym zapoznali.

Oates otworzył teczkę, bez żadnych komentarzy przejrzał uważnie jej zawartość, a potem podał Broganowi, który z kolei przekazał ją Metcalfowi. Kiedy skończyli czytać, spojrzeli na Emmetta, jakby

oczekując, że pierwszy zabierze głos.

- To, co przeczytaliście, panowie, w tym raporcie, jest prawdą - powiedział po prostu.

- Dlaczego te dane nie wypłynęły wcześniej? - zapytał Oates.

- Bo jak dotąd nie było powodu, aby zarządzić dokładne śledztwo przeciwko temu człowiekowi - odparł Emmett. - FBI nie ma zwyczaju szukać szkieletów w szafach naszych kongresmanów czy senatorów, chyba że istnieją poważne dowody prowadzenia przez nich działalności przestępczej. Rejestrujemy brudy związane z rozwodami, drobne wykroczenia, perwersje seksualne albo łamanie przepisów drogowych, ale potem spoglądamy w inną stronę. Akta Morana informowały, że jest czysty, zbyt czysty jak na kogoś, kto wspinał się na sam szczyt nie posiadając wykształcenia czy choćby przeciętnej inteligencji, zamiłowania do ciężkiej pracy, majątku albo poparcia liczących się osób. I, jak panowie widzicie, zgromadzone dane niezbyt predestynują go na papieża.

Metcalf ponownie przekartkował raport.

- Jak się nazywa ta firma maklerska w Chicago? Aha, Blackfox i Churchill.

- Służy jako miejsce prania pieniędzy, które Moran zdobył dzięki przekupstwom i łapówkom. Te dwa nazwiska pochodzą z nagrobków na cmentarzu w Fargo, Dakota Północna. Lipne operacje giełdowe mają za zadanie ukryć pieniądze zarobione na przekupstwach i pochodzące od tajemniczych grup szczególnych wpływów, wykonawców kontraktów dla przemysłu obronnego, stanowych i municypalnych władz poszukujących federalnych funduszy, obojętne w jaki sposób zdobytych. Są to również honoraria za usługi dla środowisk przestępczych. Przy przewodniczącym Izby Reprezentantów Moranie Bougainville'owie wyglądają jak harcerzyki.

- Powinniśmy przedstawić to społeczeństwu - stwierdził stanowczo Brogan.

- Ja bym się z tym nie spieszył - ostrzegł go Oates. - Moran zaprzeczy wszystkiemu, powie, że wrabiamy go, chcąc mu

uniemożliwić przewodzenie krajowi na drodze do zgody i jedności narodowej. Już go widzę, jak z cierpiętniczą miną odwołuje się do wielkiej amerykańskiej tradycji fair play. A zanim Departament Sprawiedliwości zdąży skomplikować mu życie, złoży przysięgę prezydencką. Nie możemy narażać kraju na postawienie kolejnego prezydenta w stan oskarżenia, i to w ciągu jednego roku.

Metcalf skinął potakująco głową.

- Po szaleńczej polityce prezydenta i rozgłaszanych przez Morana bredniach o rzekomej śmierci wiceprezydenta, taki wstrząs może okazać się nie do zniesienia dla społeczeństwa. Ludzie zupełnie stracą zaufanie do systemu federalnego... i może w ogóle nie wezmą udziału w kolejnych wyborach.

- Albo stanie się coś jeszcze gorszego - dodał Emmett. - Coraz więcej osób odmawia płacenia podatków, twierdząc, że nie podoba im się sposób wydawania ich dolarów. I wcale się im nie dziwię, że nie mają ochoty wspierać nieudolnych przywódców i naciągaczy. Kiedy nadejdzie następny piętnasty kwietnia, pojawi się pięć milionów osób, które podrą kwestionariusze podatkowe, i cała machina federalna przestanie istnieć.

Te fantastyczne przypuszczenia wcale nie były takie niewiarygodne. Możliwości wyjścia z tej zawieruchy bez szwanku wydały się bardzo odległe.

- Bez Vince'a Margolina przepadliśmy - odezwał się wreszcie Brogan.

- Ten cały Pitt z NUMA dał nam pierwszy konkretny trop - stwierdził Emmett.

- To znaczy? - spytał Metcalf.

- Pitt wydedukował, że laboratorium kontroli umysłu, w którym przetrzymują Margolina, znajduje się wewnątrz rzecznej barki.

- Co...? - Metcalf zrobił minę, jakby się przesłyszał.

- Rieczna barka - warknął Emmett. - Zacumowana Bóg wie gdzie na wodach śródlądowych.

- Szukacie jej?

- Szukają jej wszyscy funkcjonariusze, jakich Martin i ja możemy oddelegować z obu naszych agencji.

- Jeżeli podacie mi więcej szczegółów i szybko opracujecie plan skoordynowania naszych działań, rzucę do akcji wszystkie siły, jakie Departament Obrony zdoła zgromadzić.

- To z całą pewnością będzie bardzo pomocne, panie generale - stwierdził Oates. - Dziękuję panu.

Zadzwoił telefon i Oates podniósł słuchawkę. Słuchał przez chwilę w milczeniu, a potem odłożył słuchawkę na widełki i wstał.

- Kurwa mać!

Emmett nigdy dotąd nie słyszał, by Oates tak wulgarnie przeklinał.

- Co się stało?

- Jeden z moich pracowników zadzwonił do mnie z Izby Reprezentantów.

- I co powiedział?

- Moran właśnie przeprowadził wniosek o głosowanie nad postawieniem prezydenta w stan oskarżenia.

- W takim razie pomiędzy nim i prezydenturą nie stoi już nic poza procesem przed Senatem - stwierdził Brogan.

- Przyspieszył rozkład jazdy o dobre dziesięć godzin - rzekł Metcalf.

- Jeżeli do jutra o tej porze nie pokażemy społeczeństwu wiceprezydenta Margolina - powiedział Emmett - będziemy mogli pożegnać się ze Stanami Zjednoczonymi.

Rozdział 66

Giordino znalazł Pitta w jego hangarze. Dirk siedział wygodnie na tylnym siedzeniu olbrzymiego turystycznego kabrioletu, wystawiwszy nogi przez otwarte tylne drzwi. Giordino pełnym podziwu wzrokiem ogarnął klasyczne linie samochodu. Czerwona isotta-fraschini, wyprodukowana w 1925 roku we Włoszech, miała karoserię zaprojektowaną przez Cesarego Salę, długie, przechodzące w szerokie stopnie błotniki, składany dach i zwiniętą korbę na korku wlewu chłodnicy.

Pitt wpatrywał się w tablicę ustawioną na trójnogu w odległości dziesięciu stóp od samochodu. Do jej ramy przypięta była wielka mapa nawigacyjna całego wewnętrznego szlaku wodnego. Na tablicy znajdowało się kilka notatek i coś, co sprawiało wrażenie spisu statków.

- Idę prosto z biura admirała... - zaczął Giordino.

- Co nowego? - zapytał Pitt nie spuszczając wzroku z tablicy.

- Szefowie Połączonych Sztabów włączyli do poszukiwań siły zbrojne. Razem z agentami FBI i CIA powinni do jutra wieczór przeszukać każdy cal wybrzeża.

- Tak, tak. Od Maine do Florydy - mruknął obojętnie Pitt.

- Coś taki skwaszony?

- Cholerna strata czasu. Tam nie ma barki - oznajmił Pitt, podrzucając do góry kawałek kredy.

Giordino popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Co ty gadasz? Barka musi tam gdzieś być.

- Niekoniecznie.

- Uważasz, że szukają w niewłaściwym miejscu?

- Gdybyś był Bougainville'em, spodziewałbyś się wielkich, prowadzonych na masową skalę poszukiwań, prawda?

- To oczywiście - odparł wyniośle Giordino. - I zamaskowałbym barkę w cieniu jakiejś kępy drzew, ukrył ją w obudowanym basenie portowym albo zmieniłbym jej wygląd tak, żeby przypominała wielki kurnik czy coś w tym rodzaju.

Pitt roześmiał się.

- Ten twój pomysł z kurnikiem jest rzeczywiście pierwsza klasa.

- Masz lepszy?

Pitt wyszedł z isotty, podszedł do tablicy i odwinął mapę wewnętrznych połączeń wodnych, odsłaniając następną, na której znajdował się odcinek wybrzeża nad Zatoką Meksykańską.

- Przypadkiem mam. - Postukał palcem w zakreślone na mapie czerwone kółko. - Barka, na której przetrzymują Margolina i Loren, jest gdzieś tutaj.

Giordino podszedł i przyjrzał się z bliska zaznaczonemu miejscu. A potem popatrzył na Pitta wzrokiem, jakim zazwyczaj obdarzał ludzi zapowiadających koniec świata.

- Nowy Orlean...?

- Poniżej Nowego Orleanu - poprawił go Pitt. - Sądzę, że właśnie tam ją zacumowano.

Giordino pokręcił głową.

- Chyba ci odbiło. Chcesz mi wmówić, że Bougainville'owie przeprowadzili barkę z Charlestonu naokoło Florydy i przez Zatokę Meksykańską do Missisipi, czyli prawie tysiąc siedemset mil, w ciągu niecałych czterech dni? Przykro mi, stary, ale jeszcze nie wybudowano holownika, który mógłby ciągnąć barkę z taką prędkością.

- Oczywiście - przytaknął Pitt. - Ale jeżeli założymy, że skrócili sobie drogę o jakieś siedemset mil...

- Jakim cudem? - zapytał Giordino tonem, w którym sarkazm szedł

o lepsze z niedowierzaniem. - Zamontowali jej kółka i pojechali łądem?

- Nie kpj - odparł poważnie Pitt. - Przeprowadzili ją niedawno otwartym Florida Cross State Canal, od Jacksonville na wybrzeżu Atlantyku do Crystal River nad Zatoką Meksykańską. Dzięki temu skrótowi ominęli całą południową część stanu.

Giordina zamurowało. Popatrzył znowu na mapę, badając jej skalę. Potem, używając kciuka i palca wskazującego zamiast cyrkla, odmierzył z grubsza odległość między Charlestonem a Nowym Orleanem. Kiedy wreszcie odwrócił się i popatrzył na Pitta, uśmiechał się głupkowato.

- Zgadza się. - Zaraz jednak jego uśmiech zniknął. - I czego to dowodzi?

- Bougainville'owie muszą mieć gdzieś starannie strzeżoną przystań i magazyny, w których rozładowują swoje nielegalne transporty. Najprawdopodobniej na brzegach rzeki gdzieś między Nowym Orleanem a jej ujściem do Zatoki.

- Delta Missisipi...? - Giordino nie ukrywał zdziwienia. - Jak na to wpadłeś?

- Popatrz - rzekł Pitt. Wskazał wypisaną na tablicy listę statków, a potem odczytał ją na głos: - „Pilottown”, „Belle Chasse”, „Buras”, „Venice”, „Boothville”, „Chalmette” - wszystkie mają zagraniczne porty macierzyste, ale wszystkie należały lub należą do Linii Żeglugowych Bougainville.

- Nie rozumiem, co mogłoby je łączyć...

- Popatrz jeszcze raz na mapę. Każdy z tych statków nosi nazwę miasta w delcie rzeki.

- Symboliczny szyfr?

- Jedyne błąd, jaki kiedykolwiek popełnili Bougainville'owie. Użyli kodu, który określa ich strefę działania.

Giordino przysunął się bliżej.

- Rany boskie, to pasuje jak ulał.

Pitt postukał w mapę kostkami palców.

- Stawiam moją isotę-fraschini przeciwko twojemu bronco, że tam właśnie znajdziemy Loren.

- Trafiłeś w dziesiątkę.

- Leć na lądowisko NUMA i wypisz zlecenie na odrzutowiec Lear. Ja tymczasem porozumiem się z admirałem i wyjaśnię, dlaczego lecimy do Nowego Orleanu.

Giordino szedł już w stronę drzwi.

- Zanim dojedziesz na lotnisko, sprawdzę maszynę i przygotuję ją do natychmiastowego startu - rzucił przez ramię.

Pitt szybkim krokiem wszedł po schodach do mieszkania i wrzucił kilka sztuk odzieży do torby. Otworzył szafkę z bronią, wyjął stary pistolet maszynowy Colt Thompson o numerze seryjnym 8545 oraz dwa dyski amunicyjne załadowane nabojami kalibru 45 i włożył wszystko do futerału na skrzypce. Potem podszedł do telefonu i zadzwonił do biura admirała Sandeckera. Przedstawił się jego osobistej sekretarce, która natychmiast go połączyła.

- Pan admirał?

- To ty, Dirk?

- Myśle, że udało mi się zlokalizować barcę.

- Gdzie?

- Delta Missisipi. Al i ja zaraz tam polecimy.

- Na jakiej podstawie uważasz, że jest właśnie w delcie?

- W połowie to domysł, w połowie dedukcja, ale to najlepszy trop, jakim dysponujemy.

Sandecker zawahał się, zanim odpowiedział.

- Lepiej się wstrzymaj - rzucił cicho.

- Wstrzymać się? O czym pan mówi?

- Alan Moran żąda wstrzymania poszukiwań.

Pitt poczuł się jak ogłuszony.

- Dlaczego, u diabła?

- Mówi, że dalsze poszukiwania Vince'a Margolina to strata czasu i pieniędzy podatników, bo wiceprezydent nie żyje.

- Moran pieprzy głupoty.

- Na poparcie swojego twierdzenia przedstawił ubranie, które Margolin miał na sobie tej nocy, kiedy ich porwano.

- W dalszym ciągu mamy do ocalenia Loren.

- Moran twierdzi, że ona również nie żyje.

Pitt miał uczucie, że tonie w ruchomych piaskach.

- Łże jak najęty!

- Być może, ale jeżeli ma rację w sprawie Margolina, znieważasz przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- W dniu, kiedy ten mały skurwiol zostanie prezydentem, zrezygnuję z obywatelstwa.

- Pewnie nie będziesz w tym osamotniony - odparł z goryczą Sandecker. - Ale twoje osobiste odczucia nie zmienią stanu rzeczy.

Pitt był jednak niewzruszony.

- Zadzwoń do pana z Luizjany.

- Miałem nadzieję, że tak właśnie powiesz. Bądź ze mną w kontakcie. Postaram ci się dopomóc, w czym tylko będę mógł.

- Dziękuję, admirale.

- No to rusz się i powiedz Giordinowi, żeby przestał mi podkradać cygara.

Pitt uśmiechnął się i odłożył słuchawkę. Skończył się pakować i wybiegł z hangaru. Trzy minuty po jego odjeździe telefon zaczął dzwonić.

Oddalony o dwieście mil Sal Casio z twarzą szarą jak popiół na próżno czekał, żeby ktoś podniósł słuchawkę.

Rozdział 67

Dziesięć minut po dwunastej Alan Moran przeszedł głównym korytarzem Kapitolu do wąskiej klatki schodowej i otworzył drzwi do położonego na uboczu prywatnego gabinetu. Większość osób zajmujących podobną do niego pozycję była stale otoczona gromadą doradców, ale Moran wolał działać samotnie.

Zawsze wyglądał jak ostrożna antylopa rozglądająca się po afrykańskiej sawannie w oczekiwaniu napaści drapieżników. Miał zimne spojrzenie człowieka, którego jedyną miłością jest władza, władza zdobyta wszelkimi środkami, bez względu na koszty. Aby zdobyć prestiżowe stanowisko w Kongresie, pieczołowicie podtrzymywał swój wyidealizowany image. W czasie działalności publicznej tryskał religijnym zapalem, starał się sprawiać wrażenie przyjaznego, skromnego człowieka o ciepłym poczuciu humoru, sąsiada z naprzeciwka, który zawsze gotów jest pożyczyć swoją kosiarkę do trawy, a także kogoś, kto od urodzenia szedł przez życie nie korzystając z żadnych przywilejów.

Ale jego prywatne życie stało w całkowitej sprzeczności ze stworzonym przez niego obrazem. Był zdecydowanym ateistą, swoich wyborców i całe społeczeństwo uważał za głupi motłoch, którego ciągle skargi i narzekania umożliwiały jednakże manipulacje i utrzymanie kontroli. Nigdy się nie ożenił, nie miał bliskich ani przyjaciół i żył skromnie jak mnich w niewielkim wynajmowanym mieszkaniu. Każdy

dolar przekraczający jego oficjalne dochody przesyłany był do tajnej spółki w Chicago, gdzie dodawano go do funduszu zdobywanego za pośrednictwem nielegalnych operacji, łapówek i innych niezgodnych z prawem działań. Następnie pieniądze te były rozprowadzane i inwestowane tak, żeby wzmocnić jego pozycję. W rezultacie wiele osób na czołowych stanowiskach w rządzie i biznesie było z nim powiązanych niemi politycznymi zależnościami i przysługami.

Douglas Oates, Sam Emmett, Martin Brogan, Alan Mercier oraz zwolniony niedawno z aresztu domowego Jesse Simmons czekali już w gabinecie Morana. Wstali, kiedy siadał za biurkiem. Był wyraźnie zadowolony z siebie i goście doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Wezwał ich na swój teren i musieli mu się podporządkować.

- Dziękuję, że zechcieliście się panowie ze mną spotkać - powiedział z fałszywym uśmiechem. - Przypuszczam, że wiecie, w jakim celu.

- Aby omówić ewentualność objęcia przez pana urzędu prezydenta - odparł Oates.

- Nie ma tu żadnej ewentualności - zareagował ostro Moran. - Senat ma rozpocząć postępowanie procesowe dzisiaj o siódmej wieczorem. Jako następny w kolejności do objęcia najwyższej władzy wykonawczej uważam, że po zakończeniu prac Senatu, zgodnie z moimi konstytucyjnymi obowiązkami, muszę natychmiast złożyć przysięgę i podjąć odpowiedzialny trud leczenia ran zadanych przez szkodliwe decyzje prezydenta.

- Czy pan się zbytnio nie spieszy? - zapytał Simmons.

- Nie, jeżeli chodzi o powstrzymanie prezydenta przed podjęciem jeszcze bardziej oburzających działań.

Oates spojrzał na niego z powątpiewaniem.

- Niektórzy mogą uznać pańskie pospieszne działania za próbę przejęcia władzy, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę pański udział w odsunięciu obecnego prezydenta. Jeszcze nie udowodniono w pełni śmierci Vince'a Margolina.

Moran popatrzył z wściekłością na Oatesa, a potem na Emmetta.

- Otrzymał pan przecież znalezione w rzece ubranie

wiceprezydenta.

- Laboratorium FBI stwierdziło, że ubranie należało do Margolina - przytaknął Emmett. - Ale nie ma na nim śladów, które wskazywałyby, że przez dwa tygodnie znajdowało się w wodzie.

- Najprawdopodobniej zostało wyrzucone na brzeg i wyschło.

- Powiedział pan przedtem, że rybak, który przyniósł do pańskiego biura ten dowód rzeczowy, oznajmił, iż wyłowił je ze środka Potomacu.

- To pan jest dyrektorem FBI - warknął ze złością Moran. - Niech pan to wyjaśni. Nie jestem obiektem śledztwa.

- Być może byłoby najlepiej dla wszystkich obecnych - wtrącił się cicho Oates - gdyby kontynuowano poszukiwania Margolina.

- Zgadzam się całkowicie - przytaknął Brogan. - Nie możemy spisać go na straty, dopóki nie znajdziemy ciała.

- Jest zbyt wiele niejasności w tej sprawie - dodał Mercier. - Na przykład, jaka była przyczyna śmierci?

- Najwidoczniej utonął - odparł Moran. - Zapewne razem z „Eagle'em”.

- Nie wyjaśnił pan również w zadowalający sposób - ciągnął Mercier - gdzie i kiedy zszedł pan z Marcusem Larimerem z „Eagle'a”, żeby pojechać na wyprawę wędkarską na Karaiby.

- Z przyjemnością odpowiem na każde pytanie przed komisją śledczą Kongresu - odparł Moran. - Ale z całą pewnością nie będę odpowiadał ludziom, którzy są w stosunku do mnie w opozycji.

- Musi pan zrozumieć, że mimo błędów popełnionych przez prezydenta chcemy być wobec niego lojalni - wyjaśnił Oates.

- Nie wątpię w to ani przez chwilę - stwierdził Moran. - Dlatego też zaprosiłem tu panów dzisiaj rano. Dziesięć minut po zakończeniu głosowania w Senacie zostanę zaprzysiężony jako następny prezydent Stanów Zjednoczonych. Moją pierwszą oficjalną czynnością będzie zakomunikowanie, że panowie złożyliście rezygnacje albo zostaliście zwolnieni. Wybór pozostawiam panom. Jutro o północy żaden z was nie będzie już pracował dla rządu Stanów Zjednoczonych.

Wśród wysokich wzgórz opadających urwiskami do Morza Czarnego wiła się wąska, brukowana droga. Na tylnym siedzeniu przedłużonej limuzyny Cadillac Seville Władimir Polewoj czytał ostatni raport Aleksieja Ługowoja. Co chwila podnosił wzrok i spoglądał na słońce wyłaniające się powoli zza horyzontu.

Limuzyna zwracała powszechną uwagę. Była zbudowana na zamówienie, miała zainstalowane drewniane szafki, kolorowy telewizor, elektrycznie podnoszoną szybę, która oddzielała pasażerów od kierowcy, barek i umieszczoną pod sufitem konsolę stereo. Została zakupiona przez Polewoja i przewieziona do Moskwy rzekomo w celu przeprowadzenia badań nad jej technologią, ale wkrótce po sprowadzeniu limuzyny szef KGB zarekwirował ją do swego prywatnego użytku.

Długi samochód wjechał pod górę wokół pokrytej lasem krawędzi urwiska i dotarł do miejsca, w którym drogę zamykała wielka drewniana brama w wysokim murze z cegieł. Oficer w mundurze zsalutował szefowi KGB i nacisnął przełącznik. Brama otworzyła się cicho, odsłaniając widok na rozległy ogród pełen kwiatów. Limuzyna podjechała do obszernego parterowego budynku, zbudowanego według nowoczesnego zachodniego projektu, i zatrzymała się. Polewoj wszedł po półokrągłych kamiennych schodach i znalazł się w holu, gdzie powitał go sekretarz prezydenta Anionowa i poprowadził na taras z widokiem na morze, do stołu.

Po paru minutach pojawił się Antonow, a dziewczyna w mundurze sierżanta wniosła wielką tacę z wędzonym łososiem, kawiozem i schłodzoną wódką. Antonow był najwyraźniej w doskonałym nastroju. Niedbale usiadł na żelaznej balustradzie otaczającej taras.

- Macie przepiękną nową daczę - powiedział Polewoj.

- Dziękuję. Zleciłem jej projekt zespołowi francuskich architektów. Nie zażądali nawet rubla. Oczywiście nie wytrzymałyby krytycznej kontroli państwowej komisji do spraw budownictwa. Zbyt burżuazyjna. Ale, do licha, czasy się zmieniają. - Zmienił nagle temat: - Jakie są nowe informacje o wydarzeniach w Waszyngtonie?

- Prezydent zostanie usunięty z urzędu - odparł Polewoj.
- Kiedy?
- Jutro o tej porze.
- Nie ma żadnych wątpliwości?
- Żadnych.

Antonow wziął szklaneczkę wódki, opróżnił ją, a dziewczyna natychmiast napełniła ją znowu. Polewoj podejrzewał, że usługi dziewczyny nie ograniczają się do nalewania wódki przywódcy Związku Radzieckiego.

- Czyżbyśmy się przeliczyli, Władimirze? - zapytał Antonow. - Może chcieliśmy osiągnąć zbyt wiele i zbyt szybko?

- Nikt nie jest w stanie wyczuć Amerykanów. Nie zachowują się w przewidywalny sposób.

- Kto zostanie nowym prezydentem?
- Alan Moran, przewodniczący Izby Reprezentantów.
- Będziemy mogli z nim pracować?
- Moje źródła informują, że jest chytrym i podstępny człowiekiem, ale da się go przeciągnąć na naszą stronę.

Antonow patrzył na małą łódź rybacką, widoczną w dali na powierzchni morza.

- Gdybym mógł wybierać, wolałbym Morana od wiceprezydenta Margolina.

- Z całą pewnością - przytaknął Polewoj. - Margolin jest zdecydowanym przeciwnikiem naszego ustroju i święcie wierzy w konieczność rozbudowy amerykańskiej maszyny wojennej.

- Czy nasi ludzie mogą coś zrobić, oczywiście dyskretnie, aby wprowadzić Morana do Białego Domu?

Polewoj pokręcił głową.

- Raczej nie. Ryzyko dekonspiracji jest zbyt wielkie.
- Gdzie jest Margolin?
- W dalszym ciągu w rękach Bougainville'ów.
- Czy istnieje możliwość, że ta stara koreańska dziwka uwolni go w ostatniej chwili, aby powstrzymać Morana?

Polewoj bezradnie wzruszył ramionami.

- Któż to może przewidzieć?

- Gdybyś był na jej miejscu, Władimirze, co byś zrobił?

Szef KGB zastanawiał się przez chwilę, a potem rzekł:

- Uzgodniłbym z Moranem warunki usunięcia Margolina.

- Czy Moran ma dość odwagi, żeby się na to zdecydować?

- Jeżeli od najwyższego urzędu w supermocarstwie dzieliliby was tylko jeden człowiek, w dodatku uwięziony, to jak byście to rozegrali?

Antonow roześmiał się tak głośno, że spłoszył ptaki.

- Znasz mnie jak własną kieszeń, przyjacielu. Widzę, do czego zmierzasz. Usunąłbym go bez wahania.

- Amerykańskie źródki przekazu donoszą, że Moran twierdzi, jakoby Margolin popełnił samobójstwo przez utopienie.

- A więc twoja teoria opiera się na solidnych podstawach - stwierdził Antonow. - Może stara Min Koryo w końcu wyświadczy nam jednak przysługę.

- W każdym razie umowa, którą z nią zawarliśmy, nic nas nie kosztowała.

- Skoro mówimy o kosztach, to jak wygląda sprawa ze złotem?

- Admirał Borchawski rozpoczął już prace wydobywcze. Ma nadzieję odzyskać wszystkie sztabki w ciągu trzech tygodni.

- To dobra wiadomość - rzekł Antonow. - A co z doktorem Ługowojem? Czy może kontynuować projekt po usunięciu prezydenta ze stanowiska?

- Owszem - odparł Polewoj. - W głowie prezydenta mieści się olbrzymi skarbiec sekretów Stanów Zjednoczonych. Ługowoj musi je z niego wydobyć.

- W takim razie prowadźcie dalej operację. Dostarczcie Ługowojowi obszerną listę tajnych politycznych i wojskowych problemów, które chcielibyśmy zbadać. Wszyscy amerykańscy przywódcy, którzy opuścili urząd, są powoływani do udzielania konsultacji, bez względu na to, jak nieudolnie sprawowali w przeszłości swój urząd. W kapitalizmie masy mają krótką pamięć. Wiedza, jaką dysponuje obecnie prezydent i jaką

uzyska z narad ze swoimi następcami, może nam w przyszłości przynieść olbrzymie korzyści. Tym razem będziemy postępowali cierpliwie i sondowali powoli. Mózg prezydenta może okazać się kuraż znoszącą przez przyszłe dziesięciolecia złote jaja informacji wywiadowczych.

Polewoj uniósł szklaneczkę.

- Za zdrowie najlepszego agenta, jakiego kiedykolwiek udało się nam zwerbować.

Antonow uśmiechnął się.

- Niech nam działa jak najdłużej.

Na drugiej półkuli Raymond Edgely siedział przy konsoli i czytał dane z rozwiniętej taśmy wydruku. Zsunął okulary na czoło i potarł zaczerwienione oczy. Mimo wyraźnego zmęczenia promieniowała z niego skupiona energia. Możliwość pokonania najwybitniejszego przeciwnika w psychologicznych eksperymentach sprawiła, że prawie nie odczuwał potrzeby snu.

Doktor Harry Greenberg, wybitny psychiatra, zapalił fajkę z wygiętym piankowym cybuchem, po czym wskazał ustnikiem drukarkę.

- Nie ma sensu dłużej czekać, Ray. Uważam, że mamy wystarczająco dużo danych, aby rozpocząć operację przełączania.

- Bardzo nie chcę się spieszyć, zanim nie uzyskam pewności, że mogę oszukać Aleksieja.

- Zrób to - ponaglał go Greenberg. - Przestań pieprzyć i zrób to.

Edgely spojrział na dziesięciu członków swego zespołu psychologów. Patrzyli na niego z oczekiwaniem. Wreszcie skinął głową.

- Dobra. Przygotować się do przełączenia przekazu myśli z wszczepu prezydenta na nasz główny komputer.

Greenberg obszedł dookoła pomieszczenie. Z każdym zamienił kilka słów, sprawdził ponownie wszystkie procedury. Trzej mężczyźni siedzieli przy konsoli komputera z dłońmi na przyciskach, pozostali

obserwowali ekrany dysplejów i kontrolowali dane.

Edgely nerwowo wytarł dłonie w chusteczkę. Greenberg stał za nim, nieco z boku.

- Uważaj, żebyśmy nie włączyli się w matrycę myśli albo w sam środek instrukcji Ługowoja - ostrzegł.

- Wiem o tym - odparł Edgely nie odrywając wzroku od dyspleja deszyfratora fal mózgowych. - Nasze przejście na komputer musi zostać dokładnie zgrane z rytmem serca i innymi funkcjami organizmu prezydenta.

Programista wprowadził polecenie. Wszyscy czekali, obserwując puste ekrany, na których miała pojawić się wiadomość o sukcesie lub klęsce. Upływały minuty, nikt się nie odzywał. Jedynym dźwiękiem był delikatny poszum komputera, dokładnie wybierającego właściwą milisekundę na przejęcie kontroli. I nagle na ekranie pojawiły się słowa: PRZEŁĄCZANIE PRZEKAZU ZAKOŃCZONE.

Wszyscy jednocześnie odetchnęli z ulgą, zaczęli rozmawiać i ścisnąć sobie nawzajem z entuzjazmem dłonie niczym operatorzy centrum kontroli lotów NASA po udanym starcie rakiety.

- Jak sądzisz, Aleksiej da się na to złapać? - zapytał Edgely.

- Na pewno. Jest zbyt próżny, aby choćby przypuścić, że ktoś mógłby go nabierać. - Greenberg przerwał i wypuścił kółko z dymu. - Połknie wszystko, co mu podsunęliśmy, i wyśle do Moskwy.

- Mam nadzieję - odparł Edgely, ocierając pot z czoła. - Następnym krokiem będzie przewiezienie prezydenta do Szpitala imienia Waltera Reeda i usunięcie wszczepu.

- Zachowajmy właściwą kolejność - oznajmił Greenberg, wyciągając butelkę szampana. Jeden z pracowników rozdał kieliszki, korek wystrzelił i wino zostało rozlane. Greenberg podniósł kieliszek do góry, oznajmiając z uśmiechem: - Za zdrowie doktora Edgely, który właśnie cofnął KGB o dobre dziesięć lat.

Część czwarta

„Stonewall Jackson”

Rozdział 68

13 sierpnia 1989 roku

Nowy Orlean, Luizjana.

Pitt drzemał przez prawie cały lot, podczas gdy Giordino siedział przy sterach. Popołudniowe słońce płonęło na czystym niebie, gdy samolot zszedł w dół nad niebieskozielonymi wodami jeziora Pontchartrain i skierował się w stronę małego lotniska usytuowanego na cyplu sterczącym z wybrzeża niedaleko Nowego Orleanu. Akwamarynowy odrzutowiec NUMA dotknął kołami asfaltowego pasa i pokołował na stanowisko niedaleko śmigłowca z napisem DELTA OIL LTD na burcie.

Ze stojącego nie opodal samochodu wysiadł mężczyzna w lekkim prążkowanym garniturze i skierował się w stronę samolotu. Zdjął okulary przeciwsłoneczne i wyciągnął rękę do wychodzącego z kabiny Dirka.

- Pan Pitt? - zapytał. W jego opalonej twarzy błysnęły białe zęby.

- Tak, to ja.

- Jestem Clyde Griffin, specjalny agent FBI, kierownik biura w Luizjanie.

Pojawił się Giordino i Pitt przedstawił ich sobie.

- Czym możemy służyć, panie Griffin?

- Dyrektor Emmett polecił mi powiadomić panów, że FBI oficjalnie

nie może udzielić pomocy w waszych poszukiwaniach.

- Nie przypominam sobie, żebym o nią prosił.

- Powiedziałem: „oficjalnie nie może udzielić pomocy”, panie Pitt. - Białe zęby ponownie błysnęły w szerokim uśmiechu. - A nieoficjalnie mamy właśnie niedzielę. Dyrektor wspomniał, że sposób, w jaki funkcjonariusze spędzają wolny dzień, jest ich prywatną sprawą. Mam do dyspozycji ośmiu ludzi, którzy uważają, że to, co panowie robicie, jest ważniejsze od gry w golfa.

- Emmett dał swoje błogosławieństwo?

- Mówiąc poza protokołem, dał mi wyraźnie do zrozumienia, że jeżeli cholernie prędko nie znajdziemy wiceprezydenta, da mi takiego kopa w dupę, że nigdy w życiu nie usiądę już do pianina.

- Facet zupełnie w moim typie - stwierdził Giordino.

- Czy zostaliście poinformowani, czego szukamy? - spytał Pitt.

Griffin skinął głową.

- Rzecznej barki. Sprawdziliśmy już około dwustu - od tego miejsca do Baton Rouge.

- Szukaliście w kierunku na północ. Sądzę, że znajduje się na południu.

Griffin popatrzył z powątpiewaniem pod nogi.

- Większość przyływających masowców i zbiornikowców jest rozładowywana w miejskich dokach. Potem ładunek zostaje przewieziony barkami na północ. Na południe od miasta pływa ich bardzo mało, właściwie tylko te, które wywożą śmiecie i odpadki przeznaczone do zatopienia w oceanie.

- Tym bardziej powinniśmy zainteresować się tym odcinkiem - stwierdził Pitt.

Griffin gestem ręki zaprosił ich do śmigłowca.

- Moi ludzie czekają w samochodach rozstawionych wzdłuż rzeki. Możemy kierować nimi z powietrza.

- Czy Delta Oil to dobry kamuflaż? - zainteresował się Pitt.

- Śmigłowce kompanii naftowych to pospolity widok w tym rejonie - odparł Griffin. - Są powszechnie wykorzystywane do przewozu ludzi i

sprzętu na przybrzeżne platformy wiertnicze oraz do rurociągów położonych na zalewiskach. Nikt nie zwraca na nie uwagi.

Pitt przeprosił ich, wrócił do samolotu NUMA i minutę później pojawił się z futerałem na skrzypce w ręku. Potem wsiadł do śmigłowca i został przedstawiony pilotowi, a właściwie pilotce, szczupłej blondynce o marzycielskich oczach, mówiącej z południowym akcentem. Pitt nigdy by nie przypuszczał, że jest agentką FBI, uznał też, że przydomek „Wredna” Hogan niezbyt do niej pasuje.

- Gra pan na skrzypcach w czasie lotu? - spytała ze zdziwieniem. - To mi pomaga opanować mój lęk wysokości - odparł z uśmiechem Pitt.

- Każdy ma jakiegoś świra - mruknęła.

Zapięli pasy i Hogan wystartowała. Przelecieli nad centrum miasta, a potem zakręcili na południe.

Wzdłuż St. Charles Avenue pełzł maleńki zielony tramwaj. Szyny połyskiwały, odbijając światło słoneczne przesączające się przez liście drzew. Pitt dojrzał olbrzymi, biały dach Superdome, największej tego typu budowli sportowej na świecie. Stojące gęsto obok siebie domy i wąskie uliczki French Quarter, zielona trawa Jackson Square i wieże katedry St. Louis przepłynęły obok nich po prawej. A potem znaleźli się nad mulistymi, brązowozielonymi wodami Missisipi.

- Zbyt gęsta, żeby pić, za rzadka, żeby orać - powiedziała Hogan.

- Był pan tu kiedyś? - spytał Pitta Griffin.

- Parę lat temu prowadziłem badania dwóch konfederackich wraków z okresu Wojny Domowej. To było sześćdziesiąt mil w dół rzeki, w Plaquemines Parish.

- Znam tam wspaniałą małą restaurację...

- Ja też. Nazywa się „U Toma”. Wspaniałe zatokowe ostrygi w połówkach muszli. Trzeba do nich koniecznie poprosić o specjalny sos mamy Toma - z chili. Doskonale pasuje.

- Bywał pan tu i ówdzie.

- Staram się.

- Ma pan jakiś pomysł, gdzie mogli ukryć tę barkę?

- Uważajcie na doki i magazyny, które sprawiają wrażenie

zapuszczonych i mało używanych, ale mają dobre zabezpieczenie i silną straż - nadmierna liczba wartowników, wysokie ogrodzenia, może psy. Zardzewiała i odrapana barka powinna być przycumowana gdzieś w pobliżu. Sądzę, że to gdzieś między Chalmette a Pilottown.

- Do Pilottown można dotrzeć jedynie łodzią - wyjaśnił Griffin. - Autostrada delty kończy się dziesięć mil za miastem Venice.

- Rozumiem.

Umilkli na chwilę, a rzeka płynęła pod nimi między potężnymi wałami przeciwpowodziowymi z prędkością niemal czterech węzłów. Na wąskich paskach ziemi między wałami a mokradłami widniały niewielkie farmy z krowami na pastwiskach i gajami pomarańczowymi. Przelecieli nad Port Sulphur, którego potężne pirsy ciągnęły się wzdłuż zachodniego brzegu. Na zatrutej ziemi widniały pięćdziesięciostopowe kopce żółtej siarki.

Pierwszy fałszywy alarm miał miejsce już po kilkunastu minutach. Kilka mil poniżej Port Sulphur zauważyli opuszczoną fabrykę konserw, koło której stały przycumowane dwie barki. Griffin porozumiał się przez radio z grupą funkcjonariuszy, którzy podążali w ślad za śmigłowcem drogą na zachodnim brzegu. Szybka kontrola wykazała, że budynek jest pusty, a pod pokładami barek jest tylko woda i muł.

Lecieli dalej na południe nad rozległymi mokradłami i wijącymi się zalewiskami. Zauważyli kilka pasących się saren, parę wygrzewających się w błocie aligatorów i niewielkie stadko kóz przypatrujących się obojętnie ich przelotowi.

W górę rzeki płynął potężny statek handlowy, wcinając się tępym dziobem w nurt rzeki. Na jego rufie łopotała czerwona flaga ze złotą gwiazdą, sierpem i młotem.

- Rosjanin - zauważył Pitt.

- Znaczny procent pięciu tysięcy statków, które corocznie zawijają do Nowego Orleanu, to jednostki radzieckie - wyjaśnił Griffin.

- Chcecie sprawdzić, co jest na tej barce? - spytała Hogan. - Tam, zacumowana za pogłębiarką przy lewym brzegu - wskazała dłonią.

Griffin skinął głową.

- Sprawdzimy ją sami.

Hogan potrząsnęła gęstą grzywą blond włosów.

- Wysadzę pana na wale.

Zręcznie dotknęła kołami śmigłowca wysypanej tłuczonymi muszlami powierzchni drogi na koronie wału. Trzy minuty później Griffin wbiegł po trzeszczącej kładce na barkę. Po kolejnych trzech minutach znowu zapinał pasy w kabinie śmigłowca.

- Nic? - zapytał Pitt.

- Pudło. Ta stara łajba jest do połowy wypełniona olejem napędowym. Pewnie używają jej jako stacji paliwowej dla pogłębiarki.

Pitt spojrział na zegarek. Druga trzydzieści. Czas uciekał. Za kilka godzin Moran zostanie zaprzysiężony jako prezydent.

- Ruszajmy dalej - powiedział.

- Tak jest, szefie - odparła Hogan.

Poderwała maszynę i położyła ją w tak ciasny zakręt nad powierzchnią rzeki, że Giordino miał ochotę sprawdzić, czy ma jeszcze żołądek na właściwym miejscu.

Kolejnych osiem mil i znowu mieli pecha. Spostreegli podejrzaną barkę zacumowaną koło stoczni remontowej. Kiedy jednak zespół naziemny ją sprawdził, okazała się wrakiem.

Przelecieli obok rybackich miasteczek Empire i Buras, aż nagle za zakrętem zobaczyli widok jakby żywcem wyjęty ze złotych lat Missisipi - malowniczy, niezwykły i prawie zupełnie zapomniany: bocznokołowy parowiec o długim białym kadłubie i szerokim pokładzie, nad którym unosił się pióropusz pary. Szerokim dziobem dotykał zachodniego brzegu.

- Cień Marka Twaina - powiedział Giordino.

- Piękny - dodał Pitt, podziwiając ażurowe ozdoby kilkupokładowej nadbudówki.

- To „Stonewall Jackson” - wyjaśnił Griffin. - Od siedemdziesięciu lat jest jedną z atrakcji tej rzeki.

Opuszczone schodnie parowca sięgały brzegu przed starym ceglany fort o kształcie pięciokąta. Koło niego widniało mnóstwo

zaparkowanych samochodów i tłum ludzi spacerujących po placu apelowym i wałach. W centrum położonego nie opodal pola chmura niebieskiego dymu kłębiła się nad głowami ustawionych w dwóch szeregach mężczyzn, którzy wydawali się strzelać do siebie.

- Co to za święto? - spytał Giordino.

- Rekonstrukcja wydarzeń Wojny Domowej - odparła Hogan.

- Proszę jaśniej.

- Odtwarzanie historycznych bitew - wyjaśnił Pitt. - To hobby niektórych mężczyzn, którzy służyli w brygadach i pułkach o tradycjach sięgających czasów Wojny Domowej. Ubierają się w wykonane dokładnie według starych wzorów mundury i strzelają ślepakami z idealnych replik albo autentycznych karabinów. Byłem świadkiem takiej rekonstrukcji pod Gettysburgiem. Są niezwykle widowiskowe, wszystko wygląda niemal jak naprawdę.

- Szkoda, że nie możemy się zatrzymać i obejrzeć - powiedział Griffin.

- Plaquemines Parish to skarbiec historii - dodała Hogan. - Ta budowla w kształcie gwiazdy, wokół której toczą tę bitwę na niby, to Fort Jackson. Fort St. Philip, albo to, co z niego zostało, znajduje się bezpośrednio po drugiej stronie rzeki. To jest miejsce, w którym admirał Farragut w 1862 roku przedarł się między fortami i zdobył Nowy Orlean dla Jankesów.

Nie trzeba było specjalnej wyobraźni, aby zobaczyć i usłyszeć salwy armatnie, jakie wymieniały między sobą okręty Unii i baterie Konfederacji. Ale zakręt rzeki, gdzie admirał Farragut wraz ze swą flotą ponad wiek temu przełamał obronę Południa, był teraz spokojny. Woda płynęła leniwie między pokrytymi krzewami brzegami, nad szczątkami okrętów, które zatoneły w czasie bitwy.

Hogan wyprostowała się gwałtownie w fotelu i nad tablicą przyrządów popatrzyła przez przednią szybę kabiny. W odległości niecałych dwóch mil do starego, drewnianego nabrzeża, którego palowanie sięgało pod duży metalowy barak magazynowy, dziobem w dół rzeki przycumowany był statek. Za jego rufą widniała barka i

pchacz.

- To może być to - powiedziała.

- Czy może pani odczytać nazwę statku? - zapytał z tylnego siedzenia Pitt.

Hogan na chwilę zdjęła lewą rękę z manetki gazu i osłoniła oczy przed słońcem. - Wygląda jak... Nie, to nazwa miasta, które niedawno minęliśmy.

- Jakiego miasta?

- Buras.

- To może być to. Do diabła! - w głosie Pitta zabrzmiał triumf. - To jest to.

- Na statku nie widać członków załogi - zauważył Griffin. - Cały teren otoczony jest wysokim ogrodzeniem, ale nie widzę strażników ani psów. Mam wrażenie, że jest tam zupełnie spokojnie.

- Niech się pan o to nie zakłada - powiedział Pitt. - Hogan, proszę lecieć dalej w dół rzeki, aż im znikniemy z oczu. A potem niech pani zakręci za zachodni wał i nawiąże kontakt z waszą grupą w samochodach.

Hogan leciała dalej tym samym kursem przez pięć minut. Potem szerokim łukiem zakręciła na północ i wylądowała na boisku piłkarskim szkoły. Czekwały już tam na nich dwa samochody wypełnione agentami FBI.

Griffin obrócił się w fotelu i spojrzał na Pitta.

- Wezmę moją grupę i wejdę frontową bramą, która prowadzi do doku przeładunkowego. Pan i Giordino zostaniecie z Hogan i będziecie działali jako zwiad lotniczy. To powinna być rutynowa operacja.

- Rutynowa operacja - powtórzył ironicznie Pitt. - Podejdziecie do bramy, błysniecie swoimi lśniącoymi odznakami FBI i wszyscy podniosą łapy ze strachu. Nic z tego. Ci ludzie zabijają tak, jak pan czy ja zabijamy komara. Działając w otwarty sposób, prosicie się o dziurę w głowie. Lepiej niech pan poczeka i wezwie posiłki.

Grymas Griffina wyraźnie świadczył, że nie ma ochoty, aby ktoś dyktował mu, w jaki sposób ma działać. Zignorował Pitta i wydał

Hogan polecenia:

- Daj nam dwie minuty na dotarcie do bramy, potem startuj i zatocz krąg nad magazynem. Wejdź na częstotliwość naszego rejonowego punktu łączności i poinformuj ich o sytuacji. Powiedz, żeby przekazywali nasze meldunki do centrali Biura w Waszyngtonie.

Zszedł na ziemię i wsiadł do pierwszego samochodu. Objechali salę gimnastyczną szkoły, dostali się na prawie niewidoczną drogę prowadzącą do przystani Bougainville'ów i zniknęli.

Hogan wystartowała i włączyła radio. Pitt przeszedł na fotel drugiego pilota i patrzył, jak agenci FBI zbliżają się do wysokiego ogrodzenia z drutu kolczastego, które otaczało nabrzeże i magazyn. Z coraz większym niepokojem obserwował, jak Griffin wychodzi z samochodu i staje przed bramą. Nikt jednak się nie pojawił.

- Coś się dzieje - powiedziała Hogan. - Pchacz i barka odbijają.

Miała rację. Pchacz odsuwał się od nabrzeża, popychając tępym dziobem barkę. Sternik zręcznie wprowadził obie jednostki w główny nurt i skierował się w stronę zatoki.

Pitt schwycił zapasowy hełmofon z mikrofonem.

- Griffin! - warknął. - Wyprowadzają barkę. Zostawcie w spokoju statek i magazyn. Wracajcie na drogę i podejmijcie pościg.

- Rozumiem - potwierdził głos Griffina.

Nagle na statku otworzyły się drzwi nadbudówki i na pokład wybiegła załoga. Zerwali brezentowe osłony z dwóch stanowisk artyleryjskich na dziobie i rufie. Pułapka zatrasnęła się.

- Griffin! - wrzasnął w mikrofon Pitt. - Wyoście się. Na litość boską, uciekajcie.

Ostrzeżenie przyszło zbyt późno. Griffin wskoczył do pierwszego samochodu, który z rykiem ruszył pod osłonę wału, ale w tej samej chwili dwudziestomilimetrowe działka oerlikona zaczęły wypluwać śmiertcionośny grad. Pociski wbiły się w skaczący dziko samochód, rozbijając szyby, dziurawiąc cienki metal jak karton, szarpiąc ciała i kości siedzących w środku. Tylny samochód zahamował gwałtownie, posypali się z niego na ziemię ludzie. Niektórzy leżeli nieruchomo, inni

próbowali przeczołgać się w bezpieczne miejsce. Griffin i jego grupa zdołali przedostać się przez koronę wału, ale wszyscy byli ciężko ranni.

Pitt gwałtownym ruchem otworzył futerał skrzypiec, wystawił przez boczne okno lufę thompsona i długą serią pociągnął po dziobowym działku „Buras”. Hogan natychmiast zorientowała się w sytuacji i pochyliła śmigłowca, aby pozwolić mu lepiej prowadzić ogień. Ludzie padali na pokład, do ostatniej chwili nie wiedząc, skąd spadł na nich ten śmiercionośny ogień. Ale artylerzyści na rufie byli bardziej czujni. Obrócili swojego oerlikona, pozostawiając w spokoju Griffina i jego niedobitków, i zaczęli wysyłać pociski w niebo. Hogan zrobiła unik przed serią, która chybiła o cal. Kopnęła orczyk, zataczając nad statkiem wiraż.

Smugowe pociski z „Buras” przecięły powietrze i załomotały o kadłub śmigłowca. Pitt osłonił oczy ramieniem, gdy przednia szyba śmigłowca rozleciała się i do wnętrza wpadły bryzgi szkła. Pokryte stalowymi płaszczami pociski przebiły cienkie aluminiowe poszycie i uszkodziły silnik.

- Nic nie widzę - oznajmiła zaskakująco spokojnym głosem Hogan. Z ran na jej twarzy i głowie spływała krew, zalewając oczy.

Poza paroma głębokimi zadrapaniami na przedramieniu, Pitt wyszedł bez szwanku. Podał pistolet maszynowy Giordinowi, który owijał właśnie oderwanym rękawem koszuli draśnięcie na prawej łydce. Silnik śmigłowca tracił moc i maszyna nurkowała ostro w stronę środka rzeki. Pitt wyciągnął rękę, przejął od Hogan stery i wykonał zwrot, unikając morderczego ognia, otworzonego niespodziewanie z pchacza. Ze sterówki i luku w pokładzie barki wybiegło kilkunastu mężczyzn i zaczęło beładnie strzelać w kierunku uszkodzonego śmigłowca z broni maszynowej.

Z silnika wyciekał olej, łopaty wirnika cięły wściekle powietrze. Pitt zmniejszył kąt nachylenia wirnika, starając się; by obroty nie spadły zbyt gwałtownie. Zobaczył, jak pod gradem pocisków rozsypuje się tablica przyrządów. Toczył beznadziejną walkę i wiedział, że nie zdoła utrzymać się długo w powietrzu. Prędkość spadała, tracił kontrolę nad

maszyną.

Za wałem przeciwpowodziowym klęczał Griffin ogarnięty bezsilną wściekłością. Trzymał się za zgruchotany przegub i obserwował śmigłowiec chwiejący się w powietrzu jak wielki, śmiertelnie ranny ptak. Kadłub był tak posiekany pociskami, że trudno było uwierzyć, by w środku ktoś został przy życiu. Patrzył, jak maszyna wolno, niepewnie, kołysząc się leci w górę rzeki, ciągnąc za sobą długi warkocz dymu. Z trudnością przeskoczyła kępę drzew na brzegu i zniknęła.

Rozdział 69

Sandecker siedział w prywatnym gabinecie Emmetta w centrali FBI i bezmyślnie żuł niedopałek cygara. Brogan bawił się nerwowo filiżanką z dawno już wystygłą kawą.

Generał Metcalf wszedł i usiadł.

- Wszyscy wyglądacie jak żałobnicy - powiedział z wymuszoną wesołością.

- A czy nimi nie jesteśmy? - odparł Brogan. - Kiedy tylko Senat wyda wyrok, trzeba będzie się podporządkować.

- Właśnie przychodzę z sali recepcyjnej Senatu - wyjaśnił Metcalf. - Sekretarz Oates rozmawia ze stronnikami prezydenta, próbując namówić ich, żeby grali na zwłokę.

- Jakie mają szansę? - zapytał Sandecker.

- Żadne. Senat traktuje procedurę procesową jak formalność. Za cztery godziny będzie już po wszystkim.

Brogan pokręcił z obrzydzeniem głową.

- Słyszałem, że Moran trzyma w pogotowiu prezesa Sądu Najwyższego, O'Briena, żeby przyjął od niego przysięgę.

- Ten oślizgły sukinsyn nie traci ani chwili - mruknął Emmett.

- Czy są jakieś wiadomości z Luizjany? - zapytał Metcalf.

Emmett pokręcił głową.

- Od godziny nic. W ostatnim meldunku mój agent informował, że mają zamiar skontrolować obiecująco wyglądającą przystań.

- Czy mamy konkretne podstawy przypuszczać, że Margolin jest ukrywany gdzieś w delcie?

- To tylko strzał w ciemno mojego dyrektora do zadań specjalnych - odparł Sandecker.

Metcalf spojrzął na Emmetta.

- Co pan robi w sprawie Bougainville'ów?

- Wyznaczyłem do niej prawie pięćdziesięciu agentów.

- Czy może pan dokonać aresztowania?

- Strata czasu. Min Koryo i Lee Tong znajdują się na wolności w ciągu godziny.

- Przecież musi istnieć jakiś wystarczający materiał dowodowy.

- Nic, co mógłby zaakceptować prokurator generalny. Większość nielegalnych operacji przeprowadzali za granicą, w krajach Trzeciego Świata, które nie są szczególnie przyjaźnie usposobione do Stanów Zjednoczonych...

Zadzwoił telefon.

- Emmett.

- Goodman z łączności.

- O co chodzi, Goodman?

- Mam kontakt z Griffinem w Luizjanie.

- Najwyższa pora - warknął ze zniecierpliwieniem Emmett. - Połącz mnie.

- Proszę czekać. - Zapadła cisza, przerwana przez wyraźne trzaśnięcie, i wreszcie do Emmetta dobiegł czyjś ciężki oddech. Włączył głośnik, żeby inni również mogli usłyszeć.

- Griffin, tu Sam Emmett, jak mnie odbierasz?

- Bardzo wyraźnie. - Słowa zdawały się być przytłumione bólem. - Mie...mieliśmy kłopoty.

- Co się stało?

- Dostrzeżliśmy statek Bougainville'ów obok barki i pchacza, zacumowany do nabrzeża jakieś siedemdziesiąt mil poniżej Nowego Orleanu. Zanim udało mi się razem z moim zespołem wejść na teren, żeby dokonać przeszukania, ostrzelano nas z zamontowanej na statku

ciężkiej broni. Wszyscy dostaliśmy... Mam dwóch zabitych i siedmiu rannych, łącznie ze mną. To była masakra. - Głos Griffina załamał się i na chwilę zapadła cisza. Kiedy znowu zaczął mówić, brzmiało to o wiele słabiej: - Przepraszam, że nie nawiązałem kontaktu wcześniej, ale postrzelano nam aparaturę radiową i musiałem iść dwie mile, zanim udało mi się znaleźć telefon.

Na twarzy Emmetta pojawił się wyraz współczucia. Myśl o tym, że ciężko ranny człowiek szedł dwie mile w upale, poruszyła go. Sandecker przysunął się bliżej do telefonu.

- Co z Pittem i Giordinem?

- Ludzie z NUMA i jeden z moich funkcjonariuszy prowadzili obserwację ze śmigłowca - odparł Griffin. - Postrzelano im maszynę jak sito. Rozbili się gdzieś w górze rzeki. Wątpię, czy ktoś przeżył.

Sandecker cofnął się. Jego twarz zmartwiała.

Emmett pochylił się nad głośnikiem.

- Griffin...?

W odpowiedzi usłyszał tylko niewyraźne mamrotanie.

- Griffin, posłuchaj mnie. Możesz jeszcze mówić?

- Tak jest... Spróbuję.

- Barka, jaka jest sytuacja z barką?

- Pchacz... pchacz ją odprowadził.

- Dokąd?

- W dół rzeki... Ostatni raz widziałem ją, jak płynęła w stronę Rozwidlenia.

- Rozwidlenia...?

- To dolna część Missisipi, gdzie rzeka rozdziela się na trzy główne kanały prowadzące w stronę morza - odparł Sandecker. - South Pass, Southwest Pass i Loutre Pass. Ruch statków odbywa się przede wszystkim dwoma pierwszymi.

- Griffin, jak dawno barka opuściła ten rejon?

Nie było odpowiedzi ani sygnału przerwane połączenia, żadnego dźwięku.

- Chyba zemdłał - powiedział Metcalf.

- Pomoc jest już w drodze. Rozumiesz, Griffin?

Wciąż bez odpowiedzi.

- Po co wyprowadzają barkę w morze? - zastanawiał się na głos Brogan.

- Nie mam pojęcia - odparł Sandecker.

Telefon Emmetta zabrzączał, sygnalizując połączenie wewnętrzne.

- Pilny telefon do admirała Sandeckera - poinformował wicedyrektor Don Miller.

Emmett podniósł głowę.

- To do pana, admirale. Jeżeli pan sobie życzy, może pan rozmawiać z sekretariatu.

Sandecker podziękował i wyszedł do drugiego pomieszczenia, gdzie sekretarka Emmetta wskazała mu aparat na wolnym biurku. Wcisnął migający biały guzik.

- Tu admirał Sandecker.

- Chwileczkę, proszę pana - rozległ się znajomy głos głównego telefonisty dyrekcji NUMA.

- Halo?

- Tu Sandecker. Kto mówi?

- Jest pan jak niedostępna twierdza, admirale. Gdybym nie powiedział, że mój telefon dotyczy Dirka Pitta, pańska sekretarka za nic w świecie by mnie nie połączyła.

- Kto mówi? - powtórzył pytanie Sandecker.

- Nazywam się Sal Casio. Pracuję razem z Dirkiem nad sprawą Bougainville'ów.

Dziesięć minut później, kiedy Sandecker wszedł z powrotem do gabinetu Emmetta, sprawiał wrażenie wstrząśniętego i oszołomionego. Brogan natychmiast poczuł, że coś jest nie tak.

- Co się stało? - zapytał. - Wygląda pan, jakby spotkał pan ducha.

- Barka - wymamrotał Sandecker. - Bougainville'owie zawarli układ z Moranem. Wyprowadzają barkę na otwarte morze, żeby ją zatopić.

- Co pan mówi?

- Loren Smith i Vince Margolin zostali skazani na śmierć, żeby Alan

Moran mógł zostać prezydentem. Zatopiona na głębokości stu sążni
barka stanie się ich grobowcem.

Rozdział 70

- Widać za nami jakiś pościg? - zapytał rzeczny pilot, z precyzją dyrygenta orkiestry poruszając dźwigniami na konsoli sterowniczej.

Lee Tong odszedł od dużego otwartego okna z tyłu sterówki i opuścił lornetkę.

- Nic. Tylko dziwna chmura czarnego dymu jakieś dwie albo trzy mile za rufą.

- Pewnie pożar paliwa.

- Wygląda, jakby nas goniła.

- Złudzenie. Na rzece zdarzają się rozmaite miraże. Wydaje się, że od jakiegoś punktu dzieli nas mila, a naprawdę są to cztery mile. Widzi się światła tam, gdzie nie powinno być żadnych świateł. Płynący torem wodnym statek, który znika, kiedy się zbliżymy. Tak, kiedy rzeka się rozigra, może oszukać człowieka.

Lee Tong znowu popatrzył w stronę kanału. Nie interesowały go nie kończące się opowieści pilota o Missisipi, ale podziwiał jego umiejętności i doświadczenie.

Kapitan Kim Pujon od dawna pracował dla Linii Żeglugowych Bougainville jako rzeczny pilot. Teraz, prawie nie spuszczać wzroku z toru wodnego i popychanej barki, operował czterema silnikami o mocy 12 000 KM i ustawiał we właściwym położeniu cztery dziobowe i sześć rufowych sterów. Diesle pod jego stopami dudniły na pełnych obrotach, popychając barkę z prędkością niemal szesnastu mil na godzinę.

Przemknęli obok płynącego w górę rzeki szwedzkiego zbiornikowca i Lee Tong musiał się przytrzymać, gdy barka i pchacz zaczęły kołysać się w górę i dół na falach pozostawianych przez statek.

- Jak daleko do głębokiej wody?

- Przepłynęliśmy ze słodkiej wody na słoną jakieś dziesięć mil temu. Powinniśmy minąć przybrzeżne płycizny za pięćdziesiąt minut.

- Niech pan uważa na statek badawczy o czerwonym kadłubie i pod brytyjską banderą.

- Po zatopieniu barki wchodzimy na pokład jednostki Royal Navy? - spytał ze zdziwieniem Pujon.

- To dawny norweski statek handlowy - wyjaśnił Lee Tong. - Kupiłem go siedem lat temu i przerobiłem na statek badawczy. Bardzo przydatny kamuflaż, dzięki któremu można oszukać służby celne i Ochronę Wybrzeża.

- Miejmy nadzieję, że oszuka również tych, którzy nas ścigają.

- Czemu nie? - mruknął Lee Tong. - Każda amerykańska grupa poszukiwawcza zostanie poinformowana najlepszym angielskim akcentem, że zostaliśmy podniesieni z wody i aresztowani. Zanim statek badawczy zacumuje w Nowym Orleanie, pana, mnie i całą załogę już na nim nie będzie.

Pujon wskazał ręką.

- Widać światło Port Eads. Wkrótce będziemy na otwartych wodach.

Lee Tong z ponurą satysfakcją skinął głową.

- Jeżeli nie zdołali nas zatrzymać do tej chwili, to znaczy, że się spóźnili, bardzo spóźnili.

Generał Metcalf postawił na szali całą swoją długą i godną podziwu karierę, zignorował pogróżki Morana i ogłosił stan alarmu dla wszystkich jednostek wojskowych na terenie stanów położonych na wybrzeżu Zatoki. W bazach sił powietrznych Eglin i Hurlburt Field na Florydzie dywizjony myśliwców taktycznych i śmigłowców szturmowych oddziałów specjalnych podrywały się z pasów i podążyły

na zachód, podczas gdy dywizjony szturmowe z bazy lotnictwa marynarki w Corpus Christi w Teksasie startowały i kierowały się na wschód.

Sandecker razem z Metcalfem pojechali samochodem do Pentagonu, aby kierować operacją ratunkową z centralnego punktu dowodzenia. Gdy potężna machina została już puszczona w ruch, mogli właściwie tylko słuchać meldunków i patrzeć na gigantyczną fotomapę wyświetlaną na ekranie.

Metcalf nie był w stanie ukryć niepokoju. Stał pocierając dłonie i patrzył na światełka pokazujące na mapie, jak samoloty zbliżają się ze wszystkich stron do czerwonego kółka.

- Jak prędko dotrą tam pierwsze maszyny? - spytał Sandecker.

- Za dziesięć, najwyżej dwanaście minut.

- A jednostki nawodne?

- Najwcześniej za godzinę - odparł z goryczą Metcalf. - Zaskoczono nas. W bezpośredniej odległości nie ma żadnych jednostek poza nuklearnym okrętem podwodnym. Jest w odległości sześćdziesięciu mil na wodach Zatoki Meksykańskiej.

- Ochrona Wybrzeża?

- Koło Grand Island jest uzbrojony kuter patrolowo-ratowniczy. Może zdąży na czas.

Sandecker popatrzył na mapę.

- Wątpię. To całe trzydzieści mil.

Metcalf wytarł dłonie w chusteczkę.

- Sytuacja wygląda ponuro przyznał. - Atak ogniowy z powietrza jest raczej niewykonalny. Nie możemy kazać samolotom szturmować pchacza i nie narazić przy tym barki na niebezpieczeństwo. Są praktycznie połączone w jedno.

- W każdym razie Bougainville'owie tak czy owak zatopią barcę.

- Gdybyśmy mieli w tym rejonie choć jeden okręt, moglibyśmy próbować dokonać abordażu.

- I uratować Smith i Margolina - dodał Sandecker.

Metcalf opadł na fotel.

- Zostaje nam jeszcze oddział Specjalnych Sił Operacyjnych Marynarki Wojennej SEAL... Leci śmigłowcem i będzie tam za kilka minut.

- Po tym, co się zdarzyło agentom FBI, możliwe, że wysłała ich pan na rzeź.

- To nasza ostatnia nadzieja - odparł bezradnie Metcalf. - Jeżeli oni nie zdołają ich uratować, nie uda się to nikomu.

Pierwszym samolotem, który pojawił się na scenie, był czterosilnikowy samolot patrolowy marynarki zawrócony ze zwiadu pogody. Dwudziestoparoletni dowódca o chłpięcej twarzy stuknął drugiego pilota w ramię i wskazał na lewo w dół.

- Pchacz i barka. Ta cała awantura musi dotyczyć właśnie ich.

- I co teraz robimy? - zapytał drugi pilot, nieco starszy mężczyzna z wąską szczęką i kędzierzawymi, ognistorudymi włosami.

- Przekaż radosną wiadomość do bazy. Chyba że chcesz zachować to w tajemnicy.

Niecałą minutę po przekazaniu meldunku w słuchawce rozległ się burkliwy głos:

- Kto jest dowódcą samolotu?

- Ja.

- To znaczy kto?

- Pan pierwszy...

- Tu generał Clayton Metcalf z Połączonych Sztabów.

Pilot uśmiechnął się i zrobił palcem kółko na czole.

- Zwariowałeś czy żartujesz?

- Nie omawiamy tu sprawy mojego stanu umysłowego ani nie jest to żart. Proszę o pańskie nazwisko i stopień.

- Nie uwierzy pan.

- Sam to ocenię.

- Porucznik Ulysses S. Grant.

- Dlaczego miałbym nie uwierzyć? - roześmiał się Metcalf. - Był

wspaniały baseballista o tym nazwisku.

- To mój ojciec - odparł z dumą Grant. - Pamięta go pan?

- Nie dają czterech gwiazdek za sklerozę - rzekł Metcalf. - Czy ma pan aparaturę telewizyjną na pokładzie, poruczniku?

- Tak... Tak jest, panie generale - wyjąkał Grant, uzmysławiając wreszcie sobie, z kim rozmawia. - Rejestrujemy zbliżenia formacji burzowych dla meteorologów.

- Mój oficer łączności poda pańskiemu operatorowi wideo częstotliwość przeprowadzenia przekazu satelitarnego do Pentagonu. Proszę trzymać kamerę skierowaną na pchacz.

Grant odwrócił się do swojego drugiego pilota.

- Mój Boże, rozumiesz coś z tego?

Rozdział 71

Pchacz przepłynął obok stacji pilotów na South Pass, ostatniej placówki na mulistej Missisipi, i znalazł się na otwartym morzu.

- Trzydzieści mil do głębokiej wody - oznajmił kapitan Pujon.

Lee Tong skinął głową, przyglądając się krążącemu samolotowi zwiadu meteorologicznego. Potem podniósł do oczu lornetkę i powiódł spojrzeniem po morzu. Jediną jednostką w polu widzenia był fałszywy statek badawczy, który nadpływał od wschodu. Znajdował się po lewej burcie jakieś osiem mil przed dziobem.

- Wygraliśmy - stwierdził z przekonaniem w głosie.

- W dalszym ciągu mogą nas zmieść ogniem z powietrza.

- I zaryzykują zatopienie barki? Nie sądzę. Chcą odzyskać wiceprezydenta żywego.

- Skąd mogą wiedzieć, że jest na pokładzie?

- Nie mogą, a w każdym razie nie mogą mieć pewności. Ale tym bardziej nie zaatakują czegoś, co może się okazać niewinnym pchaczem prowadzącym na morze barkę ze śmieciami.

Po schodni wbiegł członek załogi i wszedł do sterówki.

- Kapitanie - powiedział, wskazując w górę za siebie - od rufy nadlatuje samolot.

Lee Tong skierował lornetkę w kierunku wskazanym przez marynarza. Na wysokości piętnastu stóp w stronę pchacza leciał śmigłowiec Marynarki Wojennej. Lee Tong zmarszczył brwi i polecił:

- Ogłóście alarm dla załogi.

Marynarz zasalutował i pobiegł na dół.

- Śmigłowiec szturmowy? - zapytał z niepokojeni Pujon. - Może zawisnąć nad nami i rozwalić nas na strzępy, nie zadrasnawszy nawet barki.

- Na szczęście nie. To śmigłowiec transportowy grupy szturmowej. Najprawdopodobniej z oddziałem SEAL Marynarki Wojennej. Mają zamiar wysadzić desant.

Porucznik Homer Dodds wysunął głowę przez drzwi desantowe śmigłowca i spojrzał w dół. Obie jednostki wyglądają dość niewinnie, pomyślał, widząc marynarza, który wyszedł ze sterówki i pomachał na powitanie. Nic niezwykłego ani podejrzanego.

- Czy uzyskaliście kontakt radiowy? - rzucił do mikrofonu.

- Wzywaliśmy ich na każdej możliwej częstotliwości, ale nie odpowiadają - odparł pilot.

- Dobra, zrzuć nas na barkę.

- Zrozumiałem.

Dodds wziął do ręki megafon i powiedział:

- Pchacz, ahój! Tu Marynarka Stanów Zjednoczonych. Zatrzymać maszyny i stanąć w dryf. Wchodzimy na pokład.

Marynarz na pokładzie pod nimi przyłożył ręce do uszu i pokręcił głową, sygnalizując, że wycie turbiny zagłusza głos porucznika. Dodds powtórzył i marynarz pomachał zapraszająco ręką. Śmigłowiec był już tak nisko, że widać było azjatyckie rysy twarzy marynarza.

Prędkość pchacza i barki zmniejszyła się, obie jednostki zaczęły kołysać się na fali. Pilot śmigłowca wziął poprawkę na wiatr i zawisł nad płaskim pokładem barki, przygotowując się do desantu. Dodds obejrzał się i popatrzył na swoich ludzi. Szczupli i zahartowani, stanowili chyba najtwardszą, najwredniejszą i najbardziej robaczywą bandę morderców w Marynarce Wojennej. Broń mieli przygotowaną, byli chętni i gotowi na wszystko. Poza, być może, całkowitą

niespodzianką.

Maszyna znajdowała się zaledwie dziesięć stóp nad barką, kiedy na pchaczu otworzyły się ukryte włazy, odsunęły pokrywy luków i dwudziestu marynarzy zaczęło strzelać z karabinków szturmowych Steyr-Mannlicher AUG.

Pociski kalibru 0,223 cala trafiały komandosów z SEAL ze wszystkich stron. Dodds i jego podkomendni zareagowali natychmiast, likwidując każdego marynarza pchacza, który wychylił się spoza zasłony, ale pociski wpadające do ich niewielkiego przedziału desantowego wkrótce zamieniły go w rzeźnię. Nie mieli dokąd uciekać. Byli bezradni, jakby przyparto ich plecami do muru w zaułku bez wyjścia.

Łoskot zmasowanego ognia z broni strzeleckiej zagłuszył odgłos pracy silnika śmigłowca. Pilot został trafiony pierwszą serią, która rozbiła oszklenie, rozrzucając odłamki metalu i plastyku po całej kabinie. Śmigłowiec zadygotał i gwałtownie okręcił się wokół swojej osi. Drugi pilot próbował utrzymać kontrolę nad maszyną, lecz bez rezultatu. Nadleciały myśliwce wojsk powietrznych, których piloci natychmiast zorientowali się w sytuacji. Dowódca dywizjonu szybko wydał polecenia i znurkował tuż nad rufą pchacza w nadziei, że ściągnie na siebie ogień i odwróci uwagę od postrzelanego i dymiącego śmigłowca, ale strzelcy Lee Tonga zignorowali go zupełnie. Wściekli na rozkazy, które zabraniały im atakować, piloci przelatywali coraz niżej i niżej, aż wreszcie jedna z maszyn obcięła antenę radarową pchacza.

Śmigłowiec, zbyt zmasakrowany, aby utrzymać się jeszcze w powietrzu, zaprzestał wreszcie beznadziejnej walki i wpadł do morza niedaleko barki.

Sandecker i Metcalf siedzieli wstrząśnięci, gdy kamera wideo na pokładzie samolotu meteorologicznego przekazywała rozgrywający się dramat. W punkcie dowodzenia panowała śmiertelna cisza. Wszyscy bez słowa obserwowali i czekali, aby kamera pokazała im tych, którzy

zdołali się uratować. Na błękicie morza mogli dostrzec jedynie sześć głów.

- Koniec zabawy - oznajmił z desperacją w głosie Metcalf.

Sandecker nie odpowiedział. Odwrócił się od ekranu i usiadł ciężko na fotelu obok długiego stołu konferencyjnego. Jego bojowy duch opuścił go całkowicie.

Metcalf słuchał wzmocnionych aparaturą głosów pilotów. Byli coraz bardziej wściekli, że nie mogą rozwalić pchacza. Nie wiedzieli nic o więzionych na barce i mówili co myślą o swoim dowództwie, nie zdając sobie sprawy, że ich słowa są słyszane i rejestrowane w oddalonym o tysiące mil Pentagonie. Na twarzy Sandeckera pojawił się cień uśmiechu. Doskonale ich rozumiał.

Nagle rozległ się przyjazny głos:

- Tu porucznik Grant. Czy mogę zwracać się bezpośrednio do pana, generale?

- W porządku, synu - odparł spokojnie Metcalf. - Mów.

- Widzę zbliżające się do rejonu działań dwa statki. Zaraz przekażę obraz pierwszej jednostki.

Z rozbudzoną na nowo nadzieją spojrzeli na ekran. Początkowo obraz był oddalony i niewyraźny. Potem kamerzysta z samolotu meteorologicznego zrobił zbliżenie statku o czerwonym kadłubie.

- Z góry robi wrażenie statku badawczego - zameldował Grant.

Powiew wiatru pochwycił banderę na flagsztoku i ukazał jej ciemnoniebieską barwę.

- Brytyjski - oznajmił z przygnębieniem Metcalf. - Nie mamy prawa żądać od obcokrajowców, aby dla nas umierali.

- Oczywiście, masz rację. Zresztą nigdy nie słyszałem o naukowcu-oceanologu, który obnosiłby się z automatem.

Metcalf odwrócił się i powiedział:

- Grant?

- Tak jest?

- Niech się pan skontaktuje z tym brytyjskim statkiem i poprosi ich o podniesienie z wody rozbitków ze śmigłowca.

Zanim Grant zdążył potwierdzić odbiór polecenia, obraz wideo zadygotał i ekran zrobił się czarny.

- Utraciliśmy wasz obraz, Grant.

- Chwileczkę, panie generale. Operator wideo informuje mnie, że siadło zasilanie kamery. Za chwilę wymieni baterię.

- Co się dzieje z pchaczem?

- Znowu zaczął płynąć razem z barką, ale porusza się wolniej niż przedtem.

Metcalf odwrócił się do Sandeckera.

- Szczęście nam nie sprzyja, prawda, Jim?

- Owszem, Clayton. Nie mamy go nawet za grosz. - Zawahał się. - Chyba że ta druga jednostka to uzbrojony kuter Ochrony Wybrzeża.

- Grant! - huknął Metcalf.

- Jeszcze chwilka, panie generale.

- Mniejsza o kamerę. Jakiego rodzaju jednostką jest drugi statek, o którym mnie informowaliście? Ochrona Wybrzeża czy Marynarka Wojenna?

- Ani to, ani to. Całkowicie cywilny.

Metcalf cofnął się w poczuciu klęski, ale w tym samym momencie Sandecker poczuł, że rozbłysła w nim iskra nadziei. Pochylił się do mikrofonu.

- Grant, tu admirał Sandecker. Czy możesz go opisać?

- Nie wygląda mi na statek, który spodziewałby się pan zobaczyć na oceanie.

- Jakiej jest narodowości?

- Narodowości, panie admirale...?

- Flaga, człowieku. Jaką ma flagę?

- Nie uwierzy pan.

- Wykrztuś to wreszcie.

- No cóż, panie admirale. Wprawdzie urodziłem się i wychowałem w Montanie, ale czytałem wystarczająco dużo książek historycznych, żeby rozpoznać banderę Skonfederowanych Stanów.

Rozdział 72

„Stonewall Jackson” wyglądał jak zjawą ze świata, który prawie całkowicie odszedł już w zapomnienie, kiedy gwizdząc przeraźliwie swoją mosiężną syreną, pniąc morską wodę łopatkowymi kołami i plując czarnym dymem z bliźniaczych wysokich kominów, pędził w stronę pchacza i barki z niezgrabną gracją ciężarnej piękności z Południa, unoszącej krynolinę przed przejściem kałuży.

Wrzeszczące przeraźliwie mewy szybowały nad powiewającą na rufie gigantyczną flagą ze skrzyżowanymi pasami i gwiazdami Konfederacji, a mężczyzna na górnym pokładzie z zapalonym łożem w klawisze staroświeckich parowych organów, grając stary narodowy hymn Południa - „Dixie”. Widok desperackiej szarzy parowca poruszył obserwujących to wszystko z góry mężczyzn. Zdawali sobie sprawę, że są świadkami czegoś, czego nikt więcej już nie zobaczy.

W bogato zdobionej sterówce Pitt i Giordino patrzyli na barkę i pchacz, zbliżające się z każdym obrotem trzydziestostopowych kół napędowych.

- Facet miał rację! - wrzasnął Giordino, przekrzykując syrenę i parowe organy.

- Jaki facet?! - odkrzyknął Pitt.

- Ten, który powiedział: „Zachowaj pieniądze Konfederacji, a Południe powstanie jeszcze raz”.

- Mieliśmy szczęście, że tak się stało - odparł Pitt z uśmiechem.

- Zbliżamy się - oznajmił niewielki żylasty mężczyzna, obracający obiema rękami sześciostopowe koło sterowe.

- Stracili prędkość - domyślił się Pitt.

- Jeżeli kotły wytrzymają, a kochany staruszek nie rozsypie się na tych cholernych falach... - Człowiek przy sterze przerwał w pół zdania, obrócił ozdobioną rozłożystą białą brodą głowę, ze snajperską precyzją strzyknął tytoniowym sokiem w mosiężną sopluczkę i dokończył: - ...powinniśmy ich dogonić na przestrzeni dwóch następnych mil.

Kapitan Melvin Belcheron dowodził „Stonewallem Jacksonem” przez trzydzieści lat swojego sześćdziesięciodwuletniego żywota. Znał na pamięć każdą boję, zakręt, mieliznę i odcinek brzegu od St. Louis do Nowego Orleanu. Ale pierwszy raz zdarzyło mu się wyprowadzić statek na otwarte morze.

„Kochany staruszek” został zwodowany w 1915 roku w Columbus, w stanie Kentucky, na rzece Ohio. Był ostatnim, który rozpałał wyobraźnię w czasie złotych lat parowców, i nie miał już następców. Zapach spalanego węgla, syk maszyny parowej, rytmiczny plusk łopatkowych kół - wszystko to wkrótce ostatecznie i bezpowrotnie przejdzie do historii.

Drewniany kadłub „Stonewalla Jacksona” miał płytkie zanurzenie, ale był długi i szeroki: dwieście siedemdziesiąt na czterdzieści cztery stopy. Jego parowy silnik tłokowy wykonywał około czterdziestu obrotów na minutę. Miał nieco ponad tysiąc ton wyporności i mimo swoich okazałych rozmiarów był w stanie pływać po wodzie o głębokości zaledwie trzydziestu dwóch cali.

Pod głównym pokładem czterej spoceni i czarni od sadzy mężczyźni wściekle wrzucali węgiel do palenisk pod czterema wysokoprężnymi kotłami. Gdy strzałka na manometrze zaczęła przekraczać czerwoną kreskę, pierwszy mechanik - zrzędny stary Szkot McGeen - powiesił na nim czapkę.

Kiedy Pitt lądował przymusowo śmigłowcem na płyciźnie koło Fort Jackson, wyszedł z Giordinem i Hogan na brzeg i przedstawił zaistniałą sytuację, McGeen był pierwszym, który głosował za podjęciem pościgu.

Początkowo wszystkich zgromadzonych ogarnęło niedowierzenie, ale gdy zobaczyli ich rany, posiekany pociskami śmigłowiec i usłyszeli, jak zastępca szeryfa mówi o agentach FBI zabitych i rannych parę mil w dole rzeki, McGeen dorzucił węgla pod kotły, Belcheron zgromadził załogę, a czterdziestu ludzi z Szóstego Luizjańskiego Pułku Piechoty wmaszerowało na pokład pokrzykując, klnąc i ciągnąc za sobą dwa staroświeckie działa polowe.

- Dorzucicie węgla, chłopcy - popędzał McGeen. Ze swoją kozią bródką i zaczesanymi do góry krzaczastymi brwiami, w migotliwym blasku palenisk wyglądał jak diabeł. - Jeżeli mamy zamiar ocalić wiceprezydenta, musimy mieć więcej pary! - pokrzykiwał.

„Stonewall Jackson” pędził za pchaczem i barką, zupełnie jakby zdawał sobie sprawę z wagi swojej misji. Kiedy był nowy, jego maksymalną prędkość oceniano na piętnaście mil na godzinę², ale w czasie ostatnich czterdziestu lat nigdy nie musiał rozwijać więcej niż dwanaście. Teraz pędził z prądem w dół rzeki czternaście, potem piętnaście... szesnaście... osiemnaście mil na godzinę. Kiedy wyskoczył z kanału South Pass, gnał już dwadzieścia mil na godzinę, rzygając dymem i iskrami z ozdobnych zwieńczeń kominów.

Ludzie z Szóstego Luizjańskiego - dentyści, hydraulicy, księgowi, którzy w ramach swojego hobby maszerowali i odgrywali bitwy Wojny Domowej - pocili się w szarych i beżowych wełnianych mundurach, noszonych niegdyś przez armię Skonfederowanych Stanów Ameryki. Pod dowództwem majora ze stękanem ustawiali bele bawełny, budując z nich osłonę. Dwa dwunastofuntowe „napoleony”, działa z Fort Jackson, zatoczono na pozycje na dziobie. Ich niegwintowane lufy załadowane były kulkami łożyskowymi wyszabrowanymi z podręcznego magazynku McGeena.

Pitt popatrzył w dół na rosnące umocnienia ze związanych drutem beli. Bawełna przeciwko stali, pomyślał, jednostrzałowe karabiny

² Na wodach śródlądowych prędkość mierzona jest zawsze w milach na godzinę, nigdy w węzłach (przyp. aut.).

przeciwko broni automatycznej.

Zapowiadała się ciekawa walka.

Porucznik Grant oderwał wzrok od niewiarygodnego widoku w dole i połączył się ze statkiem pod brytyjską banderą.

- Zwiad Meteorologiczny Sił Powietrznych zero-cztery-zero do oceanograficznej jednostki badawczej. Słyszycie mnie?

- Jasna sprawa, Jankesie, głośno i wyraźnie rozległ się w odpowiedzi radosny głos, który świetnie brzmiałby na boisku do krykieta. - Tu okręt Jej Królewskiej Mości „Pathfinder”. Czym możemy służyć, zero-cztery-zero?

W odległości około trzech mil na wschód od was wpadł do wody śmigłowiec. Czy możecie podnieść rozbitków, „Pathfinder”?

- Oczywiście. Przecież nie możemy pozwolić tym biedakom utonąć, prawda?

- Będę krążył w rejonie katastrofy. Płyńcie w moim kierunku.

- Dobra. Ruszamy. Bez odbioru.

Grant położył się w wiraż nad pływającymi w wodzie ludźmi. Prąd zatoki był ciepły, nie groziło im więc wychłodzenie, ale krwawiące rany mogły zwabić rekiny.

- Niezbyt się tobą przejęli - oznajmił drugi pilot.

- O co ci chodzi? - spytał Grant.

- Sam zobacz. Zawrócili.

Grant przesunął się do przodu i pochylił samolot tak, aby móc spojrzeć przez przeciwległe okno. Drugi pilot miał rację. Dziób „Pathfindera” odchylał się od kursu prowadzącego w stronę rozbitków i celował prosto w „Stonewalla Jacksona”.

- „Pathfinder”, tu zero-cztery-zero - zawołał Grant do mikrofonu. - Co się z wami dzieje? Powtarzam: co się z wami dzieje?!

Odpowiedzi nie było.

- Jeżeli nie cierpię na jakąś cholerną halucynację - powiedział Metcalf, wpatrując się w monitor - to ten antyk z „Tomka Sawyera” ma

zamiar zaatakować barcę i pchacz.

- Wszystko na to wskazuje - przytaknął Sandecker.

- Skąd on się tu w ogóle wziął?

Admirał stał ze skrzyżowanymi ramionami. Jego twarz promieniała uniesieniem.

- Pitt - mruknął pod nosem - ty cwany, nieodpowiedzialny sukinsynu.

- Mówiłeś coś?

- Tylko myślałem głośno.

- Co oni mają zamiar osiągnąć?

- Chyba chcą wziąć pchacz abordażem.

- Szaleństwo, czyste szaleństwo - burknął ponuro Metcalf. - Strzelcy z pchacza podziurawią ich jak sito.

Nagle Sandecker dostrzegł coś z tyłu na ekranie i zeszywniał. Metcalf i nikt z pozostałych tego nie zauważyli. Admirał schwyił Metcalfa za ramię.

- Brytyjski statek!

Zaskoczony generał uniósł wzrok.

- Co się stało?

- Na Boga, człowieku, zobacz sam. Mają zamiar staranować parowiec.

Metcalf ujrzał, że odległość między obydwoma jednostkami gwałtownie maleje. Pieniący się ślad torowy „Pathfinder” wskazywał wyraźnie, że statek idzie całą naprzód.

- Grant! - ryknął.

- Słucham, panie generale.

- Dlaczego Angole nie płyną w stronę ludzi w wodzie?

- Nie wiem, panie generale. Jego dowódca potwierdził odbiór mojej prośby o ratowanie rozbitków, ale zamiast tego pogonił za tym starym bocznokołowcem. Nie mogę ponownie nawiązać z nim łączności. Nie reaguje na moje wezwania.

- Załatw ich! - zażądał Sandecker od Metcalfa. - Każ wykonać atak lotniczy i załatw tych skurwysynów!

Generał wahał się, nie mogąc podjąć decyzji.

- Ale on przecież ma podniesioną brytyjską flagę, na litość boską!

- Stawiam w zakład mój stopień, że to jednostka Bougainville'ów, a bandera jest tylko kamuflażem.

- Nie możesz mieć pewności.

- Może nie. Ale wiem, że jeżeli rozwali parowiec, zniknie nasza ostatnia szansa ocalenia Vince'a Margolina.

Rozdział 73

Pociski SEAL rozbiły na stanowisku dowodzenia pchacza obudowę konsoli, niszcząc dźwignie operowania sterami. Kapitan Pujon musiał więc zredukować prędkość i żonglować manetkami silników.

Lee Tong nie zwracał na niego uwagi. Pospiesznie wydawał przez radio rozkazy kapitanowi „Pathfindera” i jednocześnie uważnie obserwował rozpędzony parowiec. Wreszcie odwrócił się w stronę Pujona.

- Czy nie może pan rozwinąć poprzedniej prędkości?

- Jeżeli mamy utrzymywać prosty kurs, nie jestem w stanie płynąć prędzej niż osiem węzłów.

- Ile jeszcze? - zapytał Lee Tong po raz dziesiąty w ciągu ostatniej godziny.

- Ze wskazań echosondy wynika, że dno zaczyna się obniżać. Jeszcze dwie mile powinny wystarczyć.

- Dwie mile... - powtórzył z namysłem Lee Tong. - Czas ustawić zapalniki.

- Dam panu znać syreną, kiedy głębokość dojdzie do stu stóp - rzekł Pujon.

Lee Tong popatrzył na ciemne morze, zabarwione osadami Missisipi. Rzekomy statek badawczy dzieliło od kruchej burty „Stonewalla Jacksona” zaledwie kilkaset jardów. Z wiatrem dolatywał potępińczy głos parowych organów. Pokręcił z niedowierzaniem

głową, zastanawiając się, komu zawdzięcza to nagłe i niespodziewane pojawienie się starego parowca.

Miał właśnie opuścić sterówkę i przejść na barcę, kiedy zauważył, że jeden z zataczających w górze kręgi samolotów oderwał się od grupy i zaczął nurkować w stronę morza.

Białoszary szturmowiec F/A 21 wyrównał lot dwieście stóp nad czubkami fal i odpalił dwa pociski powietrze-woda. Odrętwiały z przerażenia Lee Tong widział, jak sterowane laserem rakiety mkną tuż nad powierzchnią wody i wbijają się w czerwony kadłub fałszywego statku badawczego. Pierwszy wybuch zamienił nadbudówki w kłęb poskręcane metalu i zatrzymał „Pathfindera”. Drugi, jeszcze silniejszy, przeobraził statek w kulę ognia, która wydawała się wisieć przez chwilę nieruchomo w powietrzu.

Lee Tong stał, patrząc z rozpaczą, jak zdruzgotany „Pathfinder” powoli przewraca się do góry dnem i tonie, niwecząc wszelkie szanse uciezki.

Płonące szczątki „Pathfindera” spadły jak grad wokół „Stonewalla Jacksona”, powodując kilka niewielkich pożarów, które jednak zostały szybko ugaszone przez załogę. Powierzchnia wody nad zatopionym statkiem poczerniała od wydobywającej się wielkimi bąblami na powierzchnię ropy, a chmura syczącej pary wzbiła się w niebo.

- Chryste Panie! - zawołał zdziwiony Belcheron. - Patrz pan tylko na to! Chłopaki z marynarki traktują sprawę poważnie.

- Ktoś widać nad nami czuwa - odparł Pitt.

Znowu spojrzął na barcę. Twarz miał bez wyrazu i gdyby nie balansował lekko w rytm kołysania się statku, można by go było wziąć za wyciosaną w jednym kawałku drewna rzeźbę. Odległość zmniejszyła się do trzech czwartych mili i Pitt dostrzegł małą postać, która przebiegła z dziobu pchacza na barcę i zniknęła w luku.

Po trapie wspiał się do sterówki potężny mężczyzna. Ubrany był w szary mundur ze złotymi pleciami majora armii konfederackiej. Koszulę pod rozpiętą kurtką miał moką od potu i dyszał ciężko z wysiłku. Stał przez chwilę, wycierając czoło rękawem i próbując złapać

oddech.

Wreszcie odezwał się:

- O rany. Nie wiem, czy wolę umrzeć z kulą w głowie, od utonięcia czy na atak serca.

Leroy Laroche na co dzień prowadził biuro podróży i był kochającym ojcem i mężem, a w weekendy dowodził Szóstym Luizjańskim Pułkiem Piechoty Armii Skonfederowanych Stanów Ameryki. Cieszył się dużą popularnością wśród innych „konfederatów” i co roku wybierano go ponownie, aby prowadził oddział na pola rekonstruowanych bitew w całym kraju. To, że za chwilę stoczy prawdziwą, wcale go nie peszyło.

- Mieliliśmy szczęście, że na pokładzie znalazły się te bele bawełny - powiedział do kapitana.

Belcheron uśmiechnął się.

- Trzymamy je jako historyczne rekwizyty z czasów świetności naszego staruszka.

Pitt spojrzał na Laroche'a.

- Pańscy ludzie są na stanowiskach, majorze?

- Gotowi, pełni piwa Dixie i rwą się do walki - odparł Laroche.

- Jaką bronią dysponują?

- Muszkiet Springfield, kaliber 58. Pod koniec wojny miała je większość konfederatów. Sięgają na odległość pięciuset jardów.

- Jak szybko mogą prowadzić ogień?

- Większość moich chłopców oddaje trzy strzały na minutę, niektórzy cztery. Ale stawiam na barykadzie tylko moich najlepszych strzelców. Pozostali będą ładować.

- A działa? Rzeczywiście można ich użyć?

- Jasne. Puską cementu trafiamy drzewo z odległości pół mili.

- Puską cementu...?

- Tańsza niż prawdziwy pocisk armatni.

Pitt pomyślał chwilę i uśmiechnął się.

- Powodzenia, majorze. Niech pan powie swoim ludziom, żeby się dobrze kryli. Z ładowanego od lufy muszkietu celuje się dłużej niż z

karabinu maszynowego.

- Myślę, że oni sami doskonale wiedzą, jak się chować - odparł Laroche. - Kiedy pan chce, żebyśmy otworzyli ogień?

- Pozostawiam to pańskiej decyzji.

- Przepraszam, panie majorze - wtrącił się Giordino. - Czy któryś z pańskich ludzi ma jakąś dodatkową broń?

Laroche rozpiął wiszącą na pasie skórzaną kaburę i podał Giordinowi potężny kawał żelastwa.

- To rewolwer Le Mat - oznajmił. - Strzela dziewięcioma pociskami kalibru 42 z górnej, gwintowanej lufy. Ale jak pan widzi, pod nią mieści się druga lufa bez gwintu, w której znajduje się ładunek śrutu. Niech pan dba o niego. Mój pradziadek nosił go od Bull Run do Appomattox.

- Nie chciałbym, żeby pan został bez broni - powiedział Giordino.

Laroche wyciągnął szablę z pochwy.

- To mi wystarczy. No cóż, wracam do moich ludzi.

Kiedy potężny major wyszedł ze sterówki, Pitt pochylił się, otworzył futerał na skrzypce, wyjął thompsona i włożył do niego bęben z nabojami. Nagle złapał się za bok i wyprostował ostrożnie. Zacisnął mocno zęby, czując przeszywający ból w klatce piersiowej.

- Będzie pan tu bezpieczny? - spytał Belcherona.

- Nie martw się pan o mnie - odparł kapitan. Ruchem głowy wskazał pękaty żeliwny piecyk. - Kiedy zaczną się fajerwerki, będę miał mój osobisty pancerz.

- Dzięki Bogu! - zawołał Metcalf.

- Za co? - spytał Sandecker.

Metcalf podał mu kawałek papieru.

- Odpowiedź z brytyjskiej admiralicji w Londynie. Jedyne „Pathfinder”, który służy w Royal Navy, jest niszczycielem rakietowym. Nie mają statku badawczego o takiej nazwie. - Spojrzał na Sandeckera. - Dobrze to rozegrałeś, Jim.

- W końcu i my mieliśmy trochę szczęścia.

- Teraz będą go potrzebowały te biedne sukinsyny na parowcu.

- Czy możemy coś jeszcze zrobić? Nie zapomnieliśmy o czymś?

Metcalf pokręcił głową.

- Nie. Kuter Ochrony Wybrzeża będzie tu za piętnaście minut, a atomowy okręt podwodny wkrótce potem.

- W żaden sposób nie zdążą na czas.

- Może ludzie na parowcu zdołają zatrzymać pchacz do chwili... -

Metcalf nie skończył.

- Niezbyt wierzysz w cuda, co, Clayton?

- Nie, chyba nie.

Rozdział 74

Kiedy załoga pchacza zaczęła z odległości trzystu jardów strzelać z broni automatycznej, na „Stonewalla Jacksona” spadł grad ognia. Pociski gwizdały nad głowami, odłupywały drzazgi z lśniącego, pomalowanego na biało drewna nadbudówek, rozrywały ażurową snycerkę relingów i okiennic kabin i z przeraźliwym dzwonieniem rykoszetowały od spiżowego dzwonu okrętowego. Wielka szyba w sterówce rozbryznęła się na srebrzyste fragmenty. Kapitana Belcherona pocisk drasnął w czubek głowy, zalewając siwe włosy czerwienią. W oczach zaczęło mu się двоić, widział niewyraźnie, ale z determinacją trzymał uchwyty wielkiego koła sterowego, co chwila wysyłając przez rozbitą szybę strumień tytoniowego soku.

Chroniony lasem mosiężnych rur organista zaczął grać „Żółtą Różę Teksasu”. Zafałszował kilkakrotnie, gdy w parowych puszczalkach nagle pojawiły się otwory po pociskach.

Na głównym pokładzie major Laroche, jego ludzie, Pitt i Giordino skulili się za osłoną. Bele bawelny chroniły dobrze, żaden pocisk nie zdołał ich przebić. Otwarta kotłownia pod głównymi schodami oberwała najgorzej. Dwaj palacze McGeena byli ranni, podziurawione zostały umieszczone nad głowami rurociągi i para tryskała z nich parzącymi strumieniami. McGeen zdjął czapkę z manometru. Wskazówka stała za czerwoną podziałką. Mechanik odetchnął głęboko. Cud, że kotły nie wyleciały w powietrze. Tkwiące w nich nity niemal

wyłączyły ze swoich gniazd. Szybko zaczął odkręcać zawory spustowe, aby przed nieuchronnym zderzeniem zmniejszyć straszliwe ciśnienie. Koła łopatkowe „Stonewalla Jacksona” wciąż nadawały mu prędkość dwudziestu mil na godzinę. Jeżeli miał umrzeć, przynajmniej nie czekał go los dawnych braci, gnijących gdzieś w zapomnianym rozlewisku albo złomowanych w jakiejś stoczni. Zakończy żywot w wielkim stylu i stanie się legendą.

Lee Tong z ponurą fascynacją patrzył na zbliżający się nieubłagane parowiec. Stał w otwartym luku barki i wypuszczał w stronę statku serię po serii, w nadziei, że trafi jakąś ważną część i zmniejszy jego prędkość. Równie dobrze mógłby jednak strzelać z wiatrówki do szarżującego słonia.

Odłożył na bok karabinek i podniósł do oczu lornetkę. Za barykadą z beli bawełny nie widać było nikogo. Nawet podziurawiona jak sito sterówka sprawiała wrażenie pustej. Złote litery na roztrzaskanej tablicy z nazwą były jeszcze widoczne, ale mógł odczytać tylko jedno słowo: JACKSON.

Płaski dziób skierowany był prosto w lewą burtę pchacza. Pomyślał sobie, że jest to tylko bezsensowny, pusty gest, próba opóźnienia. Mimo większych rozmiarów, drewniany parowiec nie mógł wyrządzić poważniejszych szkód stalowemu kadłubowi pchacza.

Ponownie uniósł steyra-mannlichera, włożył następny magazynek i w nadziei, że uda mu się uszkodzić coś istotnego, skoncentrował ogień na sterówce.

Sandecker i Metcalf również patrzyli.

Siedzieli urzeczeni niezwykłością tego skazanego na niepowodzenie gestu. Próbowano nawiązać kontakt radiowy z parowcem, ale odpowiedzi nie było. Kapitan Belcheron był zbyt zajęty, żeby odpowiedzieć, a poza tym uważał, że i tak nie ma nic ciekawego do powiedzenia.

Metcalf wezwał porucznika Granta.

- Niech pan krąży bliżej - polecił.

Grant potwierdził odbiór i wykonał kilka ciasnych wiraży nad statkami. Wszystko, co działo się na pchaczu, było wyraźnie widoczne. Prawie trzydziestu ludzi jego załogi bez przerwy prowadziło ogień. Parowiec natomiast przesłonięty był dymem strzelającym z kominów i wielkimi kłębamii pary wyrzucanej zaworami bezpieczeństwa znajdującymi się za sterówką.

- Jeżeli staranuje pchacz, rozpadnie się na kawałki - powiedział Sandecker.

- To wspaniałe, ale zupełnie bezcelowe - mruknął Metcalf.

- Bądź sprawiedliwy. Robią więcej, niż my jesteśmy w stanie.

Metcalf powoli skinął głową.

- Tak, trzeba im to przyznać.

Sandecker wstał z fotela i wskazał dłonią.

- Kiedy wiatr zwieje na bok dym, popatrz na parowiec o tu, w to miejsce.

- Co to takiego?

- Czy to nie dwie armaty?

Metcalf ożywił się.

- Na Boga, masz rację. Wyglądają jak ozdoby z miejskiego parku.

Kiedy do pchacza zostało dwieście jardów, Laroche uniósł szablę i wrzasnął:

- Baterie pierwsza i druga, szykuj się! Celuj! Podsyp zapal!

- Bateria pierwsza. Zapal podsypany. Działo wycelowane - odpowiedział mężczyzna w staroświeckich drucianych okularach.

- Bateria druga gotowa, majorze.

- No to ognia!

Szarpnięto sznury spustowe i dwa staroświeckie działa wypluły z ogłuszającym grzmotem sporządzone z kulek łożyskowych ładunki kartaczy. Pierwszy strzał przebił burtę pchacza, zdemolował kambuz i zniszczył piec. Drugi wleciał do sterówki, pozbawił kapitana Pujona

głowy i doszczętnie rozbił konsolę sterowniczą. Oszołomieni niespodziewaną nawałą artyleryjską ludzie Lee Tonga na kilka sekund osłabili ogień, ale po chwili ochłonęli i zaczęli strzelać ze wzmożoną zaciekłością. Celowali przede wszystkim w wąskie szczeliny między belami bawełny, z których sterczały lufy armat. Działa cofnięto, artylerzyści szybko przetarli je wyciorami i zaczęli ładować ponownie. Pociski gwizdały nad ich głowami i ramionami, jeden z artylerzystów został trafiony w kark. Ale w ciągu niecałej minuty stare „napoleony” znów były gotowe do otwarcia ognia.

- Celujcie w liny! - krzyknął Pitt. - Odetnijcie barkę!

Laroche skinął głową i przekazał polecenie Pitta dalej. Znowu wysunięto działa i następna salwa omiotła dziób pchacza. Zwinięte liny rozleciały się na wszystkie strony, ale mocowania pozostały nie naruszone.

Niedzielni żołnierze z zimną krwią unieśli swoje jednostrzałowe muszkiety i czekali na rozkaz otwarcia ognia. Statki dzieliło zaledwie sto jardów, kiedy Laroche ponownie uniósł szablę.

- Pierwszy szereg, celuj! Dobra, chłopaki, dopieprzcie im. Pal!

Przednia część parowca eksplodowała straszliwą ulewą dymu i ognia. Na pchacz runął tworzący niemal jednolitą ścianę strumień pocisków ze starych springfieldów. Rezultaty były nieprawdopodobne. Szkło w iluminatorach i oknach rozlatywało się w pył, od grodzi odskakiwały całe płyty farby i wszędzie naokoło zaczęły padać ciała, zalewając pokłady krwią.

Zanim strzelcy Lee Tonga zdążyli dojść do siebie, Pitt przeciągnął śmiertcioną serią thompsona od dziobu po rufę pchacza. Skulony za barykadą Giordino czekał, aż odległość zmniejszy się na tyle, by mógł użyć thompsona, i obserwował z fascynacją, jak drugi i trzeci szereg wykonuje skomplikowane czynności ładowania muszkietów.

Ogień konfederatów był morderczy. Salwa padała za salwą i prawie co drugi pocisk trafiał w ludzi z załogi przeciwnika. Dym i huk salw przesywały krzyki rannych. Porwany walką Laroche wydawał komendy i kłął co sił w płucach, rozkazując snajperom, by celowali

staranniej, a ładującym broń, by robili to jeszcze szybciej.

Minęła minuta, druga, potem trzecia i walka osiągnęła swój szczytowy punkt. Na „Jacksonie” wybuchł pożar i płomienie zaczęły wspinać się po jego drewnianych nadbudówkach. Kapitan Belcheron szarpnął w sterówce za sznur syreny i przez rurę głosową, która prowadziła do maszynowni, wezwał McGeena do wyjścia na pokład. Strzelcy przerwali ogień i każdy schwycił się czegoś, szykując się do mającego nastąpić zderzenia.

Kiedy ucichł grzechot karabinów i przeraźliwe dźwięki organów parowych, na parowcu zapadła niesamowita cisza. Statek przypominał boksera, który zebrał straszliwe cięgi od o wiele mocniejszego przeciwnika i choć pozornie nie jest w stanie znieść ich więcej, sięgnął jednak do jakichś wewnętrznych rezerw, aby zadać ostatni, nokautujący cios.

„Stonewall Jackson” z łoskotem uderzył pchacz prosto w śródkręcie. Wstrząs przewrócił ułożoną z bel bawełny barykadę, wgniatając dziób parowca na sześć stóp i miażdżąc poszycie i wręgi, jakby były z kartonu. Oba kominy upadły do przodu, rozsiewając iskry i zasnuwając dymem pole walki, która szybko stała się równie zażarta jak poprzednio. Lina podtrzymująca schodnię przepaliła się i pomost opadł na pokład pchacza jak gigantyczny pazur, który szczepił obie jednostki.

- Bagnet na broń! - zawołał Laroche.

Ktoś rozwinął sztandar pułku i zaczął machać nim w powietrzu. Żołnierze załadowali broń i nałożyli bagnety. Człowiek, który grał na organach parowych, wrócił na swój posterunek i znowu podjął melodię „Dixie”. Pitt był zdziwiony, widząc, że nikt nie okazuje strachu. Panował nastrój ogólnego, wyzwolonego spod jakiejkolwiek kontroli szaleństwa.

Laroche zerwał z głowy kapelusz, zatknął go na ostrzu szabli i podniósł do góry.

- Szósty Luizjański! - zawołał. - Na nich!

Umundurowani na szaro mężczyźni, wyjąc jak banda potępieńców, runęli na pokład pchacza. Laroche został ranny w brodę i kolano, ale

kulejąc szedł do przodu. Pitt do ostatniego naboju osłaniał atakujących ogniem. Potem odłożył pistolet maszynowy na belę bawełny i pobiegł za Giordinem, który oszczędzając ranną nogę kuśtykał po schodni i strzelał jak szaleniec. McGeen i jego palacze podążali za nim, wywijając szuflami w powietrzu.

Ludzie Bougainville'ów byli najemnymi, bezwzględnymi zabójcami, którzy nie okazywali ani nie oczekiwali łaski - nie byli jednak przygotowani na ten niewiarygodny szturm żołnierzy Południa. Wyskakując zza chroniących ich stalowych grodzi i stając do walki wręcz popełnili błąd.

Artylerzyści „Stonewalla Jacksona” oddali ostatnią salwę do pchacza i ich pociski zerwały liny łączące go z barką. Dwie jednostki o stalowych kadłubach, rozepchnięte przez wciąż pracy naprzód parowiec, zakleszczyły się wokół jego zdruzgotanego dziobu. Szósty Luizjański atakiem na bagnety i śmiercionośnym ogniem oczyścił pokład pchacza. Wywiązało się kilka pojedynków wręcz, w których pięciostopowy muszkiet z dwustopowym bagnetem okazał się wyjątkowo groźną bronią. Żaden z niedzielnych żołnierzy nie zatrzymał się nawet przez chwilę. Walczyli z niesamowitym brakiem rozwagi, zbyt pochłonięci bitewnym szaleństwem, aby odczuwać strach.

Giordino nie poczuł uderzenia. Podążał w stronę kabin załogi, strzelając do każdej pojawiającej się twarzy o azjatyckich rysach, i nagle upadł jak długi, kiedy pocisk przestrzelił mu piszczel zdrowej nogi.

Pitt schwycił go pod pachy i zaciągnął do pustego korytarza.

- Nie jesteś kuloodporny - powiedział.

- Gdzieś ty się podziewał? - głos Giordina zdradzał nasilający się ból.

- Trzymałem się na uboczu - odparł Pitt. - Nie mam broni.

Giordino podał mu rewolwer.

- Weź go. Ja i tak jestem już wyłączony do końca dnia.

Pitt uśmiechnął się do przyjaciela kącikiem ust.

- Przykro mi, że cię opuszczam, ale muszę iść na barkę.

Giordino otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Pitt już zniknął.

Dziesięć sekund później przedzierał się przez rumowisko na dziobie pchacza. Niemal się spóźnił. Nad zrębnicą luku ukazała się głowa i ramiona i rozległa się seria strzałów. Pitt na włosach i policzku poczuł podmuch przelatujących pocisków. Upadł pod reling i stoczył się do morza.

Na rufie ludzie Bougainville'ów bronili się rozpaczliwie, cofając się krok po kroku, aż wreszcie pochłonęła ich fala szarych mundurów. Krzyki i strzały stawały się coraz rzadsze, i po chwili ucichły zupełnie. Sztandar konfederatów zawisnął na antenie radiowej pchacza i walka się skończyła.

Żołnierze-amatorzy z Szóstego Luizjańskiego Pułku sprawili się niezwykle dobrze. Zadziwiające, ale żaden z nich nie zginął w potyczce. Osiemnastu było rannych, lecz tylko dwóch ciężko. Laroche wyłonił się spośród swoich wiwatujących żołnierzy i opadł na pokład obok Giordina. Wyciągnął rękę i obaj krwawiący mężczyźni z powagą uścisnęli sobie dłonie.

- Gratuluję, panie majorze - powiedział Giordino. - Właśnie zwyciężył pan w dogrywce...

Na zakrwawionej twarzy Laroche'a pojawił się szeroki uśmiech.

- Jak Boga kocham, dokopaliśmy im, co?

Lee Tong opróżnił cały magazynek do mężczyzny na dziobie pchacza i zobaczył, że tamten wpada do wody. Potem oparł się ciężko o zrębnicę luku i patrzył, jak konfederacka flaga trzepocze na wietrze.

Nieoczekiwaną klęskę, z którą spotkała się jego starannie przygotowana operacja, przyjął z odrętwiałym spokojem. Jego załoga poległa albo została wzięta do niewoli, a statek, którym miał uciec, zniszczono. Nie miał jednak zamiaru sprawić przyjemności nieznanemu przeciwnikowi poddając się. Postanowił doprowadzić do końca umowę babki z Moranem. Dopiero potem próbuje uciec.

Drabinką umocowaną z boku szybu windy zszedł do pomieszczeń laboratorium, a następnie pobiegł głównym korytarzem do drzwi sali z kokonami izolacyjnymi. Wszedł do środka i zerknął przez pokrywę z plastyku na leżące wewnątrz pierwszego pojemnika ciało. Vince

Margolin patrzył na niego. Mięśnie miał zbyt zdrętwiałe, żeby się poruszyć, umysł zbyt oszołomiony narkotykami, żeby cokolwiek pojmować.

Lee Tong podszedł do następnego kokonu i spojrzał na spokojną twarz uśpionej Loren Smith. Znajdowała się pod wpływem silnych środków uspokajających i była nieprzytomna. Pomyślał, że jej śmierć byłaby marnotrawstwem. Ale nie można było pozwolić, żeby żyła i złożyła zeznania. Pochylił się, otworzył pokrywę i patrząc na nią przez półprzymknięte powieki, pogłaskał jej włosy.

Zabił niezliczoną ilość ludzi i natychmiast zapominał ich rysy. Ale twarze kobiet pozostały. Pamiętał pierwszą - tak dawno temu na trampie na środku Pacyfiku - i prześladowający go do tej pory wyraz zdziwienia, malujący się w jej oczach, kiedy jej owiązane łańcuchem nagie ciało wyrzucano za burtę.

- Masz tu sympatyczny lokal - rozległ się głos od strony drzwi. - Ale winda nie działa.

Lee Tong odwrócił się i spojrzał na ociekającego wodą mężczyznę, który stał, celując mu w pierś z antycznego rewolweru.

- To ty?! - zawołał zaskoczony.

Na zmęczonej, wychudłej i nie ogolonej twarzy Pitta pojawił się uśmiech.

- Lee Tong Bougainville. Cóż za zbieg okoliczności...

- Ty żyjesz?

- Jak widzisz.

- To ty jesteś odpowiedzialny za wszystko - za tych szaleńców w szarych mundurach, parowiec...

- Najlepsze, co mi się udało zorganizować w tak krótkim czasie - odparł Pitt przepraszającym tonem.

Lee Tong poczuł, że całkowite oszołomienie, które ogarnęło go na chwilę, mija. Powoli zacisnął wskazujący palec na języku spustowym steyra-mannlichera, opuszczonego lufą w stronę pokrytej dywanem podłogi.

- Dlaczego prześladowuje pan moją babkę i mnie, panie Pitt? - zapytał,

próbując zyskać na czasie. - Dlaczego robi pan wszystko, żeby zniszczyć Linie Żeglugowe Bougainville?

- To brzmi zupełnie tak, jakby Hitler pytał, dlaczego alianci dokonali inwazji w Europie. Jesteście odpowiedzialni za śmierć mojej przyjaciółki.

- Kogo?

- To nie ma znaczenia - stwierdził obojętnym tonem Pitt. - Nigdy jej nie spotkałeś.

Lee Tong podrzucił do góry lufę karabinu i pociągnął za spust.

Pitt był szybszy, ale Giordino wystrzelał wszystkie naboje i kurek rewolweru spadł na pustą komorę. Dirk zamarł, czekając na uderzenie pocisku. Nie nastąpiło jednak.

Lee Tong uświadomił sobie, że zużył poprzedni magazynek i zapomniał włożyć nowy. Opuścił karabinek, krzywiąc wargi w sarkastycznym uśmiechu.

- Wygląda na to, że mamy pat - stwierdził.

- Tylko chwilowo - odparł Pitt. - Moi ludzie lada chwila wejdą na pokład.

Lee Tong westchnął i rozluźnił się.

- W takim razie mogę tylko poddać się i czekać na aresztowanie.

- Nigdy nie staniesz przed sądem.

Uśmiech Koreańczyka przerodził się w grymas.

- Nie ty będziesz o tym decydował. A poza tym nie jesteś w sytuacji...

Nagle obrócił karabin, schwycił go za lufę i uniósł w górę jak maczugę. Kolba spadała już w dół szerokim łukiem, kiedy Pitt nacisnął spust i trafił Lee Tonga w gardło ładunkiem śrutu. Karabin zamarł w powietrzu i wypadł z rąk Koreańczyka, który zatoczył się do tyłu, uderzył o grodz i opadł ciężko na pokład.

Pitt nie interesował się nim więcej. Delikatnie wyjął Loren z kokonu i zaniósł do otwartej windy. Sprawdzał bezpieczniki, zobaczył, że są w porządku, ale mimo to silniki nie włączały się, kiedy przyciskał guzik „Do góry”.

Nie mógł wiedzieć, że wyczerpało się paliwo prądnic wytwarzających na barce elektryczność. Generatory wyłączyły się i baterie oświetlenia awaryjnego dostarczały prąd tylko do lamp podsufitowych. Przeszukał składzik i znalazł w nim kawałek liny, którą zawiązał pod pachami Loren. Potem przecisnął się przez luk w suficie kabiny windy i po metalowej drabince wspiął się na pokład barki.

Powoli, delikatnie opuścił Loren na przerdzewiały pokład. Zmęczony, odpoczywał minutę, łapiąc oddech i rozglądając się. „Stonewall Jackson” wciąż palił się gwałtownie, ale walczone z pożarem, wykorzystując węże pożarnicze na pchaczu. W odległości mniej więcej dwóch mil na zachód kuter Ochrony Wybrzeża rozcinał fale, podążając w ich kierunku, a na południu rysował się ledwo widoczny kształt kiosku okrętu podwodnego o napędzie nuklearnym.

Pitt zabezpieczył Loren przed spadnięciem do wody, przywiązując ją kawałkiem liny do knagi, i wrócił pod pokład. Kiedy ponownie wszedł do pomieszczenia z kokonami, zobaczył, że Lee Tong zniknął. Przez korytarz ciągnął się krwawy ślad, który ginął w otwartym luku prowadzącym na dół, do części magazynowej. Nie widział powodu, żeby tracić czas na umierającego mordercę, i zabrał się do ratowania wiceprezydenta.

Zanim zrobił dwa kroki, potworna eksplozja wyrzuciła go do góry i cisnęła na odległość dwudziestu stóp w głąb korytarza. Wstrząs odebrał mu oddech, a dzwonienie w uszach zagłuszyło szum morza, wdzierającego się przez dziurę wydartą w kadłubie barki.

Niezgrabnie stanął na czworakach. W miarę jak znikająca mgła zasnuwająca mu wzrok, zaczął uświadamiać sobie, co się stało. Lee Tong zdetonował przed śmiercią ładunek wybuchowy. Woda zaczynała już zalewać podłogę korytarza.

Pitt z wysiłkiem wstał i jak pijany wtoczył się do pomieszczenia z kokonami. Wiceprezydent spojrzał na niego i próbował coś powiedzieć, ale zanim zdążył wydać jakiś dźwięk, Pitt przerzucił go sobie przez ramię i zaczął iść w stronę windy.

Sięgająca mu do kolan woda chlupotała o ściany korytarza.

Wiedział, że tylko sekundy dzielił barkę od zatonięcia. Kiedy dotarł do otwartej windy, woda sięgała mu już do piersi i właściwie na pół wszedł, na pół wpłynął do kabinki. Przepchnął Margolina przez luk w suficie, potem przycisnął go do piersi i po żelaznej drabinie zaczął wspinać się w kierunku małego kwadratu błękitnego nieba, który wydawał się znajdować w odległości wielu mil.

Przypomniał sobie, że przywiązał Loren do pokładu, chcąc zabezpieczyć ją przed stoczeniem się do morza. Przez głowę przepłynęła mu koszmarna myśl, że kiedy barka zatonie, pociągnie ją ze sobą na dno.

Widział pianę podnoszącą się szybem windy i każdą cząstką woli walczył o ocalenie życia Margolina i Loren. Miał wrażenie, że ktoś wrywa mu ramiona ze stawów. Przed oczyma migotały mu białe punkty, a ból w pękniętych żebrach zmienił się w potworną mękę.

Nagle dłoń ześlizgnęła mu się na złuszczonej rdzy i niemal poleciał do tyłu, w wodę kłębiącą się u jego stóp. Tak łatwo było się poddać, zapaść w mrok i uwolnić od cierpień szarpiących ciało. Ale nie poddawał się. Klamra po klamrze pięł się w górę, choć bezwładne ciało Margolina ciążyło mu coraz bardziej.

Słuch powoli powracał - dobiegł go dziwny, miarowy dźwięk. Barka zadygotała. Widać było, że za chwilę pójdzie na dno.

Nieoczekiwanie nad Pittem pojawił się czarny kształt, a potem jego wyciągnięta ręka natrafiła na czyjąś dłoń.

Rozrachunki

Liftonic QW-607

Rozdział 75

Przewodniczący Izby Reprezentantów Alan Moran czekał na ostateczny wynik toczącego się w Senacie procesu. Z pewnym siebie uśmiechem spacerował po Sali Wschodniej Białego Domu, rozmawiając ze swoimi współpracownikami i najbliższymi doradcami.

Powitał niewielką grupkę przywódców partyjnych, a potem odwrócił się i przeprosił zebranych, widząc wchodzącego do pokoju Sekretarza Stanu Douglasa Oatesa i Sekretarza Obrony Jesse Simmonsa. Podszedł do nich i wyciągnął rękę, ale Oates zignorował ten gest.

Moran wzruszył ramionami.

- No cóż, widzę, że nie ma pan ochoty wielbić Cezara, ale nie modli się też pan o jego śmierć.

- Przypomniał mi pan pewien stary gangsterski film, który widziałem w dzieciństwie - odparł lodowatym tonem Oates. - Tytuł doskonale pasuje.

- O, doprawdy? A jaki to był film?

- „Mały Cezar”.

Uśmiech Morana przekształcił się w groźny grymas.

- Czy przyniósł pan rezygnację?

Oates wysunął z wewnętrznej kieszeni marynarki rąbek koperty.

- Mam ją przy sobie.

- No to ją pan zatrzymaj! - warknął Moran. - Nie dam panu satysfakcji i nie pozwolę, żeby wykręcił się pan z tego sianem. Dziesięć

minut po złożeniu przysięgi zwołuję konferencję prasową. Zapewnię naród o spokojnym objęciu przeze mnie urzędu, a potem mam zamiar oznajmić, że pan i cała reszta gabinetu zawiązaliście spisek, który miał na celu ustanowienie dyktatury. Moim pierwszym krokiem na nowym stanowisku będzie usunięcie całej waszej bandy.

- Nie spodziewaliśmy się niczego innego. Prawość nigdy nie była pańską cechą charakteru.

- Nie było żadnego spisku, i pan dobrze o tym wie - dodał ze złością Simmons. - Prezydent był ofiarą sowieckiego planu przejęcia kontroli nad Białym Domem.

- To nie ma znaczenia - oświadczył Moran. - Zanim prawda wyjdzie na jaw, wasza bezcenna reputacja przepadnie. Nigdy więcej nie będziecie już pracowali w Waszyngtonie.

Zanim Oates zdążył odpowiedzieć, do Morana podbiegł jego współpracownik i powiedział mu coś na ucho. Przewodniczący Izby obrzucił swoich wrogów pełnym jadu spojrzeniem, po czym odwrócił się. Potem przeszedł na środek pokoju i uniósł dłoń, prosząc o ciszę.

- Panie i panowie oznajmił. Właśnie powiadomiono mnie, że Senat wymaganą większością dwóch trzecich głosów przyjął postawiony wniosek. Poprzedni prezydent nie pełni już więc swojego urzędu, wakuje również stanowisko wiceprezydenta. Nadeszła pora, abyśmy doprowadzili nasz dom do porządku i zaczęli wszystko od nowa.

Przewodniczący Sądu Najwyższego Nelson O'Brien wstał z fotela, poprawił czarną togę i odchrząknął. Wszyscy stłoczyli się wokół Morana, któremu jego sekretarz podał Biblię.

W tej samej chwili w bocznych drzwiach stanęli Sam Emmett i Dan Fawcett. Zauważyli Oatesa z Simmonsem i podeszli do nich.

- Jest coś? - zapytał z niepokojem Oates.

Emmett pokręcił głową.

- Nic. Generał Metcalf zarządził blokadę łączności. Nie byłem w stanie dodzwonić się do Pentagonu i dowiedzieć się, dlaczego.

- W takim razie wszystko stracone.

Żaden z nich nie powiedział ani słowa. Odwrócili się jednocześnie i

z bezsilną wściekłością patrzyli, jak Moran kładzie lewą rękę na Biblii i unosi prawą dłoń, aby złożyć przysięgę.

- Proszę powtarzać za mną - rozpoczął sędzia O'Brien głosem przypominającym odgłos werbla. - Ja, Alan Robert Moran, przysięgam uroczyście, że będę sumiennie spełniać obowiązki prezydenta Stanów Zjednoczonych...

Nagle za plecami Oatesa zapadła cisza. Moran przestał powtarzać słowa wypowiedane przez przewodniczącego Sądu Najwyższego. Zdziwiony Sekretarz Stanu odwrócił się i spojrzał na tłum. Wszyscy jak zaczarowani patrzyli na wchodzącego wiceprezydenta Margolina. Przed nim kroczył Oskar Lucas, a po jego bokach szli generał Metcalf i admirał Sandecker.

Uniesiona dłoń Morana opadła, jego twarz zszarzała jak popiół. W martwej ciszy, która ogarnęła cały pokój, Margolin przeszedł wśród rozstępujących się przed nim oszołomionych zebranych i stanął koło sędziego O'Briena. Spojrzał zimno na Morana, a potem uśmiechnął się do pozostałych.

- Dziękuję za próbę generalną - powiedział ciepło. - Sądzę, że teraz kolej na mnie.

Rozdział 76

13 sierpnia 1989 roku

Nowy Jork

Sal Casio obserwował obszerny hol World Trade Center, gdy przez drzwi przeszedł powoli Pitt. Casio popatrzył na niego z nie skrywanym podziwem. Nie pamiętał, żeby widział kiedyś człowieka, który znajdowałby się w stanie tak krańcowego wyczerpania.

Pitt posuwał się zmęczonym krokiem ciężko doświadczonego człowieka. Miał na sobie o dwa numery za mały pożyczony sweter. Prawa ręka zwisała mu bezwładnie, lewą przyciskał do piersi, jakby próbując coś przytrzymać, a na twarzy malował się grymas, który był dziwnym połączeniem triumfu i cierpienia. Oczy płonęły mu ponurym ogniem, w którym Casio odczytał pragnienie zemsty.

- Cieszę się, że zdołałeś przybyć - powiedział detektyw, nie wspominając nawet o wyglądzie Pitta.

- To twoje przedstawienie - odparł Pitt. - Ja tu jestem tylko na przyczepkę.

- Będzie najwłaściwiej, jeżeli zakończymy tę sprawę razem.

- Doceniam twoją uprzejmość. Dziękuję.

Casio odwrócił się i zaprowadził Pitta do prywatnej windy. Wyjął z kieszeni niewielkiego pilota, wybrał odpowiedni kod i drzwi się otworzyły. W środku kabiny leżał nieprzytomny strażnik, związany

sznurem do bielizny. Casio przeszedł nad nim i otworzył drzwiczki z polerowanego brązu, osłaniające tablicę sterowniczą z wygrawerowanymi na niej słowami LIFTONIC QW-607. Ustawił parametry i przycisnął guzik z liczbą „100”. Winda pędziła w górę jak rakieta i Pitt trzykrotnie przełykał ślinę, żeby odblokować uszy. Wreszcie zwolniła i drzwi się otworzyły. Za nimi znajdował się bogato umeblowany sekretariat Linii Żeglugowych Bougainville.

Casio przeprogramował pilotem obwody windy, po czym odwrócił się i wyszedł.

- Przyszliśmy porozmawiać z panią Min Koryo - oznajmił tonem światowca siedzącej za biurkiem młodej Azjatce.

Sekretarka przyjrzała się im podejrzliwie, zwracając uwagę zwłaszcza na Pitta, a potem otworzyła oprawny w skórę notatnik.

- Nie widzę w dzisiejszym rozkładzie dnia pani Bougainville żadnego wieczornego spotkania.

Na twarzy Casia pojawił się wyraz urażonej niewinności.

- Jest pani pewna? - zapytał i przechylił się przez biurko, zaglądając do terminarza.

Wskazała pustą stronę.

- Tu nic nie ma...

Casio uderzył ją w kark kantem dłoni i dziewczyna poleciała do przodu, uderzając głową i ramionami o biurko. Sięgnął jej pod bluzkę i wyjął mały pistolet kalibru 25.

- Nie wyglądała na to - zwrócił się do Pitta - ale jest tu strażnikiem.

Rzucił pistolet Pittowi i ruszył dalej korytarzem, na którego ścianach wisiały obrazy przedstawiające statki Linii Żeglugowych Bougainville. Pitt rozpoznał „Pilottown” i jego spięta twarz stężała. Wszedł za prywatnym detektywem po palisandrowych spiralnych schodach, które prowadziły do apartamentów piętro wyżej. Na górnym podejściu Casio natknął się na wychodzącą właśnie z łazienki następną młodą Azjatkę. Miała na sobie jedwabną piżamę i kimonową bluzę.

Jej oczy rozszerzyły się i błyskawicznym wypadem usiłowała kopnąć Casia w pachwinę. Przewidział ten atak i zrobił lekki unik,

przyjmując cios na biodro. Dziewczyna natychmiast przyjęła klasyczną pozycję judo i zadała mu kilka szybkich uderzeń w głowę. Z równym skutkiem mogłaby zaatakować pień dębu. Casio otrząsnął się tylko, pochylił i rzucił do przodu jak atakujący rugbista. Z kocią gracją odskoczyła w lewo, ale trafiona barkiem straciła równowagę. Wtedy detektyw wyprostował się i przełamał jej gardę lewym podbródkowym, który nieomal urwał dziewczynie głowę. Stopy Azjatki oderwały się od podłogi i wleciała na wielką wagę z dynastii Sung, rozbijając ją w pył.

- Umiesz postępować z kobietami - zauważył Pitt.

- Mamy szczęście, że wciąż potrafimy robić parę rzeczy lepiej od nich.

Casio gestem przywołał Pitta do dużych podwójnych drzwi rzeźbionych w smoki i otworzył je cicho. Oparta na poduszkach Min Koryo siedziała w swoim wielkim łożu i wertowała stos dokumentów.

Przez chwilę obaj mężczyźni stali nieruchomo w milczeniu, czekając, aż starsza pani podniesie wzrok i zauważy ich obecność. Wyglądała tak żałośnie i krucho, że prawie każdy by się zawahał. Ale nie Pitt i Casio.

Wreszcie zdjęła okulary do czytania i spojrzała na nich. W jej oczach nie było lęku, jedynie szczere zaciekawienie.

- Kim jesteście? - spytała po prostu.

- Nazywam się Sal Casio. Jestem prywatnym detektywem.

- A ten drugi mężczyzna?

Pitt wyszedł z cienia i stanął w świetle rzucanym przez lampy wiszące nad łożkiem.

- Sądzę, że pani mnie zna.

W jej głosie pojawił się lekki ton zaskoczenia, ale nic poza tym.

- Pan Dirk Pitt.

- Tak.

- Po co panowie przyszliście?

- Jesteś ohydny pasażerem, który wysał życie z niezliczonych istnień ludzkich, aby zbudować swoje brudne imperium. Jesteś odpowiedzialna za śmierć mojej bliskiej przyjaciółki, a także za śmierć

córki Sala. Próbowalaś mnie zabić i jeszcze mnie pytasz, dlaczego tu jestem?

- Pan się myli, panie Pitt. Nie jestem winna żadnej z tych zbrodni. Moje ręce są czyste.

- To puste słowa. Żyjesz w muzeum wschodniej sztuki, odgradzona od zewnętrznego świata, podczas gdy twój wnuk wykonuje za ciebie całą brudną robotę.

- Powiedział pan, że jestem odpowiedzialna za śmierć pańskiej przyjaciółki?

- Została zabita przez groźną substancję, którą ukradłaś rządowi i porzuciłaś na „Pilottown”.

- Bardzo mi przykro z tego powodu - powiedziała łagodnie. - A pan, panie Casio? W jaki sposób obciąża mnie śmierć pańskiej córki?

- Została zamordowana razem z załogą tego samego statku. Tylko wtedy nazywał się jeszcze „San Marino”..

- Tak, pamiętam - odparła Min Koryo, odrzucając wszelkie pozory. - Dziewczyna ze skradzionymi pieniędzmi.

Pitt patrzył badawczo na twarz starej kobiety. Jej oczy były żywe i błyszczące, skórę miała gładką, z zaledwie drobnymi śladami zmarszczek. Kiedyś musiała być piękną kobietą. Ale pod tą maską krył się jad.

- Przypuszczam, że zniszczyłaś już tyle istnień - powiedział - iż uodporniło cię to na ludzkie cierpienia. Zagadką pozostaje jedynie fakt, jakim cudem tak długo uchodziło ci to płazem.

- Przyszliście mnie aresztować? - spytała.

- Nie - odparł twardo Casio. - Żeby cię zabić.

Jej przenikliwe oczy rozbłysły na moment.

- Moja straż wejdzie lada chwila.

- Już wyeliminowaliśmy strażniczkę w recepcji i tę przed drzwiami. A jeśli chodzi o innych... - Casio wskazał palcem umocowaną nad łóżkiem kamerę telewizyjną - to chcę powiedzieć, że zamieniłem taśmy. Twoi goryle przy monitorach obserwują to, co działo się w twojej sypialni przed tygodniem.

- Mój wnuk was dopadnie i będziecie długo umierać.

- Lee Tong nie żyje - powiedział Pitt, rozkoszując się każdą sylabą.

Twarz starej kobiety zmartwiała, krew z niej odpłynęła i skóra stała się bladożółta, ale Pitt doszedł do wniosku, że nie spowodował tego wstrząs. Min Koryo czekała, na coś czekała.

- Nie wierzę - stwierdziła wreszcie.

- Zastrzeliłem go i utonął razem z barką-laboratorium.

Casio podszedł do krawędzi łóżka.

- A teraz musisz pójść z nami.

- Czy mogę się dowiedzieć, dokąd mnie zabieracie? - Jej głos wciąż był łagodny, przymrużone oczy patrzyły ze skupieniem.

Żaden z nich nie zauważył, że jej prawa ręka poruszyła się pod kołdrą.

Pitt na dobrą sprawę nigdy nie uświadomił sobie, dlaczego wykonał instynktowny ruch, który ocalił mu życie, ale kiedy znad wezgłowia jej łóżka trysnął nagle strumień światła, nurkował właśnie w stronę podłogi.

Potoczył się w bok, wyciągając pistolet spod kurtki. Kątem oka widział, jak promień lasera omiata pokój, przecinając meble, zasłony i tapety cienkim jak igła strumieniem energii. Pistolet już tkwił w jego dłoni, plując ogniem w kierunku śmiertelnego zagrożenia. Po czwartym strzale promień mrugnął i zniknął.

Casio ciągle stał. Wyciągnął rękę w stronę Dirka, potem zachwiał się i upadł. Laser rozciął mu brzuch jak skalpel chirurga. Sal przewrócił się na plecy i otworzył oczy. Od śmierci dzieliły go zaledwie sekundy, chciał coś powiedzieć, ale nie mógł znaleźć słów.

Stary detektyw uniósł głowę i powiedział świszczącym szeptem:

- Winda... kod cztery jeden jeden sześć. - Potem jego oczy nagle stały się szkliste i bez życia. Oddech ustał.

Pitt wyjął pilota z kieszeni Casia, wstał i skierował lufę pistoletu prosto w serce Min Koryo. Na jej twarzy w dalszym ciągu malował się nieustraszony uśmiech. Pitt opuścił broń, sięgnął pod kołdrę i bez słowa przeniósł starą kobietę z łóżka na fotel inwalidzki. Nie próbowała

stawiać oporu, nie odezwała się ani słowem. Siedziała w milczeniu, drobna i zasuszona, gdy wypchnął fotel na korytarz i małą windą zjechał razem z nią na piętro biurowe. Kiedy dotarli do recepcji, zauważyła nieprzytomną strażniczkę i uniosła wzrok.

- I co teraz, panie Pitt?

- Ostateczny koniec Linii Żeglugowych Bougainville - odparł. - Jutro twoje brudne interesy zostaną zamknięte. Obiekty sztuki azjatyckiej pójdą do muzeum, cała flotylla statków zostanie sprzedana. Od tej pory nazwisko Bougainville stanie się tylko wspomnieniem w mikrofilmach archiwum prasowego. Nie będzie żadnych krewnych i znajomych, którzy by cię oplakiwali. Ja sam zadbam, żeby pochowali cię w grobie dla włóczędów, bez żadnego napisu.

To w końcu przebiło pancerz obojętności i na jej twarzy pojawiła się paląca nienawiść.

- A pańska przyszłość, panie Pitt?

Uśmiechnął się.

- Mam zamiar wyremontować samochód, który mi rozwaliliście.

Uniosła się w fotelu i splunęła na Dirka. Nawet nie próbował otrzeć śliny. Po prostu stał i uśmiechał się zimno, patrząc na Min Koryo, która wreszcie dała upust swej wściekłości i zaczęła przeklinać go po koreańsku.

Wybrał podane mu przez Casia numery i zobaczył, jak drzwi Liftonic QW-607 otwierają się.

Ale za nimi nie było kabiny, jedynie pusty szyb.

- *Bon voyage*, stara czarownico.

Pchnął fotel inwalidzki w przepaść i słuchał, jak spada grzechocząc o ściany. Stał tak do chwili, gdy sto pięter niżej rozległ się słaby odgłos upadku.

Kiedy wyszedł przez główne drzwi World Trade Center, Loren siedziała na ławce na skwerze. Podeszła do niego i objęli się. Przez kilka chwil stali przytuleni.

Czuła jego ból i zmęczenie. A także coś jeszcze. Wewnętrzny spokój, jakiego nigdy jeszcze w nim nie wyczuwała. Pocałowała go delikatnie, a potem wzięła za rękę i poprowadziła w stronę oczekującej taksówki.

- Co z Salem Casio? - spytała.

- Jest ze swoją córką.

- A Min Koryo Bougainville?

- W piekle.

Spostrzegła nieobecny wyraz jego oczu.

- Musisz wypocząć. Lepiej zawiozę cię do szpitala.

W jego spojrzeniu błysnął dawny diabelski ogień.

- Mam inny pomysł.

- Jaki?

- Cały następny tydzień spędzimy w apartamencie najlepszego hotelu na Manhattanie. Szampan, wystawne obiady dostarczane prosto do pokoju, a ty będziesz mnie kochała.

Popatrzyła na niego kokieteryjnie.

- A dlaczego to ja będę musiała wykonywać całą robotę?

- Bo przecież nie jestem w stanie sam się tym zająć.

Przytuliła się do niego.

- Mam wrażenie, że przynajmniej w ten sposób mogę ci podziękować za ocalenie mi życia.

- *Semper paratus* - odparł.

- *Semper...* co?

- To dewiza Ochrony Wybrzeża. Zawsze gotowy. Gdyby ich śmigłowiec w odpowiednim momencie nie pojawił się nad barką, oboje leżelibyśmy na dnie Zatoki Meksykańskiej.

Dotarli do taksówki i Loren pomogła Pittowi wsiąść do środka. Potem wślizgnęła się obok niego i pocałowała go. Kierowca siedział patrząc cierpliwie w przednią szybę.

- Dokąd? - zapytał.

- Hotel „Helmsley Palace” - odparł Pitt.

Loren spojrzała na niego.

- Wynająłeś apartament w Helmsley? - spytała.

- Na najwyższym piętrze - uzupełnił.
- A kto będzie płacił za to wystawne interludium?
Pitt spojrzał na nią z żartobliwym zaskoczeniem.
- Rząd, oczywiście. Któż by inny?